Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/dziela1718adam

III, I, 9, 9

SEMINARIUM STUDIORUM ORD. MIN. CONV. S. P. N. FRANC. ASSISII

ADAM MICKIEWICZ

DZIEŁA

POD REDAKCJĄ
PROF. DR. MANFREDA KRIDLA

Z PRZEDMOWĄ
BOYA-ŻELEŃSKIEGO

WARSZAWA 1929
BIBLJOTEKA ARCYDZIEŁ LITERATURY

Odbito w drukarni „Rola“ Jana Buriana, w Warszawie

TOM SIEDEMNASTY

LITERATURA SŁOWIAŃSKA

ROK TRZECI, 1842 — 1843

Przekład

FELIKSA WROTNOWSKIEGO

LEKCJA I

Wtorek, 6 grudnia 1842

Przemówienie. — Zakres i podział przedmiotu na rok poczęty. — Charakter nowożytnej literatury polskiej, jej dążność filozoficzna i socjalna. — Filozofja słowiańska zupełnie różna od szkolniczej ma za dogmat objawienie. — Objawienie Chrystusowe jedno na zawsze: następne po niem rozwinięcia i dopełnienia. — Całe narody powołane są otrzymywać i realizować prawdy. Któreż z nich mogą być najbliższe tego powołania? — Rosja i Polska mogą zejść się zgodnie na jednym punkcie wzniosłym. Warunki do tego potrzebne.

Uczucie, które nas przejmuje tutaj, które chcielibyśmy przenieść w naszych słuchaczy Słowian, jest uczuciem przywiązania i wdzięczności dla Francji. Wyznajemy, że uczucia te stają się w nas tem żywsze, im bardziej postrzegamy jaki wpływ założenie tej katedry wywiera na literaturę, i w ogólności na myśl słowiańską.

Słowa stąd wychodzące, przyjmowane od niektórych, zbijane przez innych literatów, poruszyły już niejedną kwestją ważną. Polityka nawet poczyna dbać o literackie spory Słowian. Austrja, której prawidłem jest działać w milczeniu, nie odzywać się aż dopiero gdy się rzecz stanie, Austrja po raz pierwszy od początku tej monarchji, dozwala ogłaszać upoważnione przez się dzieła o Słowiańszczyźnie. Ma ona także swój sposób pojmowania narodowości słowiańskiej, i pojęcia te podaje Europie.

Dalecy jesteśmy od przyznawania sobie tych skutków. Nie to, jak wielka lub z jakiego śniegu jest pierwiastkowa bryłka, stanowi

wzrost i pęd śniego-zwału, ogrom i moc jego zależy od miejsca skąd zawiązek pada, a najwięcej od stanu, w jakim się natenczas powietrze i żywioły znajdują. Owóż, miejsce, z którego przemawiamy, i obecny stan umysłów, dopomagają dziwnie naszemu słowu. Co nam najbardziej dodaje siły, to swoboda, jaką mamy w tutejszym kraju, jaka pozwala nam tłumaczyć się z tą otwartością, z tem nieoglądaniem się na nic, które w końcu przeświadczą naszych współplemieńników o szczerości naszej.

Potrzeba tej swobody do rozgrzania ducha, do nabycia dostatecznej mocy, aby wydać słowo działające. W rzeczach traktowanych tutaj możnaby było drukować uczone książki, możnaby było rozprawiać o nich szeroko po dziennikach, ale to nie zrobiłoby takiego wrażenia. Słowo bowiem ustne, słowo swobodne, ma jakiś urok niepojęty. Powiedzieliśmy już nieraz, że na całej kuli ziemskiej, której tak wielką część Słowiańszczyzna zajmuje, nie masz nigdzie miejsca prócz tej sali, gdzieby można było przemawiać swobodnie. Słowo wymówione, jest początkiem wykonania; daje znać, że już jest zdobyta ziemia dla wolności, grunt, na którym myśl słowiańska staje się ciałem. Ale im wolniejszymi czujemy się być tutaj, tem większy mamy obowiązek, tem bardziej musimy wolność tę ograniczyć ściśle w sumieniu naszem.

Wiadome są trudności, z jakiemi przychodziło nam walczyć w naszym wstępnym wykładzie. Przebiegaliśmy dzieje ludów, będących z sobą w wojnie trwającej dotąd; w chwili kiedy mówiliśmy tutaj, obijały się o uszy nasze gniewne krzyki oprawców i bolesne jęki ofiar, dolatujące z krajów słowiańskich: trzeba nam było całych sił dobywać, żeby ponad tę ziemię skrwawioną wznieść się w przyszłość; szukaliśmy w niej pociechy, i mamy nadzieję, że ta przyszłość będzie szczęśliwsza, bo mamy wiarę, że prawda zwycięży. Teraz, pod tym względem przynajmniej, zawód nasz już lżejszy: zostawiwszy daleko za sobą historją walk między Słowianami, historją powszechną Słowiańszczyzny, możemy przystąpić do niektórych szczegółów. W ciągu tegorocznego wykładu poświęcimy ile będzie można godzin na badania, mogące obchodzić zwłaszcza tych, coby szczególniej chcieli oddać się literaturze słowiańskiej.

Przedmiotem tych badań będą: *Epoka pierwotna dziejów słowiańskich*, którą nazwalibyśmy *epoką azjatycką; Mitologja sło-*

wiańska; Dogmat społeczeństwa i rządu Słowian, przy czem rzucimy okiem na pierwiastkowe *prawodawstwo tego ludu;* nakoniec *Składnia*, albo raczej *budowa mowy słowiańskiej*, obok czego wskażemy różne systemy uczonych, celem wyjaśnienia składni tej mowy najrozleglejszej i najzupełniejszej ze wszystkich.

Posłuży to za wstęp do gramatyki powszechnej języków słowiańskich. Tymczasem, prowadząc dalej historją tegoczesnej literatury słowiańskiej, wrócimy do dzieł, rozbieranych przeszłego roku, i roztrząśniemy kilka innych, mianowicie polskich i czeskich.

Musimy tutaj wytłumaczyć się przed publicznością. Użalano się na nas często i gorzko, żeśmy niejako poniżyli literaturę polską obok rosyjskiej, żeśmy zanadto zajmowali się dziełami rosyjskiemi; wystawujemy się teraz na zarzut przeciwny: zajmiemy się bowiem niemal samą jedną literaturą polską, rzucając tylko niekiedy okiem na dzieła czeskie, serbskie i rosyjskie, ale zawsze szykując je około myśli polskiej. Wynika to stąd, że pisarze słowiańscy, długi czas naśladując wszystkie rodzaje brane od cudzoziemców, ledwo niedawno zdołali wydać literaturę prawdziwie swoją własną, istotnie oryginalną; a dziełami jej głównemi, utworami klasycznemi, wzorowemi, są poemata polskie.

Literatura ta zasługuje na uwagę cudzoziemców, i pozwalamy sobie powiedzieć otwarcie, że ona jedna dzisiaj ma prawo zastanawiać ludzi poważnych. Pomiędzy literaturami dzisiejszemi ona jedna jest poważną; poważną przez ducha, z którego pochodzi i dla celu, do którego ciągle dąży. Dzieła, które będziemy roztrząsali, nie były pisane na przedaż księgarzom. Autorowie tych dzieł nie oglądali się na opinją publiczną, ani ubiegali się o popularność: najznakomitszy z pomiędzy nich, twórca *Nieboskiej Komedji*, nie ogłosił swojego nazwiska, co już jest nowością w teraźniejszym stanie piśmiennictwa europejskiego. Literatura ta nosi jeszcze na sobie inne piętno, piętno prawdziwości. Każde dzieło tutaj jest razem czynem, jest wynurzeniem przeświadczeń i uczuć człowieka, który je pisał. Człowiek tu żyje w swojem dziele, można go poznać ze stylu, można — jak powiada ten wiersz Garczyńskiego wybornie charakteryzujący teraźniejsze piśmiennictwo polskie —

. . . . . co czuje, myśli, — to w życiu, w czynach
Odgadnąć, jako ojca z podobieństwa w synach.
Jak wesołość w uśmiechu, jako żałość w oku.

Literatura ta cała jest filozoficzną i socjalną. Autorowie nie myślą o tem, żeby wynajdować albo zalecać system będący płodem głów pojedynczych, ale w dziełach swoich powtarzają tylko odbity wielki głos ludu, powszechnie uznany za głos Boga. Dzieła te są nieoddzielną cząstką słowa drgającego w łonie narodu. Dlatego jak starożytna poezja łacińska, jak starożytna poezja grecka namaszczona charakterem religijnym, cośmy już dawniej wskazali, tak teraźniejsza poezja polska, mająca swój pochód historyczny wręcz przeciwny pochodowi wszystkich ludów nowożytnych, zawiera w sobie zawiązki filozofji wysokiej. Trzyma się ona z filozofją za rękę, idzie z nią w parze, i przetoż, żeby ją zrozumieć, będziemy musieli rozbierać kwestje filozoficzne.

Wyrazu tego *filozofja* używamy tutaj niechętnie, i moglibyśmy obejść się bez niego, moglibyśmy bez pomocy terminów szkolnych wyrazić wszystko co jest prawdziwego i głębokiego w dziełach polskich; ale ponieważ niektórzy pisarze polscy, odpadłszy od tradycji ojczystej, puścili się na manowce filozofji niemieckiej, i zwodzą ducha narodowego, trzeba nam będzie podnieść ich własną broń dla walczenia z nimi.

Tymczasem zbierzemy tu pokrótce, cośmy już w roku przeszłym nazwali filozofją słowiańską, a co dopiero po raz pierwszy sformułowali Polacy. Broniąc tradycji i prawdy narodowej, będziemy musieli zbijać niemal wszystkie systemy i wszystkie szkoły.

Filozofja ta ma naprzód u siebie za pewnik, że od początku społeczeństw ludzkich znajdowały się wszędy dogmata, szczątki objawienia powszechnego; że od czasów najdawniejszych posiadano pewien zbiór prawd objawionych, którego źródła nie wiemy. Później ludzie przechowujący ten skład święty, i wysileni na to, aby go zwiększyć i rozwinąć, stali się zdolnymi przyjąć objawienie wyższe i zupełniejsze, objawienie Chrystusowe. Chrześcijaństwo nie znalazło Słowiańszczyzny stepem nagim: w życie dawniejsze wszczepiło życie nowe. Ci zaś co przyjęli, zachowali i powiększyli prawdę chrześcijańską, stali się także zdolnymi do przyjęcia objawień następnych, mających uzupełniać chrystjanizm; objawień dalszych

z kolei i cząstkowych, bo objawienie Chrystusowe jest na zawsze jednem i ogólnem.

Podług historycznego pochodu Polski, podług sposobu stosowania w niej chrystjanizmu do polityki, podług uczuć jej pisarzy prawdziwie narodowych, ludzkość nigdy nie szła i nie pójdzie inaczej jak szeregiem objawień.

Wiemy, że wyraz ten sponiewierany został świętokradzko, że lada marzenie, lada podskok myśli bywa uważany za krok postępu; bo stracono z oczu cel dążności rodu ludzkiego, bo odrzucono chrystjanizm. Ale dla nas, objawienie jest poruszeniem ducha, w rozumieniu tego chrześcijańskiem. Co narodową, popularną filozofją Słowian zupełnie od filozofji szkół odróżnia, to że pierwsza z nich uznaje potrzebę karności, potrzebę dopełnienia koniecznych warunków aby mieć objawienie.

Od Pitagorasa wszystkie szkoły świeckie nie znały tej zasadniczej prawdy. W szkołach tych mniemają, że człowiek pyszny, płochy, próżny, a nawet skalany występkami, byleby miał głowę wyćwiczoną, równie jest zdolny otrzymać z góry prawdę, jak surowy pustelnik, jak cnotliwy wódz bijący się za ojczyznę, albo jak zacny ojciec rodziny, który pracą swoją żywi żonę i dzieci. My zaś wierzymy w to, że aby pozyskać prawdę nową, trzeba pierwej pełnić prawdę dawną, stawać w jej obronie, złożyć dla niej ofiary.

Staje się to już powszechnem uczuciem, że po ludziach pojedynczych, którzy objawili wielkie prawdy na świecie, całe narody są powołane do przyjęcia prawd i wprowadzenia ich w wykonanie; że co dawniej było dziełem ludzi pojedyńczych, to teraz ma być dziełem narodów. Podług pojęć wyłożonych wyżej, łatwo się domyślić, na których to narodach powinny polegać nasze nadzieje filozoficzne; niewątpliwie na tych, co pracują, cierpią, poświęcają się dla prawdy. Stąd też daje się widzieć, dlaczego uważamy Francją za naród daleko filozoficzniejszy od Niemiec zapchanych katedrami filozofji; dlaczego Polacy są bliżej prawdy niżeli inne ludy słowiańskie. Objawienie bowiem Chrystusa Pana będzie zawsze miarą wszystkich objawień następnych, droga krzyża będzie zawsze jedyną drogą prawdy; a wiadomo jaki naród od dawna idzie tą drogą bolesną. Niech przeto ludy słowiańskie nie zazdroszczą

narodowi polskiemu, że powziął i wyraził prawdy najwyższe: opłacił on to strasznemi ofiarami.

Dotykając tej rzeczy w roku przeszłym, zrobiliśmy już uwagę, że wpływ genjuszu francuskiego dopomógł Polakom sformułować ich filozofją. Dwa razy wojska francuskie postawiły nogę na ziemi słowiańskiej: za Karola Wielkiego, i za Napoleona. Karol W. wniósł do Słowiańszczyzny ideę królewskości, która sprawiła rewolucją ogromną; Napoleon osobą swoją, genjuszem i działaniem wywarł na ducha słowiańskiego wpływ, którego daliśmy wyobrażenie. Łatwo teraz pojąć dlaczego część krajów słowiańskich ma oczy zwrócone na Francją. Jest to narodową wiarą w tych krajach, że Francja ma przeznaczenie jeszcze raz wstrząsnąć Północą, a chwila ta uroczysta będzie chwilą połączenia się plemion zachodnich z północnemi koło jedej idei powszechnej, koło idei chrześcijańskiej, która znajdzie swojego wyobraziciela. Powtarzamy, że w tym zapowiadanym dogmacie nowym widzimy tylko rozwinięcie dogmatu chrześcijańskiego.

Cokolwiek sobie filozofowie mówią, dogmat chrześcijański nie zaginie. Ranek nie ginie przeto, że się w dzień zamienia, i słońce, schodząc z jednych okolic, przyświeca innym stronom ziemi. Podobnie jest i ze światłem chrześcijańskiem. Filozofja, jeśli mamy użyć tego terminu, filozofja, która będzie myślą, wykładem chrystjanizmu, wzrośnie silna całą mocą soków żywotnych zachowanych w tradycji Kościoła powszechnego.

Mając przed sobą te myśli i nadzieje, przebiegliśmy historją ludów słowiańskich. Staraliśmy się ile możności wyprowadzić na jaw różnego ducha tych narodów, postawić go wobec genjuszu Francji. Usiłowaniem naszem jest wynaleźć, odkryć słowa tajemnicze, które poruszają narodami, nadają im działalność, wyświecić to, co Tacyt nazywa *arcana imperiorum*. Każdy naród ma dla siebie takie słowo cudowne. W średnich wiekach słowo jednego pustelnika poruszyło całą Europę; znalazł on był hasło dla ludów zachodnich. Wszystkie ludy mają przytem słowa, które je przerażają.

Ponieważ przeznaczono Francji wystąpić jeszcze czynnie na Północy, powinnaby ona pilnie poznawać ukryte sprężyny potęgi tamecznych krajów. Odbieraliśmy często wymówki, mianowicie od Rosjan, że wydajemy tajemnice rodowe. — Kiedy jeden wódz

rzymski, ująwszy sobie żołnierzy, ogłosił się cesarzem, ludzie uczeni, senatorowie, rozprawiali jeszcze o formach rzeczypospolitej; ale Tacyt postrzegł już koniec starego porządku rzeczy i rzekł: „tajemnica władzy jest odkryta; jednemu wojownikowi dano było ją odgadnąć". Cośmy powiedzieli o nadziejach ludów słowiańskich, o spojni jaka ma je połączyć z Zachodem, powinno nas zasłonić od zarzutów Rosjan. Cały nasz wykład przeszłoroczny był historją walki zawziętej między dwoma pojęciami nazabój nieprzyjaznemi sobie, między pojęciem rosyjskiem i pojęciem polskiem. Teraz można już przewidywać rozwiązanie tej zagadki historycznej. Dwa te ludy dążyły w kierunku wręcz przeciwnym, a mimo to jest punkt wzniosły, na którym zejść się mogą.

Bynajmniej nie potępiając Rosjan za uległość rządowi tchnącemu materjalizmem, rządowi, który sami tylekroć nazwali okropnym, wykazaliśmy przyczyny historyczne, niejaką fatalność co zmuszała ich poświęcać wszystko jednemu wyobrażeniu, wyobrażeniu jedynowładztwa. Związki Rosji z Azją, groźne parcie z tamtej strony, napady Normandów i Litwinów, wreszcie tysiąc innych okoliczności, których tu powtarzać nie będziemy, utorowały drogę temu wyobrażeniu przywiedzionemu ze stepów azjatyckich przez Mongołów. Przyczyny przeminęły, skutek pozostał. Obok tego wskazywaliśmy także, jak Polska ciągle wydawała jednego po drugim mężów pojedynczych przewodniczących myśli narodowej, mężów wzbudzanych przez Opatrzność w szczególnych razach; ale dopiero w ostatnich czasach Polacy uczuli również potrzebę ześrodkowania wszystkich sił w jednym człowieku. Nie mamy człowieka! — wołano powszechnie od Kościuszki aż do Chłopickiego. Tak tedy gdy Rosja, dla swojej potęgi, oddaje wszystko na ofiarę jedynowładztwu reprezentowanemu przez dynastją, Polska pragnie podobnież mieć człowieka, któryby jej narodowe pojęcia reprezentował: chociaż formy pod jakiemi myśl rosyjska ukazuje się i warunki jej bytu wręcz przeciwią się formom polskim. Formy przemijają, idea trwa zawsze; a jaka to jest ta idea, napomknęliśmy już zdaleka. Nie będzie ona mogła być w niczem podobną do tych, któreśmy dotąd widzieli w Rosji i w Polsce. Powinna ona spełnić nadzieje obu tych narodów, nie nadwerężając praw, jakie oba mają do cieszenia się bytem swobodnym i udzielnym.

LEKCJA II

Wtorek, 13 grudnia 1842

Obecność u Słowian. — Messjanizm. Postęp jest szeregiem objawień. Główny jego dogmat. — Słowo. — Każda narodowość jest rozwinięciem jednego słowa, jednej myśli wcielonej. — Różnica mędrców od filozofów. Prometeusz i Epimeteusz. — Kodeksa, ustawy, porządki ludzkie względem Ewangelji; teorje, retoryka, dziennikarstwo względem literatury. — Przeszłość stawi opór. — Naród najbardziej uciśniony od przeszłości. — Co jeden z poetów polskich mówi o poezji.

Jeden filozof słowiański, autor dzieła które będziemy rozbierali, Polak rodem, Trentowski, opiera swój system na tem, że obecność jest wszystkiem dla człowieka. Myśl tę, mającą pozór paradoksu, wyraził już pierwej poeta polski, Garczyński:

> Teraźniejszy świat tylko jest boski, jest wielki;
> Przeszły, przyszły, są niczem...

Może to zdawać się dziwnem, że poeta i filozof ze szczepu, który teraz nie gra roli bardzo świetnej, z narodu, który dobija się nie o co innego jak o przyszłość, przywiązali się do chwili obecnej; ale ta chwila, wedle nich, jest to działanie, życie, siła, jest to owoc dziejów przeszłych, zaród przyszłych. Tym sposobem, pomniki piśmienne, wszelkie zabytki przechowujące tylko pamięć tego co minęło, wszelkie okruchy przeszłości, któremi tak się chełpią niektóre narody, w tem pojęciu słowiańskiem są niczem: bo przeszłość powinna znajdować się cała w duchu ludzkim, który zawsze jest obecnością. Przyszłość podobnież, przyszłość, jako nadzieja filozoficzna do urzeczywistnienia, nie liczy się za nic w życiu obecnem, w życiu wielkiem rodu ludzkiego; dopiero duch człowieczy, realizując skupioną w sobie przeszłość, ciągle daje początek przyszłości.

Musieliśmy naprzód wyłożyć tę prawdę, ponieważ powołan steśmy traktować filozofją nie mającą żadnej szkoły, literature siadającą dzieł nie wiele. Powołanie nasze nakazuje nam ok nawet małą wartość moralną wszystkiego, co jest pamiątką, p

nikiem, co było zrobione na ubóstwienie dumy człowieka, na łechtanie jego próżności.

Owóż tedy, Bóg ciągle, w każdej chwili, mówi przez ducha ludzkiego, a działanie to stanowi obecność. — Nieraz zwracaliśmy uwagę naszych słuchaczy szczególniej na znaczenie obecności dla Słowian. Wielekroć wskazywaliśmy skinienia, znaki, jakie ludy te czynią do ludów zachodnich: przebija się w nich sama chęć zgody. Słowianie nie grożą już najściem Europie, wzywają ją do przymierza.

Narody słowiańskie od dawna dążą ku temu. Jeden z pomiędzy nich, mianowicie naród polski, wyprzedzał prawie zawsze swoich filozofów i poetów. Dlatego też życie historyczne i działanie tego narodu ważniejszym jest przedmiotem od jego literatury. Podobnież ma się rzecz i z innemi narodami słowiańskiemi. Jeżeli jenerał Suwarow był większym od poety Dierżawina, który go sławił, można powiedzieć także, że ostatnie powstanie Polski miało więcej mocy, wydało charaktery dobitniejsze od zapowiadanych przez poetów, że nawet teraz są fakta sięgające daleko wyżej, niżeli wszystkie nasze filozofje i literatury. Dodamy nawiasem, że przytomność znacznej liczby słuchaczy słowiańskich tutaj nie jest przypadkową, ale ma ścisły związek z ciągiem zjawisk politycznych i literackich.

Z całej historji ludów słowiańskich, a osobliwie z pochodu dziejów narodu polskiego, wynikło, jakeśmy to powiedzieli, przypuszczenie messjanizmu, czyli szeregu objawień. Pierwej nim przystąpimy do rozbioru dwóch wielkich pisarzy, musimy jeszcze chwilę zastanowić się nad tym przedmiotem.

Już w roku przeszłym widzieliśmy, że różnica, jaka zachodzi między ludźmi, zależy od różnego stopnia rozwinięcia ich ducha. Duch więcej rozwiniony ma naturalne posłannictwo prowadzić ludzi w tej mierze niższych. Jest to główny dogmat messjanizmu. Opatrzność używa takiego ducha za swój organ; Bóg nie używa innego sposobu przemawiania do ludzi, obiera na to sobie człowieka. Nie wciela się on w szkoły złożone z indywiduów różnego charakteru i różnej wartości moralnej, nie wyraża się przez książki, których autorowie mogą dogadzać egoizmowi albo chuciom ziemskim. Przemawia przez ducha takiego co pilnował się jego praw,

udoskonalił siebie jak należy, czyniąc zadość warunkom do tego potrzebnym, wytrzymał próby, osięgnął mądrość. Wiedziano o tem dawno, znali to mędrcy starożytni, których później zastąpili filozofowie. Nie jest to zdanie nowe, ale trzeba żeby się stało dogmatem powszechnym, a stało się już nim dla filozofów i poetów wielkiego narodu europejskiego, co rzecz godna uwagi.

Owoż, duch, który pracuje, który się podnosi, który bez ustanku szuka Boga, otrzymuje przez to samo światło wyższe, zwane *słowem*, i staje się objawicielem. Człowiekowi ukazuje się nagle przed oczyma nie system, ale, jakeśmy powiedzieli, słowo, i dlategoż to największe ze wszystkich objawienie chrześcijańskie nazwano słowem. To światło Boskie, któremu dość jednego człowieka, żeby się objawić, rozwija się później, bo jest słowem żyjącem; rozwija się w systemach, w szkołach, a nadewszystko w czynach; nie potrzeba mu dowodzeń, rozumowań, przeświadcza samo przez się; nie wykłada szeroce tych systemów, nie zapowiada nawet zgóry co ma sprawić: przemawia i realizuje się razem. Widzimy teraz dlaczego w ewangelji nie masz ani jednago przykładu dyskusji, ani jednego syllogizmu, ani jednej obietnicy pod względem ekonomicznym, politycznym, lub socjalnym, a jednak słowo to sprawiło zmiany niezmierne we wszystkich gałęziach wiadomości ludzkich.

Na wzór tego objawienia głównego, będącego, jeśli godzi się tak powiedzieć, kapitałem rodu ludzkiego, są objawienia cząstkowe: można nawet rzec (co udowodnimy kiedyś, rozważając dogmat społeczeński Słowian), że każdy lud brał swój zawiązek z objawienia, że każda narodowość polega na objawieniu osobnem. Ile było wielkich narodów, każdy powstał z jednego człowieka, z jednej myśli, i żył dlatego tylko żeby tę myśl zrealizował.

Filozofja, czyli co nazywają filozofją, to jest robota inteligencji, która wyłamuje się z pod wszelkich prawideł moralnych, która nie chce poddać się żadnemu warunkowi położonemu przez Opatrzność, która mniema, że dosyć jest rozumować i dyskutować aby otrzymać prawdę, filozofja taka, wedle powyższego sposobu uważania rzeczy, jest tylko naśladowaniem, albo raczej fałszerstwem objawienia. Mędrcy objawiają wielkie prawdy, *mędrcy* czyli *cnotliwi* (bo po grecku σοφός znaczy razem jedno i drugie), ludzie

święci, odkrywają wielkie rzeczy; filozofowie udają, że czynią toż samo. Mamy tutaj znaczenie bajki o Prometeuszu i Epimeteuszu. Prometeusz dostał ogień z nieba, i ogniem tym żywił człowieka, to jest dał wiedzę, założył instytucją; Epimeteusz, chcąc naśladować brata, stworzył tylko małpę.

W rozwijaniu się tedy politycznem narodu dają się widzieć ludzie przeniknieni tradycją narodową i ci prowadzą naród ku jego przyszłości. Ukazuje się także szereg ludzi natchnionych, którzy od czasu do czasu zjawiają się w chwilach stanowczych. Natchnienie to, jak można wnosić z głębokiego zastanowienia się nad historją, będzie coraz mocniejsze. Pominąwszy bowiem rozbiór instytucyj ludów starożytnych, rzućmy tylko okiem na samo chrześcijaństwo.

Narody chrześcijańskie, przyjąwszy nową wiarę, pozostały jednak pod prawodawstwem pogańskiem. System kast nie ma miejsca w ewangelji. Wyobrażenie dziedzictwa nie znajduje się także w księgach chrześcijańskiego zakonu. Wojny i traktaty bywają teraz bardziej barbarzyńskie niżeli zabory i układy Rzymian: radzili się w tem oni przynajmniej swoich kapłanów zwanych *salienses*. Ewangelja przeto, przyjęta przez ludzi pojedynczo uważanych, nie weszła w życie polityczne narodów. Kodeks rzymski po dawnemu służy za prawidło trybunałom; prawo arystokratyczne plemienia germańskiego stało się wszędzie, przynajmniej w państwach zachodnich, prawem publicznem; a wszystkie te ustawy, wszystkie te zwyczaje, wykluczają natchnienie, kiedy przecież przyszłość narodów założona jest na słowie natchnionem. Oto, bo potrzeba czasu, żeby nowy porządek rzeczy wszedł na miejsce starego. Widzimy wszakże, że po wprowadzeniu chrystjanizmu do Gallji, płomię natchnienia zapala się w niej od czasu do czasu, i przedziera się wśród gęstwy przesądów, nawyknień powszednich. Widzimy nadewszystko w Dziewicy Orleańskiej przykład, wzór, typ nowego porządku rzeczy. Zjawisko to nie mogłoby być pojęte ani przez Greków, ani przez Rzymian. Osobę tę wydał już chrystjanizm. Prosta wieśniaczka, która staje na czele wojska dlatego, że otrzymała wyraźny rozkaz od Boga, która zniewala władze urzędowe do posłuszeństwa natchnieniu, jest osobą ewangeliczną, jest zapowiedzią jak na świecie ma dziać się kiedyś. Nie będziemy przywodzili tu innych przykładów z krajów mniej znanych pu-

bliczności francuskiej; wspomnimy tylko sławnego Szwajcara Davell, co także, zaufany w natchnienie, opanował był Lozannę, wypędził z niej Berneńczyków i dał współobywatelom swoim wolność, której oni lękając się używać, wrócili znowu pod przemoc obcą.

Wierzymy więc, i mamy powody wierzyć, że narody chrześcijańskie zbliżają się coraz bardziej do zrealizowania ewangelji, i że wtedy duchy te wyższe, zdolne otrzymywać natchnienie Boskie, będą powołane do odegrywania ról, jakie nie mogłyby zgadzać się z teraźniejszym stanem społeczeństw. Zastanowimy się jeszcze nad tą myślą pod innym względem, roztrząsając poemat, od którego zaczniemy tegoroczny kurs literatury.

To samo objawienie co prowadzi ludy, posuwa także i ich literatury. Dają mu rozmaite nazwiska, powiadając zwykle, że aby pisać, tworzyć dzieła, trzeba mieć talent, dar, co jest nie czem innem jak tylko objawieniem. W dziedzinie przeto literatury zachodzi ten sam spór jaki i w politycznej. Jak kodeksa, ustawy tamują ciągle rozwijanie się chrystjanizmu; tak szkoły, teorje, retoryka, dziennikarstwo tłumią postęp literacki. Wszystko to przeszkadza człowiekowi otrzymywać natchnienie. Dlategoż, nigdy wielcy artyści nie wychodzą ze szkół, ale czerpią siłę twórczą z wielkiego życia krążącego w narodzie: inaczej trudno byłoby pojąć skąd biorą się wielcy artyści w krajach, gdzie nie masz ni szkół, ni dzienników, ni nawet księgarni.

Podług tego cośmy powiedzieli możemy powtórzyć, że naród, który najwięcej cierpiał z przyczyny dawnego porządku rzeczy, naród najbardziej uciśniony przez potęgi opierające się na przeszłości, naród polski, został przygotowany do przyjęcia wielkich i ważnych objawień.

Poczniemy naprzód od poezji, i przytoczymy wyjątek ze wstępu poematu mającego tytuł *Nieboskiej Komedji*. Da on nam widzieć jak Polacy pojmują poezją. Wstęp ten, bez ogólnego napisu, dosyć jest ciemny; autor odzywa się tu do poezji w ogólności, do jej ideału jaki sobie wystawia.

„Gwiazdy wokoło twojej głowy — pod twojemi nogi fale morza — na falach morza tęcza przed tobą pędzi i rozdziela mgły —

co ujrzysz jest twojem — brzegi, miasta i ludzie tobie się przynależą — niebo jest twojem. — Chwale twojej niby nic nie zrówna".

„Ty grasz cudzym uszom niepojęte rozkosze. — Splatasz serca i rozwiązujesz gdyby wianek, igraszką palców twoich — łzy wyciskasz — suszysz je uśmiechem, i na nowo uśmiech strącasz z ust na chwilę — na chwil kilka — czasem na wieki. — Ale sam co czujesz? — ale sam co tworzysz? — co myślisz? — przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknością. — Biada ci — biada! — Dziecię, co płacze na łonie mamki — kwiat polny, co nie wie o woniach swoich, więcej ma zasługi przed Panem od ciebie".

Po tem skreśleniu potęgi poezji istotnej, następuje teraz obraz nędzy poezji uważanej jako sztuka.

„Skądżeś powstał, marny cieniu, który znać o świetle dajesz, a światła nie znasz, nie widziałeś, nie obaczysz! Kto cię stworzył w gniewie lub w ironji? — kto ci dał życie nikczemne, tak zwodnicze, że potrafisz udać Anioła chwilą nim zagrzązniesz w błoto, nim jak płaz pójdziesz czołgać i zadusić się mułem? — Tobie i niewieście jeden jest początek".

„Ale i ty cierpisz, choć twoja boleść nic nie utworzy, na nic się nie zda. — Ostatniego nędzarza jęk policzon między tony harf niebieskich. — Twoje rozpacze i westchnienia opadają na dół, i Szatan je zbiera, dodaje w radości do swoich kłamstw i złudzeń — a Pan je kiedyś zaprzeczy, jako one zaprzeczyły Pana".

„Nie przeto wyrzekam na ciebie, Poezjo, matko Piękności i Zbawienia. — Ten tylko nieszczęśliwy, kto na światach poczętych, na światach mających zginąć, musi wspominać lub przeczuwać ciebie — bo jedno tych gubisz, którzy się poświęcili tobie, którzy się stali żywemi głosami twej chwały".

„Błogosławiony ten, w którym zamieszkałaś, jako Bóg zamieszkał w świecie, nie widziany, nie słyszany, w każdej części jego okazały, wielki; Pan, przed którym uniżają się stworzenia i mówią: „On jest tutaj" — Taki cię będzie nosił gdyby gwiazdę na czole swojem, a nie oddzieli się od twej miłości przepaścią słowa. — On będzie kochał ludzi i wystąpi mężem pośród braci swoich. — A kto

cię nie dochowa, kto zdradzi za wcześnie, i wyda na marną rozkosz ludziom, temu sypniesz kilka kwiatów na głowę i odwrócisz się, a on zwiędłemi się bawi i grobowy wieniec splata przez całe życie. — Temu i niewieście jeden jest początek — "

Zwrócimy jeszcze później uwagę na niektóre wyrażenia tego prześlicznego kawałka, pokazującego nam jak pisarz polski pojmuje poezją. Dla niego nie jest ona sztuką, rozrywką: odmalował tutaj wizerunek potęgi poetyckiej, potęgi ducha, co, rzuciwszy się całkiem w rydwan swojej imaginacji, buja na tej tęczy po morzach i obłokach, mniema posiadać wszystko, ale gubi się przez to, że ten dar niebieski obraca na marną rozkosz. Przed kilku laty, jak wiadomo, była nawet utworzyła się we Francji teorja takich wędrówek po czasie i przestrzeni dla zbierania poezji, przebiegając kolejno chińską, arabską i t. d. Autor, o którym mówimy, ma poezją za natchnienie wielkiej wagi, każe ją nosić jak gwiazdę na czole i nie rozdzielać się od niej przepaścią słowa. Wysłowić ją, wypisać, jest to wedle niego zmarnować, zdradzić. Słowo napisane dowodzi niemocy do czynu. Grecy nawet nie inaczej pojmowali prawdziwą poezją jak w czynie: poezja po grecku znaczy działanie. Czegóż chce nasz autor? Oto żeby duchy najhartowniejsze, najwznioślejsze, najbliżej stykające się z Bóstwem, nie puszczając sił w czczych wyrazach, zachowały je całkiem na działanie, na czyny. — Biada im, jeśliby tylko mieli gadać i pisać; wtedy to byliby skazani całe życie bawić się garstką zwiędłych kwiatów. Taka jest myśl wstępu *Nieboskiej Komedji.*

LEKCJA III

Wtorek, 20 grudnia 1842

Jak literaci i poeci słowiańscy pojmują swoje powołanie. Krytyk M. Grabowski. Poeci: Zaleski, Puszkin. — Wpływ tajemniczy Byrona na poetów słowiańskich. Źródło skąd pochodził. Napoleon.

Przyszliśmy do ważnego zagadnienia, jak poeci, literaci, pisarze słowiańscy pojmują swoje posłannictwo, swoje obowiązki. Wie-

dząc co sobie wódz albo polityk zamierzył, znając ile poczuwa się na siłach, łatwiej zgadnąć ostateczny wypadek jego działań. Przytoczony na lekcji przeszłej wstęp *Nieboskiej Komedji* pokazuje nam z jak wysokiego punktu Słowianie zapatrują się na sztukę i jej płody; jak formę i rzecz samą, słowo i treść jego biorą za jedno; jak wszystko u nich obejmuje jeden wyraz, czyn.

Kiedy autor wspomnionego poematu pisał swój wstęp, znakomity krytyk polski, Michał Grabowski, roztrząsając tegoczesne dzieła przyszedł do podobnegoż wypadku. Rozpocząwszy teorją swoją od pojęcia Boga, powiada on, że Bóg jako największy twórca, jako sam jeden twórca prawdziwy, jest także największym poetą. Z tego pojęcia wyprowadza potem wnioski, które stosuje do poezji.

Zastanowimy się teraz nad innym poetą polskim, nad Bohdanem Zaleskim, o którym już mówiliśmy w kursie przeszłorocznym. Poemat Zaleskiego *Duch od Stepu* należy do jego utworów drugiej maniery, albo raczej drugiej potęgi. — To co w sztuce nazywają zwykle manierą wolimy tutaj, idąc za filozofem Trentowskim, nazywać potęgą. Pierwsza, druga, trzecia maniera poety albo malarza, w języku szkolnym, znaczy tylko różny sposób pisania lub malowania; potęga zaś wyraża razem podniesienie się wyżej, wzrost siły. — Damy wyobrażenie o tym poemacie, z którego można miarkować jak głębokie uczucie sztuki mają Słowianie.

Wiadomo jest w jaki sposób należy uważać sztukę, idąc za pojęciem Platona. Wielki ten filozof, dziedzic podania starych mędrców czerpanego z objawienia, przypuszcza to co szkoły nazwały *idejami wrodzonemi*. Zdaniem jego, duchy, przed wzięciem na się formy cielesnej, przebywały już w zarodku na łonie bóstwa: idee wrodzone, mówiąc poprostu, są niczem innem tylko przypomnieniami, przypomnieniami ciemnemi, nie rozsnowanemi jeszcze na czas i przestrzeń. Przypomnienia te później duch rozwija i uzupełnia w swoim bycie ziemskim. — Myśl płodniejsza niżeli wszystkie systemy estetyków niemieckich! — Podług Platona tedy, jeśli uderza nas piękność jakiego przedmiotu, doświadczamy natenczas takiego uczucia, jakiem przejęty bywa wygnaniec na widok obcej okolicy, która mu przypomina podobną w jego ojczyźnie, i pierwej drgnie nim zda sobie sprawę skąd przyszło to wzruszenie. Tym sposobem piękność — mówiąc tutaj tylko co do samej

sztuki — piękność cząstkowa, znikoma, ziemska, jest niewyraźnem przypomnieniem tego, czego duch doświadczał niegdyś, albo raczej czego ma doświadczyć kiedyś, jako przeznaczony na to, żeby te wszystkie uczucia objął i przeto ideał piękności urzeczywistnił w sobie.

Taki jest system Platona, zwykle zagmatwywany po szkołach przez język techniczny. Zaleski wychodzi z tej samej myśli, i dlategoż, chociaż nic jaśniejszego, nic przezroczystszego nad jego wyrażenia, poemat jego zdaje się być ciemnym, bo nie można schwycić całej w nim osnowy, nie znając tej rozległej idei. Poczyna on od prostego i wdzięcznego opisu dzieciństwa poety; całą swą kompozycją osadza na wyobrażeniu filozoficznem, a wszędzie wyraża się poprostu jak poeta gminny: co także dowodzi, że najwznioślejsze pojęcia filozofji mogą być wydane językiem pospolitym ludu.

Oto jest początek poematu:

I mnie matka Ukraina,
I mnie matka swego syna,
Upowiła w pieśń u łona;
Czarodziejka — na rozświcie
Napowietrzne, ptasie życie,
Przeczuwała na plemiona,
I wołała rozczulona:
Piastuj dziecię me, Rusałko!...
Mlekiem dum — i mleczem kwiecia,
Poj do lotu mdłe to ciałko!
Pięknej sławy mej stolecia,
Podaj do snu na obrazki!
Barwą złotą i błękitną,
Tęczą w okrąg niech rozkwitną,
Wszystkie mego ludu kazki!

Ukraina, w poezjach gminnych nazywana to matką, to kochanką, to czasem macochą, przyjmuje tutaj poetę. Po tym niby wstępie, opowiada on pokrótce swoje życie, przypominając naprzód sobie:

Luby, dziwny, gdzieś przed laty,
Żywot czysty i skrzydlaty,
Pierworodny swój początek.

Dalej, jak usłyszał *Pańskie stań się*, wyrok Boży rozkazujący mu zstąpić na padół ziemski:

Czas wypełnia się twej próby,
Zleć, iskierko, do otchłani.

Nakoniec lot ku ziemi, senny widok swojej przyszłości, swoich kolei od dzieciństwa aż do dni tułactwa. Dopiero z ósmą strofą, czyli raczej pieśnią, poczyna się sam poemat, będący obrazem czasów, po których duch poety wodzi jeszcze niecielesne oko. Obraz ten od epoki rajskiej roztoczony przez dzieje starożytne i chrześcijańskie, obejmuje historją powszechną przywiązaną do historji Ukrainy, gdzie się poeta urodził, dokąd ciągle wraca się pamięcią, bo w cud uwikłana zagadka jego bytu leży na tym szlaku stepowym, kędy waliły się hordy azjatyckie do Europy:

Stepy — światoburców droga,
Tam przechadzał się gniew Boga.

Pomiędzy innemi prześliczne jest opisanie jak barbarzyńcy, zmierzając ku Zachodowi, ciągną przez Ukrainę.

„Roma!“ okrzyk głuchy zrazu, —
Grzmi roznośniej od Kaukazu;
Lik skrzydlaty, czy tabunny,
Szerzy w stepach tętent, huki?
Coś już wietrzą pańskie kruki!
Barbarzyńcy — o! nieuki —
Ostrogoty, Goty, Hunny:
Z różnych plemion czerń zaciężna,
Straszna w sile — a orężna!...
Bliżej, bliżej — okrzyk dzwoni:
„Ura ho! na popas koni,
„Do Panonji! do Panonji!“
W stal zakuty Wódz na przedzie,
Przez bezdroża jedzie — wiedzie, —
Konny posąg Al - hun - ryka,
Niedźwiedziami strzępi kudły;
Suchożyły, w kość zachudły,

Boży Gniew, — twarz groźna, dzika;
Wzrok, co nigdy się nie zmyka,
Bo powieki wrosły w czoło...
Jako rzeka w skałach stroma,
Pluszcze za nim gwar wokoło:
„Roma! Roma! gdzie ta Roma?“
Konny posąg Wódz na przedzie,
Nieprzystępny, głuchy, niemy,
Przez bezdroża jedzie, wiedzie;
Nagle staje.
Tu spoczniemy.
„Strona w stepach ta! czy nie ta?
„W nocy wskaże nam kometa!...
„Roma — Roma — niedaleko...“
Grzmi ku swoim wieść ponurą:
„Tam — za siódmą tylko Górą...
„Za dziewiątą tylko Rzeką!
„Ale słońce mile świeci,
„Poigrajcież w piasku, dzieci!“
Na rozkazy wodza — dziatwa
W prawo — w lewo — zdala — zbliska —
Wnet się roi na mrowiska,
I zabawka lekka, łatwa,
Nie mitręży wcale siły!
W ruchu tylko ręce, stopy:
Znoszą skały pod mogiły,
Ryją na sto mil przekopy...
Ślad maluchny ich przechodu,
Pamięć czem był świat zamłodu!...

Przebiegłszy historją starożytną, poeta, to jest duch poety, spada przez chmury łez, i przesiękły, przesycony łzami znajduje się w Polsce dzisiejszej. Poemat zamyka się wspaniałym obrazem Polski pokutującej na wierzchołku Karpat, i otoczonej duchami wszystkich wielkich królów, wielkich hetmanów słowiańskich. Prorocze zakończenie poematu należy już do innego rodzaju poezji.

Podług Zaleskiego tedy, nie chęć głoszenia czynów jakiego wodza, nie żądza nabycia sławy, nie zamiłowanie sztuki tworzy poetę; trzeba się na to urodzić, trzeba być przeznaczonym na śpiewaka, na wieszcza swojej ziemi, swojego narodu; i śpiewać im, jest to nic innego tylko objawiać myśl Bożą jaka na nich spoczywa.

Widzimy tu przytem, że poeta polski opuszcza już historją polityczną swojego kraju, obiera sobie grunt neutralny, napomyka o powinowactwie z Bojanem, z owym mitycznym wieszczem należącym do całej Słowiańszczyzny; staje się poetą plemienia Słowian.

Pomiędzy Rosjanami, Puszkin chciał także zdać sobie sprawę ze swego zawodu literackiego i poetyckiego, chciał sobie zgóry zakreślić drogę jakiej się miał trzymać. W trzech miejscach mówi o tym przedmiocie, o powołaniu poety. W jednym z sonetów, w wierszu pod tytułem *Prorok*, i w ucinku, który zaraz przytoczymy. Sonet, zresztą bardzo ładny, wyraża myśli przyjęte na Zachodzie, wystawia poetę nie dbałego na zdania krytyków i swoich sędziów, zajętego jedynie doskonałością dzieła. Puszkin tutaj ubóstwia sztukę. Ale później, w najpiękniejszej epoce życia, kiedy czuł całą swoją siłę, napisał wyżej wspomniany wiersz pod tytułem *Prorok*, w którym podnosi się do tej wysokości co autor *Nieboskiej Komedji*. Wszystkie wyrażenia tej ślicznej poezji brane są z Ksiąg Świętych. Uznaje on dopiero, że aby śpiewać (bo tem słowem zwykle oznacza się robota poetycka), aby być poetą, trzeba się odmienić zupełnie. Używając tedy wyrażeń poetów hebrajskich, powiada, że kiedy spragniony włóczył się po ciemnym padole, zaszedł mu drogę serafin sześcioskrzydły, dotknięciem palców swoich otworzył mu oczy i uszy, wydarł z ust język grzeszny — żądło próżności i obłudy, pierś rozpłatawszy mieczem, wyrwał serce drgające i natomiast włożył węgiel rozżarzony, a odtąd mógł on widzieć lot aniołów po niebie i słyszeć podwodny chód gadów morskich, odebrał rozkaz od Boga, żeby pełen woli Jego, obchodząc morza i lądy, słowem zapalał serca ludzi. Był to początek nowego zawodu Puszkina, ale zabrakło mu siły dojść do tego co przeczuł; nie zdołał swego życia wewnętrznego i swoich prac literackich urządzić podług tej wielkiej prawdy. Pozostała ona w jego dziełach do niczego nie przypięta, jakby przypadkiem i nie wiedzieć skąd zabłąkana. Wiersz ten pisał po odkryciu spisku w r. 1825. Stan w jakim się wówczas znajdował przeminął prędko, i od tej chwili poczyna się jego moralny upadek. Zawsze był jeszcze artystą niezrównanym w swoim rodzaju, ale już nie zdobył się na nic podobnego. Pod względem pojęcia poezji zdaje się nawet wracać nazad. Rozdrażniony przez krytyków, zmartwiony, że go nie umiano

cenić, rzucił publiczności cierpką przymówkę w rozmowie niby poety z pospólstwem, którą podajemy niżej. Puszkin tu znowu już uważa poezją tylko jako sztukę, dodając wszakże, że jest razem modlitwą.

„Poeta w natchnieniu śpiewał sobie, brząkając na lirze ręką niedbałą ale biegłą, a zimny i nadęty tłum niepoświęconych stał około niego, przysłuchując się bez pojęcia rzeczy.

„I poczęło głupie pospólstwo gwarzyć między sobą; — Poco on wyśpiewuje tak głośno i szarpie nam uszy daremnie? Do jakiego celu nas prowadzi, o czem prawi, czego naucza? Skoro się zamarzy czarodziejowi, wzrusza i męczy nasze serca. Pieśń jego jak wiatr swobodna, i jak wiatr próżna: co z niej za pożytek?

Poeta

„Milcz, głupi tłumie, wyrobniku dzienny, niewolniku potrzeb i kłopotów. Nie mogę znieść twoich paplań zuchwałych. Tyś robak ziemi, nie syn niebios. Tobie zawsze idzie o pożytek: posąg Belwederski cenilbyś na wagę. Że w tym marmurze bóstwo, to nic z tego; droższy u ciebie garnek — jadło w nim sobie uwarzysz.

Pospólstwo

„Nie, — jeżeliś ty ulubieniec niebios, jeżeliś zesłany od Boga, powinieneś daru tego na dobro nasze używać, powinieneś serca braci poprawiać. My jesteśmy nikczemni, przewrotni, bezwstydni, złośliwi, niewdzięczni, oziębli, oszczercy, niewolnicy, głupcy: w piersiach naszych kłębami wiją się wady; — Ty, w miłości bliźniego, śmiało nas upominaj, będziemy cię słuchali.

Poeta

„Pójdźcie precz — do czego poecie spokojnemu wdawać się z wami! Bezpiecznie kamieniejcie w gnuśności swojej; nie ożywić was dźwiękiem liry; duchowi jesteście nieprzystępni jak groby. Na wasze głupstwa i chętki do złego macie do dziś dnia bicze, więzienia, topory: tego wam dosyć, podli niewolnicy! Są przeznaczeni

po waszych miastach sprzątać śmiecie z hucznych ulic — i oto robota pożyteczna! Ależ czy kapłani, porzuciwszy ołtarz ofiarny, biorą się u was za miotłę? Nie do zabiegów powszedniego życia, nie do widoków zysku, i nie do walki jesteśmy stworzeni: naszą rzeczą natchnienie; słodkie dźwięki i modlitwy."

„. . . . Sotworien nie dlia bitw
No dlia sładkich zwukow i molitw."

To kres ostateczny myśli Puszkina: dosięgnął tylko modlitwy. Założył sobie stać jako ofiarnik, jako stróż przy nietykalnym ołtarzu natchnień poetyckich. Trzeba przyznać większą siłę bezimiennemu autorowi polskiemu, który sądzi się być powołanym do walki, nie zaś do słodkich dźwięków i modlitw. Jest to zresztą tylko inny sposób pojmowania modlitwy. Pierwej jeszcze Garczyński powiedział że „dusza nasza jest pacierzem." Wedle Garczyńskiego ruch ducha, wedle autora *Nieboskiej Komedji* urzeczywistnianie natchnień Bożych, jest modlitwą. Tym sposobem wprowadza się trochę Boga do każdej cząstki świata, uświęca się wszystko co nas otacza; i do takiej to modlitwy, do życia i do walki poezja naszych czasów przeznaczona.

Co poetów słowiańskich podniosło na ten szczebel pojęć, co im otworzyło do nich drogę, co nareszcie najlepiej może posłużyć do zrozumienia ich wyobrażeń o swojem powołaniu, to zawód poetycki Byrona. Byron rozpoczyna erę poezji nowej. On pierwszy pokazał ludziom, że poezja nie jest czczą rozrywką, że nie dość tu na życzeniach i słowach, że trzeba samemu tak żyć jak się pisze. Człowiek ten bogaty, wychowany w kraju arystokratycznym, rzucił parlament i ojczyznę żeby służyć sprawie greckiej. To mocne uczucie potrzeby spoetyzowania swego życia, zbliżenia ideału do rzeczywistości, stanowi całą wartość poetycką Byrona. Wszyscy też wielcy poeci słowiańscy dążyli do tego. Byron jest tajemniczem ogniwem łączącem wielką literaturę słowiańską z literaturą Zachodu. Można nawet powiedzieć, że u narodów zachodnich przerwała się genealogja poetycka, kiedy tymczasem typy stworzone przez Byrona mnożą się ciągle i przybierają postać coraz wznioślejszą pod piórem Słowian. Wielu z nich nie znało nawet dzieł poety angielskiego; zasłyszeli ledwo kilka dźwięków, kilka uryw-

ków jego wierszy, i tego było im dosyć. Miał on tak wielką siłę, że dawał ją czuć w kilku słowach, że tych kilka słów mogło potrącać, obudzać dusze, odkrywać im czem były.

Z Byronem poczyna się nowa epoka literatury, nowa epoka poezji. Ta literatura, ta poezja dotyka jedną stroną filozofji, drugą życia rzeczywistego. Wiadomo jak bystrem wzrokiem przenikał on zadania polityczne, jak zawsze dociekał głównej zagadki ludzkich dziejów. W nikim też bardziej jak w nim nie widać tych męczarni anormalnego bytu na przejściu między XVIII. a XIX. wiekiem, tych błąkań się bez celu, tych pragnień czegoś nadzwyczajnego, tych tęsknot za przyszłością nieznaną. Wszystko co dręczyło umysły, co odbywało się w duszach młodzieży naszego pokolenia, Byron oddał to bardzo wiernie w swoich pismach i w swojem życiu. Pod tym względem jest to poeta życia rzeczywistego. Podobne uczucia, podobne dążenia przebijają się i w poetach słowiańskich.

Jak w polityce tedy tak i w sztuce zawsze pojedynczy ludzie przodkują epokom, i jakkolwiek duma ogółu oburza się na to, trzeba się im poddać, trzeba iść ich śladem, podobnie jak żeglarze muszą pilnować się drogi pierwszych co zwiedzili nieznajome morze; mając wszakże wolność uzupełniać i powiększać ich odkrycia. Iść śladem takich przewodników, nie jest to trzymać się tylko ich form, powtarzać wzory, ale jest to brać natchnienie od ich ducha, przejmować się, napełniać się ich duchem, i mamy to przekonanie, że ci tylko zostali powołani do posunięcia się naprzód w pochodzie literackim naszego wieku, którzy pojęli co było istotnie potężnem, prawdziwem, rzetelnem i głębokiem w Byronie.

Byron ze swojej strony także odebrał popęd od Napoleona. Dla nas jest rzeczą oczywistą, że promień co rozniecił ogień w Byronie wyszedł z ducha Napoleońskiego. I jakżeby inaczej wytłumaczyć dziwne to zjawisko wśród zgrzybiałej, naśladowniczej literatury przeszłego wieku, która skończyła się na Thompsonie i jego szkole? Jak sobie wytłumaczyć skąd wziął się ten szczególniejszy poeta, nie mający ani wzorów, ani nawet naśladowców?; bo mimo wpływ i przykład tego genjuszu współcześni nie wydali nic podobnego, a skoro zszedł, literatura angielska znowu opadła do poziomu na jakim ją znalazł. Żeby przekonać się, że

potrącenie wywarte przez Francją, przez Napoleona, wyrwało go z toru robót szkolnych, dosyć jest porównać pierwsze jego wierszyki, owe *The Hours of Idleness*, z wielkiemi utworami, które kreślił w swoich wędrówkach po Hiszpanji i po Wschodzie. Czytając jego listy pisane z Hiszpanji, można widzieć, że Napoleon stał mu ciągle w oczach. On jeden z pomiędzy pisarzy angielskich zdołał cokolwiek zrozumieć Napoleona. Zmniejszył go wprawdzie do postaci korsarza, postrzegł tylko w nim tę siłę, jaką podbijał sobie ludzi; ale pojął z czego ta siła wynikała, wybornie opisał jego osobistość, odgadł, że panował nad podobnymi sobie, bo jego duch pracował ciągle, uczucia jego nie spoczywały nigdy. *I suoi pensieri in lui dormir non ponno* położył za dewizę poematu, w którym chciał go odmalować.

Widzimy tedy już zdaleka, jak kraje i literatury odległe od siebie zbliżają się pomału, i jak ogromny ruch może sprawić jeden genjusz na ziemi. Napoleon dał popęd Byronowi; wpływ Byrona, sam odgłos jego sławy obudził Puszkina; a w tymże czasie poeci polscy, poeci szkół któreśmy nazwali prowincjonalnemi, wchodząc jeden po drugim na tę samą drogę, zbliżając się coraz bardziej do życia rzeczywistego, zdają się także być winni swój początek Byronowi, bo na wszystkich jego potomkach literackich, mimo udzielność i oryginalność każdemu właściwą, widać znamię pokrewieństwa.

Nie utrzymujemy wszakże, że poezja i literatura mają zawsze mieć miejsce tylko w działaniu, że, jak powiada autor *Nieboskiej Komedji*, słowo jest zawsze zdradą, marnotrawstwem ducha, że cały ogień twórczy trzeba w czyn przelać. Prawidła tego nie należy brać za powszechne. Sztuka nie zaginie nigdy, sztuka jest jednym z węzłów łączących człowieka ze światem niewidomym. Bywają nawet epoki w których dusze najszlachetniejsze, ludzie najdzielniejsi oddają się sztuce bardziej niż czemu innemu. Bywa to zwykle po rozwiązaniu głównych, żywotnych zadań obchodzących ludzkość, a takie zadania pospolicie rozwiązują się wstępnym bojem. Kiedy świat wchodzi na drogę postępu spokojnego, sztuka zakwita i upięknia życie ludzkie; ale są też czasem chwile, kiedy trzeba gdzieindziej kierować wytężenia, kiedy powołaniem każdego jest zwracać całą swą czynność do kilku wielkich zadań sta-

nowiących o losie całej ludzkości. Inaczej nie byłoby tych epok w których świat może postępować równo i prosto. Są epoki artystyczne, kiedy siła twórcza wydaje się całkiem w obrazach, w mowie; są także epoki walki, kiedy ta siła ogarnia ludzi, wstrząsa masami. Taka epoka widocznie nadchodzi teraz dla Słowian. Żadnemu z ich poetów nie dano ukazać zupełnego kształtu przyszłości, ale kształt ten odgadują oni coraz dokładniej, domagania się swoich narodów wyrażają coraz lepiej, całemi siłami wydobywają przyszłość. Tym trybem idzie, do tego zmierza poezja czeska, polska i rosyjska.

Krytyka, która w epokach spokojnych zwykle przewodniczy sztukom, w epoce podobnej jak teraźniejsza niemal zawsze jest wyprzedzana od poezji, zdąża w ślad za nią. Właśnie tak dzieje się dzisiaj w Polsce i w Rosji. Krytyka wtedy po każdem nowo ogłoszonem dziele musi posuwać się dalej, zajmować stanowisko wyższe, roztrząsać kwestje wznioślejsze. Ze swojej strony poezja, literatura w ogólności, bardziej jeszcze zostaje wyścigniona przez siłę żywotną, instynkta i wymagania mas narodowych. Po każdym wypadku politycznym poeci i pisarze muszą podnosić się wyżej, żeby objąć widokręg rozleglejszy, aż nareszcie przychodzą ludzie, którzy wyprzedzają masy i biorą nad wszystkiem górę: krytyka, poezja, literatura, równie jak cała publiczność staje przed nimi w osłupieniu i ulega ich mocy.

Jednym z takich ludzi był Napoleon. Mówiliśmy już nieraz, że zajmuje on wielkie miejsce w historji słowiańskiej. Często nawet oskarżano literaturę polską o oddawanie mu czci bałwochwalczej. Byron był podbity przez niego. W liście Byrona pisanym podczas wojny Francji z Anglją, przed bitwą pod Waterloo, wydaje się ukryte życzenie Napoleonowi zwycięstwa nad Anglikami. Jest to jedna z tajemnic mogąca się liczyć pomiędzy owe *arcana imperiorum*, które kiedyś będą może dociekane. Najdumniejszy z Anglików uległ przejęty uwielbieniem. Gdyby Napoleon szedł ciągle za gwiazdą, która go prowadziła we Włoszech i w Egipcie, można mniemać, że tak samo zwyciężyłby naczelników wojsk i flot angielskich; musieliby koniecznie go uwielbiać, a to uczucie mimowolne zbiłoby z toru zimny rozum, rozbroiłoby pychę brytańską.

LEKCJA IV

Wtorek, 27 grudnia 1842

Jak pisarze czescy pojmują cel swych usiłowań. — Pogląd dyplomacji austrjackiej na ruch słowiański w Czechach. Leon de Thun. — Co to jest państwo Austrji. — Rada Czechom.

Z tego jak literaci pojmują cel swojej pracy zawsze prawie można mieć miarę ich siły, miarę siły żywotnej ich narodowości. Znamy już w tym względzie pojęcia poetów polskich i rosyjskich, pozostaje nam zastanowić się nad czeskimi.

Czechy zaprzątnione jedynie przeszłością, mało baczne na obecność, a do przyszłości wzdychające tylko, mają kilku poetów znamienitych. Najwięcej znany, najsławniejszy z pomiędzy nich jest Kollar, Słowak rodem, zamieszkały w Węgrzech.

Widzieliśmy, że życie literacko - słowiańskie w Czechach rozniecone zostało przez usiłowania magnatów i uczonych, że to płomię święte ciągle jest zasilane wyrobami szczególniej erudycji i filozofji, że zatem klasa cywilizowana obudziła tam swój naród: ruch począł się od szlachty; uczeni, profesorowie prowadzą go dalej. Kollar należy do przeszłości przez wdzięczność dla szlachty czeskiej, do obecności zaś przez swoje zatrudnienia literackie i profesorskie. Niezmiernie trudno, niepodobna nawet zrozumieć, uczuć, co jest prawdziwie poetyckiego, wzniosłego w poezjach Kollara, Anglicy przetłumaczyli wiele jego sonetów, roztrząsano jego dzieła pod względem literackim, sądzono je ostro albo chwalono, nie mogąc schwycić ducha Kollara. Jest to typ nowy w literaturze tegoczesnej. — Mówiliśmy, że uczeni czescy przedstawiają nam wzór uczonych jacy będą kiedyś, uczonych skromnych, ubogich, pracowitych, przypominających gorliwość Ojców Kościoła, zamiłowanych w narodowości jak tamci święci ludzie w religji, nie myślących o przedaży owocu swoich nauk. Żeby oni tylko chcieli pisać po niemiecku albo po francusku, mogliby pozyskać wielką sławę u obcych; wolą poprzestać na cichej zasłudze i pracować dla rodaków. Tacy są uczeni czescy. — Kollar stanowi typ pośredni między charakterem uczonego i poety. Nie ma on ojczyzny: Czesi go przyswoili sobie, ale urodził się Słowakiem, a żyje w Wę-

grzech, gdzie prześladowany od Madiarów mówiących innym językiem mało ma związku z tym krajem. Polacy nie czytają go; Rosjanie nawet nie wiedzą o nim. Przebiegłszy wszystkie krainy zachodnie i południowe słowiańskie, wspomnienia swoich wędrówek złożył w dziele pod tytułem *Slavy Dcera*, Córa Sławy, albo Córa Słowiańszczyzny, bo może to znaczyć i jedno i drugie. Dzieło to ma formę niezwykłą, składającą się z ciągu mnóstwa sonetów: jest ich przeszło siedemset. Opiewając wszystkich bohaterów słowiańskich, opowiadając co tylko poetyckiego znajduje się w wspomnieniach przywiązanych do różnych miejsc Czech i Polski, Kollar z sonetów swoich utworzył całość, która nawet pod względem scientyficznym ma wartość. Sonety te tchną jakąś wonią Petrarkowską, często przypominają poetę włoskiego; ale kochanka Kollara, idealizując się coraz bardziej, zamienia się w postać urojoną, w wyobrażenie umiłowanej narodowości. Kochanką jego, Laurą, o której śpiewa, którą opłakuje, do której wzdycha, jest Słowiańszczyzna. Nie trzeba wszakże widzieć w tem tylko zabawki poetyckiej; Kollar serjo oddaje się tej myśli: przedsiębierze podróże dla widzenia pomników; stara się zabierać znajomość z uczonymi Słowakami i Serbami dla obudzenia w nich uczuć ku wspólnej ojczyźnie; zagrzewa, podnosi odwagę w pobratymcach gnębionych przez Turków, Węgrów i Niemców. Dzieło jego jest dziełem patrjotycznem. W jednym z sonetów swoich powiada, że trzy żałobne dni w roku święci, poszcząc i płacząc w zaciszu: pierwszy, zaguby Serbów na Kosowem polu; drugi, ostatecznej klęski Czechów u Białej Góry; trzeci, kiedy Kościuszko padł ranny pod Maciejowicami.

Słowa te nie są figurą poetycką, Kollar istotnie ma łzy w oczach ilekroć mówi o niedoli Czechów, Polaków, Serbów; nosi on w sercu wszystkie te ludy, wszystkie kocha zarówno; z bezstronnością uczonego czeskiego wszędzie i zawsze obejmuje myślą całe plemię słowiańskie. Plemię to zdaje mu się być spokojnym potokiem, który zwolna ale silnie do celu swego płynie. Jeśli góry napotyka w biegu, zwraca się mimo ich na równiny, daje tam żyzność rajską i uchodzi z cichem pożegnaniem; kiedy przeciwnie, inne narody podobne do gwałtownego prądu, narobiwszy łoskotu i szumu, zostawują po swoich mętnych falach nędzę, bagna i gruzy.

Ubolewając tedy nad losem tego rodu, odzywa się z jękiem żałośnym:

„O Boże! nie masz już nikogo na ziemi, ktoby sprawiedliwość oddał Słowianom. Ty, sędzio nad sędziami, powiedz! czem mój naród tak zawinił?... Krzywda, wielka krzywda jemu się dzieje."

Wiersz ten, pełen mocy i prostoty, śliczny jest w języku czeskim:

„Boże! Boże! ktery dobrze minil
Weždy s narody si wszechnemi:
Ach, už nikdo neni na zemi
Kdoby Slawum sprawiedliwost czynil!

. . . . . .

O ty, saudce nade saudcemi,
Prosim: coże tak muj narod zwinil?
Krziwda se mu, welka krziwda deje."

Ostatnie to wyrażenie poszło w przysłowie za Karpatami. Dalej poeta zapytuje Boga, kto winniejszy, kto więcej grzeszy, czy ten co cierpi, czy ten co cierpienia zadaje? To jest, czy naród uciemiężony, czy rząd ciemiężący; bo przecież musi być winowajca, musi być ktoś, co sprowadza przekleństwo na tę ziemię, gdzie boleść tak powszechna i tak wielka.

Kollar zdołał poezją swoją całkiem idealną uczynić niemal dramatyczną. Cudzoziemcowi niełatwo pojąć, jak można opiewać narodowość pod postacią osoby; jest to wszakże forma pospolita u Polaków i Czechów. Poeci polscy często narodowość swoją wyobrażają w postaci męża, u poetów czeskich ukazuje się ona jako niewiasta. Będziemy jeszcze mówili później o tym sposobie wystawiania narodowości, dziwnym napozór, ale ukrywającym wielką prawdę. Kollar, jakeśmy powiedzieli, potrafił mnóstwo swoich utworów poetyckich związać w jeden dramat, w którym opłakuje przeszłość, skreśla obecność, i wzdycha do przyszłości Słowiańszczyzny. Czasem opuszcza go męstwo, narzeka, że jest głosem wołającym na pustyni, że współrodacy nie rozumieją ani je-

go posłannictwa, ani usiłowań, że klasa cywilizowana woli czytać książki cudzoziemskie, a lud śpiewać piosnki miłośne, gadać bajki gminne, niżeli nadstawiać ucha na jego sonety. Niekiedy obudza się w nim głębokie uczucie siły, zna co może sprawić duch zajęty ciągle tą samą myślą i widzący wszystkie jej następstwa. W jednym z najpiękniejszych swoich sonetów, mówiąc o przemocy jaka przygniata plemię słowiańskie, i o cichym oporze, który gotuje lepszą przyszłość jego narodowi, niezatrwożony potęgą obecną Austrji, powiada, że nieraz pasterz z pod swej strzechy może silniej i skuteczniej poruszyć ludy,niżeli wódz, który w wojennym obozie układa plany. W innem miejscu wyliczając ile jest trudów do pokonania, mówi: „często sama wielkość przedsięwzięcia dodaje sił nowych“ — i przypomina zaraz rodakom jedyny warunek dobrego skutku: miejmy tylko wiarę — „jenom viru mejme!“

Zbiór sonetów Kollara dzieli się na pięć części czyli śpiewów oznaczonych nazwiskami rzek. Trzy pierwsze części są niby trzema krainami jego dziedziny poetyckiej nad Salą, Elbą i Dunajem, czwartą i piątą część przenosi już w sferę fantastyczną nad Letę i Acheron, robi z nich raj i piekło. W raju osadza wszystkich co, zdaniem jego, w jakikolwiek sposób zasłużyli się dobrze Słowiańszczyźnie. Widzimy tutaj monarchów, bohaterów, uczonych, pisarzy z każdego narodu słowiańskiego. Cara Pawła i króla Kazimierza, carową Katarzynę i królową Jadwigę, Suwarowa i Kościuszkę, poetów polskich i rosyjskich, filologów czeskich i ślepych śpiewaków serbskich. Zapewne musieli oni wypić wiele wody letejskiej, jak poeta powiada, żeby mogli zapomnieć wzajemnych uraz i używać wiecznej błogości pod skrzydłami bóstwa Sławy. Jest to najsłabsza część jego poezji; wdaje się w drobiazgi, ściąga zewsząd błahe szczegóły i tworzy z nich jakąś niby powszechną jedność słowiańską, ulubiony swój ideał ogólnego państwa Słowian. Przeciwnie, zapędza do piekła naprzód najbardziej nienawidzianych Niemców i Madiarów, potem wszystkich, których osądził za nieprzyjaciół albo odstępców plemienia słowiańskiego. Szczególniej nie przebacza szkód wyrządzonych w pomnikach i zabytkach piśmiennych. Potępia Francuzów, którzy stali się przyczyną pożaru w Moskwie, rzuca klątwę na rewolucjonistów co spalili w Reims słowiański rękopis ewangelji (chociaż, mówiąc nawiasem, rękopis ten nie spa-

lony). Starożytności budownictwa i języka, kościoły, gmachy, książki, pargaminy dawne, najżywiej niepokoją rozmiłowane w nich jego serce: chciałby zachować przeszłość słowiańską i dać jej siłę materjalną dla bronienia się od napadu czasów przyszłych, bo przeczuwa, że wszystko co ją otacza, co nadchodzi, ma dążność temu przeciwną. To złowieszcze przeczucie wtrąca go w zwątpienie i rozpacz; pokrzepiając się, szukając pociechy pielęgnuje tę myśl, że siła materjalna mogłaby powstrzymać Europę, postawić na nogi nieszczęśliwe plemię. Woła tedy do Słowian:

„Nazywają was narodem gołębim“ (Turcy dają to nazwisko Słowianom); — „czemuż nie jesteście takimi, czemu nie kochacie się jak gołębie... Słowianie, narodzie pokruszony! zjednoczcie wasze siły... Słowianie, narodzie wielogłowy! gorszy od śmierci wasz żywot gnuśny, próżny, posępny.“

W innym sonecie powiada:

„Oby nasze różne słowiańskie gałęzie były jak złoto, srebro, żelazo; ulałbym z nich jeden posąg. Z Rosji zrobiłbym głowę: piersią byłaby Polska; Czechy służyłyby za ramiona, Serby za nogi, resztę drobnych gałązek stopiłbym razem na ukucie zbroi. Przed takim posągiem mogłaby klęknąć Europa.“

Owóż cała, cała nadzieja Kollara polega na potędze materjalnej: wzdycha tylko do niej. I to jest jedną z przyczyn jego niepopularności; narodowe bowiem wyobrażenia ludów słowiańskich wyprzedzają poezją, są daleko dzielniejsze, mędrsze, głębsze. Czesi nigdy nie chcieli poprzestać na tych widokach materjalnych; ogół narodu czeskiego nigdy nie rachował na Rosją: nie usiłował wprawdzie dźwignąć się o swojej mocy, wolał czekać, ale nigdy nie ogłosił Rosji za port zbawienia dla Słowian. Stąd to pochodzi obojętność ku sonetom Kollara: nikt nie chce ich śpiewać, bo nie są wiernym obrazem życzeń i oczekiwań ludu słowiańskiego. Co większa, literaci i dyplomaci nawet lepiej niż Kollar poznali potrzeby i dążność narodową Czechów, mamy świeży tego dowód.

Niedawno jeden magnat, hrabia Leo de Thun, z położenia

swego należący do arystokracji austrjackiej, z urodzenia zaś do Czech, napisał dzieło *O Słowianizmie Czechów.* Jest to pierwsze dzieło polityczne wydane w Austrji z przyzwoleniem rządu, a nawet uważane za pewien rodzaj manifestu rządowego. Uczeni słowiańscy roztrząsają i rozmaicie sobie tłumaczą wyrażenia autora częstokroć wątpliwe, chcąc dociec co rząd austrjacki istotnie myśli.

Hrabia Leo de Thun poświadcza naprzód to niezaprzeczone, chociaż dziwne dla niego zjawisko, że się narodowość czeska obudziła. „Wychodzą — powiada — coraz nowe dzieła, wpływ ich na opinją publiczną nie jest bez skutków, lud poczyna zajmować się niemi; a jednak klasa cywilizowana Czech, klasa szlachty i panów, mówiąca po francusku i po niemiecku, zdaje się nie wiedzieć co się dzieje koło niej, pod nią.“ Hrabia de Thun zamierza więc sobie zdać arystokracji sprawę z usiłowań literatów: to jest niby cel tego dzieła; rozbierając wszakże kwestją słowiańską pod wszelakim względem, zapowiada razem Słowianom, czego od Austrji spodziewać się powinni.

Żeby to dzieło zrozumieć, trzeba przypomnieć sobie skład cesarstwa austrjackiego. Cesarstwo to podług statystyki urzędowej liczy 34 miljony kilkakroć sto tysięcy dusz, ale samo rzeczywiście nie ma więcej nad 6 miljonów głów. Sześć miljonów Niemców trzyma przeszło dwadzieścia ośm miljonów innego rodu; a z tych sześciu miljonów, odtrąciwszy jeszcze przynajmniej dwie trzecie części osadników, przybyszów, kupców, nie mających żadnego udziału w rządzie, wypadnie nakoniec, że ledwo dwa miljony Austrjaków rządzą całą tą ogromną masą. Te dwa miljony albo raczej ich interesa, ich opinje, są reprezentowane przez secinę niemieckich, węgierskich, czeskich i innych słowiańskich rodzin, mówiących prawie ogólnie po francusku, między któremi są takie, co nie umieją po niemiecku, co częstokroć wszystkie dobra i kapitały mają za granicą. Rodziny te używając do posługi swojej dwóch miljonów administratorów, biurokratów austrjackich, władają przeszło trzydziestu dwoma miljonami ludzi. Jest to stowarzyszenie nakształt kompanji indyjsko angielskiej, posiadającej także wielki kawał lądu. Zwykle fałszywie bywa wyobrażane to cesarstwo Austrji, które nigdy nie było ani niemieckiem, ani włoskiem, ani słowiań-

skiem, a stało się prawdziwą spółką do ciągnienia korzyści z rozległych i ludnych krajów.

Jakimże sposobem przyszło do tego? Dzisiaj, według wyobrażeń francuskich, wagę polityczną każdego narodu stanowi jedność rządu, jedność plemienia, i liczba ludności; ale dawniej, przez cały ciąg wieków średnich, nie miano tych pojęć materjalnych. Wszystkie monarchje chrześcijańskie, a nawet można powiedzieć i państwa pogańskie, były stowarzyszeniami związywanemi koło jednej jakiej idei. Rzym był stowarzyszeniem: Rzymianie składali niewielką garstkę, ledwo może setną część ludności włoskiej, a jednak rządzili Włochami i za pośrednictwem Włoch światem. Podobnież działo się z Francją w wiekach średnich. Francuzi byli to ludzie, którzy przyjmowali ideę francuską wyobrażaną przez Kościół i przez króla. Burgundy, Normandy, Alzatczycy należeli do Francji, walczyli pod tą samą chorągwią, za tę samą ideę. Dopiero kiedy idea osłabła, nie umiano sobie inaczej wytłumaczyć jestestwa narodowego, jak tylko upatrując w niem stado jednoplemiennych indywiduów.

To co teraz nazywa się cesarstwem austrjackiem, będąc dawniej cesarstwem niemieckiem, składało się z wielu miast, krajów, księstw rządzących się rozmaitemi prawami, nie mających między sobą nic wspólnego, prócz jednego zwierzchnika, którym był cesarz rzymski, to jest osoba wyobrażająca ideę cesarstwa apostolsko-rzymskiego. Ale skoro ta idea została opuszczona przez samychże cesarzów, skoro poczęli oni myśleć tylko o szerzeniu swoich granic, i polegać jedynie na sile materjalnej, wtedy rząd stał się administracją, cesarz naczelnikiem spółki ciągnącej korzyść z kraju.

Hrabia de Thun słusznie powiada, że cesarz, zrzekając się tytułu cesarza rzymskiego, przestał być Niemcem, że odtąd nie ma żadnej narodowości. Już za czasów Józefa II. dawały się przewidywać następstwa szybko rozwijającego się w Europie systemu dążności materjalnych. Józef II. straciwszy zaufanie w powadze jaką mu nadawał charakter cesarski, szukał dla siebie podpory w sile materjalnej. Wahał się on z razu między rodem niemieckim i słowiańskim. Powiadają, że w gabinecie jego długo zastanawiano się nad tem, czy miał ogłosić się Niemcem czy Słowianinem. Uznano nakoniec za najlepsze utrzymać wszystko *in statu quo*, to

jest rządzić państwem używając w administracji języka niemieckiego, a prowincjom i miastom zostawić dawne ich porządki i prawa, czyli zamknąć się w legalności, starając się wszakże powoli rozszerzać duch niemiecki pod tą zasłoną. Legalność stanowi teraz całą moc cesarstwa austrjackiego. Hrabia de Thun w tej legalności upatruje rękojmię dla Słowian. Stara się on najbardziej zabezpieczyć rodaków swoich od ponęt nastręczanych przez Rosją; broni literatów czeskich od podejrzeń o moskwityzm, i powiada ironicznie: „Wytknięto już cel, do którego mają zmierzać nasze usiłowania: chcemy jakoby nic więcej tylko zrobić monarchją powszechną, co wstrzęsłoby Europę i zagroziłoby bytowi państw sąsiednich. Ale niepodobna myśleć o połączeniu Słowian pod jednem berłem. Skoro narodowość jednego z ludów słowiańskich jest napastowana przez drugi lud tegoż szczepu, wszelkie uczucie braterstwa ustaje między niemi i uważają się za zupełnie sobie obce. Połączenie całej Słowiańszczyzny pod berłem Rosji zgubiłoby 25 miljonów Słowian nie należących jeszcze do tego cesarstwa. Rząd rosyjski, wplątany w sprawy Europy, znaglony powiększać swoje siły materjalne, zamiast coby miał oddać się moralnemu kształceniu poddanych, musiał, aby działać nazewnątrz, przyjąć cudzoziemski sposób rządzenia. (Autor powinien był powiedzieć raczej: ducha cudzoziemskich rządów). Dokazał tego, niszcząc pełen nadziei zaród narodowości krajowej, i tworząc sobie mnóstwo trudnych zadań, których ważność da się kiedyś uczuć w miarę wzrostu moralnych potrzeb narodu. (Zachowujemy nawet co jest wątpliwego w tych wyrażeniach, pokazujących trwogę Austrji). Ludy słowiańskie miałyżby poświęcić ludowi rosyjskiemu swoją narodowość odwieczną? Chciałyżby tak szczupłosercową zasadę (das engherzige Prinzip) postawić na tronie monarchji rozciągającej się od Gdańska, Raguzy i Kamczatki do gór czeskich?“

Zdaniem hrabi de Thun, Czechy, jakby okopami obwarowane pośród Europy, powinny naprzód przyswoić sobie co filozofja europejska ma głębokiego i wielkiego, oświecać potem przyległe ludy słowiańskie, pełnić pośrednictwo między Słowiańszczyzną a Zachodem. To jest wszystko co przeznacza Czechom; o innych ludach słowiańskich zgoła nic nie mówi. Mniema on, że rozwijanie się

Słowiaństwa zgadza się z interesem Austrji, może jej dodać sił nowych.

Będziemy mieli jeszcze zręczność roztrząsnąć niektóre myśli tego autora, teraz zaś zbierzmy w jedno wszystko cośmy powiedzieli o poezji, polityce, czyli jeśli można tak rzec, dyplomacji narodowej czeskiej. Oto ani ta poezja, ani ta polityka, albo dyplomacja, nie wyrażają, nie mogą nawet wyrażać prawdziwych dążności słowiańskich. Znamy jak z wielu trudnościami pisarze czescy mają od walczenia. Po tak długim ucisku, cieszy już ich to bardzo, że mogą napisać kilka wierszy w rodowitej mowie; przywiązują oni do mowy zbyt wielką wagę. Narodowość ich, na którą poglądali jak na umarłą, która ledwo kilka słów przemawiała, zdaje się teraz ciągle wołać na nich: mówcie, mówcie więcej! Zapewne, głos jest znakiem życia, ale byłoby to bardzo mylnie mniemać, że aby ożywić konającego, dosyć kazać mu bez ustanku gadać. Możeby owszem należało na jakiś czas zalecić jemu milczenie. Czesi piszą niezmiernie wiele, wydają dzieła ogromne, których ogrom jest nieledwie zbytkownością literacką; wszystko to jednak mało pomaga ich głównej sprawie. Sprawą ich główną jest dojść do tego, żeby mogli żyć samodzielnie, stać się narodem niepodległym, utrwalić swój byt na ziemi, wcielić myśl Czech, która, cokolwiek bądź mówią o tem, unosi się jeszcze w krainie marzeń politycznych. Interes niepodległego bytu powinienby u Czechów wziąć górę nad wszystkiemi interesami podrzędnemi; z przeszłości zaś nie wygrzebią siły potrzebnej do podźwignienia swojej narodowości. Słusznie opierają się na rodzie słowiańskim; ale należałoby im zwrócić baczność na zjawiska, których dotąd nie zdołali postrzec, ponieważ wszędy tylko mają wzrok wlepiony w siły materjalne. Otucha ich w legalności austrjackiej jest próżna. Austrja wprawdzie, jak to hrabia de Thun przywodzi, nie zmusza Włochów uczyć się po niemiecku, czego zresztą niepodobna byłoby dokazać, ale też i nie lęka się ich, chociaż prowincje włoskie trzymane przez nią posiadają wielkie środki materjalne, chociaż nawet ludność ich ma energją niepospolitą. Rząd austrjacki zna to dobrze, że ta iskra życia moralnego, co znagla narody dążyć ku swej przyszłości, wygasła we Włoszech, że Włochy chyba tylko przez Francją mogą być poruszone; i dlatego póki Francja będzie stać spokojnie, póty Au-

strja zostawi Włochom ich akademje, ich teatra, ich książki, ich prawa nawet. Podobnież i w Czechach, nie boi się ona ni muzeów, ni księgozbiorów, ni poematów narodowych; ale niechby Czesi wydali choć jeden wierszyk tchnący tem, co odzywa się w literaturze i poezji polskiej, natychmiast przygniotłaby ich całym swoim ciężarem; a wtedy pokazałoby się, czy słowianizm tameczny, nie mając nic więcej przeciw niej postawić, znalazłby ratunek w swoich muzeach i księgarniach. Austrja daje pokój Czechom, bo dotąd nie są niebezpieczni, bo widać w nich gorliwość, miłość ku narodowości, cierpliwość, — nie widać jeszcze znaku życia narodowego. Austrja tak samo zachowuje nietykalnie i narodowość węgierską, zależącą na utrzymywaniu dawnego stanu rzeczy. Królestwo Węgier mogłoby wywrócić cesarstwo austrjackie, ma dosyć na to siły, nie uczyni jednak nigdy tego, bo odniósłszy zwycięstwo, cóżby zrobiło potem, co postawiłoby na miejscu zwalonego cesarstwa? Brak myśli żywotnej, brak organicznego związku pojęć nie dozwoli Węgrom nic zdziałać. Tymczasem taż Austrja nie chciała zostawić żadnej instytucji w małej prowincji oderwanej od Polski; ciągle prześladuje tam wszystko co jest polskie. Polacy pod berłem austrjackiem mniej piszą niż Czesi, mniej mówią niż Węgrzy, nie mają ani jednego pułku pod bronią, musi jednak być w nich coś takiego, co rząd uważa za niebezpieczne dla siebie. Również i rząd pruski, który prowincjom swoim reńskim dozwolił zachować ich ustanowienia, prawa i nawet kodeks Napoleona, w kraju zabranym Polsce nie zachował ani ustaw dawniejszych, ani tego kodeksu. Pochodzi to wszystko stąd, że w cząstkach Polski przyłączonych do Austrji i do Prus tli życie wiecznie nieprzyjazne bytowi tych mocarstw.

Czem jest cesarstwo austrjackie, czem jest ten szczególniejszy związek dwóch miljonów Austrjaków, rządzący przeszło trzydziestu miljonami różnych, a najwięcej słowiańskich ludów, tego prawie nikt nie pojmuje, nikt nie chce zgłębić. Rewolucja francuska w walce z Austrją na zabój, nie pomyśliła nigdy wywołać Słowian: trzymając się polityki dawniejszego rządu Francji, wysiliła się na poruszenie Irlandji przeciw Anglji, a nie widziała gdzie leży najniebezpieczniejszy punkt Austrji. Napoleon, u szczytu swojej potęgi, skoro przez zawarcie traktatu w Schoenbrun dał zakład Au-

strji utrzymania dawnego porządku rzeczy, już nie mógł zrozumieć tajemnicy ludów słowiańskich, już nie miał co im powiedzieć. Polacy byli pierwsi co starali się w tej mierze objaśniać gabinety francuskie. Musi być w paryskiem archiwum spraw zagranicznych plan zrobiony przez jenerała Dąbrowskiego, który obliczył dokładnie całą ludność Słowian, i podał razem sposób jak ją poruszyć, odkrył jedną z tych tajemnic, co należy kłaść pomiędzy *arcana imperiorum;* ale pokój zawarty przeszkodził rządowi francuskiemu korzystać z tych wiadomości. W całym wszakże ciągu wojen Francji z Austrją, legjony polskie, tworzące się ze Słowian uciekających z pułków austrjackich, dowiodły oczywiście, że cesarstwo ma w swojem łonie żywioły obce i nieprzyjazne.

Czesi powinniby zastanawiać się nad tem wszystkiem, powinniby zważyć, że w niebie stworzonem przez Kollara, pełnem literatów i poetów słowiańskich, nie masz istotnych bohaterów prócz polskich i rosyjskich, że wojny Polaków i Rosjan dostarczyły do tej Walhalli sławnych w całej Europie wodzów. Powinniby więc zadać sobie pytanie: czemu to, za czasu wojen rzeczypospolitej i cesarstwa, Polacy odgadli słabość państwa austrjackiego? Powinniby także zapytać siebie, dlaczego podczas ostatniej wojny Polski z Rosją zachowali neutralność nawet poetycką i moralną? Jeżeli oni doprawdy tak lękają się przewagi rosyjskiej, jak powiada dyplomata Leo de Thun, to uznają sami przez to, że nic bardziej nie może być dla nich zajmującego nad zgłębianie dążności polskiej.

LEKCJA V

Wtorek, 10 stycznia 1843

Teraźniejszość słowiańska rozstaje się ze swoją przeszłością bez wstrętu i wzgardy. Przedśpiew Kollara, epilog Goszczyńskiego. — Pochód poetów słowiańskich na hasło dane im przez Byrona. Goszczyński, Zaleski, Malczewski, Puszkin. — Nowe drgnięcie w poezji rosyjskiej: wiersz Chomiakowa do Napoleona. — *Przeznaczenie genjusza,* wiersz Goszczyńskiego. — Teraz daje się pojąć o co chodziło w sporze między klasyka-

mi i romantykami. — Poezja słowiańska jest w zawieszeniu i oczekiwaniu. Epoki sztuki i epoki czynu.

Teraźniejszość słowiańska rozstaje się ze swoją przeszłością, nie potępiając jej ani czerniąc. Ten uśmiech wzgardliwy szkolarzy i mędrków nowoczesnych, z jakim inne literatury odwracają się od wieków poprzednich, nie daje się postrzegać na obliczu literatury słowiańskiej, przynajmniej w dziełach znakomitych jej pisarzy; owszem, czule i z miłością poglądają oni na upłynione dzieje swojego rodu, z serdecznym żalem opłakują nietylko nieszczęścia ale i winy przodków.

Przytoczymy tutaj *przedśpiew* czyli wstęp Kollara do jego sonetów. Jest to najpiękniejszy z jego wierszy, i jak się zdaje napisany na ostatku. Patrzmy jak on mówi o swojej ziemi rodzinnej i o wspomnieniach spoczywających na niej.

„Ach oto tu leży przed łzawem mem okiem ta ziemia, niegdyś kolebka, teraz trumna mojego rodu. Stój, nogo! gdziekolwiekbyś stąpiła, wszędzie to poświęcone miejsca. Wznieś, synu Tatrów, wzrok twój pod obłoki, albo raczej oprzyj się o ten dąb odwieczny, co aż dotąd nie poddał się zgubnemu czasowi. Ale gorszy niżeli ten czas jest ten człowiek, który w tych krajach żelaznem berłem przytłoczył karki Słowian. Sroższy od wojen, od ognia, od piorunów zaślepieniec, który swoje plemię spotwarza. O wieki dawne, jak noc wkoło mnie leżące; o kraino wszelkiej sławy i hańby obrazie! Od Laby zdradzieckiej aż ku równinom Wisły niewiernej, od Dunaju aż do rozchełtanych pian całego Baltyku brzmiała niegdyś wdzięczna mowa mężnych Słowian, nim oniemiała, stawszy się narzędziem kłótni. Któż to popełnił te grabieże wołające o pomstę do nieba? Kto w jednym rodzie znieważył całą ludzkość? Zarumień się, Teutonjo, zawistna sąsiadko Sławy. Twoje to ręce narobiły tych wszystkich zbrodni. Żaden nieprzyjaciel nie wylał nigdzie tyle krwi i czernidła, ile Niemiec na zgubę Słowian. Ten co sam godzien jest wolności, umie szanować wolność innych; ten, co drugim narzuca pęta niewoli, sam niewolnik. Czy on ręce, czy język krępuje w niewolnicze swe okowy, wszystko to jedno; równie bowiem depce prawa cudze. Kto trony burzył, kto ludzką krew napróżno rozlewał, kto nieszczęsną pochodnię wojny po świecie roznosił, ten

czy to Got, czy Scyta, na niewolą zasłużył, nie zaś ów co przykładem swoim dzikim hordom pokój zalecał. Gdzieżeście się podziały, lube narody Słowian mieszkających tu niegdyś; narody, co tam z Pomorza, tu z Sali piły wodę? Gdzie ciche konary Serbów, gdzie potomki Obotrytów, gdzie szczepy Weletów, gdzie wnuki Ukranów? Daleko pozieram na prawo, bystro rzucam wzrok na lewo, i darmo oko moje szuka w Słowiańszczyźnie Słowian. Powiedz, dębie, cienisty przybytku, pod którym płonęły ofiary starodawnym ich bogom, gdzie są te narody, gdzie ich książęta, ich miasta? One przecięż pierwsze ożywiły te strony północne. Jedne nauczyły ubogą Europę jak robić żagle i wiosła, jak przez morza pływać do bogatych brzegów. Drugie z głębin kopalni wydobywały błyszczące kruszce, bardziej ku czci bogom niżeli dla zysku ludziom. Te, pokazywały rolnikowi sposób uprawienia ziemi, żeby wydawała plon złoty. Tamte, wysadzały drogi lipami, żeby to drzewo słowiańskie orzeźwiało przechodnia chłodem i zapachem. Mężowie uczyli synów budować miasta, w nich prowadzić handel; kobiety z córkami swemi tkały płótna. Narodzie mistrzowski, i jakież za to masz teraz dzięki? Oto wieniec uwity z potwarzy i wzgardy. Jak kiedy szerszne, poczuwszy woń miodu, wpadają do cudzego ula, i matkę i pszczoły gryzą na śmierć, tak tutaj sąsiad, wkradłszy się chytrze, zarzucił panu łańcuch na szyję i uczynił go niewolnikiem w jego własnym domu. Umilkła pieśń słowiańska po zielonych gajach... Język, obyczaj, strój narodowy, wszystko to cudzoziemiec zmienił, sama tylko ziemia pozostała niezmienioną. Lasy, rzeki, góry, uroczyska, nie chciały pozbyć się swoich imion słowiańskich. Ale to jest ciało, ducha w niem nie masz. O któż przyjdzie w tych grobach zbudzić drzemiące życie? Kto prawemu dziedzicowi jego własność przywróci?... Zimne ten miałby serce, coby tu nie płakał jak nad zwłokami kochanki. Utulmy jednak żal, i zamglony wzrok rzućmy w lepszą przyszłość. Najgorzej w niedoli narzekać na niedolę; lepiej czynem ukajać gniew nieba. Nie ze smutnego oka ale z dzielnej dłoni rozkwita nadzieja. Złe na dobre wyjść może. Ludzie mogą zbłądzić z drogi, ludzkość prostym torem idzie do celu. Czas wszystko odmienia, nawet czasy, a prawdzie daje zwycięstwo. Co sto błędnych wieków budowało, to jedna chwila obali."

Kollar tedy uchodzi na Karpaty, i tam pod dębem starożytnym tkliwie rozpamiętywając przeszłość słowiańską, kończy swoje poezje. Wieszczba, że co sto błędnych wieków budowało, to jedna chwila obali, jest ostatniem jego słowem.

Poeci polscy najpóźniejszych czasów, twórcy szkół prowincjonalnych, żegnają się także z przeszłością, tylko w inny sposób niż Kollar. Goszczyński w swoim *Zamku Kaniowskim* ostatnią walkę Kozaków z Polakami zamyka następnym epilogiem:

Gdy duch mój zwiedzał dnieprowe pobrzeże,
I na Kaniowa odpoczął ruderze,
Jeszcze tam wkoło wyszukał on ślady
Dnia okropnego ostatniej zagłady:
Jeszcze, po ścianach, krew się czerwieniła,
Gdzie żona, gnana morderców pogonią,
Mytą w krwi męża chwytała się dłonią; [1]
Żadna wywabić nie mogła jej siła,
Na miejscu startej inna wystąpiła;
Ale nieszczęsne zabójczyni ciało,
W popiół przetlałe, z wiatrem się rozwiało.
W porosłej miękką murawą uboczy
Trafił na kołtun Kseninych warkoczy,
Ale w nim drobny gnieździł się już ptaszek.
Obok leżała z Nebaby ratyszcza
Stal, od płomienia w ciemny żużel zlana.
A, błądząc długo śród skośniałych czaszek,
Odgrzebał torban, między gruzem zgliszcza,
I jedną strunę z całego torbana.
Ani lat, ani pogody koleje
Nie mogły przyćmić złotego jej blasku;
A wiatr, kochanek, z pobliskiego lasku,
Co noc z nią dawne odśpiewywał dzieje.

Widzimy tu poetę niemal obojętnie już traktującego przeszłość. Istotnie, zdaje się, że w duchu patrzy na tę walkę, którą opowiada bez politowania, bez smutku. Dumę pana polskiego, zajadłość kozaczą, okropne gwałty i rzezie opisuje spokojnie, jak

[1] Można powiedzieć, że historja niewiasty w poemacie Goszczyńskiego, co zabiła swego męża i sama zginęła, jest historją Ukrainy.

gdyby to zgoła go nie obchodziło, jak gdyby był bezstronnym świadkiem; naostatek wszystko niszczy wielkim pożarem. Mówiliśmy, że Zaleski zamknął widowisko poezji słowiańskiej świetnym i różnobarwnym fajerwerkiem; można powiedzieć, że Goszczyński podłożył ogień pod starożytną jej budowę. Spalili oni dawne podania, pożegnali rodzinną krainę, puścili się w nieoznaczoną, niepewną przyszłość, unosząc tylko po jednej nici, po jednej strunie wiążącej ich z narodową poezją polską; pierwszy zaczepił się o jej ogniwo religijne, drugi zawisł na politycznem.

Żeby mieć zmysłowe wyobrażenie pochodu poetów i literatów całej Słowiańszczyzny, trzeba sobie wystawić mnóstwo wędrowców z rozmaitych stron widokręgu zdążających mimo własnej wiedzy do jednego punktu. Wszyscy oni bez wyjątku porzucili przeszłość bądź z rozpaczą, bądź z żalem, bądź obojętnie; wszyscy pną się na górę, a chociaż niektórzy są wyżej, można przewidywać, że się zejdą u wierzchołka. Chwilę tego rozstania się z przeszłością jużeśmy oznaczyli: hasło dał Byron. Najbliższy jego, poeta polski Malczewski, wydaje też jeszcze jęk rozpaczy, rzuca się przeciw całemu społeczeństwu, nie widzi nic godnego usiłowań na ziemi „gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się nie uda."

Po Malczewskim tuż idący Puszkin ciągle w rozmaity sposób wraca do tejże myśli, narzeka, że wszystko o czem marzył zamłodu, do czego wzdychał, o co się ubiegał, miłość, wolność, sława — wszystko go zawiodło, że nareszcie nie widzi już czegoby mógł życzyć, że nie ma celu przed sobą: „cieli niet pieriedo mnoju." Odtąd, jak sam powiada, pisze tylko dlatego, żeby rozerwać się w nudach, żeby kilka kwiatów sobie na grób rzucić. Poeci polscy, skończywszy opiewać przeszłość, znaleźli na drodze religijnej i politycznej nową sferę działania rozwidniającą się szybko w poezjach Garczyńskiego, Zaleskiego, Goszczyńskiego; Puszkinowi zabrakło siły pójść dalej, nie było dla niego przyszłości, chociaż czasem ją przeczuwał. To zdanie nasze o nim znajdujemy potwierdzone przez krytykę rosyjską. W dziele, któreśmy niedawno otrzymali, znakomity krytyk Polewoj mówi także o jego poezji jako już zapadłej w przeszłość, i dodaje, że duch świata ją pożarł. Słuszniej byłoby powiedzieć, że została pożarta przez ducha rządu, którego zwalczyć nie miała mocy.

Przytoczymy jeszcze kilka zwrotek nowego poety rosyjskiego Chomiakowa, ogłoszonych w przekładzie francuskim przez jedno z pism perjodycznych *(La Revue des Deux Mondes)*. Jest to wiersz do Napoleona. Puszkin także napisał wiersz o Napoleonie; zobaczymy różnicę jaka zachodzi w sposobie czucia tych dwóch poetów. Poezja Puszkina kończy się słowami: „Niech piętno hańby będzie położone na czole tego, ktoby śmiał urągać się cieniowi jego odartemu z carskiego wieńca. Chwała jemu: on pokazał Rosji wielkie jej przeznaczenie, on z ciemnicy swego wygnania zwiastował światu wolność wieczystą."

„I miru wiecznuju swobodu
Iz mraka ssyłki zawieszczał."

Widać tu jeszcze przedewszystkiem uczucie narodowości rosyjskiej, przypomina się dźwięk poezji Dierżawina; można przytem dostrzec myśl trafiającą już na przyszłość w tych wyrazach, że Napoleon zwiastował światu wolność: ale Chomiakow pojmuje rzecz daleko wznioślej, daleko powszechniej.

„Napoleonie, — mówi on — nie moc ludu cię wywyższyła, nie cudzoziemska wola włożyła ci koronę. Panowałeś, walczyłeś, zwyciężałeś, namaszczyłeś twe czoło własną potęgą."

„Nie siła ludzka cię obaliła, nie miałeś współzawodnika równego tobie. Ten co zakreślił granice oceanowi, Ten miecz twój zdruzgotał w boju."

„Znikła za obłokami gwiazda na ściemniałem niebie; wielkość ludzka w proch upadła. Powiedz, czy nowe zorze nie poczyna już świtać, czy nowy plon nie odrodzi się z popiołów? Przemów! świat w trwodze i upragnieniu oczekuje potężnej myśli, potężnego słowa."

Wypada nam przypomnieć, żeśmy przeszłego roku powiedzieli to samo i niemal w tych samych wyrazach, mówiąc o Napoleonie i jego wpływie na ludy słowiańskie. Pomyliliśmy się tylko, zapowiadając koniec poezji rosyjskiej: poezja ta drgnęła teraz nowem zyciem. To uroczyste odezwanie się do cienia Napoleona, to bła-

ganie, żeby odkrył Europie przyszłość, pokazuje że Rosjanie myślący pozbywający się już przesądów grubej miłości własnej narodowej, schodzą z ubitego toru, na którym rząd chce ich gwałtem utrzymywać, że łączą się z dążnością europejską, oddając cześć człowiekowi Europy, człowiekowi naszego globu.

Przyszliśmy tedy do chwili, kiedy poezja słowiańska jest w powszechnem oczekiwaniu wielkiej myśli, wielkiego wypadku. Na zamknięcie tego skreślenia jej biegu, które musieliśmy zrobić jako wstęp do rozbioru dzieł zostawionych na stronie, położymy wiersz Goszczyńskiego, pokazujący dziwnie bliski związek jego pojęć z pojęciami przywiedzionego dopiero poety rosyjskiego.

PRZEZNACZENIE GENJUSZA

Na toż powstają Genjusze
W wiecznej bytu zawierusze,
Aby błysnęły kometą,
I potem zgasły bez śladu?
Możnaż, aby twórca ładu
Bezcelną zamknął je metą?
Tutaj, gdzie pyłek jest świata ogniwem,
Oneż się tylko marnie zatracą,
Z całych wieków pracą,
Z plemion podziwem?
„Chwała światłości i cnocie:
„Hańba złemu i ciemnocie“ —
Zawoła skielet mądrości,
Groźny anioł-stróż przeszłości,
Wielki prorok z doświadczenia,
Który nad wieków prochami,
Liczy chwile, kolejami
Bytu i zniszczenia.
„Kto obecność pojąć pragnie,
„Ku przeszłości ducha nagnie,
„Ledwo drobny świat człowieka
„Zaczął swój obrót w światów kołowrocie,
„Dumny przy swojej lichocie,
„Z dróg wytkniętych wnet ucieka,
„I gaśnie w ciemnocie.“
Przecknęła mądrość w twórcy osobie,
I tchnęła z boskich piersi, i Genjusz w tej dobie
Zszedł na ziemię otwarcie,
I śmiertelnym przyniósł wsparcie.

I już odtąd wiek po wieku,
Jak tylko bóstwo przygasa w człowieku,
A ciało duszę ugniata,
Wcielony Genijusz zlata,
I zapaśnik ludzkości, ludzkości imieniem
Walczy z nocą i spodleniem,
Aż wrogów duszy obali,
A świat tymczasem pomyka się daléj.
Chwała wam, męże wyższego natchnienia!
Że dusza żyje przez wasze zjawienia,
Jak biciem krwi ciało żyje,
Że przez was śród tego cienia
Zegar mądrości idzie i bije.

Teraz dopiero wolno może dać wyrok w sprawie romantyków z klasykami. Nie pojmowano dawniej jak daleko sięgał ten spór długo toczący się po dziennikach francuskich, polskich, a nawet czeskich. Oto godzono na to, żeby odebrać wyłączne posiadanie sławy reprezentantom dawnego porządku rzeczy w literaturze. Nie zarzucano im braku nauki, niedostatku znajomości teoretycznych, nie przeczono, że legalnie posiadali krainę literatury, że mieli prawo nią administrować; ale dopomniano się o natchnienie, zapytano o dowód na mocy czego panowali. Żeby panować, żeby rządzić, niedość już było pochodzić z familji literackiej, albo odbyć nauki w jakiej szkole: trzeba było pokazać genjusz. Ludzie nie chcieli już kłaniać się niczemu więcej, jak tylko temu co godne czci, co nosi na sobie cechę genjuszu. Odmawiano człowiekowi prawa kierowania rozumem i uczuciem bliźnich, jeśli nie udowodnił swojej wyższości dziełem świadczącem o jego sile nadzwyczajnej. Znaczyło to koniec dawnego świata, początek nowego. Reforma ta była radykalniejszą, głębszą, od reformy przedsiębranej w polityce. Szkoły polityczne mniemały, jak wiadomo, że byleby dopuścić masy do zawiadywania własnemi interesami, potrafią one same rozwiązać całą zagadkę; szkoła literatury nowej, obalając dawny stan rzeczy, chociaż była pewna mieć kiedyś po sobie ogół, nie spuszczała się na jego wyrok, dobywała się z samej siebie, z wnętrza ducha ludzkiego. Co więc stanowi początek literatury ostatnich czasów, to owe odwołanie się do genjuszu, do natchnienia, które nazwaliśmy *messjanizmem*. Dzieło bezimien-

nego autora pod tytułem *Nieboska Komedja* należy już do epoki dzisiejszej. Poeta wyobraża już sobie społeczność przejętą wyżej wspomnianemi zasadami, społeczność, która, skruszywszy wszystkie węzły przeszłości, szuka genjuszu i poleca mu zbudować przyszłość. Roztrząsając to dzieło, okażemy w czem autor poszedł wiernie za tradycją narodową, a w czem zbłądził, nadając temu genjuszowi słowiańskiemu, który ma wznieść nową budowę, charakter nie mający w sobie nic słowiańskiego.

LEKCJA VI

Piątek, 13 stycznia 1843

BADANIA STAROŻYTNOŚCI SŁOWIAŃSKICH. I.

Potrzeba dowodów materjalnych. Erudycja stanowi materją nauki. — Starożytność Słowian i ślady ich bytu po całej Europie. — Poszukiwania we względzie starożytności słowiańskich rzucają światło na początki ludu rzymskiego. — Wyrazy niezrozumiałe dla historyków i prawników objaśnia mowa słowiańska. — Na drugiej stronie Bosforu te same nazwiska ludów. — Mała Azja, mała Ruś, mała Polska. — Źródłosłów najdawniejszego nazwiska Słowian. — Assyrja i Syrja. Assur biblijny nie ma potomków w Syryjczykach dzisiejszych, zaginął zupełnie. — Nazwiska bóstw i władców assyryjskich są słowiańskie. Grzech plemienia. *(Nabuchodonozor.* Nie Bóg jedno Car). — Za ten grzech Assur starszy skarany zagładą, młodszy niewolą. — Czas pokuty Słowian dobiega kresu. — Wskazówki i dowody piśmienne.

Nie mogliśmy dotąd wchodzić w rozbiór ważnych zagadnień dotyczących początku, praw i obyczajów Słowian. Rozprawianie o tych rzeczach przerywałoby ciąg naszego przedmiotu; rzuciliśmy niektóre twierdzenia pod względem historycznym, religijnym i społeczeńskim, obiecując później je udowodnić. Potrzeba uczynić zadość zwykłemu wymaganiu dowodów materjalnych. Świadectwa pomników piśmiennych służą za podporę zdaniom: takie jest prawo materji. Erudycja stanowi materją nauki, a cośmy powiedzieli

teoretycznie, możemy nawet w oczach erudytów usprawiedliwić. Będziemy wszakże starali się te kwestje erudycyjne sprowadzać do środkowego punktu, do myśli głównej całego naszego wykładu, i tak uporządkujemy niniejsze badania, żeby wypadki ich mogły wchodzić w tok opowiadanych dziejów.

W chwili kiedy literatura i poezja słowiańska żegnają się uroczyście z przeszłością, kiedy umysły marzą sobie, probują nawet formułować byt przyszły, należy obejrzeć się na starożytność Słowian, żeby mieć wyobrażenie ogólne jaką koleją cały ten ród postępował. Przebieżymy tutaj w kilku słowach cośmy powiedzieli o starożytności jego europejskiej, przejdziemy zaraz do Azji, ku źródłom historji najdawniejszej, ku źródłom wszystkich religij i wszystkich podań, będziemy później na tem stanowisku sprawdzali nasze spostrzeżenia wyciągnięte z dziejów tegoczesnych.

Wiadomo już, że Słowianie od czasów niepamiętnych znajdują się w Europie. Szafarzyk w swojem dziele encyklopedycznem wyświecił tę prawdę jak najniewątpliwiej. Wymienimy kilka nazwisk miejscowych, które wedle wyrażenia Kollara opierają się napadowi cudzoziemców, i kilka imion ludzkich sterczących na kartach historji greckiej i rzymskiej. Owoż Szafarzyk dowodzi, że wszystko co starożytni mówili o *Henetach*, *Enetach*, *Wenetach*, *Wenedach*, odnosi się do Słowian; ci zaś Henety albo Wenedy siedzieli w Belgji, w Anglji, we Francji, w departamentach Wandei i Bretanji. Jeszcze za czasów rzeczypospolitej Rzymu widziano ich na pobrzeżu adrjatyckiem, za Cezara w Belgji. Miasto Wenecja po słowiańsku nazywa się *Wenetki* albo *Benatki*, Cezar wspomina wiele miejsc noszących widocznie nazwiska słowiańskie, między innemi stolicę tych Wenetów czy Henetów belgijskich zwaną *Oesiriscum*, albo *Ozirisko* i *Jezierak*. Wiedziano już natenczas, że ci Wenety belgijscy byli osadą Wenetów włoskich, postrzegano wspólność między temi dwoma ludami rozdzielonemi przez narody im obce. Pominiemy wiele innych nazwisk, oczywiście ani celtyckich, ani germańskich, ani rzymskich, jak naprzykład *Brest*, a tak często powtarzających się w Słowiańszczyźnie.

Te kwestje historyczne nabywają jeszcze większej wagi kiedy idzie o wyświecenie starożytności ludu rzymskiego, tego ludu tajemniczego, co nie wiedzieć skąd się wziął, co zrazu zajmował tylko kil-

ka mil obwodu pośród *Osków, Wolsków, Sabinów, Ombrów*, pośród narodów celtyckich, albo dotąd nie poznanych. I tak co się tyczy tych Osków, Wolsków, Sabinów, nie zgadzają się z sobą uczeni. Jeden z najznakomitszych erudytów, Karol Gottfried Müller, autor ważnego dzieła w tym przedmiocie, utrzymuje, że Oski pokrewni Latinów, mieli wszakże w swym języku niejaki pierwiastek obcy, ani grecki ani łaciński, który on nazywa pierwotnym. Lanzi upatruje ten pierwiastek, ale go nie oznacza żadnem nazwiskiem. Wielu uczonych bierze go za celtycki albo germański. Grottefend mniema że Sabini mówili po etrusku. Wszyscy jednak są tego zdania, że był we Włoszech język różny od greckiego, celtyckiego, etruskiego i łaciny piśmiennej, język który Funccius nazywa praojcem języka łacińskiego. Nie wchodząc w rozwiązanie tej kwestji, mamy jednak powody mniemać, że niejeden z ludów siedzących koło Rzymu należał do rodu słowiańskiego.

Niewiele wiemy o języku etruskim: zachowało się z niego podobno ośm czy dziesięć wyrazów; języka zaś Wolsków i Sabinów nie pozostało najmniejszego śladu na ziemi włoskiej. Nazwiska wszakże tych ludów brzmią dźwiękiem nie obcym uchu słowiańskiemu: *Volsci*, Wolski, Wilki, podobnie jak *Kasni*, a Kasni jest przetłumaczeniem wyrazu *Osci*, Oski, który zdaniem dziejopisarzy rzymskich znaczył jedno co *Prisci*. Już Appendini, historyk raguzański, znajdował w jednym dialekcie słowiańskim objaśnienie tego wyrazu Kasni, wiedział że znaczy to samo co *Prisci* czyli *dawni*. Nie koniec na tem: sławne tablice znalezione w r. 1444 w Gubbio, znane pod nazwiskiem *Tabulae Eugubienses* i będące najdawniejszym jaki odkryto napisem łacińskim, zawierają wiele wyrazów słowiańskich. Szkoda, że Lanzi i Grottefend, którzy komentowali te tablice, nie mieli najmniejszego wyobrażenia o języku słowiańskim: pomnik ten pozostał nie wyłożony dostatecznie; od pierwszego jednak rzutu oka można w nim dostrzec wyrazy: *Baran, Mir, Grab, Grabo, Zena*, które widocznie nie są celtyckie ani latyńskie, ale słowiańskie. Mamy tutaj dowód ile nauka języka słowiańskiego mogłaby przyczynić się do rozwiązania trudnych wątpliwości.

Ludy te Osków, Sabinów, Samnitów i wszystkie inne około Rzymu były w powinowactwie z Wenetami siedzącymi nad Adrja-

tykiem obok *Lydów*. Strabon zachował dawne podanie o przejściu Lydów do Włoch; powtórzyło to wielu dziejopisarzy ówczesnych. Te Lydy i te Wenety ukazują się później nad Renem, w Mezji *(Maesia)*, w Ilirji, w Panonji. Mezja jednak równie jak Ilirja dawniej jeszcze były zamieszkane przez Słowian. W Liwjuszu już napotykamy nazwiska dla każdego Słowianina zrozumiałe, jak naprzykład *Bylazora* w Dalmacji teraźniejszej. Ale szczególniej za czasów Trajana mamy mnóstwo dowodów, które zebrane przez Szafarzyka można widzieć w jego dziele. Jeograf Martian, wypisujący z rękopisów cesarza Trajana, wymienia miasta *Barsavion* czyli *Warsavion* i *Serbitia*, z których ostatnie Plinjusz nazywa *Servitium*, a na sto lat przed Plinjuszem, za Augusta zwano *Serbitium*. Słowem, napotykamy pełno nazwisk miast, rzek, jezior, które Polak albo Rosjanin pozna odrazu. Dosyć zresztą jest spojrzeć na pomniki tamtoczesne, na płasko - rzeźby kolumny Trajana, żeby rozróżnić twarze słowiańskie, twarze tych Słowian pieszych idących obok Traków, Partów, Lesgów i innych jeźdźców azjatyckich.

Nazwisko nawet Mezji wzięte jest z języka słowiańskiego; znaczy poprostu *krainę mężów*. Słowianie zapewne nazywali siebie Mężami, Mużami, Miżami; Grecy przezwali ich *Mysos*, Rzymianie *Moesii*. Nazwisko Panonji podobnież pochodzi od wyrazu słowiańskiego *pan* i znaczy to samo co panowanie, władarstwo jakiego pana, które zdało się być nazwiskiem kraju. Stąd też wynika to poplątanie tych dwóch nazwisk, tak że nawet trudno w jeografji starożytnej Mezją od Panonji oddzielić. Szafarzyk przywodzi jeszcze z jednego historyka bizantyńskiego wzmiankę o królu *Muzikos*, *Mosikos* albo *Mużiku*, broniącym się od napaści Rzymian za cesarstwa w mieście *Mizaku*.

Mezja przeto, Panonja i Wenetja, nie znaczą nic innego jak *Slavonia*, czyli Słowiańszczyzna.

Wróćmy teraz do owych Lydów, co się nam wszędzie pokazują wśród różnie nazwanych Słowian, a, jak starożytne podania mówią, przybyłych z Azji. Dosyć późno, bo aż w wieku IV. po Chr. znajdujemy ślady ich pobytu we wszystkich krajach Europy. Sławny niemiecki badacz starożytności, Jakób Grimm, zastanawia się nad tem niezrozumiałem dla niego nazwiskiem, i powiada, że wa-

żną byłoby rzeczą wyłożyć wyrazy *lydus, lytus, genus lytorum*, w prawach saksońskich i dawniej jeszcze w łacinie barbarzyńskiej znaczące jakąś klasę, jakiś rodzaj niewolników, niekiedy rolników. Znajduje się ciekawa książka o administracji cesarstwa bizantyńskiego, w której napotykamy urząd przełożonego nad lydami *praefectus lydum*. Grimm wyznaje, że tego nie rozumie; ale każdy Słowianin łatwo domyśli się że *lydus* nie co innego znaczy tylko *lid*, jak jeszcze dzisiaj mieszkańcy niektórych okolic wymawiają, czyli *lud*, to jest pospólstwo, gmin, lud prosty, rolniczy po całej Europie tak nazwany. Od tego to wyrazu *lid*, albo *lud*, poszło nie dające się antykwarjuszom wytłumaczyć *leude*, co później zostało brane za jedno z *feudum*, czyli z posiadłością szlachecką, to jest z posiadłością gruntów i rolników, siół słowiańskich, które panowie celtyccy i germańscy puszczali jedni drugim do użytkowania, aż póki nie poniszczały w tych krajach, jak dawniej w Grecji, gdzie także są ślady ich bytu.

Lydów tych czyli Ludów znajdujemy również w Słowiańszczyźnie północnej, w Misnji saskiej, w Luzacji brandeburskiej. Nie byli oni tam osobnem jakiem plemieniem, składali ten sam naród co Misniacy i Lutycy. Nazwiska Misniaków, Millezanów, Lutyków, Wilków, nie oznaczały różnych narodów, tylko służyły gromadom, na które Słowianie dzielili się między sobą.

Ale postąpmy dalej, przejdźmy Karpaty, i posuwając się z ich łańcuchem ku morzu Czarnemu, przeprawmy się za ciaśninę oddzielającą Europę od Azji. Na drugiej stronie tej ciaśniny, w Azji Mniejszej, napotykamy te same nazwiska, ten sam lud zamieszkały tam od czasów Homerowskich. Później Strabon, Plinjusz i rozmaici inni historycy świadczą o jego pobycie w tych krajach. Podług wyśledzeń Lelewela, Myzy za czasów Homera siedzieli przy ujściu Dunaju. Mniemamy, że mieszkali oni współcześnie i pod temże nazwiskiem w Azji Mniejszej, skąd nigdzie się nie przenieśli. Znajdujemy tam jeszcze *Karów* (Carii). *Kary* u Słowian wychodzi na jedno co *czarny; kara* u Turków znaczy także *czarny:* orjentaliści jednak powiadają, że wyraz ten brzmi dźwiękiem obcym w językach wschodnich. Po polsku przymiotniki *kary* i *czarny* odnoszą się do jednego koloru; rzeczownik zaś kara, znaczy raz od-

płatę za przestępstwo, drugi raz stypę czyli ucztę pogrzebową, jak to znajdujemy w jednym pisarzu starożytnym.

Kary, Lydy, Myzy byli jednym i tym samym ludem. Herodot, najdawniejszy historyk, w pierwszej swojej księdze powiada, że bracia *Lydus*, *Mysus* i *Karus* byli patryarchami tego ludu. Grecy bowiem nie mogli inaczej wypisać po swojemu tych trzech imion *Lud*, *Mąż*, *Czarny* (jeżeli wszakże ta etymologja co do Karów jest trafna). Z tym ludem mięszają się Paflagoni i Frygijczycy, czyli jak ich pisano *Phrygii*, czasem *Brugii* albo *Bregii*, co naprowadza na wyraz *Breg* albo *Brzeg*, i może być, że poprostu nazywali się oni *Brzegowemi*, *Brzeżanami*, jak byli później nad Baltykiem.

Nikt jeszcze dotąd nie rozwikłał dobrze dziejów Azji Mniejszej. Ta mała Azja w historji starożytnej odegrywa tę samą rolę co w nowożytnej okolica zwana niegdyś Małą Scytją, później pod imieniem Małej Rusi i Małej Polski obejmującą owe wielkie pobojowisko ludów azjatyckich z europejskiemi. Podobnież Azja Mniejsza była szlakiem przechodów i placem wielkich bojów. Tędy ciągnęli Scytowie za Kaukaz do Azji środkowej; tu toczyła się wojna Trojańska; tu Aleksander W. wylądował z wojskami na zdobycie Wschodu; tu schodziły się zastępy wypraw krzyżowych. Mimo to wszystko nic mniej znajomego nad miejscowe dzieje tej strony. Uczeni nie wiedzą nawet do jakich ludów liczyć Karów, Lydów, Paflagonów, Kapadocjan, Cylicjan.

Niedawno, uczony profesor w Lozannie, członek instytutu belgijskiego, Hizeli, ogłosił dzieło rzadkie pod względem erudycji sumiennej, w którem usiłuje wyjaśnić jeografją i etnologją Azji Mniejszej. Zdaniem jego ludy te muszą należeć do pokolenia Semskiego, i mniema że są armeńskie, ze szczepu Aram. Ale Hizeli radził się tylko pisarzy poczynających historją tych ludów nie dawniej jak od czasów macedońskich; nie wiedzą oni nic o nich przed epoką Aleksandra W. Strabo, chociaż sam był rodem z tamtych okolic, wyznaje, że zgoła nie zna jej dawniejszych dziejów. Wedle pisarzy przeto greckich i rzymskich, których Hizeli przywodzi, ludy te zgarnięte naprzód w państwo Assyrji, oderwały się od niego, wpadły później pod jarzmo Persów, następnie pod berło Macedonów i nakoniec utonęły w cesarstwie rzymskiem. Za czasu podbojów macedońskich zwano je Syryjczykami. Same nie dawały

one sobie tego nazwiska, ale cudzoziemcy tak je przezwali z powodu, że składały niegdyś część państwa assyryjskiego.

Zastanówmy się teraz nad temi nazwiskami Syryjczyków albo Assyryjczyków, *Syrii*, *Assyrii*, które pochodzą od *Sur*, *Assur*, a mają związek etymologiczny ze słowiańskiemi *Syrb*, *Serw*.

Najdawniejsze wyrazy słowiańskie składają się pospolicie z trzech spółgłosek. Wiadomo, że w mowie słowiańskiej spółgłoski stanowią główną osnowę wyrazów, samogłoski zaś są tylko ich dopełnieniem, tak dalece, że książkę czeską, pisaną samemi spółgłoskami, Polak lub Rosjanin może łatwo rozumieć, zapełniając po swojemu miejsca samogłosek. Tutaj mamy do uważania trzy spółgłoski: *s*, *r*, *b;* obeznani bowiem z nauką etymologji wiedzą, że spółgłoski te zamieniają się często: *s* na *t*, *r* na *l*, *b* na *w*, i nieraz w wyrazie pochodnym, jak to postrzega Burnouf, nie pozostaje ani jedna z wyrazu pierwotnego.

Tak np. francuski *jour* pochodzi od łacińskiego *dies*, chociaż dwa te wyrazy nie mają żadnej litery wspólnej. Z głosek *s*, *r*, *b*, można złożyć *Serb*, *Sorab*, *Spors*, *Turab*, i wiele innych nazwisk dawanych ludom słowiańskim. Że to jest najdawniejsze nazwisko Słowian, znajdujemy dowody na to, naprzód w pisarzu bezimiennym znanym pod imieniem Jeografa Raweńskiego, powtóre w Jeografie odkrytym w Monachjum, który powiada, że wszystkie te ludy oznaczone u niego przezwiskami albo imionami, osobno każdemu z nich służącemi, pochodziły z ogromnej ziemi *Sorab*. Jeograf wyraził tu zapewne pospolite mniemanie tych ludów o wspólnym ich początku i pochodzeniu od *Serba*, *Sorba* albo *Soraba*.

Cóż znaczą te wyrazy *Serb*, *Sorb*, *Sorab?* Wedle Szafarzyka są one słowiańskie. Zdaniem jego *Serb* to jest *serp*, *sierp*, po francusku *serpe* (co, mówiąc nawiasem, jest także imię słowiańskie, jak po większej części nazwiska zwierząt i narzędzi rolniczych w całej Europie), dalej *Serb*, *pasierb*, *pasierzb*, znaczył zapewne *syna*.

Ser, *Sur*, znane są także w Azji Mniejszej jako nazwiska ogólne.

Sięgnijmy głębiej aż do historji Assyrji starożytnej. Assyrja różniła się od Syrji. Państwo assyryjskie, mające stolice w Babilonie i w Niniwie, obejmowało Mezopotamją, ziemię Chanaan czyli

późniejszą Palestynę, Persją, Arabją, przez niejaki czas nawet Egipt i całą Azją Mniejszą aż do ciaśniny, która oddziela ją od Europy. Ogrom ten za czasów Mojżesza nazywał się Assyrją.

Do jakiego plemienia należał i gdzie się podział ten, głośny w Biblji, straszny lud *Assur*, co podbił tyle narodów i królestw? Assyryjczycy nie byli to ani Arabowie, ani Hebrajczycy, ani Chanaeńczycy, z którymi owszem prowadzili wojny. Nie byli to owi mieszkańcy Azji Mniejszej przezwani później Syryjczykami albo Assyryjczykami jedynie z powodu należenia do państwa assyryjskiego, bo mamy świadectwa historyczne, że ci opierali się mocarzom assyryjskim, czasami odnosili nad nimi zwycięstwa, i ciągle szukali zręczności oderwania się od nich. Nie byli to Armeńczycy, ani nawet Chaldejczycy. W Piśmie Świętem mamy dowody różności rodu i języka Chaldejczyków. Assyryjczycy nie mówili językiem hebrajskim. Można sobie przypomnieć, że król izraelski, oblężony w Jerozolimie przez wodza assyryjskiego czyli chaldejskiego, chce z nim mówić po assyryjsku, żeby Żydzi tego nie rozumieli. Znajdujemy w księgach Daniela, że król babiloński sprowadza mędrców chaldejskich i assyryjskich, wyraźnie tu rozróżnionych co do języka, bo szło o to, aby wyłożyli mu napis tajemniczy. Nakoniec w tymże proroku czytamy, że król babiloński rozkazywał swoim dworzanom uczyć młodych Izraelitów po chaldejsku. Są to widoczne dowody, że język assyryjski nie był chaldejskim, a obadwa różniły się od hebrajskiego.

Assyryjczycy założyli państwo Niniwy, Chaldejczycy napadli je później i wznieśli królestwo babilońskie, z kolei sami ulegli Medom. Szczątki Chaldejczyków, wedle odkryć niektórych uczonych nowożytnych, są dotychczas; Medowie trwają także, chociaż pod zmienionem nazwiskiem; Syryjczycy zaś i Assyryjczycy nigdzie się już nie znajdują: Sur, Assur zaginął zupełnie.

Niepodobna utrzymywać żeby Syryjczycy teraźniejsi byli to ci sami Assyryjczycy co niegdyś trzęśli światem. Garstka Syryjczyków dzisiejszych złożona z różnych plemion jest społecznością religijną Nestorjanów, którzy w VI. wieku przyjęli język syryjski. Niemasz nawet śladu, żeby ten język syryjski był językiem Syryjczyków dawnych. Zbliża się on do chaldejskiego, hebrajskiego i arabskiego, a widzimy w Biblji, że starożytny assyryjski różnił

się od nich wszystkich. Zresztą Assyryjczycy dawni byli ludem całkiem rolniczym, zamieszkiwali kraj najżyzniejszy w świecie, Mezopotamją między Tygrem i Eufratem, kiedy tymczasem Arabowie zawsze prowadzili życie koczownicze, Chaldejczycy mieli obyczaje góralskie, a Chanaeńczycy zajmowali się więcej handlem niżeli rolnictwem.

Niewątpliwie tedy starożytny *Sur*, *Assur* zaginął. Ale do jakiegoż plemienia on należał? Mniemamy mieć dowody, że był ludem słowiańskim.

Już profesor wrocławski Halling wpadł na domysł wspólności Assyryjczyków z Serwami, wyprowadził ich tożsamość. Historycy greccy i rzymscy, Strabo, Polibjusz, Plinjusz, rozróżniają Syryjczyków białych od Syryjczyków czarnych. Można wnosić że *biali* stanowili masę ludności,*czarni* zaś byli to Arabowie, Żydzi, Armenianie, słowem ludy Semskie należące do państwa assyryjskiego. Niepodobna inaczej wytłumaczyć tego podziału.

Rozbierzmy nakoniec nazwisko owego *Sur*, co, jak w historykach starożytnych widzimy, mieszkał na tamtej stronie gór Taurus. — *Sur*, *Szur*, *Tur*. — Jeden uczony niemiecki, profesor historji we Lwowie, Hanusch, utrzymuje, że *Sur* znaczy nic innego tylko *tur*, to jest byk. Tur i w językach wschodnich ma to samo znaczenie, ale jest w nich wyrazem obcym; u Słowian dotychczas tak nazywa się wół dziki. W Polsce i w Rosji wiele imion przypomina ten wyraz, naprzykład: *Turow*, *Turzyce*, *Turzec*. Tur był emblemem słońca; wiemy, że Słowianie obchodzili na cześć słońca święta zwanego *Turzyce*. Widocznie tedy, podług postrzeżeń Appendiniego, Hanuscha i innych badaczów starożytności, wyraz *Sur* odpowiada słowiańskiemu *Tur*. Brany inaczej w ogólniejszym względzie, *Sur* znaczył samca, jak *Muża* samicę, czego można znaleźć ślad w starych tłumaczeniach Biblji, w wyrazach *mężyna* zamiast niewiasta. Ślad tego znaczenia mamy jeszcze w wyrazach *szczur* i *mysz*, którą gmin uważał za samicę szczura; podobnież jeszcze w wyrazie *praszczur*, czyli prawnuk, co pokazuje że *sur*, *szur*, *szczur* znaczył dawniej syna, ale znaczenie to zaginęło.

Wywody te, zdające się może być bezzasadnemi, nabywają większego prawdopodobieństwa, kiedy zastanowimy się nad nazwiskami bogów i bogiń assyryjskich. Prawie wszystkie te nazwiska

są słowiańskie; każdy Słowianin pozna to odrazu. I tak naprzykład *Gad* bożek fortuny, wedle pierwotnego wymawiania *God* albo *Got* ma ten sam źródłosłów co *Czorny-God, zły los, fatum* u Słowian. *Baal*, którego Chanaeńczycy, jak świadczą historycy łacińscy zwali *Bal*, w języku zaś włościwych Assyryjczyków wymawiany *Bel*, jest to *Belbog*, główne bóstwo słowiańskie. *Bel* znaczyło niebo, *Belbog* więc był bogiem nieba. *Baal Phaegor*, to jest *Bóg - gór*, miał posąg stawiany na górach. *Bel-Moloch* odbierał tę cześć szkaradną, o której mowa w księgach Mojżesza. Skrapiano mlekiem jego ołtarze, a resztę objaśnia zgodnie z Biblją wyraz słowiański *mlecz, mołok, moloch*. Znajduje się nawet w Rzymie starożytny napis przywieziony z Assyrji za cesarzów, w którym są słowa: *Agli - belo kai Molocho - belo*. Niebo było bóstwo wyobrażające firmament, i u Słowian *nebo, niebo* znaczy to samo.

Pominiemy mnóstwo innych bóstw noszących imiona słowiańskie, jak *Mornas, Marnas* czyli *Marzanna* to jest pomor, śmierć; nie dotykamy także nazwisk wprowadzonych później do mitologji greckiej, które roztrząśniemy obszerniej, porównywając tę mitologją ze słowiańską: powiemy tylko parę słów o bóstwie znanem u dawnych Syryjczyków pod imieniem *Venot - Suchot, Venus - Suchos*. Pisarze nie umiejący zgoła po słowiańsku, jak Seldenius i Hizeli, idą za wykładem historyków łacińskich i tłumaczą ten wyraz *suchot* na *siccus*, co znaczy *suchy*. Jeżeli pomyślimy przez wiele to przemian wyraz syryjski musiał przechodzić w ustach Greków i Rzymian nim doszedł do nas, dziwno że jeszcze tak łatwo możemy go zrozumieć.

Dodamy tutaj, że niemal wszystkie nazwiska królów Assura są słowiańskie i dają się wytłumaczyć dla Słowian. Prawie każdy z nich jest dwuimienny, ma jedno imię chaldejskie, drugie słowiańskie. Imię słowiańskie kończy się zawsze na *car*. Pierwszy król, co przybywszy z Azji Mniejszej napadł Assyrją, nazywał się *Kiacar*. Znajdujemy później *Balsazara*, to jest *Belizara*, którego nazwisko nosi jeszcze wódz sławny w dziejach państwa bizantyńskiego, nazwisko zgoła nie greckie, a bardzo łatwo tłumaczące się po słowiańsku. Jak Szafarzyk okazał, że Justynjan był Słowianinem, że w cesarstwie wschodniem było pełno Słowian, tak można

wnosić, że *Belizarjusz* pochodził również z rodu słowiańskiego i miał imię owego króla Syrji *Belicara* (Białego cara).

Lud ten syryjski doświadczył dziwnej kolei losu. Zdobywca całej Azji, podbity przez Chaldejczyków, później przez Medów i Persów, znikł nakoniec z ziemi, którą zamieszkiwał, a imię jego pozostało piętnem hańby i niewoli; można dowieść, że we wszystkich językach oznacza niewolnika. Po persku niewolnik nazywa się *bende*, co jest nic innego tylko *Wende*, *Wened*, po arabsku *alassyr*, czyli prosto Assyryjczyk. Później u Rzymian, za czasów wojen Kartagińskich, *Syrus* i niewolnik znaczyło jedno. Pisarze komedyj prawie zawsze dają niewolnikowi imię *Syrus* albo *Davus* (Dacus). Być może, że wszystkich niewolników dostarczała Azja Mniejsza. Największy targ na ludzi odbywał się na wyspach Cykladach, mianowicie słynęła tem wyspa Delos, gdzie w czasach Strabona codzień przedawano do 10,000 osób. Wszyscy ci niewolnicy przybywali z brzegów Azji Mniejszej, wszystko to byli Syryjczycy, Kary, Kapadoki, Paflagoni, to jest wszystko Słowianie.

I tę wyspę Delos spotkał także los szczególniejszy. Zbogaciwszy się tym handlem, została podczas jednej wojny z Rzymianami napadniona, zrabowana, zburzona do szczętu. Całą jej ludność zaprzedano w niewolą; sama stoi dziś pustynią.

Oprócz niewolników przywożonych tamtędy sprowadzano jeszcze do Włoch *Serbów*, *Serwów* mieszkających w Europie i ujarzmionych już natenczas. Wielkie jest podobieństwo, że nazwanie niewolnika *servus*, było imieniem rodowem. Mamy tego dowód w przytoczonem powyżej nazwisku miasta, które Plinjusz mianuje *Servitium*, a inny pisarz *Serbitia*. W wiekach średnich, jak wszystkim wiadomo, *Esclavoni*, *Sclavoni*, *Sclavi* byli to przedawani i kupowani niewolnicy słowiańscy.

Tak tedy ci niegdyś panowie Azji, ci założyciele pierwszego na świecie państwa, jedni zaginęli zupełnie, drudzy obrócili się w niewolników. Teraz dopiero można pojąć co było tajemniczego, okropnego w historji tego rodu. Oto popełnił on największy grzech przeciwko duchowi, *ubóstwił człowieka*. Wedle Biblji, Nemrod, który począł być możnym na ziemi, Bel i Ninus poogłaszali się Bogami; a ten lud rolniczy, mocny i bitny oddawał cześć Boską nie temu co jest najbardziej Boskiego w człowieku, nie duchowi, ale popę-

dom i siłom ciała, przymiotom stanowiącym wojownika, myśliwca na ludzi. Nemrod nazwany był możnym myśliwcem przed Panem. Plemię to poddało się bez granic woli, chuciom jednego, przez to opanowało część świata, stało się obrazem potęgi materjalnej, przeciwnej potędze ducha. *Sur, Assur* w Piśmie Ś. zawsze znaczą mocarzy, władców ziemi.

Ośmielamy się zrobić tutaj wykład nazwiska *Nabukadnezar*, które Arabowie wymiają *Bakht-on-Nasr*, co znaczy *szczęście* i *zwycięstwo*. Nazwisko to napisawszy głoskami słowiańskiemi *Nebuhodno-car*, łatwo bardzo wytłumaczyć: *Nie Bóg, jedno Car*, czyli niemasz Boga, tylko Car [1]. Nie podajemy tego wywodu za pewny, wszakże każdy Polak i Rosjanin łatwo w nim ujrzy prawdopodobieństwo. Króla Nabuchodonozora Biblja wystawia istotnie jako najwyższy wzór potęgi ziemskiej.

Za taki więc grzech przeciw duchowi ród ten został skarany na duchu i na ciele. W Azji wyginął zupełnie, i kraj co był jego siedliskiem, kraj najżyźniejszy w świecie zamienił się w pustynią: Mezopotamja pokryta dzisiaj gruzami i bagnem. To powinnoby pomięszać filozofów materjalistów, mniemających, że różna wiara ludzka zależy od różnej miejscowości, bo pokazuje, owszem, jak stan ziemi zawisł od ducha człowieka mieszkającego na niej. Szczep Assyryjczyków pierwotnych, szczep syryjski, zdaniem naszem drugi w stopniu rodzeństwa, który przeszedłszy Bosfor osiadł w Europie, zdaje się być mniej obciążony winą: w obrządkach jego niemasz śladu obrzydliwej ofiary przez Mojżesza wspomnianej. Assur starszy skazany został na zagładę, Assur młodszy na trzy tysiące lat niewoli, na ciągłe posłuszeństwo władcom obcym: zawsze plemieniowi słowiańskiemu panował ród i duch obcy.

Ale trzeba wierzyć, że czas tej pokuty dobiega już kresu. Tyle cierpień przygotowało Słowian naprzód do przyjęcia bez oporu prawa Chrystusowego, potem do zastosowania go obszerniej. W wieku VI. słyną już oni z dobroci, gościnności i pokory. Chrystjanizm utwierdził w nich te cnoty: stali się jeszcze łagodniejszymi i ule-

---

[1] *Non est Deus nisi Rex.* Judith, VI. 2. W przekładach słowiańskich Pisma Ś. mamy: *Ne Boh aszczo car*, być mogło w niektórych *odno* zamiast *aszczo*.

glejszymi; łatwo dawali się rządzić bo sami mieli niechęć do rządzenia, co nieraz zarzucano Polakom i Rosjanom, powiadając, że woleli być rządzeni przez obcych, niżeli trudnić się rządem. Dopóki chrystjanizm ograniczał się do praktyki cnót pojedyńczego człowieka, póty oni ze swoją łagodnością i pokorą, z cnotami odznaczającemi męczenników pierwotnego Kościoła i wieków średnich, mogli odegrywać tylko podrzędną rolę polityczną; teraz gdy iskra Chrystusowa ma zapalić serca ludzkie ogniem czynu, ludy słowiańskie zdają się mieć przeznaczenie roznieść ten ogień, służyć za narzędzie chrystjanizmowi rozwiniętemu więcej.

Dla wsparcia rzuconych powyżej mniemań kładziemy kilka wskazówek dowodów piśmiennych.

Lydia (ἡ Λυδία) albo Maeonia, prowincja Azji Mniejszej. Prawie wszyscy jeografowie zgadzają się na to, że *Lydia* i *Maeonia* były jedną i tą samą prowincją, a Lydowie stanowili ten sam lud, który Homer nazywa Meonami, Μήονας, *Maeonas*. Herodot nas uczy, że wszyscy królowie tego kraju pochodzili od Lydusa syna Atysa, a Lydus ten dał swoje imię całemu ludowi, który pierwej nazywał się Meonami, *Meones*. (C. M. *Geogr. ant.* l. III, c. IV, — l. I, c. VII).

Wedle Plinjusza, Lydia w całej swojej rozciągłości miała następne granice: Na wschód, Frygią; na północ Mysią; na południe Karią (l. V, c. XXXIX).

Moesia, kraina europejska. Prawie we wszystkich rękopisach łacińskich nazwisko to stoi: *Moesia;* w greckich zaś po większej części jest pisane: Μυσία, *Mysia*, i brzmi podobnie jak toż imię służące krainie azjatyckiej. (Cellar. *Geogr. ant.* l. II, c. VIII. — l. XLIX, p. 413).

Moesią wyższą nazywają: Leunclavius, *Zirfi;* Lazius, *Servia;* Cuspianus, *Bosnia;* Taurinus Olmutiensis, *Moldavia;* Sabellicus, *Valachia;* Tretzes, *Hungaria.*

Moesia niższa, jak Sabellicus powiada, nosiła niekiedy imię: *Flaccia.* Pomponius Sabinus nazywa ją *Szpichlerzem Cerery.*

Taurinus mniema, że należałoby ją nazywać *Valachia*, również jak Moesią wyższą. Różni autorowie dają jej imię *Bulgarii.* U Jornandesa, uchodzi ona to za *Scythią* to za *Tracią.* Ovidius w wielu

miejscach wspomina o niej prosto jak o *Scythii*, pod jakiem też nazwiskiem i Arrianowi była znana.

Karia, *Caria*, dawna prowincja Azji Mniejszej. Trudno oznaczyć jej prawdziwe granice, bo ziemie, włączane do niej przez jednych autorów, są przysądzane przez innych prowincji sąsiedniej. (Cellar. *Geogr. ant.* l. III, c. III, p. 89 et seq.). Ptolemeusz kładzie w Karii miasta, które wedle innych starożytnych pisarzy leżały we Frygii albo w Lydii.

Herodot mówi, że Karianie czyli Kary przenieśli się z wysp na ziemię stałą. „Dawniej — powiada — ulegali oni Minosowi; zwano ich *Lelegami*." (l. I, nr. 171).

Kary ukazują przy Mylassie starożytną świątynię *Jowisza Karieńskiego*, posiadaną wspólnie przez nich i przez mieszkańców Mysii i Lydii, którzy są ich bracią; bo *Mysus* i *Lydus*, jak oni utrzymują, byli bracią *Kara*, od którego Karia wzięła imię. (l. I, nr. 28).

Z tych kilku przytoczeń wyjętych z jeografji starożytnej można widzieć, że autorowie dają jednej krainie słowiańskiej różne nazwiska ludów, które w niej podbojem albo przechodem panowały. Ludy te były: Scyty (Uralianie), Sarmaty (Azy), Traki (Azy), Bulgary (Uralianie), Valachy (Romanie). Łączono do nich niesłusznie krajowców: Antów, Getów, Raczów, Serbów (Słowian). Herodot, pomięszawszy Traków ze Słowianami, wśród których trzymali górę, położył ogromną liczbę ludności trackiej: dziwiono się później, że ci Trakowie nie wiedzieć gdzie się podzieli. Tak będzie się kiedyś zdawało dziwnem widzieć nagłe zniknienie 36 miljonów Austrjaków, których nazwisko figuruje dzisiaj w jeografji.

Trzeba to zawsze mieć na uwadze, że Uralianie (Scyty, Hunny, później Madiary) walili się zwykle całemi hordami; przeciwnie Azy (Sarmaty, Traki, a później Lechy i Czechy), stanowiąc kastę wojenną, przybywali z gór w niewielkiej liczbie i bez kobiet, żenili się w krajach zdobytych, i przez to plemię ich zlewało się z ludnością krajową.

We względzie badań odnoszących się do Azji Mniejszej dzieło Hizelego będzie stanowiło epokę. Tytuł tego dzieła jest: *Disputatio de Historia Cappadociae, cum tabula.* Auctore Josepho Hizely. Ex vol. VI, comm. instituti Belgici.

LEKCJA VII

Wtorek, 17 stycznia 1843

BADANIA STAROŻYTNOŚCI SŁOWIAŃSKICH. II.

Poparcie powyższych domysłów dalszemi dowodami. — Wizerunki Słowian na kolumnie Trajana. — To samo podanie o Gordjaszu co o Piaście. — Historycy: Lelewel, Szafarzyk, Potocki. — Historja losów rodu słowiańskiego wyrażona w pomnikach sztuki. — Kolos Północy. — Posąg zwany Scytą niewolnikiem, albo Szlifierzem. — Płaskorzeźby kolumn i łuków tryumfalnych. — Karjatydy. — Gladjator konający.

Żeby nie przerywać rzeczy o Słowianach azjatyckich, tak zawikłanej i wymagającej przytaczania mnóstwa nazwisk, musimy ją doprowadzić teraz do końca, chociaż bynajmniej nie obiecujemy wyczerpnąć zupełnie.

Na poparcie naszych domysłów, które mogą wydawać się zbyt śmiałemi, przydamy dowody jakie udało się nam pozbierać.

Naprzód co się tyczy tego, że starożytni Assurowie czyli Assyryjczycy, założyciele pierwszego państwa na świecie, byli to samo co Serby, Myzy, Słowianie, trzeba wiedzieć, że historycy zachowali szczątki dawnych podań, wedle których *Tur* albo *Tsur*, to jest byk, był bratem Ninusa, jednego z pierwszych władców assyryjskich. Szanowny ten zabytek przywodzi Cedrenus (ad Solinum) z dziejopisarzy dawniejszych. *Tur*, *Turos* czyli byk, u Greków znaczył to samo co *dzielny*, *zuchwały*. Homer nazywa Marsa *Turos Ares*, to jest Mars waleczny, straszliwy, byczy. Tenże epitet dawali i poeci słowiańscy swoim bohaterom. „Wszewołodzie, ty turze jary“ — mówi autor *Słowa o pułku Igora*. Nadto Plinjusz i Strabo Turyjczyków czyli Tyryjczyków uważają za jedno z Syryjczykami, a w historykach znajduje się nawet starożytne podanie, że ów Turos brat Ninusa przeszedł do Europy i umarł w krajach Trackich, to jest w Panonji i Mezji, co dowodzi wiadomości starożytnych o braterstwie Myzów europejskich z Assyryjczykami niniwskimi.

Wyliczając bóstwa assyryjskie, pominęliśmy dwa imiona dodawane Wenerze. Seldenus w rozprawie o bóstwach syryjskich

przywodzi miejsce z Photiusza, gdzie ten mówi, że Syryjczycy czcili *Wenus* pod imieniem *Babia* i także pod imieniem *Derceto*. *Wenus Babia* miała opiekować się dziećmi nowo narodzonemi. Znaczenie w polskim języku wyrazów *baba, babić*, zgadza się z tem zupełnie. Wyraz *Derceto* ma pierwiastek *d, c, r*, skąd *dcer, cer, dcera, docera dorceto, derceto*. Grecy dodali tu po swojemu samogłoski, ale jest to wyraz widocznie słowiański, nie grecki. Pochodne tego wyrazu *Dcer, Tsur, Cur, Tur*, dają się dotychczas odkrywać w językach słowiańskich. W polskim naprzykład mamy *córka*, co wedle prawideł etymologji słowiańskiej każe domyślać się, że był wyraz *cór* znaczący syna. Chociaż ten *cór* zaginął, ślad jego zachowuje się jeszcze w *sierp, serb*, od czego *sierota*.

Żaden z uczonych do dziś dnia nie probował wyłuszczać początków syryjskich zapomocą etymologji słowiańskiej.

Powiemy jeszcze parę słów o Dacji i Mezji, znanych prowincjach rzymskich, które włączyliśmy do Słowiańszczyzny, na co i Szafarzyk się zgadza, ale nie wie za kogo mieć Daków i Traków mieszkających w tych krajach. Znajduje on ich szczątki w Krobyzach, Krowizach, Krywiczach, Tryballach i innych ludach nazwiska słowiańskiego; nie śmiejąc wszakże dla samego podobieństwa nazwisk kłaść pomiędzy Słowian, mianuje być osobnym narodem, którego nie umie umieścić. Zdaniem jego Daki i Traki wyparci przez Celtów z gór Epiru przyszli byli nad Dunaj, i potem nie wiedzieć gdzie się podzieli. Narody tak nie przepadają. Wedle Herodota ludność Traków była bardzo liczna, wynosiła tyle co ludność Indów; nie mogła więc zniknąć nagle. Otóż ludność ta obejmowana przez Rzymian pod imieniem Daków, a przez Greków pod imieniem Getów, stanowiła jeden i ten sam naród słowiański; ale znajdowała się w nim garstka innego ludu, nazywanego od Słowian Trakami, który sam siebie tak nie nazywał, i nie wiemy jakie miał imię własne. Zdaje się że nietrudno będzie zrobić jego wywód. Był to lud konny ze szczepu Medów. Plinjusz powiada, że Medowie od najdawniejszych czasów mieszkali w Tracji. Ten szczupły, wojenny hufiec Medów, należący do plemienia trwającego w Persji pod imieniem Pharsów, czyli Farsów, do plemienia Azów, którego szczątki znajdują się na Kaukazie, władał ludnością słowiańską w Dacji i różnił się od niej. Dlatego to, jakeśmy już mówili,

można widzieć na kolumnie Trajana pomiędzy niewolnikami ludzi dwojakiego rodzaju: jednych co mają w sobie coś kaukaskiego, drugich wyraźnie Słowian. Tych Medów Słowianie nazywali Trakami, to jest *wojownikami. Draka*, po rosyjsku znaczy bitwę, *dratse* bić się, wojować. Miasto *Dyrachium* w Epirze, zamieszkałe przez Słowian, nazywa się *Dracz, Draczko.* Imię to znajdujemy także na głośnych wodzach słowiańskich: Draszko w przymierzu z Karolem Wielkim walczył przeciw Saksonom. Nareszcie ptak chruściel, nazywany we Francji *roi de cailles*, w Słowiańszczyźnie *derkaczem* albo *draczem*, miany jest u gminu tamecznego za przewodnika czyli wodza przepiórek, przez co chyba można wytłumaczyć jego nazwanie francuskie, nie wiadomo inaczej skąd wzięte. Sądzilibyśmy nawet, że i wyraz francuski *dragon*, pochodzący od łacińskiego *draco*, razem z nim ma słowiański początek, odnosi się do tego samego źródłosłowu co *dratse*, bo Słowianie często *drakom* to jest wojownikom dawali przezwisko *smoków.* Wiemy skąd inąd, że sąsiadów swoich nazywali oni *smokami*, jeśli się ich lękali, *Niemcami* zaś czyli niemymi, przez wzgardę.[1]

Te same nazwiska znajdujemy i w Azji Mniejszej. Hizeli, autor wspomnionego wyżej dzieła o tej okolicy, właściwie mówiąc, napisał tylko historją Kapadocji, to jest szczupłego królestwa utworzonego przez Rzymian z rozmaitych ludów spojonych w jedność rządową, bez względu na ich wzajemne bądź powinowactwa, bądź nieprzyjaźni. Byli w tem królestwie i Armeńczycy i Persy, ale tło ludności składało się ze Słowian. Hizeli nie wiedząc, że Kary i Lydy stanowili jeden lud z Kapadocjanami, rozdzielił ich dzieje, i dlatego nie mógł trafić do końca. Kapadocjanie zdali mu się być plemieniem armeńskiem. Mamy wszakże przeciwny temu dowód w książce, której on nie znał, w historji Armenji wydanej w Kalkucie przez księdza Chamich (History of the Arminian people, by father Chamich), a tłumaczonej przez Jana Avdal, gdzie są przytaczani pisarze dawniejsi, mianowicie kronikarz armeński Katani, żyjący na lat około sta przed Jezusem Chrystusem. Znajdują się tam między przodkami Armeńczyków wymienieni *Mosoch, Zech i Lech.* Dziwna to rzecz widzieć w kronice azjatyckiej drukowanej

[1] *Tatar*, w liczbie mnogiej u Persów *Atrak.*

w Kalkucie ślad tego, co tylekroć sami uczeni słowiańscy w Europie chcieli podać za baśń gminną o pokrewieństwie Lecha, Czecha i Rusa. Taż kronika powiada, że na lat 1030 przed Chrystusem jeden wódz armeński podbił Kapadocją, i że król jej nazywał się *Musik*, a miał stolicę w mieście *Mizak*, potem nazwanem *Mazaka*. Widzieliśmy w VI. wieku po Chrystusie nad Dunajem króla, niezawodnie Słowianina, nazywającego się *Mużyk* (po grecku Μουσικός) i mającego stolicę *Miżak*. Dalej napotykamy wzmiankę o niejakim *Moziku* i o mieście *Varsevia, Varsavia*. Następnie znajdujemy jednego wodza imieniem *Mużik*, drugiego *Muż*, innego *Muszitar* (Mouchitar) *Muzi - car*, którego stolica *Miża*, nazywała się później *Caesarea, Kaizarea* (Kiacarea), miasto bardzo starożytne, widocznie słowiańskie. Historyk armeński mówi o największej zawziętości Armeńczyków przeciwko Kapadocjanom [1], co już dostatecznie zbija mniemanie Hizelego. Nareszcie on sam w rozprawie swojej i w karcie jeograficznej dodanej do niej, wymieniając wszystkie nazwiska dawnej Kapadocji, podaje nam mnóstwo imion słowiańskich. Między innemi są te: góra *Sinahora;* rzeki *Sirus, Carus;* góry i zamki *Nora, Zimara* co jest to samo co *Izmara* w Grecji północnej; *Góra sira, Ziele; Komena*, góra po grecku, znacząca górę kamienistą, a przypominająca wiele nazwisk podobnych w Polsce, jak naprzykład Kamień, Kamieniec i t. d.; *Zahora; Karpatium; Lebedon* port przy ujściu rzeki sławnej z mnóstwa łabędzi, a łabędź w niektórych słowiańskich językach jest *lebed; Kastabulo*, co naprowadza na imię Kostoboki, równie jak Doki, Amadoki, często napotykane około Karpat, a zapewne znaczące także nic innego tylko *mężów*, bo chociaż wyraz *dok* zaginął, mamy jego ślad w wyrazie *doczka*, i mógł znaczyć syna, mężczyznę, jak *doczka* znaczy córkę, dziewczynę. Ostatnim dowodem jest cześć oddawana w tych okolicach Mezji Jowiszowi zwanemu *Zeus Dakiae*, Jowisz

[1] Wedle tego kronikarza Armeńczycy tępili język Kapadoków, a swój starali się zaprowadzić. Że język Kapadoków był oddzielny od greckiego, armeńskiego i perskiego, są dowody: naprzód w biografji Apolonjusza z Thyany przez Philostrata, gdzie biograf wspomina o dziełach Apolonjusza pisanych po kapadocku; powtóre w cytacji dochowanej u Photiusza, gdzie jest mowa o języku Kapadoków φωνῇ τῶν Καππαδόκων.

dacki, co znaczy to samo co Ζεὺς ὁ οὐενέτιος, Jowisz wenetycki. Ale Hizeli mozolił się bardzo nad wykładem wzmianki Strabona o tem, bo nie wiedział, że Dak a *Venet* i *Henet* wszystko to jedno.

Opuszczamy wiele innych przytoczeń i dowodów szczegółowych. Tak naprzykład znajdujemy miasto *Euchalia* u Daków. *Euchalios* znaczyło także starożytnego mieszkańca Grecji północnej. Według Boccharda ma to być wyraz wschodni oznaczający niewolnika: starożytni ci mieszkańcy byli ludnością obróconą w niewolników. *Morze Karpackie* naprzeciw Azji Mniejszej odpowiada nazwisku gór *Karpackich*. Spółgłoski *k*, *r*, *p*, są tu źródłosłowem słowiańskim; z niego pochodzą: *Karp*, *Chrob*, *Chrobat*, *Karpaty*, *Karpadoki*. *Kap* i *Kop* nie są ani wschodnie ani łacińskie. Kapadocjanie azjatyccy, byli to ci sami Kapadoki, co mieszkali przy Karpatach pod imieniem Karpadoków, a stanowili nie inny lud od Myzów.

Nazwisko owego króla Frygijskiego *Gordius*, o którym zachowała się wieść starożytna, ma także brzmienie słowiańskie, *Gordius*, *Gordy*. Niektórzy panujący dostawali u Słowian przezwanie *Gordy*, *Hardy* czyli dumny. Wedle tradycji dawnej, kiedy lud ten Azji Mniejszej zgromadził się dla obrania sobie króla, wyrocznia zaleciła obrać tego, kto pierwszy przed wschodem słońca ukaże się na drodze. Spotkano jadącego wózkiem chłopa i obwołano go królem. Król ten kazał obok swego tronu złożyć wóz i pług w świątyni na pamiątkę z jakiego stanu został wyniesiony. Podobną tradycją widzimy w historji polskiej i czeskiej o Piaście. *Król chłop* jest osobą występującą na scenę w wielu powieściach gminnych. Podanie to przyszło ze Słowianami z Azji, a zdarzenie, które dało mu początek powtarzało się zapewnie nieraz. Dlategoż ta tradycja nie zaginęła nigdy, i aż do ostanich czasów rzeczypospolitej polskiej *Piast*, to jest *Chłop*, znaczył to samo co król narodowy.

Pomiędzy historykami, mogącemi dostarczyć objaśnień w niniejszym przedmiocie, zasługuje naprzód na uwagę Lelewel, który pierwszy odważył się uznać Słowian za odwiecznych mieszkańców ich ziemi; powtóre Szafarzyk, który udowodnił to historycznie zebraniem i wykładem wszelkich śladów znajdujących się w pisa-

rzach greckich i rzymskich. Ale największym, najwznioślejszym ze wszystkich badaczów słowiańskich, niezawodnie jest hrabia Jan Potocki. Należy on do tej generacji czasów Stanisława Augusta, której smutny koniec opowiedzieliśmy dawniej. Przeżywszy upadek Polski, szukał pociechy w śledzeniu jej początków, z tą myślą puszczał się na dalekie podróże po Azji i Afryce, miał zamiar aż do Chin zawędrować. Zostały po nim tylko cząstkowe rozprawy, dorywczo rzucane na papier wiadomości i domysły, notatki bezładne. Popełnił wiele błędów, nie znał wielu autorów bardzo ważnych dla dziejów słowiańskich; w pismach jego nie masz ani obranego planu, ani pewnego widoku: z tem wszystkiem jest to historyk pierwszy, nawet w całej Europie, co poznał wartość tradycji ustnej. Jeszcze przed Niebuhrem, który u wieśniaków włoskich, u bab na rynku w Rzymie rozpytywał się o Romulusie i Remusie, Potocki w budzie tatarskiej zastanawiał się nad historją Scytów, postrzegł, że Tatarzy i Scyty byli jednego plemienia. Uczuł on głęboko i często powtarza tę prawdę, że nie można inaczej zrozumieć przeszłości jak wpatrując się pilnie w teraźniejszość. Jemu także należy się wykazanie, że ziemia daleko dawniej niżeli sięga znana nam jej historja była już zamieszkałą przez ludzi; że co historycy prawią o barbarzyństwie czasów pierwotnych, o pustyniach i niedostępnych lasach, to wszędzie jest fałszem; że przed napadem Scytów, przed przybyciem Celtów do Europy, to jest na 2,000 lat przed Chrystusem, Europa była już zaludniona, i równie we Włoszech, we Francji, jak w Mezopotamji znajdowała się jedna ludność rolnicza, od której odróżnia drugą, znaną w podaniach starożytnych pod nazwiskiem *Olbrzymów*, *Cytów*, *Dżiburcytów* (Guiburtsits) należących do rodu Azów, czyli jeźdźców azjatyckich. Potocki wyniósł naukę z gabinetu literackiego na wolne powietrze, zwiedzał kraje, rozmawiał z ich mieszkańcami, przyglądał się ludom, z miejsc dochodził dziejów, czego żaden historyk nie czynił. Lelewel nie zna inaczej historji jak tylko z książek; dla Karamzina co nie napisane, to już i nie miało miejsca na świecie.

Podług tego cośmy powiedzieli o starożytności słowiańskiej, możnaby jeszcze wytknąć jej ślady w pomnikach sztuki, dodać do historji sztuk rozdział poświęcony obejrzeniu rzeczy pod względem słowiaństwa. Słowianie sami nie wydali żadnego utworu w tym

rodzaju; ale pomiędzy zabytkami sztukmistrzostwa Greków i Rzymian znajdują się dzieła stanowiące klasę osobną, typy zupełnie niehelleńskie i nieitalskie, które, uszykowane stosownie, mogą, jak mniemamy, przedstawić Słowianom treść losów ogólnych, kolej polityczną ich rodu.

Co do ideału dawnej potęgi Słowian, tego niemasz w sztuce: nigdzie nie odkryto posągu Nabuchodonozora. W Biblji tylko, w księgach Proroków, jest skreślony ideał tego mocarstwa gniotącego świat: ideał zbyt ogromny, zanadto materjalny dla sztuki plastycznej. Daniel wystawia go pod postacią olbrzyma mającego głowę złotą, piersi srebrne, nogi gliniane. Dziwna rzecz, że wielu historykom, wielu poetom nowożytnym przyszło na myśl, potęgę Rosji porównywać do tego bałwana. Ci nawet, co, jak się zdaje, nie czytują Biblji, powtarzają to porównanie; nawet w języku dyplomatycznym Rosja pospolicie nazywa się *Kolosem Północy*. To daje do myślenia. Bo gdyby przypuścić, że widok potęgi rosyjskiej samo przez się nasuwa tę figurę, toć przecięż Rzym niemniej był potężny, a nikt, ile nam wiadomo, nie nazwał Rzymu kolosem. Mocarstwo Karola Wielkiego, które także rozciągało się szeroko, obejmowało niemal całą Europę, nigdy nie przedstawiło się myśli w tym kształcie materjalnym: żaden poeta średniowieczny, żaden menestrel nie porównał Karola Wielkiego do kolosu. Weźmy jeszcze i to na uwagę, że Kollar, chociaż urojonego swego państwa słowiańskiego bynajmniej nie miał zamiaru równać z Nabuchodonozorskiem, owszem chciał je wystawić w apoteozie, wpadł jednak na ten sam obraz biblijny, i zlepkowi swojemu dał Rosją za głowę, Polskę za piersi, Czechy i kraje naddunajskie za ramiona. Gdyby się to stało, Słowianie znowuby świat opanowali: na dnie wszystkiego jest tu myśl, że dość być ludem muskularnie silnym i bardzo licznym, żeby panować narodom. Pragnienie osiągnięcia potęgi materjalnej natchnęło Kollarowi taki sam obraz, w jakim śnił ją król Babilonu. Nowy dowód prawdziwości duchownej Ksiąg Świętych, i także koniecznego związku między niektóremi myślami i niektóremi formami. Wyobrażenie potęgi politycznej zupełnie materjalnej ukazuje się zawsze w postaci kolosu: Nabuchodonozor zostanie na wieki jej symbolem. Ale jakże żądać urzeczywistnienia takiego państwa politycznego, którego symbol nawet nie

daje się ująć w żadną formę dokładną i nigdy nie mógł być wcielony w żaden utwór sztuki plastycznej?

Powtarzam, że niemasz posągu Nabuchodonozora.

Mamy za to posągi jego poddanych. Zajmiemy się zaraz niemi. Ukażą one nam historją tych Słowian, co, naprzód zwycięzcy Azji, byli przez swoich władców użyci za *narzędzie ucisku;* potem sami zwyciężeni, stali się *niewolnikami narodów;* nakoniec ginęli jako *ofiary pokutnicze.* Na każdą z tych epok sztuka zostawiła pomniki, które przywłaszczamy sobie, bo wyrażają dzieje naszego plemienia i my sami tylko jesteśmy zdolni wyłożyć co znaczą.

Na pierwszem miejscu w tej kategorji rzeźb postawimy sławny posąg znany pod nazwiskiem Scyty niewolnika, Barbarzyńcy, albo *Szlifierza (le Remouleur).* Jest to jedno z najpiękniejszych dzieł rzeźby greckiej. Pierwotwór znajduje się w galerji Florenckiej, można zaś widzieć doskonały odlew z bronzu w ogrodzie Tuilleryjskim. Posąg ten wyobraża człowieka nachylonego, który przykląkłszy, albo raczej przysiadłszy, ostrzy na kamieniu nóż szeroki. Dopiero Winkelmann, czy Visconti, jeden z nich, odgadł myśl rzeźbiarza, powiedział, że ten niewolnik ostrzy nóż do męczenia kogoś, ma wykonać jakieś okrucieństwo; odtąd też postawiono go naprzeciw *Marsjasza* i dwa te posągi składają jakby jedną całość. Wiadomo z mitologji, że Marsjasz został skazany przez Apolina na odarcie ze skóry.

Tu jest miejsce wspomnieć, że powieść o Marsjaszu przyszła z Frygji albo Lykaonji. Ta Lykaonja to nic innego tylko *Lutycja,* kraj *Lutyków,* kraj *Wilków.* Tam to właśnie Lykaon przemienił się w wilka, tam gniazdo bajek o *wilkołakach, wilkodrakach* (loup - garout, loup-dragon). Herodot powiada, jakoby mieli znajdować się między Neurami ludzie przemieniający się co rok na kilka dni w wilków. Neurowie byli jednym z ludów Słowiańszczyzny północnej; a dzisiaj jeszcze w naszych stronach nietylko zdarza się często słyszeć rozpowiadania o wilkołakach, ale można napotkać strzelców, którzy utrzymują, że zabili takiego wilka przemienionego z człowieka. Mit przeto o Marsjaszu odartym ze skóry, należąc do tych samych krajów co mit o Lykaonie, jest pierwotnie słowiańskim.

Zastanówny się teraz nad posągiem mniemanego wykonawcy

wyroku Apolina. Od pierwszego rzutu oka widać w nim typ obcy sztuce klasycznej, typ barbarzyński. Archeologowie też nazywają go albo ogólnie *Barbarzyńcą*, albo *Niewolnikiem scytyjskim*. To ostatnie nazwanie bardzo jest błędne. Scyty należeli do plemienia uralskiego; dosyć zaś zmierzyć cyrklem czaszkę *Szlifierza*, żeby się przekonać, że nie można go odnieść do żadnej gałęzi tego szczepu. Kąt tej czaszki ma liczbę stopni, jaka, wedle postrzeżeń wielu uczonych, odznacza czaszkę słowiańską; cała twarz zresztą daje tu odrazu poznać Słowianina. Pod tym względem nie pozostaje żadna wątpliwość; daleko trudniejsza i ważniejsza rzecz ująć myśl zsymbolizowaną w tym posągu. Umiejętność i pilność postrzeżeń na to nie wystarczają: trzeba tu odgadywać natchnieniem artystycznem. Ktokolwiek był ten znawca, co pierwszy w *Szlifierzu* dostrzegł kata, nie doszedł on do tego drogą badań archeologicznych, ale przyszło mu to z wewnętrznego poczucia. Poczuciem też należy myśl tę schwycić, żeby ją sprowadzić i uzupełnić.

Na pierwsze wejrzenie, w całej postaci *Szlifierza*, w twarzy i w oczach, nie masz nic groźnego ani dzikiego; zaraz jednak daje się czuć, że to nie jest jakiś sobie rzemieślnik, ostrzący narzędzie do zwyczajnej roboty. Widocznie, więcej go zajmuje to co ma robić, niżeli co robi. Nie patrzy na żelazo, które rękoma wodzi po kamieniu; głowę ma podniesioną, wzrokiem mglistym i osłupiałym pogląda na jakiś przedmiot czekający jego działania. Twarz jego jest kształtna, czoło tylko nieco spłaszczone. To czoło wyłysiałe i pomarszczone, policzki chude i zapadłe, pokazują człowieka znękanego długiem i tajonem wewnątrz cierpieniem. Cicha boleść, która wydaje się w ugięciu całego ciała, w układzie wszystkich jego członków, możnaby powiedzieć, że się zebrała mu na ustach. Nic bardziej przejmującego nad wyraz tych ust niemych, a razem wpół otworzonych ledwo dojrzanym uśmiechem ubolewającej nędzy. Jest to biedny Słowianin, zmuszony być oprawcą. Patrzy on na swoją ofiarę z politowaniem, czuje odrazę do jej męczenia, ale uśmiechem żałośnym pokazuje niemoc oparcia się tej konieczności. Smutny, struchlały, nadewszystko zaś posłuszny, bierze się do dzieła.

Pomiędzy tysiącami posągów starożytnych nagromadzonych we Włoszech, nie można znaleźć drugiego, coby nosił na sobie po-

dobny wyraz tej niedołężności okrutnej, tego posępnego i okropnego poddania się, na jakie w językach zachodnich niemasz słowa, a z jakiem Rosjanin częstokroć wymawia: *Słuszaju's...*

Posąg, o którym mówimy, przedstawia tych Słowian co składali zastępy królów Babilonu i Niniwy. Przerażeni bojaźnią i odurzeni świetnością swoich władców, ślepo posłuszni ich rozkazowi, biegli oni deptać, ujarzmiać i mordować narody wydane przez Opatrzność w ich ręce. Mamy w tym posągu treść dziejów słowiańskich od czasów najdawniejszych do podboju Azji przez Medów.

Kto przypatrzy się dobrze *Szlifierzowi*, temu łatwo będzie odróżnić całą klasę posągów i płaskorzeźb wyobrażających drugą epokę historji Assura. Assur już *zwyciężony*, ukazuje się nam w postaci *jeńca wojennego*. Typ ten dosyć pospolity na starożytnych pomnikach włoskich, a nawet, ile z rysunków sądzić można, nie obcy pomnikom egipskim i indyjskim, najczęściej daje się napotykać w Rzymie. Jest on podobno jedynym, który się w tem mieście utworzył i wydoskonalił. Przyczyna tego jasna. Najwięcej niewolników, pod koniec rzeczypospolitej i za cesarzów przyprowadzonych do Rzymu, było słowiańskich. Ponieważ celowali oni wzrostem i budową ciała, zdobiono nimi wjazdy zwycięskie wodzów, rznięte potem na łukach czyli bramach tryumfalnych. Słowianin stał się dla artystów modelem jeńca wojennego, ideałem siły fizycznej, pokonanej przez siłę moralną. Sztuka więc zostawiła mu całą piękność i można rzec całą godność fizyczną. Zawsze jest wystawiany rosłym, pleczystym i kształtnym; ale chociażby nie miał rąk w tył związanych, łatwo byłoby poznać w nim niewolnika: postawę ma ugiętą i nieswobodną, idzie z głową spuszczoną i nie śmie podnieść oczu. Tacy są Słowianie na wielu pomnikach, a mianowicie na kolumnie Trajana, gdzie się zupełnie różnią od Partów, Medów i innych ludów konnych. Kolumna Trajana jest arcywzorem w tym względzie.

Dalej, sztuka ma jeszcze niższy typ tegoż Syryjczyka zwyciężonego, typ, który już wychodzi z dziedziny rzeźby właściwej i należy do rzędu ozdób budownictwa. Widzimy go w owych posągosłupach, zwanych *karjatydami* (caryatides), które są symbolem ostatecznego znikczemnienia rodu słowiańskiego. *Karjatyd*, to niewolnik *(servus* albo *serva)* bez żadnych już uczuć moralnych, po-

zbawiony i woli i ruchu; człowiek obrócony w bryłę stanowiącą cząstkę budowy. Do wymyślenia i wykształcenia takiego utworu Rzym miał pełno żywych wzorów. Snuły się one po ulicach, uginając się pod ciężarami. Byli to Mezjanie, których Catullus nazywa *silnym towarem* azjatyckim: Kapadocjanie, których królowie, jak powiada Horacy, nie mieli nic innego na przedaż, prócz swoich poddanych, Kapadocjanie spodleni do tego stopnia, że nie chcieli przyjąć wolności przynoszonej im przez Rzymian, i woleli być przedawani przez swoich panów; byli to nadewszystko Karowie, którym Homer dawał przydomek *ogromnych* albo *potężnych*. Z dochowaną tą zaletą czasów Homerowskich służyli oni Rzymianom do dźwigania krzeseł i lektyk. Wkrótce budownictwo zabrało ich sobie i postawiło dźwigać gzymsy, krużganki, sklepienia. Samo imię *karjatyd* pokazuje, że powstały z *Karów*. Tak jest! Nieszczęsny Słowianin Kar, spadając z poniżenia w poniżenie, osłupiał nakoniec i skamieniał. Sztuka natenczas postąpiła z nim jak z głazem, wmurowała go w ścianę. Artyści, sponiewierawszy jestestwo człowiecze Kara, zidealizowali w nim co miał najmniej organicznego, osnowę kościstą. Z całej postaci ludzkiej uszanowali część najbardziej zbliżającą się do słupa. Kark gruby, na którym trzyma się głowa przygnieciona i z którego rozrastają się ramiona żylaste, to karjatyd, to człowiek — podstawa.

Ostatni i najpiękniejszy wizerunek nieszczęść tego rodu, wizerunek Słowianina cierpiącego, ale już z duchem na zwrocie ku Bogu, mamy w *Gladjatorze konającym*. Sławny ten posąg muzeum kapitolińskiego w Rzymie, ceniony przez artystów jako przewyborne dzieło sztuki, nie ściągał na się uwagi wieku przeszłego, który wolał Wenery i Kupidynów. Wziętość tego posągu poczyna się z wiekiem obecnym, i teraz można powiedzieć stanowi on główny przedmiot ciekawości: zawsze widać koło niego gromadę cudzoziemców przypatrujących się pilnie i z wnijściem w głęboką myśl sztukmistrza. Myśl tę odgadnioną uczuciem objawili poeci. Któż nie zna prześlicznych wierszy Byrona o nim? Byron lepiej niżeli Winkelmann, Visconti i wszyscy znawcy, pojął co znaczy ten Gladjator; z dziwną przenikliwością genjuszu wyczytał w nim przeszłość całego narodu; nigdy nie będąc w krajach słowiańskich, poznał że to Słowianin. Leży on pośród cyrku rzymskiego raniony

śmiertelnie; krew poczyna mu toczyć się z rany kroplami podobnemi — jak powiada Byron — do tych bujnych i rzadkich kropel deszczu co padają przed ulewą. Nic go nie obchodzi co się koło niego dzieje: nie patrzy ani na przeciwnika, który go obalił, ani na lud, który bawi się widokiem jego śmierci; umiera bez gniewu, bez wstydu i bez żalu; zdaje się być w zachwyceniu i myśli — jak także powiada Byron — o swoim kraju [1]. Cały jego duch zebrał się do odlotu i w tej uroczystej chwili przyszła mu na pamięć rodzinna chatka nad Dunajem skąd go wyrwano kiedyś. Sztuka starożytna nie wydała nic tragiczniejszego nad tę figurę. Zaleski dostrzegł w niej również piętno słowiańskie, i rzekł:

Bystro w *Konającego* twarz *Gladyjatora*
Patrzałem, aż mi żyła w skroń nabiegła sina,
I w krwi całej zagrało hura! Słowianina.
Zamierzchłych gdzieś stoleci brat, ożył w posągu,
Jęknął — co czuł i cierpiał w żałośnych dni ciągu.

Gladjator ten wszakże jest to jeszcze poganin: wzrok jego nie utkwiony w niebo, na czole jego nie jaśnieje zwycięska radość męczenników; ale ze wszystkich twarzy rzeźby dawnej ta jedna zbliża się najbardziej do typu chrześcijańskiego, przedstawia ona oblicze Słowian wyrobionych już do przyjęcia chrześcijaństwa.

Może kto nam zarzuci, że nasze postrzeżenia archeologiczne nie są dostatecznie udowodnione; w takim razie odwołamy się po wsparcie dla historji do obecnego stanu rzeczy, na świadectwo przeszłości wezwiemy teraźniejszość. Zapytamy Słowian, niech nam powiedzą, czy w naszych krajach, dziś jeszcze, nie znajdują się żywe wzory wszystkich tych rzeźb starożytnych? U nas bowiem, jak to już mówiliśmy nieraz, charaktery epok najdawniejszych nie przestają trwać obok najnowszych. Czasy assyryjskie, kapadockie, rzymskie, stoją na ziemi słowiańskiej jedne wedle drugich, wi-

[1] He reck'd not of the life he lost nor prize,
But where his rude hut by the Danube lay,
There were his young barbarians all at play,
There was their Dacian mother — he, their sire,
Butcher'd to made a Roman holiday —
All this rush'd with his blood —

dzialne dotąd. Pierwszy lepszy żołnierz rosyjski może być wzięty za istny model samego *Szlifierza*, albo posągu do postawienia naprzeciw niego. Na drogach z Polski i Litwy w głąb cesarstwa często dają się spotkać oddziały rekrutów pędzonych gwałtem: nic nad to podobniejszego do płaskorzeźb *kolumny Trajana*. Jeżeli kto zajrzy do kopalni sybirskich, znajdzie tam i *karjatydy*.

Nie będziemy dalej prowadzili tych porównań: byłoby nam zbyt przykro wspomnieć tu o *Gladjatorze konającym*.

LEKCJA VIII

Wtorek, 24 stycznia 1843

Poezja, ruch ducha, łączy dwa przeciwne końce bytu narodu lub plemienia. — Assur i Messjanizm. — Odstępstwo i Messjanizm fałszywy. — Rozbiór *Nieboskiej Komedji*. — Co to jest rzeczywistość. — Dramat proroczy. — Walka przeszłości z przyszłością. — Hrabia, bohater dramatu.

Póki tylko jaki naród nie zniknie, póki jakie plemię trwa na ziemi, póty jego przeszłość ciągle przez obecność styka się z przyszłością. Z głębi więc najdawniejszych czasów przeniesiemy się w dzisiejsze, i zawsze będziemy mieli przed oczyma te same zadania. Staraliśmy się, badając pierwotne dzieje Słowian, odkryć przyczyny niewypowiedzianych nieszczęść całego ich rodu, zwrócimy teraz oko na to, jak walcząc z obecnością, dobijają się o lepszą przyszłość.

Poezja, uczucie, ruch ducha, to tętno naszego jestestwa niecielesnego, każdem drgnieniem porusza końcowe ogniwa w życiu historycznem narodu albo plemienia. Po zastanowieniu się nad losami *Assura* wracamy znowu do *Messjanizmu*. Wiemy już z filozofa polskiego, o którym mówiliśmy w roku przeszłym, że messjanizm nie może obejść się bez apostazji, czyli zaparcia się, odstępstwa, zdrady. To odstępstwo, ta zdrada, są niczem innem tylko oporem przeszłości i bytu obecnego przeciwko temu co nadchodzi. Do tych zjawisk messjanizmu dodać jeszcze należy messjanizm fałszywy, udawany, nieprawnie podszywający się pod to nazwisko,

który także musi mieć miejsce w rozwijaniu się prawdy nowej. Jest on owocem pracy umysłów silnych, wzlatujących w przyszłość, ale drogami nieprawemi, manowcami, i przeto zbłąkanych. Pod tym względem możnaby tu zaliczyć wszystkie dzieła poezji i filozofji tegoczesnej. Zastanawiając się nad niemi nietrudno postrzec co jest błędnego w ich dążnościach i w formułach jakie nam podają.

Zajmiemy się dokładnym rozbiorem jednego z najznakomitszych dzieł w tym rodzaju, które wydane zostało w r. 1834, i ma tytuł *Nieboskiej Komedji.*

Nie chcielibyśmy tego dzieła nazwać dramatem fantastycznym. Zwykle tak nazywane bywają dramata, gdzie napotykamy sceny i osoby nadzwyczajne, gdzie autor zdaje się wykraczać za granicę życia powszedniego, za obręb rzeczywistości prozaicznej. Tymczasem nic nie masz fantastyczniejszego nad to co ludzie nazywają rzeczywistością. Cóż bardziej jest względne, zmienne, znikome jak ta mniemana rzeczywistość, czyli ten świat widomy, który ciągle przemija, który albo już był, albo jeszcze ma być, a można powiedzieć, nigdy nie jest obecnie, z którego tyle tylko pozostaje, ile duch zachowa. Duch, chwytając, zatrzymując, ustalając przelotne stosunki świata widomego, nadaje mu niejaki byt rzeczywisty, tworzy pojęcia, wyobrażenia, instytucje, dzieła, jedyne rzeczy istotne, jedyne co, przechodząc przez ducha, stanowią żywe podania rodu ludzkiego. Wszelkie więc dzieło, które nas wzrusza, które udziela nam życia nowego, albo obudza w nas życie dawniejsze, jest dziełem należącem do rzeczywistości. Pisarze cudzoziemscy przyznają to poezji polskiej, że jest bardzo rzeczywistą, a nie znamy nic rzeczywistszego, nic mocniej dotykającego zadań dzisiejszych jak dzieło, o którem mówimy.

Czas, miejsce, osoby *Komedji Nieboskiej* — wszystko to jest utworzone przez poetę. Dramat odegrywa się w chwilach spodziewanych, niedalekich, ale jeszcze nie nadeszłych. Pierwszy to dopiero autor odważył się pisać dramat proroczy, przedstawiać osoby i zdarzenia co mają być kiedyś. Scena jednak toczy się w Polsce, a czas jej niebardzo oddalony od dni naszych; bo osoby mówią po naszemu, mają nasze przesądy, nasze zwyczaje: możemy poznać, że należą do naszego pokolenia i do narodu polskiego, chociaż autor nie kładzie na nich żadnej cechy krajowej, nie naprowadza

nic tak zwanym kolorytem miejscowym. Niemasz tam ni ubiorów, ni żadnych szczegółów odróżniających zewnętrznie naród od narodu: jest to niejako zbiór ludzi, w których poznajemy tylko Europejczyków, towarzystwo mężczyzn i kobiet dobrze wychowanych, europejskie. Że ci ludzie są Polakami, wydaje się to nadewszystko przez rażącą sprzeczność, jaka zachodzi między stanem społeczeństwa, który czujemy raczej niżeli widzimy, a charakterami osób. Osoby te w innem społeczeństwie, w innym czasie, składałyby towarzystwo uczciwe i miłe, ale w narodzie przygniecionym całym ciężarem bolesnej swej przeszłości, w narodzie, z którego łona ma zabłysnąć przyszłość, wszyscy ci aktorowie dramatu, ze swojemi przesądami, ze swoim ciasnym sposobem sądzenia rzeczy, wyglądają na karykatury.

Pośród takiego to społeczeństwa ukazuje się nam jeden człowiek, z ducha należący już do przyszłości, człowiek w duchu silny, ognisty, palony żądzą zbadania wyroków Opatrzności, nie mogący oddychać w niskim zakresie powszedniego życia. Ten bohater dramatu rzuca na wszystko co go otacza jakiś blask płomienia piekielnego; osoby podrzędne wydają się przy nim nakształt widmi sinych. Charakter jego zawiera w sobie wszystkie charaktery wystawione przez poetów tegoczesnych, już polskich, już obcych. Jest to *Korsarz* Byrona, ale korsarz nawrócony; jest to *Graf Wacław* Malczewskiego, ale który już zeszedł do życia pospolitego; jest to ów drugi *Wacław* Garczyńskiego, Wacław filozof, ale na drodze rzeczywistego działania. Położenie jego wynika z położenia ojczyzny. Polska w *Komedji Nieboskiej*, — trzeba to wiedzieć aby rozumieć dzieło, — nie jest Polską jaką znamy, nie jest naszą Polską historyczną i jeograficzną; możemy tylko ją sobie wyobrazić, przypuściwszy naprzykład, gdyby nagle, zbiegiem jakich wypadków, skutkiem jakiego kongresu stanęła cała i niepodległa, ale bez własnej siły żywotnej wewnątrz, natchnięta jedynie życiem obcem, europejskiem, ruszająca się mocą uczuć i wyobrażeń wyrobionych w Europie. Łatwo pojąć, że w takiej Polsce ludzie najdzielniejsi, najwięcej wytężonego ducha, nie mogąc w żaden sposób swojej przeszłości związać z przyszłością, ujrzeli się zupełnie zbici z toru, podobnie jak ci wodzowie greccy, sławni w czasie powstania, co teraz wleką życie tęskne i pozbawione celu. Owóż, bohater *Komedji Nieboskiej*

znajduje się w takiej Polsce. Z urodzenia jest on panem, możnym szlachcicem polskim. Szlachta polska, która przewodniczyła losom narodu, pierwsza też została zadzierzgnięta w węzeł zadań społecznych i religijnych; pierwsza doświadcza stąd udręczeń, i zna to, że na niej ciąży rozstrzygnięcie wszystkiego, że ona pierwsza powinna otworzyć szranki. Z usposobienia jest on poetą, poetą jak to pospolicie lud rozumie, który nazywa tak każdego człowieka, co w uczuciach i postępkach nie trzyma się ubitych kolei, co powoduje się jakąś wyższą prawdą nad zwykłe pobudki i prawidła codziennego życia pospolitych ludzi.

Pierwsza scena dramatu, można powiedzieć, jest zamknięciem romantycznej i społecznej poezji polskiej naszego wieku. Bohater dzieła, Hrabia Henryk, ów pan możny i poeta, morduje się naprzód nad rozwiązaniem zagadnień religijnych i społeczeńskich, traci wreszcie nadzieję dojścia do czegoś, chce dać pokój wszystkiemu, wrócić na drogę powszedniego życia, zrzec się próżnych dociekań, a zająć się rzeczywistością. W tym celu przedsiębierze nawet wprząc siebie w obowiązki, w karby prawa. Postrzegamy go właśnie, kiedy zamyśla ożenić się. Scenę tę rozpoczyna rozmowa duchów niewidomych, dobrych i złych: jedne chcą go wesprzeć na drodze dopełnienia powinności, drugie usiłują zwieść na ścieżki błędu.

Anioł stróż

„Pokój ludziom dobrej woli — błogosławiony pośród stworzeń kto ma serce — on jeszcze zbawionym być może — żono dobra i skromna, zjaw się dla niego — i dziecię niechaj się urodzi w domu waszym."

Od tych słów usłyszanych niegdyś przez pasterzy: *pokój ludziom dobrej woli*, od słów zwiastujących epokę nową, rozpoczyna się dramat. W epokach wielkich tylko ludzie dobrej woli, szczerze szukający prawdy, mogą ją pojąć. Tak rozumieć należy i ten wiersz: *błogosławiony pośród stworzeń kto ma serce;* bo w epokach tych liczba ludzi z niestraconem sercem zwykle jest szczupła. Dla pokrzepienia takiego męża, anioł rozkazuje żonie zjawić się dla niego,

i duszy czystej, niewinnej zamieszkać między niemi: *dziecię niechaj się urodzi w domu waszym.*

Dopiero złe duchy ze swojej strony popychają go także, ale na fałszywą drogę; starają się go złudzić poetyckiem wystawieniem przeszłości, żądzą ambicji, sławy światowej i zamierzchłemi wspomnieniami czasów szczęśliwych, któreby chciano odbudować na ziemi. Trzy systemy: *poetyczny, panteistyczny i antropoteistyczny* czyli ubóstwiający człowieka, stają tu obok siebie: wszelkie rodzaje pokus są użyte.

Chór złych duchów

„W drogę, w drogę, widma, lećcie ku niemu! — Ty naprzód, ty na czele, cieniu nałożnicy umarłej wczoraj, odświeżony w mgle i ubrany w kwiaty, dziewico, kochanko poety, naprzód —

„W drogę i ty, sławo, stary orle wypchany w piekle, zdjęty z palu kędy cię strzelec zawiesił w jesieni — leć i roztocz skrzydła, wielkie, białe od słońca, nad głową poety. —

„Z naszych sklepów wynidź, spróchniały obrazie Edenu, dzieło Belzebuba — dziury zalepim i rozwiedziemy pokostem — a potem, płótno czarodziejskie, zwiń się w chmurę i leć do poety — wnet się rozwiąż naokoło niego, opasz go skałami i wodami, naprzemian nocą i dniem — Matko naturo, otocz poetę!"

Poeta poślubia sobie przeszłość, pojmuje w małżeństwie kobietę dobrą, cichą, religijną, która go nie może rozumieć, i kiedy on do niej woła: „O wiecznie, wiecznie będziesz pieśnią moją" — ona mu odpowiada: „Będę wierną żoną tobie, jako matka mówiła, jako serce mówi." Z tą żoną przepędza dni, miesięce, lata, oddany życiu powszedniemu. Ten duch uwięziony, jest to Prometeusz dawnej powieści; ale zbudza się nagle.

Autor stawi tutaj przed swoim bohaterem owe widmo jego kochanki, ów ideał przybrany we wszystkie wdzięki jego marzeń młodzieńczych, który ocuca go ze snu.

Mąż

„Przeklęta niech będzie chwila, w której pojąłem kobietę,

w której opuściłem kochankę lat młodych, myśl myśli moich, duszę duszy mojej...

Żona

„Co się stało — czy już dzień — czy powóz zaszedł? — wszak mamy jechać dzisiaj po różne sprawunki.

. . . . . .

Mąż

„Od dnia ślubu mojego spałem snem odrętwiałych, snem żarłoków, snem fabrykanta Niemca przy żonie Niemce — świat cały jakoś zasnął wokoło mnie na podobieństwo moje — jeździłem po krewnych, po doktorach, po sklepach, a że dziecię ma się mi narodzić, myślałem o mamce —

(Bije druga na wieży kościoła)

„Do mnie państwa moje dawne, zaludnione, żyjące, garnące się pod myśl moją — słuchające natchnień moich — niegdyś odgłos nocnego dzwonu był hasłem waszem. —

(Chodzi i załamuje ręce)

„Boże, czyś Ty sam uświęcił związek dwóch ciał: czyś Ty sam wyrzekł, że nic ich rozerwać nie zdoła, choć dusze się odepchną od siebie, pójdą każda w swoją stronę, i ciała gdyby dwa trupy zostawią przy sobie? —

„Znowu jesteś przy mnie — *(Odzywa się do cienia kochanki)* — o moja — o moja; zabierz mnie z sobą — jeśliś złudzeniem, jeślim cię wymyślił, a tyś się utworzyła ze mnie i teraz objawiasz się mnie, niechże i ja będę marą, stanę się mgłą i dymem, by zjednoczyć się z tobą.

. . . . . .

Żona

„Dzisiaj, wczoraj — ach! mój ty Boże, i przez cały tydzień, i już od trzech tygodni, od miesiąca, słowa nie rzekłeś do mnie — i wszyscy których widzę, mówią mi, że źle wyglądam.

Mąż

„Zdaje mi się owszem, że dobrze wyglądasz.

Żona

„Tobie wszystko jedno, bo już nie patrzysz na mnie, odwracasz się kiedy wchodzę, i zakrywasz oczy kiedy siedzę blisko — wczoraj byłam u spowiedzi i przypominałam sobie wszystkie grzechy, a nie mogłam nic znaleźć takiego coby cię obrazić mogło.

Mąż

„Nie obraziłaś mnie —

Żona

„Mój Boże — mój Boże.

Mąż

„Czuję, że powinienem cię kochać —

Żona

„Dobiłeś mnie tem jednem: powinienem — ach! lepiej wstań i powiedz — „nie kocham“ — przynajmniej już będę wiedziała wszystko — wszystko — “

Przy końcu tak prowadzonej rozmowy, wchodzi znowu cień kochanki i wabi męża do siebie, a kiedy żona chce go zatrzymać, wtedy on odzywa się do niej:

„Kobieto z gliny i błota, nie zazdrość, nie potwarzaj — nie bluźń — patrz — to myśl pierwsza Boga o tobie, ale tyś poszła za radą węża i stałaś się czem jesteś — “

Po tych słowach mąż porzuca żonę i goni za ulubionem widmem. W tej jego wędrówce po górach, lasach, przepaściach, poeta wystawił obraz życia awanturniczego. Jest już on nad brzegiem

otchłani i ma w nią lecieć, kiedy Anioł zwiastuje mu ocalenie, bo w tej chwili odbywa się chrzest jego dziecka.

Żeby zrozumieć piękną osnowę tego dramatu, trzeba ciągle upatrywać w nim postać wychodzącej na scenę przeszłości, obok osoby która wyobraża przyszłość. Przeszłość ukazuje się tu z tem wszystkiem co ma najzimniejszego, najbardziej martwego w swoich formach. Mieliśmy naprzód ślub, teraz oto są chrzciny. Zbierają się goście sproszeni na ten obrządek.

Pierwszy gość

„Dziwna rzecz, gdzie Hrabia się podział.

Drugi gość

„Zabałamucił się gdzieś lub pisze.

Pierwszy gość

„A pani blada, niewyspana, słowa do nikogo nie przemówiła.

Trzeci gość

„Chrzest dzisiejszy przypomina mi bale, na które zaprosiwszy Gospodarz, zgra się w wilją w karty, a potem gości przyjmuje z grzecznością rozpaczy.

Czwarty gość

„Opuściłem śliczną księżniczkę — przyszedłem — sądziłem, że będzie sute śniadanie, a zamiast tego, jako Pismo mówi, płacz i zgrzytanie zębów.

Ksiądz

„Jerzy Stanisławie, przyjmujesz olej święty?

Ojciec i Matka chrzestna

„Przyjmuję.“

Ceremonja odbywa się zwyczajnym sposobem, tymczasem matka jakby z letargu przeckniona, chwiejącym się krokiem przystępuje do dziecka, kładzie mu dłonie na głowie i przemawia uroczyście:

„Błogosławię cię, Orciu, błogosławię, dziecię moje — Bądź poetą, aby cię Ojciec kochał, nie odrzucił kiedyś. —

Matka chrzestna

„Ale pozwólże, moja Marysiu —

Ksiądz

„Bój się Pani Hrabina Boga —

Matka

„Przeklinam cię, jeśli nie będziesz poetą. — “

Obrzęd się kończy, wszyscy rozchodzą się zdziwieni i pomięszani, ojciec chrzestny zatrzymuje się przed kolebką dziecka.

„Jerzy Stanisławie, dopiero coś został Chrześcijaninem i wszedł do towarzystwa ludzkiego, a później zostaniesz obywatelem, a za staraniem rodziców i łaską Bożą znakomitym urzędnikiem — pamiętaj, że Ojczyznę kochać trzeba, i że nawet za Ojczyznę zginąć jest pięknie...“

Tak się odbyły chrzciny. Wszyscy robili tu swoje. Goście przyszli jedni dla śniadania, drudzy dla rozrywki, ksiądz, co dawniej dał ślub nieszczęsnej parze, teraz odmówił sakramentalne słowa, zlewając wodą święconą czoło dziecięcia; ojciec chrzestny wystąpił z perorą, którą może sto razy powtarzał pierwej w podobnych okolicznościach. Sama tylko Hrabina jest osobą zajmującą. Daje ona błogosławieństwo synowi z życzeniem, żeby był poetą, to jest człowiekiem, który ma czucie, który pracuje wewnętrznie. To jedno zastanawia czytelnika. Krytycy zarzucali całej tej scenie

oziębłość i pospolitość; uważamy ją jednak za prześliczną nawet dla samej prostoty.

Następuje zaraz druga scena, niemniej poprostu i wybornie odmalowana, kiedy Hrabia ze swojej błędnej wycieczki wraca do domu, scena zamykająca historją domowego pożycia nieszczęśliwego męża.

Mąż

„Gdzie Pani?

Sługa

„Jaśnie Wielmożna Pani słaba.

Mąż

„Byłem w jej pokoju — pusty —

Sługa

„Jasny Panie, bo Jaśnie Wielmożnej Pani tu niema.

Mąż

„A gdzie? —

Sługa

„Odwieźli ją wczoraj...

Mąż

„Gdzie? —

Sługa

„Do domu warjatów —

(ucieka z pokoju)

Mąż

„Słuchaj, Marjo, może ty udajesz, skryłaś się gdzie, żeby mnie ukarać, ozwij się, proszę cię — Marjo — Marysiu —

„Nie — nikt nie odpowiada — Janie! — Katarzyno! — Ten dom cały ogłuchł — oniemiał —

„Tę, której przysiągłem na wierność i szczęście, sam strąciłem do rzędu potępionych już na tym świecie. — Wszystko czegom się dotknął zniszczyłem, i siebie samego zniszczę w końcu. — Czyż na to piekło mnie wypuściło, bym trochę dłużej był jego żywym obrazem na ziemi? —

„Na jakiejże poduszce ona dziś głowę położy. — Jakież dźwięki otoczą ją w nocy. — Skowyczenia i śpiewy obłąkanych. — Widzę ją — czoło, na którem zawsze myśl spokojna, witająca — uprzejma — przezierała — pochylone trzyma — myśl dobrą swoją posłała w nieznane obszary, może za mną, i błąka się biedna i płacze."

Hrabia Henryk wypada za drzwi, każe podać sobie konia, bieży do domu obłąkanych. Dom ten w układzie dramatu zajmuje miejsce znaczące. Społeczność stara, jednostajna, ostygła, napozór szczęśliwa, ma się już rozchwiać; myśl społeczności nowej burzącą się i zmąconą, podobną do tych źródeł w górach wulkanicznych, co nagle robią się mętne kiedy wybuch ma nastąpić, autor ukazał w tej scenie, gdzie krzyki i słowa zamkniętych przedzierają się jakby dymy ze szczelin skały przed wytryskiem płomienia. Cokolwiek społeczność przyszła może mieć w sobie gwałtownego, okropnego, szatańskiego, to wszystko niby w zarodzie już będące przedstawia tutaj dom warjatów.

Głosy, które wśród tej sceny odzywają się ze strony prawej i lewej, wyobrażają partje polityczne; głosy z góry i z dołu, znaczą obecny porządek religijny i społeczny.

Głos z nad sufitu

„W łańcuchy spętaliście Boga. — Jeden już umarł na krzyżu. — Ja drugi Bóg, i równie wśród katów. —

Głos z pod podłogi

„Na rusztowanie głowy królów i panów — ode mnie poczyna się wolność ludu. —

Głos z za prawej ściany

„Klękajcie przed królem waszym.
(Głosy te słychać w pokoju chorej)

Mąż

„Czy mnie poznajesz, Marjo? —

Żona

„Przysięgam ci na wierność do grobu. —

Mąż

„Chodź — daj mi ramię, wyjdziemy. —

Żona

„Nie mogę się podnieść — dusza opuściła ciało moje, wstąpiła do głowy. —

Mąż

„Pozwól, wyniosę ciebie. —

Żona

„Dozwól chwil kilka jeszcze, a stanę się godną ciebie. —

Mąż

„Jakto?

. . . . . .

Żona

„Od kiedym cię straciła, zaszła odmiana we mnie. — „Panie Boże“ mówiłam, i biłam się w piersi, i gromnicę przystawiałam do piersi, i pokutowałam, „spuść na mnie ducha poezji“ — i trzeciego dnia z rana stałam się poetą.... Henryku, mną teraz już nie

pogardzisz — jestem pełna natchnienia — wieczorami już mnie nie będziesz porzucał.

Mąż

„Nigdy, nigdy. —

Żona

„Patrz na mnie. — Czy nie zrównałam się z tobą — wszystko pojmę, zrozumiem, wydam, wygram, wyśpiewam. — Morze, gwiazdy, burza, bitwa. — Tak, gwiazdy, burza, morze — ach! wymknęło mi się jeszcze coś — bitwa. — Musisz mnie zaprowadzić na bitwę...

. . . . . .

Mąż

„Marjo, może chcesz widzieć syna? —

Żona

„Jam mu skrzydła przypięła, posłała między światy, by się napoił wszystkiem co piękne, i straszne, i wyniosłe. — On wróci kiedyś i uraduje ciebie. — Ach!“

W ciągu tej rozmowy głosy nie przestają mieszać się do niej. Kiedy Hrabia, po chwili lepszej nadziei, uczuł znowu boleśnie smutny stan żony, dały się słyszeć ich wołania.

Głos z pod posadzki

„Trzech królów własną ręką zabiłem — dziesięciu jest jeszcze — i księży stu śpiewających mszę.

Głos z lewej strony

„Słońce trzecią część blasku straciło — gwiazdy poczynają potykać się po drogach swoich — niestety — niestety!

Żona

„Tamten dziwne cierpi obłąkanie — nieprawdaż?

Mąż

„Najdziwniejsze. —

Żona

„On nie wie co gada, ale ja ci ogłoszę coby było gdyby Bóg oszalał. —

(Bierze go za rękę)

„Wszystkie światy lecą to na dół, to w górę — człowiek każdy, robak każdy krzyczy — „Ja Bogiem“ — i co chwila jeden po drugim konają — gasną komety i słońca. — Chrystus nas już nie zbawi — krzyż swój wziął w ręce obie i rzucił w otchłań. — Czy słyszysz jak ten krzyż, nadzieja miljonów, rozbija się o gwiazdy, łamie się, pęka, rozlatuje w kawałki, a coraz niżej i niżej — aż tuman wielki powstał z jego odłamków. — Najświętsza Bogarodzica jedna się jeszcze modli, i gwiazdy, Jej służebnice, nie odbiegły Jej dotąd — ale i Ona pójdzie kędy idzie świat cały.

. . . . . .

Mąż

„Źle tobie?

Żona

„W głowie mi ktoś lampę zawiesił, i lampa się kołysze — nieznośnie.“ —

Nakoniec chora kona w objęciach męża. Ze smutnego małżeństwa tego pozostało tylko jedno dziecko, przeznaczone także na niedługie życie, trawione ogniem wybujałej wyobraźni niszczącej jego siły fizyczne. Jest to latorośl chorowitej, bliskiej zgonu społeczności. Tu zamyka się część pierwsza dramatu.

Ponieważ dramat niniejszy nie jest przeznaczony do odegrywania na teatrze, są w nim często ustępy opisowe, obrazy kreślone przez autora. Do najśliczniejszych z pomiędzy nich należy wizerunek tego dziecka, otwierający właśnie część drugą.

„Czemu, o dziecię, nie hasasz na kijku, nie bawisz się lalką, much nie mordujesz, nie wbijasz na pal motyli, nie tarzasz się po trawnikach, nie kradniesz łakoci, nie oblewasz łzami wszystkich liter od A do Z? — Królu much i motyli, przyjacielu poliszynela, czarcie maleńki, czemuś tak podobny do aniołka? — Co znaczą twoje błękitne oczy, pochylone choć żywe, pełne wspomnień, choć ledwo kilka wiosen przeszło ci nad głową? — Skąd czoło opierasz na rączkach białych i zdajesz się marzyć, a jako kwiat obarczony rosą, tak skronie twoje obarczone myślami? —

„A kiedy się zarumienisz, płoniesz jak stulistna róża, i pukle odrzucając w tył, wzroczkiem sięgasz do nieba. — Powiedz co słyszysz, co widzisz, z kim rozmawiasz wtedy? — bo na twe czoło występują zmarszczki, gdyby cieniutkie nici, płynące z niewidzialnego kłębka — bo w oczach twoich jaśnieje iskra, której nikt nie rozumie — a matka twoja płacze i woła na ciebie, i myśli, że jej nie kochasz — a znajomi i krewni wołają na ciebie, i myślą, że ich nie poznajesz — twój ojciec jeden milczy, i spogląda ponuro, aż łza mu się kręci i znowu gdzieś przepadnie. —

. . . . . .

„Tymczasem wzrastasz i piękniejesz — nie ową świeżością dzieciństwa mleczną i poziemkową, ale pięknością dziwnych niepojętych myśli, które chyba z innego świata płyną ku tobie — bo choć często oczy masz gasnące, śniade lica, zgięte piersi, każdy, co spojrzy na ciebie, zatrzyma się i powie: „Jakie śliczne dziecię.“ — Gdyby kwiat co więdnie miał duszę z ognia i natchnienie z nieba, gdyby na każdym listku chylącym się ku ziemi anielska myśl leżała miasto kropli rosy, ten kwiat byłby do ciebie podobnym, o dziecię moje — może takie bywały przed upadkiem Adama.“ —

Dziecię to od małych lat schodzi już ze zwyczajnych kolei.

Poeta ukazuje nam je obok ojca w scenie na smętarzu przy grobie nieboszczki matki.

Mąż

„Zdejm kapelusik i módl się za duszę matki. —

Orcio

„Zdrowaś, Panno Maryjo, łaski Bożej pełna, Pan z Tobą, błobios, pani wszystkiego co kwitnie na ziemi, po polach, nad strumieniami...

Mąż

„Czego odmieniasz słowa modlitwy — módl się jak cię nauczono, za matkę, która temu dziesięć lat właśnie o tej samej godzinie skonała. —

Orcio

„Zdrowaś, Panno Maryjo, łaski Bożej pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś między Aniołami, i każdy z nich, kiedy przechodzisz, tęczę jedną ze skrzydeł swych wydziera i rzuca pod stopy Twoje. — Ty na nich jak gdyby na falach...

Mąż

„Orcio! —

Orcio

„Kiedy mi się te słowa nawijają i bolą w głowie tak, że, proszę Papy, muszę je powiedzieć. —

Mąż

„Wstań, taka modlitwa nie idzie do Boga. — Matki nie pamiętasz — nie możesz jej kochać. —

Orcio

„Widuję bardzo często Mamę. —

Mąż

„Gdzie? mój maleńki. —

Orcio

„We śnie, to jest niezupełnie we śnie, ale tak kiedy zasypiam, naprzykład zawczoraj. —

Mąż

„Dziecko moje, co ty gadasz?

Orcio

„Była bardzo biała i wychudła. Zdawało mi się, że się przechadza po wielkiej i szerokiej ciemności, sama bardzo biała, i mówiła:

„Błąkam się wszędzie,
Wszędzie się wdzieram,
Gdzie światów krawędzie,
Gdzie aniołów pienie,
I dla ciebie zbieram
Kształtów roje,
O dziecię moje!
Myśli i natchnienie.

„I od duchów wyższych
I od duchów niższych
Farby i odcienie,
Dźwięki i promienie
Zbieram dla ciebie,
Byś, o synku mój!
Był jako są w niebie,
I ojciec twój
Kochał ciebie —“

. . . . . .

„Czyż myśli ostatnie przy zgonie towarzyszą duszy, choć dostanie się do nieba. — Możeż być duch szczęśliwym, świętym i obłąkanym zarazem?...“

Nic nie masz boleśniejszego nad ten dramat. Poeta co go napisał nie mógł być z innego narodu jak z cierpiącego od wielu wieków, i przeto też dramat ten jest tak polski. Boleść nie wytacza się tu szumnie w okresach krasomownych, nie rozwodzi się w tkliwych trenach: położenia osób i rzeczy są ledwo narysowane, cały smutny opis pożycia domowego nie zajmuje nad sto wierszy, nad parę kartek; ale każde w nim słowo jest jakby kroplą wyciśniętą z brzemienia cierpień i goryczy. Osoby przesuwają się przed nami jak cienie w latarni czarnoksięskiej, widzimy ich twarze tylko z boku, rzadko kiedy z przodu; przemawiają do nas, rzucając mimochodem kilka wyrazów; ale jeżeli zechcemy rozważać, rozbierać te wyrazy, możemy z nich wyciągnąć obraz zupełny, możemy, ujrzawszy raz osobę, odgadnąć czem była dawniej i co ma robić dalej. Takiemi są naprzykład goście, rodzice chrzestni i ksiądz na chrzcinach. Wszystko to maluje przedziwnie społeczność rozsypującą się, spróchniałą. Ten, coby powinien wyobrażać jej żywioł duchowy, odegrywa rolę nic nieznaczącą: kładzie znaki krzyża, odmawia formuły rytuału. Nie zastanowił się on, ani nawet pomyślił, jaki tajemny związek, jaki stosunek może zachodzić między tą duszą powołaną do przyszłości, mającą przed sobą długi jeszcze zawód, a tą drugą co ulgnęła w przeszłość, dała się uwięzić jej powabami. Z zamkniętem okiem ducha poglądając na to dziecko, które miota się już w kolebce, którego charakter i przeznaczenie ojciec jego odgadł, nie pojmując zgoła tego pasowania się przyszłości z przeszłością, zimno dopełniając powierzchownych tylko form obrzędu, kapłan sam siebie zniweczył, wyrzucił z towarzystwa. Hrabia, osoba główna dramatu, człowiek zdolny do wzruszeń głębszych, stykający się ze światem wyższym, jest tutaj wystawiony jako ostatni reprezentant przeszłości. Sięga on w przyszłość, ale nie może oderwać się od świata, który mu się z pod nóg umyka, bo jak sam o sobie powiedział, łaska Boża spadła mu

na rozum, nie na serce; serce jego płonęło niegdyś, ale rozum wziął nad niem przewagę i zgasił: odtąd nie może on myśli i uczuć swoich przywieść do zgody. Oto są własne jego słowa:

„Pracowałem lat wiele na odkrycie ostatniego końca wszelkich wiadomości, rozkoszy i myśli, i odkryłem — próżnię grobową w sercu mojem. — Znam wszystkie uczucia po imieniu, a żadnej żądzy, żadnej wiary, miłości niema we mnie — jedno kilka przeczuć krąży w tej pustyni — o synu moim, że oślepnie — o towarzystwie w którem wzrosłem, że rozprzęgnie się — i cierpię tak jak Bóg jest szczęśliwy, sam w sobie, sam dla siebie.“ —

Człowiek ten skazany już jest odtąd wystąpić czynnym szermierzem przeciwko przyszłości, za karę, że uczucia wziął za ostatni kres, ostatni wypadek pracy przeznaczonej ludziom. Mniemał on, iż aby walczyć i odnieść zwycięstwo dosyć jest stworzyć poetycznie bohatera i kazać mu figurować w książce, albo na scenie, kiedy myśl nasza — jak to wyraził poeta Garczyński — nakształt łuku powinna być ciągle wytężona do działania:

„. . . któż w uczuciu cel sobie zakłada!
Myśli w zapale twórczym jak napięte łuki
Tam czyn, tam strzałę pędzą, gdzie sięgnie ich władza.“

LEKCJA IX

Wtorek, 31 stycznia 1843

Dalszy ciąg *Nieboskiej Komedji.* Orzeł — symbol potęgi politycznej. Hrabia skruszony przez niego, w imię przeszłości podnosi oręż na przyszłość. — Wstęp do części trzeciej dramatu. — Pankracy, wyobraziciel przyszłego porządku rzeczy. Messjasz fałszywy. — W charakterze jego przebija się charakter wszystkich ludzi, którzy mieli posłannictwo niszczenia. — Przesada w przyznaniu jego mocy samej sile rozumu. — Filozofja narodowa polska i Emerson filozof amerykański nazna-

czają niskie miejsce rozumowi. — Autor zapatruje się na chrystjanizm jak Chateaubriand, tylko ze strony poetycznej.

Bohater *Nieboskiej Komedji*, straciwszy, zniszczywszy wszystko co go przywiązywało do ziemi, rzuca się teraz w walkę, chce zdobyć dla siebie przyszłość. Poeta ukazuje go nam błąkającego się wśród burzy pomiędzy skałami, gdzie rozmawia z naturą, w jej zjawiskach szuka wróżby swoich losów.

Oparł się on pierwej złym namiętnościom, nie uległ pokusom, przez łaskę, to jest przez zasługi cudze, przez modlitwy żony; ale, że zamiast coby się miał poprawić, odmienić wewnętrznie, puścił się znowu na ścieżki błędu, wpadł dopiero w sidła złego, dał się uwieść szatanowi pychy, który zjawia się mu w postaci orła czarnego, ze świstem skrzydeł podobnym do świstu tysiąca kul w boju. Orzeł jest symbolem potęgi politycznej; wziąwszy go za wieszczbę swojej mocy i chwały, postanawia dobijać się władzy, w panowaniu nad innymi, w deptaniu ludzi szukać pociechy.

Orzeł

„Nie ustępuj, nie ustąp nigdy — a wrogi twe, podłe wrogi twe, pójdą w pył. —

Mąż

„Żegnam cię wśród skał, pomiędzy któremi znikasz. — Bądź co bądź — fałsz czy prawda, zwycięstwo czy zaguba, — uwierzę tobie, posłanniku chwały. — Przeszłości, bądź mi ku pomocy — a jeśli duch twój wrócił do łona Boga, niechaj się znów oderwie, wstąpi we mnie, stanie się myślą, siłą i czynem.“ —

W imię przeszłości tedy podnosząc oręż na przyszłość, tejże chwili zrzuca nogą żmiję, w której wyobraża sobie to powstanie ludu, co już huczy zdaleka. Po przemowie do orła, odzywa się do żmiji:

„Idź, podły gadzie — jako strąciłem ciebie i niema żalu po tobie w naturze, tak oni wszyscy stoczą się w dół i po nich żalu

nie będzie — sławy nie zostanie — żadna chmura się nie odwróci w żegludze, by spojrzeć za sobą na tylu synów ziemi ginących pospołu. —

„Oni naprzód. — Ja potem. —

„Błękicie niezmierzony, ty ziemię obwijasz — ziemia niemowlęciem co zgrzyta i płacze — ale ty nie drżysz, nie słuchasz jej, ty płyniesz w nieskończoność swoją. —

„Matko naturo, bądź mi zdrowa — idę się na człowieka przetworzyć, walczyć idę z bracią moją.“ —

Opuszczamy tutaj scenę narady Hrabi i Ojca chrzestnego z lekarzem, nad dzieckiem dotkniętem już ślepotą, scenę przypominającą ową, gdzie Lady Macbeth popełniwszy zbrodnią, chodzi we śnie i chce obmyć ręce z krwi mężowskiej. Scena ta nabiera szczególnej okropności przez wprowadzenie lekarza, który sądzi cierpienie moralne tylko jako człowiek sztuki. Ale lekarz Szekspira odgaduje źródło choroby, i wyznaje otwarcie, że niemasz na nią lekarstwa w ręku ludzkiem; w scenie zaś *Komedji Nieboskiej*, daleko jeszcze okropniejszej, poeta kładzie piętno hańby na medycynę naszych czasów, jako na umiejętność, która nawet już nie szuka źródeł cierpienia moralnego ludzi i społeczeństwa, zamyka się w ciasnych swoich granicach, wszystko pojmuje przez muszkuły i nerwy, a kończy nazwaniem technicznem. Podczas gdy olśniony chłopiec powiada co się mu snuje przed oczyma duszy, gdy ojciec jego zapytuje Opatrzności, kiedy i czem to dziecię mogło zasłużyć na taką karę, gdy padłszy na kolana woła w rozpaczy: „Przed kim ukląkłem, gdzie mam się upomnieć o krzywdę mojego dziecka“ — lekarz obejrzawszy, że powieki śliczne, białko czyste i wszystkie żyły w porządku, dodaje spokojnie: „Może Pan ciekawy nazwiska tej choroby: zowie się po grecku *amaurosis*“.

Jedna tylko istota ukazuje się tu jeszcze z uczuciem nie zabitem i nie skrzywionem, — mamka chorego, która modląc się do Najświętszej Panny Częstochowskiej, mówi: „weź mi oczy i daj jemu.“ — Jest to prosta wieśniaczka, wśród tego społeczeństwa, mianowanego wyższem, tchnąca tradycyjnemi uczuciami ludu.

Rzadko można napotkać coś bardziej przejmującego, bardziej tkliwego nad myśli wyrażone w słowach ojca przy rozstaniu się

z synem, przy zerwaniu ostatniego ogniwa, jakiem jeszcze ten człowiek był przykuty do swojej rodziny, do ziemi.

„Niech moje błogosławieństwo spoczywa na tobie — nic ci więcej dać nie mogę, ni szczęścia, ni światła, ni sławy, — a dobija godzina, w której będę musiał walczyć, działać z kilkoma ludźmi przeciwko wielu ludziom. — Gdzie się ty podziejesz, sam jeden i wśród stu przepaści ślepy, bezsilny, dziecię i poeto zarazem, biedny śpiewaku bez słuchaczy, żyjący duszą za obrębami ziemi, a ciałem przykuty do ziemi, — o ty nieszczęśliwy, najnieszczęśliwszy z aniołów, o ty mój synu?“

Na tem kończy się część druga dramatu. Poeta przenosi nas teraz na inny świat. Między drugim a trzecim aktem upłynął czas nie wiadomo jak długi, zaszły wypadki, których tylko domyślać się możemy. Społeczność stara ze swemi zwyczajami, ze swemi prawami i przesądami, już zniszczona; znajdujemy się wśród społeczności nowej, mamy patrzeć na ostateczne roztrzygnienie walki, tryumf zwycięzców, zagubę zwyciężonych. Autor swoim zwyczajem zaczyna od wstępu.

„Do pieśni. — Do pieśni!

„Kto ją zacznie, kto ją dokończy? — Dajcie mi przeszłość zbrojną w stal, powiewną rycerskiemi pióry. — Gotyckie wieże wywołam przed oczy wasze — rzucę cień katedr świętych na głowy wam. — Ale to nie to — tego już nigdy nie będzie. —

„Ktokolwiek jesteś, powiedz mi w co wierzysz — łatwiejbyś życia się pozbył, niż wiarę jaką wynalazł, wzbudził wiarę w sobie. — Wstydźcie się, wstydźcie wszyscy, mali i wielcy — a mimo was, mimo żeście mierni i nędzni, bez serca i mózgu, świat dąży ku swoim celom, rwie za sobą, pędzi przed się, bawi się z wami, przerzuca, odrzuca — walcem świat się toczy, pary znikają i powstają, wnet zapadają, bo ślisko, bo krwi dużo — krew wszędzie — krwi dużo, powiadam wam. —

„Czy widzisz owe tłumy, stojące u bram miasta wśród wzgórzów i sadzonych topoli — namioty rozbite — zastawione deski, długie, okryte mięsiwem i napojami, podparte pniami, drągami? — Kubek lata z rąk do rąk — a gdzie się ust dotknie, tam głos się

wydobędzie, groźba, przysięga, lub przekleństwo — on lata, zawraca, krąży, tańcuje, zawsze pełny, brzęcząc, błyszcząc wśród tysiąców. — Niechaj żyje kielich pijaństwa i pociechy! —

„Czy widzicie jak oni czekają niecierpliwie — szemrzą między sobą, do wrzasków się gotują — wszyscy nędzni, ze znojem na czole, z rozczochranemi włosy, w łachmanach, z spiekłemi twarzami, z dłoniami pomarszczonemi od trudu — ci trzymają kosy, owi potrząsają młotami, heblami, — patrz — ten wysoki trzyma topór spuszczony — a tamten stęplem żelaznym nad głową powija; dalej w bok pod wierzbą chłopię małe wiśnię do ust kładzie, a długie szydło w prawej ręce ściska — ...

„Teraz szum wielki powstał w zgromadzeniu — czy to radość, czy rozpacz? — kto rozpozna jakie uczucia w głosach tysiąców? — Ten, który nadszedł, wstąpił na stół, wskoczył na krzesło, i panuje nad nimi, mówi do nich. — Głos jego przeciągły, ostry, wyraźny, — każde słowo rozeznasz, zrozumiesz — ruchy jego powolne, łatwe, wtórują słowom, jak muzyka pieśni — czoło wysokie, przestronne, włosa jednego na czaszce niemasz, wszystkie wypadły, strącone myślami — skóra przyschła do czaszki, do liców, żółtawo się wcina pomiędzy koście i muszkuły — a od skroni broda czarna wieńcem twarz opasuje — nigdy krwi, nigdy zmiennej barwy na licach — oczy niewzruszone, wlepione w słuchaczy — chwili jednej zwątpienia, pomieszania nie dojrzeć; a kiedy ramię wzniesie, wyciągnie, wytęży ponad nimi, schylają głowy, zdaje się, że wnet uklękną przed tem błogosławieństwem wielkiego rozumu — nie serca — precz z sercem, z przesądami, a niech żyje słowo pociechy i mordu! —

„To ich wściekłość, ich kochanie, to władca ich dusz i zapału — on obiecuje im chleb i zarobek — krzyki się wzbiły, rozciągnęły, pękły po wszystkich stronach: Niech żyje Pankracy!“ —

Pierwej nim zastanowimy się nad tą sceną, trzeba wytknąć co jest chybionego w poprzednich. Rozbierając tak ważne dzieło, nie chcemy wdawać się w ocenianie szczegółów pod względem artystycznym, ale obejmując całość utworu, można upatrywać wady moralne. Pomiędzy innemi, naprzykład, fałszywie jest pomyślany charakter tej kobiety wyobrażającej przeszłość, kobiety dobrej, ła-

godnej, religijnej, która cierpi dlatego, jak autor powiada, że nie ma ducha poezji, że nie może wzbić się do wysokości myśli swego męża, i pada ofiarą niestosownego dla siebie położenia. Takie zjawisko nie może zdarzyć się na świecie. Romansopisarze mogą sobie tworzyć charaktery osób koniecznie złe albo koniecznie dobre, ale Bóg nie jest tak okrutny; odbiera On czasem ludziom siłę działania, zawsze jednak zostawuje im sposób podnoszenia się, stawania się lepszym: człowiek dobry, szczery, czujący swoją niższość, już tem samem wychodzi ze swego szczebla, ma moc podnieść się wyżej. Niskość zawsze jest dobrowolną; zatwardza się przeciw wyższemu, wydaje mu wojnę, chce je ściągnąć do swego poziomu, i to właśnie tłumaczy nam tę zaciętość, z jaką przeszłość stawi opór przyszłości.

W scenie niniejszej, występujący na widok dowódca tłumu, naczelnik nowo zawiązującego się społeczeństwa, ma niektóre rysy wybornie schwycone. Poeta zlał w niego wszystkie cechy dążności negacyjnych w rewolucjach europejskich, w reformach wylęgłych z mózgu filozofów. Jest to zniszczyciel, nie posiada nic więcej tylko rozum, przychodzi do władzy zapomocą rozumu, nie zna żadnych uczuć ludzkich. Twarz jego nawet zupełnie odpowiada temu charakterowi. Czoło szerokie, głowa łysa, wzrok zimny i pewny, oblicze niedostępne żadnemu wzruszeniu, przypominają nam wizerunki wielu przywódców w czasach terroryzmu. Wszystko tu jest trafnie dobrane aż do samego imienia: *Pankracy* znaczy po grecku jakoby zbiór, ogół wszelkich sił materjalnych. Wyraz *kratia* we wszystkich pochodnych od niego wyraża zawsze potęgę materjalną, zewnętrzną, jak wyraz *energia*, moc wewnętrzną. Stąd *arystokracja*, *demokracja*. Nie bez przyczyny przeto autor nazwał swego bohatera Pankracym.

Obaczmy teraz za co ma ten idealny wódz epoki nowej swoich braci podwładnych. Mówi on sam do siebie:

„Pięćdziesiąciu hulało tu przed chwilą, i za każdem słowem mojem krzyczało — *Vivat* — czy choć jeden zrozumiał myśli moje? — pojął koniec drogi, u początku której hałasuje? — ach! *servile imitatorum pecus.*“ —

Przeciw temu władcy stawi jeszcze czoło jeden współzawodnik

z łona społeczeństwa dawnego, bohater poematu, Hrabia Henryk. Otoczony resztkami swojej kasty, z garstką wiernych mu chłopów, broni on ostatniego siedliska przeszłości w zamku warownym, który poeta kładzie na południu Polski, w owym kraju gdzie toczyły się boje Azji z Europą, Turków z Polakami, gdzie wzniesiono niegdyś pamiętne okopy Świętej Trójcy. Na tym tu placu ma być teraz rozstrzygnięta walka, dokonane zwycięstwo.

Nowy naczelnik, Messjasz fałszywy, Pankracy, pragnie wszakże widzieć się ze swoim przeciwnikiem, wysyła jednego z zaufanych, prosząc go o tajemną rozmowę. Wyprawiany z takiem poleceniem przechrzta, lęka się o siebie, obecny zaś młody przyjaciel Leonard okazuje nieufność.

Przechrzta

„A jak mnie każe zamknąć lub obije? —

Pankracy

„To będziesz męczennikiem za Wolność Ludu.

. . . . . .

Leonard

„Ty nas zdradzasz —

Pankracy

„Jak zwrotka u pieśni, tak zdrada u końca każdej mowy twojej — nie krzycz, bo gdyby nas kto podsłuchał...

Leonard

„Tu szpiegów niema, a potem cóż?...

Pankracy

„Nic — tylko pięć kul w twoich piersiach, za to żeś śmiał głos podnieść o ton jeden wyżej w mojej przytomności —

Leonard

„Uniosłem się, przyznaję — ale nie boję się kary. — Jeśli śmierć moja za przykład służyć może, sprawie naszej hartu i powagi dodać, rozkaż —

Pankracy

„Jesteś żywy, pełny nadziei i wierzysz głęboko — najszczęśliwszy z ludzi, nie chcę pozbawiać cię życia.“ —

Do najgłębiej pojętych rysów w charakterze tego człowieka, działającego podług zasad fałszywych, należy to, że sam on nie ma tej nadziei i wiary, jaką narzuca innym, i chociaż nazywa młodego swego zwolennika zapaleńcem, marzycielem, zachowuje go przy życiu dla tych szacownych przymiotów.

Wkrótce dwaj przeciwnicy, reprezentanci dwóch porządków rzeczy, dwóch światów: tego co już przemija, i tego jaki wedle pojęcia poety ma nastać, spotkają się z sobą. Pankracy, zostawszy sam jeden, tak rozmyśla nad tem:

„Dlaczegóż mnie, wodzowi tysiąców, ten jeden człowiek na zawadzie stoi? — siły jego małe w porównaniu z mojemi — kilkaset chłopów ślepo wierzących jego słowu, przywiązanych miłością swojskich zwierząt.... To nędza, to zero. — Czemuż tak pragnę go widzieć, omamić — czyż duch mój napotkał równego sobie i na chwilę się zatrzymał? — Ostatnia to zapora dla mnie na tych równinach — trza ją obalić, a potem.... Myśli moja, czyż nie zdołasz łudzić siebie jako drugich łudzisz — wstydź się, przecię ty znasz twój cel, ty jesteś myślą, panią ludu — w tobie zeszła się wola i potęga wszystkich — i co zbrodnią dla innych, to chwałą dla ciebie. — Ludziom podłym, nieznanym, nadałaś imiona — ludziom bez czucia wiarę nadałaś — świat na podobieństwo swoje — świat nowy utworzyłaś na około siebie — a sama błąkasz się i nie wiesz czem jesteś. — Nie, nie, nie, — ty jesteś wielką!“ —

Monolog ten jest prześliczny, najpiękniejszy może po monologu Hamleta, a nadewszystko pełen prawdy. Jeśli przypomnimy

sobie, każdy z tych ludzi co przedsiębrali wielkie zmiany na świecie, pchnięci do tego ślepą tylko koniecznością, pasował się zawsze z własnem zwątpieniem. Kromwel ciągle usiłował je zataić, ale nie mógł stłumić wewnętrznego niepokoju; dlatego tak często chciał widzieć króla Karola za jego życia, i kazawszy go stracić, chodził jeszcze do grobu oglądać martwe jego oblicze. Danton, jak wiadomo, nieraz straszliwie odzywał się sam do siebie. Jest to gdzieś w pamiętnikach, że Robespierre, w chwilach największych powodzeń, bardzo cierpiał nad tem, że kucharka jego nigdy nie chciała uwierzyć w rzeczywistość, a mianowicie w trwałość tej potęgi. Ludzie ci, użyci przez Opatrzność jedynie do zniszczenia, mieli w sobie robaka zgryzoty co im samym zapowiadał, dawał przeczuwać smutny koniec. Charakter Pankracego obejmuje wszystkie te charaktery, przywodzi na pamięć Kromwela, Dantona, Robespierra; jest tylko przesadzonym i fałszywym z tego względu, że autor obdarzył go jedynie siłą rozumu: rozum sam jeden nie wystarcza do podbicia ludzi, nie porywa mas. To wszakże godna uwagi, że poeta polski człowiekowi nikczemnemu i niezdolnemu nic postawić przysądził największy rozum. Zgadza się to, jak możemy sobie przypomnieć, z systemem filozofji polskiej; a oto z dzieła przedrukowanego w Londynie, które świeżo nas doszło, i ledwo mieliśmy czas je przejrzeć, postrzegamy, że znalazł się w dalekich stronach człowiek myślący, co nie znając tego systemu, zszedł się z nim zupełnie, wpadł na te same pojęcia.

Autorem tym jest Emerson, Amerykanin. Dzieło jego będziemy przywodzili nieraz, bo są tam rozdziały, zdaje się jakby umyślnie poświęcone wykładowi filozofów i poetów polskich. Wedle Emersona, także, pierwiastkiem, ogniskiem wszelkiej czynności jest duch. Duch ten działa albo przez rozum, albo przez uczucie, wydaje filozofją i poezją; ale w niższych stopniach swego działania objawia się naprzód przez rozsądek, przez roztropność niemal zwierzęcą, dalej przez rozumowanie, następnie podnosi się do poezji, i nakoniec ukazuje się w mądrości. Na szczeblach tedy człowieczeństwa najniżej stoją ludzie rozsądni, wyżej rozumni, wyżej jeszcze poeci, najwyżej mędrcy prawdziwi. Emerson mniema, że jak w naturze płyny zwane promienistemi, naprzykład magnetyzm, światło, elektryczność, są to siły niższe, tylko bardziej usubtel-

nione, tak inteligencja jest podobnąż siłą podniesioną do potęgi trzeciej lub czwartej. Duch ludzki może brać za swoje narzędzie ziemię, parę, elektryczność, inteligencją, używać ich do swoich celów, ale powinien dążyć ku temu, co filozof nazywa duchem powszechnym, to jest ku Bogu.

Charakter bohatera przeszłości, Hrabi Henryka, chociaż narysowany wyśmienicie, z wielką mocą, ma jednak także stronę fałszywą. Jest on Polakiem, a myśli, czuje, działa po cudzoziemsku. Jako szlachcic polski, występuje niby w sprawie szlachty, w sprawie chrześcijaństwa, katolicyzmu, ale sprawę tę pojmuje wedle tego co wyczytał z książek zagranicznych. Ciągle snują się mu po głowie wieże gotyckie, katedry średniowieczne, zamki i dzieje rycerzy błędnych: w tem wszystkiem niemasz nic słowiańskiego, polskiego, nic nawet istotnie katolickiego. Duch chrześcijański w pochodzie swoim zostawiał za sobą te świetne utwory jak drogowskazy dla pokoleń następnych, ale nie jak przytułki wiecznego spoczynku. Duch ten nie w książkach znalazł przepisy strategiczne wypraw krzyżowych i plany kościołów katedralnych; czerpając ciągle natchnienie z góry, tworzył instytucje i cuda budownictwa: powinienże nie iść już dalej, pozostać przykuty na zawsze do raz wyrobionych przez się kształtów w społecznych i kamiennych budowach? Tak myśleć, byłoby to brać literę za ducha, formę za rzecz samą. Autor nasz pojmuje chrześcijaństwo, katolicyzm, podług Chateaubrianda, który jak wiadomo schwycił tylko stronę poetyczną chrystjanizmu, opiewał łyse głowy pustelników, różnobarwne światła ostrołuczystych okien, mury katedr, zbroje rycerzy, i chciał, kreśląc malowniczy obraz religji, pociągnąć ku niej publiczność. Mylny ten sposób przerodził się w śmieszność: obrona świętej sprawy stała się teraz przedmiotem fejletonów dziennikarskich i ulotnych wierszyków. Nie tak pojmowali katolicyzm ci dawni Polacy, których Hrabia wzywa często jako swoich przodków. Słowianie nie zbudowali jeszcze swoich katedr i nie odbyli swoich wojen krzyżowych; śmiesznie byłoby narzucać im tę puściznę wieków średnich. Są to zabytki wielkie i piękne; ludy zachodnie mogą szczycić się niemi i znajdować w nich zachętę. Francja z historji krucjat mogłaby wyciągnąć miarę swojej siły moralnej. Niemcy powinniby przypatrywać się swojej ka-

tedrze Kolońskiej i korzyć się przed tym pomnikiem przeszłości: ale Polska nie ma na co innego się oglądać jak tylko na tradycją żyjącą w swojem łonie, na ducha. Duch polski, jest to ten, — jak Hrabia Henryk o sobie powiada — syn stu pokoleń, ostatni dziedzic ich myśli i dzielności, ich cnót i błędów.

LEKCJA X

Wtorek, 7 lutego 1843

Dalszy ciąg *Nieboskiej Komedji*. Zejście się Hrabi z Pankracym. — W scenie tej odbija się cała tajemnicza tragiczność ostatniej epoki dziejów Polski. — Starcie się naczelników wyobraża walkę w duchu, poprzedzającą zawsze bój na polu. — Widać który zwycięży, przy którym siła; ale prawdy niemasz przy żadnym, jest ona wyżej nad obudwoma: zwycięstwo nie pójdzie na korzyść zwycięzcy.

Przytaczamy niemal całą scenę ostatnią części trzeciej dramatu, gdzie schodzą się z sobą dwaj naczelnicy stron przeciwnych, dwa uosobienia wszystkich kwestyj spierających się w filozofji, w literaturze i w społeczeństwie.

Widzieliśmy pierwej, że świat nowy, jak go sobie poeta utworzył, to jest świat powodujący się tylko chuciami, rozumem i przemocą, nie znający innego hamulca prócz siły zewnętrznej, najechał już i ścisnął w drobnej garstce społeczność starą. Ostatni jej obrońca, ostatni hrabia, ostatni pan polski, stawi jeszcze opór. Naczelnik nowego porządku rzeczy, Pankracy czyli *Wszechwładca*, żąda widzieć się z Hrabią Henrykiem. Nie może to mu pomieścić się w głowie, że jeszcze jest na ziemi człowiek, co się go nie lęka; co zdaje się z wiarą trzymać się tradycyj dawnych. Chciałby poznać zbliska tego nadzwyczajnego męża, wskroś przeniknąć wzrokiem; chciałby go przekonać, nawrócić na swoją wiarę. Widać, że nie będzie miał pokoju, póki pozostanie choć jedna żywa dusza przeciwna jego wyobrażeniom. Hrabia, czekając na przybycie straszliwego swego nieprzyjaciela, rozmawia sam z sobą.

Teatr przedstawia długą komnatę w starożytnym zamku, pozawieszaną portretami dam i rycerzy. Pora jest nocna.

Mąż (siedząc przy stoliku)

„Niegdyś o tej samej porze, wśród grożących niebezpieczeństw i podobnych myśli, Brutusowi ukazał się Genjusz Cezara. —

„I ja dziś czekam na podobne widzenie. — Za chwilę stanie przede mną człowiek bez imienia, bez przodków, bez anioła stróża, — co wydobył się z nicości i zacznie może nową Epokę, jeśli go nie odrzucę nazad, nie strącę do nicości.

„Ojcowie moi, natchnijcie mnie tem co was panami świata uczyniło — wszystkie lwie serca wasze dajcie mi do piersi — powaga skroni waszych niechaj się zleje na czoło moje. — Wiara w Chrystusa i w Kościół Jego, ślepa, nieubłagana, wrząca, natchnienie dzieł waszych na ziemi, nadzieja chwały nieśmiertelnej w niebie, niechaj zstąpi na mnie, a wrogów będę mordował i palił, ja, syn stu pokoleń, ostatni dziedzic waszych myśli i dzielności, waszych cnót i błędów. —

„Teraz gotów jestem. —

Sługa

„Jaśnie Wielmożny Panie, człowiek, który miał się stawić, przybył i czeka. —

Mąż

„Niech wejdzie. — “

(Sługa wychodzi)

Scena ta przypomina jedno zdarzenie historyczne. Karol XII., zrzuciwszy z tronu króla polskiego Augusta Sasa, odważył się przyjść do niego w Dreznie bez nikogo przy sobie, bez wiedzy nawet swojej świty. August zdziwił się niezmiernie, widząc u siebie śmiertelnego nieprzyjaciela swego, pozwolił mu wszakże odejść spokojnie.

Pankracy

„Witam Hrabiego Henryka. — To słowo Hrabia dziwnie brzmi w gardle mojem.

(Siada — zrzuca płaszcz i czapkę wolności, i wlepia wzrok w kolumnę, na której herb wisi)

Mąż

„Dzięki ci, żeś zaufał domowi mojemu — starym zwyczajem piję zdrowie twoje. —

(Bierze puhar, pije i podaje Pankracemu)

Pankracy

„Jeśli się nie mylę, te godła czerwone i błękitne zowią się Herbem, w języku umarłych. — Coraz mniej takich znaczków na powierzchni ziemi. —

(Pije)

Mąż

„Za pomocą Bożą, wkrótce tysiące ich ujrzysz. —

Pankracy

„Otóż mi stara szlachta — zawsze pewna swego — dumna, uporczywa, kwitnąca nadzieją, a bez grosza, oręża, bez żołnierzy. — Odgrażająca się jak umarły w bajce powoźnikowi u furtki smętarza — wierząca lub udająca, że wierzy w Boga — bo w siebie trudno wierzyć. — Ale pokażcie mi pioruny na waszą obronę zesłane i pułki aniołów spuszczone z niebios. —

Mąż

„Śmiej się z własnych słów. — Ateizm to stara formuła — a spodziewałem się czegoś nowego po tobie. —

Pankracy

„Śmiej się z własnych słów. — Ja mam wiarę silniejszą, ogromniejszą od twojej. — Jęk przez boleść wydarty tysiącom tysiąców — głód rzemieślników — nędza włościan — hańba ich żon i córek — poniżenie ludzkości ujarzmionej przesądem, wahaniem się i bydlęcem przyzwyczajeniem — oto wiara moja! — Bóg mój na dzisiaj — to myśl moja — to potęga moja — która chleb i cześć im rozda na wieki. —

Mąż

„Ja położyłem siłę moją w Bogu, który Ojcom moim panowanie nadał. —

Pankracy

„A całe życie byłeś djabła igrzyskiem. — Zresztą zostawiam tę rozprawę teologom, jeśli jaki pedant tego rzemiosła żyje dotąd w całej okolicy — do rzeczy — do rzeczy! —

Mąż

„Czegóż więc żądasz ode mnie, zbawco narodów, obywatelu Boże?

Pankracy

„Przyszedłem tu, bo chciałem cię poznać — powtóre, ocalić.

Mąż

„Wdzięcznym za pierwsze — drugie zdaj na szablę moją. —

Pankracy

„Szabla twoja — szkło, Bóg twój, — mara. — Potępionyś głosem tysiąców — opasanyś ramionami tysiąców — kilka morgów ziemi wam zostało, co ledwo na wasze groby wystarczy — dwudziestu dni bronić się nie możecie. — Gdzie wasze działa, rynsztunki, żywność, — a wreszcie gdzie męstwo?... Gdybym był tobą, wiem cobym uczynił. —

Mąż

„Słucham — patrz, jakem cierpliwy. —

Pankracy

„Ja więc, Hrabia Henryk, rzekłbym do Pankracego: „Zgoda — rozpuszczam mój hufiec, mój hufiec jedyny — nie idę na odsiecz Świętej Trójcy — a za to zostaję przy mojem imieniu i dobrach, których całość warujesz mi słowem.“ —

„Wiele masz lat, Hrabio?

Mąż

„Trzydzieści sześć, obywatelu. —

Pankracy

„Jeszcze piętnaście lat najwięcej — bo tacy ludzie niedługo żyją — twój syn bliższy grobu niż młodości — jeden wyjątek ogromowi nie szkodzi — Bądź więc sobie ostatnim hrabią na tych równinach — panuj do śmierci w domu naddziadów — każ malować ich obrazy i rznąć herby. — A o tych nędzarzach nie myśl więcej. — Niech się wyrok ludu spełni nad nikczemnikami. —

(Nalewa sobie drugi puhar)

„Zdrowie twoje, ostatni Hrabio! —

Mąż

„Obrażasz mnie każdem słowem; zda się próbujesz czy zdołasz w niewolnika obrócić na dzień tryumfu swego. — Przestań, bo ja ci się odwdzięczyć nie mogę. — Opatrzność mojego słowa cię strzeże. —

Pankracy

„Honor święty, honor rycerski wystąpił na scenę — zwiędły to łachman w sztandarze ludzkości. — O! znam ciebie, przeklinam ciebie — pełnyś życia a łączysz się z umierającymi, bo chcesz wierzyć jeszcze w kasty, w kości prababek, w słowo *ojczyzna* i tam dalej — ale w głębi ducha sam wiesz, że braci twojej należy się kara, a po karze niepamięć. —

Mąż

„Tobie zaś i twoim cóż inszego? —

Pankracy

„Zwycięstwo i życie — jedno tylko prawo uznaję i przed niem kark schylam — tem prawem świat bieży w coraz wyższe kręgi —

ono jest zgubą waszą i woła teraz przez moje usta: Zgrzybiali, robaczliwi, pełni napoju i jadła, ustąpcie młodym, zgłodniałym i silnym. — Ale ja pragnę cię wyratować — ciebie jednego. —

Mąż

„Bogdajbyś zginął marnie za tę litość twoją. — Ja także znam świat twój i ciebie — patrzałem wśród cieniów nocy na pląsy motłochu, po karkach którego wspinasz się do góry — widziałem wszystkie stare zbrodnie świata ubrane w szaty świeże, nowym kołujące tańcem — ale ich koniec ten sam co przed tysiącami lat — porubstwo, złoto i krew. — A ciebie tam nie było — nie raczyłeś zstąpić pomiędzy dzieci twoje, bo w głębi ducha ty pogardzasz niemi — kilka chwil jeszcze, a jeśli rozum cię nie odbieży, ty będziesz pogardzał sam sobą. — Nie dręcz mnie więcej. —

(Siada pod herbem swoim)

Pankracy

„Świat mój jeszcze nie rozparł się w polu — zgoda — nie wyrósł na olbrzyma — łaknie dotąd chleba i wygód — ale przyjdą czasy — przyjdą czasy, w których on zrozumie siebie i powie o sobie: „Jestem“, a nie będzie drugiego głosu na świecie, coby mógł także odpowiedzieć: „Jestem.“ —

Mąż

„Cóż dalej? —“

Tu Pankracy kreśli wspaniały obraz przyszłego szczęścia, podług pojęć panteistycznych znajomych powszechnie. Ci przynajmniej, co czytali pisma Furierystów i St. Simonistów, mogą sobie wyobrazić ten błogi stan, o jakim Pankracy marzy. Kończy on tem, że cała ziemia będzie jednem miastem kwitnącem, jednym domem szczęśliwym, jednym warsztatem bogactw i przemysłu.

Mąż

„Słowa twoje kłamią — ale twarz twoja niewzruszona, blada, udać nie umie natchnienia.

Pankracy

„Nie przerywaj, bo są ludzie, którzy na klęczkach mnie o takie słowa prosili, a ja im tych słów skąpiłem. — Tam spoczywa Bóg, któremu już śmierci nie będzie. — Bóg pracą i męką czasów odarty z zasłon — zdobyty na niebie przez własne dzieci, które niegdyś porozrzucał na ziemi, a one teraz przejrzały i dostały prawdy. — Bóg ludzkości objawił się im.

Mąż

„A nam, przed wiekami — ludzkość przezeń już zbawiona.

Pankracy

„Niechże się cieszy takiem zbawieniem — nędzą dwóch tysięcy lat upływających od Jego śmierci na krzyżu.

Mąż

„Widziałem ten krzyż, bluźnierco, w starym, starym Rzymie — u stóp Jego leżały gruzy potężniejszych sił niż twoje — sto bogów, twemu podobnych, walało się w pyle, głowy skaleczonej nie śmiało podnieść ku Niemu — a on stał na wysokościach, święte ramiona wyciągał na wschód i na zachód, czoło święte maczał w promieniach słońca — znać było, że jest Panem świata. —

Pankracy

„Stara powiastka — pusta jak chrzęst twego herbu —

(uderza o tarczę)

„Ale ja dawniej czytałem twe myśli. — Jeśli więc umiesz sięgać w nieskończoność, jeśli kochasz prawdę i szukałeś jej szczerze, jeśliś człowiekiem na wzór ludzkości, nie na podobieństwo mamczynych piosneczek, słuchaj, nie odrzucaj tej chwili zbawienia; krwi, którą oba wylejem dzisiaj, jutro śladu nie będzie, ostatni raz ci mówię, jeżeliś tem, czem wydawałeś się niegdyś, wstań, porzuć dom i chodź ze mną. —

Mąż

„Tyś młodszym bratem szatana. —

(Wstaje i przechadza się wzdłuż)

„Daremne marzenia — kto ich dopełni? — Adam skonał na pustyni — my nie wrócim do raju. —

Pankracy (na stronie)

„Zagiąłem palec popod serce jego — trafiłem do nerwu poezji. —

Mąż

„Postęp, szczęście rodu ludzkiego — i ja kiedyś wierzyłem — ot! macie, weźcie głowę moją, byleby .... Stało się. — Przed stoma laty, przed dwoma wiekami, polubowna ugoda mogła jeszcze .... ale teraz wiem — teraz trza mordować się nawzajem — bo teraz im tylko chodzi o zmianę plemienia. —

Pankracy

„Biada zwyciężonym — nie wahaj się — powtórz raz tylko „biada“ i zwyciężaj z nami. —

Mąż

„Czyś zbadał wszystkie manowce przeznaczenia — czy pod kształtem widomym stanęło ono u wejścia namiotu twojego w nocy i olbrzymią dłonią błogosławiło tobie — lub w dzień czyś słyszał głos jego o południu, kiedy wszyscy spali w skwarze, a tyś jeden rozmyślał — że mi tak pewno grozisz zwycięstwem, człowiecze z gliny jako ja, niewolniku pierwszej lepszej kuli, pierwszego lepszego cięcia? —

Pankracy

„Nie łudź się marną nadzieją — bo nie draśnie mnie ołów, nie tknie się żelazo, dopóki jeden z was opiera się mojemu dziełu, a co później nastąpi, to już wam nic z tego —

(Zegar bije)

„Czas szydzi z nas obu. — Jeśliś znudzony życiem, przynajmniej ocal syna swego. —

Mąż

„Dusza jego czysta, już ocalona w niebie — a na ziemi los ojca go czeka. —

Pankracy

„Odrzuciłeś więc? .... Milczysz — dumasz — dobrze — niechaj ten duma, co stoi nad grobem. —

Mąż

„Zdala od tajemnic, które za krańcami twoich myśli odbywają się teraz w głębi ducha mojego! — Świat cielska do ciebie należy — tucz go jadłem, oblewaj posoką i winem — ale dalej nie zachodź i precz, precz ode mnie. —

Pankracy

„Sługo jednej myśli i kształtów jej, pedancie, rycerzu, poeto, hańba tobie! — patrz na mnie: — Myśli i kształty są woskiem palców moich. —

Mąż

„Darmo, ty mnie nie zrozumiesz nigdy — bo każden z ojców twoich pogrzeban z motłochem pospołu, jako rzecz martwa, nie jako człowiek z siłą i duchem. —

(Wyciąga rękę ku obrazom)

„Spojrzyj na te postacie — myśl ojczyzny, domu, rodziny, myśl, nieprzyjaciółka twoja, na ich czołach wypisana zmarszczkami — a co w nich było i przeszło, dzisiaj we mnie żyje. — Ale ty człowiecze, powiedz mi, gdzie jest ziemia twoja — wieczorem namiot twój rozbijasz na gruzach cudzego domu, o wschodzie go zwijasz i koczujesz dalej — dotąd nie znalazłeś ogniska swego i nie znajdziesz, dopóki stu ludzie zechce powtórzyć za mną: „Chwała ojcom naszym!“

Pankracy, rzuciwszy szyderczym wzrokiem na portrety, poczyna opowiadać w sposób naigrawający się żywoty i sprośne dzieje każdego z odmalowanych, kreśli czarną kronikę kilkunastu rodzin; nad ostatnim zatrzymując się z weselszą myślą, dodaje:

„Lubię tego w zielonym kaftanie — pił i polował z bracią szlachtą, a chłopów wysyłał, by z psami gonili jelenie. — Głupstwo i niedola kraju całego — oto rozum i moc wasza. — Ale dzień sądu bliski, i w tym dniu obiecuję wam, że nie zapomnę o żadnym z ojców waszych, o żadnej chwale waszej.

Mąż

„Mylisz się, mieszczański synu. — Ani ty, ani żaden z twoichby nie żył, gdyby ich nie wykarmiła łaska, nie obroniła potęga ojców moich. — Oni wam wśród głodu rozdawali zboże, wśród zarazy stawili szpitale — a kiedyście z trzody zwierząt wyrośli na niemowlęta, oni wam postawili świątynie i szkoły — podczas wojny tylko zostawiali doma, bo wiedzieli, żeście nie do pola bitwy. —

„Słowa twoje łamią się na ich chwale, jak dawniej strzały pohańców na ich świętych pancerzach — one ich popiołów nie wzruszą nawet — one zaginą jak skowyczenie psa wściekłego, co bieży i pieni się aż skona gdzie na drodze. — A teraz, czas już tobie wyniść z domu mojego. — Gościu, wolno puszczam ciebie.

Pankracy

„Do widzenia na okopach Świętej Trójcy. — A kiedy wam kul zabraknie i prochu....

Mąż

„To się zbliżym na długość szabel naszych. — Do widzenia. —

Pankracy

„Dwa orły z nas — ale gniazdo twoje strzaskane piorunem.—

(Bierze płaszcz i czapkę wolności)

„Przechodząc próg ten, rzucam nań przekleństwo należne starości. — I ciebie i syna twego poświęcam zniszczeniu — “

Mąż (zawoławszy służącego)

„Odprowadzić tego człowieka aż do ostatnich czat moich na wzgórzu — “

Przypomnijmy teraz sobie, cośmy niegdyś powiedzieli o niezmiernie tragicznym charakterze ostatniej epoki dziejów Polski, o głębokich cierpieniach ludzi, którzy wtedy stali na czele spraw krajowych, i pierwsi w Europie byli powołani dotknąć się kwestyj mających wkrótce świat zaburzyć. Ówcześni panowie polscy często miewali podobne rozmowy. Książęta Czartoryscy, Andrzej Zamoyski, król Stanisław August, nieraz rozprawiali o rzeczach politycznych i społeczeńskich z ambasadorami rosyjskimi, którzy byli to także w swoim gatunku Pankracowie. Autor *Nieboskiej Komedji* należy do rodziny, która czynny miała udział w tem wszystkiem, i boleść narodowa przebiła się przez niego, znalazła w nim organ wymowny.

Gdyby można było wiedzieć co Sylla i Marius mówili z sobą kiedy dziwny przypadek pod jeden dach ich sprowadził, możeby w ich rozmowie znalazła się nie jedna myśl powtórzona w powyższej scenie; bo ten sam spór toczy się od początku społeczeństwa ludzkiego, a tylko strony walczące zmieniają kształt i godła.

Pankracy i Hrabia nie są to Pompejusz i Cezar, ale raczej Marius i Sylla, poprzednicy Cezara. Hrabia chciałby udawać Syllę.

Wiadomo, że ten dziwny człowiek, namiętnie przywiązany do dawnych podań i zwyczajów Rzymu, widząc ze wszech stron podważoną budowę rzeczypospolitej, przedsięwziął ratować ją prawdziwie po rzymsku, po pogańsku: postanowił przywrócić dawny porządek rzeczy, wytępiając wszystko co się mogło jemu przeciwić. Jakoż rozpoczął głośne w dziejach świata rzezie; ale zalawszy krwią powstanie, nie wiedział co dalej czynić, dokąd kierować losy ojczyzny. Kiedy już zabrakło mu przeciwników, złożył topór dyktatorski w ręce senatu, i odchodzącemu bezbronnie, samotnie, nikt nie śmiał zrobić żadnego zarzutu: dowiódł bezinteresowności własnej, ale razem okazał niedołężność starego Rzymu. Byłoby tak niewątpliwie i z myślą wyobrażaną przez Hrabię, gdyby odniosła zwycięstwo. Z drugiej strony Pankracy, ów Robespierre z szablą na

koniu, ów Marius, czuje ułomność i niedostateczność swego systemu, i dlatego oddałby wszystko za to, żeby mógł pociągnąć do siebie, ułudzić Hrabię Henryka; bo wtedy tylko zaspokoiłby swoje sumienie.

Postawić naprzeciw siebie dwa te systemy, wcielone w dwie osoby, jest to wielki i głęboki pomysł. Istotnie dzieje się zawsze nie inaczej: pierwej rozstrzyga się wszystko w duchu nim zwycięstwo urzeczywistni się na ziemi. Przeciwnicy, przed spotkaniem się na oręże, starli się tutaj, że tak powiemy, na duchy, i widać już na czem się skończy rozprawa w polu. Hrabia zawzięcie będzie bronił swego sztandaru, ale Pankracy postawił nogę w jego dom, odchodząc rzucił nań przekleństwo, przy nim jest moc, on weźmie górę. Prawdy wszakże niemasz w żadnym obozie, unosi się ona wyżej nad obudwoma, i przeto też zwycięstwo żadnej stronie nie pójdzie na korzyść.

LEKCJA XI

Wtorek, 21 lutego 1843

Ostatnia część *Nieboskiej Komedji*. Opis pola bitwy. Bunt w twierdzy. Bitwa. Samobójstwo Hrabi. Tryumf ludzi nowych. Kłopot ich naczelnika po zwycięstwie. Wewnętrzny jego niepokój i zgon na widok znaku na niebie. — Autor dotknął tu wszystkich punktów messjanizmu polskiego. — Plemię słowiańskie jest powołane utworzyć rząd nowy w dziejach ludzkości. — Ufność, jaką ludzie powołani mają w swoje przeznaczenie. — Anekdota o jednym wodzu mongolskim i wilku. — *Nieboską Komedją* i *Gigantomachją* Kordeckiego można stawić obok, jak dwa obrazy mające wspólność i przeciwieństwo. — Narodowa wiara polska w działanie świata niewidomego na widomy, i zgodność w tem pojęć Emersona.

Pozostaje nam przejrzeć ostatnią część *Nieboskiej Komedji*, chcielibyśmy dać uczuć wszystkie wrażenia, jakie sprawuje ten wzniosły i piękny poemat.

Porzuciliśmy strony walczące, po widzeniu się ich dowódców, w oczekiwaniu ostatecznej bitwy. Scenę otwiera wstęp opi-

sowy. Autor skreśla nam pole zdarzeń, maluje widok okolicy, któregoby pędzel nie mógł oddać w teraźniejszym stanie malarstwa. Jest to obraz posępniejszy i szerszy niżeli wszystkie Ruysdaela, bardziej ponury od wszystkich Salvatora Rosy.

Przed tym zalewem politycznym, co ma zaraz ogarnąć ostatnie schronienie przeszłości, przychodzi na myśl poecie zalew wód niegdyś obejmujących ziemię, obudza się w nim wspomnienie potopu.

„Od baszt Świętej Trójcy do wszystkich szczytów skał, po prawej, po lewej, z tyłu i na przodzie leży mgła śnieżysta, blada, niewzruszona, milcząca, mara oceanu, który niegdyś miał brzegi swoje gdzie dolina, której nie widać...

„Na wyspie granitowej, nagiej, stoją wieże zamku, wbite w skałę pracą dawnych ludzi i zrosłe ze skałą jak pierś ludzka z grzbietem u Centaura. — Ponad niemi sztandar się wznosi, najwyższy i sam jeden wśród szarych błękitów —

„Powoli śpiące obszary budzić się zaczną — w górze słychać szumy wiatrów — z dołu promienie się cisną — i kra chmur pędzi po tem morzu z wyziewów —

„Wtedy inne głosy, głosy ludzkie, przymieszają się do tej znikomej burzy, i niesione na mglistych bałwanach, roztrącą się o stopy zamku —

„Widna przepaść wśród obszarów co pękły nad nią. — Czarno tam w jej głębi, od głów ludzkich czarno. — Dolina cała zarzucona głowami ludzkiemi, jak dno morza głazami. —

„Słońce ze wzgórzów na skały wstępuje — w złocie unoszą się, w złocie roztapiają się chmury, a im bardziej nikną, tem lepiej słychać wrzaski, tem lepiej dojrzeć można tłumy płynące u dołu. —

„Z gór podniosły się mgły — i konają teraz po nicościach błękitu. — Dolina Świętej Trójcy obsypana światłem migającej broni — i lud ciągnie zewsząd do niej, jak do równiny Ostatniego Sądu.“ —

Zewnętrzny ten obraz jest posępny i wspaniały. Tymczasem w zamku panowie, senatorowie, duchowieństwo i szlachta okrzy-

kują hrabię Henryka swoim naczelnym wodzem. Arcybiskup poświęca go znakiem krzyża i daje mu miecz błogosławiony niegdyś ręką św. Florjana. Nowo mianowany wódz, mocą charakteru i zapału, zniewala wszystkich do posłuszeństwa, i każe wykonać przysięgę, że wszelkiemi siłami będą bronili wiary i czci przodków swoich, że chociażby mieli pomrzeć z głodu i pragnienia, nie zmażą się hańbą, nie wejdą w żadne układy z nieprzyjacielem, nie ustąpią żadnego z praw Boga i swoich własnych. Ale kiedy się to dzieje, widzimy już wychodzącą na jaw całą zgniliznę ukrytą w łonie starego społeczeństwa. Duma, zawiść, samolubstwo sieją rozterki i zwątpienie. Naprzód przy wyborze Hrabi na wodza, jedni mu zazdroszczą, drudzy go obmawiają, słychać głosy — *Nie pozwalam;* potem najznakomitsi z panów biorą go na stronę, dopytują się jakie ma nadzieje, wyznają swoje obawy, zaprzysiągłszy zginąć w boju, powiadają, że to wszystko dobrze dla gminu, ale między sobą powinni jasno oceniać rzeczy, podają myśl układów. Hrabia, niezachwiany niczem, przestrzega tak radzącego księcia, że już na śmierć zasłużył, i obwołuje, że kto wspomni o poddaniu się, ten śmiercią karanym będzie, wydaje rozkazy różnym oddziałom siły zbrojnej, i sam idzie zobaczyć swojego syna, to nieszczęśliwe dziecię pozbawione wzroku.

Tu poeta znów przenosi nas w świat nadnaturalny. Orcio prowadzi ojca do lochów podziemnych, gdzie walają się na ziemi kajdany, połamane narzędzia tortur i spróchniałe kości dawnych ofiar. Tam ogarnięty widzeniem wszystkich krzywd wyrządzonych poddanym przez ich władców i panów, opowiada mu te straszne sceny, a postrzegłszy jeden cień wśród winowajców dodaje: „To drugi ty jesteś — cały blady — spętany — oni teraz męczą ciebie — słyszę jęki twoje". — Złowieszczą zapowiedź dla Hrabi kończy chór głosów w dali: „Za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił prócz siebie, prócz siebie i myśli twoich, potępion jesteś — potępion na wieki".

Hrabia jednak przemaga samego siebie; dobywa całej mocy, porwawszy na ręce omdlałe dziecko, bieży na swoje stanowisko. Ale już w zamku zwątpienie wzięło górę, zewsząd wołają: chleba — ocalenia — układów; a pośród upadłego na duchu tłumu stoi poseł od nieprzyjaciela, dawny znajomy Hrabi, ojciec chrzestny

jego syna, przybyły teraz z obietnicą przebaczenia dla tych, którzyby się zdali na łaskę Pankracego.

Mężny wódz z godnością odpowiada wszystkim, gorzko wyrzuca nikczemność starszyźnie, przywoławszy oddział zbrojny, odzywa się, wskazując mu posła:

„Na cel mi wziąć to czoło zorane zmarszczkami marnej nauki — na cel tę czapkę wolności drżącą od tchnienia słów moich, na tej głowie bez mózgu."

Poseł przestraszony zmyka, Hrabia, chodząc od jednego do drugiego żołnierza, stara się czem może wzruszyć ich i zachęcić, przypomina wyświadczone dobrodziejstwa, ujmuje hojnością, i tym sposobem poskromiwszy jeszcze bunt w twierdzy, każe wiernemu słudze pędzić wszystkich do murów, wszystkich kogo spotka, bankierów, hrabiów, książąt — żeby bronili zamku, albo przynajmniej polegli z chwałą.

W ciągu tego bitwa toczy się coraz gwałtowniejsza. Oblężonym zabrakło nabojów, szturmujący ze wszech stron wdzierają się na wały. Widząc nieuchronną zgubę, ostatni reprezentant i ostatni obrońca starej Polski, wedle wyobrażeń autora, każe przyprowadzić do siebie syna, żeby jeszcze raz go uściskał. W jego objęciach dziecko to zostaje ugodzone kulą. Przyłożył mu do ust klingę szabli i postrzegł, że oddech z życiem uleciał razem. O kilka kroków dalej padł raniony śmiertelnie wierny sługa i skonał, klnąc pana za jego upór. Nie mając już niczego bronić ni spodziewać się na ziemi, nieszczęśliwy bohater cisnął precz od siebie nieużyteczną szablę, i także z przekleństwem na ustach rzucił się w przepaść.

Ludzie nowi, jak ich autor nazywa, wwalili się tłumem do zamku, opanowali ostatni punkt na ziemi. Pankracy znowu wchodzi na scenę. Otoczony orszakiem przyjaciół i zwolenników, wydaje wyroki śmierci na jeńców przechodzących przed nim szeregiem. Autor naśladuje tu styl trybunałów rewolucyjnych za czasów terroryzmu. Skoro jaki książę lub hrabia nadejdzie z kolei, Pankracy zapytuje: „Twoje imię?" — potem dodaje: „Ostatni raz je wymówiłeś" albo: „Wymazane z pośród żyjących." —

Zwycięzca ten jednak, w chwili zupełnego tryumfu, niepokoi

się jeszcze o swego przeciwnika: „Gdzie Henryk?“ powtarza ciągle. „Czy kto z was nie widział go żywym lub umarłym. — Wór pełny złota za Henryka — choćby za trup jego.“ —

Nareszcie naczelnik jednego oddziału żołnierzy przynosi mu wiadomość o nim i tak poprostu opowiada ostatni jego koniec:

„.... ku stronie zachodniej szańców, zaraz na początku wejścia naszego do fortecy i na trzecim zakręcie bastjonu, ujrzałem człowieka rannego i stojącego bez broni przy ciele drugiego — kazałem podwoić kroku, by schwytać — ale nim zdążyliśmy, ów człowiek zeszedł trochę niżej, stanął na głazie chwiejącym się, i patrzał chwilę obłąkanym wzrokiem — potem wyciągnął ręce jak pływacz, który ma dać nurka, i pchnął się z całej siły naprzód — słyszeliśmy wszyscy odgłos ciała spadającego po urwiskach — a oto szabla znaleziona o kilka kroków dalej. —

Pankracy (biorąc szablę)

„Ślady krwi na rękojeści — poniżej herb jego domu. —

(Do niewolników)

„To pałasz hrabiego Henryka — on jeden z pośród was dotrzymał słowa — Za to chwała jemu, gilotyna wam“.

Skoro wszyscy rozeszli się pełnić odebrane polecenia, i naczelnik sam jeden pozostał z zaufanym swoim Leonardem, ten odzywa się do niego:

„Po tylu nocach bezsennych powinienbyś odpocząć, Mistrzu — znać strudzenie na rysach twoich. —

Pankracy

„Nie czas mi jeszcze zasnąć, dziecię, bo dopiero połowa pracy dojdzie końca swojego z ich ostatniem westchnieniem. — Patrz na te obszary — na te ogromy, które stoją wpoprzek między mną a myślą moją — trza zaludnić te puszcze — przedrążyć te skały — połączyć te jeziora — wydzielić grunt każdemu, by we dwójnasób

tyle życia się urodziło na tych równinach, ile śmierci teraz na nich leży. — Inaczej dzieło zniszczenia odkupionem nie jest."

Tak to ten człowiek, —trzymający w ręku swojem losy przyszłych pokoleń, szuka dla siebie pokrzepienia, wyobrażając wedle Furierystów i Owenistów szczęście, jakiem ma obdarzyć ziemię, cieszy się, że nakarmi świat; że każdemu człowiekowi wydzieli kawał gruntu, da własność i zaspokoi przez to wszystkie jego potrzeby. Ale wtem przyjaciel jego mimowolnie wymawia imię Boga, powiada: „Bóg wolności sił nam doda." — To pierwszy raz dopiero mięsza Wszechwładcę, wstrząsa nim wewnątrz.

„Co mówisz o Bogu" — rzecze — „ślisko tu od krwi — ludzkiej. — Czyjaż to krew? — za nami dziedzińce zamkowe — sami jesteśmy, a zda mi się jakoby tu był ktoś trzeci. —

Leonard

„Chyba to ciało przebite. —

Pankracy

„Ciało jego powiernika — ciało martwe — ale tu duch czyjś panuje — a ta czapka — ten sam herb na niej — dalej, patrz, kamień, wystający nad przepaścią — na tem miejscu serce jego pękło. —

Leonard

„Bledniejesz, Mistrzu. —

Pankracy

„Czy widzisz tam wysoko — wysoko? —

Leonard

„Nad ostrym cyplem widzę chmurę pochyłą, oświeconą zachodem słońca. —

Pankracy

„Znak straszny pali się na niej. —

Leonard

„Oprzyj się na mnie — coraz to bardziej rumieniec schodzi ci z twarzy. —

Pankracy

„Milion ludu mnie słuchało — gdzie jest lud mój? —

Leonard

„Słyszysz jego okrzyki — pyta się o ciebie — czeka na ciebie. — Zdejm oczy z tej skały — zrzenica twoja dogorywa na niej. —

Pankracy

„Stoi niewzruszony — trzy gwoździe, trzy gwiazdy na nim — ramiona jak dwie błyskawice. —

Leonard

„Kto? — gdzie? — Zbierz siły! —

Pankracy

„Galilaee, vicisti!“ —

(Stacza się w objęcie Leonarda i kona)

To zakończenie dramatu jest przepyszne, nie znamy nic równego. Prawda nie była ani przy Hrabi, ani przy Pankracym, unosiła się nad nimi, zstąpiła teraz potępić obu. Zwyciężony padł, przeklinając siebie, zwycięzca w pierwszej chwili tryumfu uczuł, że był tylko narzędziem zniszczenia. Ukazał mu się znak na niebie, jemu tylko widomy; a w chwili, kiedy ten znak zrozumiał, pada trupem, powtarzając słowa cesarza rzymskiego, który, po daremnych usiłowaniach obalenia chrystjanizmu, skonał, wołając: *Galilejczyku! zwyciężyłeś.*

Tryumf tedy Galilejczyka jest w istocie celem tego dramatu. Oskarżano autora z dwóch stron przeciwnych. Jedni zarzucali mu, że chciał wylać zawziętą nienawiść ku wszelkim wyobrażeniom postępu, że aż do przesady przedrzeźniał język reformatorów nowoczesnych, a wywyższył i upiększył charakter stawionego im oporu. Drudzy oburzali się na to, co zdaje się być uwłaczającem religji w jego bohaterze. Ale rzeczywiście, dzieło to, poemat ten, jest niczem więcej tylko jękiem człowieka genjalnego, który widzi cały ogrom, całą trudność zadań społeczeńskich, a nie wzniósł się jeszcze dość wysoko, aby mógł dojrzeć ich rozwiązanie.

Mówiliśmy już, że dramat niniejszy w treści swojej jest zupełnie narodowym. Autor dotknął tu wszystkich punktów *Messjanizmu polskiego*, wyprowadził na scenę lud izraelski, lud słowiański, szlachtę i duchowieństwo; ale skrzywił każdy z tych typów.

Naprzód co do Izraelitów, zawinił, można powiedzieć, przeciw swemu narodowi, wystawiając ich jako tylko czyhających na zgubę szlachty i chłopów, na zatratę chrześcijaństwa. Włożył w usta utworzonych przez się reprezentantów Izraela słowa tchnące samą nienawiścią, wzgardą ku chrześcijanom. Bezwątpienia, są sekty żydowskie pogrążone w przesądach i ciemnocie, można napotkać zagorzalców odzywających się nakształt *chóru przechtów*, ale nie należy tak trzymać o całym ogóle izraelskiego ludu, nie godzi się tak przesądzać wyroków Opatrzności, bo to nie bez przyczyny, że lud ten od wieków siedzi w Polsce, i los jego tak ściśle jest związany z losem narodu polskiego.

Podobnież źle zrozumiał i skrzywdził charakter włościan, charakter ludu słowiańskiego w ogólności, dając mu za głos swoje *chóry lokai i rzeźników*. Wszyscy pisarze od Jornandesa i Prokopa aż do Herdera bez wyjątku przyznają temu ludowi wysokie przymioty moralne. Co go mianowicie od innych ludów odróżnia, to ta gorącość ducha, którą nazywamy miłością, a która przebija się w jego obyczajach, zwyczajach i upodobaniach, która sprawuje, że tak jest serdecznie gościnny, że tak lubi śpiew i muzykę. Nie w imię tedy teoryj morderczych, nie łakomstwem na krew i kawałki gruntu, taki lud da się poruszyć i uzbroić. Wielka część prostego ludu w Słowiańszczyźnie ma byt zwierzęcy bardzo błogi. Mówiliśmy już dawniej, że życie Kozaków i nawet mieszkańców

Syberji pod tym względem jest nierównie szczęśliwsze od życia wyrobników na Zachodzie. Gdyby autor lepiej zgłębił historją, albo raczej gdyby podniósł się wyżej, byłby zgadł natchnieniem, czego temu ludowi potrzeba. Potrzebuje on być rządzonym zgodnie z jego naturą, być rządzonym miłością. Mnogie te miljony składają teraz rozległe stronnictwo niechętnych przeciwko swoim władcom, bo czują, że nie mają oni ku nim prawdziwego przywiązania. Chłop czeski, bogaty i nawet piśmienny, nie cierpi Austrjaków, bo zna to, że dbanie o jego byt dobry wynika tylko z rachub rządowych, że chcą go tuczyć aby służył za narzędzie do gnębienia innych ludów. Żaden węzeł moralny nie łączy go z panem. Chłop rosyjski także poczyna już pojmować myśl swojego rządu. Sprzykrzy mu się nakoniec ta pociecha dumy narodowej, że jego syn postawiony pod karabin grozi Europie, pozna, iż jest u swego pana tylko machiną wojenną. Potrzeba więc rządu ludzkiego, kochającego i kochanego, stała się teraz powszechną dla Słowian. Przekonali się oni, że żadna forma władzy nie zdoła zastąpić i zakryć co jest złego i fałszywego w sercach władców. Plemię to ma powołanie, nie robiąc nowej definicji rządu, utworzyć rząd zupełnie nowy w dziejach człowieczeństwa. Definicja co do formy rządowej, jaką z historji i poezji słowiańskiej wyciągnąć można, ogranicza się na tem, że despotyzm nie jest to władza jednego, ale władza bez miłości. Jeden czy wielu, zgromadzenie czy ogół, z tak lub owak opisaną konstytucją, może być despotą, jeśli nie miłuje tych, którymi rządzi.

Autor w tym względzie poszedł za wyobrażeniami niektórych publicystów polskich, między innymi hrabi Jana Potockiego, który, jakeśmy mówili, lękał się o przyszłość Słowiańszczyzny, przewidując powstanie gminu przeciw klasom cywilizowanym. Mimo to znajdujemy w poemacie mnóstwo charakterów pojętych prawdziwie po narodowemu, nie naśladowanych zgoła podług wzorów zachodnich, gdzie niemasz nic podobnego. Nadewszystko Pankracy przedstawia nam typ zniszczyciela, jaki ukazywaliśmy nieraz, mówiąc o Mongołach. Ile możemy sądzić, autor nie czytał dziejów azjatyckich, przynajmniej nie zastanawiał się nad niemi, ale ma tradycyjną ich znajomość. Co za głęboka myśl w tych słowach

Pankracego: „a nie draśnie mnie ołów, nie tknie się żelazo, dopóki choć jeden opiera się memu dziełu.“ — Jak on mocno czuje rolę, do której Opatrzność go powołała!

Przykłady podobnego uczucia dają się napotykać w dziejach mongolskich. Jeden z potomków Dżengischana, Oktaj czy Kublaj, zachorował na polowaniu. Wtem myśliwi przyprowadzili mu wilka wziętego żywcem. Z wielkiem podziwieniem wszystkich chan kazał go zaraz wypuścić, a kiedy zwierz, trafiwszy wnet na inny oddział strzelców, został zabity, zmartwił się tem bardzo, i zapowiedział, że czuje zbliżającą się ostatnią swoją godzinę. Wypuszczając wilka, chciał on zbadać wyroki Opatrzności, chciał doświadczyć czy dozwoli mu oszczędzić choć jedno stworzenie. W takim razie spodziewał się rozpocząć na nowo życie, mieć przed sobą nowy zawód; ale widząc w śmierci zwierzęcia znak, że nie miał mocy przebaczać, że był tylko przeznaczony do niszczenia, a nie czując już w sobie sił do tego, poznał, że musi umrzeć. Ślady takich przeczuć, okazujących ścisły związek między światem niewidomym a ludźmi zesłanymi na spełnienie czegoś, liczne są w historji Mongołów; mało ich w dziejach Zachodu, bo ludzie, przeznaczeni budować, są rzadsi i głębiej ukrywają swoje tajemnice. Można wszakże przypomnieć tutaj znajome powszechnie słowa cesarza Napoleona, który w strasznym ogniu działowym rzekł do grenadjerów trwożących się o niego: „kula, co mnie ma zabić, jeszcze nie odlana.“

Pełno jest w dramacie naszym z równąż przenikliwością prawdziwie wieszczego wzroku schwyconych rysów. Bezwątpienia, autor nie czytał także pamiętników księdza Kordeckiego, książki bardzo rzadkiej, którą rozbieraliśmy w przeszłym roku; poemat jego odbija się jednak przy niej nakształt przeciwnego obrazu w tym samym rodzaju, zdaje się być odmalowaniem innego bohatera w zupełnie podobnem położeniu. Kordecki i Hrabia bronią ostatniego stanowiska, ostatniej chorągwi zatkniętej na ziemi ojczystej. Tamten równie jak ten opuszczony od swoich, musi siłą własną zniewalać ich do boju. Ale kapłan jest spokojny i mężny, bo czuje w sobie głos Boga, któremu służy, i przewiduje świetną przyszłość dla swego kraju; Hrabia przeciwnie, przychodzi do rozpaczy, bo „nic nie kocha, nic nie czci prócz siebie

i myśli swoich.“ Pamiętnik Kordeckiego jest epopeją głoszącą tryumf wiary, *Nieboska Komedja* wyrokiem potępienia ludzkich wymysłów.

Zostawimy na teraz nietkniętą kwestją cudowności poetyckiej, bo wiele byłoby do mówienia o tem, a będziemy mieli później sposobność roztrząsnąć ten przedmiot ostatecznie. Ale nie możemy wstrzymać się od przytoczenia w tem miejscu małego wyjątku z wyżej wspomnionego filozofa Emersona, który dziwnie zgadza się z narodowem pojęciem polskiem, i bardzo trafnie wyraża potrzebę naszych czasów.

Powiedzieliśmy przeszłego roku, że głównym dogmatem, na którym polega narodowość polska szczególnie, a w ogólności narodowość słowiańska, jest wiara w ciągłe działanie świata niewidomego na widomy. Narodowość zaś bierzemy tutaj w najrozleglejszem znaczeniu tego wyrazu, jako źródło wszelkiej prawdy, wszelkiej siły i potęgi narodowej. Może to zdawało się tu komu paradoksalnym wnioskiem z dziejów polskich, chociaż wniosek ten staraliśmy się poprzeć, składając dowody historyczne, i okazując pochód tej myśli, występującej na jaw nawet w poezji i filozofji słowiańskiej. Posłuchajmyż co mówi filozof Amerykanin.

Emerson nie jest zwolennikiem szkół filozoficznych Zachodu, owszem wyśmiewa je i zbija. Nie zdaje się także należeć do żadnej sekty Kościoła. Jest to sobie filozof praktyczny, niby jakiś Sokrates amerykański.

Słowa, które tu przytoczymy, wzięliśmy z jego mowy mianej w Bostonie do stowarzyszenia wyrobników reformistów, a ogłoszonej w roku 1841, w mało znanym dzienniku amerykańskim *The Dial*, którego kilka numerów przypadkiem wpadło nam w ręce. Mówca tak odzywa się do swoich rodaków, uchodzących w całym świecie za lud najpraktyczniejszy i najbardziej materjalny:

„Przyznajmy, że życie, do jakiegośmy teraz przyszli, jest pospolite i niskie; że pewne obowiązki, którym powinnibyśmy czynić zadość, pewne powołania, stanowiące główny cel bytu człowieka, stały się tak niezwyczajnemi u nas, iż zaledwie pamięć o nich przechowuje się w starych księgach i zamierzchłych podaniach; że nikt z nas nie jest prorokiem, poetą, pięknym i doskonałym

mężem, a nawet, żeśmy tak obdarzonych ludzi nie widzieli; że pewne źródła prawdziwie człowieczeńskiej mądrości, zaniedbane i zawalone, w końcu z imieniem swojem zaginęły między nami; że społeczność, wpośród której żyjemy, zaledwieby dała mówić sobie o tem, iż każdy człowiek powinien duszę swoją czynić przystępną objawieniom Boskiego światła, i powszednią drogę codziennego życia podnosić wyżej przez zetknięcie się z krainą ducha. A gdy to wszystko jest prawdą, którą wyznać musimy, któż ze słuchaczy moich, któż z ludzi poczciwych i myślących zaprzeczyć może, że jest obowiązkiem naszym tak urządzić nasz żywot, i bieg jego ku temu skierować, abyśmy zdołali wejść w bliższe stosunki ze światem duchowym i wysłużyć sobie dotykalniejsze wskazówki z góry."

Jeżeli tedy ktoś w taki sposób przemawia do Amerykanów, do ludzi, których współrodak oskarża o brak dwóch cnót kardynalnych, nadziei i miłości, jakże powinniby politycy i filozofowie odzywać się do Słowian, którym przecież wszyscy przyznają tak gorącą nadzieję i miłość. Jaka to odpowiedzialność spadłaby na tych, coby chcieli te ludy poruszać i uwodzić formułami społeczności martwej, właśnie dlatego klecącej te formuły, że sama cnót tych nie ma, że czuje w sobie niedostatek siły wewnętrznej. Jak ciężką byłoby winą zabierać głos do tych ludów zachowujących nienaruszoną wiarę, wielkie tradycje narodowe, i uczucia ludzkie tak czyste, tak serdeczne, wystrzegając się wspomnieć o Bogu, religji i miłości.

LEKCJA XII

Piątek, 3 marca 1843

BADANIA STAROŻYTNOŚCI SŁOWIAŃSKICH. III.

Lepsze poznanie mitologji słowiańskiej zmieni stan teraźniejszy ogólnych wiadomości mitologicznych. — Historja prac naukowych w tym przedmiocie. Nowa epoka dla nauki mitologicznej. Kreutzer. — Wyjście na scenę systemu mitologji litewsko-słowiańskiej. Hanusch. Nork. Zgodność Kucharskiego, Ossolińskiego i Narbutta z Norkiem co do Wudy-

nów. — Wszystkie religje pierwotne pochodzą z natchnienia; doktryna i sztuka krzywią je i gubią. Ważność tradycji słowiańskiej utrzymanej czysto.

Musimy usprawiedliwić teraz cośmy powiedzieli temu trzy lata, że zgłębianie rzeczy słowiańskich zmieni całkiem dotychczasowy stan wiadomości mitologicznych. Na poparcie naszego zdania, które mogło wydawać się dziwnem, mamy już pisarzy obcych. Jeden z uczonych niemieckich, profesor we Lwowie, Hanusch, wydał w roku przeszłym dzieło o mitologji słowiańskiej, gdzie rozebrawszy wszystkie znajome systemy mitologiczne *indyjskie, zendskie* czyli *perskie* i *greckie*, uznaje *słowiańskie* albo raczej *litewsko-słowiańskie* za najrozleglejsze, najgłębsze i najzupełniejsze.

Poprzestając tymczasem na tem uznaniu, opowiemy pokrótce historją naukowych prac w tym przedmiocie, żeby pojąć jakim to sposobem mitologja Słowian, zarzucona do dziś dnia, nagle zajmuje pierwsze miejsce pomiędzy wszystkiemi.

W początkach chrześcijaństwa Ojcowie Kościoła i nawet uczeni tłumaczyli sobie tworzenie się mitów przez wpływ złych duchów. Mniemanie to przyjęte powszechnie trwało aż do tak zwanych czasów odrodzenia się nauk. Od wieku XVI. badacze dziejów i filozofowie poczęli znowu zastanawiać się nad tradycją i poezją dawną, a szukając w nich wyjaśnienia niektórych punktów ciemnych tak historji jako też baśni, zwrócili razem uwagę na część najciekawszą mitologji, na wyobrażenia religijne. Ogólnie jednak w szkołach XVI. i XVII. wieku uważano mitologją tylko za zbiór bajek, podań zamglonych, zmyśleń wylęgłych w imaginacji poetów i mitografów; chciano je poznać jedynie, aby rozumieć pisarzy starożytnych, nie przywiązywano do nich żadnej wagi, i nakoniec całą tę naukę, mianowicie we Francji, traktowano sobie jako pewien rodzaj zabawki.

Dopiero z wiekiem XVIII. wzrastający duch filozoficzny, rozstrząsając wszystko co odnosiło się do religijności, poruszył także i kwestje mitologji. Niemcy i Francuzi z innego stanowiska zapatrywali się na ten przedmiot. W Niemczech dzielono mity i podania na astronomiczne, historyczne, narodowe, i każdą klasę wykładano podług osobnej metody; we Francji nie dbano czy w ten

lub ów sposób, dosyć aby jakkolwiek starożytną powieść wyłuszczyć za pomocą pojęć nowoczesnych. I tak naprzykład powiedziano sobie, co nawet powtarza się w książkach dla szkół przeznaczanych, że wojna Saturna z Tytanami znaczy zapewne jakąś rewolucją polityczną w którymś kraju greckim, gdzie król, imieniem Jowisz czy Saturn, został strącony przez tak zwanych książąt Tytanów.

Około roku 1812 przypada nowa epoka dla nauki mitologicznej. Jeszcze pod koniec wieku przeszłego sławny filozof niemiecki Chrystjan Gottlieb Heyne, naprzód w wydaniu swojem *Apollodora*, potem w swoich *Badaniach* i *Pamiętnikach* próbował skreślić historją wielu mitów. Postrzegając naprzykład, że wyobrażenie piekieł ulegało licznym zmianom, stara się przedewszystkiem oznaczyć miejsce, gdzie ten mit nastał, okazać później jak się ukształcał i rozwijał. Ale ten sposób zapatrywania się na rzeczy, bardzo oryginalny i nowy, nie zjednał sobie wtenczas uwagi uczonych.

Dopiero na dwa czy trzy lata przed pamiętnym rokiem 1812 *Symbolika* Kreutzera, dzieło tłumaczone i na język francuski, narobiła daleko większego hałasu. Kreutzer dał nową definicją mitologji. Podług niego jest ona panoramą mniemań i pojęć religijnych, stanowi jedną wielką całość, bo we wszystkich tych podaniach rozproszonych przebija się jedna myśl ogólna, jedna religja pierwotna.

Dawno przed Kreutzerem kilku filozofów mówiło już to samo. Pomiędzy innymi Saint-Martin dowodził, że wszystkie mitologje są tylko powtarzaniem się, pochodzą ze wspólnego źródła. Ale dzieła Saint-Martina nie miały czytelników, nie były dostępne mianowicie dla tej części publiczności, którą możnaby nazwać stanem średnim świata uczonego. Literaci zwyczajni i profesorowie nie wiedzieli nawet czy był kiedy na świecie ten pisarz głęboki. Kreutzer zaś pełen erudycji rozległej, obładowany cytacjami, biegły w literaturze starożytnej, wystąpił na widok publiczny z tą uczonością pospolitą co tak uderza umysły. Trudno wyobrazić sobie jakie wrażenie dzieło jego sprawiło w Niemczech. Uczeni rzucili się do piór na zbicie systemu, który stawił. Utrzymywano, że twierdzenia jego obrażały umiejętność niemiecką; przyszło nakoniec do strasznej przeciw niemu zawziętości.

Skąd ta zawziętość pochodziła, tego ani Voss, naczelnik opozycji, ani koledzy jego, profesorowie, ani nikt ze szkolarzy nie wiedział. Kreutzer poruszył kwestją nową: chciał dowieść, przynajmniej naprowadzał na to, że starożytność nie była tak barbarzyńską, tak ciemną, jak uczeni zwykle mniemali; że w najdawniejszych czasach miano pojęcia o Bogu wyższe i głębsze niżeli w III. i IV. wieku pogaństwa po Chrystusie, a to podkopywało system jednostajnie ciągłego postępu wyznawany przez protestantów, i odbierało znaczenie wszystkim dziełom filozoficznym i mitologicznym, do których umiejętność pospolita przywiązywała wielką wagę. Instynktowa nienawiść uczonych była znakiem, że Kreutzer wpadł na jedną z dróg przeciwnych umysłowemu kierunkowi protestantyzmu. Później Goerres, Kanne i inni uczeni, traktowali już mitologją pod ogólniejszym względem, a mianowicie starając się wyśledzić początek każdego mitu.

Taką koleją przyszła chwila, kiedy mitologja słowiańska musiała wyjść na wierzch. Dotąd wszystkie mity tyle tylko miały znaczenia w oczach uczonych, ile im nadawała poezja albo sztuka. Dlategoż mitologja grecka zdawała się być najdoskonalszą, jedynie godną uwagi erudytów i publiczności; a ponieważ Słowianie ani w poezji, ani w sztuce nie wydali nic takiego, coby odnosiło się do ich wyobrażeń mitycznych, wyobrażenia te mało zastanawiały kogo. Ale teraz skoro zaczęto wykreślać jeograficzne drogi kędy odwieczne pojęcia ludzkie rozchodziły się po świecie, nie można było pominąć rozległego obszaru Słowiańszczyzny.

Dwa znakomite dzieła ukazały się świeżo w tym przedmiocie. Jedno Hanuscha wspomniane wyżej, drugie Norka [1] *O bóstwach syryjskich.* Zastanowimy się naprzód nad tem ostatniem, wrócimy później do pierwszego.

Nork, usiłując wyłożyć imiona bóstw tych to Syryjczyków, co wedle przywiedzionych dowodów zdają się nam być tak połączeni z Słowianami, utworzył zupełnie nowy system mitologiczny. System ten, jak mniemamy, zmieni postać nauk zajmujących się starożytnością. Za źródło wszystkich mitologij, za skarbiec wszyst-

[1] Nork jest imię przybrane. Autor istotnie nazywa się Felix Korn.

kich bogactw Europy w tej mierze, uważa on Indostan. To zdanie nie jest nowe, bo wszyscy niemal uczeni, i Goerres, i Kanne, i Schlegel, i Hammer zgadzają się na to. Samo położenie jeograficzne kraju popiera już domysł, że Indjanie są ludem najdawniejszym. Niebo łagodne, ziemia żyzna, dają tam człowiekowi wszelką łatwość życia. Ale nie dość na tem: we wszystkich mitologjach innych, w greckiej, skandynawskiej, słowiańskiej, znajdujemy uderzające podobieństwo do indyjskiej. Nadto, filologja dzisiejsza okazała, że co najbardziej dowodzi starożytności jakiego bądź języka, to jego bogactwo. Język sanskrycki jest najbogatszy ze wszystkich. Kiedy w językach nowożytnych często na kilka wyobrażeń służy jeden wyraz, w sanskrycie wszystkie odcienie i nagięcia każdego wyobrażenia mają osobne wyrazy. Stąd też, wedle uczonych, języki nasze są niejako mozaiką z czerepków rozkruszonej mowy indyjskiej. Indjanie nic nie wzięli od starożytności europejskiej, a dali Grecji i Egiptowi swoich kapłanów i mędrców. Wiadomo z historji, że sławni filozofowie greccy zwiedzali kraje nad Gangesem.

Oprócz tych dowodów scientyficznych Nork szuka innych wyższego porządku. W księgach indyjskich można widzieć ślad niewątpliwy rzeczywistego natchnienia ich autorów. Nie były one pisane ani przez jednego człowieka, ani w jednym czasie, składają się z ułamków różnoczesnych. To samo już, wedle głębokiej uwagi Norka, stwierdza ich starożytność i świętość. Człowiek nie może być ciągle w natchnieniu; niepodobna napisać obszernego dzieła, któreby całe było natchnione. Księgi święte Indjan są zbiorem urywków zostawianych przez proroków, a zgromadzanych i objaśnianych przez filozofów. Ludzie, którzy obdarzyli swój naród temi księgami, dokładali wszelkiego starania, aby pozyskać pomoc Bożą, a zabezpieczyć się od wpływów świata, i pilnowali się w tym celu przepisów surowych. Znany jest sposób życia kapłanów Bramy: nigdzie starożytność nie miała prawideł tak ostrych i tak umiejętnych. Z tych przyczyn Nork uważa religją indyjską za najbliższą prawdy. Mniemanie to osądzimy niżej, teraz zaś patrzymy jak dalej rzecz prowadzi.

Zdaniem jego kapłani hebrajscy nie dopełniali już wszystkich warunków wymaganych przez Bramę; zamiast żyć ciągle według

przepisów takich jakie podawał braminizm, wyczerpanych z głębokiej znajomości rzeczy boskich, poprzestawali za czasów Mojżesza i później na przepędzaniu kilku dni w kościele, i sądzili, że tym sposobem mogli schwycić prawdę dorywczo, nagle, kiedykolwiek bądź. Mięszając się przytem do polityki, chcąc rządzić, wystawiali się na roztargnienie ducha, kiedy właśnie trzeba bez ustanku mieć go skupionym, żeby zostawać w porozumieniu z niebem. To znamię chwilowości, niedociągnięcia, nierozwagi, jakie upatruje w Biblji, zdaje mu się być nadewszystko wadą religij późniejszych. Z kolei przechodząc do ludów skandynawskich zarzuca im nieznajomość prawdziwej umiejętności religijnej, ponieważ kapłani ich, oddawszy się próżniactwu, zostawili, jak naprzykład u Germanów, kobietom przewidywanie i przepowiadanie przyszłości.

Nork tedy nie zna nic doskonalszego nad zakon religijny i instytucje Indjan. Ale skądże to wszystko wynikło? Czy uprzędło się z wymysłów i kuglarstw kapłańskich, jak mniemał wiek XVIII? Mogłaż na baśniach ugruntować się społeczność tak silna i trwała? Podobnaż to, aby z kłamstw powstały prawa, ustanowienia, kasty utrzymujące się do dziś dnia? Autor nasz wręcz powiada, że wszystkie wysokie prawdy, zawarte w Wedach, w Purrana i dalszych księgach indyjskich, są udzielone od Bóstwa przez natchnienie. Na poparcie tego zbiera w jedną systematyczną całość opinje wielu uczonych, i stara się tłumaczyć mitologją nie podług książek, ale podług zjawisk napotykanych w życiu dzisiejszem: wyjaśnienie starożytnych symbolów, a nawet wyrażeń religijnych znajduje w postrzeżeniach robionych nad magnetyzmem zwierzęcym i somnambulizmem. Ten sposób traktowania przedmiotu wypędzi nakoniec ze szkół dotychczasowy system mitologiczny racjonalistów, polegający jedynie na książkach. I tak, ostrożności i środki, które dzisiaj są przedsiębrane dla wejścia lub wprowadzenia innych w stan nadzwyczajny, stykanie się z jednemi osobami, unikanie drugich, słowem cała w tym względzie metoda, zdaniem Norka, przed wiekami była już w Indjach znajoma i dokładnie opisana przez dawnych mędrców, którzy nie wiadomo kiedy żyli.

Teraz dopiero daje się pojąć instytucja Braminów, owych ludzi przeznaczonych tak żyć, aby mogli ciągle zostawać w zetknięciu się z Bogiem. Całe ich prawodawstwo wypłynęło z tego źródła, i nie ma innej sankcji prócz wewnętrznego przyświadczenia, że było natchnione. Żeby podobne rzeczy opowiadać i utrzymywać, dodaje Nork, niedość wyczytać je z opisów, trzeba ich we własnem życiu doznać: „man muss es erlebt haben".

Zjawiska tych natchnień świadczą same o sobie; ale ustawy, prawdy, maksymy, objawiane przez natchnionych, składają tylko część prawodawstwa i rozległej literatury Indjan. Nadeszły później czasy kiedy przyczepiano do nich objaśnienia, wykłady, doktryny, czasy upadku przewidziane przez pierwszych Braminów. Pod tę kategorją umiejętności skażonej Nork podciąga naukę religijną Izraelitów, i wogóle wszystkie szkoły religijne Europy. Jest to miejsce w jego dziele gdzie, jak okażemy potem, myli się bardzo grubo. Z tego wszakże co mówi w badaniach swoich odnoszących się do Indyj biją promienie światła, które wielce oświecą mitologją słowiańską.

Rozbierając mniemania religijne ludów europejskich, dzieli je na dwie główne sekty. Sądzi naprzód, że jedna osada nie wiadomo kiedy, jeszcze przed epoką historyczną wyszedłszy z nad Gangesu, skierowała się ku północy, i zaludniła Persją, Baktrjanę, Assyrją i kraje zachodnie; a ponieważ wszędzie tam postrzega cześć ognia czyli Bóstwa pod postacią płomienia, wnosi, że kasta *Siwaitów* albo *Szywaitów* dała początek tym narodom. Druga taka osada z kasty *Wisznitów* czyli *Wodanów*, to jest czcicieli Bóstwa pod postacią wody, miała przejść stepy mongolskie i zatrzymać się dopiero za Uralem w środkowej Europie.

Rzecz godna uwagi, że daleko pierwej od Norka, badacze polscy, między innymi Kucharski i Ossoliński, uważali Budynów czyli Wudynów albo Wodanów za protoplastów Słowian. Narbutt, wywodząc początki szczepu litewskiego, powiada także, że imię *Wend* zdaje się mieć wielki związek z imieniem *Wudyn* czyli Budyn.

Takim sposobem tedy cała zagadka śledzeń mitologicznych spotyka się z zagadnieniem początku Słowian, i niepodobna dojść do gruntu mitologji powszechnej, nie rozwiązawszy skąd i kędy to plemię przywędrowało do Europy.

Czemże się teraz to dzieje, ze Słowianie, którzy nie wydali żadnego poematu, żadnego posągu, żadnego dzieła mitologicznego mają uzupełniać i wyłuszczać mitologje tak rozległe i bogate? Oto tem, że wszystkie mitologje starożytne zostały wykrzywione i zepsute przez artystów, przez uczonych i przez wszelakie szkoły doktrynerów. Ze sztuką dzieje się w tej mierze to samo co z prawoznawstwem: oboje przeradzają się łatwo w rzemiosło. Sztukmistrz natchniony wydaje formę boską, obleka ciałem uczucie, którem był przejęty: forma ta sprawuje wrażenie na ludzie. Ale sztukmistrz, nabywszy przez to pewnej biegłości, pewnej wprawy, zaufany, że może łatwo wiele chcąc form wydać, nie czeka już nowego natchnienia, tworzy sobie bogów i boginie na zimno. Tym sposobem, zamiast oblekać ciałem uczucie prawdziwe i głębokie, robi cacka, bawi się i bawi publiczność. Co komentatorowie czynią, dodając do maksym natchnionych chłodne wykłady, to samo artyści, urządzając swoje warsztaty, obracając sztukę w teoretyczne rzemiosło: poniżają oni istotną religją. Grecja starożytna, która zawaliła świat swojemi arcy-dziełami sztuki, udusiła starożytną ideę religijną. Człowiek zachwycony wspaniałym widowiskiem natury wylewa swoje uczucie w hymnie do słońca, do księżyca, do lasów, i wzruszenia jakiego doświadczał udziela słuchaczom lub czytelnikom. Słuchacze i czytelnicy, zamiast coby mieli brać ten hymn za środek podniesienia się do takiegoż uszucia, zamiast zwracać oczy na to słońce, ten księżyc, te drzewa, które natchnęły poetę, unoszą się tylko a częstokroć rozprawiają nad jego dziełem. Tą koleją i poezja przytępia religijność, bo łatwiej jest uczuć i uwielbiać piękne wiersze, niżeli czerpać natchnienie w cudach natury. Podobnie ma się rzecz z budownictwem i z każdą inną sztuką.

Owóż, szczęściem dla nas Słowian, my jeszcześmy nie wpadli w te grzechy, my nie małpowaliśmy dziwów bożych, nie tworzyliśmy arcy-dzieł bez natchnienia. Mówiąc o poezji gminnej, jużeśmy okazali tę wielką jej zaletę, że każda jej zwrotka jest prawdziwie natchniona: nie stanowią one ciągu, całości, ale wszystkie noszą na sobie piętno boskie. Co do sztuki plastycznej, tej zgoła u nas nie było. Przetoż nie mamy tradycyj fałszywych; nasza tradycja religijna nie jest tak rozwinięta, tak powiązana, a nade-

wszystko tak świetna jak grecka, egipska, indyjska, ale powtarzamy, nie przymięszało się do niej nic fałszywego, albo jeśli się przymięszało, to bardzo mało. Hanusch, o którego świeżem dziele wspomnieliśmy wyżej, zastanawiając się nad Słowianami, przyznaje im tę korzyść, powiada, że nie zmarnotrawili swojego ducha: „sie haben nicht ihren Geist vergeudet".

Nie wyganiamy precz sztuki. Tworzyć arcy-dzieła, równie jak wznosić instytucje, jest to sposób służenia religji, a nawet sprawie boskiej; ale to pewna, że wszystkie ludy dotychczas popełniały przeniewierstwo w sztuce i ustawach politycznych, dodając do natchnień, pochodzących od Boga, wyroby własnych tylko popędów. Grecja stawia nam tego przykład. Włochy są także uderzającem świadectwem. Gdzież więcej jak w tym kraju kościołów i obrazów, jednak nie można powiedzieć, że Włosi są narodem najreligijniejszym w świecie.

Opatrzność tedy zachowała Słowian na inne czasy. Będą oni zapewne mieli sztukmistrzów, ale sztukmistrzów tworzących podług wyobrażeń i prawideł nowych, nieznanych ani Grekom ani Rzymianom. Spadnie na nich przez to tem większa odpowiedzialność, że już mają przewodników w wieszczach i śpiewakach ludu: będą oni powinni tak obchodzić się z marmurem i płótnem, jak lud słowiański ze swoją mową i gęślą, nie brać się do dłóta i pędzla, nie czując prawdziwego natchnienia. Prawdy te były wiadome strożytnym, ale nie były nigdy sformułowane tak jasno jak teraz.

Co więc dzisiaj tradycją słowiańską czyni najbardziej szacowną, to że pozostała nieskażona, kiedy inne fałszowano ciągle. Przypuśćmy naprzykład, że posąg, zrobiony przez jakiego rzeźbiarza, zachwyca wszystkich. Drugi, chcąc podobać się jeszcze więcej, posuwa do przesady przymioty tego posągu, przyczepia swoje dodatki. Powstaje tym sposobem utwór nowy, kształci się forma nowego mitu, i częstokroć sztuka zaciera zupełnie pierwotne wyobrażenie religijne. W Słowiańszczyźnie zaś nie było ani piramid, ani posągów, ani zmyśleń poetyckich; tradycja tam przechowała nieco wyrażeń, nieco opisów, nieco wspomnień, ale każde słowo jej zawiera wielką i wzniosłą prawdę.

Widzimy zatem dlaczego znajomość pojęć religijnych tego ludu, zaniedbywanych i pogardzanych dotąd, stała się teraz niezmiernie ważną. Rzeczywiście, jeśli kto zechce trzymać się metody Norka i uczonych teraźniejszych, w tem co jest obecnie szukać klucza do przeszłości, przez to co najżywotniejsze w człowieku tłumaczyć książki i pomniki, musi dla objaśnienia podań greckich i indyjskich udać się do tradycji żywej, a ta jest u naszego ludu.

LEKCJA XIII

Wtorek, 7 marca 1843

BADANIA STAROŻYTNOŚCI SŁOWIAŃSKICH. IV.

Mitologja jest religją pierwotną, a religja stanowi istotę ludów. — Trzeba wydobyć co jest najistotniejszego w religji Indjan, żeby zobaczyć potem jak się to rozchodziło z ludami po świecie. — Dogmat wszystkich wiar starożytnych: Bóg jeden i powszechny. — Cześć słońca i księżyca. — Teorja Norka. — Znaczenie wszystkich obrządków jakiejkolwiek czci religijnej. — Wykład postępu objawień, przeciw Norkowi. — Najwyższość religji chrześcijańskiej. — Znaczenie *tradycji*. — Ludzka skłonność do nadużyć, cześć religijną, będącą środkiem do celu, czyni samym celem. — Słowianie wolni od skrzywień przez doktrynę i sztukę, jakie mają przeznaczenie.

Idźmy dalej z naszym przedmiotem mitologji słowiańskiej. To, co nazywamy tu mitologją, jest niczem innem tylko religją pierwotną tego ludu; a religja, jak słusznie powiada profesor Edgard Quinet, stanowi samą istotę ludów. Polityka, sztuki, wszystkie formy przez jakie wyraża się społeczność ludzka, są wyrobami tej rdzeni. Nie można poznać narodu, nie sięgnąwszy aż do jego bogów. Musimy przeto do gruntu zgłębić poruszoną kwestją mitologiczną.

Autorowie dzisiaj jednozgodnie uznają Azją za kolebkę wszystkich tradycyj religijnych, wszystkich objawień. Nork i Hanusch w swoich dziełach: *O bóstwach syryjskich* i *O mitologji słowiańskiej* przyjmują ten pewnik. Trzeba więc teraz wydobyć

co jest najistotniejszego w religji Indjan, żebyśmy mogli śledzić jak się to, rozchodząc z ludami po świecie, rozwijało i przemieniało.

Pierwszym dogmatem wszystkich objawień starożytnych jest jedność i nieskończoność Bóstwa. Na to przystają wszyscy uczeni dzisiejsi. Teorje przeszłego wieku, podług których człowiek miał jakoby koleją pojęć oderwanych podnosić się aż do pojęcia Boga, poszły już w zarzucenie. Quinet w dziele swojem pod tytułem *Duch religij* (Le génie des religions) wybornie także powiada, że gdyby ludzie poczęli byli sobie, jak chce Jan Jakób Rousseau, od rozpraw nad tem w co mają wierzyć i co robić, zapewne jeszcze rozprawialiby do dziś dnia. Jeżeli wspominamy tutaj o tym zaniechanym sposobie pojmowania rzeczy, to dlatego tylko, że na nieszczęście wielu literatów słowiańskich lubi jeszcze się nim bawić, jak to daje się widzieć z książek świeżo w Polsce i w Rosji ogłaszanych.

Wracamy tedy do tego faktu naczelnego, że od najdawniejszych czasów znano jednego i wiecznego Boga. Skądże i jaką drogą ród ludzki powziął tę najwyższą prawdę? O tem różne są zdania. Podług tradycji powszechnej, Bóg objawił się człowiekowi żywym głosem, to jest, mówiąc do jego ducha, dał wiedzę o sobie. Podług innych, przyrodzenie, napełniając człowieka uczuciami podziwu, uwielbienia, rozkoszy, obudziło w nim uczucie głębsze miłości Boga. Wszyscy jednak mitologowie filozoficzni zgadzają się już na to, że pojęcie to osięgnął człowiek w uniesieniu, w zachwycie, w mimowolnem drgnieniu sprawionem przez uczucie obecności Boga, bądź bezpośrednio, bądź na widok natury świeżo wyszłej z rąk Stwórcy.

To pojęcie, zaród wszystkich religij, rozwijając się, później przybiera rozmaite formy. Bóg powszechny i jedyny, nieprzystępny zmysłom, a nawet i rozumowi człowieka, pojmowany w formach, poczyna dzielić się i rozmnażać. Nadewszystko uznaje go człowiek w wielkich dziełach jego, w światłości, w słońcu, w księżycu. Cześć słońca i księżyca rzeczywiście znajduje się we wszystkich mitologjach. Stąd w wieku przeszłym ustaliło się było nakoniec mniemanie, że cześć tych dwóch ciał niebieskich jest klu-

czem do wszystkich systemów mitologicznych. Znany krótki zbiór mitologij Karola Franciszka *Dupuis*, co w swoim czasie tyle miał wziętości, sprowadza wszystko do tej jednej myśli. Podług tego sposobu zapatrywania się na rzeczy, Kriszna, Ozyrys, Herkules Fenicjan, Tur i Wołos Słowian, byłyby to tylko różne imiona jednego i tego samego bóstwa; na dnie religji u wszystkich ludów nie znajdowalibyśmy nic więcej prócz czci słońca i księżyca.

Nasuwa się tu samo przez się pytanie: dlaczego i jak czczono słońce i księżyc?

Filozofowie, poglądający wzgardliwie na starożytność i na ludy, powiadają, że wyrażała się w tem naturalna wdzięczność pierwotnych prostaków dla gwiazd tak dobroczynnych i miłych. Ponapisywano całe książki, rozwodząc się nad tym przedmiotem. Gdyby jednak lepiej przypatrywano się przyrodzeniu i człowiekowi prostemu, nie wdawanoby się w te wywody przeciwne naszej naturze duchowej i nawet zwierzęcej. Alboż zwierzęta dziękują słońcu, że je ogrzewa? Przecięż są między niemi bardzo zdolne czuć i okazywać wdzięczność. Pies naprzykład, który liże rękę swego pana, poznaje go zdaleka, byle postrzegł, bieży ku niemu i skacze z radości, czyniż co podobnego, ujrzawszy słońce? Ów ranny śpiew ptaków, poetycznie zwany *witaniem słońca*, jest tylko głosem ich uciechy; nie patrzą one nawet na nie. Poeci zwykli mawiać, że orzeł patrzy w słońce, ale to ich zmyślenie: pogląda on w górę równie jak na dół, szukając zdobyczy, nic więcej. Weźmy lud słowiański, lud dobrze nam znany dzisiaj, a tak zachowany w swoim stanie dawnym i w swojem prostactwie pierwotnem: znajdziemyż między nim choć jednego człowieka, coby na widok słońca czuł w sobie wdzięczność lub bojaźń? Cała ta teorja jest brednią; mogła ona wyląc się tylko w głowie uczonych, którzy ani przyrodzenia ani ludzkości nie znali inaczej jak z książek. Względem mniemanego barbarzyństwa czasów pierwotnych przywiedziemy jeszcze słowa Quineta. „Cóż wy — odzywa się on do racjonalistów — postrzegacie tam w dali zanikłych wieków, na krańcu waszej wiedzy historycznej? Piramidy Egiptu, świątynie Persepolis, pomniki Myceny: oto są budy barbarzyńców. A w innym porządku rzeczy: księgi Mojżesza, pieśni Homera, to elementarz ludzkości

w dzieciństwie uczącej się czytać.“ Dodamy, że to samo można powiedzieć i co do pojęć filozoficznych. Ułamki przypisywane Orfeuszowi, Muzeuszowi, Sybillom, noszą na sobie piętno najczystszego natchnienia i głębokiego sięgnięcia duchem. Ojcowie Kościoła i teozofowie chrześcijańscy z upodobaniem przytaczali zdania mędrców Grecji starożytnej, widzieli w nich wielką zgodność z dogmatami objawienia. To wszystko przekonywa, że od niepamiętnych czasów byli ludzie posiadający wielkie tajemnice rzeczy Boskich, i że założyciele społeczeństw pierwotnych nie mieli tak niskiego pojęcia o świecie stworzonym i Stwórcy, żeby cześć Boga mogli pomięszać z czcią słońca i księżyca.

Potrzeba jednak dociec skąd pochodziła ta cześć powszechna, a co większa, ta niemal jednakość u wszystkich ludów świata tak form i obrządków, jako też dni i epok na oddawanie jej przeznaczonych. Nie mogło to być skutkiem ani wspólnego wszystkim ludziom uczucia admiracji, ani jednostajności praw astronomicznych biegu słonecznego. Złożenie dzięków lub uwielbień nie wymagałoby tylu ścisłych prawideł, częstokroć misternie skombinowanych, jakim się poddawano. System astronomiczny i kalendarze u różnych ludów były rozmaite, i zresztą święta słońca nie przypadały na jego perjody przesilenia lub porównania dnia z nocą. Przyczyny powszechności i jednostajności tej czci należy szukać gdzieindziej. Nork chwycił się w tej mierze drogi bardzo prostej, ale z wielką przenikliwością dojrzanej. Dla zrozumienia mniemań dziwnych i objawów nadzwyczajnych w historji religijnej ludów dawnych począł on rozważać i teoretycznie układać postrzeżenia teraźniejszych uczonych nad podobnegoż rodzaju zjawiskami magnetyzmu zwierzęcego. Wiadomo, że w tych symptomatach magnetycznych i somnambulicznych, w których dusza ludzka przychodzi do wyższego stopnia potęgi i jasnowidzenia, wpływ słońca i księżyca gra wielką rolę. Wypadki nowoczesnych doświadczeń w tym względzie porównywując ze staremi mniemaniami Indjan o działaniu tych planet, wyprowadza Nork wniosek, że obrządki i ceremonje, spełniane na cześć słońca, nie były czem innem tylko metodycznemi środkami pozyskania sobie łaski tej gwiazdy, to jest wzmocnienia się jej wpływem, jej siłą, dla podniesienia swego ducha.

Istotnie, tym sposobem zapatrując się na rzeczy, można przyjść do wykładu wszystkich praktyk religijnych u starożytnych. Indjanie dzielą ludzi na *słonecznych* i *księżycowych*. Słoneczni, wedle nich, mają moc podnosić się aż do widzenia jasnego najwyższych sfer wszech-świata, i zostawać ciągle w styczności z bóstwem, nie przestając czuwać i działać w zwyczajnej sferze ziemskiego bytu; księżycowi zaś, mogą przenikać sfery nadziemskie tylko we śnie, to jest w stanie, któryby można nazwać magnetycznym albo somnambulicznym, kiedy człowiek nie umie sobie jasno zdać sprawy ani z tego co robi, ani co powinien robić. To tłumaczy nam owe *insolacje* czyli kąpiele słoneczne używane w starożytności. Wystawiano się na ciepło słońca, żeby przez ten środek fizyczny obudzić w sobie siłę wewnętrzną; starano się, jak powiedzieliśmy, przytaczając myśli Garczyńskiego, „ogrzać liszkę uśpioną w człowieku". Zapomocą słońca starano się utrzymywać się w tym stanie normalnym jasnowidzenia, jaki uważano za niezbędny każdemu, kto pełnił obowiązki kapłana albo prawodawcy. Chodzono także przy świetle księżyca dla nabycia mniej wzniosłego stopnia doskonałości, dla oderwania się od świata zmysłowego a wejścia w tę krainę marzeń wieszczych, której odbicie się znajdujemy we wszystkich poezjach duchowych ludów dawnych, mianowicie północnych. Praktyki tedy i obrządki religijne starożytnych niekoniecznie były takiem bałamuctwem i głupstwem, jak się zdaje pospolicie. Wszystkie one bez wyjątku miały jedynie na celu wyzwolić i podnieść ducha ludzkiego, uczynić go bardziej widzącym, czystszym i potężniejszym.

Przyjąwszy tę zasadę, możemy dopiero każdą cześć religijną odnieść do pewnego wyobrażenia i ocenić. Wartość każdej da się oznaczyć jej skutecznością: tę będziemy uważali za bliższą prawdy wiecznej, która okaże się zbawienniejszą dla ludzkości. Tu rozstajemy się już z pisarzami niemieckimi, a szczególniej z Norkiem.

Nork, przyznając największą starożytność i doskonałość religji indyjskiej, usiłuje wyprowadzić z niej religją hebrajską jako pochodną i słabszą, a o chrześcijańskiej prawie i nie wspomina. Wedle niego możnaby mniemać, że wszystkie instytucje religijne

i mitologje, oddalając się od braminizmu jako od swego źródła, karłowacieją i tracą na sile. To przypuściwszy, należałoby pochód moralny rodu ludzkiego uważać za wsteczny i odrzucić wszelką myśl postępu. Tak nie jest, owszem dzieje się przeciwnie, co okazawszy, postawimy Norkowi za ostatnią odpowiedź ważność tradycji słowiańskiej, występującej najpóźniej na scenę świata.

Bezwątpienia, reguła bramińska jest systematycznym i najzupełniejszym zbiorem wszystkich sposobów i środków ochronienia człowieka od niebezpiecznych wpływów zewnątrz, a zapewnienia mu pokoju i czystości wewnątrz. Ale ci spokojni i czyści bramini cóż czynią z ziemią? Zostawują ją w mocy złego. Jak postępują względem kast niższych? Nie dbają o nie i pogardzają niemi. Cała ich usilność położona w to, żeby jak najprędzej uciec na łono Boga. Jest to jedna klasa ludzi, która, otrzymawszy kiedyś od niewiadomego nam objawiciela prawdę boską, zabrała ją sobie na wyłączny użytek, nie dopuszcza korzystać z niej innym i spodziewa się unieść ją z sobą do nieba. System religijny Indjan jest tylko odpornym i wszystkie ich obrządki są zręcznemi obrotami wojska uchodzącego z pola bitwy. Duch braminizmu odpycha wszelką myśl propagandy; zamknąwszy się w egoizmie religijnym doprowadzonym do najwyższego stopnia, nie chciał nigdy przekroczyć granic oddzielających go od ducha klas niższych, jak kasta, którą napełnia, nie raczyła nigdy wyjść za góry i morza odgraniczające ją od narodów innych, uważanych przez nią za *nieczyste.*

Daleko wyższe już było objawienie hebrajskie. — Udamy się w tej mierze jedynie do względów filozoficznych, bo ci, którym odpowiadamy, możeby na innem polu nie chcieli przyjąć rozprawy. — Wedle samegoż Norka, Hebrajczycy usiłowali przywieść do poznania jednego i powszechnego Boga nietylko wyłączną jaką kastę, ale cały naród. Dzieje ludu wybranego są nadewszystko historją ciągłego pasowania się widzących, to jest proroków, objawicieli, z ogółem narodu. Ogół ustawicznie odpada w dawne błędy, wraca do religij mniej doskonałych, chwyta się obrządków bramińskich, perskich i innych, szuka natchnienia w słońcu, w księżycu, na górach i w gajach poświęconych; prorocy i królo-

wie prawowierni przeciwnie ukazują ludowi jedynego, nieskończonego Boga i zmuszają Hebrajczyków do tego, żeby każdy w samym sobie, w duchu swoim znajdował sposób wzniesienia się ku niemu, a nie brał się do tych środków fizycznych i obcych. Możnaż owego Bramina, co na wszystkie dni w roku ma przepisane zatrudnienia ranne i wieczorne, co zamiast szukać człowieka upadłego, żeby go podźwignąć, starannie unika od niego, porównać z tym prorokiem ludu, który, nie wiedząc dnia i godziny, zawsze gotów do służby, w chwili powołania do niej ciśnie się pomiędzy tłum, naraża się na obelgi, męczeństwo, śmierć, byleby dał poznać myśl albo wolę boską? Zaiste, zostawując na stronie rozbiór źródeł objawienia, możemy mniemać, że każdemu kto nie jest uprzedzony wyższość religji hebrajskiej nad indyjską daje się postrzec oczywiście.

Ale objawienie chrześcijańskie podniosło nieskończenie wyżej dogmat i rozszerzyło cześć religijną. Ten Kościół gdzie zbiegał się lud hebrajski czerpać natchnienie, podnosić się ku Bogu, nabierać myśli wznioślejszych, uczuć czystszych, ten Kościół jedyny chrześcijaństwo rozmnożyło po całym świecie. Objawiciel chrześcijański powołał ludzi do pracy daleko cięższej niż bramińska i lewitycka, do pracy ześrodkowanej całkiem w duchu człowieczym. Mojżesz wywyższył człowieka nad przyrodzenie, uwolnił go z pod zależności od wpływu planet, od względów na dni dobre i złe; chrystjanizm wyzwolił go z pod wszelkiej zawisłości od innych ludzi, kazał mu wewnątrz siebie samego szukać źródła natchnienia, prawdy i siły. Odtąd, człowiek oddalony od towarzystwa i pomocy bliźnich, może przez pracę własnego ducha stykać się z duchem bożym.

Filozofowie niedość zważali, albo niedość pamiętali na to, że Chrystus Pan nie był autorem jakiejkolwiekbądź doktryny lub ustawy, w pospolitem znaczeniu tego wyrazu. Nie tworzył On żadnego systemu, nie pisał żadnej księgi praw, ani nawet najmniejszego ich ułamku; nie zostawił nic zgoła coby mogło służyć za przedmiot do rozbierania w zgromadzeniach; dał tylko wiernym rzecz jedną, rzecz najistotniejszą i najtreściwszą, a razem najniedostępniejszą rozumowaniu, dał samego siebie, swój żywot,

swój przykład. *Idźcie za mną*, to całe jego ustawodawstwo. *Duch mój będzie z wami*, to jedyny komentarz obiecany Kościołowi.

Duch utrzymuje życie Kościoła, a działa przez *tradycją*. Musimy wyłuszczyć znaczenie tego wyrazu. Ten punkt religji jest niejako punktem narodowości słowiańskiej. Kiedy przyjdziemy do zebrania w treść całej osnowy naszego wykładu, da się wtedy widzieć, ile Słowianom zależy na tem, żeby dokładnie rozumieli znaczenie tradycji.

Pojęcie wewnętrzne, uczucie prawdy, nie stanowi jeszcze działania. Żeby działać, żeby prawdę wyjawić nazewnątrz, trzeba jeszcze czegoś więcej, trzeba mieć moc przelania jej w drugich, *podania* jej drugim. Otóż prawda puszczona w obieg, prawda przez podanie idąca z ludzi do ludzi, jest tradycją. Pospolicie nauczyciele i wykładacze rozmaitych religij nazwiskiem tem mianują wszystkie powieści, wszystkie pamiątki zdarzeń, na piśmie lub ustnie zachowujące się między ludem ich wiary. Nic fałszywszego, nic błędniejszego nad to rozumienie. Tradycja nie jest odgłosem, powtórzonym dźwiękiem, ani zbiorem rzeczy słyszanych, bo inaczej musielibyśmy uznać za tradycją wszelką bajkę, wszelką legendę, bądź gminną, bądź poetycką; tradycja jest bezpośredniem *daniem* prawdy. Wyraz ten pochodzi od łacińskiego słowa *tradere*, które znaczy *podać*, *dać* co komu *z rąk do rąk*.

I jakże dajemy prawdę innym? Czy tylko ją powtarzając, opowiadając? Nie, oto przelewając w nich rozkosz jakiej każdy doświadcza z uczucia prawdy, przejmując ich tym ogniem, którym sami płoniemy, czyniąc z niemi to co słońce czyni z naturą. Tak krzewić, puszczać dalej tradycją, mogą tylko ludzie sami pełni życia i siły.

Rzymianie, lud najpraktyczniejszy, nie inaczej pojmowali wszelki rodzaj tradycji, nawet w sądownictwie. Przy kupnie lub przedaży, przy świadectwie przed sądem, strony i świadkowie byli obowiązani stwierdzać wszystko aktem, to jest znakiem poruszeniem rąk malującem wolę albo czyn. Świadek niedość że opowiadał, musiał niejako odegrywać całą scenę, której był obecnym.

W tem znaczeniu także należy brać tradycją, mówiąc o sztukach. Jeżeli kto naprzykład powiada, że w jakiemś mieście, albo

w jakiej szkole trwa dobra tradycja śpiewu, rozumiemyż przez to same tylko zachowane tam papiery muzyczne? Bynajmniej; znaczy to, że ci śpiewacy, przejmując jeden od drugiego, zatrzymali pomiędzy sobą metodę, czucie, ton swojego mistrza.

Podobnież mówimy o tradycji wojskowej, że w tem lub owem państwie ustała koło tego a tego czasu, chociaż i państwo stoi i ma te same nazwiska wszystkich swoich pułków, tylko że zabrakło mu już tych potężnych wodzów, co mieli moc wprowadzać w czyn swoje natchnienia, co — jak powiada poeta Garczyński — mogli dać *rozkaz i siłę z rozkazem.* Otóż taki człowiek, który jest zdolny dać rozkaz i siłę wykonania jego, jest człowiekiem zdolnym tradycją krzewić.

Tradycja przeto nie jest czem innem tylko istotną formą prawdy, istotną formą życia; powieści zaś, baśnie, wymysły, marzenia, są formami fałszywemi, kłamliwemi, karykaturami prawdy. Tradycja jest prawdą przelaną, *podaną* przez ludzi zdolnych ją czuć i wykonywać; a więc wszelka prawda żyjąca jest dowodem, że był człowiek który ją powiedział: niemasz prawdy tam gdzie niemasz człowieka co ją podaje. Inaczej prawda nie poczęłaby żyć, nie weszłaby w byt rzeczywisty. Jak niemasz wojny bez żołnierzy, muzyki bez muzyków, tak niemasz prawdy bez jej ogłosiciela, niemasz religji bez instytucji do jej utrzymywania, niemasz instytucji rzeczywiście żyjącej bez tradycji, to jest bez następstwa ludzi *qui tradunt*, którzy z rąk do rąk podają prawdę.

Tutaj trzeba uderzyć czołem przed największą z tajemnic w człowieczeństwie, przed tym sposobem jaki Objawiciel chrześcijański obrał dla zachowania w czystości swojej nauki, ustanawiając sakramenta, które są całą jej zasadą. Nietylko obiecał on jak Mojżesz przysyłać po sobie proroków i wyznawców, ale przyrzekł być zawsze ze swymi uczniami obecnym, nie w samym duchu i prawdzie, ale osobiście w ciele i krwi na ołtarzu, obecnym jak słońce które odbija się we wszystkiem co błyszczy, i przenika wszystko; a tak nietylko udzielać prawdy przez natchnienia, ale dać jej ciało i krew, stać gotowym do wsparcia jej każdej chwili swojem skinieniem, znajdować się w pośród ludzi żyjącym i działającym jako człowiek. Jest to jedyna religja, której tradycja jest

wcielona. Tajemnica to trudna, a właściwie mówiąc, niedostępna dla pojęcia ludzkiego. Wszakże jeżeli jej pojąć nie można, nie przeto godzi się już ją odrzucać. Ludzie rozumni skąd inąd, którzy, nie mogąc zrozumieć tych najświętszych rzeczy, odzywają się ze wzgardą o nich, powinniby nie mięszać się do zadań religijnych, a lepiej sobie zajmować się czem innem.

Widzieliśmy tedy jak w samym początku społeczeństwa ludzkiego wewnętrzne wzruszenie, drgnięcie, wejście w stan zachwycenia dało człowiekowi uczuć Boga; jakiemi sposobami później starano się utrzymywać się w tym błogim stanie. Indjanie, Chińczycy, wszystkie ludy starożytne, potworzyły sobie instytucje celem usposobienia ludzi na prawodawców, kapłanów, sędziów. Później ukazuje się jeden lud powołany do wznioślejszej roli, do czynności rozleglejszej. Mędrcy i kapłani jego, nie ograniczając się już na zbawieniu samych siebie, usiłują drogę tę otworzyć całemu narodowi. Takie pasmo coraz wyższych objawień uwieńcza nakoniec objawienie największe, objawienie Chrystusowe.

Z tego wszystkiego można sobie zrobić czyste pojęcie czci religijnej: w ogólności każda taka cześć jest niczem innem, jak zbiorem środków do udoskonalenia, podniesienia i wzmocnienia ducha człowieczego. Jeżeli teraz przypomnimy, cośmy powiedzieli o tem jak sztuka i poezja psują mitologje, łatwo przewidzieć w co ludzka skłonność do nadużyć cześć religijną obrócić może: oto, zamiast widzieć w niej tylko środek do celu, czyni ją samym celem. Tym porządkiem, ubóstwiwszy naprzód to słońce, które rozgrzewało, podnosiło do Boga, i ten księżyc, który wprowadzał w wyższe krainy zwierzęcą duszę człowieka, ubóstwiwszy później wszystkie siły przyrodzenia, ludzie ubóstwiają nietylko swoją naturę człowieczą, ale swoje pomysły, swoje doktryny, przez religją każą rozumieć nic innego tylko teologją. Ale jest jeden lud, co nigdy nie skaził swojej tradycji poezją i sztuką, co zachował w swojej mowie szacowne zabytki do wyjaśnienia podań pierwotnych; ma on przytem jeszcze pojęcia religji nie zepsute przez doktryny: jemu, podług filozoficznych nawet wnioskowań, zdaje się być przeznaczonem głębiej od innych poczuć i silniej rozkrzewiać *prawdę*.

LEKCJA XIV

Wtorek, 14 marca 1843

BADANIA STAROŻYTNOŚCI SŁOWIAŃSKICH. V.

Rzut oka na mitologją słowiańską z odniesieniem do powziętych wyobrażeń ogólnych. — Hanusch. Nazwiska słowiańskie odpowiednie indyjskim. — Dankowski. Nazwiska słowiańskie w mitologji greckiej. — Jak daleko puszczać się można drogą wywodów etymologicznych. Cechy odróżniające mitologje. Charakter podań słowiańskich. — Piętnem rodu słowiańskiego jest *oczekiwanie*. — Czego ten ród mógłby spodziewać się od dzisiejszego kierunku cywilizacji. — Rehabilitacja rolnictwa. Zgodne z tem zdanie Emersona. — Cywilizacją i barbarzyństwo jak należałoby uważać w Słowiańszczyźnie.

Mając ogólne wyobrażenie co to są mity, podania i obrządki religijne, będziemy teraz podług tego zapatrywali się na mitologją słowiańską. Okazaliśmy, że pojęcie jedynego Boga przebija się we wszystkich mitologjach i jest ich dnem, podstawą, dowiedliśmy, jak mniemamy, dostatecznie, że wszystkie religje w pewnym względzie schodzą się z sobą, wszystkie mają za cel podać jak najtrafniejsze środki rozwijania, podnoszenia ducha ku Bóstwu, ku Bogu jedynemu. To trzymając na pamięci, idźmy dalej.

Wedle pojęć najdawniejszych, indyjskich, wedle objawienia mędrców, widzących, nauczycieli pierwotnych, Bóstwo najwyższe jest nigdy niewidzialne, niezbadane, niedostępne; człowiek może je tylko ujrzeć i poznać w świecie. To Bóstwo na zawsze zakryte człowiekowi nazywa się po sanskrycku *Atma para-brama*, Bóg nad bogi; objawione zaś w świecie podpadającym pod oko przedstawia się w niebiosach gwiazdzistych i świetle dziennem jako *Brama*, w powietrzu jako *Indra*, w wodach jako *Wisznu*, w ogniu czyli pierwiastku żywotności jako *Żiwa*. Trzeba jeszcze wiedzieć, że Bóstwo w tem swojem wyrażaniu się bierze zawsze postać dwoistą, męską i żeńską, i tak naprzykład Bóg widzialny jako Brama ma za małżonkę Indrę. Nie będziemy tutaj wyliczali wszystkich imion mitologji indyjskiej.

Na tej dwoistości, dającej się postrzegać w całem przyrodzeniu, w organizmie zwierzęcym, w płynie elektrycznym, w siłach

które nazwano czynnemi i biernemi, niektórzy nowsi filozofowie niemieccy, między innymi Schelling, oparli cały swój system. Zaród tej filozofji znajdujemy w tradycji odwiecznej. Hanusch przedsięwziął koło tejże myśli zgromadzić i uszykować wszystkie podania słowiańskie: tym sposobem zbudował z nich całość. Dzieło jego ma bardzo wielką wagę, naprzód pod względem erudycji, powtóre że, jak się nam zdaje, układ jest trafny, chociaż co do szczegółów wiele mu brakuje. Obok tego inny uczony, profesor w Presburgu, Grzegorz Dankowski, ogłosił rozprawę o mitologji greckiej [1], w której stara się tę mitologją objaśnić zapomocą słowiańskiej. Dwaj ci autorowie pracowali nad postawieniem jednegoż systemu, i zaraz okażemy co w nim jest najgodniejszego uwagi. Jedna z najdawniejszych i najlepiej znanych mitologij — indyjska, druga dawna także a jeszcze znajomsza — grecka, za przyłożeniem dopiero do nich mowy słowiańskiej nabierają niejako życia, stają się zrozumiałemi, że tak powiemy popularnemi. Ale ponieważ wywody etymologiczne grają tu główną rolę, pierwej nim przystąpimy do rzeczy, trzeba określić pokrótce jak daleko tą drogą puszczać się można.

Słusznie etymologją przyrównano do chemji; wiadomo wszakże, że chemja jest dwojaka, jedna zajmująca się rozbiorem i składem ciał martwych, druga tak zwana organiczna. Ta ostatnia idzie tylko do pewnego kresu. Rozkładając naprzykład rośliny, otrzymuje z nich pierwiastki tak nazwane organiczne, tem różniące się od pierwiastków właściwie chemicznych, że można je poznać samemi zmysłami, smakiem, jak cukier, sole i t. d. bez użycia oddziaływaczy, reagensów; ale jeżeli chce postąpić dalej, spotyka się znowu z naturą martwą, znajduje tylko gazy i do niczego nie doprowadza. Otóż i mowa jest rzeczą organiczną. Dopóty możemy ją rozbierać, dopóki jej pierwiastki dają się samemi zmysłami oceniać. Wypadki etymologji tyle są rzeczywiste, ile są zrozumiałe ludowi; dalszy rozbiór prowadzi do samych czczych dźwięków, brzmień nic nie znaczących, to jest do pierwiastków bez organicznego życia.

---

[1] *Die Götter Griechenlands.* Nebst einem griechisch-slavischen Etymologikon der Namen der griechischen Gottheiten.

Hanusch i Dankowski, obadwa znajdują zgodność, nawet tożsamość, między tem co nazywają mitologją słowiańską a mitologją najdawniejszą, indyjską; wiadomo zaś, że Grecy brali pojęcia religijne z Indostanu i przekształcali je na swój sposób.

I tak naprzykład, istność najwyższa, niewidoma, zwana *Atma para-brama, Mahaatma,* czy jakkolwiek bądź w sanskrycie, w mitologji perskiej *Zeruane-Akevane,* co znaczy również bóstwo niewidzialne, u Słowian nazywa się *Bóg* i *Wid.* Inne imiona słowiańskie zaginęły, ale w tych mamy ślad tegoż pojęcia powszechnego, pojęcia najpierwszej przyczyny i najwyższej wiedzy. *(Bo,* przysłówek we wszystkich językach słowiańskich wyraża przyczynę; *wid, wiéd,* widzenie, wiedza). Bóstwem zaś, ukazującem się już widzialnie pod okrągłą postacią ogromu niebieskiego, u Słowian jest *Krąg,* u Indjan *Brama,* u Greków *Kronos (Χρόνος).* Wyrazy te oczywiście schodzą się z sobą. Kronos, najstarszy Bóg grecki, rodziciel wszystkich innych Bogów, widziany naprzód jako niebo, *Uranos (Οὐρανός),* wyobraża się na ziemi w *Oceunie. Okeanos (Ὠκεανός)* greckie pochodzi zapewne od słowiańskiego *oko,* bo w językach helleńskich nie można odkryć źródłosłowu tego wyrazu. *Kronos,* po łacinie *Coelum,* co wymawiało się *Kelum* i pochodziło od greckiego Κοῖλον, mają za źródłosłów *Koło.* Dwoiste przeto objawienie się Bóstwa w niebie i w wodach wyobrażają u Słowian imiona *Krąg* i *Okoł,* u Greków *Kronos* i *Okeanos,* u Indjan *Brama* i *Indra* czyli powietrze, siedlisko wszystkich meteorów, które po słowiańsku nazywają się *wihera, wihra,* w dialekcie illiryjskim *hira,* co Grecy na zachodzie wymawiali *hera ("Ηρα)* a nowożytni wymawiają *iri (ίρι).*

Bóg w tem znaczenia co Brama nazywa się u Słowian *Dzień,* światło, cały widokręg ze wszystkiem co daje się postrzegać; u Greków *Zejs* Ζεὺς *Zen* Ζήν czyli *Dzeus, Dzen,* bo tak się imię Jowisza wymawiało. Dankowski przytacza dowody filologiczne z autorów greckich, że wyrazy *zen* i *dzen* brano za jedno.

Ten sam Brama w swojem dalszem wychodzeniu na jaw ukazuje się jako władca wód, u Greków Ποσειδῶν, *Posedon* albo *Pocedzon,* co Dankowski wyprowadza od słowa *cedzić.* Jeżeli dodamy tutaj, że małżonka, połowica owego boga *Kronos,* nazywała się *Rea ('Ρέα),* znaczenie to będzie bardzo podobnem do prawdy.

Rea pisze się ze znakiem przydechowym przy głosce *r*, i zdaje się niewątpliwie, że znak ten nadawał jej brzmienie *rz*, u Czechów *rzeju*, znaczy płynę, ciekę: stąd w polskim *rzeka*. Bogini *Tetys* (Τηθὺς) *Ciecz*, znaczy płyn powszechny. Kiedy Grecy mówili, że Bóg niewidomy, kolisty, Kronos, ze swoją małżonką Reą spłodził wszystkich Bogów, chcieli przez to rozumieć nie co innego, tylko że się objawił w postaci płynu. Taka jest myśl tego mitu; jakoż Ποσειδῶν, według Dankowskiego, znaczy wodę.

Nakoniec Kronos ukazuje się nam pod postacią ziemi *Dimitir* (Δημήτηρ). Było nawet starożytne bóstwo słowiańskie *Diedamater*. U Greków Δημήτηρ jest to samo co *Ceres* u Rzymian.

Możemy jeszcze przytoczyć imię boga piekieł, czyli Plutona łacińskiego, który po grecku nazywał się Ἅιδης i podobnież dotychczas nazywa się w dialekcie illiryjskim: *Hyd*. Stąd pochodzą: *hydzić*, *hydny*, *hydki* to jest szkaradny, obrzydliwy *(hideux* po francusku).

W mitologji indyjskiej, której szczegółów nie będziemy powtarzali, mamy takąż samą kolej objawiań się bóstwa. Brama ukazuje się w niebiosach, w wodach, w ziemi, w piekłach.

Dankowski tym sposobem wykłada imiona mnóstwa bóstw greckich, Apollina i t. d. Dzieli on je na wiele klas, które nie wszystkie można wytłumaczyć zapomocą etymologji greckiej. Są pomiędzy niemi takie co zgoła nie dają się wyłożyć, i Platon w rozmowach swoich nie umiał zgadnąć skądby pochodziły. Zdaniem Dankowskiego należą one do słowiańskich. Wyliczymy tutaj kilka tych nazwisk słowiańsko-greckich. Takiemi są: *Aglaja*, *Hydas*, *Apollon*, *Hefaistos*, *Ilitija*, *Zeus*, *Elios*, to jest słońce dziś jeszcze u Karniolów nazywane *welios*, a u Greków nowożytnych *ilios*, — *Electra*, *Ira*, *Nemesis*, imię dotychczas w języku prawniczym czeskim znaczące karę sądową, i pochodzące od *Nempsta*, — *Nemis*, *Posejdon*, *Tartaros*, *Okeanos* i t. d.

Podług tego, cośmy uprzednio powiedzieli, bardzo być może, że kiedyś w dawnych czasach, osady ludu, który dziś nazywamy Słowianami, wyszedłszy z wyżyn Azji i szerząc się zwolna po Europie, przyniosły do Grecji te mity i wyrazy, które później genjusz grecki przekręcił i ukształcił po swojemu. Platon powiada, że starożytne bóstwa greckie podobne były do barbarzyńskich;

w innem miejscu mówi także, że dawny język grecki miał wiele podobieństwa z barbarzyńskim, że kobiety za jego czasów mówiły językiem tyle różniącym się od greczyzny uprawnej, ile mowa barbarzyńców różni się od czystej attyckiej. Przez barbarzyńców rozumiał on zapewne Słowian macedońskich, Słowian naddunajskich, i lud prosty słowiański w Attyce mieszkający, których język pierwotny przy żywej i ciągłej pracy Greków, mianowicie Ateńczyków, nabierał coraz nowych wyrażeń i zwrotów, przerodził się w końcu na język zupełnie inny, nie mający nic wspólnego z dawnym.

Możnaby tutaj jeszcze przypomnieć, cośmy powiedzieli o starożytnych mitach Orfeusza i Muzeusza, które, jak się zdaje, pochodzą ze Słowiańszczyzny. Odsyłamy zresztą do dzieła Szafarzyka, gdzie autor zapomocą mowy słowiańskiej wyłuszcza nazwiska rzek i gór Grecji północnej.

Pomiędzy religjami starożytnemi, obok mitologji indyjskiej, występuje na plac zendska, pharska czyli perska. Wychodzi ona również z pojęcia jedności boskiej niewidomej, ale u Indjan bóstwo to wciela się we wszystkie żywioły, staje się wszędzie oczewistem i dotykalnem, rozwija się w całym ogromie rzeczy stworzonych, u Pharsów zaś objawia się w dwóch przeciwnych i ciągle walczących z sobą pierwiastkach: stąd światło i ciemność, ciepło i zimno, zwierzęta użyteczne i szkodliwe, rośliny pomocne i jadowite. Walka ta zakończy się dopiero za przyjściem Mitry, czyli za objawienia się trzeciego, które tamte dopełni i na łono wiecznej prawdy sprowadzi. Wspominamy tutaj o tem, ponieważ, zdaniem uczonych nowożytnych, Słowianie w wędrówce swojej przez Azją do Europy musieli otrzeć się o Persów, i w podaniach swoich zachowali ślady ich wyobrażeń.

Jeżeli więc widzimy w mitologji słowiańskiej tę samą zasadę co w indyjskiej, jeżeli niewątpliwie dają się w niej postrzegać niektóre formy mitologji perskiej, cóż jest takiego co stanowi właściwy jej charakter? Hanusch sądzi, że charakterem tym jest łączność wszystkich innych, że będąc panteistyczną jak indyjska, przyjmuje razem dwoistość jak perska, i szuka harmonji jak grecka. Mniemamy, iż trzeba obrać zupełnie inną drogę, żeby wszyst-

kie te mitologje pooddzielać i słowiańskiej pomiędzy niemi właściwe miejsce naznaczyć.

Objawienie u Indjan, jakeśmy to powiedzieli, bierze początek z wewnętrznego drgnięcia sprawionego przez urok natury, z tej zachwycającej rozkoszy jaką daje poczucie obecności bóstwa; wszystkie potem przepisy i obrządki zmierzają u nich do tego tylko, żeby oderwać człowieka od świata, a ułatwić mu powrót na łono Boga, na łono jedności. Niemasz tam ani historji prawodawstwa, ani imienia prawodawcy, wszystko składa się z mnóstwa nie wiadomo kiedy i przez kogo zostawionych ułamków, z niezmiernej liczby zdań, praw, uczuć, opowiedzeń cząstkowych, lepiących się pomału w bryłę nauki. Zupełnie inaczej rzecz się ma u Persów. Zaraz na początku ich podań ukazują się imiona objawicieli, Dżamszyda, Zoroastra, którzy ogłaszają się za natchnionych. To stanowi cechę odróżniającą dwie te mitologje. Indyjska bez dat, bez epok, nakształt ciągu powieści gminnych prawiąc o bogach i świecie stworzonym, zamienia się z czasem na jakieś marzenie. Z marzeń tych poetyckich wyradzają się później marzenia filozoficzne, systemy bardzo podobne do niemieckich. Są to roboty ludzi próżnujących, którzy nie myślą nigdy, żeby urzeczywistnić cokolwiek z tego, co im przychodzi do głowy. Persowie przeciwnie, natychmiast wiarę swą wykonywają orężem. Celem ich podbojów, jak powiada Quinet w dziele wspomnianem wyżej, było dać zwycięstwo światłu. W tym celu napadłszy na Azją, starają się wytępić ludzi złych, wyniszczyć rośliny szkodliwe, ogrzewać kraje zimne, słowem wszędy zaprowadzić panowanie dobrego, wedle swoich o niem pojęć.

Zobaczmyż teraz, jaki obok tego wszystkiego jest stan wyobrażeń słowiańskich.

Słowianie starożytni, mając również to uczucie, które zdaje się być wrodzone duszom wyższym, uczucie Boga i świata stworzonego, posiadając ten sam język, którym mówiła Azja górna, nie puścili się ani w marzenia, ani w rozumowania. Jak poezja i sztuka nie skrzywiły ich obrządków i podań, tak marzycielstwo i filozofstwo nie skaziły w nich najistotniejszego żywiołu religijności: uczucie swoje religijne zachowali czyste. Kiedy Bramin układał nieskończone powieści o bóstwach, Słowianin starał się

prawdę otrzymaną od Boga zastosować do powszedniego życia, uczucie swoje religijne pokazać, wydać w życiu domowem, rolniczem, gminnem. Podobnież, kiedy widzący perscy, wymyślając nakoniec niesłychane dziwy o bożkach i genjuszach, gmatwali w baśnie pierwotną tradycją swoją, Słowianie, chociaż poczuwali także walkę dobrego ze złem w naturze, nie mieli nigdy świętokradzkiej śmiałości prawić o tem czego nie wiedzieli: usiłując mnożyć dobre, unikać złego, nie wdawali się oni w rojone wywody wojen między tą a tą siłą przyrodzenia, między takiem a takiem zwierzęciem.

Ale wszystkie te objawienia pogańskie różnią się daleko bardziej, zupełnie, od wielkiej tradycji hebrajskiej, która kończy się chrystjanizmem.

Indjanie mieli tylko przeczucia niewyraźne, mogące zresztą sięgać daleko. Jest to już rzeczą wykazaną, że przeczuwali oni możność wcielenia się Boga, możność bezpośredniego wpływu świata niewidomego na świat widomy; ale to bynajmniej nie dowodzi, że widzieli jasno te wysokie prawdy. Zróbmy porównanie. Poeta naprzykład, któryby przeczuł wojnę, stworzył ideały bohaterów, opisał ich dzieła, byłżeby już przez to prawodawcą? Może on odgadywać przyszłość, ale jej nie stawi, może napisać to co dzisiaj nazywamy *romansem*, ale nie będzie autorem *epopei* wykonanej w czynach. Zawsze przewidzenia jego będą tylko przeczuciem, marzeniem, nie zaś rzeczywistością: tem jest mitologja indyjska, tem wszystkie mitologje ludów zwanych poganami.

Wcale inny charakter noszą na sobie objawienia hebrajskie, Abrahama, Mojżesza. Nie są to powieści bajeczne. Widzimy w nich rzeczy cudowne, ale mamy daty wypadków, imiona ludzi, rachunek lat na generacje: niebo tu łączy się ściśle z ziemią, duch z ciałem, Bóg z człowiekiem. Mimo to wszystko co filozofowie mówili przeciwko autentyczności ksiąg starego zakonu, księgi te świadczą same o sobie. Czemuż nic podobnego nie ma żadna inna literatura? Powieści gminne Słowian, zebrane razem, złożyłyby mitologją tak ogromną jak indyjską, ale Słowianie nigdy nie przywiązywali do nich wagi religijnej. Persowie tradycje swoje, wielce podobne do hebrajskich, uwikłali w mnóstwo zmyśleń poetyckich i fantastycznych. Góra, na której ich prorok otrzymał prawo, jest górą o ja-

skiniach złotych; gwiazdy tam zachodzą na spoczynek. Niemasz tych upstrzeń w Mojżeszowym opisie góry Synai; podróżni dzisiaj widzą ją taką, jaką nam Biblja przedstawia. Gdyby zastanawiano się nad temi różnicami, nie mięszanoby tych wszystkich objawień w jedno, aniby objawienia Abrahamowego i Mojżeszowego nie brano za postęp objawień indyjskich i zendskich. Wszystkie te przeczucia, wszystkie te przewidzenia zapowiadały zdaleka prawdę, która miała ukazać się na ziemi; ale była ona u jednego ludu, i ogłosił ją jeden człowiek — Bóg wcielony.

Mitologje przeto najdawniejsze, poprzedzające czasy Abrahama, uważamy tylko za przeczucia, nie chcielibyśmy ich nawet nazywać mitologjami: są to powieści gminne, podobne do tak zwanych u Słowian *skazek* albo *baśni*, w których także można znaleźć mocne i głębokie uczucie prawd Boskich. Mitologje zaś późniejsze od czasów Abrahamowych są zepsuciem lub naśladowaniem objawień istotnych i bezpośrednich. Takiem jest objawienie Zoroastra; bo chociaż niektórzy uczeni kładą je przed Abrahamem, wedle dowodów, na których polegamy, dawność ta zdaje się być bardzo wątpliwą. Takiem jest objawienie Buddy, i wszystkich tych proroków, którzy podobnie występują przy Mojżeszu, jak Mahomet obok Zbawiciela. Wszystkim tym objawieniom fałszywym dajemy nazwisko mitologji we właściwem znaczeniu tego wyrazu. Taką mitologją jest także egipska i grecka.

Słowianie jedni stanowią w tej mierze wyjątek: zachowali oni czystą tradycją pierwotną, prostackie uczucie Boga; świętego składu tego nie roztrwonili na zdrożne roboty imaginacji i rozumu, nie popuścili zbytecznie cugli tym władzom. Dlatego też, właściwie mówiąc, niemasz u nich mitologji, są tylko zabytki religji patryarchalnej tak zdrowe i czerstwe, jak nigdzie indziej na świecie; niemasz nazmyślanych powieści o awanturach i rodzeństwie bogów, a stąd — jakeśmy to powiedzieli w roku zaprzeszłym — niemasz i pierwiastku arystokratycznego w społeczności. Dlatego lud ten, nie uplątany w żaden system, nie obałamucony przez sztukmistrzów i sofistów, przyjął tak łatwo chrystjanizm. Dlatego także dzisiaj różni się od innych, ma na sobie piętno szczególne. Tem piętnem jego, tą cechą, jest *oczekiwanie:* ród Słowiański czeka jeszcze.

Hanusch słusznie powiedział, że nie okoliczności zewnętrzne, nie wypadki polityczne, nie dopuszczały temu rodowi grać roli w dziejach, ale że Bóg od początku położył na nim znamię bierności. Przez wszystkie czasy aż dotąd był on zawsze biernym: miejsce jego na karcie jeograficznej ogromne, w historji literatury, sztuk i polityki, prawie żadne, to jest w historji takiej, jak ją pojmujemy teraz, w układanej i pisanej. Tenże Hanusch wszakże dodaje, że plemię co żyło tak długo musi mieć swoją historją. Historja ta złożona w jego duchu.

Tutaj — nastręcza się nam bardzo ciekawe zagadnienie. Z innej strony przyszliśmy znowu do zastanowienia się nad przyszłością słowiańską. Powszechny głos zapowiada Słowianom bliską chwilę wyjścia na scenę czynną, głos obcych, nie ich samych, bo w całej tej rzeczy umyślnie przytaczamy tylko zdania cudzoziemców, żeby nas nie posądzono o stronność. — Jeżeli tedy mają oni wystąpić czynnie, cóż mogą mieć do czynienia w świecie jaki jest dzisiaj, w tym świecie umiejętności, sztuk, przemysłu, tak im obcym, tak przeciwnym? Co tu będzie robił ten lud rolniczy, który nie zna innego życia prócz sielskiego, nie umie prawie używać innych narzędzi prócz siekiery, nie zastosował jeszcze nawet u siebie podziału pracy, sam sobie jest razem sztukmistrzem, rzemieślnikiem i filozofem? Do czegóż ma on być powołany w chwili, kiedy rozum opanował ziemię, kiedy codzień zadziwia nas nowemi cudami swych odkryć i wynalazków? Rzeczywiście, wprowadza to w kłopot piszących o reformie Słowian, i dlategoż wszyscy chcieliby naprzód ich ucywilizować, dać im polor europejski, to jest zamienić w kupców, kramarzy, rękodzielników, słowem ze Słowian przerobić na Anglików, Niemców, Francuzów.

Żeby okazać jak są błędne, śmiemy powiedzieć, świętokradzkie te usiłowania, przytoczymy jeszcze kilkanaście wierszy z filozofa amerykańskiego Emersona. W tem arcy-siedlisku przemysłowości, dróg żelaznych, biletów bankowych, podziału pracy, filozof nasz praktyczny wzdycha do życia rolniczego. Dowodzi on, że sposób, jakim dotychczas ludy europejskie żyły, użytek jaki zrobiły z chrystjanizmu, wtrącił je w stan nędzy nie dozwalający im czuć prawdy. Jeżeli bowiem chrystjanizm daje człowiekowi moc nad ziemią, okazując jej niższość, to nie na to tylko aby obudził w nim

chęć owładania żywiołami; jeżeli ogłasza równość między ludźmi, to nie dlatego aby podniecił ich do zazdrości i współzawodnictwa. Oto patrzmy co Emerson mówi na licznem zgromadzeniu w Bostonie.

„Kiedy bogactwo zostawione nam od przeszłych pokoleń tak jest skalane, nie rozbierajmy już ile każdy z nas ma w niem udziału, a zastanówmy się raczej, czy nie szlachetniej byłoby zrzec się go całkiem, powrócić do pierwiastkowych stosunków człowieka z rolą i naturą, powściągając się od wszystkiego co jest niecnem i nieczystem, przyłożyć się mężnie, w miarę sił każdego, i własnym naszym trudem do pracy ręcznej. — Ale nie jeden mi zarzuci: „Jak„to! chcesz żebyśmy się zrzekli ogromnych korzyści podziału pra„cy, żeby każdy sam dla siebie budował dom, szył buty, robił „sprzęty, i t. d.? Byłoby to spaść dobrowolnie do stanu barba„rzyństwa.“ — Co do mnie — mówi dalej Emerson — wyznaję, nie gniewałbym się na taką zmianę, nie żałowałbym tego, że niektóre artykuły zbytku i wykwintności stałyby się rzadsze, a choćby nawet i znikły zupełnie, gdybyśmy dali pierwszeństwo życiu rolniczemu z przekonania, że ten rodzaj życia ułatwia człowiekowi pełnić główne jego obowiązki, że przez to mielibyśmy uczucia swobodniejsze, upodobania czystsze.“

Jeżeli więc społeczeństwo, które z pomiędzy wszystkich dociągnęło rachubę do najwyższego stopnia, obrzydza sobie ten stan rzeczy skierowany jedynie do widoków materjalnych, jakże bolesno patrzeć na to, że mniemani reformatorowie Słowiańszczyzny obiecują dla niej największą szczęśliwość w pójściu torem tych społeczeństw zgrzybiałych. Wcale inaczej położone jest teraz zagadnienie Słowianom. Nie idzie tu o formy rządu, ani o teorje ekonomji politycznej, ale o to jaka droga prowadzi najprościej do prawdy, jaki sposób życia odpowiada najlepiej zamiarom Opatrzności; czy ten co widzimy w krajach przemysłowych, kupieckich, zdobywczych, czy ów jakiego wzór nastręcza nasz lud rolniczy, zajęty uprawą ziemi, jedyną pracą, której według Ksiąg Mądrości niebo błogosławi, lud w mitologji nawet swojej nie mający bożka wojny?

Próżno takiemu ludowi stawić ponęty w jakichkolwiek formułach europejskich. Powtarzamy i utrzymujemy jak najusilniej cośmy powiedzieli temu dwa lata, że kiedy jest mowa o cywilizacji klas wyższych i barbarzyństwie ludu w krajach słowiańskich, trzeba rzecz tę uważać naodwrót. Klasy to tytułowane cywilizowanemi, klasy piśmienne w Słowiańszczyźnie istotnie nachylają się ku barbarzyństwu; przeciwnie lud prosty, gmin zwany nieoświeconym, ciemnym, w najgłębszem przekonaniu naszem uważamy za położony pod każdym względem najkorzystniej do przyjęcia prawdy.

Cóż chrystjanizm zaleca człowiekowi? Oderwanie się od świata, pogardę mamony, pracę ciągłą i rzetelnie użyteczną. Gdzież znajdziemy kogo, coby tak ściśle czynił zadość temu jak nasz kmiotek słowiański? Nie jestże to razem Bramin i Chrześcijanin najistotniejszy? Wszakże powiedziano, że podczas ostatniej wojny Polski z Rosją lud tylko wypełnił swoją powinność, a ci, co go chcą reformować, sami wyznają, że nie spełnili swojej. Nacóż dane nam życie, jeżeli nie nato, abyśmy się nauczyli pełnić swoją powinność? Trudnej tej umiejętności, jak się pokazuje, nie dają książki i dzieła sztuki. Do czegóż więc to wszystko, cóż nam po tej kulturze, po tej cywilizacji nie prowadzącej do głównego celu? Czyliby nie należało raczej rozpocząć od uczenia się żyć jak żyją ci, co umieją pełnić swą powinność, porzucić formuły obce, a pójść do szkoły tego dawnego ludu, który posiada tę najszacowniejszą umiejętność czucia i wykonywania prawdy.

LEKCJA XV

Piątek, 24 marca 1843

BADANIA STAROŻYTNOŚCI SŁOWIAŃSKICH. VI.

Mitologja litewska. Lud litewski w swoim języku i w swoich podaniach ma klucz wszystkich zagadnień. — Zdobywczy wylew Litwy. — Charakter ludu litewskiego. — Jest on odłamem narodu zawierającym części wszystkich jego pierwiastków składowych. — Spójnie jego z Polską. — Wpływ jaki

wywarł na Północ; przyczyna obecnej nieczynności: jest także ludem *oczekującym*.

Zawiążemy naszą rzecz o mitologji słowiańskiej postrzeżeniami dostarczonemi przez mitologją litewską. Na tem kończą wszyscy etnografowie i mitografowie teraźniejsi: biegiem swego przedmiotu pociągnięci w głąb Słowiańszczyzny, nie mogą oni chwycić całej osnowy religji Słowian, aż dopiero, kiedy zajdą w starożytności i podania Litwinów. Tak to u tego ludu najmniej znacznego w Europie, i w tym języku najmniej piśmiennym z pomiędzy europejskich, znalazł się klucz do tylu zagadnień.

Skreśliliśmy już dawniej dzieje litewskie. Garstka tej ludności obcej Słowianom i Finnom, oddzielonej od nich łańcuchem jezior, bagnisk i lasów, przypartej do morza Baltyckiego między ujścia Wisły, Niemna i Dźwiny, długo nieznana i siedząca cicho, nagle ukazuje się na scenie słowiańskiej z mocą zdobywczą i prawodawczą, podbija wiele księstw ruskich, łupi Polskę, wchodzi z nią potem w przymierze, ustala jedną z największych potęg na Północy, i znowu niknie z widowiska, zdaje się zapadać pod poziom, zapominając wszelkich stosunków z Rusią i Polską, a unosząc tylko swój język i swoje starożytne podania.

Język litewski uznany jest dzisiaj za jeden z najdawniejszych pomiędzy trwającemi na lądzie Europy. Bopp, Klaproth i Bohlen udowodnili to dostatecznie. Baron Eckstein uważa go za najstarszy po sanskrycie i za najmniej zmieniony. W podaniach litewskich zachowuje się myśl pierwotna, dusza całej tradycji. Ale ponieważ językowi litewskiemu zbywa na pomnikach piśmiennych, uczeni dla objaśnienia i wykładu tych podań udają się do mowy słowiańskiej. Tym sposobem postępuje sobie Hanusch i niekiedy Dankowski.

I tak, bóstwo niewidzialne, niezgłębione, powszechne, u Indjan *Atma para-brama*, u Litwinów jest *Prażimas*, i w swojem okazaniu się najogólniejszem, w swojem działaniu pojęte, nazywa się *Dewas*, co znaczy *Bóg;* a wyraz ten byłby trudny do zrozumienia, gdybyśmy nie mieli słowiańskiego *dziej, dziać*. Dankowski przeto bardzo dobrze tłumaczy greckie Ζεύς (które Grecy wymawiają *Dziejs)*, przez *dziej* znajdujący się jako pierwiastek w pol-

skich: *dobrodziej, kołodziej* i t. d. Θεός, Ζεύς, *Dziej* znaczy więc bóstwo, które już jako jestestwo działające objawia się w świecie. Zdaje się, że to najlepszy wykład tych imion, nad któremi rozprawiano tak wiele.

Język słowiański dostarcza wyrazów na objaśnienie całej hierarchji bóstwa uwidomionego, ale historja, wywód, tradycja tego rozrodzenia się bogów jest u Litwinów. Nigdzie pojęcia religijne nie składają całości tak rozległej i tak zupełnej. W tem co dawniej zebrali autorowie zachodni piszący o Litwie, i w tem co dzisiaj jeszcze utrzymuje się w podaniach ludu, dają się postrzegać zabytki wyobrażeń rozsianych po różnych stronach świata. Są tam ślady mniemań bramińskich o naturze dusz ludzkich, o ich stanie po wyjściu z ciała, o sposobach najpomocniejszych do ich zbawienia; są także szczątki wiary zendskiej, przeświadczeń kasty wojennej czcicieli ognia i wody, o walce tych dwóch pierwiastków, o powołaniu synów słońca do tępienia dzieci ciemności; są obrządki tak odpowiadające powyższym wyobrażeniom, jako też inne przeznaczone do uświęcenia życia domowego, które nam przypominają i tłumaczą podobneż u Greków i Rzymian. Słowem, mitologja ta począwszy od braminizmu indyjskiego, obejmuje podania perskie, ceremonje greckie i rzymskie, nakoniec wszystkie zabobony, wszystkie praktyki bałwochwalstwa jakie było w Europie. Po szczegółowe w tej mierze wiadomości odsyłamy ciekawych do dzieł wyłącznie traktujących ten przedmiot, i nie będziemy tu zosobna mówili ani o bóstwach, ani o mitach, tylko zwrócimy uwagę na niektóre pojęcia, jak naprzykład co do nieśmiertelności duszy.

Wedle starożytnej wiary Litwinów dusza, po rozstaniu się z ciałem, może albo przejść w inną formę, bądź ludzką, bądź nawet zwierzęcia i rośliny, stosownie do swojego usposobienia moralnego, albo kiedy się udoskonaliła dostatecznie, pójść prosto do nieba. Duchy takie wielkie, najlepiej rozwinięte odlatują z ziemi, i drogą mleczną udają się do siedliska szczęśliwych między gwiazdami w stronie północnej. Skoro człowiek rodzi się, zaraz zjawia się nowa gwiazda. Parka przywiązuje do niej nić jego życia, ciągnie ją póki mu żyć przeznaczono, a przy śmierci przecina. Możemy tutaj nadmienić, że nazwiska Park greckich są zupełnie słowiańskie. Gwiazdy dzieci i ludzi niedługowiecznych są małe i bez

blasku, te co nazywamy spadającemi zwiastują śmierć gwałtowną, a stałe należą do bogów i bohaterów. Przytaczamy te szczegóły, bo niemasz ich w żadnej innej mitologji. Cześć zmarłych, cześć przodków, wspólna jest Litwinom z wielą innemi ludami starożytnemi, ale nigdzie tak mocno zakorzeniona i tak czysta jak u nich.

Przypomnijmy jeszcze sobie cokolwiek z tradycji historycznej tego ludu.

Naprzód, co jest rzecz osobliwsza, nie uważa on siebie za miejscowy na ziemi którą zamieszkiwa, ale za obcy, przyszły z jakiejś niewiadomej okolicy od Wschodu. To podanie mówi także, że kiedy po potopie ocalało cudem kilkanaście par ludzi, najstarsza z nich rozmnożyła się w sposób podobny jak Deukalion i Pyrra, skacząc przez kości wielkiej matki (natury), to jest przez kamienie. Od niej to poszedł ród litewski, i z powodu tego starszeństwa inne ludy miały zawsze ku niemu nienawiść, prześladowały go i gnębiły wszędy. Co się tyczy jego dziejów, te rozpoczynają dwa imiona mityczne: *Pruto* i *Wajdewód.* Pruto albo Pruteno był wielkim kapłanem i pierwszy dał naukę religji, opowiedział pochodzenie bogów, odkrył tajemnice przyrodzenia; Wajdewód był wojownikiem i gromadził lud pod swoją władzę, założył niby jakieś królestwo. Obadwaj ci naczelnicy, po wielu wiekach szczęśliwych rządów, zakończyli życie śmiercią dobrowolną na stosie. Następcy ich prawie wszyscy umierali tymże sposobem, co nam przypomina zwyczaj indyjski: jest to tradycja bramińska. Później, znajdujemy ślady dwóch kast przywodzących temu plemieniu. Jedną składają kapłani pod najwyższym sterem arcy-kapłana czyli *Kriwe-Kriwejto* (którego kronikarze średniowieczni *papieżem* litewskim nazywają), tem różni od Braminów, że są wybieralni; drugą wojownicy zwani *Witi* albo *Witingi.* Nie wiadomo skąd wzięło się to nazwisko. Witi mieli jakoby przyjść ze Skandynawji, ale i tam są uważani za przybyszów. Była to jakaś bardzo dawna kasta wojenna wspólna Skandynawom i Litwinom, których wzajemne stosunki zresztą tak były częste, że Skandynawi podbili nakoniec zupełnie Litwinów pruskich, i sami stanowili całą ich kastę wojenną. O ludzie prostym tradycja nic nie mówi.

W takim stanie były rzeczy, kiedy około roku 1150 nagle ruszyły się z tych zakątów hufce napastnicze i zdobywcze. Przyczyna tego poruszenia się nie jest dobrze wyjaśniona. Domyślają się, że z jednej strony nacisk Krzyżaków, z drugiej dogodna pora do napadów podczas najścia Tatarów, obudziły to plemię; ale wypadki te są już znacznie późniejsze, i w całej działalności widać wyraźnie, że pierwiastek religijny nadawał jej popęd.

Nieraz powstawaliśmy przeciwko uprzedzeniu tych uczonych, co wszystkie wylewy barbarzyńców na obce kraje przypisują ich chciwości, żądzy łupiestwa. Quinet słusznie powiada, że całej walki Persów z Grekami, owej sławnej wyprawy Xerxesa na Peloponez i Ateny, niepodobna wytłumaczyć, nie przypuszczając powodu religijnego: była to jakby krucjata przedsięwzięta przez czcicieli Ormuzda, przeciw ludom w ich mniemaniu bałwochwalczym. Tatarzy nawet, ci arcy-łupieżcy, nie wyruszyli w świat dla nabycia bogactw. Z pośród obfitych krain, z pośród cywilizowanych narodów azjatyckich, zapuszczali się oni gdzieś między lasy i bagna; zresztą nie przyjmowali dani, pustoszyli wszystko, mieli się za zesłanych na ukaranie winnych. Trudniej jest zgadnąć jaka była myśl wodzów litewskich. Wiemy jednak, że palili i topili jeńców, czyniąc z nich ofiarę bóstwom ognia i wody. Zapewne mniemania religijne kasty wojennej musiały dojrzeć około tego czasu i wydały swój owoc: kasta ta nagle porwana została żądzą rozniesienia swojej wiary, albo przynajmniej odparcia daleko nieprzyjaznych jej innowierców. Tym sposobem daje się pojąć dziwna siła w tych ludziach. Na czele drobnych garstek złożonych naprzód z samych Litwinów, urosłych później naborem z ludności słowiańskiej i niektórych hord tatarskich, podbijali oni miasta, rzeczypospolite i księstwa Rusi, najeżdżali bezustanku sąsiednie ziemie Polski, dosięgali Tatarów w odległych stepach. Ryngold, pan ledwo kilku teraźniejszych powiatów, władca nie więcej jak 200,000 poddanych, pozdobywał już rozległe kraje. Następcy jego, Witen i Gedymin, stali się przeważnymi mocarzami na Północy. Potomkowie Gedymina aż do Jagiellonów szli tradycyjnym torem swych przodków, z tym samym charakterem awanturniczym, z tą samą ufnością w siebie szerzyli niesłychaną potęgę od Bałtyku do morza Czarnego, od Narwi i Dniestru ponad Wołgę. Trzy razy woj-

ska ich oparły się o mury Moskwy, pilnując się tylko gwiazdy polarnej uganiali Tatarów w koczowiskach za Dnieprem, przeszedłszy przekop złupili i zhołdowali półwysep Krymu.

Jak między panującymi Polaków niemasz przykładu zbrodni i morderstw domowych, tak przeciwnie historja książąt litewskich pełna jest zdrad i zabójstw wzajemnych. Byli to ludzie okrutni, gwałtowni; nie mieli oni tego przywiązania do swojej ziemi co Piastowie, podobnie jak naczelnicy Normandów na Zachodzie nie znali ojczyzny. Ojczyzna dla nich była wszędy: dokąd tylko przyszli, tam był ich dom, gdziekolwiek zatknęli swoją chorągiew, tam zaczynali nową dynastją i nowe dzieje. Nigdzie nie myśleli narzucać swojej narodowości, łatwo owszem przybierali narodowość miejscową, ruską, polską; ale w każdym kraju zaszczepiali swoje wyobrażenia wojownicze, zdobywcze.

Taki jest rys ogólny tej kasty wojennej, co imię Litwy rozniosła po całej Północy. Kraik ten, ledwo znaczny na mapie, stał się ogromnym w dziejach. Kasta ta z jednej strony osadziła książąt swoich w Połocku, w Pskowie, w Nowogrodzie, w Twerze, w Tule, na Wołyniu, w Kijowie; z drugiej, dała Polsce pamiętną dynastją Jagiellonów. Książęta litewscy w Rusi, pognębieni później przez potomków Ruryka, długo jednak stanowili partją oporną polityce moskiewskiej, i zakończyli swoją rolę z Glińskim pod panowaniem Iwanego Groźnego.

Jagiellonowie ukształcili politykę swojego zakroju, nadali nowy popęd wyobrażeniom, nową podstawę bytowi Polski. Ale lud litewski nie odniósł stąd żadnego zysku; nie stał się ani bogatszym ani potężniejszym. Dzisiaj zajmuje tę samą siedzibę jaką miał wtenczas, a nawet uszczuplił się znacznie. Niknący ciągle w Prusiech, ledwo już tam liczy od czterech do pięciu kroć sto tysięcy ludności; ściśnięty pomiędzy posiadłościami słowiańskiemi, składa może dwa miljony Litwinów, Łotyszów i Kuronów.

Życie domowe tego ludu bardzo jest podobne do słowiańskiego, budową fizyczną wszakże różni się on cokolwiek od Słowian. Litwin ma wzrost niższy, czoło nie tak otwarte, oczy mniejsze i przymglone, cerę bladszą, wyraz twarzy cichszy i głębszy, rysy jego przypominają bardzo te, jakie postrzegamy na wizerunkach Indjan.

Zwyczaje wspólne obu tym narodom zachowały się u Litwinów daleko czyściej. Nigdzie gościnność nie jest tak święcie szanowana jak u nich. Jedni i drudzy równie lubią naturę, ale Słowianin rozpływa się nad jej powabami powierzchownemi niejako, Litwin zaś wnika czuciem w jej życie wewnętrzne. Narbutt zauważał, że lud litewski ma szczególniejsze przywiązanie do kwiatów, połączone z pewną czcią religijną. Na każdą uroczystość kościelną, na każdy obrządek domowy, służą mianowicie te lub owe kwiaty do poświęcenia albo ubioru. W powiastkach i piosnkach ich jest mnóstwo legend o początku i znaczeniu rozmaitych ziół i roślin. Co jeszcze należy do postrzeżeń ciekawych i bardzo zaszczytnych dla tego ludu, to, że w niezmiernie bogatym zbiorze jego piosnek niemasz żadnej nietylko bezwstydnej, ale nawet nieprzyzwoitej. Wyrazy nieprzyzwoite, nieszlachetne nie znajdują się w języku litewskim. Język ten, mający w sobie coś świątobliwego, coś kapłańskiego, nie cierpi ich, przyswoić nie może; jeśli są, to pożyczone od Słowian, i nigdy nie używane w uczciwej rodzinie litewskiej.

Zebrawszy tedy wszystko cośmy powiedzieli, możemy sobie wytłumaczyć pochodzenie i rolę tego ludu. Niektórzy etnografowie utrzymują, jakeśmy już to nadmienili, że gniazdem wszystkich plemion europejskich są Indje, że kasta wojenna Indjan, odepchnięta przez Braminów, chcąca ustanowić inną cześć religijną, wyszła z kraju i dała początek tej nielicznej ale głośnej ludności, zwanej Azami, której jedna gałąź pozostała na Wschodzie, gdzie ciągle była panującą pod imieniem Medów, Persów i Lesgów, a przedarła się w środek Europy pod nazwiskiem Lechów i Czechów, druga zawędrowawszy na północny jej kraniec, ukazała się w tak zwanych Synach Odina, Witingach, i w ogólności stanowiła szlachtę plemienia indo-germańskiego, czyli niemieckiego. Ciż etnografowie odkrywają jeszcze ślady wyjścia innych kast indyjskich, Sudra i nawet Paria. Licznie błąkająca się ludność Cyganów ma wiele cech wspólnych z Pariami, Jeżeli więc weźmiemy na uwagę, jak religijne tradycje Indostanu wydają się dobitnie w podaniach ludu litewskiego; jak ścisły zachodzi związek między sanskrytem a mową litewską; jak tu i tam daje się widzieć podobny skład społeczeństwa; jak ta hierarchja kapłańska do wysokiego stopnia

rozwinięta i wykończona u Litwinów ma coś bramińskiego; jak owe Witingi odpowiadają kaście wojennej Indjan; jak nakoniec niższa warstwa narodu zostawała zawsze poddaną i nieruchomą: będziemy mogli wnieść, że szczep litewski jest wyjątkiem w dziejach rozchodzenia się ludności indyjskiej, zawiera w sobie wszystkie jej części. Były różne wychodźtwa z Indyj. Bramini osiedli nad Nilem i dali początek kaście kapłanów egipskich: są świadectwa o przybywaniu do Grecji osobnych osad już kapłańskich, już wojowniczych, już pospolitego ludu: ale w Litwie widać ułamek całego narodu przybyłego ze swymi kapłanami, ze swymi wojownikami i ze swoim gminem.

Tak złożona społeczność mogła lepiej niżeli inne opierać się wszelkim napadom. Dlatego też posiada do dziś dnia swoje tradycje, mówi swoim językiem, zapomnianym od samych mieszkańców Indostanu i zachowującym się tylko w ich Księgach Świętych, pilnuje się swoich zwyczajów w życiu cywilnem i domowem.

Ponieważ w sanskrycie są pierwiastki prawie wszystkich języków europejskich, naturalnie więc język litewski musi mieć powinowactwo z temi językami; stąd długo mniemano, że był zbieraniną rozmaitych wyrazów mianowicie słowiańskich i germańskich. Przeświadczono się jednak nakoniec, iż ma żywioł właściwy sobie, zupełnie odrębny od mowy fińskiej, słowiańskiej, germańskiej i wszelkiej innej. Ale bezwątpienia, musiało zachodzić wielkie podobieństwo między nim, a dawnym językiem gotskim, który kasta wojenna Gotów przyniosła była ze Wschodu, a ze słowiańskim zostaje w ścisłym związku, jest przeznaczony dostarczyć mu wiele objaśnień filozoficznych.

Lud litewski, jakeśmy powiedzieli, posiada klucz od wszystkich zadań słowiańskich. Nie ma on swojej narodowości, nie ma on bytu narodowego, nie myśli nawet dopominać się o to; wyrazy naród, ojczyzna, nie znajdują się w jego języku, prawie nie wie, że są inne narody. Rosjan nazywa *Gudas*, co zapewne znaczyło *Goty*, Polaków *Łankas*, — imię, jak się zdaje, przyniesione z Azji, bo jeśli się nie mylimy, tak Indjanie zwą mieszkańców Cejlonu. Ale dwa razy już błysnął on w dziejach swojem życiem wewnętrznem. Naprzód dał ten popęd Północy, który w Rusi ustał dopiero za Iwana Groźnego, a w Polsce zgasł z ostatnim Jagiello-

nem, potem, podczas ostatniej walki Polski z Rosją, wszczął przeciw Rosjanom wojnę prawdziwie pospolitego ruszenia, wojnę ludową na śmierć, nie będąc nawet wezwanym przez swoich panów.

Cóż tedy wiąże go do tych Polaków, których ani historji nie zna, ani języka nie rozumie? Czemu tłumnie rzucił się przeciwko Rosjanom? Jest to jedno z zapytań dotyczących wielkiego zagadnienia Słowiańszczyzny. Nie umiemy powiedzieć, dlaczego w piosnkach litewskich *Łankas* zawsze występuje jako rycerz dzielny i szlachetny, dlaczego *Gudas* obudza w Litwinie wstręt i obawę. Trzeba byłoby po wytłumaczenie tej skłonności i tej odrazy sięgnąć może aż do dna tradycyj tego ludu; to pewna tylko, że wewnętrzną spójnią jego z Polską jest głęboka tajemnica, której dotąd jeszcze historja wyłuszczyć nie zdołała, zewnętrzną zaś religja katolicka. Lud ten przylgnął do katolicyzmu, i nie mogło być inaczej. Jakże miał on przyjąć protestantyzm, odrzucający cześć Świętych, czyli duchów wyższych, kiedy sam nie przestaje obchodzić pamiątki zmarłych przodków, kiedy *Dzień zaduszny*, święto *Dziadów*, jest u niego największą uroczystością? Jakim sposobem mógł odstąpić wiary w związek świata niewidomego z widomym, kiedy wpływ jego bezustanku koło siebie czuje? Wiara ta tak jest pospolitą, że najświeższy dziejopisarz litewski — Narbutt — przywodząc mniemania gminne o duchach rządzących żywiołami, mówiąc naprzykład o nimfach wodnych czyli ondynach, wśród tych powieści jakby z *Tysiąca Nocy* wyjętych, często zatrzymuje się nagle i dodaje: „ale na co powtarzać rzeczy powszechnie znajome". Z tego już łatwo wnieść, że ludowi takiemu nie mogła przypaść inna religja, jak tylko ta, co nie odpycha żadnego z wielkich zagadnień zastanawiających człowieka.

Niezawodnie, wyobrażenia religijne nad Gangesem rozwinęły się bujniej: wydały tam braminizm, ustaliły mocno kastę wojenną, ujęły lud w ściśle opisane karby; u Słowian, jakeśmy powiedzieli, zachowane najczyściej, nie zmącone pomysłami filozofów i urojeniami poetów, wsiękły w ich życie prywatne, domowe, sielskie; u Litwinów przeszły i w polityczne. Słowianie, podług wszystkiego co o nich wiemy, nie mieli pomiędzy sobą kast wyższych, nie stanowili społeczeństwa mistycznego, składali rzeszę gmin rozsypanych pojedyńczo; Litwini, będąc zlewkiem kasty kapłańskiej, wo-

jennej i pospólstwa, tworzyli ciało polityczne tęgo spojone i wskroś przejęte wpływem bardzo rozsnowanych pojęć religijnych. Znając historją Słowiańszczyzny, łatwo dostrzec dlaczego Litwa działała tylko dorywczo, i po chwilowych jej wybuchach masa narodu zapadała znowu w nieruchomość zupełną.

Nie roztrząsając tutaj kwestyj społeczeńskich i politycznych, powiemy krótko, że ludowi temu niepodobna było wdać się czynnie w spory, które dotąd zakrwawiały ziemię słowiańską. Poruszył się on raz dla osadzenia swoich książąt na tronach Rusi i Polski, a skoro te dynastje wynarodowiły się, stał się zupełnie im obcym; poruszył się potem dla pokazania współczucia narodowi polskiemu: ale jakże żądać żeby się bił za monarchją, republikę lub jakąkolwiek inną formę rządu, kiedy tych wyrazów nie rozumie nawet, nie ma ich w swoim języku. Jest to więc lud należący do liczby tych, co *oczekują*.

LEKCJA XVI

Wtorek, 4 kwietnia 1843

O dramacie pod względem ogólnym. — Koleje i znaczenie jego w ciągu każdej epoki. — Cudowność w dramacie. — Trudność napisania dramatu prawdziwie słowiańskiego. — *Dymitr* Puszkina, *Obylicz* Milutynowicza, *Nieboska Komedja*. — Żaden teatr dzisiejszy nie jest dostateczny dla dramatu żądanego. — Sztukmistrzostwo dramatyczne chłopów słowiańskich. — Lud słowiański posiada wielką zdolność uwielbiania: najbardziej go porywa słowo. — O wprowadzaniu na scenę świata nadprzyrodzonego. Homer w tym względzie jest więcej chrześcijaninem od chrześcijan. — Wzorowy wstęp Milutynowicza.

Kończymy dzisiaj pierwszą część tegorocznego kursu. Dotąd szliśmy ciągle w ślad za poezją: historyczne i mitologiczne badania nasze staraliśmy się naginać ku niej; odtąd zajmiemy się głównie historją filozofji, historją myśli słowiańskiej: poezją i badania podciągniemy pod widok filozoficzny. Dwojakim głosem wtedy będziemy przemawiali do rozumu słowiańskiego, do rozumu często będącego w sprzeczności z dziejami narodowemi i w sporze

z samem natchnieniem nieba. Dzieje i poezja podadzą nam, jak spodziewamy się, niejedną sposobność o fałsz go przekonać.

Dzieło pod tytułem *Nieboska Komedja*, które rozbieraliśmy niedawno, i które wzięliśmy sobie niejako za stanowisko literackie do obejrzenia ruchu poetyckiego w Słowiańszczyźnie, dało nam poznać stan dramatu w szczególności; mamy jeszcze powiedzieć słów kilka o dramacie pod względem ogólnym.

Dramat jest najsilniejszą realizacją poezji sposobami sztuki, i prawie zawsze ukazuje się na schyłku epok. Należy w nim rozróżnić dwie części: napisanie i przedstawienie. Do przedstawienia utworu poety, potrzeba teatru, aktorów, dekoracyj, machinerji: wszystkie rodzaje sztuki muszą przychodzić w pomoc poezji, żeby wystąpiła na widowisko przed publicznością.

Powiedzieliśmy, że dramat oznacza schyłek epoki, a zatem zwiastuje epokę nową. Kiedy myśl ożywiająca jaki naród znajdzie już swoich reprezentantów w rzeczywistości, wyda bohaterów, stara się wtedy uwiecznić pamięć ich czynów zapomocą sztuki, tworzy dramat. Sztuka przeznaczona jest, że tak powiemy, pobudzać do działania umysły opieszałe. Na początku każdej epoki słowo natchnione obiera sobie genjusze do nadania jej popędu; ale masa narodu długo jeszcze pozostaje bezwładną i wówczas to sztuka używa wszelkich sposobów żeby ją rozegrzać, ucieka się w tym celu do budownictwa, malarstwa, muzyki, do tańca nawet; skoro zaś przerodzi się w komedją, w farsę, upada i niknie. Dramat, wzięty w najspanialszem i w najrozleglejszem znaczeniu tego wyrazu, powinien łączyć w sobie wszystkie żywioły poezji prawdziwie narodowej, jak budowa polityczna narodu powinna być wizerunkiem wszystkich jego dążności politycznych.

W tradycyjnej sztuce greckiej, w tragedjach Eschilosa i Sofoklesa, znajdujemy w chórach wielką poezją liryczną czasów pierwotnych, widzimy w dialogach epopeję powtarzającą się w działaniu, mamy w ustach osób wprowadzonych na scenę, w przemowach owych Nestorów, owych Ulissesów, nawet niektórych bogów znanych już ludowi z Homera, zawiązki krasomówstwa politycznego, które wkrótce potem zabrzmiało na placach publicznych. Nigdzie dramat nie był tak dociągnięty, tak zupełnie wydany jak u Greków.

W chrześcijaństwie wzięto się także do dramatu po epoce bohaterskiej, po wyprawach krzyżowych, i ukazują się wielkie jego zarysy w *Misterjach*. Teatr, przedstawiający sceny Narodzenia Pańskiego i tym podobnych tajemnic, obejmował cały świat jaki był w wyobrażeniach chrześcijan: niebo z orszakiem aniołów i świętych, ziemię stanowiącą samo pole działania, piekło pod postacią paszczy szatana, skąd wychodziło uosobione zle wszelkiego rodzaju, począwszy od zdrady aż do błazeństwa. Pisarze później zbałamuceni wzorami Greków i Rzymian, odcinając pomału niebo i piekło chrześcijańskie, zamknęli nakoniec dramat w salonach i budoarach, gdzie do dziś dnia jest zacieśniony.

Należy spodziewać się, że dramat chrześcijański przebędzie jeszcze wiele kolei. Misterja zawierają istotne jego rudymenta, dramata hiszpańskie i Szekspirowskie wydoskonaliły niektóre części tej rozległej osnowy: ale sztuka dramatyczna francuska, sztuka z czasów Ludwika XIV., zostanie zapewne odcięta, jako coś obcego, jako odezwanie się poganizmu w ciągu rozwijania się dramatu chrześcijańskiego.

Wypada tu nam znowu dotknąć cudowności. Wyłożyliśmy już dawniej, mówiąc o epopei, że cudowność w poezji nie jest bynajmniej sprężyną sztuczną, wprowadzoną dla napięcia uwagi czytelnika, dla uczynienia poematu ciekawszym, ale stanowi część istotną każdego utworu, który ma w sobie cokolwiek życia. Naturaliści powiadają, że rozbierając jakąkolwiek roślinę, jakiekolwiek jestestwo organiczne, przychodzi się naostatek do czegoś nieodgadnionego, do czegoś cudownego. Ta rzecz nie dająca się pojąć, cudowna, jest właśnie pierwiastkiem żywotnym. Podobnież i w poezji. Każdy utwór poetycki ma w głębi siebie to życie organiczne, tajemne, nazwane po szkolnemu cudownością, które, wznosząc się w miarę jak wzrasta zakres utworu, w wierszykach i piosnkach przebija się tylko nakształt lekkiego tchnienia z krain wyższych, w epopei i w dramacie przybiera już widomą postać bóstwa.

Z tego cośmy powiedzieli można wnosić, jak trudno jest napisać dramat słowiański, dramat, któryby obejmował wszystkie żywioły poezji narodowej, nigdzie nie ukazujące się tak licznie i tak rozmaicie. Dramat ten powinienby był być lirycznym i przy-

pominać urocze dźwięki pieśni gminnych; powinienby naśladować opowiadania, jakich wyborny wzór mamy w poematach Serbów i Czarnogórców; powinienby przytem przenosić nas w świat nadziemski.

Przypomnijmy teraz sobie, jak rozmaite ludy mają różny sposób pojmowania poetycznie świata nadziemskiego, i różne środki wchodzenia z nim w styczność. Mówiliśmy już, że plemię celtyckie obdarzone jest szczególniej podwójnym wzrokiem, i zjawiska tej własności grają główną rolę w dawnych poezjach Celtów, a nawet niekiedy w świeżych utworach gminnych, że plemię germańskie, tyle mające związków z celtyckiem, posiada dar bliższego obcowania z duchami, o czem pełno jest podań w legendach pobożnych i w opisach zjawisk magnetyzmu; że ród słowiański nadewszystko wierzy w upiory, i wyrobił sobie nawet teorją z pojęć w tym przedmiocie. Wiara ta, filozoficznie rzecz biorąc, jest niczem więcej tylko wiarą w indywidualność ducha człowieczego, i ogólnie wszelkiego ducha, a nigdzie niemasz jej tak głęboko zakorzenionej jak u Słowian, dlaczego też nigdy nie przyjmie się u nich jakakolwiek bądź teorja panteistyczna: instynkt narodowy zawsze ją odepchnie. Wiemy z historji i mitologji, że oddawanie czci umarłym stanowiło ważną część dawnej religji słowiańskiej, i Dzień zaduszny był obchodzony ze wszystkich świąt najuroczyściej; a dzisiaj jeżeli można znaleźć takich pomiędzy ludem, co wskutek ocierania się koło klas cywilizowańszych zaniechali praktyk religijnych i do ostatniego słowa zapomnieli katechizmu, to niemasz ani jednego, coby nie wierzył w udzielny byt duszy po śmierci.

Żeby więc utworzyć dramat, któryby przez całą Słowiańszczyznę, przez wszystkie szczeble ludu słowiańskiego mógł być uznany za swój własny, narodowy, trzeba przebiec cały rozmiar poezji od piosnki aż do epopei, dotknąć najżywotniejszych uczuć i pojęć, brząknąć jednym cięgiem po wszystkich różnogłośnych strunach odzywających się w piersiach Słowianina.

Takiego dramatu dotychczas jeszcze niemasz. — Nie mówiliśmy o mnóstwie dzieł dramatycznych w języku polskim, naśladowanych mniej więcej podług wzorów cudzoziemskich; odłożyliśmy na stronę poważaną w literaturze słowiańskiej *Ariadnę*

Gundulicza,[1] która jest niczem innem jak librettem opery włoskiej; pominęliśmy także dramata czeskie, *Wirginią* i *Angelinę* Turyńskiego, świeżo ogłoszone w Pradze,[2] które, mimo zalety stylu, są zresztą wpół francuskie, wpół hiszpańskie. Trzy tylko utwory wychodzą ponad tłum tych naśladowań rozmaitych: *Dymitr* Puszkina, czyli jak on ją nazwał *Boryso-Godunowska komedja, Obylicz* tragedja serbskiego poety Milutynowicza,[3] i *Nieboska komedja* bezimiennego autora polskiego.

O dramacie Puszkina jużeśmy powiedzieli słów kilka. Jest to co do formy naśladowanie dramatów Schillera i Szekspira; ale Puszkin zgrzeszył tem jeszcze, że całe działanie zacieśnił do sceny ziemskiej. W prologu swoim daje przeczuwać wpływ świata niewidomego, później wszakże zapomina o tem zupełnie, i całą sztukę robi samą intrygą polityczną.

Dramat Milutynowicza wznosi się wyżej. Znakomity ten utwór dziwnie przywodzi na myśl *Nieboską Komedją*. Milutynowicz schwycił tylko jeden ton, ton pieśni serbskiej, ale włada nim po mistrzowsku. Wszędzie styl jego przypomina dźwięk stylu rapsodów naddunajskich. W samym wstępie już napotykamy wzmiankę o duchach przodków, sceny później odbywają się i w niebie i na ziemi; ale świat niebieski wyobrażony jest podług gminnych pojęć serbskich. Poeta nic ich nie zmienił, nie uzacnił, nie korzystał nawet z objawień znajdujących się w księgach kościelnych swojego kraju: aniołów wprowadził poprostu takich, jakich obrazy widzieliśmy w poezjach dawniej tu przytaczanych. Scena ziemska rozwija się na rozległej przestrzeni. Milutynowicz wziął sobie za treść jedyny przedmiot poezji narodowej, bitwę na Kosowem polu. Dramat poczyna się w zamku książąt serbskich, przenosi się do cerkwi sobornej, a kończy się w namiocie sułtana tureckiego, przy śmiertelnem łożu Amurata zabitego przez bohatera dramatu, Oby-

---

[1] *Ariadna.* Spievano od Gospara Giva Gundulichja, Vlastelina dubrarockaga, 1632. U Dubrowniku (w Raguzie).

[2] *Virginie,* Truchlohra we cztweru diejstwi; od Fr. Turinskeho, w Praze a Hradci Kràlowé, 1814. — *Angelina,* Truchlohra i t. d. w Praze... 1840.

[3] *Tragedia Obylicz* od Symeona Milutynowicza. U Lejpcyga Sztampana kod Breitkopfa i Hertla 1837.

licza. Amurat przypomina nam tutaj znajomą w *Nieboskiej Komedji* osobę Pankracego, owego zawziętego niszczyciela przeszłości słowiańskiej. Dopina on także swojego celu, podbija Serbją, i w chwili tryumfu umiera, nie mając czasu domówić słów wieszczych, które mu krzepną w ustach.

Dramat polski celuje nad wszystkiemi, jest bardziej narodowym, i razem bardziej słowiańskim. Naprzód, świat jego nadnaturalny odpowiada nietylko poetyckim wyobrażeniom gminnym, ale i pojęciom do jakich wiek nasz doszedł, chociaż w chórach duchów niższych mamy przytem i prawdziwy obraz święta *Dziadów*. Powtóre, na scenie ziemskiej porusza wszystkie zadania wstrząsające Słowiańszczyzną, i zamyka się wielkiem proroctwem.

Ale niedość jest napisać dramat, trzebaż jeszcze go wystawić na widowisku. Nie spodziewajmy się oglądać rychło reprezentacji dramatu słowiańskiego: żaden teatr dzisiejszy nie wystarczyłby nawet dla *Nieboskiej Komedji*. Możnaby wszakże odegrywać ją w części, odstąpiwszy niektórych zwyczajów sceny tegoczesnej. Należałoby naprzykład pomiędzy aktorów wprowadzić samego poetę. Opisy stanowiące główną część tej sztuki musiałby poeta opowiadać ustnie przed publicznością, obok ukazywanych w tejże chwili obrazów panoramicznych; niebo i piekło mogłyby wreszcie być pożyczone od oper teraźniejszych. Powszechnie budowy teatralne pozostały daleko w tyle na drodze ruchu dramatycznego. We Francji jeden tylko Cyrk Olimpijski mógłby przypaść dla sztuki mającej rzeczywiste znaczenie; w nim tylko dałyby się jakkolwiek wyprowadzić na scenę dzieła bohaterskie, i masy ludu tak dzisiaj przeważne w życiu społecznem.

Słowiańszczyźna długo zapewne będzie jeszcze czekała, nim znajdzie się wszystko, co potrzeba do odegrywania jej dramatów; nim budownictwo, malarstwo rzucające się już do panoramów, i rozmaite inne sztuki pomocnicze tak się udoskonalą, żeby dostarczyły wszelkich sposobów, jakiemi kiedyś zdoła ożywić dawne swoje dzieje. Tymczasem dramatyczni pisarze słowiańscy powinniby zgoła nie myślić o teatrze i o scenie. Tę radę należałoby im często przypominać: bo z jednej strony Polacy zrażają się tem, że im braknie sceny narodowej; z drugiej Czesi przywiązują zbyt wielką wagę do swoich czterech ścian z pomostem i kulisami, zwa-

nych teatrem narodowym. Bezwątpienia są to rzeczy potrzebne, ale podrzędne, nie główne. Jeden autor niemiecki, Tieck, w któremś dziele swojem rozprawia o tem i dowodzi, że przepych teatralny, a mianowicie wysadzanie się na dekoracje i upstrzenie lokalu, oznacza upadek dramatu. Kiedy zapał poety nie ogarnia słuchaczy złudzeniem, kiedy słowa jego nie złocą im ścian i nie zmieniają ciągle malowideł w głębi widowiska, to albo sztuka nic nie warta, albo czucie publiczności zupełnie stępione. Najfantastyczniejsze sceny Szekspira przedstawiano w budynkach starych i opuszczonych, bez żadnych dekoracyj i machinerji; niektóre z nich odegrywano naprzód w szopach; ale czarodziejstwo pisarza angielskiego dokazuje tyle, że nawet czytającemu tylko jego sztuki migają przed oczyma światła i cienie, rycerze i duchy, zamki i pałace, aż w końcu zdaje mu się jakgdyby był na scenie wśród aktorów. Powtarzamy więc, że wartoby nie puszczać mimo uszu tej rady, aby poeci piszący teraz dramata porzucili zupełnie względy które ich krępują, zrzekli się chętki widzenia reprezentacji sztuk swoich.

Na zamknięcie tego przedmiotu dodamy, że autorowie dramatyczni mogliby wziąć bardzo użyteczny przykład z bajarzy gminnych, z wieśniaków słowiańskich gadających bajki. U żadnego ludu niemasz powieści tak bogatych, tak dziwnych, i pewnie żadna publiczność nie słucha tak ciekawie, z takiem natężeniem uwagi, jak ta drużyna co otacza biednego chłopka prawiącego bajkę w swojej chacie. Podobnie jak niejeden poeta grecki, jak Arystofanes, jak i niektórzy autorowie scen religijno-chrześcijańskich, bajarz prawie zawsze sam występuje w zdarzeniach opowiadanych, odegrywa część swojego dramatu. Czasem daje do zrozumienia, że co się stało najważniejszego to on zrobił, i bez niego nicby tam nie było; czasem bardzo prostym sposobem porusza nagle swoich słuchaczy. Wielu Polakom i Rosjanom musi być znajoma ta bajka, gdzie bohater jej idzie szukać cudownego ptaka, i znajduje jedno tylko jego pióro zgubione w przelocie, które miało taki blask, że kiedy je wniósł do izby, cała izba oświeciła się jak od pochodni. W tem miejscu opowiadający zwykle zapala znienacka garść wiórów, a płomię to wstrząsa wszystkich obecnych i daje im żywo uczuć stosowne wrażenie. W innej powieści, kiedy przychodzi

mowa o zamku kryształowym zaczarowanych księżniczek, między któremi rycerz nie może poznać tej co szukał, bo wszystkie były podobne do siebie jak gwiazdy, bajarz słowiański otwiera drzwi lub okno, i słuchaczom swoim pokazuje zimowe niebo iskrzące się gwiazdami wśród przejrzystych obłoków, lepiej niż wszystkie płótna teatralne przedstawiających zamek kryształowy.

Przytaczamy te przykłady dla pokazania sztukmistrzostwa chłopów, poetów z urodzenia. Mają oni ten najszacowniejszy przymiot, że zawsze są gotowi unosić się, uwielbiać. Wedle jednego filozofa francuskiego człowiek różni się od zwierzęcia tylko zdolnością uwielbiania; co wbrew jest przeciwne zdaniu niektórych filozofów pogańskich, zasadzających wyższość owszem na tem, żeby wszystkiem pogardzać: *nihil admirari.* Lud słowiański posiada w wysokim stopniu tę zdolność uwielbiania, nie lada czem zapewne dającą się wyzwać, — i rzecz szczególniejsza! ten sam chłop polski lub rosyjski, co się rozpływa nad bajką gminną, będzie dziwił się wprawdzie pałacom, dziełom budownictwa, dekoracjom teatralnym, ale to go nie porwie, nie zachwyci: przemawia do niego nadewszystko słowo, myśl, uczucie wyrażone słowem: jest to cecha poetyczna Słowian.

Zbierając tedy w treść cośmy dotąd powiedzieli, powtórzymy naprzód: że dramat słowiański, na który wpadli dopiero Puszkin i Milutynowicz, ukazuje się już w *Nieboskiej Komedji* wyższym od wszystkich jakie znamy dramatów europejskich, dotyka wielu żywiołów narodowych, ale jeszcze nie jest zupełnym, jeszcze daleko mu do tego czem ma być kiedyś; powtóre, że takiego dramatu nie można spodziewać się rychło, a poeci powołani do wyrabiania jego, powinni głęboko przejąć się tą prawdą, iż sztuka dramatyczna nie polega ani na teatrze, ani na dekoracjach, ale przeciwnie wszystkie te przybory powinny wynikać z myśli poetyckiej; nakoniec, że należy autorom niezmiernie skrupulatnie, bogobojnie używać — jak mówi się językiem szkolnym — świata nadprzyrodzonego. W tej mierze sztuka chrześcijańska grzeszyła najgorzej. Homer pod tym względem jest dotychczas — jeśli się godzi tak powiedzieć — najbardziej chrześcijańskim. U niego wszystko naprzód dzieje się w niebie, w krainie duchów, potem zstępuje na ziemię, wykonywa się przez ludzi; a ludzie nie są wszakże narzędziem ślepem, mogą pójść za natchnieniem wyższem, albo je odepchnąć, i to stanowi

całą tajemnicę ich powodzeń lub niedoli. Stąd też bohaterowie Homera są daleko naturalniejsi, lepiej dają się nam pojąć od bohaterów Tassa, lub tegoczesnych poematów i romansów.

Wojownicy Homerowscy mają dni pomyślne i nieszczęśliwe, chwile odwagi i trwożliwości niepojętej dla nich samych. Często któryś z nich, opuszczony przez bóstwo wspierające, traci nagle serce, i wyznaje to otwarcie, ucieka nawet z pola bitwy. To rzecz naturalna. Jeden z najwaleczniejszych marszałków Napoleońskich powiedział: *tego dnia byłem odważny;* nie wstydził się dać przez to do zrozumienia, że nie codzień jednako służyła mu odwaga, nie zawsze był jednostajnie usposobiony wewnątrz.

Weźmy dopiero romanse Walter-Skotta, albo Coopera, którzy nie znają tajemniczego związku pomiędzy niebem a ziemią: tam wszystkich tych *Mac-Ivorsów, Ryszardów, Lawtonów,* widzimy jak wczoraj tak dziś i jutro równie śmiałych, walecznych, niezachwianych. Cooper bardziej jeszcze niżeli Walter-Skott ma tę wadę.

Smutno jest pomyślić, że po tylu wiekach nikt z poetów nie doszedł jeszcze do Homera w znajomości wielkich tajemnic człowieczeństwa, nie mówiąc już o tem jak za naszych czasów niegodnie sponiewierano cudowność, świętokradzko wydano na płochą zabawę tajemnice wyższego świata.

W tem miejscu radzilibyśmy poetom słowiańskim brać przykład z nadmienionego wyżej wstępu Milutynowicza. Jest to niby list autora z przypisaniem sztuki zmarłemu przyjacielowi jego Popowiczowi. Obiecał on był jemu napisać dramat słowiański. Ukończywszy swoje dzieło, odzywa się do niego szczerze, poprostu i tkliwie: „Zstąp — powiada — z niewidomej krainy twego pobytu, i przyjdź odczytać ze mną mój dramat. Przyprowadź z sobą naszych bohaterów słowiańskich, Juga Bohdana, wszystkich Nemaniczów i Obylicza. Pamiętaj szczególniej o Obyliczu, i powiedz mi czy nie ubliżyłem w czem duchom naszych przodków, czy słowa moje wyrażają, co oni niegdyś mówili, czy nie skrzywdziłem ich czynów?“

Od takiego to wezwania powinienby poczynać się każdy dramat poważny, wywołujący niejako z grobów postaci bohaterów i świętych.

LEKCJA XVII

Wtorek, 2 maja 1843

Kwestja filozoficzna. — Historja myśli europejskiej, jako wstęp do ocenienia stanowiska, które zajmuje genjusz słowiański. — Kartezjusz. Spinoza. Kant. Fichte. Hegel. — Ostateczny wypadek robót myśli europejskiej. — Dlaczego Słowianie nie wdawali się w te roboty filozoficzne i skąd się one wzięły. — Wpływ narodowości i pozycji osobistej filozofa na system przez niego robiony. — Filozofja niemiecka jest prawdziwie pruską.

Pierwszy rok naszego kursu zamknęliśmy zebraniem pod jeden rzut oka kwestji religijnej, socjalnej i filozoficznej, odnosząc je szczególniej do Słowiańszczyzny. Rok ten obejmował dzieje polityczne i historją literatury Północy aż do traktatu Westfalskiego. Można tam było dostrzec, jak duch materjalistowski XVIII. wieku, i duch niemiecki wyrażony w filozofji Hegla, przez naturalny pociąg skłaniały się ku Rosji, znajdując w tem państwie rzeczywistość odpowiednią ich teorjom; a jak wzajemnie polityka rosyjska napotykała w Heglizmie wykład swojej przeszłej drogi, i usprawiedliwienie swoich zamiarów nadal. — Polska wtedy stała obojętnie, albo raczej opornie pośród tych wszystkich systemów filozoficznych około niej wzrastających. Dopiero w roku drugim, przebiegając historją ostatnich dwóch stoleci, ujrzeliśmy ruch myśli polskiej zbliżającej się do wejścia w rzeczywistość, i kierunek jej mogliśmy poznać z kilku dzieł tak poetycznych jako i filozoficznych. — Teraz mamy zawiązać cały ciąg umysłowego i literackiego postępu Słowiańszczyzny, i trzeba nam kwestją filozoficzną z gruntu poruszyć.

Przebieżymy naprzód historją myśli europejskiej reprezentowanej przez Francją i Niemcy. Zawiesiwszy potem ten przegląd historyczny, wrócimy do naszych badań Słowiańszczyzny, i roztrząsając instytucje społeczeńskie Słowian, znajdziemy się znowu wobec wszystkich zagadnień jakie niepokoją Europę. Nakoniec, pozostanie nam ocenić rozmaite roboty rozumu ludzkiego i zobaczyć jak daleko sięgnął genjusz słowiański. Spodziewamy się, że to dozwoli nam odzyskać dla Francji i Polski, nawet w teoretycznej filozofji, wyższość, zaprzeczaną im przez Anglików i Niemców.

Myśl niemiecka wsiękła całkiem w filozofją, niemasz jej nigdzie indziej: Niemcy przyjęli i uznali filozofją tę za wyrób całej swej pracy wewnętrznej; myśl francuska przeciwnie, mało wysiliła się, nie wiele łożyła trudu na pisanie dzieł filozoficznych: dzieła te są jakby tylko dodatkiem w robotach genjuszu francuskiego; a jednak zobaczymy, że filozofja niemiecka musi teraz, porzucając swoje formuły dawne, iść w ślad za myślą francuską, pożycza już nawet sposobu wyrażania się od Francji dzisiejszej. Polska wreszcie, w swoim pochodzie ku przyszłości, rzuciła ledwo kilka pisemek, a da się widzieć jak pisemka te górują nad filozofją teoretyczną szkół niemieckich.

Kreśląc historją myśli europejskiej, nie powiemy nic nowego, powtórzymy w części co wiadomo z dzienników, zdających sprawę o pracach tego rodzaju w Niemczech, i będziemy korzystali ze świeżo ogłoszonego dzieła, w którem znakomity profesor berliński Michelet, bardzo dokładnie zbiera w treść historją filozofji niemieckiej [1]. Dodamy tylko ze stanowiska słowiańskiego niektóre uwagi o wpływie przeszłości na powstawanie pojęć filozoficznych; wskażemy ile przyczynia się do nich religja i narodowość filozofa.

Historja filozofji nowożytnej, zdaniem powszechnie przyjętem, poczyna się od Kartezjusza (René Descartes), który urodził się pod koniec wieku XVI., a dzieła swe ogłaszał na początku XVII. Kartezjusz pierwszy wychodzi za szranki szkół średniowiecznych; nie chce już szukać prawdy w syllogiźmie, w formach wziętych z filozofji Arystotelesa i zastosowanych do filozofji chrześcijańskiej: odwołuje się do samego siebie. *Myślę, więc jestem* (Cogito, ergo sum), więc mam pewność, że jestem — to jego założenie naczelne. *Ja*, i byt tego *ja* są tu nierozłączne. Z tego założenia później wyprowadza dowody bytności świata zewnętrznego, — o czem, jak wiadomo, niektórzy sceptycy powątpiewali, — a nakoniec bytność duszy i Boga.

Co tu jest oryginalnem, co stanowi epokę, to ta odwaga wydobywania wszystkiego z siebie, to zupełne oderwanie się od przeszłości.

---

[1] *Geschichte der letzten Systeme der Philosophie in Deutschland, von Kant bis Hegel.* 2 Theile in 8vo 1837 — 38.

Nieco później, Spinoza, pojąwszy system Kartezjusza, rozwinął go w innym kierunku. Uważając, że człowiek o tyle tylko działa, ile polega na czemś co ma za pewne, za prawdziwe, i jeśli się w tem pomyli, popełnia czyn błędny, z którego wynika dlań cierpienie, stara się on wytknąć człowiekowi drogę działania według prawdy. Ale postrzegłszy się zaraz, że pojęcia jakie sobie robimy o rzeczach zewnętrznych muszą być mylne, ponieważ rzeczy te skończone, znikome, w stosunkach swoich zmieniających się ciągle nie mogą ukazać umysłowi prawd istotnych, a przeto człowiek bezustanku jest narażony cierpieć dla prawdy, radzi mu wyjść z tego świata złudzeń, skończoności, a przywiązać się do tego co rzeczywiste, wieczne, istotne. Owóż niemasz nic rzeczywistego, istotnego, prócz Boga. Nietylko świat zewnętrzny, ale nasze popędy, uczucia są to jedynie przechoże kształty bytu, i w miarę jak wracamy ku Bogu, uwalniamy się od tych wszystkich skłonności wiodących za sobą cierpienie. Słowem, człowiek przez to wytężenie umysłowe usiłuje wyrwać się ze świata stworzonego, albo raczej pochłonąć go w siebie i tym sposobem odnieść napowrót do Boga. Bóg i utwór stanowią jedno, czyli ściślej mówiąc, niemasz utworu.

Ta jest ogólna myśl Spinozy, nie rozumiana dobrze wówczas kiedy ją wykładał, i obudzająca się dopiero w wieku przeszłym pośród Niemców. Filozofja właściwie poczyna się od Kanta; prowadzą ją dalej Fichte i Hegel.

Kant zadaje sobie to samo zagadnienie, które Kartezjusz i Spinoza chcieli rozwiązać: szuka także pewności umysłowej. Widzi on błąd filozofów chcących wszystko pojąć i wytłumaczyć: powiada z góry, że pojętność ludzka (entendement) może tylko poznawać stosunki rzeczy skończonych, formy zewnętrzne świata widomego, i z nich składać sobie pewien zapas bogactw umysłowych, jedyny swój nabytek; ale istota rzeczy, tajemnica ich bytu, *numenon* — jak on nazywa — to dla niej niedostępne. Pojętność panuje tylko nad światem widomym, odebrane wrażenia zmysłowe podciąga pod kategorje miejsca i czasu, robi z nich tym sposobem dwa pojęcia; ilekroć zaś trzeba wyjść poza świat widomy, ilekroć trzeba odwołać się do rozumu, który sam tylko wydobywa zasady i tworzy wyobrażenia (idee), człowiek pozostaje w wątpli-

wości zupełnej. Rozum wprowadza pojętność na drogę dochodzenia prawdy, pokazuje jakie są zakreślone jej granice, i nie sięga dalej. Może on zastanawiać się nad sobą samym, zgłębiać tajemnice pojmowania, zaglądać w głąb *ja* człowieczego; ale nie może być pewnym, że świat zewnętrzny, że przedmioty zgadzają się z wyobrażeniami jakie sobie potworzył. Zgoła, wyrażając to poprostu, możemy zapomocą naszego rozumu mierzyć ziemię i niebiosa, rachować szybkość ciał, opisywać ich barwy i kształty; ale kiedy chcemy przekonać się czy jest Bóg, czy mamy duszę nieśmiertelną, rozum nie dostarcza na to żadnego środka, rozstrzyga wątpliwość równie na jedną jak i na drugą stronę. Część dzieła, w której Kant wyświeca niedostateczność rozumu do rozwiązania tych wielkich zagadnień, jest oryginalną i główną. Stawia on tam obok siebie szeregi najściślej logicznych rozumowań, mówiących jednako *za* i *przeciw* bytowi duszy, dowodzących skończoności i nieskończoności świata, utrzymujących deizm, panteizm i ateizm. Podług Kanta, pojęcia tego rodzaju jak pojęcie Boga i nieśmiertelności duszy są tak zwanemi przezeń *postulatami* rozumu praktycznego; dzieli bowiem rozum na praktyczny i teoretyczny. Ten sam rozum kiedy działa jest rozumem praktycznym; objawia się on jako wola popychająca do działania, i wtedy musi przypuszczać byt duszy nieśmiertelnej i Boga nagrodziciela, w którym znajdziemy szczęśliwość przyszłą, gdyż szczęśliwość zależy na pełnieniu uczynków moralnych, zgodnych z prawidłami rozumu czystego. Ponieważ zaś w tem życiu niepodobna nigdy dójść do takiej doskonałości, i żaden nasz uczynek nie może odpowiadać postulatom rozumu czystego, trzeba wnosić, że jest jakieś drugie życie, gdzie praktyka rozumu będzie odpowiadała wymaganiom rozumu. Stan ten nazywa się szczęśliwością przyszłą. Wyciąga on jeszcze dowód drugiego życia z tego co, że tak powiemy, podpada pod rachubę, z przyrodzenia. Rozum praktyczny, zdaniem jego, ilekroć tworzy pojęcia praktyczne, odnosi je do pewnego celu. Tak naprzykład, sztuka ma swój cel; jestestwa organiczne mają swoje cele; zwierzę, jako jestestwo organiczne, ma cel w samem sobie, samo jest celem swojego bytu. Wszystko to służy człowiekowi, a zatem, podług analogji filozoficznej, człowiek musi służyć Bogu. Kant nie znajduje innych dowodów bytności Boga i nieśmiertel-

ności duszy. Krótko mówiąc, wyświeca on nieudolność rozumu w tych rzeczach i radzi mu prawie nie zajmować się niemi. Jego etyka czyli moralność ogranicza się całkiem na pełnieniu i szanowaniu ustaw krajowych: nie wymaga po człowieku niczego więcej jak posłuszeństwa kodeksowi.

Fichte, następca Kanta, rozwija dalej i stara się dociągnąć do końca jego pomysł. Kant dowodził niedostateczności rozumu najbardziej przez niemożność poznania rzeczy samych w sobie, Fichte zapytuje się już, czy rzeczy są same w sobie, i co to jest rzecz sama w sobie od ludzkiego *ja* oddzielona? Świat zewnętrzny i wszystko co nie jest *ja* tłumaczy on przez *ja*, bo cokolwiek jest, uważa za nic więcej tylko za rozszerzenia *ja*. I tak, skoro się nasze *ja* obudza, postrzega zaraz, że nie jest nicością, zapiera się nicości i przez to stanowi się. Mamy więc tu *ja* zdwojone: odrzucające nicość i ustanawiające siebie. Jest w tem podwójna czynność. Jak tylko to *ja* zapyta siebie czem jest, już bierze początek, już się staje; potem zgadza te dwa pierwiastki przeciwne, *ja* i *nicość*, przechodząc z jednego do drugiego, *exeundo*, i tworzy byt. Po obudzeniu się tedy *ja* widzi, że ma coś do roboty, do dążenia, i postrzegając przeto, że nie jest nieskończonem, w odkryciu tem napotyka zaporę, granicę położoną swemu bytowi. Tą granicą jest pojęcie rzeczy zewnętrznych. *Ja*, dowiedziawszy się, że nie jest wszystkiem, usiłuje przejść napotkaną zaporę: poznawszy, że przedmiot nie jest niczem więcej jak tylko rozwinięciem praw będących w niem samem, zabiera go, ogarnia, i tym sposobem przestępuje niejako tę granicę, ale nie przebiegłszy jeszcze całej nieskończoności, znowu musi się zatrzymać. Słowem, *ja* tworzy sobie ideał i goni za nim, a skoro tylko doścignie, musi zaraz tworzyć drugi, i taką koleją posuwa się w nieskończoność. Spróbujemy objaśnić to przez proste porównanie.

Przypuśćmy sobie, że jakiś osadnik przybywa wieczorem w miejsce niezwiedzane nigdy, i postrzega kraj objęty pewnym widokręgiem: będzie to niby granica którą *ja* zakreśla koło siebie. Uznaje się on panem tego kraju, zamierza poznać go i nawet uprawić; ale o wschodzie słońca odsłania mu się poziom rozleglejszy: przebiegłszy go, tworzy sobie wyobrażenie tego co jest poza nim, a tymczasem słońce, wznosząc się wyżej, daje mu ujrzeć

widokręg nowy, który także chce ogarnąć, opanować, i takim sposobem posuwa się w nieskończoność, z tą różnicą tylko, że u Fichtego ziemia i słońce nie są czem innem jak samemże *ja* rozwiniętem, i że w miarę jak poznajemy jedną okolicę, słońce zawsze się podnosi, żeby nam odkryć drugą, a my czujemy coraz nową siłę iść dalej. *Ja*, idąc od pojęcia do pojęcia, postępuje bez końca.

Dodamy jeszcze tutaj kilka słów, dla objaśnienia systemów Schellinga i Hegla.

Widzieliśmy już, że świat stworzony zniknął, że Bóg pozostał tylko jakoby jakiś kraj nieznany, który filozofja stara się odkryć i opanować. Dotąd wszystko to odbywało się w *ja*, a filozofowie mówiąc o tem *ja*, lubo nieznacznie, mieli zawsze siebie samych na myśli; Schelling i to *ja* wypruł z jego powłoki osobistej. Zdaniem Schellinga prawdę stanowi tożsamość rzeczy w samej sobie, *numenonu* Kantowskiego z *ja*. Jeżeli *ja* i *numenon* są toż samo, tożsamość ta jest prawdą, jest, tak zwanym przez Schellinga, *absolutem*. Ale ten *absolut* nie znajduje się ani w tem co rozważa, ani w tem co jest rozważane, tylko — mówiąc poprostu — gdzieś między niemi, albo raczej wszędzie, bo obejmuje i *ja* i *przedmiot*. Uciekając się znowu do porównania pospolitego, możnaby tak sobie tę rzecz zrozumialszą uczynić. Dajmy na to, że ktoś patrzy w źwierciadło i widzi w niem swój obraz doskonale podobny: to doskonałe podobieństwo stanowi prawdę; ale prawda ta nie jest ani w człowieku, ani w jego obrazie, ma miejsce nie wiadomo gdzie — w idei.

Na tym gruncie nie dającym się oznaczyć, na tym absolucie utworzonym przez Schellinga, Hegel usadowił się i począł budować. Z niego pogląda na przyrodzenie, do niczego mu zresztą niepotrzebne, i uzupełnia formuły swoich poprzedników, Fichtego i Schellinga.

Człowiek i świat giną tu nam całkiem, trzeba przenieść się w jakąś czczość idealną, gdzie jeszcze niemasz ani stworzenia, ani nawet Boga, jeśli to być może; jest tylko nicość. Owoż ta nicość, podług Hegla, w chwili kiedy postrzega się że jest nicością, staje się jestestwem. Nicość zatem i jestestwo, są toż samo. Są to dwie strony jednejże rzeczy, dwie jej części: *przecząca* i *twierdząca*. Jestestwo przeczy nicości, ale nicość także ma prawo przeczyć je-

stestwu, a tym sposobem oboje są razem i przeczeniem i twierdzeniem. Z tego wszystkiego nareszcie wynika byt, który objawia się w nieskończoności, a środkuje się w człowieku jako duch. Jeszcze raz, używając w pomoc mowy zwykłej, można to tak wyrazić. Bóg jest to jakaś nicość: nie czuje siebie, nie ma sumienia swojego bytu, aż dopiero nagle powstając, przez zapytanie siebie jak istnieje biorąc początek, tejże chwili rozprasza się w nieskończoność. Wszystkie przymioty i wszystkie kategorje Boga rozwijają się nieskończenie; stan ten wszakże jest tylko przejściem do skończoności. Nieskończoność dzieli się na skończoność i Bóg nieskończony ukazuje się w rzeczach skończonych, w nich przychodzi do pojęcia samego siebie. Tak naprzykład słońce, gdyby było żywem, nie mogłoby widzieć swojego oblicza, ale ujrzałoby się całe w każdej z niezliczonych kropel oceanu. Bóg Hegla jest takiem słońcem niezdolnem widzieć siebie inaczej; świat cały nieskończonym ogromem świata słonecznego; człowiek kroplą, w której się bóstwo przegląda i poznaje.

Nie ręczymy za ścisłą dokładność tego porównania; chcieliśmy tylko, ile możności, uczynić to wszystko zrozumiałem. Cokolwiek bądź, wedle tych wyobrażeń filozoficznych, duch ludzki jest jedynym Bogiem; duch pojedynczego człowieka jedyną pojmującą siebie jednostką. Logicznie mówiąc, Bóg jako stwórca jest w całym świecie stworzonym; poprostu rzecz biorąc, Bóg jako duch jest w człowieku, a objawia się najdzielniej w myśli ludzkiej. Oto cały klucz filozofji, oto ostateczny wypadek, do jakiego przyszła myśl europejska.

Najwspanialszem objawieniem się ludzkości jest myśl: nic większego, nic świętszego, nic bardziej Boskiego nad myśl! — Ale cóż to ta myśl? Myśl, wedle Hegla, nie jest to uczucie, bo uczucie, zdaniem jego, jest myślą mętną; nie jest to również to, co *duch* u Słowian, *Geist* u Niemców: jest to, właściwie mówiąc, *myślenie*, czynność wyrażana po łacinie słowem *pensare* (ważyć na szali), po francusku *penser*. Język francuski ma bardzo logiczną definicją tego słowa, że myśleć jest to samo w świecie umysłowym, co *ruszać się* w świecie *zewnętrznym;* [1] myślenie przeto równie jak ruch ni-

[1] „Tout mouvement de l'intelligence, s'appelle pensée." — Degerando.

czego jeszcze nie oznacza, ani siły ani celu. Możnaż powiedzieć, że ten pęd umysłu bez rozwagi i zamiaru, jest rzeczą najbardziej Boską? Byłoby to tak samo jak utrzymywać, że nic szczytniejszego, nic bardziej zachwycającego w naturze nad ruch — nad ruch byle jaki.

Owóż taki jest owoc tych wszystkich robót filozoficznych. Pozostanie nam ocenić go i pokazać jego wagę. Zobaczymy, że jeśli Słowianie nie zajmowali się sporami filozofów i nie kwapili się chwytać ich systemów, pochodziło to nie stąd, że nie rozumieli tego, ale że nie znajdowali w tem nic zgodnego z naturą swojego ducha, i że myśl Boża złożona na tym rodzie obracała go w inną stronę.

Zastanówmy się teraz trochę nad tem skąd się te roboty filozoficzne wszczęły. Zwyczajnie uważane są one i wykładane jako postęp rozumowy myśli ludzkiej, bez względu na czas, miejsce, narodowość, usposobienie plemienne, krajowe i osobiste ich autorów. Tak przecież być nie może. Widzimy, że filozofja wschodzi, rozwija się od traktatu Westfalskiego, kiedy wielkie życie religijne zamiera wszędy. Pierwej chrześcijaństwo całe poruszało się jak jeden człowiek. Nie mówimy tu o niektórych dążnościach cząstkowych, sektarskich, ale o takim ruchu jak wyprawy krzyżowe, jak rozwijanie sztuk we Włoszech i Francji, jak tworzenie się bractw i zakonów powszechnie. Wszystko to zdawało się wychodzić z jednego człowieka. Dopiero po reformie ruch ten ogólny ustaje. Chrześcijaństwo — że powtórzymy jeszcze śmiałe wyrażenie Baadera — z jednej strony, z katolickiej, poczyna kamienieć, z drugiej, protestanckiej, ulegać zgniliźnie: duch chrześcijański i duchy narodów nie wiedzą już gdzie się obrócić, i rzucają się szukać nowego światła. Odtąd dla genjuszów najdzielniejszych, mających najwięcej siły, nastaje ciężka praca. Kartezjusz nie powziął swego systemu z ksiąg Arystotelesa, Platona, albo Anaximena, ale służąc w wojsku, będąc świadkiem i uczestnikiem wojen religijnych, patrząc na rozlew krwi w walce katolicyzmu z protestantyzmem, a nie mogąc rozsądzić, która strona miała słuszność, odrzucił precz kwestje teologiczne i nie mając gdzie się udać, musiał wejść w samego siebie. Wtedy to wyrzekł: *myślę, więc jestem*, a zatem należy mi wiedzieć jak i dlaczego mam postępować. Za-

raz tu już widać kierunek ducha francuskiego, żądzę oparcia się na zasadzie pewności moralnych. Kartezjusz był człowiekiem czynu: chociaż nie rozprawiał wiele o religji, wziął się do oręża w jej sprawie; chociaż przedewszystkiem był matematykiem, można dostrzec, że filozofja jego wynika z potrzeby wiedzenia co trzymać o Bogu i człowieczeństwie. Od Kartezjusza do Bucheza, Leroux i Lamenego potrzeba ta odzywa się ciągle. Buchez nakoniec sformułował ją, posuwając tak daleko system Kartezjusza, że wedle niego wszelka pewność, nawet rozumowa, polega na zasadzie pewności moralnych.

Genjusz francuski tedy pragnął oświecić się z chęci działania, ale skądże wziął się system Spinozy? Spinoza był Żyd. Gdyby on żył w czasach kiedy dręczono, palono Żydów, zapewne byłby się obrócił ku temu Jehowie, co opiekował się jego przodkami, byłby czuł potrzebę Boga potężnego, osobistego, wdającego się w sprawy świata, mogącego wyrwać nędznika z ucisku, ale za dni powszechnej niewiary i oziębłości, taki Bóg nie był mu już potrzebny. Przykre jednak położenie, w jakiem wszędzie znajdowali się Izraelici, zmuszało Spinozę wytłumaczyć przecięż samemu sobie, co on znaczył i poco żył na świecie. Owóż, nie mogąc wejść ani do wojska, ani do żadnej służby cywilnej, musiał wymyślić system, któryby pozwalał mu siedzieć spokojnie, nie należąc do niczego. Utworzył tedy sobie Boga, w którym mieszkał, i mniemał mieć słuszność przeciwko chrześcijanom i przeciwko historji; bo ten Bóg nie wkładał nań żadnej powinności, nie obowiązywał go ani modlić się, ani bić się, ani pracować. Tym sposobem nieborak ów myślił, że rozstrzygał wszystkie kwestje filozoficzne, a on rozwiązywał tylko zagadnienie własnego bytu.

Obaczmyż teraz z czego wyrodziła się filozofja niemiecka. W krajach protestanckich panujący ogarnęli całą władzę, wszelkie zgromadzenia i rozprawy polityczne ustały, spory między teologami, zrazu zawzięte, zmordowały nakoniec umysły, i zarzucono teologją zupełnie. Klasy dostatnie, klasy ludzi czytających i rozumujących, nie miały już czem się zajmować. Wielu pastorów protestanckich, którzy nie wierzyli ani w Lutra, ani w Kalwina, ani nawet w Chrystusa, nie mogąc spędzać czasu na modlitwie, a nie mając synodów albo kapituł gdzieby trzeba było radzić o spra-

wach rzeczywistych, rzuciło się w zakres pojęć oderwanych. Wymykano się tym sposobem na wszelkich stanowiskach od pracy, bo istotnie, daleko trudniej jest pokazać jak należy pełnić religją po chrześcijańsku, niżeli tworzyć system uwalniający nas od powinności religijnych. Wtedy to Kantowi, siedzącemu z łaski swoich przodków Niemców w kraju słowiańskim, który go karmił, który składał podatki na opłatę jego pensji, wyuczonemu w szkole, założonej niegdyś staraniem jednego z biskupów katolickich, czytającemu wygodnie książki zebrane przez pastorów protestanckich, bezpiecznemu pod opieką króla, który za niego wojował, zasłonionemu piersiami żołnierzy, którzy bronili Królewca, Kantowi, równie jak każdy z nas tyle zadłużonemu względem przeszłości, zdało się nagle, że nie wiedzieć skąd wziął się na ziemi, jak gdyby nic nie był winien nietylko Bogu, ale nawet krajowi i miastu swojemu. To fałszywe pojęcie biorąc za zasadę, chciał on Boga i cały świat wytłumaczyć. Kant w dziedzinie myśli ma podobieństwo do ostatnich wielkich mistrzów zakonu krzyżackiego, który wzniesiony gorliwością religijną, uposażony przez papieżów, broniony przez monarchów, pełen bogactw i potęgi, skoro zadał sobie pytanie dlaczego był, zaraz zerwał z papieżem, z cesarzem, z królem polskim, i chciał stać samoistnie. Odtąd poczęła się historja nowożytna Prus, i Michelet słusznie powiada, że cała ta filozofja jest właściwie pruską, że nie mogła ona urodzić się gdzie indziej jak w Prusiech, i że ten jeden kraj jest przeznaczony, żeby ją wydoskonalił, wykończył.

LEKCJA XVIII

Wtorek, 9 maja 1843

Oddziaływanie przeciwko górującemu kierunkowi myśli w Niemczech, Herder. Jacobi. Schlegel. Schelling. — Ludzie czynu i poeci stawią zawsze opór przeciw filozofji scholastycznej. — Cokolwiek jest jeszcze życia rzeczywistego u filozofów niemieckich, biorą to z krajów obcych. — Podobieństwo między naczelnikami szkół filozoficznych i panującymi w Prusiech. Król pruski. — Dwa nazwiska polskie zamykają po-

chód filozofji niemieckiej. — Oddawanie się Polaków w umysłową niewolę Niemców skąd pochodzi? — Filozofja niemiecka nie przyjmie się nigdy ani u Francuzów ani u Polaków.

Ruch filozoficzny myśli niemieckiej napotkał między samymiż Niemcami opór, który zamienił się pomału w oddziaływanie. Jeszcze kiedy Spinoza znosił osobistość człowieka, wszystkie nawet popędy duszy ludzkiej uważając za przypadki jednego jestestwa, to jest Boga, Leibnitz stawił przeciw niemu system, wedle którego każda dusza człowiecza, i nawet każdy pierwiastek niematerjalny jakiego bądź przedmiotu, stanowi *monadę*, pewnego rodzaju całość nieśmiertelną i boską, a Bóg tylko jest monadą naczelną, utrzymującą porządek i zgodę wszystkich tych monad. Leibnitz tedy wystąpił już z obroną osobistości; ale dopiero za ukazaniem się filozofji Kanta oburzyło się w Niewczech wszystko, co jeszcze było tam chrześcijańskiego. Przed przyjściem do wypadków ruchu niemieckiego, przebieżymy pokrótce historją tego oporu.

Pierwszy naprzód Herder, jeden z największych ludzi jakich Niemcy wydały, obdarzony głębokiem czuciem natury, gruntownie obeznany z dziejami ludzkiemi, powstał na filozofją Kanta, w której nie mógł znaleźć nic prócz formuł nie dających się zastosować ani do fenomenów przyrodzenia, ani do zdarzeń historycznych. Traktując tę filozofją wzgardliwie, nazwał ją tandetem formułek. Herder szukał Boga w ludzkości, — on to i wprowadził ten wyraz *ludzkość*. Wedle niego, nie myśl sama jest istotą człowieka ale człowiek całkowity, zupełny, stanowi ideę, wzór doskonałości, do którego dążyć należy. Cząstki, że tak powiemy, tego wzoru widać rozsypane w pojedynczych ludziach; wszystkie razem obejmuje ludzkość: nic większego, nic świętszego nad ludzkość.

Jacobi uderzył na filozofją z innego stanowiska: trzymając się religji objawionej, wszczął polemikę językiem filozoficznym. U was niema Boga — mówił on do Fichtego i Schellinga. — Wasz Bóg poczyna się dopiero i nigdy się nie stanie. Ten Bóg co podług waszej filozofji powinien z *jedności* przejść przez *mnogość* żeby został *całością*, nie jest Bogiem zupełnym: chcecie z rzeczy niedoskonałej utworzyć rzecz doskonałą. Nie tak u nas chrze-

ścijan: my uważamy doskonałość za pierwiastek i źródło wszelkich pojęć i rzeczy. — Jacobi, przyjmując także kategorje Kanta, potwierdzał niezdolność rozumu ludzkiego do poznania Boga. Rozum idzie zawsze od skutków do przyczyn, od skończonego ku skończonemu, a nigdy nieskończonego dosięgnąć nie zdoła. Trzeba więc gdzie indziej szukać tej nieskończoności: leży ona w Bogu, i tylko, podnosząc się duchem do Boga, człowiek ją pojąć może. Bóg styka się z człowiekiem, i przez to zetknięcie się człowiek poznaje Boga. Tym sposobem tedy Jacobi uczynił już Boga przystępnym dla ludzkości.

Fryderyk Schlegel posunął jeszcze dalej system Jacobiego. Schlegel poeta, historyk i polityk, zwiedziwszy Niemcy, przez długi czas przypatrzywszy się Francji, dostrzegł co było moralnie i politycznie niebezpiecznego w filozofji niemieckiej. Widział on średniowieczną budowę Niemiec, cesarstwo germańskie upadłe nieodzownie, i w gruzach tych nie znajdował żadnej myśli, któraby całemu rodowi niemieckiemu mogła być wspólną. Uwagi te oderwały go naprzód od protestantyzmu; skłonił się zrazu ku pojęciom Saint-Martina i De Maistra, później został katolikiem. Podług niego, *ja* ludzkie jest przeciwnikiem Boga. To *ja* doskonaląc się, rozwijając swoje siły i wiadomości, uznaje w końcu ich niedostateczność. Przyjście do tego jest potrzebne dla postępu: skoro *ja* ludzkie zaprze się samego siebie, obróci się w niwecz, poczyna się dopiero w niem rozwijać zaród *ja* Boskiego; człowiek wtedy łączy się z Bogiem. Zdaniem Schlegla, ludy starożytne, mianowicie wschodnie, przebyły już tę smutną kolej zniweczenia swojego *ja*, ale europejskie powinny jeszcze tego się spodziewać: Europa od wieków średnich, od czasu wojen Gwelfów z Gibelinami zbiła się na drogę błędną. Powstanie cesarzów przeciwko papieżom jest pierwszą epoką walki indywidualności z powszechnością; protestantyzm daje wielki popęd rozwijaniu się *ja*, rewolucja francuska popycha je dalej jeszcze ku przepaści. Historja tego *ja*, jest u Schlegla historją Anty-chrysta. Jedynymi obrońcami władzy prawej byli, jak utrzymuje, Jezuici, lecz powszechny zalew ich pochłonął. Spodziewa się on wszakże, że dzieje wymierzą słuszność prawdzie, i *ja* będzie nakoniec musiało poddać się, albo ulegnie pokonane duchem społeczeństwa. Ludzkość, we-

dle niego, ma utworzyć sobie nowy ideał władzy, rząd idealny. Przechodziła ona z pod władzy ojcowskiej pod kapłańską i królewską; teraz władza ojców i kapłanów zjednoczy się w królach: królowie samowładni będą reprezentowali Boga na ziemi. Schlegel jest otwartszym absolutystą od De Maistra; nie widzi on zbawienia dla ludzkości gdzie indziej, jak w samowładztwie choćby jakichkolwiek monarchów. Dzieła Schlegla jednak nie wiele znalazły wziętości w Niemczech.

Schelling nakoniec, Schelling jeden z założycieli filozofji niemieckiej, ukazał się świeżo jak najstraszliwszy niszczyciel swojej roboty, wystąpił na katedrę w Berlinie z systemem mającym obalić wszystkie systemy utworzone dotąd. Przypomnimy tu naprzód jego dawniejszy sposób pojmowania rzeczy. Świat powszechny, nieskończoność czyli tak zwany absolut, znaczy u niego to samo co byt i co wiedza; ale ta tożsamość ma tylko miejsce w świecie powszechnym, w absolucie, a objawia się także w każdej jego cząstce, we wszystkiem skończonem, i można powiedzieć, że życie napełniające świat cały dzieli się na dwa strumienie, z których jeden kończy się w jednostce duszy ludzkiej, w duchu pojedynczego człowieka, drugi stanowi przedmiot, to jest powszechność rzeczy. Schelling myśl twórczą swego systemu wziął z fizyki. Właśnie wtenczas kiedy ten system układał, postrzeżenia otrzymane z doświadczeń nad elektrycznością naprowadzały na odkrycie dwóch jej pierwiastków przeciwnych. Jakoż można sobie wystawić ogólne pojęcie Schellinga, biorąc za przykład naelektryzowaną kulę kruszcową. Jeśli przytkniemy do niej jakąkolwiek rzecz z jednej lub z drugiej strony, okaże się nam elektryczność albo dodatnia albo odjemna; ale elektryczność ta, jak w całej kuli, tak i w każdej jej cząstce, jest jednotliwa i wszędzie między jej dwoma biegunami znajduje się pewien punkt obojętności. Gdy byśmy odcinali po kawałku tego kruszcu, każdy kawałek miałby znowu swoją stronę dodatnią i odjemną. Otóż podobnie umysł ludzki przedstawia jeden biegun, nieskończoność, przedmioty zewnętrzne stanowią drugą stronę, skończoność: całe zaś pojęcie zasadza się na tem, że w połączeniu tych pierwiastków, to jest w świecie powszechnym leży absolut, prawda. Tego absolutu, tej prawdy nie można znaleźć ani w człowieku, ani w naturze, czy

to będziemy tłumaczyli naturę przez człowieka, czy duch ludzki przez naturę, ale tylko w idei łączącej te dwie strony stworzenia da się schwycić prawda.

Takie to było założenie, które naprzód Schelling postawił. Przez czterdzieści lat potem milczał: i kiedy myślano, że pracował nad udoskonaleniem swego systemu, on tymczasem przyglądał się cicho dokąd filozofja zajdzie, aż nakoniec odezwał się nagle, ogłaszając swój dawny system za niedostateczny, za jednostronny, za przedstawiający tylko stronę przeczącą systemu całkowitego, który teraz chce uzupełnić, albo raczej z gruntu przebudować. Strach ogarnął filozofów pruskich; na systemie bowiem Schellinga postawili oni szkołę Heglowską i wszystkie poprzednie. Kiedy więc zapowiedział, że to piętro, służące za podwalinę świątyni Hegla, było tylko rusztowaniem, że niemasz tam ani cegieł, ani kamieni, że zabiera się je rozrzucić i wznieść w tem miejscu gmach prawdziwy, wszystkie roboty filozoficzne, wyprowadzone z jego systemu, zostały odrazu zagrożone upadkiem.

Wedle tego co teraz Schelling utrzymuje, wszystkie systemy od Spinozy i Kanta aż do pierwszego systemu jegoż samego włącznie wydawały tylko przeczenie. Duch ludzki nie może pojąć co to jest byt; wie on o bycie, ale nie może go pojąć. Duch ludzki ma byt, a, jako jest prawdziwy, może z góry przewidzieć, że i rzeczy muszą istnieć tymże sposobem; posiada on zdolność zawyrokować to *a priori*, ale nie wie czy istotnie rzeczy istnieją, i żeby się o tem przekonać musi uciekać się do doświadczenia. Duch przeto może dowiedzieć się, że rzeczy są, ale nie może przekonać się, że są, czyli, jak to Schelling po swojemu wyraża, duch zna *quid*, ale nie zna *quod*. Żeby pojąć byt trzeba pierwej mieć wewnętrzne i odrazu zupełne, zawierające już w sobie wszelkie logiczne dowody uczucie bytu, trzeba mieć tak zwane Schellingowskie *intellectuelle Anschauung*, to jest niby błysk umysłowy, w którym postrzega się własny byt i razem nabywa się przeświadczenie o nim. To faktum więc nie potrzebuje dowodzenia, i z niego wynika cały system Schellinga; ale żeby ów błysk umysłowy, nazywany później przez niego wiarą, miał być organem nie każdemu danym, i żeby ten, kto zapomocą tego organu nie może odrazu zgłębić aż do dna bytu rzeczy, próżno już chciał uczyć

się filozofji, takie zdanie zgorszyło niezmiernie filozofów niemieckich: okrzyknęli, że Schelling nie wiedzieć co, jakiś szósty zmysł, wymyślił.

Nie będziemy tu rozwodzili się nad nowym systemem Schellinga, który jeszcze nie jest ogłoszony drukiem. Mówiąc o Heglu i Fichtem, szliśmy za wykładem innych pisarzy, bo formułują oni lepiej ich pojęcia niżbyśmy uczynić to potrafili; ale nie czytając sami nowego systemu Schellinga, nie chcemy spuszczać się na sprawozdania jego przeciwników. Dosyć na tem, że Schelling został chrześcijaninem i usiłuje filozoficznie tłumaczyć objawienie. Główne punkta jego systemu, nie zgadzające się z dążnością filozofji niemieckiej, są te: naprzód, że trzeba posiadać organ filozoficzny, powtóre, że trzeba mieć dobrą wolę, i nakoniec, że trzeba być mędrcem w życiu.

Trudno opisać wściekłość w jaką wpadli zwolennicy dawnej szkoły Heglowskiej na tak niesłychane zdania. — Jakto! — zawołali — trzebaż dobrej woli, żeby nauczyć się rzeczy prawdziwej i widocznej? Do czego tu dobra wola? Alboż wymagamy dobrej woli po kim, żeby zrozumiał, że dwa trójkąty, mające tęż samą podstawę i wszystkie kąty równe, są sobie równe? Czyliż człowiek źle lub dobrze prowadzący się nie jest przeto jednakowo zdolny rozwiązać zagadnienie matematyczne? Metoda Heglowska, która, podług Hegla, jest czystą prawdą, i razem środkiem dowiedzenia prawdy, wystarcza sama przez się do przekonania człowieka nieobranego z rozumu. Żądać aby człowiek miał dobrą wolę, jest to chcieć pogrążyć go znowu w ciemnościach filozofji religijnej.

Możnaby jednak odpowiedzieć tym filozofom, a między innymi Micheletowi berlińskiemu, który w powyższy sposób zbija Schellinga, że jeśli metoda Heglowska jest tak z gruntu i całkowicie prawdziwa, czemuż nie zdołała pozyskać powszechnego przekonania? Dajmy na to, że cudzoziemcy, Francuzi, Słowianie, są zbyt głupi, żeby ją mogli pojąć; ależ co powiedzieć o Jacobim, o Schleglu, a nadewszystko o samym Schellingu? Jakże to Schelling, który sam założył fundamenta tej metody, teraz jej nie rozumie? A jeżeli ją rozumie, dlaczegoż odrzuca, skąd mu przyszedł upór nie chcieć jej przyjąć? Zapewne chyba tylko ze złej

woli. Zła więc albo dobra wola nie jest w filozofji rzeczą obojętną.

Poprzestaniemy na wytknięciu tego punktu wychodzącego na wierzch w sporze Schellingistów z Heglistami. Zresztą szkoła Heglowska sama już rozpadła się na partje, które dają sobie nazwiska *strony prawej, strony lewej i środka* jak w Izbach francuskich. Niemcy częstokroć, dla wytłumaczenia samym Niemcom co się między nimi dzieje, muszą uciekać się do politycznego języka Francji. Tak naprzykład mówią, że Kant stanowi Zgromadzenie *ustawodawcze*, Fichte *Komitet publicznego ocalenia*. Jedni porównywają go z Komitetem, drudzy z Napoleonem. Dalej, że Hegel dał kartę konstytucyjną filozofji niemieckiej i był jej władcą prawowitym. Wedle innych przeciwnie, Schelling jest Burbonem usiłującym przywrócić prawowitość, a niektórzy znowu mają go za Napoleona, zabierającego się wylądować z wyspy i obalić konstytucją.

Nim przystąpimy do historji realizowania pojęć filozoficznych, co nas zaprowadzi na ziemię słowiańską, zrobimy tutaj ogólną uwagę, że opór przeciw myśli czysto niemieckiej wychodził zawsze z ludzi imaginacji i czynu, jacy jeszcze znajdowali się w Niemczech. Poeci wszyscy mieli wstręt do tej filozofji. Jean-Paul naprzykład, w dziele swojem o sztukach pięknych, obracał w pośmiewisko Kantowskie formułowanie sztukmistrzowstwa. Jacobi podróżował wiele, bawił czas niejaki w Genewie, znał ruch wyobrażeń europejskich, przewidywał i przeczuwał niebezpieczeństwo grożące Niemcom, wdawał się nawet w politykę. Schlegel długo i gorzko bolał nad poniżeniem Niemiec; dla podźwignienia ich chciał je przywieść napowrót do katolicyzmu, ale z drugiej strony wpadł w ręce Austrji, i poznawszy złą wiarę jej ministra, stracił nareszcie odwagę, umarł w zgryzocie i prawie zwątpieniu. Wszyscy ci ludzie mieli uczucie rzeczywistości, którego zupełnie brak filozofji szkolarskiej, chcieli oni wlać w tę filozofją jakiekolwiek życie, jakąkolwiek działalność.

Dziwno, że żaden historyk, żaden filozof niemiecki nie ocenił jeszcze wpływu wyobrażeń francuskich na filozofją szkolną. Jest to rzecz niewątpliwa, że Saint-Martin, a zwłaszcza De Mai-

stre, popchnęli najbardziej Schlegla, Jacobiego, i nawet Schellinga.

Schlegel pierwszy puścił w obieg po Niemczech dzieła Saint-Martina, i sam z nich wiele czerpał. Schelling zgłębiał pisma Boehma, szewca niemieckiego, który nigdy żadnej książki nie czytając, utworzył rozległy system teozoficzny, a rozwinięcie i dopełnienie tego systemu dostarczył Schellingowi Saint-Martin, tak, że ile sądzić teraz można o systemie Schellinga, jest to nic więcej tylko mieszanina pojęć Boehma i Saint-Martina. Schleiermacher, jeden z filozofów religijnych, osadzający całą filozofją na uczuciu, tchnie także wpływem cudzoziemskim, bo długo należał do Braci Morawskich, i tym sposobem został dotknięty promieniem życia słowiańskiego wychodzącym z Husa.

W Schleiermacherze to tylko jest jego własnem, że, kiedy inni budowali systemy, on chciał Kościół budować. Znał on niezdolność pojedyńczych ludzi do znalezienia prawdy absolutnej. Podług niego Bóg objawia się w uczuciu. Zamiast tedy nauczać religji, trzeba obudzać w ludziach uczucia religijne. Każdy człowiek więc może być kapłanem. Schleiermacher posunął protestantyzm do tego ostatecznego następstwa. Każdy człowiek powinien być kapłanem i mieć swoją własną religją, ponieważ każdy ma w sobie część Bostwa objawiającą się w jego własnem uczuciu. Bóg zatem jest niejakimś Kościołem złożonym z nieskończonego mnóstwa Kościołów, osób Boskich. Mnóstwo to, zgromadzone i zagrzane obudzonem uczuciem religijnem, tworzy prawdę powszechną, wydaje dogmat. Zdaniem jego, niemasz dogmatu, społeczeństwo ludzkie dopiero ma ten dogmat wyrobić kiedyś.

W Schleiermacherze, Schleglu i Schellingu poczyna świtać nowa idea dla filozofji niemieckiej, idea społeczeństwa, która zabije nakoniec szkołę Heglowską; Hegliści bowiem nie mają formuły tłumaczącej dostatecznie stowarzyszenie się ludzi, nie czują nawet jej potrzeby. Schleiermacher skupia społeczeństwo około uczucia religijnego; Schlegel wyprowadza ustawy jego z Kościoła katolickiego i przypatruje się w dziejach jak się rozwijało; Schelling nakoniec usiłuje pogodzić społeczeństwo polityczne z religijnem. Społeczeństwo tedy jest dzisiaj wielkiem zagadnieniem podanem filozofji niemieckiej.

Jak pierwej porównywaliśmy Kanta do arcy-księcia Alberta, który z mistrza czyli przełożonego zakonu wychodząc na panującego, zerwał z Kościołem i królewskością, tak teraz możemy Fichtego i wszystkich filozofów jego szkoły porównać z tymi margrabiami domu Brandeburskiego, co mając na widoku tylko swoje *ja*, usiłują szerzyć się ze szkodą Kościoła i państw ościennych. Hegel podobny jest do króla Wilhelma III., który po rozbiorze Polski spodziewał się już siedzieć najspokojniej, kiedy w tem nagle spada nań burza z Francji. Schelling i teraźniejszy król pruski zdają się składać jednego człowieka, biedzącego się nad wynalezieniem podstawy dla bytu Prus. Niezawodnie filozofem pomiędzy wszystkimi tymi filozofami pracującym najwięcej jest król pruski. Kiedy szkoła Heglowska z dziecinną radością mniema już posiadać wszystkie polityczne i religijne tajemnice, i sądzi, że chodzi tylko o to jak je zastosować, król pruski zna całą trudność położenia swego państwa, wie, że w tem państwie znajduje się plemię litewskie, przez długie czasy straszliwie od jego przodków uciskane; wie, że główne instytucje pruskie wynikły z dawnych instytucyj polskich, a inne noszą na sobie piętno wieku XVIII., co sprawuje ciągłe ścieranie się między niemi; wie, że ma prowincje, w których zakrzewiły się wyobrażenia i nawet prawa francuskie, że nakoniec pierwiastek słowiański, ciążący ku północy, targa i niepokoi jego królestwo, a tyle zarodów rozmaitego życia niepodobna utrzymać zapomocą jakiej nędznej formułki filozoficznej.

Historja filozofji niemieckiej na Północy kończy się nazwiskiem polskiem. Michelet berliński, którego trzymaliśmy się w powyższym wykładzie, zamyka ją krótkim rozbiorem systemu Cieszkowskiego. Z drugiej strony, w Niemczech południowych, gdzie Trentowski porusza prowincje katolickie, na końcu dziejów tej filozofji ukazuje się także nazwisko polskie. Dwóch tych ludzi można uważać za Słowian wynarodowionych, za Słowian, którzy się obrócili w niewolników myśli niemieckiej. Jest to podobno pierwszy taki przykład dobrowolnego poddaństwa. Zwątpili oni o sile moralnej narodowości własnej, stracili ufność w rozum słowiański, mimo to jednak, że gwałtem starają się zniemczeć, jest w nich coś żywotnego, co im nadaje popęd, chociaż sami o tem nie wiedzą.

Trentowski, wziąwszy dawny system Schellinga i system Hegla jako dwie strony jednejże rzeczy, sądzi, że już całą rzecz znalazł, i marzy ciągle o zajęciu miejsca po Schellingu i Heglu, to jest o wstąpieniu na tron umysłowy Niemiec.

Cieszkowski w swoich pisemkach świeżo ogłoszonych daje się słyszeć tu i ówdzie z wyrazami bardzo niebezpiecznemi dla filozofji niemieckiej, i można mniemać, że wziętość, której nabył w Berlinie, pochodzi ze strachu jaki obudził w filozofach. Zdaniem jego filozofja przyszła już do tego kresu, kiedy przecież powinna nakoniec coś zrobić. Ze wszystkich sił woła on o czyn, utrzymuje, że rozum ludzki dosyć już wyćwiczony, aby odrazu schwycił prawdę i wprowadził ją w działanie.

Obadwaj ci ludzie zdają się być przeznaczeni do sprawienia zamętu w tajnych gabinetach filozofji niemieckiej. Filozofowie gardzą tłumem, jak zwą brukowych polityków, nie dbają o dziennikarzy, których mają za skarłowaciałych; ale ci dwaj Polacy, znający na palcach całą ich naukę, nie dają im zasnąć spokojnie. Podobni oni są do tych Polaków, co straciwszy wiarę w sprawę narodową, idą służyć cudzoziemcom, zaciągają się pod chorągwie rosyjskie albo austrjackie, i chociaż okazują największą gorliwość, zawsze szerzą niebezpieczny niepokój w wojsku. Są to ludzie, którzy mimo całą swoją chęć nie mogą zostać niewolnikami.

Przyszedłszy dopiero do chwili, kiedy filozofja uznaje konieczną potrzebę wytłumaczenia społeczeństwa i podania formuły państw politycznych, zawiesimy jej historją, a poświęcimy następne lekcje badaniom wyobrażeń słowiańskich o *własności*, badaniom pierwszego społeczeństwa, społeczeństwa *właścicieli ziemi* w Słowiańszczyźnie; potem będziemy zastanawiali się nad społeczeństwem politycznem, i wrócimy wtedy do systemów Trentowskiego i Cieszkowskiego, którzy odpowiadają systemom Hegla i Schellinga, oraz roztrząśniemy system Ludwika Królikowskiego, który spotyka się w dążności z Jacobim i Schleiermacherem.

Trentowski, Cieszkowski i wszyscy w ogólności filozofowie słowiańscy nie znają własnej literatury, a nadewszystko nie znają życia narodowego. Radują się oni niezmiernie kiedy trafią w filozofji niemieckiej na formułę, która zdumiewa ich głębokością. Głoszą wtedy swoim rodakom, że znaleźli rzecz zupełnie nową i nie-

ocenioną. Tak naprzykład Heglowska definicja *ducha* zdaje się im być *nec plus ultra* formy filozoficznej. Duch ten ma to być coś, co stanowi jedność świata powszechnego, siedzi w środku niego, jest jakiemś jego ogniskiem, które *myśli* tylko o samem sobie, jest dla samego siebie celem bytu, przegląda się w samem sobie, i będąc wyrazem, albo raczej treścią, miazgą świata, wydaje z siebie promienie ożywiające wszystko stworzone. Tego ducha, czyli tę *myśl*, nazwaną przez Hegla *Geist*, opisał już doskonale poeta polski Naruszewicz, jeszcze kiedy się Hegel nie był urodził. W żadnem dziele niemieckiem nie znajdujemy dokładniejszej definicji Heglowskiego *Geist*, nad zawartą w następnych wierszach ody do Stanisława Augusta.

By samej dając pochop *myśli*, tę jedynie
Miał za rzecz swego dzieła, za cel i naczynie, *(metodę)*
Wtenczas, ze swej natury wyzuwszy się prawie,
W równej duchom nadziemnym postawie...

Ta tylko zachodzi tu różnica, że Naruszewicz takiego ducha uważa za historyka, nie zaś za stwórcę świata; taki duch pojmuje świat, ale go nie tworzy. Jest to nie duch ale myśl tylko.

Filozofja niemiecka nie przyjmie się nigdy mocno ani u Francuzów, ani u Słowian: to łatwo jest widzieć. Pierwej nim zjawił się Hegel, byli we Francji i w Polsce Hegliści, byli ludzie, którzy dawno już to wprowadzali w praktykę, co Hegel i jego zwolennicy wydali w teorji. Dlatego właśnie Francuzi i Polacy pierwsi zrozumieli Hegla, zdaniem naszem nawet, oni sami jedni przeniknęli go nawskroś. Kiedy przed dwoma laty powiedzieliśmy, że Polacy i Francuzi odsłonili system Heglowski, zdawało się to może paradoksem, dziś prawdę tę stwierdza w dziele swojem filozof niemiecki, Michelet.

Ktoby dał temu wiarę, że Hegel po dziesięciu leciech nauczania filozofji z katedry w Berlinie zostawił swoich słuchaczy w wątpliwości o tem, czy przypuszczał bytność Boga osobistego, duszy nieśmiertelnej i świata niewidomego? Przecież dawał on lekcje filozofji, nie chemji, ani fizyki, albo historji naturalnej. Jeżeli nic pewnego nie wyrzekł o Bogu, o nieśmiertelności duszy, o świecie niewidomym, o czemże przez dziesięć lat gadał? Michelet berliński

powiada więcej, powiada, że nawet poufali przyjaciele Hegla, jego uczniowie ulubieni, którzy później sami zostawali naczelnikami szkół filozoficznych, po długich z nim rozmowach prywatnych wychodzili jedni jednemi drzwiami z przekonaniem, że wierzył, drudzy drugiemi drzwiami z największą pewnością, że wcale nie wierzył w Boga osobistego, w nieśmiertelność duszy, i w to, co pospolicie nazywamy piekłem i niebem.

Hegel, jak Michelet utrzymuje, dyplomatyzował, nie śmiejąc odkryć swoje myśli. Myśl ta wszakże daje się jasno dostrzec w jego dziełach; dosyć jest zastanowić się trochę nad niemi, żeby przekonać się, że w żaden z powyższych dogmatów nie wierzył. Ale co dziwna, to, że Niemcy wielce uczeni, sami profesorowie filozofji, nie dobrali się do tej tajemnicy uwiniętej w ciężkie i zagmatwane wyrażenia, kiedy tymczasem dziennikarze francuscy i niektórzy z młodzieży polskiej, ledwo przeczytawszy parę jego pisemek, zaraz ją odgadli.

LEKCJA XIX

Wtorek, 16 maja 1843

BADANIA STAROŻYTNOŚCI SŁOWIAŃSKICH. VII.

Interes przywiązany dzisiaj do własności. — Pojęcia w tym względzie starożytnych Greków i Rzymian. — Zgodne z rzymskiemi wyobrażenia i zwyczaje u Słowian. — Urządzenie gruntów w gminie słowiańskiej. — Przedsięwzięcia reformatorskie St. Simonistów i Furierystów.

Prawodawstwo publiczne i kryminalne państw teraźniejszych rozmaicie jest sądzone przez różne szkoły filozoficzne i religijne; ale tę część ustaw, która zajmuje się urządzeniem własności, wszyscy niemal publicyści, wszyscy filozofowie uważaja za wielce udoskonaloną, a nawet za doskonałą.

Interes przywiązany do własności góruje we wszystkich kodeksach. Już za czasów Justynjana artykuły, mające na celu własność, zabierały dwoje tyle miejsca co prawa osób; dzisiejszy kodeks cywilny francuski prawie całkiem im jest oddany. W pier-

wszem jego wydaniu wszystko co odnosi się do osób, do stanu cywilnego, do małżeństw, mieści się na kilkudziesiąt kartkach, kiedy tymczasem resztę księgi, 300 stronic z liczby całej 400, zabiera własność pod tytułem: *o rozmaitych sposobach nabywania własności* [1].

Ostatni wypadek do jakiego przyszedł rozum praktyczny we Francji wyraził się w kodeksie cywilnym słowami: *własność jest to prawo używania rzeczy i rozrządzania niemi jak się tylko podoba, byleby to nie przeciwiło się ustawom i przepisom* [2]. Formuła ta kodeksu francuskiego odpowiada zupełnie teoremie filozoficznemu szkół niemieckich. Człowiek uznany został za absolutnego pana swojej własności.

Podług Fichtego, ponieważ własność jest niczem więcej tylko rozszerzeniem *ja*, i dwa te przedmioty nie są dwoma rzeczami sobie przeciwnemi, ale rozciągnięciem jednej i tejże samej rzeczy, *ja* człowiecze ma przeznaczenie owładać całym światem. Zdaniem Hegla, *ja* rozsądnie wolne, kiedy się stawi — wydaje się w osobie, kiedy się rozwija — wydaje się w prawach, których stroną zewnętrzną jest własność; własność, to nic więcej tylko prawo zrealizowane. Podług systemu Heglowskiego, człowiek, ujrzawszy sam siebie we swojej własności, może jej używać, może objawiać się przez nią, jak Bóg w świecie powszechnym, powinien ciągle czuć się jej środkiem i ogniskiem.

Ten sposób zapatrywania się na rzeczy odpowiada sposobowi w jaki ród germański, nie mający przedsiębierczego umysłu Francuzów, pojmuje własność i zwykł jej używać.

Ale oto w chwili kiedy filozofja tłumaczy i usprawiedliwia prawodawstwo francuskie, kiedy po rozdrobnieniu na cząstki i wyzwoleniu własności z więzów feudalnych, korporacyjnych, poddańskich, zdaje się wszystkim, że już zdołano w tej mierze przyjść do najdoskonalszego stopnia, podnosi się tu i ówdzie krzyk na własność i na ustawy nią rządzące. Powstają, mianowicie we Fran-

---

[1] De différentes manières dont on acquiert la propriété.

[2] La propriété est le droit de jouir et de disposer des choses de la manière la plus absolue, pourvu qu'on n'en fasse usage prohibé par les lois et les règlements.

cji, szkoły filozoficzne, które chciałyby albo znieść własność aż z samą jej zasadą, albo tak ją urządzić, że dotychczasowe prawodawstwo zostałoby przewrócone zupełnie.

Nie trzeba mniemać, że wszystkie te pomysły, pochodzą jedynie z gniewu klas ubogich, wyrobniczych, przeciwko klasie posiadaczy, właścicieli, z nędzy poglądającej zazdrośnie na bogactwo, lub, że są pokrywą namiętności politycznych, które ułudnemi teorjami chcą zasłonić swoje widoki: źródło złego leży daleko głębiej. W Ameryce, gdzie ziemia sama przyzywa do siebie przemysł, gdzie człowiek może wszędy osiadać, nieograniczone lasy i pola przywłaszczać sobie w tych obszarach nie należących jeszcze do nikogo, ten sam głos daje się już słyszeć. Filozof amerykański, oglądający się na potrzeby moralne człowieka, radzi współziomkom zrzec się własności. Co tu jest najważniejsza, to znaleźć sankcją tych wołań w tradycji żywej. Tradycja ta przechowała się jeszcze u jednego ludu na świecie, u ludu dawnego, który przez wiele set lat, opierając się racjonalnemu kierunkowi Europy, przetrwał wierny swoim podaniom odwiecznym, — mówimy o Słowianach.

Nadmieniliśmy już pierwej, że jak mnóstwo zwyczajów, mnóstwo obrządków rzymskich daje się wyłożyć zapomocą tradycji słowiańskiej, tak nawzajem w dziejach pierwotnych Rzymu można napotkać niejedno objaśnienie ciemnych miejsc historji słowiańskiej.

Nie będziemy tutaj roztrząsali pojęć ludów wschodnich we względzie własności. Sławny prawnik niemiecki Gans, autor dzieła *O spadkobierstwie*, uznanego za klasyczne, opiera się na tem naczelnem twierdzeniu, że wszystkie prawodawstwa przedrzymskie, miały tę powszechną cechę, iż człowiek w nich jest ogarnięty przyrodzeniem i bóstwem, nie okazuje się jeszcze jako udzielny i swobodny, a dopiero Rzym, mianowicie żywioł plebejuszowski Rzymu, nadał człowiekowi osobistość. Gans poczytuje wszystkie prawodawstwa, nawet późniejsze, jak naprzykład Mahometańskie, za mniej doskonałe od Justynjańskiego. W teorji jego to jest prawdą, że u ludów wschodnich, i w ogólności u ludów starożytnych, między religją a prawodawstwem ścisły zachodził związek.

Oto jak u Greków pojmowano własność. Naprzód każdy kraj był uważany za dziedzictwo któregokolwiek z bogów. Dowody

i przykłady tego znajdujemy w Homerze, w Pindarze, we wszystkich poetach starożytnych, i w Kalimachu poecie aleksandryjskim, człowieku uczonym, ale wiernym tradycji dawnej i naśladującym starożytnych. Powiada on wyraźnie, że ojciec wszystkich bogów i ludzi, przy urodzinach każdego boga i każdej bogini, przeznaczał im na posiadłość lub na posag jakie miasto, albo jaką ziemię. Tak Ateny należały do Minerwy, inne miasta do bóstw innych. Ludzie osiedli na ziemi będącej własnością którego bóstwa, uprawiali ją w tym celu, żeby to bóstwo miało stąd pomieszkanie i pokarm, to jest świątynię i ofiary, sami uważali się tylko za spożywaczy resztek.

Mniemanie, że Bóg potrzebował posiłku, ofiar, było w starożytności powszechne. Pierwotni nauczyciele tajemnic i mędrcy mieli zapewne daleko wyższe pojęcie bóstwa, ale tak tylko tłumaczyli rzecz ludowi. Nawet w Biblji znajdujemy wyrażenia: „I zawoniał Pan wonności wdzięcznej... i zachwyciły nozdrze Pańskie dym ofiar tłustych.“ Wlać tym sposobem w lud przekonanie, że był nic więcej jak użytkującym z owoców roli, jak robotnikiem na gruncie bożym, było to już oderwać go od ziemi.

Grecy w szybkiem rozwijaniu się swojej cywilizacji rozumniczej prędko pozbyli się tych wyobrażeń. Widzimy jednak, że za Hezjoda jeszcze, rząd, czy kto reprezentował kraj, w pewnych dniach roku, i to dosyć częstych, dawał publiczne uczty dla całego ludu. Hezjod radzi swemu bratu, żeby tych uczt nie pomijał, bo znajdować się na nich jest dobrym uczynkiem, a przytem dodaje z dziecinną swoją prostotą: to nic nie kosztuje. Rząd tedy sprawiał ludowi uczty, karmił go w imieniu Boga. Ale Grecy, chwyciwszy się racjonalizmu, który rychło zgłuszył ich tradycją, przywłaszczyli ziemię naprzód na korzyść rzeczypospolitej, później na prywatną. Już za czasów Peryklesa lud uważał się być najwyższym panem wszystkich gruntów i nie był związanym przez żadną tradycją, ani przez żadne prawo Boże. Wkrótce Grecja upadła.

Toż samo pojęcie o własności było wspólne wszystkim ludom włoskim. Przed założeniem Rzymu znajdujemy ślady, że w razach wielkich niebezpieczeństw całe nawet żniwa zboża, całe zbiory z winnic oddawano bogom. Nikt tego tknąć się nie mógł. Co większa, już w czasach rzeczypospolitej rzymskiej, pokarm i napój, do

czego człowiek zdaje się mieć przyrodzone prawo, nie uważały się za rzeczy należne jemu.

Jak uczty publiczne były ucztami bożemi, i jak bożek zjadał niekiedy całą winnicę, całe żniwo, nie zostawując nic posiadaczowi, tak też każde jedzenie było ofiarowaniem. Człowiek, nakarmiwszy bogi swoje, spożywał resztki. Pamiątka tego pozostała w libacjach czynionych u wszystkich ludów starożytnych. Nikt nie zabierał się jeść dlatego tylko, aby nasycić swoje ciało, nigdy nie zgromadzano się na biesiadę dla uciechy: zasiadano do stołu w celu spełnienia aktu religijnego. Jak kraj był własnością boga opiekuńczego całego narodu, tak każda prywatna posiadłość, dom i co do niego należało, była własnością bogów familijnych, to jest duchów przodków.

Pojęcia te zacierały się u ludów greckich i włoskich, ale Rzym wszystkie je zachował. Rzym był jakby jakąś Judeą wśród tych narodów. Mając dane sobie objawienie polityczne i ustawodawcze, jak Żydzi mieli objawione prawo przez Mojżesza, ani jednej litery w niem nie odmienił. Rozciągnął się później na Włochy, Grecją i świat cały, a jednak nigdy nie opuścił ze swego prawodawstwa pierwiastku, który Gans nazywa boskim. Od czasu dwunastu tablic do Justynjana i nawet do ostatnich cesarzów na Wschodzie, całe prawodawstwo rzymskie jest tylko rozwinięciem jednej tej samej myśli, jest udoskonaleniem ustaw zawartych w dwunastu tablicach. Osobliwsze to zjawisko w dziejach świata! Prócz religijnych praw Mojżesza, niemasz drugiego przykładu takiej trwałości.

Podług wyobrażenia Rzymian, Rzym był bogiem czy boginią, bo tego nie wiemy z pewnością, jak nawet nie znamy prawdziwego nazwiska tego bóstwa, z przyczyny, którą objaśnimy później. Cokolwiek bądź, to bóstwo Rzym było właścicielem wszystkiej ziemi rzymskiej, samo jedno tylko miało dziedzictwo, *dominium*. Ziemia ta była w ręku stowarzyszenia służących temu bóstwu, którzy posiadali tajemnicę jak wyprosić i otrzymać od niego opiekę, jak poznawać i spełniać jego wolę. Mieszkańcy ci nazywali się *patres* albo *patricii*, patrycjusze, i każdy z nich miał równą, niewielką własność gruntową. Ludzie, którzy przybywali do nich na osadników, dostawali podobnież wydział niezajętej przez nikogo ziemi, ale bez żadnych obowiązków względem bóstwa.

Cała tedy ziemia jakiego kraju lub miasta, bo wszędy urządzenia według wyobrażeń greckich, włoskich i rzymskich były jednakie, uważała się naprzód za własność boga czy bogini, dzieliła się potem na własności trojakiego rodzaju. Jedna część zachowana szczególnie na użytek bóstwa nie należała do nikogo z pojedyńczych mieszkańców, dwie drugie składały posiadłości prywatne patrycjuszów i plebejuszów. Grunta poświęcone wyłącznie bóstwu zostawały pod zawiadowaniem wspólnem całego patrycjatu, stanowiły własność komunalną. Niekoniecznie sami patrycjusze zajmowali się ich uprawą, mogli je puszczać w dzierżawę plebejuszom, ale dochody z nich szły w ręce patrycjatu, który był obowiązany utrzymywać z tego bóstwo i dawać ludowi uczty publiczne. Co zaś do własności prywatnej, tak patrycjusze jak plebejusze posiadali wydziały gruntu zupełnie równe. Uderzającym tego dowodem są gruzy Pompei, gdzie zdaje się, że nie było ubogich, tak wszystkie domy są jednostajne. Znajdują się między niemi mniejsze, i większe, ale zawsze w stałym stosunku o dwa, trzy, cztery razy. Mieszkania szczuplejsze służyły dla niewolników, zresztą zaś wszystkie, czy bogatych czy ubogich miały jeden rozmiar, którego poczęto już nie zachowywać pod Tytusem, ale pilnowano się jeszcze za Scypiona. Można tu przypomnieć sobie ten wiersz Horacjusza, gdzie powiada on, że u starożytnych Rzymian własność prywatna była mała, wspólna wielka: privatus census illis erat parvus, commune magnum.

Patrycjusze, zawiadując tą ziemią wspólną, wzbogacili się z czasem, bo wydatki na rzecz bóstwa były zawsze takie same, opisane ustawami, a za udoskonaleniem się rolnictwa dochody rosły. Ziemia ta przeto była dla nich źródłem zysków, a dla plebejuszów przedmiotem zazdrości, i stąd to wyniknęły owe dopominania się o prawo gruntowe, lex agraria. Nie chodziło tam bynajmniej o nowy podział własności prywatnych, gdyż te powszechnie były równe, i częstokroć bogaty patrycjusz nie więcej posiadał gruntu jak każdy plebejusz, ale chciano podziału ziemi komunalnej, chciano, żeby plebejusze mogli osiadać na niej i korzystać z gruntów będących w ręku patrycjatu. Prawo władania jaką cząstką ziemi komunalnej nazywało się *jus quiritium*, czyli prawo zdobyczy. Dawał je rząd, i nie można było pozbyć się go inaczej jak

za zezwoleniem rządu albo pretora, to jest przed pretorem. Pretor nie odbywał w tem funkcji notarjusza, świadka; dawał on sankcją. Tu mamy prawdziwe oznaczenie wyrażeń *res mancipi* i *res nec mancipi*. Res mancipi, była to rzecz nabyta od rzeczypospolitej i nie mogąca się zbyć bez dopełnienia formy prawem przepisanej; res nec mancipi, stanowiła wszelka inna własność, wszelka majętność ruchoma i nieruchoma, którą każdy mógł sprzedać, nie będąc obowiązanym do żadnych obrządków religijnych.

W zdobywczych swoich wojnach Rzymianie postępowali trybem bardzo logicznym. Ilekroć zamierzali opanować jaki kraj (mówimy tutaj mając tylko na myśli przedmiot własności), starali się naprzód dostać w swoje ręce bóstwo tego kraju. Nazywało się to zwyciężyć genjusza obcego ludu. Wierzono, że patrycjusze jedni posiadali tajemnicę jak tego dokazać, mieli formuły zaklęcia, wywołania bożka: to było przyczyną, że lud zawsze musiał być im posłusznym, i to sprawiło, że nigdy nie wydali prawdziwego imienia bóstwa Rzymu, aby ani nikt obcy, ani sam lud rzymski nie mógł go wywołać, zniewolić ku sobie. Jeżeli, zdaniem patrycjuszów, bóstwo cudzoziemskie zostało już pozyskane, rzucano się wtedy do broni, wypowiadano wojnę. W razach oporu ze strony bóstwa, po wzięciu szturmem miasta, najpierwej chwytano jego posąg i wieziono do Rzymu. Tym sposobem niemal wszystkie bogi zgromadziły się w Panteonie. Skoro tylko bóg jakiego kraju został umieszczony w Rzymie, zaraz jego własność, to jest ziemia z której był utrzymywany, szła pod zawiadowanie rzeczypospolitej rzymskiej.

Rzymianie nigdy nie wyzuwali swoich nieprzyjaciół z dóbr prywatnych, każdemu właścicielowi zostawiali grunta jego prywatne, ale grunta wspólne, komunalne, zabierali na rzecz boga Rzymu. Kapłani i patrycjusze ciągnęli z nich dochody dla rzeczypospolitej. To nam objaśnia te wyrażenia ciemne, nad któremi popisano tyle komentarzy nie zdających się być dostatecznemi. Gajus powiada, że poza Rzymem niemasz *dominium*, nikt nie jest panem swojej ziemi, są tylko dzierżawcy — bo istotnie sam jeden Rzym, bóg Rzymu był prawdziwym dziedzicem wszystkich gruntów; że poza Rzymem nie znajdują się *sacra*, to jest ziemie po-

święcone bogom; ale są *religiones*, to jest ziemie poświęcone duchom przodków.

Można wnosić, że w pierwszych wiekach rzeczypospolitej nie wolno było przedać i dziedzictwa rodzinnego. Jakże mógł je kto sprzedawać, kiedy powinien był utrzymać z niego duchy ojczyste, a senat tak surowie pilnował wiecznej trwałości ofiar, jak biskupi u nas pilnują aby się odprawiały msze funduszowe. Ponieważ rodzina nie mogła uwolnić się od tych ofiar, nie mogła więc i ziemi sprzedać. Ziemia ta przechodziła czasem koleją spadku na kogo innego, ale spadkobierca musiał razem wziąć i ciężary przywiązane do niej. Powinność utrzymywania duchów dobrych i złych (bo były jedne i drugie) ciężyła tak bardzo, że nieraz krewny wolał zrzec się swoich praw następstwa, niżeli ją przyjąć, i własność plebejska miała większą cenę. Utworzyło się nawet przysłowie u Rzymian. *szczęśliwa to puścizna, niemasz przy niej ofiar.*

Z tego cośmy powiedzieli wypada, że patrycjat rzymski dzierżył naprzód grunta wspólne na podejmowanie boga Rzymu, powtóre każdy patrycjusz miał szczupły grunt prywatny na służenie z niego duchom przodków. To czyniło stan patrycjusza bardzo przykrym, krępowało jego życie mnóstwem formalności, których pilnować się musiał. Plebejusze pod tym względem byli daleko swobodniejsi, pragnęli wszakże udziału w prawach patrycjatu.

Trzeba tu dodać tę ważną uwagę, że we wszystkich nabyciach, we wszystkich kupnach dbano o to najbardziej, żeby mieć pewność, że własność została dobrze nabyta i będzie się szczęściła. Na tem zasadza się prawodawstwo rzymskie, a i dziś jeszcze w narodach słowiańskich chłop nie kupi bydlęcia w dniu mianym za zły, i nie ukończy targu bez wyrzeczenia pewnych słów obrządkowych, bez świadków, bez przebicia ręki, jak się u nich mówi. Owóż Rzymianie wierzyli powszechnie, że sami tylko patrycjusze posiadali tajemnicę spełniania tych aktów. Plebejusz nie mógł nic kupić ani przedać bez nich; patrycjusze zaś nie chcieli nigdy odkryć źródła swojej umiejętności, pokazać na czem sekret zależał, nauczyć sposobu jakby robić to samo: użyczali tylko formuł, ale nie ich ducha. Podobni oni byli w tem do rabinów starego zakonu. Gdy tedy jedni zbywali wszystko powierzchownemi formami, a drudzy, nie chcąc poddać się trudnym prawidłom życia patrycjuszow-

skiego, domagali się niesłusznie wstępu do tajemnic, powstała stąd ta zawzięta walka, która musiała skończyć się wycięczeniem stron obu, niewolą ich wspólną, despotyzmem.

Na dowód tego cośmy powiedzieli można przytoczyć anekdotę, którą Festus opowiada. Dwie rodziny patrycjuszowskie, Potitiuszów i Pinariuszów, miały sekret błogosławienia bydła. Zewsząd zbiegano się do nich po to, i dawano im dziesięcinę. Kiedy Rzym ogarnął rozległe kraje, rodziny te, właścicielki dziesiątej części dobytku w całem państwie, poczęły być strasznemi bezpieczeństwu publicznemu; nikt jednak nie pomyślił wywłaszczyć ich, jak się to mówi teraz, dla dobra ogólnego. Dopiero Katon wszedł z niemi w układy w imieniu rzeczypospolitej i nabył tajemnicę za sumę ogromną, a skoro sposób został odkryty, nikt już nie udawał się do nich po błogosławieństwo, wszyscy z nich szydzili, i tak przez podstęp tylko rzeczpospolita stała się panią tej własności.

Własność tedy miała zasadę w obrządku religijnym, a obrządek, wedle definicji rzymskiej, nie był nic więcej jak zwyczaj znany ze swej skuteczności, wypróbowany wielokrotnie i stale pomocny tym, którzy się go pilnowali. Tyle mieliśmy do powiedzenia o własności u Rzymian; dodać chyba moglibyśmy, że nie znali oni tego nazwiska: własność.

U Gallów ziemia należała do klanów, nigdy do pojedyńczych osób. Ojciec, albo brat starszy, naczelnik i władca rodziny, trzymał w ręku tę własność i udzielał z niej dochodów krewnym wedle upodobania, ale nie było u nich jak u Rzymian ziemi komunalnej.

Co się tyczy urządzeń w tym względzie u Germanów, powiemy o tem później, mówiąc o własności szlacheckiej w Słowiańszczyźnie; teraz zastanowimy się tylko nad stanem rzeczy u ludów słowiańskich.

Wiemy już, że w całej historji Słowian niemasz żadnego śladu objawienia, żadnej wzmianki o bóstwie żywem, o jakimkolwiek organie bóstwa. Własność zatem nie mogła należeć do żadnego z bóstw znanych w mitologji słowiańskiej. Ziemia, grunt, podług wyobrażenia Słowian, były własnością tego roju ludzi, tej społeczności wielu rodzin, którą nazywamy gminą, albo gromadą. Gmina nowa nie może powstać inaczej jak za wolą Bożą. W zabytkach dawnych, w pieśniach ludu, i w szacownym słowniku Wuka

Stefanowicza jest wiele rozrzuconych szczegółów, z których można skleić całość tradycji słowiańskiej w tej mierze.

Jeżeli w której osadzie znajdzie się wiele rodzin, mających po więcej osób niż siedmioro *(siemia);* jeżeli zdarzy się urodzaj większy od zwyczajnego w dwójnasób czy w czwórnasób (bo tego nie można wiedzieć z pewnością, gdyż starcy nie wydają sekretu) wtedy rada starców uznaje, że trzeba założyć nową osadę. W której stronie, jak daleko i gdzie ma być ta osada, wszystko to oznacza się zapomocą obrządków do tego służących, nic nie zależy od dowolności ludzkiej.

Głównem pojęciem Słowian pod tym względem jest to, że nie wolno człowiekowi, grzech jest, mieć ziemię na własność. Z tego pojęcia wywija się całe ich prawodawstwo. Uprawianie gruntów uważają sobie za szczególną łaskę, ze szczególne i doczesne tylko pozwolenie. Dlatego też aby grzech ten nie ściągnął na nich kary, pierwej nim obejmą ziemię, badają czy się to zgadza z wolą Bożą, odprawują różne ceremonje, czynią ofiary. Każde osiedlenie się u nich poprzedza egzorcyzm.

Po założeniu osady, grunta jej rozdzielają się na dwoje: z jednych każdy gospodarz ma cząstkę, drugie należą do gminy. Grunta gospodarskie nie mogą być sprzedane ani zamienione, i zawsze mają pewną miarę stałą, mniejszą lub większą stosownie do obfitości ziemi uprawnej. W stronach południowych Polski chłop posiada dwa razy tyle ziemi co w stronach północnych i w Litwie, ale raz przyjęta proporcja nigdy się nie zmienia. Dodany kawałek przyniósłby już nieszczęście chłopowi. Owego bożka *Termes*, którego Rzymianie stawiali na granicach posiadłości, lud słowiański nosi w swoich piersiach. Grunta gospodarskie nie są pooddzielane ni płotami ni rowami, rozgranicza je tylko wąska miedza. Nie godzi się jej naruszyć; biada byłaby temu ktoby ją przeorał; wolno wszakże i nawet jest to dobry uczynek bydłem spasać na niej trawę. W takim stanie rzeczy, prawie nie słychać przykładu zatargów o granicę między włościanami.

Chaty ich wszystkie podobnież są stawione na jednaką miarę. Kiedy trzeba zbudować we wsi chatę, starzec, uważany jakby za kapłana, posiadający wszystkie tajemnice tradycyjne, wyznacza dzień i porę na zrąbanie drzewa w lesie. Drzewo powinno zawsze mieć tę

samą wysokość, i budynek tę samą wielkość. Można posiadać dwa budynki, ale nie można z jednym rozszerzyć się więcej. Szacowna to tradycja! kładzie ona tamę chciwości ludzkiej. Mieszkanie takie wystarcza dla rodziny złożonej z sześciu lub siedmiu osób; jest zaś lepiej albo gorzej zbudowane, stosownie do zamożności gospodarza i łatwości o materjał. Jeżeli się chata spali, już na tem miejscu nikt nie postawi drugiej. Grunta, należące do niej, weźmie ktokolwiek do uprawy, ale siedziba pozostanie *pustką*, i bywają takie pustki nie zamieszkałe od niepamiętnych czasów. Jeżeli włościanin uciskany przez pana uciecze z chaty, żaden z sąsiadów nie zechce objąć po nim gospodarstwa. Zwyczaj, pełen moralności, odrzucający wszelką myśl konfiskaty, i wzbraniający człowiekowi korzystać z biedy cudzej.

Grunta gminne, gromadzkie, uprawiają się wspólną pracą całej osady i na użytek jej ogólny. Powinności włościan w tym względzie, wedle pierwotnego urządzenia się siół słowiańskich, były wielorakie. Trzeba było odrabiać pewną liczbę dni w polu, trzeba było zwozić zbiory do stodoły, i jeszcze składać rozmaite daniny na utrzymanie straży bezpieczeństwa, to jest wojska ku obronie gminy. Ponoszono więc ciężary liczne i niemałe, ale korzystano z nich wspólnie. Podczas tworzenia się dopiero państw w Słowiańszczyźnie, za przyjściem Normandów na Ruś, a Czechów i Lechów do Czech i Polski, szlachta zajęła naprzód miejsce straży po gminach, a następnie weszła w używanie wszystkich praw służących gminom. Zrazu rolnicy słowiańscy dawali im wszystko z ochotą, gdyż obowiązki żołnierskie szlachty w owym czasie były bardzo ciężkie, i częstokroć chłop lub mieszczanin nie chciał przyjąć szlachectwa, żeby nie być obowiązanym wojować; bo widziano, że nikt ze stanu rycerskiego nie umierał na łóżku, a nie każdy życzył sobie takiego zaszczytu. Później, kiedy posiadacze gruntów gminnych, zrzuciwszy z siebie służbę wojenną, zatrzymali wszystkie prawa gmin, ujrzano w nich panów nieznośnych. Mylne to mniemanie, że dziedzice nałożyli na włościan pańszczyzny i podatki; ciężary te owszem zmniejszono wszędy, ale stały się one dolegliwszemi, bo zamiast przynosić korzyść ogólną gminom, wzbogacały tylko pana, który nie miał nic wspólnego z włościanami, owoc krwawej ich pracy trwonił na fraszki i zbytki.

Jest tedy teraz w Słowiańszczyźnie dwojaka własność gruntowa: włościańska, która co do swej natury nie zmieniła się w niczem, i pańska, o której będziemy mówili osobno, zastanawiając się nad prawem publicznem.

Niniejszą rzecz naszą zakończymy zwrotem uwagi na to, że dzisiaj kiedy wytacza się straszna kwestja o własność, jakie to szczęście dla Słowian mieć jej urządzenie tak proste i naturalne. Od Odry aż do granic Syberji, niezmierna ta przestrzeń ziemi nie przedstawia nic więcej, tylko szachownicę drobnych gmin, z własnością wszędy tej samej natury, z ludem wszędy mającym te same pojęcie o niej.

Na Zachodzie, gdzie własność tak ściśle jest związana z bytem człowieka, gdzie nieraz właściciel widzi ją zagrożoną, a nawet zniszczoną zupełnie przez wypadek zaszły na giełdzie kupieckiej w Filadelfji lub Waszyngtonie, rozwiązanie tej kwestji nastręcza trudności bez końca; w Słowiańszczyźnie niemasz nic podobnego.

Szkoły nowoczesne, które przedsiębrały zreformować własność, nie wpadły na żadną myśl dającą się zastosować, i wszędzie znajdują się w sporze z historją. Wszystkie one uznają człowieka za wszechwładnego pana własności. St. Simoniści chcieli, jak wiadomo, podzielić własność i każdemu dać cząstkę odpowiednią jego zdolnościom: byłoby to pogorszyć daleko bardziej dzisiejszy stan rzeczy, byłoby to wydać własność w ręce niewielkiej liczby spekulantów. Furieryści nie poczęli jeszcze dotąd realizować swoich pomysłów teoretycznych, i, zważając na warunki jakich do tej realizacji wymagają, można spodziewać się, że nigdy jej nie rozpoczną.

Wypadałoby naprzód zastanowić się nad tem, czy istotnie człowiek jest panem natury. St. Simoniści mieli niejakie przeczucie prawdy kiedy powiedzieli, że człowiek powinien wejść w przymierze z ziemią, nie zaś obracać ją tylko na swoją korzyść. Gdyby bowiem powyższą zasadę przyjąć ze wszystkiemi jej następstwami, jakżeby dały się usprawiedliwić niektóre określenia kodeksu francuskiego co do własności? Jakiem prawem naprzykład można byłoby zabronić komu zmarnować majątek na dziwactwa, albo spalić swój dom, zniszczyć całe zboże na swojem polu; jeśliby mu się tak podobało? Bezwątpienia, prawnie byłby mocen to

uczynić, ale czyliż sumienie nie miałoby nic powiedzieć przeciw temu?

Pojęcia ludów starożytnych w tej mierze były nierównie moralniejsze: ich ustawy religijne rozciągały opiekę nietylko nad niewolnikiem, ale nad zwierzęciem, i nad drzewem. Prawo Mojżeszowe, najbardziej ludzkie ze wszystkich praw, któremi rządzono się w starożytności, nakazuje mieć staranie o bydlętach, o roślinach, i dla ziemi nawet naznacza czasy wypoczynku. W tym przepisie Mojżeszowym jest daleko głębsza filozoficzność, niż we wszystkich formułach filozofji niemieckiej.

Powszechnie dzisiaj ludzie poczynają czuć, że między człowiekiem a tak zwaną naturą zachodzi związek ściślejszy, niżeli sądzono dotąd. Często wspominany przez nas filozof amerykański Emerson zadaje sobie także te pytania: co to jest zwierzę? co to jest drzewo?

U Greków było dobrym uczynkiem leczyć drzewo chore, było występkiem skalać źródło. Znajomy jest ten epigramat antologji greckiej, co powiada, że źródło wyschło, skoro zbójca umył w niem ręce.

U Słowian, chociaż wielką część ich ceremonij okrywa tajemnica, widać mniemania podobneż. Chłop słowiański uważa drzewo za jestestwo żyjące, i ma swoje pewne prawidła jak się z niem obchodzić. W okolicach leśnych nigdy nie zetnie drzewa nadpoczętego, ani weźmie na opał powału, co w oczach spekulantów nowoczesnych zdaje się być dziwnem i zakorzenionem w ludzie niedbalstwem. Ale przypomnijmy sobie ten powszechny w starożytności zwyczaj, który nie pozwalał brać do ofiarowania bogom bydlęcia chorego, wymagał żeby było zdrowe i całe; ognisko zaś jest to także pewne miejsce ofiary. Rzymianie, walcząc z nieprzyjacielem, nie mówili, że się bili za własność, ale *pro aris et focis*, za ołtarze i za ogniska swoje.

Wiemy z tradycji poetyckiej o bycie duchów z bytem drzew połączonych, co nam przywodzi na pamięć Dryady, Hamadryady greckie. Bydlę jest także stowarzyszone z chłopem słowiańskim, jest jego pomocnikiem, przyjacielem. Sceny podobne, jak płacz wieśniaków nad zdechłym wołem opisany przez Wirgiljusza, u nas powtarzają się niemal codzień. To przywiązanie do bydląt znikło

już wszędzie u ludów cywilizowanych; w Anglji daremnie starają się je odżywić, i ustawami rządowemi zasłonić zwierzęta od nadużyć.

Despotyzm człowieka poczyna zwykle wywierać się na bliźniego, bo w codziennych stosunkach z bliźnim, to żądza, to pycha ciągle go podżega do brania góry nad nim. Niewola bardzo już od dawna trwa na świecie; ale przyznanie sobie władzy samowolnej nad zwierzęciem, nad drzewem, nad ziemią, nad naturą całą, wyobrażenie, że człowiek jest tego wszystkiego środkiem, bogiem, panem wszechwładnym, to myśl dopiero czasów nowożytnych. W niej wydała się do ostatka pycha filozofska, i ona, jakeśmy powiedzieli, przywiodła własność na niebezpieczeństwo: taki despotyzm musi koniecznie wywołać przeciw sobie działanie odporne.

LEKCJA XX

Wtorek, 23 maja 1843

BADANIA STAROŻYTNOŚCI SŁOWIAŃSKICH, VIII.

Własność podług kodeksu. — Własność podług zwyczaju słowiańskiego. — Nie było dziedzictwa ziemi u Słowian. — Najmłodszym dawano pierwszeństwo. — Własność szlachecka u Germanów, u Gallów, u Słowian. — Starostwa w Polsce. — Skutki zmian zaprowadzonych w różnych częściach Polski przez kodeks francuski, rząd pruski i rząd austrjacki. — Wyobrażenia tradycyjne szlachty polskiej co do własności i pieniędzy. — Radziwiłł i jego dukat. — Żydzi. Cyganie. Ekonomiści.

Otrzymaliśmy list bezimienny z wyrzutami, jakobyśmy mieli w lekcji przeszłej pokrzywdzić prawodawstwo francuskie tyczące się własności. Autor listu kładzie nam przed oczy rozmaite ustawy nie dozwalające w pewnych razach właścicielowi nadużywać swojej własności, wskazuje między innemi królewskie postanowienie (ordonnance), które wyraźnie wzbrania niszczyć zboża na polu, przytacza później wiele innych artykułów i przepisów. Odpowiemy na to naprzód, że wszystkie te postanowienia, artykuły

i przepisy są szczątkami praw dawniejszych; powtóre, że nie idzie tu o ustawy szczegółowe, ale o duch całego prawodawstwa, mówiliśmy bowiem o dążności powszechnej prawodawstw europejskich do samowładztwa, które kodeks francuski wydał w słowach: „własność jest to prawo rządzenia rzeczą, jak się podoba". — Przeciw, tej to definicji powstaliśmy, przywodząc fakta historyczne i zwyczaje tradycyjne do dziś dnia trwające u ludów słowiańskich.

Wróćmy do szczegółowych urządzeń względem własności włościańskiej i szlacheckiej w Słowiańszczyźnie.

Z tego cośmy wyjaśnili łatwo wnieść, że u Słowian nie znano dziedzictwa i spadkobierstwa. Kmieć odziedziczał tylko dobytek i sprzęt gospodarski. Tak było przez wiele wieków, i co do istoty rzeczy tak jest dotąd pomiędzy włościanami. W tej ustawie bardzo prostej znajduje się jednak punkt trudny do wytłumaczenia: oto po śmierci ojca, nie najstarszy, ale najmłodszy z synów uważa się za gospodarza chaty. Bracia starsi wynoszą się z niej i osiadają na gruntach gminy, najmlodszy obejmuje siedzibę z ziemią do niej należącą.

Żeby dojść skąd wynika to szczególniejsze ustanowienie, trzeba znać tradycją ludu słowiańskiego. Jak wedle tych mniemań odwiecznych nie godzi się posiadać, przywłaszczać sobie ziemi, tak podobnież małżeństwo jest grzechem, jest aktem dozwolonym tylko pod pewnemi warunkami, wymagającemi pierwej egzorcyzmu. Pierwszy tedy owoc związku małżeńskiego uważany był za obciążony niejako przekleństwem. i prawodawstwo słowiańskie zamiast dawać wyższość, odtrącało owszem synów najstarszych, a brało w opiekę najmłodszych.

Zwyczaj ten zdaje się być w styczności z najdawniejszemi podaniami Wschodu. Wiadomo, że podług nich pierwsza para ludzi i pierworodny tej pary byli pierwszymi winowajcami. Śladów takiej tradycji nie postrzegamy nigdzie u ludów zachodnich; chociaż wszakże niektóre klany gallickie, mianowicie pokolenie Rohanów, trzymały się podobnegoż porządku w dziedzictwie. Dodamy tutaj, że u Słowian pierwszy płód wielu rodzajów zwierząt zwykle bywa tracony. Nie wiemy czy to zachowuje się w innych krajach. Co do gallickiego porządku dziedziczenia, Monteskiusz chce widzieć jego przyczynę w tem, że gdy dorosła młodzież każdego klanu powinna

była zawsze stawać obok swoich naczelników na wojnę, wypadało więc naturalnie zostawiać najmłodszego w domu, żeby pilnował gospodarstwa. Niezawodnie Monteskiuszowi należy się ta chwała, że wydarł naukę prawodawstwa z rąk rutynistów, że usiłował wyłuszczać ustawy, odnosząc je do dziejów i obyczajów każdego ludu; ale nie sięga on wyżej ponad względy powszednie, szuka przyczyn tylko w potrzebach fizycznych, w okolicznościach miejscowych, w sposobie życia, rzadko zaś kiedy daje baczność na powody religijne. Tymczasem to pewna, że najtrudniejsze do wykrycia zagadnienia ludów, które zdają się należeć do ich ziemi, wynikają z wielkich zagadnień religijnych.

Tradycja ta nieprzyjazna pierworodztwu, zacierająca się już w reszcie Słowiańszczyzny, zachowuje się jeszcze u Serbów, u Słowian naddunajskich. W mowie ich nawet, jak świadczy Wuk Stefanowicz Karadzicz, pierworodny nazywa się pierwszym synem grzechu: *pierwy po grechu.*

Przejdźmy do własności szlacheckiej. Kasta szlachty, która panowała ludom germańskim i skandynawskim, podobnie jak kasta władająca w wielu okolicach na Wschodzie i znana pod nazwiskiem Azów, wyprowadzała ród swój wprost od bogów. Półbogowie ci uważali się za przeznaczonych do rządzenia ludźmi niższego rodu, nie zaś do uprawy ziemi: nigdy oni nie myślili o własności gruntowej. Roztasowawszy się na zwaliskach państwa rzymskiego, zostawili własność ziemi ludom podbitym, wybierali tylko od nich dań na swoje utrzymanie się i opędzenie potrzeb wojennych. Zachowali sobie także prawo polowania. W ogólności byli to panowie daleko łagodniejsi i bardziej ludzcy niżeli *prefecti* i *presides* rzymscy, których łupiestwo poszło w przysłowie przy schyłku cesarstwa. Wydziały dzierżane przez szlachtę stanowiły feuda. Naczelnicy feudalni nie byli dziedzicami swoich ziem, nie mogli ich ani sprzedawać, ani puszczać w inne ręce bez pozwolenia najwyższego zwierzchnika, który reprezentował państwo. Po wygaśnięciu jednej rodziny, ziemie jej oddawano drugiej z temiż samemi obowiązkami służby krajowej. Z czasem jednak natura posiadłości feudalnych zmieniła się znacznie, już to przez wpływ prawodawstwa rzymskiego, już z powodu, że królowie mieli interes znosić feudalność.

We Francji przed rewolucją było jeszcze wiele dóbr i przywilejów feudalnych; ale mieszczanin i rolnik oddawna pociągnięty do wojska, do obrony kraju, zapytywał, szemrząc, jakiem prawem naczelnicy rycerstwa dzierżyli jeszcze ogromne ziemie wolne nawet od podatków, kiedy lud obowiązany także wojować, sam jeden był uważany za uległy pańszczyznom i poborom. Taki stan rzeczy musiał tedy zmienić się koniecznie: własność, przeinaczona wbrew swej naturze, gotowała sama zgubę właścicielom. Po rewolucji i ogłoszeniu kodeksu feudalni posiadacze ziemi, zamiast spodziewanej straty, bardzo owszem zyskali na zmianie. Z warunkowych dzierżycieli powychodzili na samodzielnych dziedziców, ujrzeli się wolnymi od obowiązków służby wojskowej, przywiązanych dawniej do prawa ich posiadłości.

W Słowiańszczyźnie wcale inaczej szły rzeczy. Wszystkie grunta gminne czyli gromadzkie były, jakeśmy widzieli, własnością ogólną, stały się później własnością państwa. Podczas tworzenia się Polski ziemie te objęła szlachta, *milites*, ludzie stanu rycerskiego, obowiązani do obrony nie pojedynczych osad, nie gmin, ale całego kraju. Był to wielki krok postępu: odrazu stanęła siła zbrojna zdolna ochraniać cały ogrom własności szczegółowych.

Do końca wieku X. i może nieco dalej wszystkie ziemie gminne były puszczane rycerstwu, szlachcie, tylko w dzierżawę. Posiadacz nie mógł ich ni przedać, ni darować, ni rozdzielić. Królowie jednak nadawali niekiedy wyjątkowe przywileja, i tym sposobem coraz więcej dóbr narodowych wychodziło z pod powszechnego prawa, a stawało się własnością prywatną. Pierwszy przykład, jaki mamy podziału takiej ziemi, znajduje się w dyplomacie z wieku XI. Dziedzic nie mógł czynić podziału bez rady familijnej, a zwyczaj zasięgania rady agnatów utrzymywał się w Polsce i Litwie aż do XVIII. wieku.

Jedyną cząstką ziem gminnych, pozostałą w swojej naturze, są dobra zwane starostwami. Ten rodzaj dóbr odróżnia kraj polski od reszty krajów słowiańskich. Starostwa są to wielkie posiadłości dożywotnie. Rzeczpospolita dawała je zwykle w zarząd i na użytek ludziom znakomitym, jako wynagrodzenie kosztów poniesionych w usłudze kraju i jako środek służenia mu dalej. Dobra

te nie mogły być dzielone ani przechodzić na potomków spadkiem dziedzictwa, wyjąwszy rzadkie zdarzenia.

Starostwa zajmowały prawie czwartą część ziemi dawnej Polski; później skrzywiono naturę i tej własności. W wieku XVI. nazwano je chlebem dobrze zasłużonych ojczyźnie, *panis bene merentium*, to jest zrobiono już z nich nagrodę, kiedy pierwej były tylko wynagrodzeniem i zapomogą.

W starostwach możemy jeszcze widzieć dawną naturę wszystkich ziem gminnych czyli tak zwanych teraz szlacheckich. Były one zawsze własnością rzeczypospolitej, narodu; rząd dawał je tylko jako środek służenia krajowi. Poprzemy to jeszcze nowemi dowodami, mówiąc o prawie publicznem polskiem.

Łatwo dopiero widzieć, jak wszelkie próby urządzenia własności podług ustaw cudzoziemskich musiały być ze szkodą ludu słowiańskiego. Znajoma jest historja tych doświadczeń. Kodeks francuski, wprowadzony do Księstwa Warszawskiego, ogłosił włościan za wolnych, to jest dał im wolność przenosić się z pod jednego pana pod drugiego, jeśli jeden był srogi lub uciążliwy — szukać sobie łaskawszego; ale ten pan, ten szlachcic został uznany dziedzicem, nietylko owej ziemi gminnej, która wedle istoty praw polskich nie była jego wieczystą własnością, lecz nadto dziedzicem gruntów włościańskich, które do niego zgoła nie należały. To prawodawstwo jednak obwołano za wielki postęp. Niewątpliwie, kodeks francuski przyniósł znaczną korzyść dla Polski, stawiąc jaśniej i prościej stosunki prawne; wprowadzenie jego zresztą ma łączność z wpływem nowego żywiołu, który obudził i rozwinął siły narodowe; ale pod względem własności kodeks ten narobił wiele złego i złe to może jeszcze wyjść na gorsze. Znaleźli się pomiędzy właścicielami tacy, co już teraz ze spokojnem sumieniem mniemają się być wolnymi od czuwania nad fizycznym i moralnym stanem włościan. Są niektórzy, co idąc za rachubą zysku, sprowadzają osadników obcych, pospolicie gospodarniejszych i pracowitszych od polskiego kmiotka, i ani myślą o tem, że tym sposobem wypleniają ród słowiański, że osadnik cudzoziemiec nie będzie nigdy miał przywiązania do sprawy narodowej, nie pójdzie za swoim panem poświęcić jej życie.

Napomknęliśmy niegdyś, mówiąc o gminach słowiańskich, ja-

ką naukę w tej mierze podaje nam przykład klanów angielskich i szkockich. Naczelnicy tych klanów, starsi bracia swoich rodaków, podług prawa gallickiego władcy ich osób i majętności, za wprowadzeniem prawodawstwa angielskiego powychodzili naprzód na panów feudalnych, później na właścicieli dziedzicznych, i miano to za postęp, za kroki prowadzące do wolności, ponieważ ubogi członek klanu pozyskiwał tym sposobem niepodległość osobistą. Ale cóż stąd wynikło? Oto ci starsi bracia, zostawszy książętami, członkami parlamentu, zapomnieli wkrótce o związku moralnym, który ich łączył z ludnością współplemienną; uważali ją tylko za masę swoich czynszowników, a następnie, gdy ród gallicki niedość oszczędny i pracowity mniej im przynosił korzyści, poczęli sprowadzać cudzoziemców, przedawać ziemię obcym, albo obracać ją na pastwiska owiec, woląc, żeby żywiła cienko-wełniste barany niżeli lud bratni. To zadało ostatni cios plemieniowi gallickiemu. Podobnie byłoby i w Polsce, gdyby właściciele przyjęli całkiem wyobrażenia zaprowadzone przez kodeks francuski.

W Księstwie Poznańskiem znowu zaszło co innego. Rząd pruski, zostawiwszy szlachcie dziedzictwo ziem gminnych, podzielił grunta włościańskie, i każdemu z włościan dał cząstkę na wieczność. Ale włościanin w urządzeniu przeciwnem jego naturze, oddzielony od gminy, nie może zadość uczynić wymaganiom rządu. Niezdolny do zbierania grosza, byle okoliczność rad pohulać, nie ma czem zapłacić podatku w terminie, a brak mu już opiekuna, któryby go zastąpił lub ochronił. Zostaje tedy bez ratunku skoro nieubłagany urzędnik skarbu przybywa do niego, zabiera sprzęt, dom, ziemię i przedaje wszystko Niemcowi albo spekulacyjnemu Żydowi. Machiawelstwo rządu pruskiego wszelkiemi sposobami ułatwia takie kupna cudzoziemcom a utrudza krajowcom. Nadto, wyraźnie jest zabroniono chłopowi wywłaszczonemu wziąć posiadłość gruntową u szlachcica na wypłatę dniami robocizny; bo przewidywano, że sama natura rzeczy prędkoby znowu przywróciła porządek dawny. Z tego wyniknął taki skutek, że tworzy się teraz nieznana nigdy w Słowiańszczyźnie klasa wyrobnicza, klasa *proletarjuszów*. Panowie stawiają chatki dla tej wałęsającej się ludności, i osadzają w nich tak zwanych zagrodników, żyjących z codziennego zarobku. Są zapewne wyjątki, można tu i ówdzie znaleźć

włościanina, który stał się bogatszym i oświeceńszym, ale ślad gminy słowiańskiej znika coraz bardziej, a mnoży się *proletaryzm*.

Austrjacy w swoich prowincjach polskich zachowali gminy prawie w takim stanie w jakim znaleźli, tylko wstrzymali ich rozwijanie się, przydusili w nich wszelkie życie.

Ze wszystkich krain słowiańskich, będących pod obcem panowaniem, najlepiej wyszły te co dostały się Turkom. Pomiędzy wszystkimi najezdnikami Słowiańszczyzny Turcy okazali się najbardziej ludzkimi, i Słowianie winni im prawdziwą wdzięczność. W ich państwie do dziś dnia gminy są właścicielkami ziemi, wszystkie stosunki człowieka z gruntem zachowały swoją prostotę, swoją świętość, i można spodziewać się, że w ogólnej reorganizacji, do jakiej ród słowiański zmierza nieodzownie, ludy te ucierpią najmniej.

Głównem więc zadaniem pod względem własności dla rodu słowiańskiego jest: przywrócić gminy gdzie zaginęły, rozwijać dalej gdzie jeszcze trwają.

Pomimo wpływu doktryn i wyobrażeń obcych szlachta polska zachowała tradycją prawdziwego tytułu swoich posiadłości gruntowych; zawsze uważała je za własność ojczyzny. To tłumaczy nam tę dziwną łatwość, z jaką, od wieków do ostatnich czasów, najbogatsi panowie polscy porzucali swoje ziemie i pałace. Za króla Augusta Sasa, kiedy zawiązywano konfederację Tarnogrodzką przeciw niemu, wezwany został na jej marszałka jeden z wielkich panów. Był on już rozpisał testamentem swoje dobra i żył w zaciszu wioski, którą zostawił sobie. Cóż robi skoro go powołano do sprawy publicznej i bardzo śliskiej? Drze naprzód testament, bierze napowrót w rękę cały swój majątek, żeby go odważył na niebezpieczeństwo. Jest to fakt historyczny. Postępek ten wynikał z głębokiego czucia, że w chwili kiedy szło o przebudowanie rzeczypospolitej inaczej niż stała pierwej, nie godziło się obywatelowi rozrządzać swoją posiadłością, jak się mu podobało. Marszałek konfederacji Tarnogrodzkiej dowiódł tym czynem, jak znano powinność przystępować do wielkiej sprawy, poczynając od wielkiej ofiary. Moglibyśmy przytoczyć wiele innych przykładów podobnego poświęcenia się dla rzeczy publicznej.

Szlachta kaukaska, kniaziowie, książęta Kaukazjan mają też

same wyobrażenia co do własności. Bogacz, człowiek pieniężny jest u nich w pogardzie. Tak było i u Polaków; przykłady tego mieliśmy nawet na panujących. Wielki poeta Kochanowski wyrzucał panom zbytek zależący tylko na licznym orszaku służby, a wspominając te czasy, kiedy szlachcic nie powinien był mieć nic więcej, prócz zbroi i konia, kończył swój wiersz modlitwą:

.....Bogdajby zawsze tak uboga
Polska została, a pohańcom sroga.

Zwyczaj nakazuje szlachcicowi kaukaskiemu oddać wszystko, o co go kto poprosi. Kupiec i prosty człowiek nie jest obowiązany do tego, ale szlachcic nie może nic odmówić. Skutkiem tej powinności widywano książąt lesgińskich i czeczyńskich *(lechskich i czechskich)* ogołoconych przez cudzoziemców tak dalece, że musieli żyć o żebranym chlebie. Zabytek tego zwyczaju daje się jeszcze postrzegać i u Polaków. Jeżeli kto chwali bardzo konia, sprzęt lub jakąkolwiek rzecz, szlachcic, właściciel tej rzeczy, uważa sobie za obowiązek natychmiast posłać ją chwalącemu. Kiedy w innych krajach podobne pochwały należą do rzędu komplementów, w Polsce rodzice każą dzieciom wystrzegać się ich jak najmocniej, bo to uchodzi za pewien sposób przymawiania się do podarunku.

Pieniądz do tego stopnia był uważany za rzecz niegodną szlachcica, że nawet już pod koniec rzeczypospolitej polskiej, ostatni szlachcic starej daty, przesiękły wszystkiemi przesądami i posiadający jeszcze wszystkie przymioty dawnej szlachty, najbogatszy pan w chrześcijaństwie, sławny Radziwiłł *Panie Kochanku,* który chodził w wytartym kontuszu i zamieniał czapkę z pierwszym lepszym szlachcicem jakiego napotkał, nigdy nie nosił przy sobie więcej nad jednego dukata. Skoro go wydał, brał drugiego od swego podskarbiego, bo jak powiadał, byłoby to hańbą dla domu Radziwiłłów, gdyby miał kieszenie nasypane złotem. Zmuszony opuścić kraj i długo tułać się zagranicą, nie wziął z sobą także więcej jak jednego dukata; ale ten dukat umyślnie odlany, miał być, jak podanie mówi, wielkości karecianego koła. Złożywszy go w banku, wystawiał nań weksle do sumy odpowiedniej walorowi. Był i to sposób wyrażenia tradycyjnych pojęć szlacheckich o własności.

Szlachta polska wszakże podnosi się do tych uczuć tylko w rzadkich chwilach powszechnego zapału, kiedy jakie wielkie wstrząśnienie wojenne albo przedsięwzięcie patrjotyczne wyrwie ją z nawyknień powszedniego życia, z wyobrażeń i doktryn cudzoziemskich.

Przytoczyliśmy te szczegóły, bo dotyczą się zagadnień bardzo ważnych dla Słowian, a, jak mniemamy, powinnyby obchodzić i obcych. Na ziemi polskiej mieszka wiele rozmaitych plemion i ludów, którym trudno narzucić teraźniejsze pojęcie o własności.

Mówiliśmy już o Żydach. Żyd, oczekujący ciągle Messjasza, nie może rzeczywiście przywiązać się do ziemi, zostać posiadaczem gruntu, aż póki albo nie ujrzy spełnionej swojej nadziei, albo nie zrzecze się judaizmu. Wszystkie pomysły i teorje filozofów, chcących reformować Żydów, rozbijają się o tę myśl odwieczną.

Obok Izraela jest jeszcze drugi dziwniejszy lud, którego ni początku ni celu nikt nie wie, lud błąkający się licznie w południowych stronach Francji, w Hiszpanji i w Turcji, a w Polsce zwany Cyganami. Niemasz śladu kiedy on przybył do Słowiańszczyzny, Polskę jednak uważa jakby za swoją główną kwaterę, i, co rzadko komu wiadomo, miał nawet w niej swojego króla. Król ten cygański, którego berło skruszyło się razem z berłem Polski, rezydował w mieści Mirze i brał inwestyturę od książąt Radziwiłłów, dziedziców tego miasta. Władza jego prawna rozciągała się tylko nad Cyganami, przebywającemi w dobrach Radziwiłłowskich, ale był poważany i od innych. Żaden monarcha w swojem państwie nie miał uleglejszych poddanych, sądził ich i karał bez apelacji, a zewsząd znoszono mu daniny i podarunki.

Cyganie różnią się od wszystkich plemion znanych w Europie: znamieniem ich moralnem zdaje się być zupełny brak uczucia religijnego. Od tak dawna jak mieszkają między nami, widziano Cyganów bogatych, odważnych, walcznych, nikt jeszcze nie widział Cygana pobożnego. Nic ich nie kosztuje przyjąć religją miejscową, gdy przyjdą do jakiego kraju, i porzucić, skoro tylko postawią nogę za jego granicę. Używano już różnych sposobów na nich: próbowano wychowywać od dzieciństwa, oddawać do szkół; wszystko było daremne. Młody Cygańczuk, niekiedy celujący zdolnością pomiędzy współuczniami, zaledwo poczuł się na siłach, znikał

z pośród kolegów na kradzionym koniu. Piosnka cygańska mówi, że Cygan podobny do gęsi dzikiej, mieszka póty z gęśmi swojskiemi, póki nie przyjdzie pora odlotu. Piosnkę tę przytoczył i Walter Skott, co pokazuje, że Cyganie wszędzie ją śpiewają. Również trudno im wrazić wyobrażenie własności gruntowej. W wielu okolicach, dawano im zabudowanie, siedziby z rolą i zapomogą; nigdy nie mogli dosiedzieć na miejscu. Dach ma dla nich coś nieznośnego, wolą koczować pod gołem niebem, tułać się po pustyniach. Nieraz zdarza się widzieć całe ich gromady, obozujące w budach z chróstu, zaśnieżonych wyżej pokrycia, pod którem mężczyźni, kobiety i dzieci hurtem przewalają się w słomie, zawsze rzeźwi i weseli, bo to rzecz niesłychana, żeby Cygan był smutny. Smutek czasem przeleci mu przez głowę, ale nigdy się w niej nie zatrzyma. Rezygnacji nie zna on zgoła, i w tem zupełnie różni się od Słowianina; o życie dba mało: stąd też i przysłowie, że Cygan da się dla kompanji obwiesić. Niedawno jednego z tych biedaków wbito na pal w Węgrzech. Kiedy dręczył się w okropnych męczarniach, dwaj księża, katolicki i schyzmatycki, przyszli do niego, chcąc go pocieszyć i nawrócić. Odpowiedział im z największą szczerością, że gotów przyjąć wiarę tego, który da mu trochę tytuniu, żeby mógł skonać, paląc lulkę.

Lud ten jest zdolny do wszystkiego, ma odwagę, zręczność, bystrość rozumu, tego tylko nikt nie dokaże, żeby wierzył w Boga. Jakże tedy począć z nim, żeby go osiedlić na ziemi, i jak to powinnoby zawstydzać filozofów, że tu wszystkie ich formuły nie mogą dać rady. Jeżeli już instrukcja ma robić wszystko, i jeżeli w tej mierze, choć niesłusznie, chcianoby Polsce lub Rosji zarzucić niedbalstwo w oświeceniu Cyganów, toć przecięż widzimy ich we Francji otoczonych cywilizacją i oświatą, uznanych za równych wszystkim w obliczu prawa, a byłże z nich kiedy który wyborcą lub wybieralnym, obchodząż ich w czemkolwiek polityczne spory i zatargi kraju? Czytaliśmy niedawno w jednym z dzienników, że ma być wniesiony na izbę projekt szczególnej ustawy względem Cyganów. Sądzimy, że ta ustawa, równie jak wszystkie inne, na nic się nie przyda. Próżno cokolwiek z tym ludem czynić, kiedy nie wiadomo skąd on, gdzie, dokąd dąży, czego oczekuje, kiedy nie mamy odgadnienia jego zagadki religijnej.

W Moskwie była jedna Cyganka bogatą panią, żoną znakomitego i bardzo cywilizowanego człowieka. Pewnie nie zbywało jej na środkach nabycia oświaty i poloru. I cóż stąd? Mimo to wszystko, w przepysznych salonach, wśród najwyborniejszego towarzystwa stolicy, wyglądała ona zawsze obok Rosjanek, jak naprzykład tu w Ogrodzie Botanicznym wygląda gazela przy owcach: pozostała zawsze taką samą jaką wyszła z cygańskiego obozu.

Zakończymy powtarzając, że kwestja własności jest ściśle związana z kwestją religijną, i widocznie zbliża się epoka, w której własność musi być urządzona na nowo. Epoka ta schodzi się jak w czas z powszechnem oczekiwaniem ludów. Cały świat czuje potrzebę zlania się z góry nowego światła, światła któreby objaśniło nasze stosunki z Bogiem, i ze wszelkiem stworzeniem, któreby dało nam poznać prawdziwszą, głębszą spójnię, łączącą Boga z człowiekiem i naturą. Wtedy dopiero, kiedy to światło zabłyśnie, będzie można określić w sposób nowy i skuteczny stosunek człowieka z własnością. Ludy, które mniej pokręciły ten stosunek, mniej będą miały do cierpienia.

Prawodawstwa obce zadały klęskę ludom słowiańskim, ale, szczęściem dla nich, wyobrażenia ekonomistów nie wiele przyjęły się w ich krajach. Ogólna zasada ekonomji politycznej jest przeciwna Słowiańszczyźnie, bo wynika całkiem z materjalizmu. Byłoby to bardzo pięknie, gdyby ekonomiści wyłożyli jasno, zrozumiale dla najpospolitszego umysłu te wysokie prawdy, które lud zachowuje w swojem łonie, gdyby tym sposobem otworzyli rozumowi ludzkiemu oczy na wyroki Opatrzności; ale dotąd ani tknęli się oni tego. Przyszłoż im kiedy naprzykład do głowy zastanowić się nad tem, czemu to własność źle nabyta nie szczęści się nigdy właścicielowi? Jest to pewnik ekonomiczny przyjęty u wszystkich ludów, u Słowian zamieniony nawet w przysłowie, ale ekonomistom zgoła obcy. Dla Saya, Ricarda, Malthusa, każda własność jest jednaką. Z pomiędzy filozofów jeden tylko Franciszek Baader próbował stwierdzić tę wielką prawdę, wywodem logiki spekulacyjnej. Wykazuje on, że własność źle nabyta zostaje skazana na niepłodność, a zatem wszystkie jej owoce muszą obracać się w nieszczęście.

Nie możemy tu wchodzić w szczegółowy wykład tego zdania

Baadera, ale ekonomiści powinniby wziąć je na uwagę. Tylko tym trybem, jeżeli już koniecznie potrzeba mieć teorją ekonomji, możnaby z niej zrobić naukę pożyteczną; nauka ta bowiem zmusiłaby wtedy rutynistów, ludzi zajmujących się tym przedmiotem z profesji, uczonych zarozumiałych, poznać to przez umiejętność, co lud wie przez wiarę.

Niepospolity, chociaż mało znany ekonomista niemiecki, Adam Müller, wpadł już na podobną drogę. Mówiąc w ogólności o kapitale, utrzymuje on, że pieniądze nie są bogactwem, nie są nawet znakiem bogactwa, i jak system nerwowy nie jest ani duszą ani nawet znakiem duszy, tylko jej narzędziem, tak wszelki kapitał służy tylko za narzędzie jakiejkolwiek sile działającej. Pojęcie to, będące skutkiem długiego pobytu Müllera w Polsce, przeciwi się zupełnie pojęciom w tej mierze powszechnie przyjętym; a wszakże tylko taki sposób pojmowania rzeczy mógłby rzucić światło na historją ludów słowiańskich, i oświecić rządy względem przyszłości tych ludów. Jak oskarżać niektóre z rządów europejskich, że nie poznały swego obowiązku wdania się w sprawy Słowiańszczyzny, kiedy podług tego co im historycy, ekonomiści i prawoznawcy o tych krajach mówią, muszą koniecznie wyobrażać sobie stan ich zupełnie nie tak jak jest w istocie. Idąc za wyobrażeniami upowszechnionemi w Europie, zdaje się, że ludy słowiańskie nie mają swojego gospodarstwa, swojej historji administracyjnej, a nadewszystko zgoła niczego takiego, co teraźniejsza ekonomja polityczna uznaje za bogactwo.

LEKCJA XXI

Piątek, 2 czerwca 1843

Trentowski i jego system. — Nicość tego systemu i szalbierskie podawanie go za chrześcijański. — Filozofja niemiecka stara się tylko wytłumaczyć i usprawiedliwić co jest. — Nie wpłynęła ona na żadną zmianę politycznego i cywilnego stanu Niemiec. — Ulepszenia w tej mierze Niemcy są winne Francji i poczęści Polsce. — Moc do spojenia ludzi nie leży

w systemach filozoficznych. — *Deus ex machina:* słowo Napoleona gaszące wojnę domową Szwajcarów.

Lekcje nasze o filozofji niemieckiej trzeba uważać za wstęp, mający na celu ułatwić zrozumienie filozoficzności, jaka wydaje się w życiu narodów słowiańskich. Kiedy przyjdziemy do zastanowienia się nad ideą społeczeńską i polityczną tych narodów, okaże się wtedy, dlaczego naznaczymy im tak wysokie miejsce w dziedzinie filozoficznej; ta zaś idea jest kluczem sklepienia w naszym systemie. Wyrazu tego *system* używamy tylko z biedy, bo istotnie nie mamy żadnego systemu. Nie mówimy tutaj sami od siebie, ale dzieje i narodowości słowiańskie mówią przez nas. Taki to system polityczny i religijny, z ducha słowiańskiego objawiający się, będzie środkiem, w którym zbiegą się wszystkie wypadki naszego wykładu.

Weźmiemy jeszcze na uwagę dwóch filozofów, Polaków, piszących dla Niemców, którzy stanowią tym sposobem przejście ze Słowiańszczyzny na Zachód, i zbliżają ku sobie dwie myśli nieprzyjazne, niemiecką i słowiańską.

W przerwie między śmiercią Hegla a świeżem ukazaniem się Schellinga wielu filozofów kusiło się stawić swoje nowe systemy. Jedną ze znaczniejszych prób tego rodzaju jest robota Trentowskiego, na którą rzucimy okiem.

Trentowski usiłuje pogodzić i spoić w jedno dwa systemy filozoficzne: Hegla i Schellinga (mówimy tu o pierwszym systemie Schellinga) a chciałby przekonać, że ten zlewek da zupełnie nowy punkt widzenia rzeczy, nową podstawę dla filozofji powszechnej. Bierze się do tego w sposób następny.

Zdaniem jego, wszyscy filozofowie jacy dotychczas chcieli wytłumaczyć istnienie, byt, i tajemnice myśli ludzkiej, są razem i w prawdzie i w błędzie, bo są jednostronni, bo są całkiem albo idealiści albo realiści. I tak, Leibnitz chciał ustalić idealizm, Locke materjalizm, Kant zaś, chociaż przyszedł ich połączyć i podniósł się daleko wyżej, został niby (ile można z ciemnej w tem miejscu gadaniny Trentowskiego wyprowadzić) Leibnitzem i Lockem drugiej potęgi, nie zdołał wszakże być wszechstronnym. Dalej filozofja rozdzieliła się znowu na dwie gałęzie, na system Fichtego i system

pierwszy Schellinga, system natury, przedstawiający stronę materjalną. Gałęzie te później łączą się z sobą, albo raczej system Kanta drugiej potęgi i system Fichtego, przedstawiający stronę idealną, jednoczą się w systemie Schellinga. Nakoniec Schelling i Hegel tworzą jeszcze raz dwa systemy osobne, podniesione już do potęgi trzeciej, które dopiero Trentowski ma zlać w jedno.

Wszyscy, co wzięli sobie za podstawę realność (Positivität), co zmysły uważają za jedyne źródło wiadomości, mają u Trentowskiego słuszność, bo rozum idzie od rzeczy do myśli i mówi: *nihil est in intellectu quod non fuerit in sensu.* To droga umiejętności najrealniejsza. Tym trybem otrzymujemy pewniki empiryczne. Poznawanie związku skutków z przyczynami przez doświadczenie jest nauką prostą i zwyczajną. Idąc z tego punktu widzenia do moralności, znajdujemy pojęcie użytecznego, i określamy się życiem powszedniem, praktycznem. Ta część umiejętności ludzkich zajmuje się więc substancją (materją, *rozłogą)* przedmiotu. Łącząc substancją z przedmiotowością, czynimy doświadczenie, przychodzimy do moralności praktycznej.

Wszystkim, co wzięli sobie za punkt główny ducha, Trentowski przyznaje także słuszność; bo duch jest każdego ruchu powodem, czyli *primum mobile*, przyczynowością. Jak do tamtej kategorji należą jedynie zjawiska, tak do tej przyczyny i skutki, *przyczynowość*. Tu wydobywa się pojęcie moralne powinności, wyobrażenia szlachetnego, wzniosłego, przeciwne wyobrażeniu użytecznego.

Pierwsi z tych filozofów, to jest realni, trudniący się poznawaniem natury i dziejów ludzkich, kształcą większość narodu, drudzy oddają się umiejętnościom boskim, moralnym. W rzędzie tych ostatnich mają miejsce niektórzy poeci.

Ale jedni i drudzy błądzą, bo trzeba połączyć razem oba te źródła, albo raczej odkryć trzecie, które Trentowski znajduje w tak zwanym przez się *myśle*, co wyraził po niemiecku przez *Wahrnehmung*. To Wahrnehmung Trentowskiego wychodzi zupełnie na Anschauung Schellinga, tylko podniesione do drugiej potęgi. Kiedy naprzykład uderza nas jakie zjawisko natury, czujemy się natenczas obudzeni, władze nasze umysłowe pracują, i przychodzimy do chwili, w której zjawisko to i nasz mysł, czyli zewnętrz-

ność i wewnętrzność, styka się z sobą w *jedni*. Chwila taka stanowi *prawdobranie*, Wahrnehmung. Jesteśmy wtenczas pewni, żeśmy uchwycili jedną z tajemnic bytu, pojęli jedną żywotną prawdę. Prawda ta żyje w nas, rośnie, rozpłomienia się: jest to iskra boska.

Z tego prawdobrania Trentowski wyprowadza formuły, których nie mamy potrzeby tu przytaczać, i zapomocą ich usiłuje połączyć, spoić w jedno system Hegla z pierwszym systemem Schellinga. Wziąwszy tedy stąd *Substanz*, zowąd *Causalität*, co podobało mu się wytłumaczyć na *rozłogę* i *przyczynowość*, robi z nich swój *rozświat*, *die Congruenz;* dalej *z przedmiotowości* (Objectivität) i *podmiotowości* (Subjectivität) tworzy *przedpodmiotowość* (Object-Subjectivität) i *miotowość* (Conjectivität); nakoniec mysł, jako źródło i ojciec filozofji, wydaje mu wszystkie władze umysłowe, wszystkie uczucia moralne, wolności, Boga, które nazywa najwyższem pojęciem filozoficznem, skojarzeniem prawdy i wiedzy naszej z prawdą i wiedzą Boga, sprawdzeniem bóstwa naszego na Bogu.

Taki jest w szkielecie system Trentowskiego. Ale, co będzie rzeczą ważniejszą i prostszą, zobaczmy jak nam wyobraża Boga, nieśmiertelność duszy, i cel bytu człowieka, już pojedyńczo, już w społeczeństwie, uważanego: wtedy poznamy całą nicość tego systemu.

Trentowski przyjmuje ostateczne wypadki rozumowań Hegla, i wnioski do których Schelling w pierwszym swoim systemie przyszedł. Nie zna on Boga osobistego, nie zna udzielnej duszy ludzkiej. Wszystkość, całość, świat powszechny równie u niego jak u filozofów poprzednich ma dwie strony, czyli objawia się pod dwoma postaciami: natury zewnętrznej i ducha, twierdzenia i przeczenia, bo wedle niego materja jest twierdzeniem, duch przeczeniem, ale to oboje godzi, jednoczy w sobie *ein wahrnehmender Philosoph*, prawdobierny czy prawdochwytny filozof, człowiek. A zatem, podobnie jak u Hegla, Bóg tutaj nie ma wiedzy o sobie, nie zna swego bytu, aż dopiero kiedy wcieli się w człowieka, ujrzy w nim sam siebie: człowiek zawsze jest ostatecznem wyrażeniem Boga.

Trentowski nie powiedział nam nic nowego; tylko wedle Hegla, najwyższym stopniem tej boskości jest pęd myśli, tętno inte-

ligencji, wedle niego zaś, poczuwanie zgody, zachodzącej między naturą zewnętrzną a duchem. Chciałby on wszakże wystawić nam Boga nieco poetyczniej niż Hegel, zarzuca nawet Heglowi, że jego Bóg jest szczególniejszym wymysłem, niema innego bytu prócz ustawicznej przemiany, ciągłej przechadzki z ducha w materją i z materji w ducha: wchodzi w materją, żeby się ujrzał, i znowu, gdy mu się sprzykrzy uznawać albo zaprzeczać siebie, staje się napowrót duchem. Pojęcie samego Trentowskiego o Bogu najlepiej da się przyrównać do dagerotypu. Wszystkość, to natura widoma; duch, to czysta tablica dagerowska: jest ona przeczeniem, nic niemasz na niej narysowanego, nic napisanego, ale tylko odbija się w niej byt przedmiotów, mianowicie człowieka, a cały ten aparat razem wzięty jest Bogiem. Tym sposobem ma być wykazana tutaj i nieśmiertelność duszy, bo ślad przejścia każdego człowieka po błoniu ogólnych dziejów piętnuje się na tej tablicy, bo wszystkie dusze ludzkie zostają na wieki wyryte w Bogu. Dusze te równo ze zgonem przestają żyć rzeczywiście. Trentowski mówi, że one żyją realnie, ale u Niemców realność rozumie się inaczej: mają one życie formalne tylko, ale rzeczywistego nie mają, nie mogą już działać, nie mogą wpływać jedna na drugą, a mianowicie nie mogą obcować z duszami ludzi żyjących. Słowem, wyrażając bez ogródek myśl Trentowskiego, dusz tych niemasz, jest tylko pamięć o nich w historji, w książkach, w głowach czytelników tych książek. Tak naprzykład Cezar, Aleksander Wielki, Napoleon nie mają innego bytu, innego nieba lub piekła jak tylko szafy bibljotek gdzie leżą dzieła o nich i przez nich pisane. Lada pożar może byt ten znikomy obrócić w niwecz, dusze ich zniszczyć na zawsze.

Trentowski jednak pyszni się bardzo ze swego systemu, utrzymując, że daje poznać i Boga, i nieśmiertelność duszy, i sąd ostateczny, i nagrodę, i karę wiekuistą. Co dziwniejsza, śmie wyraźnie mówić, że system jego jest chrześcijańskim, że Chrystus Pan był filozofem *prawdobiernym*, filozofem ani teoretycznym ani praktycznym, ale genetycznym; połączył w głębokiem uczuciu wewnętrznem bóstwa i natury dwa systemy przeciwne, i wydał życie. Zaraz obok tego wszakże pojęcia jego o mądrości i filozofji zupełnie nie zgadzają się z tą pretensją do chrystjanizmu. Wedle niego, żeby być filozofem trzeba koniecznie być uczonym z książek. Od-

krywa mu się niekiedy głębokość filozoficzności zawartej w życiu ludu, położył gdzieś u siebie to zdanie, że lud prosty ma wielką filozofją w swoich przypowieściach, ale wnet zapomniał o tem, i znowu prawi, że, aby przyjść do wiedzy, trzeba wypić cały ocean nauk, przeczytać wszystkie książki.

Możnaż wyrządzić większą obelgę Objawicielowi chrześcijaństwa? Godzi-li się wystrychnąć go na mędrka podobnego rodzaju jak doktorowie i profesorowie niemieccy? Gdzież Zbawiciel świata przeczytywał bibljoteki, wypijał ocean umiejętności? Zaiste filozofja nowożytna po wszystkich swoich bluźnierstwach nie mogła większego przeciw chrystjanizmowi wyzionąć, jak chcąc go pobratać z sobą, zaliczyć w poczet tych nędznych systemików, które Niemcy budują i kruszą codzień.

Trentowski i wielu innych filozofów nie bez przyczyny podszywają się pod chrystjanizm. Powszechna to taktyka uczniów szkół protestanckich. Wynika ona z głębokiej pogardy dla ludu. Lud u nich, to wszyscy ogółem, którzy nie uczyli się filozofji w uniwersytetach. Temu pospólstwu, temu motłochowi, nie potrzeba wiele wiedzieć, należy zostawić go w ciemnocie, w przesądach, należy nawet udawać, że się podziela jego przesądy. Doktorowie protestanccy utrzymują przeto na ambonach prawdy, z których drwią u siebie, mówią o tajemnicach chrześcijańskich, które potem, w literackich gabinetach swoich rozbierając, racjonalnie obracają w niwecz. Podobnież robią i filozofowie. Trentowski naprzykład odzywa się z tem, że gdyby był profesorem w Warszawie, nawróciłby całą Polskę, bo nietylko dowiódłby wszystkich tajemnic religji, lecz wyłożyłby je w formułach rozumowych jak na dłoni. Nie chcemy wytykać tu całej bezczelności tych płochych przechwałek. Ma on rzeczywiście to przekonanie, że młodzież i ludność warszawska biegłaby za nim modlić się przed temi ołtarzami, pełnić te obrządki, z których żartowałby sobie później w swoich pismach. Wielka to nieznajomość co jest lud, mianowicie lud słowiański, bardzo pod tym względem podobny do francuskiego. Trudno go oszukać, ma on dziwny instynkt odgadywania fałszu. We Francji, przed rewolucją, kiedy większość duchowieństwa straciła wiarę w to, w co kazała wierzyć ludowi, natychmiast odstrychnął się on od praktyk religijnych, i wkrótce rzucił się zawzięcie na księży.

Taki koniec byłby i filozofa, któryby poszedł zwodzić lud w Słowiańszczyźnie.

Trentowski jednak popchnął filozofją dalej; jest w nim dążność praktyczna. On pierwszy dopiero stosuje filozofją do polityki i etyki. Między dziełami Hegla znajdują się tomy poświęcone, jak on nazywa, nauce stanu, traktował także i o etyce; ale są to części nauki moralnej, nie wiążące się z całością jego systemu, dające się od niego oddzielić. U Trentowskiego zaś, myśl filozoficzna zmierza do realizacji. Wyłożywszy swoje pojęcia o duchu i materji, kończy on traktatem o bycie państw i o powinnościach człowieka. Zdaniem jego, system idealistów wydaje rzeczpospolitą, system materjalistów despotyzm, a z połączenia tych dwóch systemów wynika porządek konstytucyjny, ostateczny wyrób życia narodowego. Podobnież ludzie, którzy szukają nadewszystko rozszerzenia potęgi zewnętrznej państwa, wychodzą na zdobywców; ludzie, którzy jedynie myślą o materjalnem korzystaniu ze środków krajowych, stanowią partją niewolniczą, służebną; a ci, którzy starają się interesa swego narodu pogodzić z interesami narodów innych, tworzą dyplomacją, ostateczny wypadek życia internacjonalnego. Jak z jednej strony w jego dążności politycznej, budzącej filozofją niemiecką, tak z drugiej w jego stylu i pomysłach jest jakaś siła, jakieś życie, przebija się coś polskiego; ale tego nie widzi, że go już dawno wyprzedzono, że kiedy zaledwo przyszedł do uznania potrzeby realizacji prawd filozoficznych, szkoła berlińska zajmuje się ich realizowaniem, przynajmniej w piśmiennictwie, a szkoły filozoficzne słowiańskie daleko zostawiły za sobą ten punkt drogi. Zdaje się jemu mylnie, że stanął u szczytu filozofji, kiedy tymczasem tylko dostrzegł czego jej potrzeba, i nawet scholastyczni filozofowie wyścignęli go o lat wiele.

W ogólności wszyscy filozofowie niemieccy, nie wyjmując i samego Trentowskiego, nie starają się o nic więcej jak tylko żeby wytłumaczyć i usprawiedliwić co jest. Na tym pewniku Hegla, że *wszystko co słuszne to ma byt, a co ma byt to słuszne*, polegają wszystkie ich systemy. Bardzo to łatwo i przyjemnie wykładać historycznie bieg wyobrażeń politycznych, wyłuszczać zawilsze miejsca prawodawstwa albo konstytucji, i siedzieć sobie spokojnie wśród porządku rzeczy postawionego cudzym kosztem. Z tego bło-

giego stanu nie chce się filozofom niemieckim ani na krok wyruszyć. Jeżeli znajdujemy w ich dziełach ideały społecznego bytu, te zawsze są wzięte z oryginałów cudzoziemskich, z utworów powstałych we Francji lub w Polsce. Ideałem Hegla była konstytucja monarchiczna, taka, jaką miała Francja za Karola X. Nie mógł on umysłem swoim dosięgnąć nic wyższego nad tę formę, dodał do niej tylko niektóre zabytki instytucyj rzeczypospolitej polskiej, pozostałe w Prusiech, i radził Prusom przyjąć pewne ustanowienia obce, tego rodzaju jak naprzykład majoraty. Taki zlepek zdawał mu się już być stanem rzeczy doskonałym na wieki, nieuległym zmianie, idącym wprost z myśli bożej: zapisał cały tom dowodami jego logiczności i boskości. Ale właśnie kiedy tym sposobem tłumaczył i wspierał rozumowie konstytucją restauracji francuskiej, wybuchnęła rewolucja lipcowa i zmieniła, można powiedzieć, wywróciła ją zupełnie. System, który miał być wiekuistym, nie wytrzymał trzydniowego wstrząśnienia; Hegel musiał go łatać i znowu silić się na rozumowania jak usprawiedliwić kartę konstytucyjną roku 1830. Nie wystarczyło już mu na to ni sił ni czasu. Sam jego przyjaciel Michelet powiada, że wieść o rewolucji lipcowej wprawiła go w gniew i smutek; nigdy nie mógł wspomnieć o niej bez żółci. Wkrótce, na dobitkę wszystkich słodkich urojeń Hegla, przyszło powstanie Polski; zdawało się bowiem jemu, że ludzkość nie miała już nic więcej do czynienia, tylko używać szczęśliwości bytu jaki otrzymała w formach monarchji francuskiej, cesarstwa rosyjskiego i cesarstwa austrjackiego, którego wszakże wzorem i typem była monarchja pruska.

Ani Hegel tedy ani Trentowski nie zrobili w polityce żadnego odkrycia, żadnego wznowienia, nie pomną oni nawet na to, że tę trochę wolności, jaką mają państwa niemieckie, winne są Francji i w części Polsce. Obecny stan rzeczy wielu z tych państw zaprowadzony został po upadku Napoleona, i mniej więcej na wzór konstytucji francuskiej. Kodeks cywilny francuski wpłynął także mocno na prawodawstwo krajów niemieckich, mianowicie prowincyj należących do Prus. Ale żeby co prawdziwie niemieckiego było w tych zmianach, żeby postęp filozofji niemieckiej przyczynił się w czemkolwiek do zmiany stanu Niemiec, tego nie widzimy zgoła.

Pięcie się Trentowskiego do zlania w jedno systemów Hegla i Schellinga, zdaniem naszem, jest zupełnie rzeczą próżną, i podobnież usiłowania te filozofów berlińskich, o których pomówimy później, skończą się na niczem. Trentowski czuje fałsz, czczość równie u idealistów, jak i materjalistów, chciałby filozofją podźwignąć wyżej, uczynić ją popularną, ale nie wie w czem leży jej pierwiastek żywotny: nie wie, że aby przywieść ludzi do zgody, nie dość jest przed nimi rozumować, trzeba im pokazać siłę wyższą, którąby razem porwała ich ducha i przekonała rozum; że nie dość pisać książki i ogłaszać systemy, trzeba prawdziwość tych systemów udowodnić mocą, życiem.

Przypomnimy w tem miejscu jak kwestja tego rodzaju rozstrzyga się w *Nieboskiej Komedji*. Dwa sporne systemy uosobione w dwóch ludziach ścierają się tam z sobą. Reprezentant idealistów i obrońca materjalizmu walczą do upadłego. Poeta na zakończenie walki nie podaje jakiej formuły nowej, ale wprowadza znak, ukazujący się na niebie.

Podobny przykład mamy w dziejach. Podczas wojny Szwajcarów. Kiedy jedna strona pod przewodnictwem arystokracji Berneńskiej, utrzymująca, jakby Trentowski powiedział, system materjalizmu, druga pod chorągwią republikanów Wodejskich, wychodząca tu na idealistów, miały już rzucić się na siebie, kiedy wodzowie wydali już hasło do boju, nagle stanął między niemi niespodziewany rozjemca, którego historycy nazywają *Deus ex machina*, i jednem słowem rozbroił wszystkich. Był to goniec z rozkazem od Napoleona. Pierwszy konsul tak odzywał się do Szwajcarów: „Helwecjanie! rozprawialiście trzy lata, nie mogąc zgodzić się na nic; będziecie zabijali się przez drugie trzy lata i nie porozumiecie się lepiej. Nie mogę i nie powinienem być nieczułym na waszą niedolę: *będę waszym pośrednikiem*". — Tego słowa było dosyć. Takim to sposobem zagadzają się spory, ale trzeba, żeby ten, co staje za pośrednika, dał pierwej dowody swojej wyższości.

Filozofowie niemieccy nie widzą, że walka dawno już wyszła poza książki i szkoły, że na co filozofja niemiecka wpada dopiero, to całe narody, mianowicie Francuzi i Polacy, od wieków realizują

ciągle, że nakoniec, aby przeciąć walkę umysłów, trzeba posunąć dalej dzieło realizacji, rozpoczęte przez ludy polityczne.

LEKCJA XXII

Wtorek, 6 czerwca 1843

Karta konstytucyjna Heglowska i anarchja w filozofji. — Rozdzielenie się filozofów pruskich na stronnictwa, oznaczone nazwiskami stronnictw izby parlamentarnej francuskiej. — Cieszkowski w stanowisku Lamartina. — Jego list do Micheleta berlińskiego. Jego system. — Nie mówiąc o duchu, zrobił piękną definicją ducha. — Jak pojmuje nieśmiertelność duszy. — Niemcy niesłusznie porównywają Kanta do Kopernika. — Filozofja niemiecka chce dać obrót światu moralnemu nie koło jego słońca, ale koło swojej katedry. — Rady Cieszkowskiemu. Powinność filozofji polskiej.

Jak to już jest dowiedzionem w dziejach, że Francja nie weszła w żadną wojnę ani żadne ważniejsze przymierze z Północą inaczej jak przez Polskę, tak też podobno w zakresie umiejętności ruch filozoficzny, odbywający się na Północy, nie inaczej dotknie rzeczywiście Francją, aż dopiero kiedy przesiąknie przez Polskę. Z tego względu pisma Polaków o filozofji niemieckiej mogą być bardzo przydatne Francuzom. Szkoda, że nie przełożono na język francuski Trentowskiego, który zbiera w treść bardzo jasno wypadki robót wielu szkół filozoficznych niemieckich, ale ważniejszą byłoby rzeczą, dla zajmujących się filozofją, obeznać się z pismami Cieszkowskiego, żeby widzieć jakie stanowisko w Niemczech zajął ten umył potężny, i zdaniem naszem jedyny, który ma przed sobą wielki zawód filozoficzny.

Trzeba nam znowu przenieść się w strony północne, do Prus, i spojrzeć na stan teraźniejszy rozpraw między filozofami, zastanowić się nad tak zwaną anarchją w państwie filozofji.

Hegel z wielką obawą unikał kwestyj religijnych. Powiadał on w rozmowach z przyjaciółmi (ob. Michelet), że polityka mało ma pociągu dla Niemców, sztuki i nawet przemysł nie zdołają zająć ich mocno, ale co może wzniecić straszny pożar, to spory

religijne. Nim jednak zszedł z tego świata, szkoła opierająca się na jego systemie, rozwijając niektóre z jego własnych twierdzeń, dotknęła się już religji. Wkrótce, z jednej strony teologowie, z drugiej politycy wszczęli ten ruch, który stał się powszechnym. Idąc od punktu do punktu, postrzeżono nakoniec, że środkiem wszystkich kwestyj, było odwieczne zadanie o Bogu i nieśmiertelności duszy. Tajemnice te starannie obwijane w formuły filozofów i pomijane przez nich zawsze z bojaźnią, stały się dzisiaj przedmiotem rozpraw publicznych. Ci, którzy wierzą jeszcze w Boga i w nieśmiertelność duszy, którzy chcieliby przynajmniej zachować ten dogmat dla ludu, nie dla siebie samych, bo nie znamy ani jednego filozofa z prawdziwą wiarą w te rzeczy, nazywają się *konserwatorami*, a dzielą się na *legitymistów* i *konserwatorów czystych*, chcących utrzymać Boga. Są oni wciągnięci w reakcją przez szkoły tego rodzaju jak Schleglowska, i oskarżają ich nawet o zamachy na wolność filozoficzną. Ci, którzy prowadząc dalej system Hegla, chronią go od wszelkiej realizacji, strzegą się wejść z nim na pole teologji i polityki, uważani są za składających *środek* w izbie filozoficznej, a dzielą się znowuż na *środek prawy* i *środek lewy*. Reprezentantem *środka prawego* jest Michelet berliński. Cały ten nawet rozkład stronnictw opowiadamy tu podług jego dzieła. Marheincke i wielu innych profesorów mniej znakomitych, a najbardziej sam Michelet, podają siebie za stronnictwo odpowiadające stronnictwu *Passy-Dufaure* w francuskiej izbie deputowanych.

Wszystkie powyższe partje parlamentarne przyjmują Hegla za swoją kartę; ale jest partja extra-parlamentarna, idąca dalej niż sięga *ostatni brzeg strony lewej* (l'extrême gauche) reprezentowany przez Straussa, partja *terrorystów*, która chce na czysto rozmówić się z filozofami, i krótko wyrazić ich doktrynę. Powiedzcie otwarcie — odzywa się do Heglistów, — że nie wierzycie ani w Boga, ani w nieśmiertelność duszy, że jesteście ateuszami, że trzeba już raz na zawsze odrzucić precz i Kościół, i teologją, i wszystkie przestarzałe wymysły. Partją tę reprezentują Bruno-Bauer i Feuerbach.

Nie można dziwić się temu zniecierpliwieniu, kiedy obejrzymy się na błahość, niedołęstwo i martwość *środka*. Mówiliśmy, że

było zwyczajem dawniejszych doktorów protestanckich zalecać ludowi cześć Boga, którego żartowali sobie; nowi filozofowie są szczersi, religijniejsi, chociaż nie wierzą — jak naprzykład Schleiermacher — nietylko w autentyczność ewangelij, ale nawet, że Chrystus Pan był na świecie. Kwestja ta dla niego jest historyczną, mało ważną, niepotrzebną. Mimo to, wywodzi on logicznie użyteczność świąt religijnych, i chciałby je zachować *dla ludu*, radzi obchodzić święto Bożego Narodzenia i któreś drugie, Wielkanoc podobno. Powiada, że w dzień Bożego Narodzenia lud rozpamiętywałby nad obudzeniem się życia religijnego w człowieku, co jest jakoby wcieleniem się, objawieniem się Boga, i podaje inne jeszcze tym podobne przedmioty do rozmyślania! Byłoby to zupełnie tak samo, jak gdyby podczas sprowadzenia zwłok Napoleona do Paryża, zapowiedziano ludowi, że w trumnie wiezionej tryumfalnie nie będzie ciała cesarza, że to nawet rzecz wątpliwa czy żył on kiedykolwiek. Pytamy, czy lud zbiegałby się wtedy na pogrzeb, czy szedłby za wozem? A przecięż filozofowie tak zwani religijni, nie w inny sposób przedstawiają obrządki sakramentalne. Widzieliśmy jak bezwstydnie przechwalał się Trentowski, że wyłożyłby studentom w Warszawie tajemnicę Niepokalanego Poczęcia. Trzeba więc przebaczyć kiedy Bruno-Bauer i jego uczniowie mówią po cynicku, że dla nich są tylko dwa sakramenta: chrzest, to jest kąpiel zimna, i przystąpienie do stołu pańskiego, czyli sztuka mięsa ze dzbanem piwa — bo takim już językiem przemawia spirytualna filozofja Niemców.

Pośród tych stronnictw, pośród tej izby filozoficznej (bo Niemcy bawiąc się w grę parlamentarną, obdzielają się coraz inaczej nazwiskami partyj izby francuskiej), Cieszkowski przybrał sobie rolę Lamartina. Sami przeciwnicy jego przyznają mu to stanowisko. Wydał on naprzód tylko swoją *Historjozofją*, gdzie wszakże już zapatruje się na historją w sposób różny od Heglowskiego, ogłosił potem pisemko w kształcie listu do Micheleta berlińskiego. List ten uważany jest za wypowiedzenie wojny wszystkim filozofom. Napozór niemasz w nim nic zaczepnego, ułożony skromnie jak programat ministerjalny. Cieszkowski oświadcza, że jest parlamentarnym, przyjmuje kartę Hegla, jest więc dynastycznym; ale obok tego napomyka propozycje bardzo śmiałe, rzuca

tu i ówdzie słówka widocznie dobrze odważone i nie bez pewnego zamiaru, których znaczenia filozofowie niemieccy zdają się jeszcze nie postrzegać. Nakoniec, chociaż dotąd odzywał się tylko jako krytyk, zapowiada dzieło dogmatyczne, mające zawierać wykład jego pojęć. Ze znajomego pisemka można już zgadnąć jego dążność i obiecywać wielkie rezultata jeśli w niej wytrwa. Tłumacząc się tak zwanym u Niemców językiem spekulacyjnym, a koniecznie wymaganym w rozprawach tego rodzaju, zarzuca on filozofji niemieckiej, że nie umiała dotychczas zrozumieć co jest *jednostkowość*, *podmiotowość* i *osobistość*, a przeto nie była zdolną pojąć Boga i nieśmiertelności duszy.

Trzeba naprzód dziękować Cieszkowskiemu, że uderzył odrazu w sam środek zadania, że począł od Boga i duszy. Wy pojmujecie — mówi do filozofów — *powszechność* jako stronę idealną, a *szczególność* jako stronę materjalną rzeczy i chcecie złożyć z nich jednostkę. Podług was, każdy przedmiot pojedyńczy, drzewo, zwierzę, przedstawia się jako pojęcie powszechne drzewa, zwierzęcia. Kiedy ten przedmiot mam przed oczyma, poznaję go, bo widzę na nim cechy, służące temu lub owemu rodzajowi jestestw organicznych. Jednostka przeto u was jest tylko *recipiensem*, ogniskiem, w którem odbija się powszechność, sama przez się nie ma rzeczywistego bytu, albo raczej byt jej pojedyńczy zawsze zostaje pochłoniony w powszechności. To stara sprzeczka nominalistów i realistów; bynajmniej tym sposobem nie odznaczacie jednostki: podajecie tylko wyobrażenie powszechne, które jest w waszem pojęciu, i wyobrażenie przedmiotu, który stoi przed waszemi oczyma, ale nie tworzycie wyobrażenia jestestwa udzielnego i rzeczywistego. Idąc z tym systemem wyżej, zastosowaliście go do Boga i duszy, skąd wynikło, że Bóg i dusza rozdzielają się zawsze na idealność i realność, a filozofja nie może nigdy pojąć w nich udzielności i życia.

Cieszkowski usiłuje więc naprzód postawić wyobrażenie *jednostkowości*, potem *podmiotowości* i *osobistości*. Nie będziemy tutaj przechodzili całej kolei jego rozumowań, i nawet ostateczne ich wypadki opowiemy innemi słowami niż filozof, ale, jak mniemamy, wyrażającemi jasno jego myśli.

Podług naszego filozofa tedy, jednostkowość w swoim naj-

niższym stopniu ukazuje się jako jestestwo organiczne; jest to już objawienie się ducha. Jestestwo organiczne składa się z ducha i materji, które równoważą się z sobą. Duch usiłuje podbić materją, mocą swoją utrzymuje jej całość. Materja wszakże bierze na koniec górę nad duchem, i wtedy jednostka umiera, ginie. Mamy tu przeto wyobrażenie udzielnego życia, które jest objawieniem się ducha w materji.

Od tego życia w stopniu najniższym, od tak zwanej przez Cieszkowskiego jednostkowości, postępując wyżej, znajdujemy osobistość, człowieka. Cieszkowski nie mówi o człowieku, kładzie tylko formułę, ale można podstawić pod nią ten wyraz *człowiek*. Między jednostkowością a osobistością ta zachodzi różnica, że w tej ostatniej jest już sumienie. Jestestwo organiczne ma swój środek, ale nie może go znaleźć, nie wie gdzie leży; człowiek ma sumienie samego siebie, swojego środka.

Owóż filozofja Niemców nie przyszła do niczego więcej, jak tylko do uznania tego sumienia; uważa ona to sumienie za działalność najwyższą, za działalność boską w człowieku. Widzieliśmy pierwej, że według tej filozofji, Bóg nie wie o sobie, poznaje dopiero siebie, postrzegając się w myśli ludzkiej. Cieszkowski bardzo dobrze wytyka filozofom niemieckim błąd ich niezmierny, okazując, że nie pojmują Boga, nie pojmują całości, zrozumieli tylko powszechność, to jest jedną stronę Boga w stopniu niejako najniższym.

Myśl powszechna — powiada on — nie ma sumienia samej siebie, odbija się w myśli każdego człowieka. Życie rozlane w jestestwach nie stanowi jednostkowości istotnej, odbija się w każdej jednostce. Ale jest coś wyższego niżeli to życie organiczne, coś wznioślejszego od tej myśli powszechnej. Myśl, ściśle mówiąc, nie jest naszym własnym wyrobem. Odbija się w niej świat zewnętrzny, podobnie jak we wzroku, który także naszym wyrobem nie jest. Wzrok zależy od działania światła i oka. Skoro zamkniemy oczy, przestajemy widzieć, ale inni widzą; podobnież kiedy przestajemy myśleć, inni myślą za nas, i myśl, bez ustanku krążąc, trwa w ludziach: światłem jest ona ale nie jest słońcem.

Co filozofów niemieckich w błąd wprawiło, to to śmiałe powiedzenie Herdera, że człowiek jeden nie może pojąć Boga, ale

pojmują go wszyscy ludzie; w czem jest fałsz, bo Herder powinien był powiedzieć: ogół wszystkich stworzeń, nie zaś: wszyscy ludzie.

Stąd też Niemcy mieszczą zawsze Boga tylko w myśli ludzkiej, przeciw czemu Cieszkowski powstaje, powiadając, że nie myśl, nie poznawanie jest rzeczą najwyższą w człowieku. Tutaj użala się on sam na trudność wydania swego pojęcia, ponieważ nie może dobrać dlań zupełnie odpowiedniego wyrazu. Niemieckie *Geist, Hauch, Wind*, łacińskie *spiritus*, zdają się mu być albo zanadto fizyczne, albo zanadto umysłowe; wolałby wziąć *pneuma, aer*, tchnienie, co razem wyraża działanie i organiczne i duchowe.

Kiedy się już przychodzi do tego punktu, prawdziwie lżej na sercu: widzimy, że Cieszkowski znalazł gdzie jest główne zadzierżgnięcie, złapał węzeł całego zadania. Czuje on jak tu wiele zależy na wyrazie, jak od pojęcia *ducha* zawisła cała filozofja. Czemuż tego nie postrzegł, że ten nasz słowiański wyraz przypadłby mu najlepiej? *Duch* jest wyrazem odpowiadającym wszystkim żądanym warunkom, i prędzej, czy później filozofja będzie musiała go przyjąć, bo dotąd używane wyrazy zostały sponiewierane albo pozmieniały znaczenie.

Z wyrazami dzieje się podobnie jak z tytułami, które długi czas szanowne i szanowane, obracają się niekiedy w czcze i śmieszne tak dalece, że naród dla dostojeństw swoich musi pożyczać tytułów zagranicznych.

Gdyby Cieszkowski był przyjął wyraz *duch*, byłby odrazu całą kwestją sprostował, ma on wszakże głębokie pojęcie samej rzeczy. Duch nie jest to Geist, nie jest to sumienie, ale osobistość rozwiniona o jeden stopień wyżej. Jestestwo organiczne istnieje *w samem sobie*, duch *przez samego siebie*, człowiek duchowy *z samego siebie;* ten co poczuł w sobie ducha i zaczyna już życie duchowe, ma byt przez samego siebie, dla samego siebie i z samego siebie. To wyrażenie *z samego siebie*, pierwszy raz użyte przez Cieszkowskiego, bardzo jest ważne. Duch całą siłę wydobywa z samego siebie, a wtedy — co Cieszkowski powinien był jaśniej wyłożyć — materja czyli jednostkowości zewnętrzne, myślenie, czyli myśl powszechna, są tylko środkami dla niego: podnosi się, rozszerza się, poznaje siebie i pojmuje całą naturę. Nie na to, aby walczył z materją, z ja zewnętrznem, jak Fichte mniema; nie na to, aby jedno-

czył się z naturą w jakimś absolucie, jak Schelling utrzymuje; nie na to, aby tylko bawił się rozumowem pojmowaniem związku zachodzącego między naturą a myślą; ale na to duch stworzony, żeby postępował, posuwał się ku Bogu.

Cieszkowskiego definicja ducha jest wyborna i zamyka zaród całego systemu. Stąd też Cieszkowski dowiódłszy, że nieśmiertelność, jak ją pojmują filozofowie berlińscy jest niczem, wraca potem do swojego założenia i wyprowadza ją inaczej.

Dajecie nam — powiada — wiele rodzajów nieśmiertelności, a wszystkie nic nie warte. Naprzód, nieśmiertelność ciał, które rozkładając się, przechodzą w inne ciała, nie jest nieśmiertelnością, bo tu jednostka znika, ciało nawet ginie z nią razem. Powtóre, cóż znaczy wasza nieśmiertelność myśli? We śnie tracimy często sumienie samych siebie, a czemużbyśmy, umierając, nie mogli go stracić tem bardziej. Myśl ta pochłonie się w myśli powszechnej. Gdybyż jeszcze miała powrócić stamtąd na ziemię wzrosła i udoskonalona, byłoby to cokolwiek; ale ponieważ ma wlać się na zawsze w tę przepaść ogólną, cóż nam z tego. Nieśmiertelność Cezara i Napoleona, zachowująca się tylko w ich pamiętnikach, nie znęciłaby pewnie nikogo. Nieśmiertelność posągowa, pociecha dla wielkich ludzi, że zostaną na świecie w popiersiach z marmuru lub bronzu, również jest próżna. Nieśmiertelność czynów, działanie wywarte przez nas na pamięć, wyobrażenia i postępki innych ludzi, nie jest nieśmiertelnością naszą własną, osobistą. Zostawuję wam przeto otwarte pole indywidualności myślowej, a biorę w obronę osobistość jako twierdzę, z której łatwo można znowu cały ten kraj zdobyć.

Duch ludzki, działając w ciele i na ciała inne, wyrabia się sam i wyrabia naturę zewnętrzną. Każdy owoc jego pracy jest jego nabytkiem, nie jako złożonym w jego myśli, ale jako wsiękłym w jego jestestwo. Cokolwiek człowiek zdziała na ziemi pod względem moralnym, nie ginie z jego śmiercią, ani ze śmiercią ludzi na których wywarł działanie, ale pozostaje w jego duchu jako ślad przechodu pomiędzy ludźmi, i razem jako uczucie siły już doświadczonej. Istotą więc naszej jednostki nieśmiertelnej jest *wyrób ducha*, jest to cośmy wyrobili sami, przez siebie i dla siebie, dobywając całą siłę z siebie samych. To właściwie stanowi istotę

naszego ducha i nasze prawo do nieśmiertelności, którego nam nikt odebrać nie może. Ludzie, którzy stanęli na tym szczeblu, nie mogą wątpić, że są nieśmiertelni, jak ci, którzy chodzą, nie wątpią, że mają władzę ruszania nogami.

Co duch poznaje, co z głębi siebie dobywa, to nie pochodzi ani z myśli, ani z wrażeń zewnętrznych, ale, jak Cieszkowski nazywa, *z intuicji.*

Oddawna już filozofja czuła, że trzeba naznaczyć nowe źródło wiedzy, że i zmysłów i nawet myśli tu niedosyć. Dlategoż Schelling wynalazł swoje *Anschauung*, czyli błyśnienie umysłowe, które jest czemś nieokreślonem, nie wiedzieć co znaczy; Trentowski wymyślił *Wahrnehmung*, nazwane przez niego po polsku prawdobraniem, które może i trafić i chybić, nie ma żadnej rękojmi niemylności; kiedy tymczasem *intuicja* (intus itio) daje nam razem i uczuć i pojąć sposób otrzymywania prawdy: *intus itio*, jest to wejście wewnątrz siebie. Im głębiej człowiek kopie swojego ducha, tem więcej z niego wydobywa prawdy, bo tem więcej zbliża się do środka, przez który styka się z Bogiem.

Pierwszykroć dopiero ten wyraz *intuicja* pokazuje się w filozofji niemieckiej spekulacyjnie już użyty, chociaż Cieszkowski nie położył definicji jego, ani co większa nie usprawiedliwił go filozoficznie. Również przelotem dotknął on drugiej bardzo wysokiej i płodnej prawdy. Powiada, że historja pogańska ludzkości wyrobiła, jak on nazywa, *jednostkę człowieka*, (a jak mybyśmy nazwali *osobistość niższego stopnia)*, zależącą tylko na postawieniu się, okazaniu się, uznaniu swojej udzielności; chrześcijaństwo zaś, podnosząc człowieka wyżej, rozwinęło tak zwaną u niego *podmiotowość*, (co wedle nas jest *osobistością wyższą*, kiedy już człowiek pojmuje siebie jako jestestwo moralne). Rzecz godna uwagi, że Cieszkowski ukazuje najwznioślejszy wyraz tego pojęcia w męczeństwie chrześcijańskiem, i lubo mówi, że to było tylko wypadkiem czucia nie myśli (bo myśl zawsze jeszcze stoi mu przed oczyma i góruje nad wszystkiem), uważa wszakże męczeństwo, to jest ofiarę dla prawdy wszystkiego co znikome, za ostateczne wyrażenie się jednej epoki chrystjanizmu. Idzie teraz o to — dodaje — żeby posunąć się duchem dalej, uczynić krok zdobywczy, zwycięski, nie dawać się umęczyć za prawdę, ale dobyć siłę na zwalczenie, po-

konanie fałszu, na podbicie świata duchowi, przez ducha i siłą ducha.

Takim sposobem rozwijamy kilka powiedzeń Cieszkowskiego zawikłanych w jego formułach. Zrozumiał on tedy teraźniejszą dążność ducha chrześcijańskiego, który nie może już poprzestać na samem cierpieniu dla prawdy. Są jeszcze inne nie mniej ciekawe widoki w tem pisemku, ale rozwinięcie ich wolimy zostawić samemu autorowi. Prosilibyśmy go nadewszystko, żeby rozsnował napomkniona uwagę, że dzisiejsza filozofja niemiecka, filozofja właściwie Heglowska nie wyszła poza Arystotelizm. Nazywa on ją scholastyką podniesioną do drugiej potęgi; zgoda, ale do potęgi *in minus*, niżej punktu marznięcia wody, do punktu już marznięcia merkurjuszu. Gdyby rozwinął to założenie, dobiłby ostatecznie szkołę Heglowską.

Jest także druga prawda bardzo głęboka i bardzo ważna dla Słowian, którą Cieszkowski poruszył. Sumienie samego siebie — powiada — to niezawodnie najwyższy szczebel myśli, ognisko gwiazdy filozoficznej; ale gwiazda filozofji jestże gwiazdą środkową, ogniskiem drogi mlecznej? Kwestją tę porzucił nierozwiązaną; idzie tu wszakże ni mniej ni więcej jak o strącenie z tronu dumy filozofów, którzy sumienie swoje uważają za gwiazdę, za ognisko, za środek całej ludzkości.

Musimy zrobić jedno postrzeżenie w tem miejscu. Nieraz już przyrównano Kanta do naszego filozofa Kopernika. Powiadają, że Kant pokazał światu bieg około myśli stanowiącej jego światło, jak Kopernik wyłożył krążenie wszystkich planet około słońca. Twierdzenie to można znaleźć niemal w każdem dziele filozofów niemieckich. Z całych sił naszych zaprzeczamy prawdy temu porównaniu. Filozofja niemiecka owszem chciałaby zatrzymać wszelki ruch ducha ludzkiego koło jego słońca, i wbić go całkiem w ziemię, zatrzymała nawet postęp nauk ścisłych w Niemczech. Możnaby powiedzieć, że sama myśl u nich zapomniała już drogi kędy niegdyś puszczała się ku ciałom niebieskim. Materjalizm uczonych francuskich daleko w tej mierze jest odważniejszy, więcej dociekający niż filozofja niemiecka. We Francji robią przynajmniej domysły co być może na księżycu, na planetach: znajome są w tej mierze śmiałe hipotezy Furiera; w Niemczech cała rzecz kończy

się na definicjach próżnych. Hegel naprzykład, mówiąc o kometach, powiada, że to są *zanoszenia się na wodę* (Möglichkeit des Wassers). I czegóż się stąd dowiadujemy? Wiele razy zacznie rozprawiać o gwiazdach, o słońcu, zawsze zbywa wszystko podobnemi wyrażeniami jak: *światło bierne* albo *czynne, jednia siły, ciężkości i ciepła* i t. d. Ale co tam dzieje się na tych gwiazdach, na tem słońcu? — to go ani zastanawia. Od chwili jak Niemcy wyrzekli, że Bóg objawia się tylko w człowieku, że myśl ludzka jest wierzchołkiem wszystkiego w świecie, niemasz dla nich żadnych jestestw duchowych na wszystkich globach świata. Niezliczone gwiazdy, księżyce, komety stały się u nich świecidełkami przyczepionemi do ziemi: chcą oni dać obrót światu nie koło słońca, ale koło katedry filozofji swojej.

W pośród takiego zaślepienia Cieszkowski pierwszy przez powyższą propozycją swoją spróbował oderwać myśl niemiecką od ziemi. Spotkał się on tu z bardzo wysokiem zagadnieniem, bo już wielu astronomów wpada na domysł, że jest w świecie powszechnym ruch daleko ogromniejszy od ruchu planet koło naszego słońca, że podobno cały nasz system planetarny bieży koło jakiegoś niewidomego środka, który Cieszkowski nazywa słońcem duchowem. Niektórzy astronomowie mniemają nawet, że obserwacje nad drogą mleczną mogłyby doprowadzić do oznaczenia w jakiej stronie nieba środek ten leży. Kto wie, czy nie zostawiono to myśli polskiej, jak pierwej rozwiązała całe zadanie systemu słonecznego, tak teraz rozwiązać zagadnienie jeszcze wyższe. Ale czego najbardziej mamy prawo wymagać po Cieszkowskim, to żeby poznał głęboko co to jest duch, co intuicja. Niech on sobie nie myśli, że rozumowaniem, pisaniem dzieł potrafi zbić swoich przeciwników filozofów.

Sam opowiada, że powziął swój system jednego razu pływając łodzią po lagunie w Wenecji, to jest, że miał chwilę podniesienia się, które nazywa przeniknieniem. Otóż niechaj stara się utrzymywać swego ducha w tym stanie w jakim był wtenczas, kiedy mu się ukazały tak wielkie prawdy; niech nie sądzi, że pracą głowy, natężaniem myśli przychodzi się do podobnych przeniknień. Intuicja jest promieniem słońca; myśl, rozumowanie — to widma słoneczne (les spectres solaires). Promień ten może być rozkła-

dany zapomocą pryzmy, ale działa nie przez pryzmę. Filozof nasz domyśli się zapewne, że jest coś ważniejszego do robienia, niżeli ogłaszać dzieła i proponować nowe systemy.

Na zakończenie dodamy tę uwagę. Cieszkowski przyznaje, że Jezus Chrystus zamknął odrazu pochód filozofji starożytnej, i podniósł ducha ludzkiego o jeden stopień. Niechże się zastanowi jak się to stało. Jeżeli duch ludzki podniósł się wyżej, podniósł się dlatego, że zstąpiła na ziemię potęga zdolna udzielić mu siły do nowego podniesienia się ku Bogu; bo przecież to rzecz oczywista, że zmiana jaką zdziałał chrystjanizm, nie wynikła z żadnej szkoły, z rozwinięcia jakiego systemu filozoficznego. Cieszkowski przyznaje dalej, że teraz duch powinien znowu krok zrobić, to jest zrealizować się; że po *intuicji*, czyli wejściu w siebie, powinno nastąpić *extra-itio*, albo *foras-itio*, wydanie na zewnątrz. Potrafiłbyż dokazać on tego bez pomocy nowej potęgi? To *extra-itio*, albo *foras-itio*, maszże zależeć tylko na tem, żeby ogłaszać nowe książki, dąć nowe systemy? Byłoby to iść dalej torem epoki starej, nie zaś rozpocząć epokę nową. Całym dowodem tego podniesienia ducha miałażby być robota syllogizmów? Jeżeli duch o jeden stopień podniesiony pokazuje życie podniesione także o jeden stopień, to życie powinno udowodnić się, szerząc koło siebie życia nowe.

Niech więc filozofja polska zapyta siebie czy ma tę siłę, niech wejdzie w siebie samą, bo postulata, życzenia, spodziewania się, i nawet definicje filozoficzne, nie stanowią jeszcze działania filozoficznego; a jeżeli tej siły nie ma, pierwszą jej powinnością jest szukać, zgadnąć, gdzie się ona znajduje.

LEKCJA XXIII

Wtorek, 13 czerwca 1843

W czem nakoniec filozofowie uznali *criterium* pewności. — Filozofja scholastyczna oparła się na metodzie. — Co to jest metoda. — Przedstawienie metody Heglowskiej. — Gdzie osadzają *criterium:* De Maistre, Lamenais, Leroux, Emerson,

Cieszkowski. — Przeczucie, *fatum*. — Jak ważną rolę gra narodowość.

Okażmy jeszcze niektóre wypadki dociekań filozofji niemieckiej, wypadki uważane przez szkoły za małoważne, ale dla nas tutaj nieobojętne, bo w tych punktach filozofja niemiecka styka się z francuską i słowiańską.

Po wszystkich rozprawach, w czem nakoniec filozofowie uznali *criterium* pewności? To jest, co może dawać człowiekowi ostateczne przeświadczenie, że to lub owo uczucie jest niemylnem, ten lub ów sąd jego prawdziwym? Bez tej pewności bowiem, bez tego przeświadczenia, niemasz działania, niemasz czynu; a właśnie mamy mówić o zastosowaniu filozofji do życia.

Zostawiwszy tymczasem na stronie filozofją religijną, bierzemy naprzód scholastyczną, pod którą podciągamy wszystkie systemy, objęte metodą Heglowską.

Filozofja scholastyczna nie mówi nam nic wyraźnego w tej mierze. Dla niej jedyna pewność, jedyna rękojmia tylko w metodzie: metoda sama jest prawdą. Skoro zaś przychodzi zastosować tę metodę do instytucyj politycznych, albo nawet do życia domowego, zaraz zdania rozmaitych zwolenników Hegla spierają się z sobą, co dowodzi, że mistrz ich wcale nie myślił o tem, kwestyj tych nie rozwiązał bynajmniej.

Szkolarze chełpią się wprawdzie, że się im udało metodę Hegla zastosować do umiejętności, do prawoznawstwa, do estetyki; ale całe to zastosowanie kończy się na wprowadzeniu kilku formuł do języka naukowego, i nie zdarzyło się nam dostrzec, żeby z rozwinięcia samej metody choć jeden fizyk, choć jeden chemik, prawnik lub artysta skorzystał cokolwiek.

Nim pójdziemy dalej, trzeba poprostu i popularnie zdać sobie sprawę, co to jest ta metoda; później, mówiąc o życiu politycznem, zobaczymy jej zastosowanie.

Metoda Hegla, jak to już powiedzieliśmy, jest niczem więcej tylko scholastyką podniesioną, albo raczej zniżoną do drugiej potęgi, zawsze wszakże w gruncie tem samem co metoda Arystotelesa. Poweźmiemy o niej najczystsze wyobrażenie, porównywając z lepiej znajomą, z metodą retorów naprzykład. Wiadomo każdemu,

że podług przepisów retoryki mowa powinna zawierać wstęp, wykład i zawiązanie. Wszystkie te części mają do użycia dla ozdoby, dla nakolorowania rzeczy, figury rozmaitego rodzaju, jako to retoryczne, myślowe, wyrazowe i t. d., których, za czasów kiedy kwitnęła ta nauka, trzeba było przeszło sześćset wyuczyć się na pamięć. Przepisy retoryki mają jaką rzeczywistą wartość? Są one wyciągnięte z postrzeżeń niekiedy bardzo głębokich i bardzo subtelnych nad sposobem, jakim myśl i uczucie pewnych prawideł swoich wydaje się w słowach, ale mogąż przydać się na cokolwiek? Bynajmniej. Nikt jeszcze nie został wielkim mówcą z łaski retorów. Jeżeli tedy retoryka nie może tworzyć Demostenesów, Cyceronów, do czegóż potrzebna? Stąd też skoro rozwinęło się prawdziwe życie polityczne i poetyckie, metodę tę zarzucono zupełnie. Metoda Hegla rozbiera podobnie rozumową robotę syllogizmów. Rozbiór ten jest głęboki, subtelny, ale nigdy nie nauczy nikogo rozumować.

Jednakże metoda Arystotelesa wytrzymywała długo wszystkie napaści, nie znikła nawet, tylko się przemieniła. I metoda Hegla będzie także trwała długo, a nakoniec przybierze tylko inną postać. Metody te nie zaginą nigdy. Są to, można powiedzieć, skoszlawienia myśli ludzkiej, które w stanach anormalnych społeczeństwa, stając się coraz częstsze, biorą niekiedy górę, jak owe żużle i popioły wulkanu, co zakrywają rozległe okolice. Bywają epoki, że twórczość ustaje zupełnie, a wtedy umysły oddają się całkiem wyrabianiu formy, ciągle ją dłubią i strugają. Jest to wówczas zatrudnieniem niezbędnym i nawet pod pewnym względem wielce użytecznem. Bywają znowuż pomiędzy umysłami we wszystkich czasach, nawet w epokach twórczości, umysły bardzo mocne a oschłe, nieprzystępne żadnemu wzruszeniu ducha, tłumiące wszelki zapał, skazujące się na wieczną niesposobność poczucia sztuki, dla których rozumowanie ma większy powab. Te, nie będąc zdolne wznosić się razem z mówcą, wolą wpatrywać się w pojedyńcze jego okresy, ważyć jego wyrażenia i słowa. Tak gmerając, nawykają pomału oceniać zewnętrzne formy sztuki i przychodzą niekiedy do tego, że czują ich piękność. Są duchy, które nie mogą inaczej wejść w życie jak przez książki.

Co się tyczy filozofji francuskiej, tej nadewszystko chodziło

zawsze o *criterium*, a w ostatnich czasach kwestja ta wygórowała u niej nad wszelkie inne.

De Maistre osadza to *criterium* w Kościele, we władzy papieskiej. Wedle niego, wielkie zagadnienia nie inaczej mogą być rozstrzygnięte jak przez papieża. Lamenais w wielu punktach idzie za De Maistrem, ale ostatecznie odwołuje się do uczucia powszechnego. Wedle niego wszystko o tyle jest prawdziwe, o ile ogół ludzi uznaje za prawdziwe, ponieważ każdy człowiek ma wrodzone uczucie prawdy. Stąd wynika, że abyśmy przyszli do poznania i rozwiązania kwestyj najważniejszych, trzeba jak najwięcej ludzi do udziału w rozprawach przypuścić. Papież u Lamenego nie występuje jako twórca prawdy, ale jakby pewien rodzaj prezydenta, który ma tylko obliczać głosy, dawać wyrok stosownie do postanowienia obywateli tej powszechności, zwanej przezeń to Kościołem, to chrześcijaństwem, to rodem ludzkim. Z tym trybem dochodzenia pewności zostajemy jednak w wielkim kłopocie, bo zasięgać powszechnego zdania ludzi nie mamy sposobu, a działać musimy codzień.

Leroux podniósł wyżej tę kwestją. Na miejscu zdania powszechnego stawia on rozsądek powszechny. Rozważając religje i historją rozmaitych ludów, postrzega wszędzie ślady jednakich mniemań względem Boga, nieśmiertelności duszy i powinności moralnych; a zatem wnosi, że wypadałoby zebrać te szczątki i utworzyć z nich zdanie, które byłoby zdaniem rodu ludzkiego.

Co do pewności wedle której należałoby postępować w życiu powszedniem, Leroux nie usuwa powagi mniemań narodowych. Zważywszy rolę jaką Francja odegrywała w chrześcijaństwie, widzi słusznie w jej dziejach dowód wysokiej i szczególnej misji, jaka zdaje się być zlaną na nią, i wskutek tego naród francuski nazywa *narodem religją;* kwestje moralne nawet sądzi wedle francuskiego sposobu widzenia rzeczy, poczytując go za najtrafniejszy. Bezwątpienia sąd całego narodu w takiej kwestji ma wcale inną wagę, niżeli wyrok której szkoły filozoficznej. Zdaniem Piotra Leroux, Francja znajduje się w warunkach najdogodniejszych do poznania prawdy, i, zdaniem naszem, to oczywista, że filozofowie różnych narodów muszą różnić się, jeżeli nie co do natury samej rzeczy obranej za przedmiot pracy, to przynajmniej co do zdol-

ności wydobycia mniej lub więcej prawdy. Tego wszystkiego filozofja niemiecka nie postrzega. Ostatniemi czasy filozofowie berlińscy uznali scholastykę przelaną przez Hegla za filozofją pruską, i mają w tem zupełną słuszność: filozofja ta nie mogła ani nastać ani rozwinąć się nigdzie indziej jak w Prusiech.

Co do metody czyli trybu rozkrzewiania prawdy, filozofowie francuscy są oskarżani, że nie mają żadnej. Jest to na ich zaletę; starają się oni krzewić życie, nie mogą uwięznąć w formach szkolarskich. Przed trzema set laty scholastycy podobnież zarzucali Bakonowi, że nie był filozofem, ponieważ nie trzymał się form syllogizmu.

Jakim sposobem możnaby otrzymać zdanie powszechne, Leroux nie wyrzekł nic pewnego, nie powiedział nam co czynić, żeby wejść w porozumienie z tym ludem powszechnym, którego natchnienia i wyroby widzi we wszystkiem.

Emerson, filozof amerykański, w opinjach religijnych bardzo podobny do Leroux, wierzy także w byt duszy powszechnej, obejmującej dusze pojedyńcze; ale Emerson, głębszy niżeli Leroux, stara się nadewszystko dać nam uczuć ważność utrzymywania się w tym stanie, który dozwala stykać się z duszą powszechną, usiłuje wybić nam z głowy przesądy, przyjęte mniemania, zaleca nawet pozbyć się wszelkich skłonności, a skupić się w samych sobie, mieć żywą wiarę w Boga i słuchać pilnie jego natchnień. Emerson wszakże zbyt obiera nas ze wszystkiego, nie uważając zgoła na czas, na miejsce, na naród w którym żyjemy. Człowiek Emersona nie ma ziemi pod nogami, unosi się gdzieś nie wiadomo w jakiej dziedzinie. Leroux daje nam przynajmniej za punkt oparcia się narodowość.

Zobaczmyż teraz, jaki pomiędzy temi dwoma dążnościami wziął kierunek Cieszkowski, który niekiedy w formułach swoich wyraża zdania wielu poetów, historyków i polityków polskich.

Cieszkowski przyszedł do poznania ducha. Człowiek, który wznosi się do tego stopnia, gdzie już bezpośrednio, wewnętrznie czuje się być nieśmiertelnym, gdzie już nabywa przeświadczenia, że jest synem Boga, że postępuje ku Niemu, taki człowiek tylko może mieć uczucie pewności moralnej. Była to prawda bardzo

starożytna, a przecież nieznajoma filozofom: Cieszkowski wydobył ją i wyłuszczył dokładnie.

Wszystkie przeto książki pisane o *criterium* pewności, wszystkie w tej mierze nauki szkolne są na nic, jeżeli człowiek własną pracą nie wzniósł się aż na szczebel, z którego już widać nieśmiertelność. Podniesienie się w duchu i praca ducha jest pierwszym warunkiem dojścia do czucia pewności moralnej. Mamy tutaj wyjaśnione to, co Schelling nazywa *organem prawdy*, nie mówiąc na czem ten organ zależy, co inni filozofowie mianują *dobrą wolą filozofowania*, co Kościół rozumie przez *łaskę*, a co Cieszkowski nazwał *owocem pracy duchowej człowieka*.

Powiedzieliśmy, że jest to jedna z prawd bardzo dawnych i samym tylko filozofom nieznajomych. Któż z nas nie mówił tego po tysiąc razy, że dziś lub wczoraj był w lepszem usposobieniu umysłu, że przeciwnie znowu wtedy lub wtedy czuł się niezdolnym do niczego? Czyliż nie zdarza się czasem być tak ociężałym, iż trudno nawet rozumieć co kto inny mówi? Życie ludzkie zatem składa się z chwil niezmiernie różnej ceny. Jakże filozofowie mogą mniemać, że bez najmniejszego względu na różnicę sposobu myślenia, ukształcenia moralnego, wartości wewnętrznej, każdy człowiek i w każdej chwili jest równie zdolny pojmować prawdy najwyższe?

Zbicie tego zarozumienia podsycającego dumę jest już wielką przysługą dla umiejętności. Jak ta prawda stosuje się do kwestyj politycznych, zobaczymy później.

Czyliż nie to samo usposobienie umysłu może nam dać możność pojęcia, co jest pewność moralna? Kiedy człowiek, uszedłszy część drogi dobrej lub fałszywej, staje nagle na punkcie, z którego postrzega koniec kierunku jaki wziął, i jakiego musi już trzymać się mimowolnie, postrzeżenie to staje się dla niego prawdą dotykalną, zwaną u starożytnych *fatum*, u ludu pomyślnem lub złowieszczem *przeczuciem*, staje się pewnością, występującą na scenę w opowiadaniach historyków już jako widmo Brutusa, już jako cień Banka, pewnością, która w każdym razie odejmuje nawet siłę do powątpiewania.

Stąd też wynikło, że ten, co wmięszawszy się pomiędzy filozofów niemieckich, podsunął definicją ducha, położył koniec po-

chodowi scholastycznej filozofji Niemców, i nazwisko jego zamyka historją tej filozofji, chociaż historjografowie jej nie poznali się jeszcze dobrze na tym zamachu.

Wedle słów Cieszkowskiego, filozofja niemiecka stanęła już u kresu, to jest metoda Hegla nie może już być doskonalona dalej. Wyrzekł on, że ta metoda już umarła, już powinna być uważana za klasyczną. I podobnie jak wieki średnie, a nawet czasy nowożytne, nie przestając uwielbiać dzieł klasycznych, rzuciły się jednak do utworów zwanych romantycznemi, tak też poglądając z uszanowaniem na prace filozofów niemieckich, można przewidywać, że ta część ludzkości, która nie może obejść się bez roboty rozumowej, będzie musiała szukać innego systemu.

Odkrywa się tutaj Cieszkowskiemu ważność roli narodów. Lud, który był organem poezji średniowiecznej, lud *romański*, dał swoje imię poezji romantycznej; ludem powołanym, jak sam Cieszkowski powiada, służyć za organ filozofji, którą on nazywa *filozofją ducha* (Geistes Philosophie), jest lud słowiański, i po epoce już przeszłej filozofji niemieckiej, albo raczej pruskiej, poczyna się epoka nowa filozofji słowiańskiej, filozofji ducha i życia.

Mimo to wszakże nazwaliśmy Cieszkowskiego *niewolnikiem myśli niemieckiej*. Tak jest; bo jeszcze nie otrząsł się on z metody, bo jeszcze wierzy w możność zachowania swojej, jak ją zwie, *dynastji Heglowskiej* i *karty parlamentarnej* filozofji niemieckiej. Będziemy go dopóty nazywali niewolnikiem, dopóki nie wyjdzie z tego położenia. Czas już, żeby otwarcie powiedział Niemcom, że dynastja Heglowska upadła, zeszła ostatecznie, a parlament filozofji niemieckiej jest zupełnie niedołężny.

Jeżeli przyjmiemy tę zasadę, że, aby otrzymać pewność prawdy, pewność moralności jakiego postępku, niemasz innego środka jak podnieść się w duchu, najważniejszem tedy zapytaniem będzie to: jakie do tego podniesienia się są sposoby, jakie pomoce zewnątrz i wewnątrz nas możemy znajdować, żeby się podnieść i utrzymać się w podniesieniu? — Pytanie zgoła niedotknięte przez filozofją szkolarską.

Przypomnimy tutaj, cośmy powiedzieli, roztrząsając systemy mitologiczne. W obrządkach rozmaitych religij widzieliśmy nic więcej tylko zbiór sposobów służących ku podniesieniu człowieka,

ku postawieniu go w takim stanie, aby mógł poczuć prawdę. Do podniesienia się takiego trzeba wielkiej pracy, wielkich pomocy.

Z tego możemy teraz wyprowadzać sobie wyobrażenie co to jest narodowość. Jak obrządki religijne usposobiają nas do łatwiejszego poczucia i powzięcia prawdy, tak instytucje narodowe nie są niczem innem tylko zbiorem pomocy danych człowiekowi na to, aby łatwiej mógł czucie w czyn zamienić, postawić na ziemi prawdę, którą otrzymał w świątyni. Spełnienie tej powinności jest ciężkie i wymaga wielkich pomocy, wielowiecznych trudów. Dlatego to człowiek bez narodowości jest człowiekiem niezupełnym, człowiekiem zdolnym wiedzieć, ale niezdolnym działać.

Pod tym względem będziemy później zastanawiali się nad instytucjami narodu polskiego.

LEKCJA XXIV

Wtorek, 20 czerwca 1843

Szkoły filozofji niemieckiej, zwanej religijną, i Ludwik Królikowski. — Co do *criterium:* Schlegel, Schleiermacher, Solger; Królikowski staje między nimi a Cieszkowskim. — W czem wyższy od Cieszkowskiego, a w czem Cieszkowski ma wyższość nad nim. — Ułomność systemu Królikowskiego. — Czy filozof może założyć społeczeństwo?

Szkoły filozofji niemieckiej zwanej religijną zeszły się także w systemie wyrobionym przez jednego Polaka, w systemie Ludwika Królikowskiego, reprezentującego filozofją polską emigracyjną.

Nadmieniliśmy już pierwej o tej filozofji religijnej; weźmiemy ją teraz znowu na uwagę pod względem głównych zadań, to jest zobaczymy co mówi o *criterium* pewności, jakim sposobem stara się wypadki swoich dociekań zastosować do życia rzeczywistego, i nakoniec jakie podaje dogmata socjalne.

Dawno już Schlegel nie widział innego sposobu wyprowadzenia nas z wątpliwości, jak radząc, abyśmy czekali na nowy wyrób rozumu, co miało być niczem więcej tylko ukazaniem się nowej władzy królewskiej. Ludzkość, zdaniem Schlegla, a mianowicie

część jej europejska, zbliżała się ciągle do wydania władzy królewskiej, która będąc razem zupełnie ojcowską i papieską, miała nam wskazać najdoskonalszą drogę postępowania. Ale ponieważ taki król nie zjawił się ani za czasów Schlegla ani dotąd, Schlegel więc nie rozwiązał niczego.

Z innej strony Schleiermacher, posuwając do ostatecznego kresu zasadę protestancką, siedlisko pewności kładł w każdem sumieniu pojedynczem. Podług niego, ludzie zgadzają się myślą, bo najprostsze wyrażenie myśli, syllogizm, we wszystkich głowach tworzy się jednako, ale różnią się uczuciami; uczucia zaś są to tylko sposoby jakiemi pojmujemy Boga, co wychodzi na to, że Bóg jest w ogóle uczuć wszystkich ludzi wziętych razem. Potrzeba tedy obudzać w ludziach uczucia, podniecać ich do mówienia, do działania. Tym sposobem rozwija się jednostka człowieka, a człowiek każdy rozwinięty staje się Kościołem. Podług Schleiermachera zatem, najlepszą metodą (bo metoda zależy także od *criterium)* byłaby dialektyczna. Każmy ludziom gadać, i słuchajmy ich. Jest to metoda Sokratesowska, z tą różnicą tylko, że tam duch Sokratesa mocą swoją obudzał i wyzwalał prowadzących z nim rozmowy, zdaniem zaś Schleiermachera i filozofów niemieckich, byle jacy ludzie, choćby najmierniejsi, skoro zaczną gadać z sobą i rozprawiać, wynajdą prawdę.

Filozof religijny, Solger, wychodzi znowu z tego stanowiska, że jest w ludziach naczelne uczucie zawisłości od Boga, na którem opiera się i religja i filozofja. Uczucie to leży w sumieniu, a sumienie pojedyncze jest wyrazem cząstkowym sumienia powszechnego. Kiedy nasze sumienie rozprzestrzenia się i mniej więcej wychodzi na powszechne, znajdujemy wtenczas w sobie wiarę: stan, w którym sumienie nasze zastępuje niejako sumienie powszechne, nazywa się wiarą. Stan ten objawia się przez czyn albo działalność, i człowiek sam sobie zdaje z niego sprawę. Filozofja wedle Solgera polega na samej sobie, nie potrzebuje religji; ale powinna, utworzywszy jaki system, zapomnieć się zupełnie, obrócić się w niwecz i znowu stać się czynem. Solger, nie mogąc pogodzić nieczynności filozoficznej, odznaczającej Niemców, z potrzebami naszych czasów, radził ludziom odbywać dwie roboty wbrew przeciwne: tworzyć naprzód filozofją, potem jej zapominać.

Co do filozofów religijnych szkoły Heglowskiej, ci stoją daleko niżej od poprzednich, i ani pod względem *criterium*, ani pod względem metody nic nie mamy o nich powiedzieć. Widzieliśmy zresztą co to jest w ogólności metoda Hegla. Ponieważ Hegliści zahaczają się o wszystko, chcąc wmówić, że ich metoda obejmuje wszystkie systemy, podgarniają więc pod nią i metodę dialektyczną. Powiadają oni, że niezawodnie różne osoby przedstawiające różne charaktery ludzkości, udzielając sobie nawzajem myśli i uczuć, utworzyłyby system zupełny; ale u nich niemasz osób, tylko są kategorje, które mają z sobą rozmawiać. Niepodobna bardziej oszukiwać terminami filozoficznemi, jak chcąc te kategorje Hegla podawać za jedno co osoby. Tu właśnie przychodzi na myśl, co Herder powiedział, mówiąc o logice i dialektyce Kanta, że to są dwaj nieboszczycy w piekle Dantowem: Ugolino pożerający swego Ruggieri.

Z tego braku *criterium* pewności pochodzi niemoc filozofji niemieckiej. Woła ona ciągle, że trzeba postawić społeczeństwo filozoficzne i polityczne, ale nie widzimy dotąd ani jednego jej poruszenia się ku temu.

Ludwik Królikowski połączył prawie wszystkie systemy wspomniane wyżej. Metoda jego trąci Solgerem, i niekiedy żywością pochodu przypomina Trentowskiego. Co do *criterium* stanął on pośrodku między Cieszkowskim a filozofami religijnymi. W mniemaniu jego, każdy człowiek ma na dnie swego sumienia zaród Boży. Zaród ten, który on nazywa Duchem Świętym, może się rozwijać, przyjść do uczucia swego bytu i siły, a wtenczas człowiek otrzymuje żywot wieczny. Królikowski zgadza się tutaj zupełnie z Cieszkowskim, który wielu ludziom odmawia niejako nieśmiertelności, a przynajmniej ducha. Ów więc zaród Boży, wskazywany przez Królikowskiego, wychodzi na to samo co *Geist*, duch, Cieszkowskiego. Od stopnia rozwinięcia tego pierwiastku zależy większe lub mniejsze natężenie życia duchowego.

Królikowski powiada razem, że ten pierwiastek jest dla człowieka ideałem, wzorem, modelem podług którego ciągle doskonalić się, i który zawsze przed oczyma mieć powinien. Na oddanie tej myśli popularniej szczęśliwie dobrał starożytny wyraz *modła*, i z niego pięknie wyprowadził znaczenie *modlitwy*. „*Modlić się* — mó-

wi — znaczy zupełnie toż samo co się kształcić.... *wzorować się* na obraz i podobieństwo Boże; jest to sięgać duchem szczytu doskonałości, której wzór mamy w pojęciu Boga ... Kto się zatem nie kształci, nie doskonali, nie przechodzi we wzór wystawiający obraz i podobieństwo Boże, ten się bynajmniej nie modli, tego modlitwa jest próżnem bełkotaniem, czczym dźwiękiem..."

Pod tym względem, zdaniem naszem, Królikowski ma nawet wyższość nad Cieszkowskim. Filozof nasz berliński lubo dał definicją bardzo zręczną i wielką tego, co lud słowiański rozumie przez wyraz *duch*, bynajmniej wszakże nie pokazał nam jak nabyć tego ducha, nie nauczył sposobów jak dojść na ów stopień, gdzie już możemy mieć żywot wieczny; przeciwnie, cały system Królikowskiego składa się ze środków, służących do rozwijania pierwiastku duchowego.

W tym celu, pilnując się tradycji narodowej i wyobrażeń ogłaszanych przez poetów i polityków polskich, któreśmy już wielekroć okazywali, za najpierwszy warunek postępu na drodze duchowej kładzie on ofiarę. Co większa, każe jeszcze pierwej pokutować. Rzeczywiście, żeby w tym postępie ze szczebla niższego wznieść się na wyższy, trzeba sobie obrzydzić to stanowisko niższe, oderwać się od niego. Pokuta, biorąc filozoficznie, nie co innego znaczy. Zdanie to wydaje się dzikiem scholastycznej filozofji niemieckiej, która nie chce ani słyszeć o pokucie. Dawniej już Spinoza rozwodził się z dowodzeniem, że żal i skrucha są uczuciami niegodnemi człowieka. Co się tyczy ofiary, ta właściwie jest tylko następstwem pokuty. Ofiara, to odrzucenie wszystkiego co nas wiązało ze szczeblem niższym. Ponieważ zaś Królikowskiemu idzie najbardziej o czyny, dlatego też wymaga i ofiary czynnej: wzywa do zrzeczenia się wszelkich korzyści społeczeńskich, rodziny, własności, narodowości, słowem wszystkiego co stanowi jakąkolwiek osobistość w ścisłem znaczeniu tego wyrazu; z warunkiem jednak, że to wszystko poświęcone odzyskamy w społeczeństwie nowem, gdzie będziemy już wtedy mieli prawo miłowania i nawet powinność zachowania tego cośmy pierwej dobrowolnie porzucili.

Żeby widzieć w czem tu Królikowski chybił, trzeba zastanowić się nad jego sposobem pojmowania osobistości. Zdaniem jego, Duch Boży, pierwiastek ducha, ożywia ród ludzki, ale człowiek,

który nie rozwija tego pierwiastku, albo nawet tłumi go w sobie, jest jakimś wyrodkiem; ród ludzki wzrasta ciągle, wyrodki te zaś nic nie wydają, nie mają żadnej siły twórczej, giną jako potwory, i to zaniedbywanie pracy albo fałszywe jej skierowanie stanowi osobistość, czyli, jak on nazywa, osobnictwo, którego nie cierpi, którem się brzydzi. Królikowski nie pojął osobistości pod względem duchowym, i w tem jest niższy od Cieszkowskiego.

Cieszkowski słusznie powiedział, że osobistość poczyna się razem z życiem duchowem, że człowiek, który poczuje się być synem Bożym, duchem nieśmiertelnym, oddziela się już przez to od zbitej w jedno masy swego rodzaju, i staje jako osoba duchowa. Tak ze szczebla na szczebel podnosząc się ku Bogu, jednostka ta nabywa coraz mocniejszego uczucia swojej osobistości, bo Bóg, który jest wszystkością i całością, jest razem największą, najzupełniejszą jednostką i osobą. Ta piękna definicja osobistości nie usuwa bynajmniej ofiary. Człowiek (nie trzeba brać tu człowieka za jedno co osoba) przechodzi przez tysiączne *ja*, nie tracąc swojej osobistości. *Ja*, jest to cały zbiór interesów i skłonności naszej jednostki w pewnem jej przejściu; *osobistość*, jest to czysty wyrób pracy naszego ducha.

Cały system Królikowskiego polega na tem, że pokuta i ofiara czynią człowieka zdolnym począć żywot duchowy, połączyć się z duchem Chrystusa, gdyż jedno jest tylko źródło prawdziwego żywota, z Boga przez Chrystusa Pana. Jak zaś powiedziano w ewangelji, że gdzie dwóch jest razem w Imię Chrystusa, tam Chrystus między nimi, Królikowski zjednoczenie takie bierze za zawiązek przyszłego społeczeństwa, i trafia tutaj na główny punkt kwestji, bo prawie wszyscy religijni filozofowie niemieccy podawali teorje wzniesienia budowy społecznej, a żaden nie wiedział co dla niej położyć za kamień węgielny.

Możnaby jednak w tem miejscu zrobić ważny zarzut naszemu autorowi. Z tego wszystkiego co mówi o Kościele wypada, że dotąd nie było Kościoła czynnego na ziemi. Jakże się to stało, kiedy przecięż słowa, zaręczające pomoc Chrystusową jednoczącym się w Imię Jego, nie od dziś dnia są wiadome? To powinien był wytłumaczyć. Czemuż nie objaśnił nas, jakim sposobem po ośmnastu wiekach on pierwszy dopiero zdołał znaczenie słów tych pojąć? —

Filozof nasz, lubo przyznał każdemu człowiekowi zaród boski, pierwiastek życia duchowego, nie zastanowił się dosyć nad niezmierną rozmaitością stopni rozwinięcia tego pierwiastku. Sam powiada, że wszystko czem jesteśmy, co posiadamy, winniśmy naszej wspólnej matce, naszej ojczyźnie, to jest społeczności w której żyliśmy. Otóż jak społeczności są różne, jak narodowości jeszcze bardziej różnią się jedna od drugiej, tak pojedynczy ludzie podług różnego stopnia swojego ukazują nieskończoną rozmaitość cech ducha. Jakże tedy można mniemać, że byle wziąć tych lub owych dwóch ludzi i złączyć ich w Imię Chrystusa, z tego zjednoczenia powstanie już Kościół? Ofiara nawet, którą filozof kładzie tu za konieczny warunek, może być różnej natury, podług różnej intencji jednoczących się, podług różnej ich mocy czucia i różnej zdolności podnoszenia się do Boga.

Idźmy dalej. Kościół, tym sposobem założony, powinien podług Królikowskiego polegać na braterstwie. Jest to znowu myśl zaczerpnięta z pojęć narodowych. Wiadomo, że nigdzie miłość braterska nie rozwinęła się bardziej jak u Polaków. Obywatel obywatela nie inaczej nazywał u nich jak bratem. Zdaniem filozofa, udoskonalenie tego braterstwa obdarzy wszystkich potrzebnemi cnotami, bo człowiek pojedynczy sam przez się jest niczem, niezdolny do niczego, może tylko pragnąć i cierpieć. Wszystkie obietnice Chrystusa Pana są dane Kościołowi; trzeba więc naprzód zbudować Kościół. Kościół ten niezawodnie będzie mądry, potężny, wszechmocny, podobny Bogu. Wszystkie dary Ducha Świętego znajdą się w tym Kościele.

Królikowski dodaje, że myśl naszą powinniśmy zawsze obracać ku rzeczom niewidomym, nie zaś widomym. Przestroga piękna i prawdziwa. Pod imieniem rzeczy niewidomych obejmuje on wszystkie dążności człowieczeństwa, przyszłość, cel rodu ludzkiego, i każe to mieć zawsze na widoku, kiedy przeciwnie dotąd we wszystkich ustanowieniach, we wszystkich prawach zapatrywano się ciągle na przeszłość. Królikowski nienawidzi przeszłości, ma ją za dziedzinę śmierci i potępienia, za przeklętą Sodomę, ku której oglądać się nie należy. Zachęca nas iść bezustanku naprzód, i zgodnie z pojęciami filozofji i poezji polskiej powiada, że jeżeli przeszłość wydała jakie owoce ku żywotowi wiecznemu, te jako wie-

czne nie mogą się stać doczesnemi, i znajdują się w obecności. Wyraził tu właśnie co rozumiemy przez tradycją i o czem będziemy jeszcze mówili, zastanawiając się nad narodowością polską. Kościół tedy, trzymając się tradycji żywej, powinien iść dalej. W tym Kościele, w tem zjednoczeniu zachowane będzie *veto*. Królikowski, zgodnie z najśmielej myślącymi filozofami swojego narodu, obstaje za tą instytucją okrzyczaną, widzi w tem najzupełniejszą rękojmię naszych praw moralnych, gdy każdy będzie miał swobodę działać *za* lub *przeciw* tej społeczności, podług tego jak postępowanie jej uzna być odpowiedniem lub przeciwnem prawdzie. Powiada nakoniec, że w takiem społeczeństwie, w takiem zjednoczeniu, wszyscy będą sprawowali urząd królewski i kapłański, co również wziął z narodowej myśli polskiej, bo nieraz kaznodzieje nawet mówili temu narodowi, że jest narodem królów i kapłanów. Tymczasem nim taki Kościół powstanie, zdaniem Królikowskiego, należy wojować ciągle i niezmordowanie z wszelką nieprawością wewnątrz i zewnątrz, w nas samych i poza nami, to jest zwalać wszelkiemi siłami stary układ towarzyski, a pragnąć nowego porządku rzeczy.

Autor nasz nazywa ten nowy stan społeczny, ten Kościół powszechny — Chrystusowym; nigdzie jednak nie wytłumaczył się jasno względem głównych dogmatów religji chrześcijańskiej: nie można dostrzec wyraźnie jak pojmuje sobie żywot pośmiertny, szczęśliwość wieczną. Z tego co napisał zdaje się, że, równie jak filozofowie niemieccy, chciałby ludzkość zamknąć zupełnie w bycie ziemskim, i nie lubi odrywać oczu od ziemi, gniewa się nawet kiedy kto wspomina o zbawieniu duszy, o królestwie niebieskiem, mniemając niejako, że szczęśliwość życia przyszłego przeciwi się szczęśliwości doczesnej. Gdyby zamiast opisywania społeczeństwa nowego, począł był społeczeństwo to tworzyć, gdyby zamiast gadania jak się jednoczyć, postawił nam na wzór choć kilku zjednoczonych przez się, mogąc wtenczas ze skutków sądzić o zasadach, uwolnilibyśmy go łatwo od rozpraw teologicznych; ale ponieważ wystąpił jako filozof i twórca nowego systemu, powinien był koniecznie rozwiązać naprzód zagadnienia kłopocące teraz religijną filozofją niemiecką, a przez niego zostawione na boku.

Mimo to wszystko nie wahamy się naznaczyć Królikowskiemu

wysokiego stanowiska pośród filozofów religijnych, z powodu, że usiłował skreślić dogmat społeczeński i wskazać obowiązki Kościoła, że wziął się przynajmniej do głównych i ostatecznych kwestyj filozofji.

Gdyby ci trzej filozofowie, których dzieła roztrząsaliśmy, pojęli byli lepiej jednostkowość i osobistość, mieliby byli także lepsze pojęcie narodowości. Nie z książek ani z systemów niemieckich wydobył Cieszkowski swój dogmat *ducha* i przeczucie filozofji nowej; ale stąd, że należał do wielkiej społeczności, długo uprawianej przez polityczne i religijne wypadki, znalazła się w nim iskra życia i siły, którą zaniósł pomiędzy filozofów niemieckich. Resztki tego życia i tej siły kolorują jeszcze karty pism Trentowskiego zapchanych formułami. Ta iskra ognia narodowego, ta myśl polska, którą Królikowski sam nazywa proroczą, drga w nim mimowolnie i sprawuje, że w filozofie ciągle krzyczącym na osobistość i narodowość przebija się cecha osobnicza charakteru narodowego. Uczucie narodowe, podniesione do stopnia odpowiedniego wysokości tych zadań, da ich rozwiązanie.

Rozbierając pisemko Cieszkowskiego, powiedzieliśmy już, że nie dość na *desideriach* i *postulatach* filozoficznych, ale potrzeba, żeby ten co z niemi występuje miał siłę je rozwiązać. Tęż samą uwagę zrobimy i filozofowi teraz nas zajmującemu. Jakże on tego nie widzi, że Jezus Chrystus, którego imię wspomina na każdym niemal wierszu, nie budował społeczeństwa podług tej lub owej doktryny, zapomocą tych lub owych wyobrażeń? Sam szanowny autor powiada, że ewangelja nie jest to przepis, jest to rozkaz; ale nie wie, że ten co daje słowo, daje razem moc jego spełnienia, i ta moc stanowi prawdziwe życie: bo Kościół był pierwej przed księgą nowego zakonu, bo ewangelja ustna trwała lat ze trzydzieści, nim pierwszy z ewangelistów napisał kilka jej kartek, a gdyby kto chciał wyciągać tym sposobem jedną lub drugą kartkę z całej historji chrześcijaństwa, i na tych odrywkach budować społeczność, zamąciłby jeszcze bardziej głowy zgłębiającym kwestje filozoficzne i religijne. Powtarzamy tylekroć już przytoczone słowa Garczyńskiego: „dać rozkaz i siłę z rozkazem.“ Dać rozkaz — to niedość, trzeba razem dać siłę jego wykonania.

Jeżeli więc nie próżno wszyscy dzisiaj spodziewają się wielkiej przemiany, jeżeli ludzie najbardziej przywiązani do starych ustanowień, jak naprzykład De Maistre, przeczuwali i przewidywali, że może nastąpić tak zwany przez niego *trzeci wybuch chrystjanizmu*, bez wątpienia wybuch ten nie odbędzie się wyjściem na świat kilku pisemek, ale, jak jest poetycznie odmalowany w Apokalipsie, zagrzmi w błyskawicach od wschodu do zachodu, i ujrzy go wszelkie oko.

Nie będzie tu od rzeczy przytoczyć kilka wierszy samegoż De Maistra, którego nikt zapewne nie nazwie marzycielem i nowatorem. Oto co on mówi:

„Czekajcie, aż umiejętność i religja, skutkiem naturalnego powinowactwa między sobą, połączą się w jednym człowieku. Nie będziemy zapewne czekali długo na niego; może już on i jest na świecie. (De Maistre pisał te słowa w pierwszych leciech naszego wieku). To położy koniec wiekowi ośmnastemu, trwającemu dotąd jeszcze. Miejsce genjuszu może zastąpić duch objawiciel. Wtedy o naszem głupstwie dzisiejszem będą mówili, jak my mówimy o przesądach wieków średnich. Wszystkie umiejętności zmienią swą postać, i pokaże się dowodnie, że wszystkie podania starożytne są prawdziwe.“ Dalej dodaje: „Ponieważ zewsząd mnóstwo głosów nie przestaje wołać: *Przyjdź, Panie*, możnaż dziwić się, że są ludzie którzy wyciągają ręce ku tej przyszłości wspaniałej?“

Słowa De Maistra: *Przyjdź, Panie*, powtórzył Cieszkowski, z wielkiem zgorszeniem filozofji niemieckiej, na początku i końcu swego pisemka kładąc: *Veni creator spiritus.*

Nie mamy za złe tym, co podobnie jak de Maistre, wyciągając ręce ku przyszłości wspaniałej, uznają trudność usiłowań pojedynczych; ale kiedy kto w jakikolwiek sposób zabiera się tworzyć nowe zjednoczenie, a nadewszystko nowy Kościół, co nie jest niczem innem tylko poczynaniem nowej epoki, niech odczyta sobie piękne karty De Maistra, gdzie on mówi o spodziewanym genjuszu i duchu objawicielu, a potem niech zapyta sam siebie przed Bogiem: jestem że to ja tym człowiekiem genjalnym, tym objawicielem?

LEKCJA XXV

Wtorek, 27 czerwca 1843

Zamknięcie roku. Krótki rys dziejów słowiańskich z zastosowaniem prawd okazanych w ciągu wykładu. — Ideał państwa Rosji. — Ideał rzeczypospolitej Polski. — Stary stan rzeczy w Słowiańszczyźnie już się kończy: śmierć moralna Lecha, Czecha i Rusa. — Człowiek wielki. — Duch nowy. — Wojsko *słowa* epoki nowej.

Instytucje polityczne państwa, jako wyrób ducha narodowego, dają nam miarę jego siły. Mówiliśmy także, że instytucje te uważać należy za zbiór środków i pomocy, które duch narodowy przyrządza sobie, aby mógł szczeblować do celu naznaczonego mu przez Opatrzność. Pod temi względami przypatrując się instytucjom ludów słowiańskich, widzimy w dziejach ich rozwijania się nieustanną walkę między *duchem*, usiłującym wyzwolić się, wznieść się wyżej, a *materją*, która ciągnie go ku ziemi, albo stara się uwięzić w tych lub owych formach.

Przypomnijmy tutaj cośmy powiedzieli w ogólności o rozległym rodzie Słowian. W końcu wieku VI. ukazuje się on na widok, już prawie mając zrealizowany ideał pożycia domowego i gminnego. Żyzność ziemi, łagodność obyczajów, przywiązanie do podań odwiecznych, urządzających własność, zbieg nareszcie wielu okoliczności, których tu na nowo wyliczać nie będziemy, dozwoliły mu osiągnąć stan prawdziwie błogi. Używając tego szczęścia, weselił się i skakał, tak, że poszło w przysłowie u współczesnych *Slavus saltans*, a nie myślił rozwijać się dalej, kiedy wszakże człowiek nie jest stworzony tylko do życia ograniczonego domem i gminą. Dla ruszenia go z niedostępnych ustroni, z cichych zakątków, trzeba było najścia cudzoziemców. Synowie Odina i konni Kaukazjanie przyszli zmusić Słowian do wzniesienia się na godność obywateli krajów. Powstało natenczas w Słowiańszczyźnie wiele księstw i królestw.

Ale wkrótce ociężałość bierze górę: duch słowiański chce już na zawsze pozostać uwięziony w formach tych państw drobnych. Rusini trzymają się uporczywie przy swoich księstwach; Serbowie

zapominają pobratymstwa ze szczepami północnemi; mieszkańcy odłamów królestwa polskiego, dumni ze swojej swobody i ukształcenia pod wpływem Kościoła katolickiego, poglądają z pogardą na resztę plemienników. Wszystko jest w rozdrobieniu, w zatargach, wszędzie nieład i zamęt. Opatrzność wtedy znowu zadaje plagę rodowi słowiańskiemu, popędza go naprzód. Z wyżyn Azji spadają na Słowiańszczyznę Mongoły, podkładają ogień pod te księstwa i królestweczka, palą miasta i wsie, dymem wykurzają z nor mieszkańców, gonią przed sobą do kupy, gwałtem każą im, żeby zajrzeli sobie w oczy i szukali wspólnego sposobu oparcia się takiemu uciskowi. Tymczasem z drugiej strony wypada z lasów nieznany lud litewski, rzuca się razem na państwa ruskie i polskie, i wszędzie osadza dynastje. Po uciszeniu się tej strasznej burzy widzimy podnoszące się jednocześnie trzy ogromy polityczne: Czechy, Polskę i Ruś.

Powiedzieliśmy dawniej przyczynę dlaczego zostawiliśmy na stronie Słowian Dunajskich, Serbów, i Czarnogórców, równie jak Słowian południowych od wielu wieków zeszłych z pola politycznego; i teraz więc będziemy mieli na uwadze dwie tylko główne narodowości: polską i ruską.

W głębi północy, pośród tych księstw ruskich zgniecionych przez Mongołów, powstaje nowa potęga: wielkie księstwo Moskiewskie. Środki, cel, plany, siła tej potęgi, wszystko to leży zebrane w duchu wielkich ludzi, następujących po sobie na tron tego państwa, które nazwaliśmy fińsko-ruskiem. Zdaje się jak gdyby duch Attyli, Dżengis-Chana, Tamerlana wcielał się kolejno w tych władców straszliwych, duch wyniosły, srogi, dumny, zawsze ufny w siebie, zaradzający sobie w każdym przypadku. Występuje on jako wróg i Finnów i Słowian, pożera wszystko co go otacza: rodziny, księstwa, narody. Tym postrachem jakim był pierwej głos rogowej trąbki Litwinów i tatarski okrzyk *hałła*, staje się teraz w Słowiańszczyźnie północnej jeden wyraz, *ukaz*. Wyraz ten przeraża mieszkańców stron tamecznych, wprawia ich w stan czujności, napędza do ruchu; po zgarnięciu w jedną całość księstw Rusi nie daje Rusinom usiedzieć w granicach kraju, rzuca ich na Tatarów, pchnie nad Dunaj, wypiera iść przeciw Polsce. Duch panującego włada wszystkiem, w duchu jego sprężyna i cel wszelkich dzia-

łań. Wszyscy mu służą. *Służba*, to hasło Rosji. Kto nie w służbie carskiej, ten uchodzi za niewolnika, nie liczy się za nic w państwie. Panujący zaś ze swojej strony nie ma żadnej powinności dla państwa, nie jest związany żadnem przymierzem konstytucyjnem, może tronem swoim rozrządać dowolnie, oddać go komu obcemu, może zmienić kształt rządu. Widzieliśmy tego przykład mówiąc o Iwanie Groźnym, któremu przyszło było do głowy zrobić wielkim księciem moskiewskim jednego Tatara, i osiąść spokojnie na ustroniu jak człowiek prywatny, skąd jednak duchem swoim trzymał cały kraj, aż póki nie podobało mu się znowu strącić z tronu ową biedną igraszkę swego kaprysu. Możemy przypomnieć, że Piotr W. także mianował był księcia Romodanowskiego imperatorem, cesarzem. Rzeczywiście nic nie przeszkadzało wtedy samodzierżcy Rosji ogłosić swoje państwo rzecząpospolitą, pozostać bez straży przybocznej, bez wojska, i mimo to być zawsze samowładnym panem, mającym moc w każdej chwili przerobić co zrobił, bo nie było jeszcze wówczas na ziemi słowiańskiej siły, zdolnej przeciwić się jego woli. Cesarz rosyjski nie ma żadnego obowiązku dla poddanych, a ma prawo wymagać od nich wszystkich usług publicznych. Nie nagradza nawet tego, uważa to za powinność. Musimy tu wytknąć grubą nieznajomość rzeczy pisarzom zachodnim, którzy wiecznie zapatrując się na Rosją podług swoich wyobrażeń, wątpią o jej potędze, bo już to mniemają, że jest bardzo uboga, już, że nie wiedzieć jakaś kasta Bojarów, której zgoła niemasz, może jej pomięszać szyki. Trzeba pamiętać na to, że w Rosji obyczajem mongolskim nie car płaci żołd wojsku, ale wojsko carowi. Jakoż i zapłata dawana służącym albo żołnierzom nazywa się po rosyjsku *żałowanje*, to jest niby podarunek, datek z łaski, ściśle mówiąc jałmużna. Car Wszech Rosji poddanym swoim daje jałmużnę. Niemasz przeto tam żadnych instytucyj; jest to kraj rządzony duchownie. Niektórzy znamienici publicyści już to postrzegali. Jeden pisarz francuski w dziele swojem o Rosji powiada wyraźnie: „Jest tam coś takiego co niezupełnie ludzkie, jest jakiś wpływ moralny mający źródło gdzieś indziej, nie w ciasnych kombinacjach polityki.“ [1]

---

[1] Patrz Dziennik *La Gazette de France* z roku 1835.

Straszliwego ducha tego użyła Opatrzność za narzędzie kary i udoskonalenia poddanej mu ludności; zmusiła ją tym sposobem czuwać ciągle, być zawsze w pracy wewnętrznej, zgadywać myśli swego monarchy i stosować się do nich. Przeto też z pomiędzy wszystkich Słowian północnych żołnierz rosyjski jest najbardziej dociągnięty, najlepiej wyrobiony, najwięcej zdolny pojmować i wykonywać wielkie rzeczy. Bierze on od swego monarchy potęgę moralną.

Polska ze swemi instytucjami tak rozmaitemi, i na pozór dziwnemi może, stanowi mocarstwo wbrew przeciwne Rosji. Od czasów bajecznych, od czasów tego króla kmiecia wybranego wśród uroczystości jednomyślnym okrzykiem współobywateli wolnych i wesołych, nie widać w tym kraju żadnego człowieka, któryby rozstrzygał los państwa, nie widać dynastji od którejby zależały koleje narodu. Niepodobna nawet oznaczyć gdzie w tem państwie leży środek działalności. Nic tu nie dzieje się przez pojedynczych ludzi, wszystko gromadnie. Jądrem państwa polskiego jest zjazd, zgromadzenie obradowe,*sejmik*. Cała historja polska składa się z uchwał rozmaitych zjazdów, zbierających się już powszechnie już osobno, czasem niezgodnych z sobą, rzadko kiedy po nieprzyjacielsku spornych, a zawsze działających jakby bez pewnego celu. Cała rzeczpospolita ma wszakże moralne ognisko swoje w zjeździe wielkim, walnym, czyli w *sejmie*.

Zobaczymy jakie są atrybucje i jaki jest tryb postępowania tych wspaniałych obrad.

Sejm polski różni się od wszelkich zgromadzeń politycznych, ma tę naturę co sobory Kościoła; nie stanowi nawet praw, nie wydaje przepisów, nie posiada żadnej mocy wykonawczej: zgromadza się tylko dla rozstrzygnienia jakiejkolwiek kwestji i zawyrokowania o jej słuszności. Za dawnych czasów, zwykle w uchwałach swoich kładł słowa: ktokolwiek przeciw temu uczyni, niech będzie przeklęty. Jeżeli rzecz idzie o wypowiedzenie wojny, rozbiera czy sprawiedliwe są do niej przyczyny, nakazuje posłom swoim zasięgać w tej mierze jak najdokładniejszych wiadomości, i nieraz zdarzało się, że nie przyjęto dobrowolnego oddawania się Polsce miast i prowincyj, gdy nie znaleziono prawowitych powodów odjęcia ich temu do kogo należały. Po rozwiązaniu kwestji ze strony moralnej,

czynność sejmu ustawała, a wtedy wszyscy, wedle sił i możności brali się do wykonania wyroku. Każdy szlachcic polski miał prawo kiedy chcąc prowadzić wojnę za granicą i tylko na sumieniu jego ciężyła odpowiedzialność. Rzeczpospolita nie miała sposobu wzbronić jemu tego. Jeśli państwo obce żaliło się o to, rzeczpospolita pozwalała czasem ścigać wojujących aż na swojej ziemi; ale nie wydawała nikogo. W razie wypowiedzenia wojny wskutek postanowienia sejmu, wszyscy mieli obowiązek sumienny stawać pod bronią. Sejm walny, zgromadzony prawnie, uważany był za opatrzony Duchem Świętym. Jest to dogmat zasadniczy konstytucji polskiej. Każdy z sejmujących miał prawo położyć swoje *veto*, zatrzymać czynność sejmu, a jednak rzecz dziwna, przez wiele wieków nikt nie śmiał użyć tego prawa. Wybór króla odbywał się na sejmie przez natchnienie Ducha Świętego. Każdy szlachcic, to jest każdy człowiek wolny, — bo ten wyraz *szlachcic* wprowadza w błąd cudzoziemców, którym przychodzi zaraz na myśl szlachta taka jak francuska albo angielska, kiedy należałoby raczej wyobrazić sobie coś podobnego jak *spahi* turecki, albo *homme franc* za Merowingów; — każdy tedy człowiek wolny, mógł być obrany królem, ale nie wolno było nastręczać się samemu, zbierać sobie stronników, czynić zabiegi, udawać się do jakichkolwiek tak zwanych praktyk, machinacyj, intryg. Wszystko to uważało się za grzech. Król obwołany na sejmie stawał jako ogniwo między religją a polityką, miał charakter święty i nawet niektóre atrybucje kapłaństwa. Wierzono, że przez niego spływało błogosławieństwo na naród, wymagano nadewszystko, żeby był świątobliwym i dobrym. Świątobliwość była warunkiem głównym; czynność, tęgość, zręczność liczono do przymiotów podrzędnych. Król nie mógł uczynić nic złego, nie mógł nikomu wyrządzić krzywdy: w wojnach nawet domowych sami polityczni przeciwnicy jego, wspominali o nim z uszanowaniem, przyklękając na kolano, albo przynajmniej zdejmując czapkę. Istotnie historja polska nie ma do wyliczania zbrodni królewskich, a cześć i miłość ku panującym, którzy szafowali wszelkiemi łaskami, i nie mieli nawet potrzeby karać kogokolwiek, tkwiła głęboko w uczuciach ludu. Zygmunt Stary, kiedy posłowie zagraniczni dziwili się, widząc go chodzącego bez straży wśród tłumów pospólstwa,

mawiał, że niemasz w całej rzeczypospolitej ani jednego człowieka, na któregoby piersiach nie zasnął spokojnie.

Wróćmy do praw politycznych. Skoro słuszność wojny została przez sejm uznana, król, jeśli chciał sam dowodzić wyprawą, wyruszał naprzód ze swoim pocztem przydwornym i objeżdżając panów, bogatą szlachtę, oznajmiał im o postanowieniu sejmu. Wszyscy ludzie dobrej woli ściągali się wtenczas pod chorągiew. Mamy naprzykład opisanie jak król Stefan zbierał wojsko przeciw Moskwie. Wstąpił on po drodze do jednego z panów gdzie spodziewał się otrzymać znaczny zasiłek. Pan ów przyjął go wystawnie, ale nie widać było nic takiego coby obiecywało królowi dobry skutek nadziei. Nazajutrz król już odjeżdżał w złym humorze, kiedy nagle postrzega na dziedzińcu pułk husarzy gotowy mu towarzyszyć, i przy pułku furgon ładowny pieniędzmi na opłatę żołdu żołnierzom; ledwo ujechał kilkanaście stai, spotyka drugi pułk jazdy lekkiej, uzbrojony najpiękniej i przy nim także furgon srebra; dalej nieco, znajduje czekający na siebie porządny pułk piechoty, znowuż z kasą opatrzoną na ciąg całej wojny. Wszystko to było kosztem właściciela dóbr tamecznych. Tym sposobem Batory zgromadził przeszło 100,000 wojska, którem zadał straszny cios państwu moskiewskiemu.

Jeżeli król nie wyruszył osobiście, hetmani skupiali hufce podobnąż koleją. Zawsze cała rzecz polegała na dobrej woli.

Nie inaczej działo się i w przedmiocie skarbu. Tego wyobrażenia, że wszystek pieniądz powinien przez skarb przechodzić, że w stanie normalnym społeczeństwa koniecznie tak być musi, aby każdy i na codzień był obłożony podatkiem, w Polsce nieznano. Sejm uchwalał tylko pewne opłaty dobrowolne i na czas określony, a częstokroć po zapadnięciu takiej uchwały, ludzie bogatsi opłacali z góry za całe ziemie lub powiaty, i wziąwszy kwit ogólny jechali upominać się u swoich spółziemian o zwrot ilości na każdego przypadającej. Urzędów, dostojeństw, obowiązków publicznych płatnych od skarbu nie było. Jeżeli naprzykład wypadła potrzeba wyprawić poselstwo gdzie za granicę, rzeczpospolita odzywała się w tej mierze do swoich bogatych i możnych obywateli, a ci, podejmując się tego obowiązku, nietylko, że musieli sprawować go zupełnie o własnym koszcie, ale nadto do nich należało przygotować podarunki

dla obcych dworów, kiedy nawet wziętych nawzajem nie mogli zatrzymać sobie, lecz powinni byli oddać rzeczypospolitej. Tym sposobem niektóre domy, między innymi dom książąt Zbaraskich, jedynie z powodu poselstw przychodziły do ubóstwa. Ale to poświęcenie majątku uważano za zasługę przed ojczyzną i nawet przed Bogiem, za środek zbawienia swojej duszy. Z myśli tej wynikał także zwyczaj, że wielu, umierając, zapisywało sumy pieniężne i ziemie dla rzeczypospolitej i królów swoich.

Sądownictwo odbywało się również na tej samej zasadzie. Po rozstrzygnięniu sprawy czy to przez sejmik, czy przez trybunał, woźny, który miał charakter herolda, czynił wiadomo wszem wobec i każdemu zosobna komu o tem wiedzieć należało, aby wszyscy wedle dobrej swojej woli przyłożyli się do wykonania wyroku sądowego. Wzywał przytem stronę obżałowaną do posłuszeństwa wyrokowi, i mamy w dziejach polskich pełno przykładów, że ludzie bardzo możni oddawali się sami w ręce sprawiedliwości. Zdarzało się nawet, że skazani na gardło, chociaż byli za granicami kraju, wracali dobrowolnie i przynosili głowy pod miecz katowski. Nie zamykano ich do więzień, nie przydawano im straży, używali najswobodniej czasu zostawionego do przygotowania się na śmierć. Szlachcic polski bowiem, któryby uciekł przed karą sądową, uważany był za infamisa, za człowieka bez czci i odwagi. Opinja publiczna ścigała takiego, jak teraz ściga tchórzów uciekających od pojedynku. Nie pojmując sankcji religijnej we wszystkiem, nie można zrozumieć historji polskiej; cały jej ciąg wtedy zdaje się być plątaniną nie podobną do rozwikłania. Szlachcic bogaty i możny, który trzymał dziesiątek tysięcy nadwornego żołnierza, osądzony na grzywny albo wieżę, bez oporu składał opłatę, dawał się woźnemu wziąć i zamknąć. Cóżby mu było łatwiejszego jak sprzeciwić się wyrokowi, ale oburzyłby na się opinją publiczną i, poszedłszy do spowiedzi, nie dostałby rozgrzeszenia. Duchowieństwo sanktyfikowało moc praw narodowych. W razie kiedy ucisk strony żałującej był widoczny, kiedy krzywda wołała o pomstę, wszyscy siadali na koń i sprawiedliwość wymierzała się prędko. W sprawach wątpliwych, gdzie zdanie powszechne nie mogło przechylić się odrazu na jedną lub drugą stronę, puszczano rzecz w przewłokę, dozwa-

lano rozpocząć proces na nowo, szukać lepiej wyjaśniających dowodów.

Do czegoż przeto zmierzały te wszystkie instytucje, jaka tkwiła w nich myśl ukryta? Oto celem ich było rozwijać ducha ludzkiego, trzymać go ciągle w podniesieniu, zmuszać, żeby coraz bardziej czuł własną godność, coraz lepiej rozumiał swoje obowiązki.

Człowiek wolny w Polsce nie mógł zdać wszystkiego na sejm lub sejmiki; skoro tylko zapadła uchwała powszechna, musiał ją brać sam na uwagę, oceniać jej słuszność, żeby stosownie do własnego przeświadczenia tak lub owak postąpił. Z dobrej woli zostawał on sędzią, żołnierzem, wykonawcą prawa, i obowiązki te trwały póty, póki miał dobrą wolę czynić im zadość. Nigdzie w świecie nie było przykładu podobnie zapewnionej wolności osobistej. Nie znamy też instytucyj skierowanych lepiej do uczynienia człowieka wolnym, wznoszenia go bezustanku nad interesa materjalne. Za każdym razem kiedy dawał grosz na potrzeby kraju, składał ofiarę, i dawszy, czuł rozkosz, że wspomógł rzeczpospolitą. Wielekroć odbywał wojnę przeciw nieprzyjacielowi, miał to i za usługę ojczyźnie i za dzieło pobożne, za dzieło takie jak wyprawy krzyżowe. W samym nawet kształcie rządu okazywała się wielka i piękna rozmaitość. Sejm walny przypuszczał *veto*, ale w niektórych okolicznościach zawiązywano sejmy konfederacyjne, i wtedy obrady odbywały się jak w parlamencie angielskim i w izbach francuskich, wotowano tajemnie i rozstrzygano kwestje większością głosów. Izby sejmowe już zbierały się osobno, jak teraz we Francji i Anglji, już niekiedy łączyły się razem i składały jedną izbę. Tym sposobem rząd ten mógł przybierać wedle potrzeby formę, to parlamentu angielskiego, to izb francuskich, to niejako soboru Kościoła, to znowu zgromadzenia czysto politycznego, a czasem dyktatury. W bezkrólewiach Polska zaprowadzała u siebie rząd dyktatorski. Ponieważ wedle wyobrażenia narodowego król był rękojmią wolności, Polska pozbawiona króla, przywdziewała żałobę, kaptur. Stanowiono natenczas tymczasowe trybunały zwane kapturowemi, opatrzone władzą wyłączną, które mogły wszelkie sprawy sądzić na gorącym razie i bez apelacji, a miały prawo zupełne nad majątkiem i życiem każdego. Podobnaż władza dyktatorska bywała dawana hetmanom. Hetman koronny albo litewski, dowodzą-

cy wojskiem, reprezentował niejako w osobie swojej całą rzeczpospolitą, miał prawo miecza, mógł obdarzać szlachectwem, mógł niekiedy sądzić sprawy cywilne i kryminalne.

Skreśliliśmy tutaj ideał stanu Polski, ale daleko jeszcze było do tego żeby Polska go zrealizowała. Doświadczała ona ciężkich przeszkód w tej mierze; wszystkie państwa europejskie szły w kierunku wbrew jej przeciwnym. Europa, cała brnąc w materjalizm, scholastycyzm, formalistostwo, metafizyczność, nie mogła pojąć tego życia tak rozsianego wszędzie, tak igrającego rozmaicie, okrzyczała je za bezład: Europa obróciła się przeciw Polsce!

Żeby uzupełnić ten ideał, dodamy czem powinien był być król podług wyobrażeń polskich. W Rosji, jak cesarz Paweł powiadał, niemasz nikogo ktoby cokolwiek znaczył; ten tylko jest potężnym z kim cesarz gada, i jest nim dopóty, dopóki słyszy jego słowa. Skoro jego cesarska mość obróci się w inną stronę, wielkość ta znika, człowiek wielki znowu staje się niczem. Otóż w Polsce podobnie rzecz miała się co do króla. Królem był ten z kim Duch Święty rozmawiał, i królowanie jego trwało dopóty, dopóki doznawał tej łaski. Polska nie urzeczywistniła całkiem tego ideału. Zdołała ona tylko tak urząd królewski, jak wszystkie inne uczynić dożywotniemi, nie doszła aż do zamienienia ich w doczesne. Konstytucja jej miała sama w sobie niezmierną trudność: wymagała po obywatelach nieustannych i niesłychanych wysileń moralnych, zdawała się nie przypuszczać ludzi innych jak zawsze wspaniałomyślnych, albo chcących być takimi, zawsze mądrych albo starających się o mądrość, zawsze poświęcających się albo gotowych do poświęceń. Te wymagania były za ciężkie na Polaków, i konstytucja ta nie mogła wytrwać.

Nic w tem dziwnego. Wszystko im prostsze i mniej rozwinione, tem jest trwalsze. Budowy Cyklopów i Egipcjan przetrwały rewolucje państw i nawet żywiołów. Są to grube i surowe głazy; nie widać jeszcze przebijającego się w nich ducha. Pomniki budownictwa greckiego, bardziej już oderwane od ziemi, wysmuklejszych kształtów, mają jednak większą trwałość od tych delikatnych dzieł architektury średniowiecznej, które zdają się rozlatywać w powietrze, i wiadomo, że duch, utworzywszy je, musi ciągle, bez odpoczynku czuwać nad ich zachowaniem. Podobnie dzieje się i z

ciałami organicznemi. Zwierzę im podlejsze, tem szerszą podstawą dotyka ziemi. Człowiekowi, nie więcej tylko żeby stał na nogach, trzeba już i materjalnego i moralnego wysilenia, bo skoro traci uczucie samego siebie, zaraz obala się, upada, staje się stworzeniem niższego rzędu.

Jak tedy okazują dzieje Polski, naród ten dążył do zaprowadzenia rządu, do utworzenia społeczeństwa polegającego na *wewnętrznym popędzie i dobrowolności.* Nie można powziąć prawdziwego wyobrażenia o tym kraju z pism historyków zapatrujących się na wszystko przez cudzoziemskie przesądy; mało nawet w tej mierze oświecić może własne jego prawodawstwo pisane, bo napchano weń pełno formuł obcych: wyobrażenie to całe i najszczersze daje się wyciągnąć z powieści gminnych, z poezji ludu, z anekdot, z pamiętników niektórych i z żywotów mężów znakomitych. Dodamy jeszcze, że co się tyczy zrozumienia jaki był rząd w Polsce, najlepiej naprowadza na to Swedenborg, opisując krainę duchów. „Jest to królestwo — powiada — bez praw pisanych, królestwo rządzące się zwyczajami, gdzie duchy zawsze czujne są w ciągłej gotowości do usług wzajemnych i każdej chwili mają baczność wytężoną żeby pojąć stosunki nieskończenie rozmaite a coraz nowe, i odnieść z nich owoc". Nie bez przyczyny też polityczny filozof Królikowski wyrzekł śmiałe zdanie, że w Polsce jaka ma być kiedyś nie będzie praw pisanych. To jedno powiedzenie mogłoby mu już dać zaszczytne miejsce pośród publicystów polskich.

Długi czas pracując nad utworzeniem i utrzymaniem tak wielkiego i trudnego porządku rzeczy, szczep słowiański w Polsce uległ nareszcie znowu pokusie używania. Królowie chcieli używać sobie miłości poddanych i tego bezpieczeństwa jakiego nie miał żaden monarcha europejski; panowie chcieli używać dostatków i znaczenia; szlachta cała, zrobiwszy z Polski za Sasów, jak jeden pisarz angielski powiedział, powszechny i nieustający jarmark, oddała się wesołości i nie wiedzieć na czem opartym a zawsze najpomyślniejszym nadziejom. Wszyscy paradowali, pili, szumieli, cieszyli się z dobrych czasów, obiecywali sobie błogą przyszłość, a wśród tych godów zapomnieli o losie biednej i pracowitej klasy. Szlachta, zamykając się sama w rzeczypospolitej, chciała wzbronić do niej wstępu wszystkim, którzy nie mieli klejnotu szlacheckiego,

zamierzyła sobie zostać kastą, i tem bytowi swemu położyła koniec. Jak niegdyś gminy, a później księstwa, tak teraz rzeczpospolita musiała być starta, i należało spodziewać się nowego wyzywu od Opatrzności.

Tak więc kiedy Czechy i kraje Słowian naddunajskich, oddawna zatrzymane w rozwijaniu się, pozostawszy tylko wiernie przy swoich cnotach domowych i prywatnych, oczekują lepszego porządku rzeczy, w dwóch państwach długo walczących z sobą, przyszło wreszcie do osłabienia z obu stron ducha, który je ożywiał. I temu bowiem straszliwemu, samowładnemu duchowi Rosji poczyna braknąć mocy. Duch Czechów i Polaków przeniknął masę Rosjan, rozciekł się po niej. Dzisiaj jenerał albo urzędnik rosyjski, mając sobie polecony do wykonania okrutny rozkaz monarszy, czuje potrzebę usprawiedliwić go pierwej we własnem sumieniu, nie wierzy ślepo po dawnemu w niemylność moralną cesarza, stara się nawet czasem złagodzić surowość rozkazu, a to małe spuszczenie w tęgości służby, jakiego pozwalają sobie naczelnicy i wykonawcy niżsi, pokazuje już zanoszenie się w Rosji na niezmierną zmianę. Z drugiej strony, byłoby rzeczą próżną i na nic nieużyteczną, gdyby kto spodziewał się jeszcze, że Polska dawna może powrócić z królewskością, która upadła z własnej winy, i ze szlachtą, która się sama zabiła.

Tak jest, wielka walka owych trzech braci mitycznych, Lecha, Czecha i Rusa, już się skończyła. Wszyscy trzej pomarli, i daremnieby teraz chciał kto w imię starej nienawiści narodowej podżegać ich potomków jednych przeciw drugim. Ludzie, ugrzęźli w przeszłości, rachują jeszcze na ten środek, ale powtarzamy, trzej owi patryarchowie zstąpili do grobu, a ludy słowiańskie szukają w niebie i na ziemi dziedzica ich puścizny.

Wszystkie państwa w czasach starożytnych i nowych były zakładane przez wielkich ludzi. Cóż to jest człowiek wielki, i czemu jest wielkim? Oto, że każdy z nas małych postrzega cząstkę siebie w jego wielkości. Nie było Araba, któryby nie czuł w Mahomecie swoich własnych drgnień duszy. Dlaczego Napoleon był tak wielkim? Oto, że każdy Francuz, w energji tego człowieka, w rzutkości jego za czuciem rozstrzygającem wszystko natychmiast, poznawał istotne cechy ducha francuskiego, poznawał co sam taje-

mnie czuł w głębi siebie. Kto tylko pojmuje całą ważność kwestji słowiańskiej, kwestji o losy plemienia najliczniejszego, i materjalnie najmocniejszego z pomiędzy wszystkich, ten nie spodziewa się widzieć jej rozwiązanej przez kombinacje polityczne. Od wieków wielkie państwa powstawały z wielkich ludzi, i zawsze przyjściu ich na świat towarzyszyły dziwne zdarzenia i cuda. Zjawienie się ducha nowego pośród Słowian powinno mieć te znaki tajemnicze. Ród słowiański jest religijny, prosty, dobrotliwy i silny. Duch nowy, który odezwie się do skłonności tego rodu, musi przedstawiać wszystkie jego domowe, gminne i polityczne przymioty. Trzeba, żeby w tym duchu Czesi, Polacy i Rosjanie ujrzeli, że są braćmi.

Gdzież jest kolebka tego ducha? Może to obrazi naszych pobratymców Czechów, Rosjan i Słowian naddunajskich, których ogarniamy równą i szczerą miłością, ale powiemy otwarcie: miejsce tej kolebki jest oznaczone na karcie Słowiańszczyzny. Niech pytają u dziejów wszystkich narodów, a te im wskażą. Kolebka ta nie może być gdzieindziej jak pośród ludu, który z pomiędzy ludów słowiańskich najwięcej cierpiał, najbliżej stykał się z Europą, najwięcej wziął od Europy i najwięcej służył Europie. Pod każdym z tych warunków pierwszeństwo należy się ludowi polskiemu. Zasłużył on na ten przywilej nie przez swoje czyny bohaterskie, ale przez długą i straszliwą mękę.

Przypomnijmy co powiedział poeta i prorok polski, Brodziński, że największy genjusz na ziemi poślubił sprawę najnieszczęśliwszego narodu. Mówił o Napoleonie i o Polsce. Zgadywajcie przeto, jaki duch powinien był urodzić się z tego małżeństwa, starajcie się go poznać, bo spełni on swoje posłannictwo czy z wami, czy bez was, czy choćby mimo was nawet.

I cóż ten duch przyniesie ludom zachodnim? minęły bowiem czasy, kiedy narody mówiły: każdy u siebie, każdy dla siebie. Na czemże zależałby postęp narodów, gdyby nie zmierzały do zbudowania jedności religijnej, politycznej i społeczeńskiej? Słowianie uczuli tego potrzebę, ale nie mają siły, aby to spełnić. Jużeśmy dawniej obszernie wyłożyli, że ogniskiem wszelkiego ruchu i wszelkiej siły jest Francja. Ale Francji obarczonej brzemieniem spraw całej Europy, ogarniętej przeszłością długą i świetną, a mającą ży-

cie mocne, kłopotanej od interesów obecnych, które ze strachem pozierają na przyszłość, trudno pojąć własną wielkość; nie dostała ona jeszcze miary do zmierzenia swojej potęgi: ludzie dzielni, ludzie z drgnieniem prawdziwie francuskiem w piersiach, oglądają się naokoło gdzieby znaleźć punkt oparcia się i dźwignią do działania. Zakończymy tedy, odzywając się z zaręczeniem do genjuszu Francji i do ludzi, którzy nie zwątpili o przyszłości, z zaręczeniem jakiemu pewno współrodacy nasi nie zaprzeczą, że w rodzie słowiańskim znajdą podporę, zachętę i narzędzie. Niech ród ten uważają za przyszłe wojsko tego SŁOWA, co tworzy epokę nową.

KONIEC TOMU SIEDEMNASTEGO

ADAM MICKIEWICZ

DZIEŁA

POD REDAKCJĄ
PROF. DR. MANFREDA KRIDLA
Z PRZEDMOWĄ
BOYA-ŻELEŃSKIEGO

WARSZAWA 1929
BIBLJOTEKA ARCYDZIEŁ LITERATURY

TOM OSIEMNASTY

LITERATURA SŁOWIAŃSKA

ROK CZWARTY, 1843—1844

Przekład

FELIKSA WROTNOWSKIEGO

LEKCJA I

Piątek, 22 grudnia 1843

Wstęp. Dążność wykładu w latach przeszłych i zamiar na rok poczęty. — Związek ducha słowiańskiego z francuskim. — Co Słowianie przynoszą nowego na scenę świata. — Na czem polegać może nowe przymierze ludów. — Ten sam zaród narodowości polskiej i francuskiej. Żywy tego dowód. — Stopnie znaczenia katedry literatury słowiańskiej w Paryżu.

Przy wstępie w dalszy zawód mojego wykładu mam to pokrzepienie, że mogę wskazać na fakt, który przedmiot jego czyni mniej obcym dla publiczności tutejszego kraju. Faktem tym jest interes, jaki w zakresie polityki wyższej, literatury i nawet potocznego życia, zaczyna obudzać wszystko co się ściąga do ruchu ludów słowiańskich.

Podróże po Rosji i krajach austrjackich, książki rozprawiające o przyszłości Austrji i Prus, wychodzą jedne po drugich i mają licznych czytelników. Autorowie tych dzieł wszyscy prawie zgadzają się z sobą w niektórych punktach głównych; wszyscy twierdzą, że w północnej i środkowej Europie gotują się zmiany, które muszą wywrzeć wpływ na stan całego globu; wszyscy także uważają za rzecz nagłą, dać o tem znać Francji, powołać ją do zajęcia stanowiska odpowiedniego jej siłom, tak widomym, jako i tym co ukryte jeszcze dają się przewidzieć ludziom, idącym bardziej za czuciem wytężonem w przyszłość, niżeli ubitemi ścieżkami przeszłości.

Rzecz godna uwagi, że jeden pisarz niemiecki, w świeżo ogłoszonem znakomitem dziele swojem o Austrji, naznacza Francji pierwszą rolę w robocie przebudowania Europy. [1]

Przeszłe trzy lata poświęciliśmy niejako na utorowanie drogi umysłowi francuskiemu do tych krain nieznanych, gdzie się przyszłość wyrabia. Okazaliśmy, że przeczucie bliskiej ruiny państwa austrjackiego, tak niegdyś groźnego Francji, że niepewność dająca się postrzegać w krokach monarchji pruskiej, że szumna nadstawność jaką Rosja chce tłumić świat i własne obawy, że słowem wszystkie te symptoma pochodzą z jednej przyczyny, z obudzenia się ducha rodu słowiańskiego.

Ród ten pragnie żyć, przychodzi do życia, a życie to w żaden sposób nie może się pogodzić z bytem państw, trzymających go pod swojemi rządami. Życiu temu na pole rozwinięcia się jest wyznaczona przyszłość, a rządy, co swoim ciężarem gniotą Słowiańszczyznę, pochodzą całkiem z przeszłości, polegają na niej, krępują się do niej z zapamiętałym uporem rozpaczy.

Bardzo trudno było poznać dążności, potrzeby i życzenia plemienia słowiańskiego, bo różne jego ludy odosobnione jedne od drugich, strzeżone przez rządy, nie mogą inaczej porozumiewać się między sobą, jak rzucając nawzajem książki filozofji i poezji. Książek tych ledwo urywki dolatują na Zachód, a jeszcze żeby i z tych urywków dojść czego, trzeba znać skrytości tamtostronnych kłótni i nadziei, jak trzeba było umieć składać i sztukować owe kartki sybilijskie, co wiatr wynosił z jaskiń, żeby wyczytać z nich przyszłość.

Plemię to samo jeszcze nie zna swego przeznaczenia: woła w tej mierze o pomoc, którą tylko Zachód dać mu może.

Nie przyszedł nawet jeszcze czas powiedzenia wszystkiego o Słowianach. Opatrzność chowa najważniejsze tajemnice narodowe na stanowczą chwilę działania, i nie wolno czynić z nich przedmiotu ciekawości publicznej.

Dopełniwszy pierwszego zakresu naszych usiłowań, których celem było okazać Słowianom samym, co się dzieje i co się gotuje

---

[1] Dzieło to pod tytułem: *Oesterreich und seine Zukunft*, jest już tłumaczone na język francuski.

w różnych odłamach własnej ich ludności, odkryć im tajemnice przyszłego ich zawodu, zakończyliśmy odezwaniem się do nich, aby starali się pojąć jaki szczególniej znak widzieć należy w założeniu tej katedry.

Teraz porzucamy sprawy wyłączne i interesa miejscowe Słowiańszczyzny, przystępujemy do drugiej części naszego kursu, zabieramy się wypełnić obowiązek najistotniejszy, najświętszy, niezbędny dla tego, kto się odważa stawać jako organ ogromnych ludów.

Przyszła już pora uczynić zadość tym wyzywom odbieranym z krajów słowiańskich, w których dopominano się u mnie, abym wybrnął ze szczegółów, a dał głos duchowi słowiańskiemu do genjuszu *Wielkiego Narodu*, abym wywołał tego ducha, i wywnętrzył jego skrytości.

Powinienem także odpowiedzieć na to pytanie jakie Francja ma prawo nam uczynić: „Słowianie, cóż nowego przynosicie? Z czemże przybywacie na widownią świata?“ Odpowiedź na to pytanie, które oddawna wyczytałem w mojem sumieniu, mam już wskazaną w tem co się koło nas dzieje, i pobudki zewnętrzne nawet skłaniają mię, abym wyraził ją z całą szczerością

Kiedy widzę tych autorów, o których nadmieniłem, kiedy słyszę publicystów zachodnich, zewsząd zapowiadających niebezpieczeństwo od Północy, a kiedy przytem patrzę jakim to tonem mówią oni o tem przerażającem, niezrównanem niebezpieczeństwie, częstokroć dreszcz mnie przebiega z obawy o Zachód. Publicyści ci, niezdolni wznieść się na szczebel odpowiedni wysokości tego o co tu idzie, uwiadamiają o postępie tej groźnej potęgi z taką krwią zimną, z jaką niedawno lekarze donosili o szerzeniu się owej straszliwej zarazy, co ze stepów azjatyckich kroczyła ku nam, zmiatając tysiące ludzi, i zatykając po miastach swój sztandar czarny. W tych drukach, w tych zapowiedziach, w tych ostrzeżeniach, nie przebija się nawet ten zapał, jakim drga naród waleczny na samą myśl spodziewanej walki, bądź materjalnej, bądź moralnej. Ani w pismach, ani w słowach publicystów niemasz zgoła tego tonu, który pokazuje moc wewnętrzną.

Naszą powinnością jest zatem dowieść, że ten zapał, to oburzenie się, te wszystkie znaki siły znajdują się w jednym wielkim

narodzie; i jeżeli nieprzyjaciel grozi wam z tamtej strony, macie tamże gotowych sprzymierzeńców: wzywają oni was, i możecie polegać na przymierzu z nimi.

Dotąd, — wiemy o tem, — przymierza państw i ludów opierały się jedynie na tak zwanym interesie materjalnym, handlowym, wojennym. Niekiedy dawano im za podstawę jednostajność niby zasad politycznych, a jakby raczej powiedzieć należało, form rządu. Ależ maszże to tak być zawsze? W stosunkach życia powszedniego nie wchodzimy z nikim w spółkę, dającą nam wewnątrz swobodę pełnego zaufania, aż dopiero kiedy poznamy, że ten co się chce zespolić z nami, ma taki sam zaród życia jaki nas ożywia, aż kiedy poznajemy instynktownie i mimowolnie, że człowiek, który ma stać się naszym przyjacielem, towarzyszem broni, jest naszym bratem w duchu. Jeśli więc jesteśmy tak wymagający w doborze naszych związków osobistych, nie przestaniemyż nigdy za kamień węgielny przymierzy pomiędzy ludami kłaść tylko interesów znikomych? Tak być nie może. Trzeba byłoby chyba odrzucić precz Ewangelją i z dusz naszych wydrzeć skarby żywotów w nich złożone; inaczej ludy muszą przyjść koniecznie do pilnowania się w swoich związkach tych samych prawd wewnętrznych.

Dlategoż ludy słowiańskie ogólnie, a Polska w szczególności, mają prawo wymagać po mnie, abym dał wam żywe świadectwo tego pędu, tej miłości jakie tkwią w nich ku Francji; mają prawo dopominać się u mnie, abym usiłował wydobyć z mojego ducha choć iskierkę, choć promyk, któryby służył wam za dowód dotykalny, że jest wielkie płomię, wielkie światło. Idzie tu o to, żebyście poczuli, że zaród moralnego życia w nas jako w narodzie jest ten sam, który stanowi pierwiastek narodowości francuskiej.

I nie wolno mi już przekonywać o tem tylko z książek, zapomocą rozbioru systemów, wyszukując starannie po drukach Zachodu, jakem czynił dotąd, coby mogło torować publiczności ścieżki, prowadzące w stronę gdzie leży przyszłość, ułatwiać jej pojęcie co jest świętego, wielkiego i silnego w dążnościach naszego ludu.

Z jakimże dowodem mam wystąpić, któryby był głównym i zawierał treść wszystkich innych? Dowód ten przynoszę w sobie samym, w mojej osobie, w mojej duszy, w mojem sumieniu. Nie znam nigdzie w świecie drugiej takiej publiczności, do którejby w ten

sposób przemawiać można było. Francuzi tylko są zdolni rozumieć, że mowa, ton, głos są to rzeczy niezawodzące nigdy, że dźwięk głosu jest dowodem tego co się mówi. Powinienem więc z wnijściem w samego siebie zapytać moich słuchaczy: Czy czujecie, że każde moje słowo jest wydobyte z mojego wnętrza? Skoro duch wasz odpowie wam że *tak*, wtedy będziecie obowiązani natężyć całą waszą uwagę, ja zaś użyję wszystkich sposobów, żeby ją wzbudzać i utrzymywać. Chociażby mi przyszło obrazić nawyknienia moich słuchaczy, chociażbym musiał wreszcie na gwałt krzyczeć, będę krzyczał. Krzyki te nie będą mojemi własnemi: ja osobistość moją poświęciłem na ofiarę; wydzierają się one z głębi ducha wielkiego ludu. Od samego dna jego wszystkich podań, przebiwszy się przez duch mój, upadną tu pomiędzy wami jak strzały, dymiące się jeszcze krwią i znojem.

Nieinaczej tylko życiem dając wam dowód rzeczywistości życia, i pokazując na oko, że istotnie jest siła, na której polegać możecie, będę mógł być pewnym waszego współczucia; a wy z waszej strony także poznacie wtedy, jak wielkiej ceny może być współczucie ludu, co żyje tak daleko i tak mało znany.

Ileż to razy w niebezpieczeństwie, w omdleniu z trudu, głos żołnierza przybiegającego nam na pomoc, widok przyjaciela, obudza w nas siły! Tak to życie staje się zasiłkiem życia. W tem jest ostateczny wypadek żywota pojedynczych ludzi i narodów. Ludzie— powiada poeta łaciński — przechodzą szybko, podając jedni drugim lampę życia, *lampa vitae*. Podobnież dzieje się i z narodami.

Człowiek, któremu dano wznieść tę lampę, tę czarę życia, powinien trzymać ją czysto i wysoko, żeby się mogła napełnić treścią całej żywotności i mocy narodu. Powinien wtedy zapomnieć o sobie. Zapomnieć, to mało jest powiedzieć: powinien zatrzeć samego siebie wśród swojej publiczności. Do takiej ofiary wyzwany jest stojący na tem miejscu.

Ile zdołałem nasączyć w moją duszę zapału, miłości, siły, powołany jestem tu wylać. Wznoszę tę czarę, żebym ją wychylił na uroczystą libacją dla genjuszu wielkiego narodu, dla genjuszu Francji: po spełnieniu takiej ofiary wolno dopiero tego genjusza wywoływać.

Tym tylko sposobem mogę odzywać się do waszego współczucia. Bez tego współczucia nie podobnaby mi było zawiązać między mną a wami tej spółki w duchu, bez której życie mówiącego nie może udzielać się słuchającym, i nawzajem.

Nie mam żadnego prawa wymagać po was tego współczucia; powinienem zarobić na nie, powinienem je zdobyć. Pod tym tylko warunkiem wolno mi mówić do was.

Jak oddawna już zatarłem w sobie uczucie, które mogłoby mnie oddzielać od moich pobratymców Słowian, tak teraz składam z siebie moją narodowość i plemienność. Będę zapatrywał się na sprawę Słowiańszczyzny oczyma Francuza, i będę usiłował połączyć w mym duchu siłę, jaką genjusz słowiański przynosi, z umiejętnością kierującą Zachodem. Jeżeli nie zdołam przyprowadzić was do wspólnego ze mną drgnięcia, natenczas powinnością moją będzie wezwać tego z pomiędzy moich spółziomków, kto się poczuje być lepszym Francuzem, lepszym Słowianinem, kto się poczuje mieć więcej siły, albo więcej prawdy ode mnie. Powołam go aby mię zastąpił; bo to miejsce opuszczone być nie może. Uznałem je naprzód za emblematyczną arkę przyszłego zjednoczenia się ludów słowiańskich; zmieniło się później w mównicę do objawienia prawdy historycznej; dzisiaj staje się już stanowiskiem wojennem, basztą powierzoną od genjuszu Francji duchowi słowiańskiemu, sprzymierzeńcowi narodu francuskiego.

LEKCJA II

Wtorek, 26 grudnia 1843

Życie prawdziwe i życie pozorne. — Ród słowiański gotuje się do zabrania głosu. Pismo *Biesiada*. — Doktryna i doktrynery. — Czego Słowiańszczyzna potrzebuje od Francji, i na jakiej tylko drodze porozumieć się z sobą mogą. — Intuicja. — Jaką i czyją pracą dobywa się prawda na niwach słowiańskich.

Podczas wielkiej rewolucji francuskiej widywano na obradach publicznych osoby, które po kilka i kilkanaście miesięcy, nie odzywając się nigdy, skinieniem tylko albo okrzykiem dawały znak,

że co zgromadzenie czuło, to zgadzało się z ich uczuciem. Życie ich wewnętrzne szło silniej i prędzej od rozpraw ustnych. Z czasem przychodziła pora, że i ci ludzie milczący musieli wystąpić na mównicę, bo już w mowach swoich spółtowarzyszy nie słyszeli tego, co im własne sumienie mówiło.

Podobnie bywa i z ludami: wielki jeden ród, wielki odłam ludzkości, znajduje się w położeniu tych publicystów niemych. Filozofja i poezja jego są to tylko znaki, skinienia, któremi zdaleka dodaje bodźca albo potakuje Zachodowi; a i te znaki stają się coraz rzadsze, bo ród ten skupia się w sobie, gotuje się do zabrania głosu. W naszym zawodzie tłumaczenia życia wewnętrznego Słowian zostaliśmy nakoniec i od poezji i od filozofji opuszczeni.

Pośród tej ciszy jedno tylko pismo nam przybyło, pismo bezimienne, ale sama jego wielkość wskazuje źródło z którego pochodzi. Puszczone bezimiennie, jak większa część tegoczesnych dzieł słowiańskich, zostało nawet ogłoszone drukiem bez wiedzy autora. Zdrada ta, posługując za narzędzie Opatrzności, uczyniła je nabytkiem publicznym. Tytuł tego pisma jest *Biesiada.* Weźmiemy je za osnowę naszego kursu tegorocznego.

Z pomiędzy filozofów nie przytoczymy więcej żadnego, prócz Cieszkowskiego, Polaka i Emersona, Amerykanina, którzy nam pomogą dać pojąć publiczności, co w wyżej wspomnionem piśmie mogłoby być dla niej rzeczą zbyt nadzwyczajną.

Z poezji podejmiemy niektóre miejsca dwóch poematów polskich, mających tytuł *Przedświt* i *Sen Cezary.*

Ale żebym odważył się podać wam wyrób jaki powinienem wypracować z tej osnowy, żebym śmiał przeczytać wam choć jeden wyraz tego pisma, muszę naprzód porzucić metodę panującą dzisiaj we wszystkich politycznych i religijnych rozprawach na Zachodzie, metodę rozbiorową, tor ubity, nałogi powzięte z prawideł szkolarskich. Przed dwudziestu laty nie ośmieliłby się nikt tutaj odczytać poematu cudzoziemskiego, tragedji Szekspira naprzykład; bo trzeba mu byłoby pierwej wiedzieć, do jakiej szkoły słuchacze należą: czy są romantykami, czy klasykami, czy trzymają się Boileau. Szczęściem publiczność pod tym względem uczyniła postęp, i mogliśmy już z katedry czytać utwory ślepych dziadów serbskich i pastuchów litewskich.

Teraz poruszamy przedmiot daleko ważniejszy, przedmiot w którym zbiegają się wszystkie interesa, wszystkie zagadnienia naszej epoki: nie możemy przyjąć pola jakie nam podają doktryny i doktrynerowie Zachodu. Pismo, którego tytuł wymieniłem, wypowiada wojnę wszystkim doktrynom, wszystkim układom rozumowym. Bo i cóż to jest doktryna, co doktryner?

Od ścisłego oznamionowania doktryny zależy więcej, niżeli może mniemamy. Owóż patrzmy, co znaczy szukać prawdy, a co doktrynować. Wszelka prawda nowa wymaga po człowieku nowego podniesienia się do niej; wszelka prawda nowa, to jest wszelka cząstka życia nowego, wyzywa człowieka do ofiary z cząstki życia dawnego. Nie można podnieść się wyżej, nie opuściwszy szczebla niższego, albo nie będąc gwałtem z niego wyrwanym. Wszystko co zwiastuje przyszłość, odrywa nas od przeszłości; i dlategoż każda prawda rodzi się w bólu, każda prawda zadaje ból: dlategoż każda prawda nie żyje i nie utrzymuje się inaczej jak tylko pracą, która także jest bólem, cierpieniem

Ewangelja przyrównała prawdę do tych talentów, których nie możemy utrzymać, nie pracując na pomnożenie ich dorobkiem.

Jakże doktryna postępuje sobie, i co to jest doktryner? Doktryner jest to człowiek, który chce skazać prawdę na bezpłodność, bo chce uwolnić nas od wszelkiej pracy. Skoro czujemy się szczęśliwi i dumni z osiągnienia jakiej prawdy, doktryna zaraz przychodzi nam mówić: nie macie potrzeby pracować więcej, zdobyliście już wszystko, przy świetle tego jednego promyka możecie iść do końca świata; pozostaje wam tylko cieszyć się skarbem, utrzymać nabytek i umieć go urządzić: cała rzecz jest już w ręku, chodzi tylko o wydoskonalenie szczegółów, specjalności. Doktryna podaje formuły.

Zwodnicza ta mowa ujmuje człowieka i pomału wyciąga z niego całe życie. Tym to porządkiem po apostołach i cudotwórcach następują teologowie i kazuiści, a wtedy przychodzi nawet do utrzymywania, że cuda i dary Ducha, jedyny dowód jego bytu, są już niepotrzebne więcej dla ludzkości, że ludzkość ma w podręcznych zbiorach teologji wszystko, co tylko jej przeznaczono wiedzieć o ziemi i niebie, o teraźniejszym i przyszłym świecie.

Tym to porządkiem po wielkich prawodawcach następują prawnicy i adwokaci ze swojemi formułami i wyrażeniami ukutemi raz na zawsze. Tym porządkiem po wielkich wojownikach, po mężach natchnionych, zajmują miejsce ludzie nauczający, że pokój przedewszystkiem, że każdy u siebie i dla siebie. Przyjście tego rodzaju ludzi jest prawie zawsze znakiem upadku ducha ludzkiego. Tak kończył się świat grecki, i tak kończy się świat zachodni.

Doktryna łatwo się przyjmuje, bo nie naraża ducha na żaden koszt, nie wymaga po nim żadnej ofiary z miłości własnej. Doktryner powiada ci: Dowiesz się wielkich, pięknych rzeczy, staniesz się mądrym i potężnym, a nie będziesz obowiązany poświęcić, nawet w czemkolwiek zmienić, twoich przekonań. Każdy tedy, trzymając na stronie swój egoizm obwarowany, rad udaje się po wiedzę, pewien, że ją otrzyma i otrzymawszy, obróci na dogodzenie sobie.

Zachód dusi się w swoich doktrynach. Gdyby plemię, występujące teraz na scenę świata, nie miało nic więcej zrobić tylko dorzucić nową książkę do nieprzebrnionych stosów książek, tylko dodać nowy system do niezliczonych systemów, które was obarczają, przybywałoby z niczem, poczynałoby od tego na czem zwykle się kończy.

Ale tak nie jest. Plemię to nie przyjmuje żadnego z waszych systemów, i samo żadnego nastręczać wam nie myśli. Najkosztowniejszy i najdojrzalszy owoc, spadający z drzewa żywota tego ogrodu, nie ma nic wspólnego z tem, co pospolicie podają wam pod postacią wyrobów filozoficznych i literackich.

Płód, wzięty przeze mnie za przedmiot pracy, wynika z tej górnej krainy, którą filozofowie w języku swoim nazywają intuicją. Krainę tę filozof polski, Cieszkowski, wskazał za jedyne źródło wszelkiej prawdy spodziewanej; do tegoż przyszedł i filozof amerykański, Emerson.

Żeby wszakże wznieść się w tę krainę, żeby się w niej rozgościć jak w ojczyźnie, żeby mową pospolitą oddawać śmiało najwyższe, najświętsze powzięcia duchowe, muszę zrobić uroczystą odezwę do uczucia francuskiego mojej publiczności, do jej ducha drgającego łatwo.

Skoro się to uczucie obudzi, ujrzycie, że się wam nie przynosi nic nowego. Trzeba tylko, żeby genjusz francuski wszedł w samego siebie. Jest to genjusz najwięcej dobywający ze swojego wnętrza.

Wchodzenie w siebie, łatwe chwytanie tego co każda chwila nastręcza i co z każdej chwili wyciągnąć można, czyni genjusz francuski tak samodzielnym. Niechaj was nie uwodzi doktryna raz wraz prawiąca o *specjalnościach*, jak gdyby przeznaczeniem młodzieży dzisiejszej nie było nic więcej, tylko udoskonalać drobiazgowe szczegóły przemysłu. Nikt bardziej od nas nie unosi się nad cudami jakie przemysł wyrabia, nad tą jego niezmierną siłą, która musi opanować ziemię; ale idzie tu o coś daleko ważniejszego; idzie o to, kto zgarnie w swoją dłoń te wszystkie ogromne środki przemysłowe, jaki duch obejmie rządy globu? Arsenały nie mają opinji, służą na użytek każdemu zdobywcy. Duchy narodów są teraz w walce. Przy kim zostanie zwycięstwo, przy kim panowanie, a zatem i władza kierowania po swojemu temi wszystkiemi narzędziami siły materjalnej? Czy duch Anglji albo Rosji, czy duch Francji będzie nam rozkazywał? Francja powinna myślić o tem; ona jest powołana rozwiązać ważne to zagadnienie. Francuzi! jakiż to ma być ten duch potężny, któremu dostaną się w zarząd te wszystkie drogi, machiny, okręty?

Ludy północne nie proszą was o inżynierów, nie żądają od was machin. Młodzi francuska! Północ nie rozstaje się z tem przekonaniem, że Francuz jest reprezentantem myśli szlachetnych, uczuć liberalnych, jest reprezentantem ruchu. To jedno tylko zapewnia wam poważanie u niej, to jedno sprawuje, że się jej oczy i nadzieje obracają ku wam. Co poeta rzymski wyrzekł do swoich spółrodaków, upominając ich, aby Grekom zostawili sztuki i rzemiosła, a pamiętali, że ich rzeczą jest rządzić: *Imperio regere Romane memento*, tego nie przestaniemy powtarzać genjuszowi francuskiemu. Tajemnica waszej potęgi, którą powinniście odzyskać, jeżeli nie chcecie jej zrzec się, leży w waszym duchu; a wszystkie doktryny bez wyjątku, wszystkie systemy, godzą tylko na to, żeby was wyciągnąć z tej świątyni i poprowadzić na manowce szczegółów i drobnostek.

Cały zbiór materjalnych sił przemysłu wpadał zawsze pod władzę tego, kto potrafił rozwiązać główne zadanie ludzkości.

Centurjon rzymski, nieumiejętny i nieokrzesany, ale dumny, bo reprezentował rozwiązanie najwyższej kwestji politycznej za czasów starożytnych, kazał wołać do siebie uczniów najsławniejszych mechaników i jeometrów greckich, uczniów Archimeda, Eu-

klidesa, i kijem napędzał ich, żeby mu wytykali drogi, robili machiny. Z miast przepysznych, których zwaliska są jeszcze dzisiaj podziwem, zabierał architektów etruskich, i kijem zmuszał, żeby budowali świątynie, stawili bramy tryumfalne w Rzymie; bo miał on nabyte prawo rozkazywania i rządzenia, prawo najwyższe, które daje się tylko w nagrodę temu, kto poświęcił wszystko, aby wznieść się do wysokości, z której można widzieć rozwiązanie zagadki swojego czasu.

W was, Francuzach, jest coś tego ducha rzymskiego. Zarzucają wam lekceważenie specjalności; wzruszają ramionami na to, że u was częstokroć odrazu wychodzi na ministra taki, co nie strawił życia przy biurze; mają wam za złe, że powierzacie dowództwo armij jenerałom nie wyszłym ze szkół wojskowych. Słusznie jednak tak robicie. Jesteście wierni genjuszowi narodowemu; bo znacie, że na powiedzenie słowa stosownego do okoliczności i chwili, trzeba więcej siły i mocy, niżeli na wbicie sobie w głowę wszystkich manuałów kameralistyki austrjackiej i pruskiej. Wiedzcież przytem, że tylko na tej drodze zapału i wewnętrznego poczucia ród słowiański będzie mógł porozumieć się z Francją przyszłą. Słowiańszczyzna zna waszych poetów, waszych mówców i waszych wojowników; nie potrzebni jej na nic wasi encyklopedyści, wasi, jak ich nazywacie, ludzie specjalni. Powtarzam, że tylko na tej jedynej drodze potrafimy porozumieć się z sobą. Nie przynosimy wam nic nowego.

Przytoczę tu przykład, jaki mamy na człowieku najpraktyczniejszym w starożytności pogańskiej, na największym taktyku greckim, na Xenofoncie. Xenofont, jak wiadomo, nie był nigdy wojskowym, znajdował się przypadkiem pośród dziesięciu tysięcy, otoczonych przez nieprzyjaciół w głębi Azji. Jakże się to stało, że nagle jednego poranku obudził się z gotowym planem wybawienia tego wojska, został jego wodzem, i wykonał ów sławny odwrót, zadziwiający strategików dzisiejszych? Sam on to nam opowiada. „Miałem sen, mówi, zrozumiałem co znaczył i pobiegłem natychmiast do naczelnika i żołnierzy. W natchnieniu otrzymanem przez ten znak z nieba, przełożyłem im co trzeba czynić. Zrobili mię swoim wodzem". Jednej chwili Xenofont ujrzał swoje powołanie, poznał swoje obowiązki, i odrazu wyuczył się sztuki naczelnego wodza.

Tym sposobem także wasi wielcy ludzie wieków średnich i nowożytnych, tym sposobem niektórzy dyplomaci za czasów Konwencji, tym sposobem Napoleon, nabywali znajomości spraw całej Europy, i całego świata.

Nie sądźcie, żeby te środki sztuczne, które zdają się teraz ułatwiać stosunki między państwami, zbliżały narody jedne do drugich. Bynajmniej; duch tylko może je zbliżyć. Nigdy ludy nie były bardziej jak dzisiaj pooddzielane, porozkruszane, poróżnione moralnie.

Dam wam tego dowód historyczny. W owych wiekach, które nazywają barbarzyńskiemi, jeden z waszych monarchów, Karol Wielki, siedząc w swojej stolicy nad Renem, zaprzątał się bezustanku sprawami ludów, mieszkających nad Odrą i Wisłą. Są traktaty zawarte między niektóremi ich pokoleniami a Francją: możecie je widzieć w waszych kronikach średniowiekowych. Znał on nawet szczegóły domowego urządzenia się tych ludów, znał o co się kłóciły z sobą. Pytamże się, czy wasi dzisiejsi politycy i dyplomaci, przy pomocy kart geograficznych i doniesień dostarczanych przez posłów, wiedzą tyle o tamtych stronach ile Karol Wielki wiedział? Odpowiedź łatwa, bo miarą świadomości dyplomacji jest przewaga polityczna, a wpływ wasz na Północy jest żaden. Tenże sam Karol Wielki, patrząc jednego razu na ocean, i widząc zdaleka snujących się kilka łódek normandzkich, zalał się łzami wobec zdumionych dworzan, którzy nie mogli zgadnąć, skądby ten nagły smutek pochodził. Łódki te były wzwiadami nadchodzącej strasznej napaści, która miała wkrótce zaburzyć pokój Francji, i w mgnieniu oka cesarz przewidział całą grozę tego niebezpieczeństwa.

Skądże on brał tę wiedzę i tę moc, co mu nadawały działalność sięgającą tak daleko! Oto wchodził głęboko w samego siebie i tam czerpał siłę do wzniesienia się w górę. Największy z waszych, i największy ze wszystkich wojowników, kiedy go pytano od czego zależy zwycięstwo, odpowiadał, że od iskry moralnej, od tej chwili wewnętrznego poczucia, którą on nazywał iskrą moralną. Wszystko tedy cokolwiek wielkiego i pięknego macie w waszych dziejach zwraca was w krainę intuicji, to jest w krainę wewnętrzną ducha.

W naszych stronach rolniczych wiadomo to z doświadczenia, że gatunki zboża po pewnym przeciągu lat zwodzą się i nędznieją, a wtedy żeby je odnowić, trzeba sprowadzić nasienie z krainy, która ma to do siebie, że wydaje zawsze ziarno zdrowe i bujne.

Ziemia często tu przez nas wspominana, ziemia, wedle słów poetów naszych, kopytami zryta, ciałami poległych utłuszczona, kośćmi ich zasiana, jest tą krainą męczeńską, mającą przywilej dostarczania zboża na usiew okolicom najlepiej uprawnym.

W świecie duchów podobnież jest kraina tajemnicza, do której trzeba udawać się po to ziarno nasienne, z któregoby można rozplenić moc, życie i wiedzę. Ku tej to krainie powołują was wyroby ducha słowiańskiego.

My, Słowianie, nie mamy nic więcej nad świeższą pamięć krainy z którejśmy przyszli, krainy z której wszyscy ludzie przychodzą, krainy będącej mieszkaniem ducha. Przybywszy ostatni na scenę tego świata, pamiętamy jeszcze całe rozpołożenie naszej ojczyzny duchowej; i jeżeli uznacie nas za braci, my doprowadzimy was do poznania naszego Ojca wspólnego, do poznania jego domu.

Tak nazywam tę krainę wewnętrzną, tę sferę niewidomą, dobrze znaną filozofom starożytnym, Pytagorasowi, Platonowi; dobrze znaną ludowi stron naszych, który duchem ciągle w niej przebywa; niemniej znaną i waszym mężom wielkim, ale zdawna opuszczoną już i zaniechaną przez doktrynerów i systematyków zachodnich.

Zbieram w jedno, com powiedział. Odzywałem się do waszego pobłażania i współczucia, bo znam trudność, jaką będziemy mieli w przebyciu tej niezmiernej przepaści, co leży między martwemi doktrynami dzisiejszych czasów, a ową krainą z której płynie życie i prawda. Przepaść tę można tylko przesadzić jednym skokiem.

Uczułem to, że pisma wymienionego powyżej, nie mogę wam czytać jak książki zwyczajnej, że nie mogę go czytać inaczej, jak tylko w podniesieniu się do najwyższego szczebla sfery filozoficznej i religijnej. Nim zaś przystąpię do tego, trzeba abym pierwej wskazał wam warunki, którym koniecznie poddać się powinien, kto szczerze szuka prawdy.

Pierwszym z tych warunków jest pozbycie się zupełne wszystkiego co nas rozrywa, co nas wwodzi na manowce doktryny dzisiejszej: wyzwolenie się całkowite z więzów wszelkich doktryn i z jarzma doktrynerów.

W takiem tylko usposobieniu ducha da się pojąć słowo, wydobyte sposobem zgoła niepodobnym do tych wszystkich, jakiemi dziś zwyczajnie ludzie chcą znaleźć prawdę. Człowiek starej epoki szuka prawdy z pychą, otwiera każdą książkę z uśmiechem wzgardliwym, i łowi w niej to tylko, co nie obraża jego miłości własnej, a nadewszystko co go nie obowiązuje do niczego, nie wyzywa do odważenia się na nic, nie wymaga po nim żadnej ofiary. Prawda dla niego powinna być dogodną, łatwą, zalotnicą. Ale na niwach gdzie nasz ród ma siedlisko wszystkie szczątki prawdy nabywają się w pocie ducha. Tam mieszkają miljony ludu znanego całemu światu, ludu będącego starszym ludów europejskich, starszym wszystkich ludów cywilizowanych, miljony Izraela, który z głębi swoich bożnic nie przestaje od wieków wołać krzykiem, z jakim nic w porównanie iść nie może, jakiego zapomniało już plemię człowiecze; a jeżeli jest co takiego co może prawdę ściągnąć z wyż na ziemię, to zapewne nie są bez skutku te wniebogłosy, w których człowiek skupia i wystrzela całe swe życie. Mieliżby ci nieboracy, przez tyle set lat stale jękiem i płaczem żebrzący o prawdę, mniej być pewni jej osiągnienia, niżeli uczeni spokojnie zagrzebani w książkach, albo ludzie czerpający światło z pism dziennikarskich? Na niwach naszych żyją miljony ludu włościańskiego, który pod razami batoga i brzemieniem ucisku, zgięty ku ziemi pracą jego użyźnianej, nie przestaje wzdychać o pomoc do Boga. Pomocy tej wzywają i wszystkie wznioślejsze umysły Zachodu; starają się ją znaleźć nawet doktrynery, sami nie wiedząc o tem. Ziemia potrzebuje ratunku. Epoce nowej potrzeba nowego udziału prawdy powszechnej.

Teraz zostawuję wam samym sąd, gdzieby najwłaściwiej ta prawda zjawić się mogła, i jakiby był najpewniejszy sposób jej osiągnięcia. Słowa, które mamy wam powierzyć, są owocem długiej i bolesnej pracy narodowej, podajemy je z głębokiem przekonaniem, że jest w nich promień mający oświecić teraźniejszość

i przyszłość. Potężny genjusz ludów zachodnich znajduje się teraz w położeniu wędrowca, któremu trzeba tylko mgnienia błyskawicy, żeby ujrzał swoją drogę.

LEKCJA III

Wtorek, 9 stycznia 1844

Cecha wszelkiego dzieła biorącego początek z natchnienia. — Znamiona końca epoki. — Ludzie epoki starej i ludzie epoki nowej. — Co jest lud i kiedy on czuje się być wolnym. — Warunek pod jakim tylko człowiek dzisiejszy może zwalić ludzi przeszłych. — Dążność wszystkich umysłowych prac Słowian. — Emigracja polska. — Z czego należy wyczytywać dzieje swojego narodu.

Na wstępie i w ciągu wykładu pisma, wziętego za osnowę naszego kursu, mamy zamiar zrobić kilka roztrząśnień, które będą odpowiadały naszym badaniom przeszłorocznym. Między innemi rzeczami zastanowimy się nad życiem religijnem katolickiego i wschodniego Kościoła w Słowiańszczyźnie, nad związkiem tego życia z rozwijającem się we Francji, i nad warunkami, pod jakiemi Francja może liczyć na współdziałanie ludów słowiańskich; zastanowimy się nad tem, co należy rozumieć przez symbole, przez marzenia, przez poezją najwyższą, i przez objawienia; zastanowimy się nad wpływem, jaki natura Północy wywiera na ducha ludów słowiańskich, zastanowimy się nad barbarzyństwem w ogólności, i nad wpływem barbarzyńców tak na wieki średnie, jako też na narody cywilizowane.

Mówiłem o intuicji; roztrząsnę później filozofją intuicyjną Cieszkowskiego, którą porównam z takąż filozofją Emersona.

Kończmy teraz oznaczać cechy dzieła powziętego intuicyjnie; potem, co jest daleko ważniejsza, będziemy usiłowali odkryć sposoby, pomagające człowiekowi do wzniesienia się w górną krainę natchnień. Dla łatwiejszego pojęcia idźmy od rzeczy znanych do nieznanych, pocznijmy od sztuki, starajmy się zdać sobie sprawę z wrażeń, jakie sztuka wywiera na nas. Każdy wielki utwór arty-

stowski nazywają boskim; pokazuje to domysł, przeczucie, że jest w nim coś tajemniczego, coś niby nadprzyrodzonego, i to coś uznano za niezbędnie potrzebne dziełu prawdziwie artystowskiemu. Niedość na tem. Żeby smakować w sztuce, żeby rozognić się widokiem jej płodu, trzeba także pewnego natchnienia, biernego niejako, któreby duchowi widza dało zetnąć się bezpośrednio z duchem sztukmistrza. Jakoż wrażenie, doznane przez patrzącego, nie jest czem innem, jak zetknięciem się wewnętrznem z artystą. Wrażenie artystyczne, wedle samego przysłowia szkolnego, nie podlega sądowi: o gustach sądzić nie można. Tak tedy, dzięki Bogu, sztukę przynajmniej wyjęto z pod dyskusji, z pod tej choroby dzisiejszych czasów.

Zrobimy tu uwagę, że to natchnienie bierne, to zamiłowanie w pięknem, było dawniej daleko rzadsze, stało się później częstszem, i liczba miłośników pomnaża się ciągle; co dowodzi, że piersi ludzkie rosną i dusze postępują coraz wyżej. Jeżeli ogół nie unosi się nad dziełami sztuki teraźniejszej, niewiernej swojemu ideałowi, to za to tenże ogół pokazuje większe niż kiedykolwiek usposobienie do zachwycania się nad wdziękami natury. Po drogach pełno *turystów*, wędrowców, idących nasycać się pięknością miejsc, zbierać malownicze widoki; po teatrach pełno ludu chciwego sztucznych widowisk bohaterstwa, kiedy nie może ich mieć prawdziwych.

Uwielbienie dla sztuki, dla natury, dla czynów bohaterskich, wynika z jednego źródła, z intuicji, i filozofja zmuszona jest dzisiaj iść tam czerpać. Przyjdzie koniecznie czas, że co przysłowie mówi o gustach, zamieni się w prawidło i względem wysokich prawd politycznych i filozoficznych. Będzie wolno każdemu zbijać prawdę, stawać przeciw niej wrogiem, ale na zarzuty wyciągane z formuł szkolarskich nikt już odpowiadać nie będzie raczył.

Wielcy ludzie wszystkich wielkich epok twórczych, ci co ponapisywali prawa, co poodnosili przeważne zwycięstwa, co zostawili światu wysokie pojęcia filozoficzne albo arcydzieła sztuki, wszyscy są podobni między sobą; wszyscy oni działali pod wpływem tegoż samego ducha, i wpływ, jaki wywierali na ludzkość, był zawsze tejże samej natury. Zobaczmy teraz jak Edmund Burke,

sławny krytyk, opisuje wpływ, który na nas wywiera potęga sztuki. „Kiedy nas uderza cokolwiek wzniosłego — powiada — dreszcz nas przebiega, pierś nam się podnosi i oko otwiera się szerzej.“ Człowiek dotknięty tem wrażeniem, mimowolnie przybiera postawę odpowiednią uczuciu, wydanemu w dziele sztuki. Tak to wzniosłość w sztuce i w naturze działa na tych, co ją czują. I cóż stanowi cechę schyłku każdej epoki bliskiej swego końca? Oto brak siły zdolnej obudzić w ludziach to uczucie. Kiedy prawodawcy, kiedy mówcy i rządcy starożytnego Rzymu, nie mieli już w sobie tej mocy, tego płomienia żywotnego, coby mogło rozpromienić się szeroko i zajaśnieć nawet w obliczach zgromadzeń i szeregów, którym przewodniczyli, wtedy poczynało się już skończenie świata rzymskiego, i wtedy świat stary ujrzał z podziwieniem ludzi nowych, ludzi, których siła nowa, siła chrześcijaństwa, postawiła nagle pełnych życia wśród społeczności zgrzybiałej.

Jeżeli trzeba być natchnionym, żeby taki skutek sprawiać, trzeba też, żeby je uczuć, mieć duszę wzniosłą i swobodną do lotu za ludźmi natchnionymi w przyszłość; trzeba mieć, jak Schelling nazywa, organ do tego właściwy. Schelling miewał czasami chwile intuicji. Poznał on niepodobieństwo udzielenia ich Berlińczykom. Dlategoż powiedział, że do filozofji trzeba posiadać organ filozoficzny. To oburzyło przeciw niemu wszystkich filozofów niemieckich, i nie bez przyczyny; bo rodzaj ludzi, z którego biorą się filozofowie niemieccy, wcale tego organu nie ma, albo ma tak stępiony, tak zdrobniały, że ledwo jest w nim ślad jakiegoś zarodku. Berlińczycy czują w sobie ten niedostatek, i stąd to pochodzi to dąsanie się ich na wszystko, cokolwiek jest natchnieniem, egzaltacją instynktową, cokolwiek nie podpada pod anatomiczny rozbiór scholastyki, i pokazuje w człowieku znak wyższego życia.

Opisanie, jakie w tej mierze zrobił Burke, możemy dopełnić własnemi postrzeżeniami na zgromadzeniach publicznych. W braku rzadkich teraz zbiorowisk ludowych dosyć jest przypatrzyć się dobrze słuchaczom, napełniającym sale uniwersyteckie za granicą i we Francji, a łatwo się przekonać, że ten szacowny organ nie jest dany wszystkim narodom, i w tym samym narodzie nie wszyscy posiadają go w równym stopniu. Niechaj kto szuka typu ludzi zdolnych czuć rzeczy wzniosłe, skreślonego przez Burke. Wszedłszy

do sali prelekcji w Niemczech, znajdzie się wpośród głów obciążonych formułami, posępnych, zwisłych ku ziemi, jak gdyby był w ogrodzie maku. Widać tam zaraz, że wszystkie umysły poskupiały się całkiem w czaszkach, zostawując serca oschłe i czułe tylko na wrażenia życia zwierzęcego. Jeżeli czasem na tych czołach przemignie coś nakształt radości z pojęcia tej lub owej formuły oderwanej, wzruszenie to, zadrganie pochodzące jedynie z mózgu, ze krwi, bardzo jest podobne do tego, jakie można widzieć między grającemi w bursę; jest radością z zysku: nic w niem niemasz przenikającego do ducha. Czy takie zjawiska zdarza się wam nieraz postrzegać na zgromadzeniach publicznych i naukowych Francji? Tu, skoro wyjdzie z ust słowo szczere, światłe i silne, zawsze piersi słuchaczom wzdymają się, oczy błyszczą, i daje się zauważać ten ruch wrodzony młodzieży francuskiej, którego Burke nie opisał, ruch mimowolny ręki prawej jakby sięgającej po oręż, co oznacza naród stworzony do czynu.

Po tym ruchu, po tem drgnięciu, ojcowie i bracia nasi rozpoznawali na polach bitew żołnierzy francuskich, pomięszanych wśród tylu narodów. Drgnięcie to wyjawia, co jest najgłębszego, najbardziej boskiego w charakterze człowieka, pokazuje, że jest w nim organ wielkich uczuć, źródło wielkich czynów.

Żeby zaś pojmować sztukę, żeby pojmować filozofją i nawet, żeby pojmować przyszłość, trzeba koniecznie wydobyć z wnętrza swojego ten ton boski, który się w niem znajduje; trzeba koniecznie postawić się w stanie, jaki wam teraz opisałem.

Naród tak zdolny pojmować rzeczy wzniosłe, zapalić się ku nim, wykonywać je, winien te przymioty długiej tradycji poświęceń się, walk, ofiar. Nie mógłby on nawet utrzymywać w sobie i doskonalić tych przymiotów, gdyby ciągle nie zagłębiał się w to ognisko wiekami skupione dla dostawania iskry elektrycznej, idącej z tak daleka, i udzielania jej wszystkiemu co go otacza.

Kiedy jesteśmy w podniesieniu do tego stanu, wtedy tylko rozpoznajemy naszych nieprzyjaciół i naszych sprzymierzeńców, wtedy tylko umiemy rozeznać ludzi epoki starej od ludzi epoki nowej. Kto niezdolny wzruszyć się myślą rzeczy wielkich i boskich, ten nie należy do naszych narodów: to nie Francuz, to nie Polak,

to nie Słowianin czysty. Z tem światełkiem, przebiegając społeczeństwo dzisiejsze, możnaby łatwo odkrywać przyszłość.

Ludzie epoki przeszłej, ludzie z duszą wyschłą i niezdolną do zapału, używają wszelkich sposobów żeby zatrzymać tych co postępują naprzód. Ich gest jest gestem wstrzymującym, jest ruchem przeciwnym temu drgnięciu, temu rzutowi sokolemu, o jakim mówiliśmy dopiero. „Poczekaj! ostrożnie! nie zapalaj się!“ to ich mowa, z kurczem ręki podobnym do chwytania się konającego, który zamiast poglądać w niebo, uczepia się stojących przy nim, jak gdyby chciał ich z sobą pociągnąć do grobu.

Zapał jednak, wzruszenie nadzwyczajne ducha, które wynosi człowieka nad jego samego, nie ma w sobie nic mistycznego, nic urojonego. Nie sami artyści zdolni są im podlegać; wasi wodzowie, wasi żołnierze wpadali w nie na polu bitew, wy sami doświadczacie tego czasem, czytając książki. Występek najcięższy ludzi starej epoki jest w tem, że to wszystko uznają za bardzo piękne dla poezji, dla sztuki, za godziwe i dobre w chwilach boju; ale w rzeczach właśnie najważniejszych, najwięcej stanowiących, najświętszych w poszukiwaniu prawdy, w filozofji, w prawodawstwie religijnem i politycznem, mają tę iskrę za niepotrzebną, to płomię za niebezpieczne, skazują zapał na wygnanie ze świątyń modlitwy i z izb prawodawczych.

Tak to zastygłe pogaństwo nie przestaje gnębić życia chrześcijańskiego; ale to życie weźmie nakoniec górę. Chrystjanizm powstał z zapału, utrzymuje się dotąd zapałem, i zapał ten, — choć to niezmiernie zadziwi doktorów zakonu — ma swoje ognisko w sercach napozór oddalonych najbardziej od prawdy chrześcijańskiej. Bądź co bądź wciśnie się on w prawodawstwo i opanuje dom Boży. Płomię to, o które lud wzdycha, bez którego mu ciężko, samo tylko może rozniecić życie w Kościele dzisiejszym; bo zapał odstawia człowieka na jego właściwe miejsce, zlewa go w jedno z ludem.

Jest to rzeczą wielkiej wagi zrobić pewne wyobrażenie, co rozumiemy przez lud. Można być w łachmanach chłopa słowiańskiego, albo w bluzie wyrobników francuskich, i nie należeć do ludu; a można błyszczeć od złota i nieścić się w ludzie. Lud, to człowiek cierpiący, człowiek tęsknący, człowiek wolny w duchu, człowiek,

który nie przychodzi z zapasem gotowych systemików. Dlategoż lud w razach stanowczych tak prędko i tak niemylnie chwyta prawdę.

Człowiek pozbawiony tych przymiotów, człowiek którego serce nie drga na słowo z ust Grakcha albo ś. Pawła, taki człowiek nie jest ludem. Darmo on będzie mięszał się w tłumie; po jego wzroku mglistym, po jego mowie pełnej formułek poznają go zaraz, że jest człowiekiem starej epoki. Nie takim to ludziom zgotowana przyszłość. Dotąd, ponieważ nikt nie dawał ludowi pokarmu, któryby zasilał jego ducha, ponieważ nikt nie pomagał mu rozwijać tego ducha, trudno mu było przyjść do tego stanu duchowności, w jakim prawda daje się jasno widzieć i pojmować. Musiał on jeszcze przebijać grubość swojej organizacji fizycznej, musiał przełamywać nałogi swojego życia powszedniego: dokazywał tego tylko rzadko kiedy, przy pomocy zdarzeń nadzwyczajnych. Bywały to chwile jego wolności. Trzeba było grzmotu dział, wrzasku zbiegowisk publicznych, żeby wyrwać ducha ludu z otrętwienia, bo doktorowie praw, uczeni, nie dopełniając swego obowiązku, zostawili go własnym jego siłom. Ale przyszedł czas kiedy trzeba postawić ludowi przed oczyma ideał, któryby mu pomagał podnosić się, zapalać się, i utrzymywać się w stanie, o jakim mówimy; stan ten jest początkiem wolności prawdziwej. Człowiek, który czuje sztukę, który rozognia się słowem wymownem przyjętem w otworzoną duszę, który poświęca się za ojczyznę, nie może doświadczyć żadnego z tych wzruszeń bez wzięcia razem w siebie promyka prawdy, promyka wewnętrznego światła, promyka Bóstwa; a wtedy czuje się wolnym, zapomina o sobie, nie patrzy na siebie. Dlategoż widzi on prawdę i urzeczywistnia ją na ziemi; bo gotów jest poświęcić pieniądze, żeby mieć arcy-dzieło, które go zachwyca, gotów przelać krew, żeby pozyskać zwycięstwo swojemu krajowi, gotów oddać wszystko za prawdę. W takiej chwili czuje się człowiekiem zupełnym.

W tem to znaczeniu brać należy słowa Ewangelji: „Poznacie prawdę, a prawda was wyswobodzi.“ Dodamy, że ten co miał nieszczęście przez dumę zgasić, albo przez niedbalstwo dopuścić, żeby zgasło w nim płomię wewnętrzne, ten co nie może już czuć nic wzniosłego, nic szlachetnego, ten niezdolny jest być wolnym. Darmo

jego okładać jakiemi chcąc kartami konstytucji, zawsze on będzie niewolnikiem.

Powtarzam, że pierwszym warunkiem dla człowieka dzisiejszego jest podnosić się i rozpłomieniać, że temu tylko warunkowi czyniąc zadość, zdoła on zwalić ludzi przeszłych, założyć w sobie kamień węgielny społeczności wolnej, rozeznać trafnie swoich nieprzyjaciół od swoich sprzymierzeńców. Dlaczego przy schyłku epok ludzkość doświadcza ucisku, i wydobywa się w niej przeczucie przyszłości? Oto, że natenczas warstwy ludzi uwiędłe, rzeczywiście niższe, mają górę i gniotą wszystko co wznioślejsze, wyższe, Boskie. Tak samo dzieje się z narodami. Narody, niezdolne pielęgnować ognia świętego, rządzą światem. Skoro tylko ogień ten zapłonie we Francji lub Słowiańszczyźnie, potęga tych narodów pryśnie.

Na zwalenie rutynistów rewolucja francuska rozpasała namiętności; przeciw ciemiężycielom puściła owych ludzi, których słusznie można przyrównać do lwów i tygrysów, ludzi z instynktem krwiożerczym; na takich bowiem co się utrzymują rzeczą najniższą, ostrożnością i bojaźnią, niema lepszego środka jak ich przerazić. Żeby przełamać tchórzliwą ostrożność, trzeba poruszyć namiętność. Pora namiętności już przeszła: dzisiaj słowo namiętne, chociażby ociekłe krwią i zapienione jak paszczęka wściekłego zwierza, nie sprawi wrażenia na ludzie. Lud domaga się o coś więcej i o coś lepszego: domaga się o słowo wyższe, głębsze, o słowo Boże. Jak w epokach poprzednich była sztuka zwana Boską, jak byli święci zwani świętymi Pańskimi, tak teraz chce on mieć naczelników, w którychby przebijała się ta Boskość, chce mieć prawodawstwo, któreby można było uznać za Boskie. Jest to potrzebą powszechną naszych czasów; jest to potrzebą gwałtowną ludów słowiańskich, i nikt jej tak mocno nie czuje jak to plemię dobre, czułe, głębokie, bitne i religijne.

Okazałem przeszłych lat, jak filozofja, poezja, polityka szły społem u Słowian; jak te wszystkie prace człowiecze miały głównie tę dążność, aby wydać ludzi potężnych, aby przyprowadzić ich do tego, co sam Emerson nazywa chwilą najwznioślejszą, kiedy człowiek składa przed Bogiem świadectwo swego wszechwładztwa; przyprowadzić do chwili natchnienia.

Na dowód zaś, że, cośmy wykładali, nie były to czcze teorje, nie przyszliśmy z samemi tylko świadectwami książek i rękopisów: wzięliśmy za tekst człowieka, książki za komentarz, i stanęliśmy mając plecy w całych narodach. Powiedzieliśmy, że cokolwiek jest wysokiego w filozofji, cokolwiek wydobytego z ducha w poezji, cokolwiek dzielnego w usiłowaniach narodowych, wszystko to zwraca się ku Francji, że Francja rzeczywiście stała się stolicą i ogniskiem wszelkiego ruchu. Możemy stwierdzenie tego mieć w obecnych tu słuchaczach. Ludzie, których pośród was widzicie, oderwani od ojczyzny, dążyli przez całą Europę, zmierzając do tej stolicy, gdzie ich wiodły te same pojęcia, te same wyobrażenia, te same uczucia, jakie tkwiły w ich filozofach, w ich teologach, w ich poetach. Emigracja polska jest ostatnim i najtreściwszym wykładem dziejów Słowiańszczyzny.

W ogólności ludzie nie lubią wpatrywać się w obecność, każą czytać książki, uczyć się historji czasów przeszłych; ale badając samego siebie, można wyczytać historją przeszłości swojego kraju.

Naszym więc obowiązkiem jest dać poznać wam obecność, wezwać ją na dowód i świadectwo tego co utrzymujemy. Ludzie, będący reprezentantami ducha swoich narodów, jedni gwałtem parci, drudzy jakąś instynktową ciekawością wiedzeni do waszego kraju, podobni są tym pielgrzymom, co w powieściach gminnych idą do lampy czarodziejskiej, w której siedzi genjusz wielkiej mocy. Ale nikt nie miał słowa zdolnego wywołać go i poruszyć; trzeba było, żeby przyszedł mędrzec i wstrząsnąwszy tę lampę ręką potężną a przyjazną, dał usłyszeć zaklętemu duchowi słowo tajemnicze.

LEKCJA IV

Wtorek, 16 stycznia 1844

Położenie Kościoła. Literatura religijna *ckliwa* i *pieniacka*. — Stolica apostolska i powstanie narodu polskiego. — Smutny upadek wpływu i potęgi Kościoła. — Boleść prorocza. — Dlaczego duchowieństwo potępia nowoczesną literaturę polską.

Poemata: *Sen Cezary* i *Legenda*. — Duchowieństwo oderwane od tradycji. — Sfałszowanie ideału Chrystusa. — Lekarstwo na chorobę dziś powszechną.

Kto do gruntu zgłębia kwestje polityczne i kwestje literackie, dzisiaj tak ściśle związane z poprzedzającemi, musi naturalnym biegiem rzeczy przyjść do zastanowienia się nad położeniem Kościoła francuskiego względem innych odłamów społeczeństw religijnych Europy. Ilekroć mowa o nowem przewróceniu porządku na świecie, ludzie myślący wszelkich opinij uznają, że Francja może wyciągnąć korzyść ze swego charakteru narodu arcy-chrześcijańskiego, że jako naród arcy-chrześcijański może odezwać się do współczucia katolików innych narodów. Mamy jeszcze oprócz tego inne, bardzo ważne powody, wziąć na uwagę ten przedmiot. Nie będziemy wchodzili w szczegóły: dosyć nam będzie okazać, że życie religijne ludów europejskich prawie wszędzie jest takie same; że Francja przypatrując się temu co ma u siebie przed oczyma, może wiedzieć, co się dzieje w cudzych krajach. Mówiąc bez ogródek, duchowieństwo niższe w Rosji i Polsce podobne jest bardziej niż się zdaje do księży katolickich Hiszpanji, Włoch i niektórych stron Francji: mniej uczone od księży Europy południowej, zachowało jednak w całości swoją wiarę; dygnitarze Kościołów północnych z wielu miar mają podobieństwo do biskupów i kardynałów włoskich. Duchowieństwo niższe żąda rozwinięcia swojej wiary; wiara ta jest u niego nierozwikłana; chciałoby ją poznać lepiej, chciałoby zrealizować. Duchowieństwo wyższe administruje Kościołem, mając nadewszystko na widoku kwestje rządowe. Ale Kościół wschodni, oniemiały i sparaliżowany, nie ma co dać księżom rosyjskim; Kościołowi zaś katolickiemu, któryby miał tyle do dania, zbywa na sługach, nie może znaleźć narzędzi zdolnych szerzyć ten ogień ducha krzewiącego światło wiary, jaki w nim jest złożony. Tak tedy u wierzchołka Kościołów północnych działanie religijne kończy się na niczem. Literaci, filozofowie piszący czasem o rzeczach religijnych, nie wywierają żadnego wpływu na publiczność: polemika znudziła już wszystkich. Piśmiennictwo duchowne wyznania wschodniego, podobne piśmiennictwu kalwińskiemu i luterskiemu, możnaby nazwać, używając wyrażeń księdza Lamennais,

literaturą ckliwą, na jaką piśmiennictwo filozoficzne i religijne katolików odpowiada *literaturą pieniacką*. O czynie nikt nie myśli: nikomu nie przyszło do głowy nawracać schyzmatyków; stolica święta nie potwierdziłaby nawet takiego przedsięwzięcia. Posyłają misjonarzy do Chin, do Kochinchiny, bo kolegjum święte nie lęka się potęgi władców tych państw pogańskich; ale to kolegjum nie poszle ani jednego misjonarza do krajów cesarza Rosji, chociaż stan Kościoła w tamtych stronach głosi za opłakany, za niepodobny do opisania: *status plorandus, potius quam describendus*. Kiedy tak idą rzeczy, prywatni, świeccy, chcą ratować Kościół, biegą z tem do Francji. Polacy, Dalmatowie, Illiryjczycy zawiązują zgromadzenia religijne: są pomiędzy nimi ludzie z poświęceniem się, którzy złożywszy oręż podniesiony za sprawę ojczyzny, wchodzą do zakonów, szukając w religji środka służenia sprawie ludzkości. Znajdują oni w tym kraju przyjęcie pełne sympatji, znajdują wszystko prócz rzeczy głównej, prócz siły działania, prócz ducha czynu: nigdzie już nie mogą znaleźć tego, co Kościół pierwotny wydobywał ze słowa apostołów, nie mogą znaleźć ducha, ducha, który był tak widoczny, tak dotykalny w ich uczuciach, że poganie, filozofowie, magowie, przynosili im pieniądze, chcąc kupić cząstkę tej siły cudownej. Próżnoby teraz gdziekolwiek szukać tego ducha. Prawda każe nam powiedzieć, że nawet co do nauczania, co do metody, Kościół dał się wyprzedzić świeckim. Kiedy za Restauracji kilku ludzi w Sorbonie i w szkole tutejszej, odważywszy się uczynić dostępnemi kwestje filozofji wyższej, potrafiło zaostrzyć ciekawość publiczności, krzyczano na nich, że się nie pilnowali rutyny, że nie mieli metody. Oddali oni wszakże niezmierną przysługę naukom, i wpadli właśnie na metodę, prawdziwą, bo zetknęli naukowość z życiem, a to pochodziło stąd, że sami brali udział w życiu politycznem Francji: ruszali się oni z Francją ówczesną, i ten ruch, to życie, przebijały się w ich słowach.

Kaznodziejstwo starało się naśladować ich sposób mówienia, utworzyło *konferencje;* ale nigdy nie chciało pójść do źródła, z którego wynikała ta siła, nigdy nie chciało wziąć udziału w ruchu wewnętrznym narodu, czerpać życia w masie narodowej. Ma więc formę nauczania, ale niema jeszcze tego ducha co ożywiał szkoły

za Restauracji, i na drodze jakiej się trzyma nigdy go mieć nie będzie. Toż samo i co do stylu. Styl, wszyscy to postrzegają, staje się wszędzie prostszym i prawdziwszym. Porzucono już naśladownictwo nadętych wyrażeń Bossueta i Massillona. Styl świecki w dążeniu do prostoty ma nawet pierwszeństwo przed stylem konferencjów. Dosyć jest te rozmaite systemy stylowe porównać z językiem ewangelji, żeby zobaczyć jaki rodzaj stylu najbardziej zbliża się do prawdy. Możnaż będzie temu zaprzeczyć, że biuletyny wielkiej armji daleko są podobniejsze do słów Chrystusowych i apostolskich, niżeli te rozprawiania jakie słyszymy z ambon i z katedr szkolnych? Bo też żeby wydać takie słowo, coby brzmiało szeroko jak biuletyny, trzeba na to wielkiej siły, trzeba żyć życiem mas, oddychać powietrzem, które ożywia narody; a duchowni z urzędu odszczepili się od tego życia. Gadają nam wprawdzie o epoce nowej, robią nam obietnice, naśladują słowa poetów i proroków naszego czasu; ale nigdy nie są gotowi ugiąć się przed duchem, który je dyktował, nie chcą tego widzieć, że wszystko około nich wzniosło się im nad głowy. I jeżeli dla artysty, dla wojownika, ten akt pokory wewnętrznej jest koniecznym warunkiem postępu; jeżeli nie można przejąć się sposobem malowania wielkiego malarza, nie zrzekłszy się swojego, nie ukorzywszy się przed duchem mistrza; jeżeli niepodobna pójść w ślady wielkiego wodza, nie oddawszy w duchu czci genjuszowi, który go prowadził; jakże wy, kapłani Boga żywego, możecie odzyskać życie i stać się zdolnymi czerpać je ciągle, kiedy wzbraniacie się spełnić akt pokory, nakazany wam przez Pana, któremu służycie?

Ta duma zaufana w sobie samej i rozumiejąca, że można żyć udawaniem życia, pochodzi stąd, że zwierzchność Kościoła, że klasy jego uczeńsze, nie poddały się warunkom, które już w rzeczach niższych, w sztuce i polityce, uznaliśmy za niezbędne do ujrzenia prawdy. Klasy te opuściły drogę krzyża, nie chciały cierpieć, starały się zawsze uniknąć boleści, i zamknęły się w książkach, w teologji, w doktrynach; bo to wiadomo wszystkim, że daleko mniej kosztuje pisać i rozprawiać, niżeli szczerze mówić prawdę i narażać się w jej obronie. Siła rodzi się tylko z bólu. Gdyby duchowieństwo podzielało boleść narodu francuskiego, umiałoby poznać i boleść innych narodów, a wtedy przyłączyłoby się do powszechnego

współczucia; wtedy Kościół urzędowy znalazłby słowo zdolne wzruszyć całe chrześcijaństwo, i przypomnieć mu dawne związki z sobą. Ale duchowieństwo poglądało zawsze krzywo na wszelki ruch, na wszelki znak życia w ludach: przyczaiło się podczas rewolucji lipcowej, potępiło powstanie Polski. Kiedy gmin prosty, kiedy gwardja narodowa krzyczały za Polakami, biskupi przemówiliż choć pół słowa, nakazaliż choć jedną modlitwę publiczną? A przecięż nie w książkach, nie w dziennikach mogli oni znaleźć tłumaczenie, co znaczył ten związek tajemny, tak silnie łączycy Francją zwycięską z Polską pognębioną.

Tylko przenikając głębiej, niżeli my świeccy uczynić to możem, tajemnice wzajemnych ku sobie skłonności narodów; tylko dochodząc do źródła skąd płyną sympatje narodowe; tylko poznając co było chrześcijańskiego w tym popędzie ducha francuskiego ku Polsce, zdołaliby księża połączyć się z nim i wziąć go pod swój kierunek. Do nich nawet należało go wywołać. Czy nie mieli nic więcej prócz modlitw dać Polakom? Dobrze! niechżeby byli z wnętrza swojego dostali modlitwę nową, modlitwę wielkiego ludu za drugi lud. Mieli porę wydobycia z ducha modlitwy nowej. Zarzucają Kościołowi, że oddawna przestał układać modlitwy. Skazani jesteśmy odczytywać zawsze a zawsze te same co poukładano w wiekach wiary, jakgdyby już wiara przepadła zupełnie. Urzędnicy Kościoła, ojcowie i starsi bracia nasi! bylibyście nauczyli nas nowego *Ojczenasz*, wyrazu nowych potrzeb chrześcijaństwa. Ale, powtarzam to jeszcze, nie chce się wam cierpieć, stajecie się narówni z filozofami, których rzemiosłem jest zasłaniać się od cierpień gadaniną dźwięczną a próżną. Co są za cierpienia ludu, to już nam wiadomo; czytaliśmy tu kilka ich opisów, będziemy czytali więcej. Ah! gdybyście wy widzieli całą ludność jednego z miast większych, ludność stolicy Litwy, w chwili kiedy rozstrzeliwano patrjotów, klęczącą bez różnicy płci, wieku, i nawet religji (bo byli w tym tłumie i Żydzi i schyzmatycy), klęczącą z oczyma wlepionemi w obraz Najświętszej Panny, jedynej nadziei jaka im zostawała; gdybyście wy kiedy czuli tę boleść, co niedowiarków i odszczepieńców słała pomostem przed obrazem, będącym natenczas przedmiotem czci wspólnej, co żołnierzy rosyjskich, których oręż polski pokonać nie

mógł, zatrzymywała na miejscu jak wrytych i roztapiała do łez rzewnych; gdybyście patrzyli na to jak oficerowie rosyjscy szlochali głośno, jak muzyka wojskowa nie chciała grać, bo jej sił nie stawało: o! księża francuscy, poznalibyście skuteczność modlitwy narodowej, wynikłej z bólu. Oskarżacie dyplomatów gabinetu francuskiego, że zdradzili sprawę Polski, że nie dali jej pomocy... Gdybyście wy wierzyli w skuteczność modlitwy, dosyć byłoby wam wtedy odezwać się jednym jękiem po całej Francji, wydać krzyk rozdzierający, zaboleć w duchu z narodem, który upadał pod swoim krzyżem, a możebyście i wstrzymali ramię anioła wytępiciela. Ale gdzie tam! wyście nie dowierzali Polsce, a teraz mówicie: „Nie wiedzieliśmy co to była rewolucja polska; popełniliśmy błąd". Wielekroć razy stolica święta, sam papież, powtarza nam to wyznanie: *Byłem w błędzie, nie znałem natury tego ruchu; dyplomacja mię obsaczała.* I toż to jest nieszczęście dzisiejsze, że wy. wy co powinniście byli przeczuć i przewidzieć to wszystko, wy, na których leżał obowiązek nauczyć nas przeczuwać i przewidywać, wyście błądzili, wyście nie wiedzieli o niczem! Przecięż, święci dawniej, — mógłbym przytoczyć na to mnóstwo przykładów, — dowiadywali się najpierwsi o pomyślnych albo smutnych wypadkach dla Kościoła, nie mając żadnego środka ludzkiego otrzymania tej wiadomości. Skąd im przychodziła ta wiedza, nazwijcie to sobie jak chcecie: intuicją, przeczuciem, albo darem proroczym, dosyć, że oni ten dar mieli, a wy go nie macie. [1] Dlategoż tak niezmiernie trudno wytłumaczyć co to intuicja; bo gdybyście wy pełnili wasze obowiązki, zapewneby ani gadano, ani rozprawiano o intuicji, tylkoby znano ją praktycznie. Ale powtarzam, dar ten nie nabywa się inaczej jak przez boleść.

Do czegóż dzisiaj przyszedł Kościół? Co może ta potęga, rodzicielka niegdyś wszystkich mocarstw ziemi? W czem ona wpływa na postępowanie ludzi, na ich życie polityczne, na wielkie poruszenia narodowe, na kombinacje gabinetów? Nad takim stanem

---

[1] Ś. Małgorzata, królowa szkocka, przepowiedziała zwycięstwo Polaków nad zakonem krzyżackim, i upadek tego zakonu, na wiele lat pierwej, nim się to stało. Kapelan króla Jana III, po mszy przed bitwą pod Wiedniem, zamiast powiedzieć: *Ite missa est*, rzekł głośno: *Vinces Joanne!* On to wiedział.

Kościoła powinnoby pękać z bólu serce jego służebników. A widzimyż ten ból? Podczas kiedy cholera grasowała w Paryżu, spotykaliście na ulicach ojców rodzin, bladych, drżących, którzy nie mówiąc do siebie słowa, spojrzawszy tylko jeden drugiemu w oczy, zgadywali czy się lepiej czy gorzej dzieje w mieście, i za powrotem każdego z nich do domu, z samej postawy, z chodu można było poznać jaką nowinę przynosili żonom i dzieciom stroskanym. Kościół prawi nam ciągle, że zaraza niedowiarstwa szerzy się po narodach; Kościół mówi nam bez ustanku, że choroba zabójcza ogarnia dusze i zadaje im śmierć, którą on ma za wieczną. Pytamże się wszystkich ludzi dobrej wiary, czy widzą na twarzach, w ruchach, w skinieniach reprezentantów Kościoła tę boleść, jaką widzieli w ojcach rodzin? A przecięż księża patrzą na zgubę całej ich rodziny duchownej.

Jeżeli więc ten kto pragnie zostać twórcą w sztuce, wznowicielem w polityce, musi koniecznie wejść w spółkę z duchem mas cierpiących i tęsknących do przyszłości, jakaż powinnaby być boleść tych co reprezentują Kościół? Boleść nie do opisania, boleść którą Saint-Martin nazywał boleścią proroczą, wcale różna od boleści pojedynczego człowieka i artystowskiej, boleść jaką się cierpi za miljony! Taki co myśli tylko o zbawieniu samego siebie, niezdolny jest czuć tej boleści. Związkowi, którzy nie dbając o los własny, z lochów więzień wywiadują się co słychać o ich sprawie i spólnikach, żołnierz, który na placu bitwy zapomina o swoim bólu, a pyta tylko czy nieprzyjaciel pobity, są bez porównania dalej w przyszłości od wszystkich teologów i urzędników Kościoła, są — śmiemy to dodać — daleko bliżej Chrystusa.

Trzeba uważać, że jeden z Francuzów, Buchez, pierwszy przedsięwziął poprzeć logicznym wywodem naukę powszechnego zbawienia. Czemuż ta nauka nie wyszła ze stolicy świata chrześcijańskiego, która umie tylko odpychać i potępiać? Jęk tej boleści proroczej odzywa się we wszystkich wielkich pisarzach polskich, w całej nowoczesnej literaturze polskiej. Widzicie teraz jedną z przyczyn, dlaczego musiałem mówić tak długo o uczuciu, z jakiem należy brać w ręce dzieła tej literatury: jest to także przyczyna, dla której duchowieństwo zawsze miało wstręt ku tej literaturze; wiele tych

dzieł proroczych było urzędowie oskarżonych przed władzą kościelną za heretyckie, za szkodliwe.

Gdyby duchowieństwo bolało nad cierpieniami Polski, byłoby samo najpierwej poznało się na wartości płodu piśmiennego, z którego zaraz okażę kilka wyjątków. Jest to poemat wydany temu lat cztery, i należący do rzędu pism proroczych.[1] Części jego, które szczególniej nas tu zajmują, noszą tytuł: *Sen Cezary* i *Legenda*, czyli widzenie w wigilją nocy Bożego Narodzenia.

Rzecz poczyna się od obrazu klęsk Polski, malującego się w widzeniu. Zwycięstwo już przechyliło się na stronę nieprzyjacielską, Polacy ściśnieni zewsząd, biją się bez nadziei. Wtedy — mówi poeta — „każden z nich wzniósł w górę dziecię swoje, i rzekł: leć do Boga, sieroto. — A zdało mi się, że na chwilę zbladł księżyc i z nad ich głów się odsunął — i przepaść jakaś lazurowa wydrążyła się w niebie — i w nią wleciały owe wszystkie maleńkie, jak rój białych aniołków — wlecieli i zniknęli — i zamknęło się niebo i znów księżyc roziskrzył się krwawym blaskiem i walka na nowo się rozpoczęła na ziemi!“

Wiadomy jej koniec!...

„A gdym oczy obrócił ku ziemi, ujrzałem tłumy narodów przechadzające się jako dawniej; na miejscu gdzie owa garstka poległa, już trupów, ni krwi, ni broni nie było — murawa zieleniała... i zdjął mnie strach, że tak cicho na tak wielkiej mogile!“

Żołnierze polscy jak hufiec napowietrzny ciągną przez różne kraje ku Rzymowi.

Żałobny ten hufiec, opierając się zamiast kosturów na szablach swoich, i niosąc sztandar Chrystusowy, zbliża się do bazyliki Ś. Piotra. Tłumy pytają: „Co wy za jedni, i skąd idziecie?“

„Oni się zatrzymali, i dziwny uśmiech rozbiegł się po ich ustach — a odrzekli zaraz: Azaż nikt nas nie poznał na świecie?“

Cichy szmer, zdający się być głosem powszechnym, odpowiada im: „Znamy was — wyście ostatnie bohatery ziemi“. Hufiec otoczony mnóstwem pielgrzymów rusza dalej, bo anioł jemu tylko widomy objawił, mówiąc: „Dni onych Chrystus raz ostatni narodzi

---

[1] *Trzy myśli pozostałe po ś. p. Henryku Ligenzie.* Paryż 1840.

się u grobu Piotra, a odtąd rodzić się już ani umierać nie będzie na ziemi."

Rzymianie zachodzą drogę ponurym gościom, proszą, żeby wypoczęli po długiej wędrówce; ale ci w milczeniu i brew zmarszczywszy idą, pytając tylko: „Gdzie bazylika Piotra? nam spieszno, nam tęskno — wszak już bliska północy godzina."

Rozpoczyna się nabożeństwo Bożego Narodzenia, podczas którego papież przy odgłosie dzwonów Kapitolu, kończy mszę północną. Pielgrzymi cisną się do podwoi kościelnych; ale w tem ukazuje się jakaś nieznana postać w purpurze, jakiś kardynał, z ułożenia, ruchu, głosu niepodobny do innych książąt Kościoła, jak poeta mówi, osiwiałych w bezczynności i spoczynku. Młodzieniec ten odziany purpurą, pełen powagi i siły, wyobraża Kościół nowy. On jeden poznał hufiec posępny, i skinieniem jak książę potęgi dał rozkaz, aby mu otworzono wnijście.

„Gdy papież, trzymając jeszcze kielich w ręku, wzdrygał się, wtedy kardynał sam rzekł: *Ite missa est;* a potem zawołał głosem ogromnym: Czasy dopełniły się, — i rozdarłszy purpurę na piersiach, wyciągnął rękę w stronę grobu Piotra, mówiąc: Obudź się i mów."

„Z każdej lampy nad grobem rzucił się język ognisty, i wieniec płomieni rozkołysał się nad ciemnicą grobu — a z dna tej ciemnicy podniosło się ciało, z rękoma ku sklepieniom — i stojąc po piersi zanurzone w grobie, krzyknęło: Biada!"

„A za tym krzykiem zdało się nam wszystkim, że sklepienia kopuły pierwszy raz się porysowały."

„A kardynał rzekł: Pietrze, czy poznajesz mnie?"

„A ciało odpowiedziało: Głowa twoja ostatniej wieczerzy spoczęła na piersi Pańskiej i tyś nigdy nie umarł na ziemi."

„A kardynał odparł: A teraz kazano mi bym wśród ludzi zamieszkał i ogarnął świat i przytulił go do piersi, jako Pan głowę moją ostatniego wieczora."

„A ciało odparło: Czyń jako ci kazano jest."

„Wtedy kardynał skinął znowu jak książę potęgi — a ciało powtórzyło: Biada mi, i zapadło z strasznym łoskotem, jakby

w otchłań, nazad w grób swój — i rwać się lepiej jeszcze w górze zaczęły sklepienia."

„Cały kościół giął się w podrzutach jak ciało umierające, ale kardynał wzniesioną dłonią zatrzymywał rozdarte sklepienia nad ludem i patrzał aż wyjdzie ostatni z ludu. A przechodząc, rzekł do hufca pielgrzymów: Ludzie, idźcie za mną."...

„Lecz oni podnieśli tylko szable w górę, jakby na ich ostrzach wstrzymać chcieli spadające mury, i zawołali razem: Nie opuścim starca tego. — Samemu gorzko jest umierać — a kto z nim umrze, jeśli nie my? — Wy idźcie wszyscy — my nie umiemy uciekać."

Następuje dopiero zniszczenie.

„...Cztery kręcone filary ołtarza pękły jak ścięte drzewa i runęły — i baldakim spiżowy runął — i kopuła cała jak zstępujący świt, biało spadała na ziemię. Wszystkie portyki i pałac Watykanu i kolumny dziedzińca łamały się, rwały, w proch się sypiąc — i obie fontanny jak dwa białe gołębie przypadły do ziemi, konając."

Tym wspaniałym obrazem kończy się poemat.

Gdyby urzędnicy Kościoła, nasi starsi bracia i ojcowie duchowni, poczuli człowieka zdolnego mieć i opisać takie widzenie, byliby położyli to pismo w rzędzie tych, co poprzedzają i zwiastują Kościół przyszły.

Ów hufiec pielgrzymi nie znaczy tylko samych legij polskich, chociaż ma w sobie tradycją duchową ich wędrówek tajemniczych; wyobraża on razem legją niezliczoną ludzi, zmierzających do Kościoła przyszłego. Wszyscy oni kierują się ku Rzymowi, wszyscy muszą przejść przez Rzym, wszyscy muszą wstąpić do tej bazyliki; ale nie zagrzebią się w jej zwaliskach: ostrzami swemi podeprą jej sklepienia. Nie będą to ostrza broni materjalnej, ani zależącej od pojedynczych ludzi, ale ostrza duchów narodowych. Duchy narodów wstrzymają tę kopułę zagrożoną upadkiem; przebiją w niej otwór dla światła niebieskiego, aby była podobną do panteonu, którego jest powtórzeniem, aby stała się znowu przybytkiem powszechnym, *pankosmem*, *pandemem*, świątynią wszystkich duchów, aby dała nam klucz do wszystkich tradycyj i wszystkich filozofij. Księżom to, urzędnikom Ko-

ścioła wypadało nas do niej przyprowadzić. Po mękach boleści proroczej, byliby oni na widok tej ziemi obiecanej uczuli rozkosze, jakich mi opisać ani dano, ani wolno. Duchy ich wtedy, wchodząc same w siebie, byłyby znalazły te wrota ciasne, o których Ewangelja mówi, wrota do których od wieków narody nie przestają kołatać; wielkie bowiem narody i wielcy ludzie ciągle pracują dla Kościoła. Krew, którą Kościuszko, Joubert, Marceau i żołnierze ich przeleli, nie jest stracona dla sprawy Kościoła powszechnego. Krew ta przebiega po żyłach ludów cierpiących, krew ta dyktuje im zdania, prawdy ewangeliczne.

Michelet, Michelet który przez zamiłowanie artystowskie pięknych rzeczy i pięknych ludzi wieków średnich, napisał o tamtych czasach kilka kart natchnionych, powiada gdzieś, że wieki średnie zostawiły nam *pamiątki przeszywające*. Pamiątki przeszywające!... wyrażenie przedziwne. Księża, teologowie i filozofowie, z historji i rozpraw szkolnych owej epoki wyciągają frazesa, nadymające ich pychą uczoności; my znajdujemy w niej pamiątki przeszywające, pamiątki które nas budzą jak pchnięcie sztyletu, wskroś przenikają jak strzały ogniste.

Dopiero przeszedłszy tę krainę boleści, widzeń proroczych, księża staliby się tem, czem być powinni w epoce przyszłej; bo powinni być wielkimi ludźmi. Jeżeli poeci mówią, jeżeli publiczność nawet oświadcza, że aby wiersz jaki uchodził za prawdziwe natchnienie poetyckie, trzeba żeby w nim było coś Boskiego; jeżeli utrzymywaliśmy, że aby w czasach dzisiejszych ustawa jaka polityczna była uznana przez ludy za dzieło Boskie, trzeba żeby w niej było wiele Boga, cóż dopiero powiedzą nam księża? Kościół jest największem z pomiędzy państw: dotyka z jednej strony królestwa niewidomego, z drugiej królestwa niemego jestestw bądź żywych, bądź nieorganicznych, o którem nie powiedział nam jeszcze ani pierwszego słowa.

Nie umiejętności to rzecz rozwiązać takie zagadnienia. Ten sam duch co nas wzbija w krainy wyższe, daje nam poznawać prawa zasadnicze krain niższych. Filozofowie starożytni zostawili nam mnóstwo dzieł o polityce i moralności; nie zrobili nigdy nic dla niewolników: nie weszli w pojęcie losu, stanu, cierpień i nadziei niewolników. Święci chrześcijańscy, ci sami co pierwsi rozmawiali

z aniołami, pierwsi też znaleźli sposób dać się zrozumieć niewolnikom. Zakres teraz rozszerzył się daleko więcej. Ludzkość powołana jest postąpić wyżej ku niebu, i sięgnąć głębiej w tajniki natury. Gdyby księża mieli uczucie swego powołania, staliby się znowu wielkimi ludźmi, dawaliby kierunek umiejętności i polityce, w których dzisiaj nie przyjmujemy ich sądu.

Intuicja nie jest niczem nowem dla dzieci Kościoła. Kościół pierwotny szedł częstokroć za natchnieniem chwilowem, za popędem mimowolnym, działał, jak nazywamy, intuicyjnie. Czytajcie brewjarz katolicki na dni przeszłego miesiąca. Ambroży, urzędnik rzymski, żołnierz, przybywa do Medjolanu dla uspokojenia zamieszek. Dziecko odzywa się, że go trzeba zrobić arcybiskupem, lud powtarza ten okrzyk. Biorą Ambrożego, podnoszą na rękach w górę, mianują arcybiskupem. Ten człowiek nie ochrzczony jeszcze natenczas, stał się ozdobą, doktorem Kościoła. Kazanoż mu pierwej zdawać examen z nauk teologicznych? Odsyłanoż go do biur, do komisyj, jak robią dzisiaj z ludźmi mówiącymi o religji? Nie... jedno pacholę uczuło w człowieku nieochrzczonym jeszcze przyszłego Ojca Kościoła, i lud usłuchał głosu pacholęcia. Święty Euzebjusz, którego żywot opisany tamże, nie będąc nikomu znajomym w swojej diecezji, został powołany na biskupstwo od ludu, który skoro go ujrzał, uznał w nim świętego: *Simul ac viderunt, probaverunt.* Papież Syxtus ś., poznawszy w ś. Janie Złotoustym człowieka, którego raz widział we śnie, mianował go arcybiskupem.

Tradycja natchnień zaginęła u ludów do tego stopnia, że dziś nie mogą pojąć dawnego sposobu obierania królów w Polsce, bo ani pamiętają już, że podobnie działo się niegdyś w Kościele. Kościół urzędowy dawno zatracił nić tego życia, objawiającego się samo przez się.

Jedyny sposób jaki pozostaje księżom do zrozumienia ludzi przyszłości jest teraz odnowić swego ducha w duchu ludowym, który ze wszech stron wzniósł się ponad Kościół.

Ludy nie chcą wywracać Kościoła, ale go podnieść. Przed rewolucją lipcową było wojsko we Francji: nikt nie myślił go znosić ani wycinać; ale wołano nań: Przyjm nowego ducha, który drga we wnętrzu narodu francuskiego, przodkuj nam na drodze przyszłości. Wojsko nie posłuchało ludu i zostało starte, a przecież kraj

nie jest teraz bez wojska: na miejsce armji dawniejszej stanęła nowa, młodsza, dzielniejsza.

Narody wołają na Kościół żeby przyjął ducha nowego, narody — wyrażę to jeszcze powtarzając wiersze Garczyńskiego:

Krzyczą nad nim jak matka nad śmiercią dziecięcia,
Gdy je z pod piersi matce, wyrwie ptak straszliwy.
A krzyki te
Są dźwiękiem różnych śpiewów, pieśni tajemniczej,
Którą długo tworzyły całe pokolenia,
Którą echem tajemnem późny wnuk dziedziczy.

Jeżeli przyjmiecie tego ducha nowego, stanie się to wam jasno natenczas, czemu tak ciężko teraz przywieść ludy do stóp krzyża, pojednać z Chrystusem Panem.

Oto boście doszczętu sfałszowali ideał Chrystusa. Przedstawiacie go nam ciągle jako żebraka, sądzicie, że dosyć wiecznie go przepraszać albo mu się przymilać, a nic dla niego robić nie trzeba. Gdzieżeście to wyczytali, że Syn Człowieczy był żebrakiem? Alboż mowa jego nie była mową mocy? Alboż nie wyganiał faryzeuszów z kościoła? Nie, nigdy on nie żebrał, nigdy nie prawił grzeczności. Nie wyrażał się przez formuły, nie prowadził rozpraw. Nigdy nie wchodził ze złem w układy.

Skreśliłem wam gest ludzi powołanych do działania w swoim czasie, ludzi mających w sobie ducha narodowego. Gest ten widziałem nieraz, mogłem go schwycić i oddać. Ale jak wystawić wizerunek nowych dzieci przyszłego Kościoła? Patrzcie na dzieła sztuki. Macie tam wspaniałe twarze ś. Piotra, ś. Pawła, ś. Stefana, pełne razem słodyczy, mocy i wielkości. Wieniec światła otacza im głowy i promienie ogniste biją z ich dłoni. Zobaczycież teraz co podobnego — nie mówię już o znakach cudownych łaski, ale o samym wyrazie twarzy — w dzisiejszych sługach Kościoła? Owi mężowie silni, potężni, na których słowo drżały szeregi zbrojne, bladli oprawcy, rozstępowały się tłumy barbarzyńców, owi ludzie nie znający spoczynku, pchani ciągle mocą niewidomą do zdobywania krain ze słychu nawet im nieznanych, byli daleko podobniejsi do żołnierzy i wodzów napoleońskich, niżeli do tych co się nazywają ich następcami. Ś. Stefan poglądał dumnie na katów zadających mu męczarnie. Nie miał oczu spuszczonych w ziemię. Wi-

dział on otwierające się niebo i Syna Człowieczego, który go przyzywał ku sobie.

Na to złe powszechne, na tę chorobę Francji, Polski, Rosji, Włoch i Hiszpanji, niemasz w niczem lekarstwa jak w wysileniu nadzwyczajnem. Trzeba żeby ludzie, co do tego stopnia przeniewierzyli się swemu powołaniu, poczęli teraz od pokory, od uznania w duchu, że są niczem; a jeżeli nie czują się być przeznaczonymi na wielkich i potężnych, niechże przestaną nazywać się żołnierzami największego i najpotężniejszego z Duchów, żołnierzami Jezusa Chrystusa. Niech wrócą do zatrudnień pospolitego życia, niech nie przemawiają więcej do nas w imię religji, która powstała z cudów i utrzymywała się tylko cudami.

Kaznodziejstwo katolickie tak zlękło się rozprawiań protestanckich, tak uczuło się słabem przeciw filozofom, że nie śmie już mówić o tych cudotwórcach, co jednem słowem uzdrawiali chorych, co nieraz w oczach ludzi unosili się w powietrze, suchą nogą przebywali rzeki, chodzili po morzu. Kościół, którego byt jest cudem, wystrzega się dotykać cudów; księża nie śmieją mówić o nich publicznie. A jednak mimo ich i naprzekór im będzie on uratowany, i kiedy oni nie śmieją powiedzieć tego, my powiemy, będzie uratowany przez cud. Wy zaś, kapłani, wy nie pierwej, aż dopiero przeszedłszy wszystkie próby naznaczone człowiekowi, aż przewierciwszy wasze wnętrze świdrem bólu, zdołacie odetchnąć swobodnie, zdołacie spoić nas wszystkich jednem uczuciem miłości. Wtenczas dopiero odbije się na waszych obliczach podobieństwo tych potężnych i jaśniejących twarzy pierwotnego Kościoła; wtenczas też zrozumiecie karty, którem tu dzisiaj odczytał, poznacie gdzie jest duch owego męża w purpurze i co znaczy to skinienie jego, które dał jako pan ziemi.

LEKCJA V

Wtorek, 23 stycznia 1844

Co przeszkadza Kościołowi urzędowemu czuć ducha Francji i Polski dzisiejszej. — Jak powinna będzie tworzyć się poezja

w przyszłości. — Święci nowi i relikwje nowe. — Cześć wzbroniona dla Napoleona; cześć dozwolona dla cesarza Rosji.

To, że naród katolicki w najstraszniejszej chwili walki za swoją narodowość religijną, został opuszczony od Kościoła urzędowego, i to, że cała literatura nowoczesna tego narodu jest posądzona o herezją, ma związek z wielką kwestją religijną, toczącą się dzisiaj na zgromadzeniach politycznych i w książkach filozofów.

Trzeba zgłębić lepiej, co Kościołowi urzędowemu przeszkadza być w spółce z najżywotniejszym i najrzeczywistszym ruchem katolicyzmu, i co mu będzie zawsze przeszkadzało czuć ducha Francji i Polski dzisiejszej.

Wiadomo, że tak zwana *reakcja*, a jak właściwiej nazwaćby należało, natężona *akcja* religijna, bierze swój początek w ostatnich leciech wieku zeszłego, i we Francji. Pierwsze do niej hasło dali świeccy, wszyscy prawie ludzie bolejący, ludzie czynu. Chateaubriand długo tułacz, De Maistre wygnaniec, Lamennais również zmuszony szukać przytułku w obcym kraju, przez historją wewnętrzną własnych żywotów gwałtem przywiedzeni zostali do zastanawiania się nad zasadami życia tegoczesnego narodów europejskich.

Tęsknota poetycka w Wiktorze Hugo, miłość artystyczna w Michelecie, odkryły im tajemnice sztuki gotyckiej. Buchez, w poruszeniu politycznem doświadczywszy zawodów i przeciwności, wrócił na łono Kościoła, albo lepiej mówiąc, uciekł się pod logikę katolicką.

Żaden z tych ludzi nie wyszedł z seminarjum, wielu nigdy nawet nie uczyło się teologji; a jednakże Kościół teraźniejszy musi opierać się na nich: są to ostatnie źródła skąd jeszcze czerpie jakąkolwiek siłę.

Przypuśćmy, gdyby ci ludzie nie wzięli się byli do pióra, gdyby zamiast powychodzić na pisarzy, filozofów, literatów, służyli w wojsku, albo żyli w rzędzie ludu, gdyby czas który obrócili na pisanie książek, spędzili byli w rozmyślaniu, w pracy wewnętrznej, w walkach: pewnie nie przestaliby oni być katolikami, przed Bogiem, który widzi wszystko, składaliby zawsze Kościół żyjący, a jednak znaleźliby się teraz na stronie wręcz przeciwległej Kościo-

łowi urzędowemu: byliby w obozie rewolucjonistów lipcowych, albo powstańców polskich.

Jest to historja ludów europejskich, a szczególniej narodu polskiego, który mało pisał, ale nieustannie rozmyślał, cierpiał i walczył, a teraz jest powołany do złożenia owocu długich swoich boleści. Nie trzeba bowiem mniemać, że kiedy pozamykano kościoły we Francji i Włoszech, kiedy prześladowano religją w Polsce, Kościoła katolickiego już nie było. Ofiara trwa ciągle. „Niemasz chwili — jak powiada De Maistre — żeby kielich nie był podniesiony i ofiarowany na globie.“ Ilekroć kielich ołtarzowy wpadnie w ręce niegodne, wtedy pierś ludzi szlachetnych wylewa krew ofiarną za ludzkość: bo gdyby ofiara ustała na chwilę, ustałoby życie chrystjanizmu, a zatem życie ludzkości.

Po niesłychanych to cierpieniach urodziła się w Słowiańszczyźnie literatura, jakiej nikt nie przewidywał. Nosi ona na sobie cechę nową, i nawet pod względem sztuki zasługującą na uwagę; powstała w sposób niezwykły; porusza kwestje nigdy nie dotykane, nawet nie spodziewane w szkołach. Przytoczę zaraz na to przykład.

Po lekcji przeszłej, spotkał mnie przy wyjściu stąd cudzoziemiec niedawno przybyły do Paryża, i zaczął rozmowę o tem, że poemat bezimiennego autora wydany przed kilku laty, z którego czytałem tu wyjątki, nie koniecznie jest utworem poetyckim, ale raczej opisem widzenia jakie miał autor, jemu dobrze znajomy. „Widziałem poetę — mówił — pod gorącem jeszcze wrażeniem tej wizji okropnej; nalegałem na niego, żeby ją znotował, tym sposobem utworzyło się to dzieło.“ Odpowiedziałem mu na to, że chociaż historja utworzenia się poematu była mi niewiadoma, postrzegłem jednak w nim cechę prawdziwości, dającą mu wyższość nad wszystkiemi utworami samej tylko wyobraźni, pomimo męt i niestosowności tak w stylu, jak w formie opowiadania. Także to tworzą się teraz poezje.

Śmiem jednak utrzymywać, że w przyszłości ta tylko poezja będzie mogła mieć miejsce; że nie będzie wolno później mówić niby z natchnienia wyższego, nie będąc istotnie natchnionym; że ktoby prawił, jak to bywa dzisiaj, o aniołach, o szatanach, o tajemniczych rzeczach w naturze, nie widziawszy ich w duchu, będzie miany za bezczelnego; że nakoniec z zastanawiania się nad teraźniejszą lite-

raturą Północy, każdy czytelnik otrzyma środek rozróżnienia, co w tym lub owym poemacie jest rzetelnego, boskiego i natchnionego, a co jest fałszem , zmyśleniem, słowem, tak pospolicie zwaną dzisiaj, poezją.

Tym porządkiem poezja stanie się znowu czem była niegdyś w czasach proroków, czem była za Orfeusza i Muzeusza; a wtedy odzyska prawo do względu i szacuku u ludzi.

Z pomiędzy wszystkich autorów mi znanych jeden tylko pisarz francuski, Saint-Martin, dostrzegł tę prawdę. Powiada on, że nie należałoby pisać wierszy, aż zrobiwszy pierwej cud. Lepiejby się wyraził, gdyby był powiedział, że nie należałoby pisać wierszy, to jest używać języka nazywanego po szkolnemu mową Bogów, aż pierwej ujrzawszy zjawisko, mające wszystkie znaki bezpośredniej obecności Bóstwa, ujrzawszy działanie tej władzy, którą filozof Baader nazywa władzą wykonawczą religji.

Dlategoż, powtarzam, z pomiędzy wszystkich literatur jedna tylko polska jest, nie powiem katolicką (bo cała literatura francuska jest mniej więcej taką, ponieważ rozstrząsa kwestje zajmujące Kościół powszechny, usiłuje realizować dogmata Kościoła), ale noszącą na sobie cechę kapłaństwa. I oto ta literatura została oskarżoną i wyklętą przez Kościół urzędowy. Może być inaczej, kiedy Kościół ten w trybie, jakim postępuje rozstrząsając pisma, słowa, sumienia, rzeczy najsamorodniej idące z ducha, a najmniej dostępne rozbiorowi, pozostał daleko w tyle od stowarzyszeń świeckich, oceniających dzieła sztuki, i niemało opodal od procedury sądowej tutejszego kraju, gdzie jak wiadomo, jeżeli sprawy cywilne, spory o własność powierzają się jurystom, sędziom, delegowanym, kancellarjom, to przynajmniej skutkiem przesięknienia w społeczeństwo chrystjanizmu, wyrwano już z rąk formalistów życie i honor obywateli, oddając je pod straż przysięgłym. Cóż to są przysięgli? Są to najczęściej obywatele nieświadomi, którzy ani razu nie czytali kodeksu, którzy prawie nie słuchają co adwokaci mówią, którzy sądzą podług wewnętrznego poczucia, w których przypuszcza się i rzeczywiście jest często taka moc sumienia, że przyciska przestępcę, przenika w głąb jego duszy, i przywodzi go do mimowolnego wydania się w jednem słówku, w jednem spojrzeniu. Przysięgłemu dosyć na takiem słówku, na takiem spojrzeniu, żeby dał

swój wyrok. Jest to najtrudniejszy sposób sądzenia. Tym sposobem sądzić mogą tylko ludzie żyjący wśród społeczeństwa długo przetrawianego duchem chrześcijaństwa, ludzie wyrobieni wewnętrznie do tego stopnia, że zdolni są w chwilach wzniesienia się odbierać poczucia z wyż im dawane. Akademje sztuk pięknych, kiedy trzeba oceniać obrazy i posągi, nie odsyłają ich do biur i komisjów swoich zwyczajnych, ale wyznaczają przysięgłych. A Kościół urzędowy dotychczas jeszcze nie wyszedł poza komisje i biura. Człowiek niski, bez tego nawet wzruszenia jakie sprawuje na przysięgłym izba sądowa i ważność sprawy, lada ksiądz delegowany, bierze na rozum słowa, myśli poety albo mówcy, pisma natchnione, wyprowadza z nich wnioski, syllogizmuje zdania, i składa raport kancelistom Kościoła!

Opowiadałem jak w Kościele dawniejszym lud, porwany nagle błyskiem uczucia, okrzykiwał, mianował arcybiskupami ludzi nawet jeszcze nie ochrzczonych; przytoczyłem kilka tego rodzaju przykładów: wspomnę teraz jedno zdarzenie, które da miarę co za różnica między Kościołem teraźniejszym, a owym czasów pierwotnych, czasów życia, zapału i czynu.

Wielu z pomiędzy was czytało zapewne historją nawrócenia Ratisbonna. Izraelita ten, trafem zrządzonym przez Opatrzność, wchodzi do jednego kościoła w Rzymie, i nagle uderzony widzeniem pada na kolana. Zastano go całego we łzach, on sam był oczywistem świadectwem prawdy tego co widział, a czego opowiedzieć nie mógł. Prosi o chrzest. Odsyłają go do teologów, powiadają mu, że jeszcze musi wyuczyć się katechizmu. Powtarza prośbę z naleganiem: chciałby co najprędzej wejść na łono tego Kościoła, tak cudownego! Odpierają go cytacjami postanowień soborów, mówią, że nie zna *składu apostolskiego*. „Ależ — odpowiada im na to — ja dopiero co widziałem królowę aniołów i apostołów, ja w mgnieniu oka poznałem wszystko.“ Księża zgoła tego nie pojmują. Bo zapewne żaden z nich nie miał nigdy tej chwili, kiedy człowiek w zachwyceniu roztapia się cały.

Protestant, filozof amerykański Emerson, napisał kilka kart wykładających co to jest taka chwila, i zdaniem jego *ten do kogo choć raz Bóg przemówił* wie już wszystko.

Jakże chcieć teraz, żeby pojęto cokolwiek widzenie, które dopiero tu czytałem, widzenie napisane pod wpływem podobnego wrażenia jakiego doświadczył Ratisbonne?

Jak dziwić się temu, że również potępiony został inny poemat, *Przedświt*, gdzie autor ciągle mówi o świecie niewidomym i nadziemskim? Będziecie widzieli później przyczyny dlaczego pismo zwane *Biesiadą* uważamy za zgoła niedostępne zwyczajnemu sposobowi, jakim Kościół urzędowy pojmuje i sądzi.

Mamy w historji przykłady królów, opuszczonych w niedoli przez ministrów i ulubieńców, ale strzeżonych stale przez lud wierny. W podobnym przypadku znajduje się teraz duch chrześcijański. Ludy cierpiały, ludy posunęły się dalej na drodze krzyża, ludy posiadają tajemnice i nadzieje, których Kościół urzędowy ani podzielać, ani rozumieć nie jest zdolny. Stąd to oskarżył nas o wprowadzanie religji nowej, nie bacząc na to, że sam chrystjanizm nie był religją nową, ale zstąpił wyłożyć, i uzupełnić raz na zawsze religje wszystkie.

Mamy, i nie kryjemy się z tem, mamy świętych, których wy, ludzie Kościoła urzędowego, nie znacie; czcimy relikwje, o których wam ani w głowie nie powstało. Nie Polacy, ani Francuzi temu winni, że narody, postępując naprzód z czasem, musiały nowych świętych do litanji dodać; bo historja bez przestanku idzie dalej. I za cóż litanja się zatrzymała? W pierwszych czasach było po stu świętych na jeden dzień; od wieków nie widzimy więcej prawie żadnego: a wszakże mamy potrzebę czcić, mamy potrzebę podnosić siebie.

Księża piszą historje powszechne, robią skrócenia dziejów dla ludu. A nie znam historji zupełniejszej, świetniejszej, bardziej zasilającej nad ten hymn wspaniały, który nazywamy Litanją do Wszystkich Świętych. Jest to wzywanie wszystkich duchów wielkich jakie kiedykolwiek zajaśniały na globie, i cnotami swemi dały popęd ludzkości. Można tam sobie dowoli wybrać rycerza, świętą dziewicę, kmiecia, pustelnika, mnicha. Każdy wedle swej potrzeby, wedle swoich skłonności może znaleźć ducha, gotowego dać mu radę lub pomoc. Prostak, człowiek wiary i czynu, nie potrzebuje galerji i muzeów, które ożywiają dusze stępione ludzi światowych; może on w swoim kątku jednem słowem przywołać do siebie całą

tę galerją niebieską, może otoczyć się nią dokoła. Ale nie sądźcie, żeby to było łatwo. Księża zapomnieli już nam dopomagać w czynieniu tych wielkich wezwań; bo powinniby byli naprzód nauczyć nas jak wzywać świętych najbliższych ziemi, tych z którymi najłatwiej nam rozumieć się i stykać. Cóż bowiem jest modlitwa? Nie jestże to wzniesienie ducha, rozpalenie go tak, aby stanął na wysokości wielkich duchów, poprzedników naszych na drodze żywota, i był zdolny otrzymać od nich kilka słów rady i pociechy.

Postępujemy zupełnie tak samo w życiu zwyczajnem. To nie mistycyzm. Żeby słuchać którego z uczonych, żeby korzystać z jego lekcyj, musimy niejako kłaniać się pierwej świętym niższego rzędu, uczyć się w szkołach, stopniami doprowadzać nasz umysł do szczebla zajmowanego przez górujących w umiejętności albo sztuce jakiej. Przerwaliście nić tradycji religijnej i dziwicie się, że Polacy mają litanje, w których wołają do Władysława poległego w obronie chrześcijaństwa pod Warną, do Jana III., do Kościuszki, naczelnika kmiecia; dziwicie się jeszcze, że nad wszystkich wzywamy Napoleona, ducha mocarza, małżonka sprawy najnieszczęśliwszego z narodów, jak go nazywa prorok Brodziński.

Pytaliżeście się u nas o tajemnice czci, którą potępiacie z góry, którą uważacie za błędną? Czyliż wszelka cześć, jak tylko nie oparta na dowodach prawniczych, ma już być urojeniem? Jeśli tak, wywrócilibyśmy sami podstawę katolicyzmu. Cóż wy wiecie o tej czci Napoleona? Jak możecie ją pojmować? Chodziliżcież za nim po polu prac jego? Odwiedzaliżcież przynajmniej te niezmierzone smętarze Jeny, Montebello, Auerstaedtu, zasypane kośćmi krociów tysięcy męczenników, którzy cierpieli i polegli za sprawę chrześcijaństwa?

Odwiedziliżcież wy, co odwiedzacie stare kaplice, pola Waterloo, tę Golgotę nowożytną?

Byron, Anglik, nieprzyjaciel Francji, będąc na tem miejscu, wstrząśniony widokiem jego i dotknięty duchem unoszącym się nad niem, rzekł w chwili natchnienia: „To pole bitwy było zgotowane od wieków na teatr wielkiego wypadku.“ Wzniosłe słowa! Byron, sam nie wiedząc o tem, powtórzył to, co mistycy wyrzekli o Golgocie. „Tam — powiada także Byron — padł wiekopomny orzeł przeszyty strzałami monarchów.“ Tamże też razem ze sławą Francji

padła nadzieja Włoch i Polski. A wy, dziwicie się, że pole to uważane jest za Golgotę teraźniejszą, za miejsce zaległe najgęściej ćmami duchów tegoczesnych!

Musiałem mówić o tem, bo to pismo, którego tak nienawidzicie, ludzie Kościoła urzędowego, pismo to jest datowane z pola Waterloo, i zostało skreślone pod natchnieniem w folwarku *Gros Cailloux*, w tej ostatniej głównej kwaterze cesarza, gdzie przepędził on noc ostatnią, która była też ostatnią nocą szczęścia Polski i nadziei Włoch... Do tego miejsca prorocy i ludzie pobożni Polski pielgrzymują czerpać natchnienie; a gdybyście wy rozumieli tajemnicę tej czci, bylibyście ją nam wyłożyli, bylibyście uczynili ludowi jasno i prawie dotykalnie pojętną wielką tajemnicę Kościoła, tajemnicę oddawania czci relikwjom. Ale wam dość na tem, aby potępić; wy nie umiecie wyłożyć niczego; rzeczy cudowne was nie zajmują. Kiedy gdzie jaka góra sprawuje zboczenie igły magnesowej na przechodzących mimo niej okrętach, albo ściąga lub odwraca prąd wiatru, fizycy natychmiast starają się wytłumaczyć to zjawisko; a wy zastanowiliżeście się nad tem zjawiskiem moralnego pociągu, który dopiero co prowadził całą ludność tłumem za trumną cesarza, który teraz jeszcze wodzi ją do kościoła inwalidów? Co tam pędzi ludzi? Nie ciekawość, bo dla ciekawości idzie się na teatr, czyta się książki; nie chęć przypatrywania się wspaniałemu pomnikowi, bo jeszcze i pomnika niemasz. Jest jednak tam jakaś dziwna siła, która wzrusza ludzi, która do nich przemawia, która ich przyciąga. Gdybyście to wy nam wytłumaczyli tę siłę! Ale na to potrzeba byłoby pójść tam naprzód. A gdybyście ją wytłumaczyli, o! jakżeby cześć oddawana świętym i relikwjom stała się dla was zrozumiała.

Cześć ta była tak zrozumiałą za czasów kiedy Kościół działał, kiedy żył ogólnem życiem ludu. Jednego razu posłowie polscy prosili Piusa V., ostatniego z papieżów co umarł w świątobliwości, o relikwje dla swojego narodu. „Na co wam te relikwje, synowie moi — odpowiedział papież. — Weźcie garść waszej ziemi; ona cała ubita z kości rycerzy, co polegli w sprawie Kościoła, bo w walkach z niewiernymi; ona cała przesiękła krwią męczenników.“ W tem wyrażeniu papież, sam nie wiedząc o tem, powtórzył słowa jednej z najgłośniejszych i najstarożytniejszych pieśni Słowian.

Tenże papież robił czasami takie rzeczy, któreby dzisiaj miano za dziwactwo. W dzień bitwy pod Lepante, ostatniej wielkiej bitwy wypraw krzyżowych, zwoławszy swoich jałmużników i prałatów, kazał odprawiać nabożeństwo dziękczynne za zwycięstwo, które, odnoszone w tej chwili, było mu wiadomem.

Nie rzekłby on jak papież teraźniejszy: *nieznane mi były prześladowania Kościoła; dowiedziałem się o nich z dzienników.* Są to wyrażenia dosłownie znajdujące się w breve. *Dowiedziałem się z dzienników,* powiada papież. Kościół jestże na to tylko, żeby nas uczył dowiadywać się z dzienników, nie zaś prowadził do nabycia tej umiejętności dzieci Bożych, przez którą wchodzi się w obcowanie ze świętymi, zapomocą której osięga się wiedza rzeczy, niewiadomych innym, wiedza dająca potęgę. W tem to znaczeniu trzeba brać słowa Bakona, że *umiejętność* jest razem *potęgą.* Wiedza, umiejętność religijna, jest i potęgą.

To tedy, ludzie Kościoła urzędowego, czci oddawanej wielkim mężom Polski i temu człowiekowi całej ziemi, przez którego poznalibyście wielkie duchy czczone w Kościele katolickim, pojąć wam niepodobna; a czcić cesarza Mikołaja, to pozwalacie! Jak to wytłumaczyć? Wszakże powszechnie wiadomo, że cesarz Mikołaj kazał ogłosić katechizm pod tytułem: *O czci należnej cesarzowi Rosji.* Katechizm ten potwierdzili biskupi, i stolica święta dotąd nie odezwała się przeciw niemu. Był on przedrukowany kilka lat temu w piśmie *Revue des Deux Mondes,* z uwagami księdza Lamennais.

Więc wolno czcić cesarza Rosji, ale oddawać cześć cesarzowi Napoleonowi, to zbrodnia! Możecie teraz nawet widzieć, dlaczego ta cześć powstała w Polsce. Oto bo tam, knutem zmuszając do czci nowej, przywołano ludziom na pamięć tego archanioła, co sam tylko mocen zdeptać smoka.

Cześć Napoleona musiała wyrodzić się w Polsce, i duch narodowy tego kraju, reprezentowany przez ludzi czynu, wyprowadza na jaw kwestje żywotne roztrząsane we Francji, przynosząc razem ich rozwiązania, jakich się nie spodziewano.

Nie dziwując się zatem klątwom, któremi nas obrzucać będzie zwyczajny tryb postępowania ludzi przeszłości, albo ślepota tych, co, mając się za służebników Kościoła, są najzawziętszymi wrogami chrześcijaństwa, dla prostej przyczyny, że śmierć nie-

nawidzi życia, — dotrwamy w naszym zawodzie. Nie, relikwje nie przestają działać; wielkie duchy pomimo wszystkie krzyki Kościoła urzędowego nie przestają opiekować się ludami; a prawdziwy Kościół wojujący nie przestaje ufać w swoje zbawienie, i to generacja dzisiejsza powołana jest stwierdzić.

LEKCJA VI

Czwartek, 30 stycznia 1844

Przeczuwana jedność ludów europejskich na czem ma zależeć. — Różne drogi prac narodowych w rozwijaniu dogmatu chrześcijańskiego. Różne wyrażenia w językach. Wykład niektórych wyrażeń *Biesiady*. O duchach i krainie duchów. — Sztuka jeszcze dotyka tych rzeczy. Początek i cel sztuki. Skąd bierze się ideał. Rola jaką w tej mierze może grać poezja i tradycja słowiańska. — Sztuka nowa potrzebuje typów nowych. Arcy - typem dla sztuki nowej jest Napoleon.

Jedność do której bez ustanku dążą różne plemiona europejskie, jedność ze wszech stron przeczuwana i przepowiadana, nie będzie, jest to już rzecz pewna, zależała na obróceniu ich w jakąś bryłę materjalną, w pewien rodzaj amalgamu albo kombinacji chemicznej, gdzieby zatarły się wszystkie pierwiastki moralne, wszystkie najistotniejsze cechy narodów. Jakkolwiek o takiej jedności marzą despoci i filozofowie, instynkt ludów ją odrzuca: nie byłaby to jedność, której ideał chrystjanizm postawił. Chrystjanizm uczynił naprzód zadość moralnym potrzebom ludów, później przemawiał do ich pojęcia, tłumacząc im wszystkie podania ich religijnej i historycznej przeszłości. Tym sposobem przygotował je do rozumienia prawdy przyszłej, która stała się składem wiary powszechnym. Europa przyjęła ją, i częstokroć mimo swej wiedzy pracowała nad jej zrealizowaniem. Ale w realizowaniu prawdy chrześcijańskiej każdy naród działa podług swoich sił, i podług stopnia swego rozwinięcia się moralnego.

Teraźniejsza epoka zbierze w jedno wyrób tych prac cząstkowych. Pokaże się co każdy lud zrobił dla ogólnego dobra ludzko-

ści. Da się widzieć, że opinje religijne, polityczne i artystowskie wszystkich ludów, są częściami jednej całkowitej historji europejskiej. Historja Francji znajdzie swoje dopełnienie w historji Słowiańszczyzny, a mianowicie w historji Polski.

Nie trzeba się temu dziwić. Często cudzoziemiec daje nam poznać własne nasze dzieje. Mamy na przeszłości dowód tej prawdy. Grecy i Rzymianie dowiedzieli się od Izraela, jaki mieli udział w powszechnym ruchu historycznym. Greckie i rzymskie historje były tylko narodowemi; dopiero chrystjanizm podał myśl historji powszechnej: duch chrześcijański naszej epoki musi tę myśl podnieść do drugiej potęgi.

Ponieważ narody w realizowaniu chrystjanizmu szły drogami różnemi, wyroby ich prac, mimo przeczuwaną jedność, pokazują się rozumowi jako niesforne i sprzeczne. Jużeśmy to widzieli, traktując kwestją religijną, że wszystkie wielkie państwa Europy przyjmują dogmat chrześcijański; a jednak jaka zachodzi między niemi różnica, nietylko co do form obrządku kościelnego, ale co do istoty religijności wewnętrznej. To samo zjawisko, to samo dzieło religijne, które buduje jeden naród prawowierny, jest zgorszeniem dla innych narodów, także prawowiernych. Do zamętu tego przyczynia się jeszcze różność języków. Łacina, która przez tyle wieków była niejako mową ojczystą teologów i filozofów, stała się już tylko językiem kancellarji rzymskiej. Każdy naród wyrobił właściwy sobie język religijny i filozoficzny. Niezmiernie trudno wyrażenia tych języków przenosić z jednego w drugi bez zepsucia. Mówiłem o tem przeszłego roku jak naprzykład ten wyraz *Duch* wcale inaczej pojmują Francuzi, Słowianie i Niemcy. Stąd wynika, że ta sama formuła filozoficzna, uznana za prawdziwą i przyjęta od tych trzech narodów, może jednak rodzić w ich umysłach wyobrażenia różne i wbrew przeciwne.

Musimy wyłuszczyć jedną z takich formuł, bardzo pospolicie używaną w mowie Słowian. Rzecz sama wprowadza nas dzisiaj na to. Na wstępie *Biesiady* znajdujemy wzmiankę o *Sprawie wychodzącej w krainę zewnętrzną, a będącej dotąd całkiem w krainie duchów.* Nie może nikt czytać żadnego z płodów tegoczesnej literatury słowiańskiej, kto nie zrozumie co znaczą u nas te wyrażenia: *kraina duchów, robota duchów, sprawa duchów.*

Daremnie szukałem po książkach religijnych, we Francji wychodzących, odpowiednich temu wyrażeń, któreby mi pomogły dać się zrozumieć publiczności francuskiej. Nie znalazłem nic więcej prócz formuł, zawierających pojęcia rozumowe, to jest rzeczy najbardziej oddalone od ducha żywego; bo tu mowa o duchu żywym, a przypominam wam, że u Słowian *duch* i *rozum*, wcale nie wychodzą na jedno, jak to bywa niemal u wszystkich teologów i filozofów szkolniczych.

Żeby więc ustalić znaczenie tych bardzo duchownych wyrażeń słowiańskich: *sprawa duchów*, *kraina duchów*, wyrażeń pospolitych i razem głębokich, weźmiemy w pomoc teorją sztuki.

Za naszych czasów, kiedy wszystko co jest z ducha podległo ostatecznemu skażeniu, jedna sztuka tylko zachowuje jeszcze coś duchowego. Ma ona swój urok, swoją tajemniczość, których rozum nie zdołał wytłumaczyć. Dla niektórych ludzi sztuka jest jeszcze jedynym sposobem praktykowania religijności, jakiego trzymać się śmieją. Wielcy artyści, tacy nawet co są jawnymi wyznawcami materjalizmu, mają jednak jakieś uczucie, albo wspomnienie zasadniczych prawd religji. Wierzą w byt udzielny duszy, w jej nieśmiertelność, w jej działanie. Ideologom i filozofom godzi się wątpić o tem; artyści muszą uchodzić za wierzących w te prawdy. W posągach i obrazach nie przedstawiają oni nam jakiejś duszy powszechnej i panteistycznej, ale starają się ukazywać duchy pojedyncze, duchy mające postać osobistą. Gdzież są te duchy, w jakiej krainie przebywają, nim zstąpią do pracowni artysty, i poco artysta je tam sprowadza? Odpowiedź na te pytania uwolniłaby nas od potrzeby rozwodzenia się z objaśnieniami nad wstępem *Biesiady;* ale tej odpowiedzi teorja sztuki jeszcze nam nie dała.

Znane są rozmaite systemy teoretyków, którzy przedsiębrali wytłumaczyć skąd i naco się sztuka wzięła. Nie miejsce tutaj zajmować się roztrząsaniem tych systemów; dosyć na tem, że wszystkie uznane zostały za niedostateczne. Dzisiaj zgodzono się już powszechnie, że sztuka nie jest jak niektórzy teoretycy mniemali i nauczali, samem tylko naśladowaniem: gdyby chodziło jedynie o wierne oddanie powierzchowności osób, toby najlepiej było robić podobne do nich figury woskowe, i ubierać je w odzienie, jakie te osoby miały zwyczaj nosić. Sztuka nie jest także przy-

pomnieniem rzeczywistości: tworzy przedmioty, których nikt nigdy nie widział. Sztuka wreszcie nie zależy na zręcznem ułożeniu typu rodzajowego z rozmaitych cząstek branych od gatunków i pojedynczych jestestw: byłaby to robota kompilacji materjalnej, albo abstrakcji umysłowej, kiedy tymczasem każde arcydzieło jest rzeczą jak najbardziej samą w sobie. Skądże więc wziąć wzór, ideał arcydzieła?

Ideał ten nie znajduje się nigdzie indziej, tylko w krainie duchów. Niektórzy filozofowie starożytni, Pytagoras, Platon, wiedzieli o tem; wszyscy wielcy artyści to czuli; teoretycy dzisiejsi poczynają domyślać się tego. Sztuki powołaniem jest ideał ten wcielić w formę widoczną, dać nam uczuć i zobaczyć ducha przedstawionej osoby, wyzwalając go z powłoki ziemskiej, którą był zaćmiony, a przywracając mu formę, będącą wyrazem jego natury wewnętrznej, formę jaką mógłby i powinien byłby mieć na ziemi.

Żeby tak wystawić ducha w formie jemu właściwej, potrzeba pierwej go widzieć; tak jest, potrzeba widzieć! Sztuka zatem jest pewnym rodzajem wywoływania duchów, jest operacją tajemniczą i świętą.

Saint-Martin, tak mało znany we Francji, a z tak wielu względów mogący należeć do Słowiańszczyzny, pierwszy powiedział: *Sztuka nie jest niczem innem tylko widzeniem; artyści, choć często sami nie wiedzą o tem, mają dar widzenia.* Pewnie! I gdybyśmy nie przypuszczali w nich tego daru, jakżebyśmy mogli wierzyć, że twarze świętych i bohaterów, które ukazują nam w swoich malowidłach lub rzeźbach, należą się istotnie duchom wielkich osób zmarłych przed wiekami? Jakim sposobem sam artysta mógłby mieć pewność wewnętrzną, że kopja ziemska podobna jest do oryginału niewidomego? Sztuka nie jest i nie może być czem innem, jak tylko wyrażeniem widzenia. I cóż to jest talent artystowski? To co nazywamy talentem, darem nieba, co artyści czują w sobie, a czego nie starają się dosyć pojąć, nie jest niczem innem jak tylko spójnią, łączącą ducha artysty ze światem niewidomym: jest to przywilej stykania się z krainą duchów. Poeta polski, Malczewski, powiada:

„I drży nić, którą serce do nieba związane;
To kropla słodkiej rosy spadła po niej w ranę."

Jakkolwiek słaba już ta nić co sztukę dzisiejszą wiąże z niebem, ale zawsze trwa jeszcze: rozbiór i rozprawianie nie zdołały jej zerwać.

Myśli, które tu wyłożyłem, powziąłem z tradycji słowiańskiej, zgodnej z tradycją powszechną, i one to przewodniczyły w tworzeniu największych naszych płodów literackich. U Słowian niemasz sztuki pod formą plastyczną; ale typy, utworzone przez naszych poetów gminnych i religijnych, powinnyby służyć za przedmiot do wypracowania rzeźbiarzom i malarzom. Sądzę, że zapomocą tradycji i poezji słowiańskiej możnaby rozwiązać niektóre zagadnienia krytyki wyższej. Możnaby, naprzykład, odgraniczyć lepiej, niżeli dotąd potrafiono, rzeźbiarstwo od malarstwa, wskazać każdej z tych sztuk prawdziwy ideał, wytknąć dla obu właściwy im cel i zakres.

Zastanówmy się naprzód pod tym względem nad rzeźbą. Powiedzieliśmy, że sztuka przedstawia duchy osób. Z pomiędzy wszystkich sztuk rzeźbiarstwo nadaje duchom formę najdobitniejszą, i używa do tego wszelkich rodzajów materjału, począwszy od miękkiej gliny aż do granitu, od bronzu aż do złota; a jednak ani materjał, ani forma nie zależą od dowolności artysty. Bronz albo marmur, postać naga albo odziana suknią bądź opiętą, bądź powiewną, wszystko to nie jest bez przyczyny: powinno odpowiadać istocie ducha wyobrażanego. Instynkt artystów odgaduje czasem prawa świata duchowego, i związki jakie zachodzą między nim a materją; religja powinnaby je wytłumaczyć. Rzeczywiście, religijne i poetyckie podanie przypuszcza hierarchją duchów, i pojedynczym duchom każdego stopnia tej hierarchji daje formę i znamiona inne. Weźmy przykłady. Podług naszego podania, duchy niskie, które, wyszedłszy z ciała, zachowały skłonności zwierzęce, ukazują się pod formą dziwaczną i fantastyczną; duchy ludzkie cierpiące jeszcze, nie mogące oderwać się zupełnie od ziemi, przybierają formę i atrybucje jakie nosiły za życia na tym świecie, a omroczone swemi cierpieniami wydają się szare albo czarne; duchy bohaterów i błogosławionych, objawiające się tylko ludziom świętobliwym, ukazują się przeciwnie w jasności i bieli, a zawsze samotnie. Dodajmy, że wszystkie te ukazywania się mogą zdarzać

się nie inaczej jak w nocy, i nie przy innem świetle jak księżyca.

Wiemy, że uczeni pozwalają sobie całą tę teorją gminną ukazywania się duchów nazywać bałamuctwem; chciałbym wszakże, żeby raczyli zastanowić się nad tem jednem: dlaczego wszystkie najznakomitsze dzieła starożytnej i nowoczesnej rzeźby odpowiadają ściśle wymaganiom tej teorji, a przeto zgadzają się i z wiarą powszechną. Pauzaniasz powiada, że na posągi bożków i bohaterów używano najbardziej marmuru białego i kości słoniowej, i że posągi te stawiano zwykle w ciemnawych miejscach świątyń, albo gajów poświęconych. Najsławniejsze arcy-dzieła sztuki greckiej wszystkie przedstawiają osoby pojedyncze; na wszystkich widać wyraz powagi i świętobliwości. Takim też jest *Mojżesz* Michała Anioła, prawdziwy typ wielkości i potęgi prorockiej, słowem największe arcy-dzieło sztuki chrześcijańskiej.

Przypominam sobie, żem niedawno czytał w jednym dzienniku francuskim o używaniu marmuru i bronzu w rzeźbiarstwie. Autor wpada na te same myśli, ale z obawą i niedowierzaniem. Dodam jeszcze tę uwagę, że draperje sławnych posągów, tak starożytnych jako i nowoczesnych, wszystkie są podobne i zdają się być układane w pewien jednaki sposób. Rzeźbiarze wolą dawać draperją jak najprostszą, unikając w rzuceniu jej ruchów wyszukanych, powiewnych, drobiazgowych. Teoretycy niedosyć to wytłumaczyli skąd pochodzi ten wstręt rzeźbiarstwa do malowniczości. Przyczyna tego przecież bardzo naturalna. Malowniczość nie może inaczej wydawać się jak przy świetle dziennem, a prostota ubiorów posągowych przypada najlepiej do światła księżycowego. W Rzymie, Watykańska galerja rzeźby zwiedza się przy pochodniach.

Co jeszcze rzecz szczególniejsza, to że w rzeźbie wszyscy bohaterowie i święci mają ubiór jednaki, jak gdyby byli mieszkańcami jednej jakiejś krainy. Wiele pisano o tym ubiorze, o tej draperji, dotychczas po szkolnemu zwanej ubiorem greckim albo rzymskim. Tymczasem nie jest on ani grecki, ani rzymski. Jest to ubiór widocznie tradycyjny, wzięty z pierwotnego objawienia. Znajdujemy go na niektórych pomnikach sztuki Indjan i Egipcjan, mamy opisany w Biblji. Przypomnijmy sobie ową niewiastę w Endor, co na żądanie Saula, wywołując ducha Samuelowego, widzi bogi

wychodzące z ziemi, i zapytana jaką miał postać prorok, odpowiada: „Mąż stary wyszedł, a ten odziany płaszczem.“ Pauzaniasz utrzymuje, że najdawniejsze posągi bogów i bogiń były robione zawsze w pewnym rodzaju togi albo tuniki, nigdy zaś nago. Nagość zjawiła się później, kiedy artyści zaczęli szukać modelów w gymnazjach i teatrach, słowem na ziemi. Ubiór ten jest obszernie opisany w dziele niemieckiem, ułożonem z opowiadań sławnej *Jasnowidzącej w Prevorst*, gdzie nieodmiennie ukazują się w nim duchy pewnego stopnia. Posiadamy nakoniec opisy jego we wszystkich religijnych podaniach i poematach słowiańskich. Cokolwiek bądź uczeni chcą mówić w tej mierze, muszą wszakże zgodzić się przynajmniej na to, że forma, pod jaką duchy objawiają się naszym oczom albo naszej wyobraźni, nie jest bynajmniej dowolna, bo wszędzie jest ta sama.

Idźmy dalej w zastanawianiu się nad podaniami gminnemi pod względem ich związku ze sztuką. Od rzeźby, mającej posadę na ziemi, wznieśmy się w krainę wyższą. Duchy, które już nie mają w sobie nic ziemskiego, ukazują się w powietrzu; bliższe światła, przybierają postać jaśniejącą pięknością i blaskiem kolorów: jest to właściwa kraina widzeń, źródło niewyczerpane malarstwa. Daje to pojąć dlaczego prawdziwe malarstwo poczęło się dopiero w chrześcijaństwie. Chrześcijanie tylko dostąpili łaski widzeń niebieskich. Oni pierwsi opowiadali o nich. Największe, najrozleglejsze widzenie roztacza się w ostatnich kartach ksiąg świętych, w Apokalipsie, i ostatni wielki obraz sztuki chrześcijańskiej, obraz Michała Anioła, jest odmalowaniem Apokalipsy. Artyści długi czas, chociaż częstokroć sami nie wiedząc o tem, trzymali się w zgodzie z uczuciem gminnem, które nie jest niczem innem tylko prawdą. Najpiękniejsze obrazy przedstawiają sceny napowietrzne. Takiemi są: *Madonna* Drezdeńska, *Madonna* Folińska (de la Foligno), *Wniebowzięcie* Tycjana, *Zachwycenie ś-go Pawła*, *Przemienienie Pańskie* i t. d.

Osłabienie ducha chrześcijańskiego, paraliżując tę siłę co duchy ludzkie porywała ku niebu, wstrzymało i polot genjuszu artystowskiego. Skoro stracono wstęp do tego muzeum niewidomego, gdzie się znajdują prawdziwe modele, poczęto gadać, że go i niemasz. Artyści przebiegali ziemię, próżno szukając przedmiotów godnych

unieśmiertelnienia. Dla zakrycia niedostatku natchnienia wzięto się do teoryj i systemów. Pomięszano krainy, typy i atrybucje. W takim stanie rzeczy szczęściem, że jest lud, który nietylko zna siedlisko prawdy artystycznej, ale i wie do niej drogę.

Można teraz pojąć, dlaczego Słowianie dotąd nie zajmowali się sztuką plastyczną. Zdaje się, że to i nie ich powołanie zajmować się nią kiedykolwiek. Na co im ubijać się o kopje, kiedy mają w całej pełności organ, zapomocą którego mogą widywać oryginały. Te wspomnienia świata niewidomego, co inni przez obawę, aby nie zaginęły wyciosują z kamienia, odlewają z bronzu, rozpościerają na płótnie, Słowianie przechowują żywcem. Dla nich nie są to wspomnienia, ale rzeczy istotne, obecne. Lud słowiański całe życie opowiada i opiewa co się dzieje pod ziemią, w powietrzu, na niebie. Z nierozumienia cudów tej to żywej wiary ludu słowiańskiego poszło, że niektórzy cywilizatorowie teraźniejsi mniemali, iż zrobią wielką przysługę Słowiańszczyźnie, przywożąc jej kilka obrazów, kilka posągów; posągów greckich i rzymskich dla ludu, którego wyobraźnia ogarnia krainy, które ś. Jan opisał, i które Michał Anioł odmalował!

Sztuka wysila się na tysiące sposobów dla obudzenia w duszy mieszkańców Zachodu czucia cudowności; u nas dosyć na to samej natury. Ta dziewicza, wspaniała, dzika natura, co z każdym dniem przybiera nowe wdzięki i nową groźność, ma w sobie razem coś niezmiernie świętego i przejmującego strachem. Czytałem wam opisanie zorzy północnej i burz Polski, którą jeden Francuz kraj ten zwiedzający, Vautrin, nazwał *ojczyzną wichrów*. Radbym był, gdybym mógł dać wam w dźwięku wierszy uczuć gwałtowność wiatrów północnych, tych wiatrów straszliwych, co zrywając się z wyniosłych płaszczyzn Azji środkowej, grasują po naszych lasach, niekiedy rwąc je z korzenia i waląc pomostem. W ryku ich lud słyszy rżenie koni pod duchami dawnych najezdników mongolskich i litewskich. Głos takiej natury wstrząsa najtwardsze organizacje ludzkie, i nakształt trąby archanielskiej budzi duchy najgłębszym snem zamarłe. Każdy prawdziwy chłop słowiański jest człowiekiem duchowym.

Ale byłoby to nie znać charakteru narodu francuskiego, gdyby kto wymagał po jego artystach, aby żyli jak chłopi słowiańscy

i nie mieli innych modelów prócz widzeń religijnych. Mają oni co innego do spełnienia, i ideał dla nich znajduje się bliżej, niżeli się spodziewają. Jak chrystjanizm uświęcił dotąd tylko rodziny i zgromadzenia, tak też i artyści nie przedsiębrali nic więcej sławić tylko cnoty prywatne i bohaterstwo w szerzeniu wiary: sztuka była domową i mniszą. Przebrawszy wszystkie zmiany, wszystkie wizerunki życia domowego i mniszego, musiała ustać, zabrakło jej wzorów, skończyła już niejako swój zawód. Duchy nabożnych pokutnic, cienie zbrodniczych baronów, przestały chodzić po celach, tłuc się po wieżach zamkowych. Klasztory stoją pustkami, zamki gotyckie równają się z ziemią. Chrystjanizm powołuje ludzkość do wstąpienia na nowy szczebel świętości. Dążeniem chrystjanizmu jest dzisiaj uświęcić państwa polityczne, narody. Wzywa on ludy, aby wydały innych świętych, świętych narodowych. Taki święty powinien nietylko nas budować przypomnieniem wszystkich cnót chrześcijaństwa pierwotnego, ale nadto, jest powołany dodawać nam mocy, stawiąc w sobie wzór siły i działalności z wiedzą, które znamionują epokę teraźniejszą. Dawni święci Kościoła chrześcijańskiego podobni są z tego względu do półbogów i bohaterów mitologicznych, do Herkulesa, Perseusza, Jazona: nie mieli żadnej narodowości, nie byli ani Doryjczykami, ani Jonami; nikt dobrze nie wiedział z jakiego kraju pochodzili. Po tej epoce półbogów nastąpiła epoka bohaterów narodowych. Rzym był jej reprezentantem. W Rzymie dopiero pogańskie bohaterstwo religijne rozwinęło się zupełnie. Tam ukazało się już jako panujące światu. Tak samo będzie, bądźcie tego pewni, i z bohaterstwem chrześcijańskiem, bo ma przeznaczenie opanować całą ziemię. Musieliśmy dla lepszego wyjaśnienia tej nowej dążności religijnej udać się do historji pogaństwa: nie nasza to wina, że historja ta więcej jest znana niżeli kościelna; a zresztą prawa postępu dla wszelakiego ducha są jedne. Duch chrześcijański wyzwany jest teraz wydać swoich ludzi stanu, swoich bohaterów narodowych.

Wyzyw ten ściąga się naprzód do Francji. Francja w chrześcijaństwie reprezentuje czyn, realizacją. Uczuć, pojąć i zrealizować, te trzy działania kolejno po sobie następujące, w duchu francuskim odbywają się jednocześnie, i wybuchają jako jeden czyn

jego życia wewnętrznego. Czyn narodowy, w którymby wybuchnął duch całej Francji, byłby początkiem nowej epoki, zapowiedzią urodzenia się sztuki nowej. Dopiero dokazawszy wielkich rzeczy, można słusznie oczekiwać wielkich pomników. Sztuka wygląda nowych typów, i mieć je będzie; arcy-typ nowej sztuki chrześcijańskiej już jest: Francja go wydała.

Powiedzieliśmy, że duch chrześcijański oddawna nie ma już innego organu na ziemi, jak tylko dusze ludzi bolejących i ludzi czynu. Na dowód pierwszego dosyć jest wspomnieć nowoczesne prace myślicieli chrześcijańskich; ale jak przekonać o tem, że owi sławni wodzowie, których wymieniliśmy pierwej, i owi dzielni żołnierze, którzy walczyli pod ich dowództwem, tchnęli istotnie duchem chrześcijańskim? Wodzów i żołnierzy życie schodziło całkiem na działaniu; gdzie im było zajmować się wykładem teoretycznym swoich uczuć moralnych! Potomności zostawili dociekanie, co ich popychało do czynu. Często występując jako jawni nieprzyjaciele Kościoła urzędowego, bili się właśnie za tryumf ewangelji. Co tam oni trzymali o Chrystusie, tego nie wiemy; ale jak największy z tych wielkich ludzi pojmował chrystjanizm, to nam wiadomo.

Zdaniem naszem niemasz równego komentarza ewangelji jak te kilka kartek, spisanych przez jenerała Montholona z rozmowy z Napoleonem, które teraz świeżo Bauterne w dziele swojem ogłosił. Napoleon pojął i wyłożył Boską naturę Chrystusa lepiej niż jakikolwiek teolog. Bo też Zbawiciel nie przyszedł był na świat teologować, ale działać; a po Chrystusie nie było między chrześcijanami ktoby więcej działał, więcej pracował, więcej realizował od Napoleona. Każda chwila jego życia — mówi Maltitz — była czynem. I jakże się on bierze do zgłębiania natury Jezusa Pana? Zgłębia samego siebie. Pełen uczucia swojej mocy i swego posłannictwa śmie porównywać się w duchu z Chrystusem, i oto do czego tą drogą rozmyślań przychodzi: „Jezus Chrystus—powiada— nie był człowiekiem. Ja wiem co człowiek może. Mam ja dar elektryzowania ludzi; ale w miarę, jak się oddalają ode mnie, tracą tę siłę...“ Wyznaje, że nie miał władzy osadzenia w piersiach ludz-

kich stałego ogniska elektryczności. Władzę taką miał dotąd sam tylko Zbawiciel.

Napoleon tłumaczy nam tutaj te słowa Chrystusa Pana powiedziane do Samarytanki: „Woda, którą ja dam, stanie się źródłem wody wyskakującej ku żywotowi wiecznemu;“ czyli, mówiąc językiem dzisiejszym: ten kto przyjmie iskrę Bożą i zachowa ją w swym duchu, będzie miał w piersiach własnych to, co Napoleon ogniskiem elektryczności nazywa.

Napoleon w swoim duchu nosił całą przeszłość chrystjanizmu, i wydał ją na jaw w swojem ciele. Potężny w słowie jak ś. Piotr, albo ś. Paweł, prosty i surowy w życiu jak kapłani pierwotnego Kościoła, wspaniały jak biskupi średnich wieków, czuł jednak, że aby być naczelnikiem ludzkości teraźniejszej, niedość jest mieć w sobie całą przeszłość: ludzkość potrzebowała ogniska, któreby mogło pozapalać dusze płomieniem nowej miłości i nowej mocy; miłości wojującej i mocy zwycięskiej. Poznał to on jasno przy końcu swojego żywota, podczas męczeństwa na wyspie Świętej Heleny. Kościół chrześcijański nie powstał z doktryn teologów; wytrysnął z ran Boga-Człowieka: krew jego dała mu życie.

„Czemuż krwi twojej krople na ludzi nie prysły
I mózgów im nie spalą wieczystem żarzewiem?“

Powiada Garczyński, obracając mowę do teologów. Czemuż— dodamy — słowa Napoleona umęczonego nie przewiercą głów ideologom? Przyjęły się one i puszczają rostki w duszach chrześcijaństwa.

Żywot ziemski Napoleona już się skończył. Jako naczelnik partji politycznej, jako założyciel dynastji, nie ma już on bytu na świecie. A jednak któż temu będzie tu śmiał zaprzeczyć, że jego duch nie przestaje działać ciągle. Ludzie religijni, wojownicy, ludzie stanu, udają się do niego po radę, zgłębiając jego pisma i jego czyny. Zgłębianie takie nie jestże to prawdziwa modlitwa? Do artystów natchnionych należy wznieść się aż w krainę gdzie ten wielki duch przebywa, wywołać go i uczynić nam widomym. Arcytypem dla sztuki nowej jest Napoleon.

LEKCJA VII

Środa, 7 lutego 1844

Postęp wspólną pracą duchów. Duchy zbiorowe, narody. — Kościół urzędowy nie ma już wyrażeń na oddanie rzeczy dotkniętych w *Biesiadzie*, stracił nawet tradycją i pojęcie słowa. — Słowo u Słowian. Jak się tworzy i działa. — Dar języków, zatracony w Kościele urzędowym. — Musi nastąpić nowy wybuch Słowa Chrystusowego. — Chrześcijaństwo zrobiło postęp w narodach. Francji i Polski potęga zewnętrzna tylko od tego postępu zależała i zależeć może. — Kosmopolityzm podawany przez teraźniejszych reformatorów jest próżnem marzeniem. — Przestroga od Słowian dla Zachodu. Groza napadu hord z Północy wisi zawsze nad cywilizacją europejską.

Niech sobie będą jakie chcąc formy wyjawiania ducha, niech się nazywają książkami, pomnikami, arcy-dziełami sztuki, zawsze są to oczywiście nic więcej, tylko sposoby zapomocą których duchy okazują się jedne drugim, tylko znaki przez które wchodzą z sobą w porozumienie i spółkę; bo pisma i posągi nie przemawiają do naszych zmysłów, ale do naszego ducha. Pisarze i artyści, wywnętrzając się w poezji albo w sztuce, czynią nie co innego, tylko dogadzają potrzebie udzielania się naszym duchom. Nic nie istnieje odrębnie w naturze. Są takie własności, takie siły, których duch nie może ani nabyć, ani rozwinąć inaczej, jak stykając się, obcując z duchami tegoż samego gatunku: wtedy wytężeniem spólnem podnoszą się nawzajem. Obcowanie duchów, będące dogmatem chrześcijaństwa, jest razem najpierwszym warunkiem postępu.

Duchy zbiorowe, to jest państwa polityczne, podlegają tymże samym prawom. Jeżeli niektóre narody, przez jakiś pociąg tajemny mają jedne ku drugim skłonność szczególniejszą, jeżeli czują potrzebę udzielania sobie wzajemnie swoich idei i wyrobów swojego ducha, to dowodzi, że muszą mieć jakieś powinności narodowe, którym tylko wspólnie mogą uczynić zadość.

Z tego stanowiska zapatrywaliśmy się na pomniki literatur słowiańskich w ich chyleniu się ku Zachodowi. Rozbieraliśmy dzieła filozoficzne i religijne Słowian, uważając je niejako za odezwy moralne pokoleń nowych. Dawaliśmy wam później słyszeć

dźwięki ich poezji, tej muzyki wojskowej zastępu duchowego. Mamy nadzieję ujrzeć ich sztandar i widzieć go wkrótce pobratanym ze sztandarem waszym. Duchy, jakeśmy powiedzieli, muszą zetknąć się i zlać się, żeby udzieliły sobie nowych sił i przymiotów. A ponieważ Kościół, którego obowiązkiem było zbliżać duchy, podnosząc je wszystkie, oddawna stoi bezczynnie, i niekiedy nawet przeciwi się temu kierunkowi Opatrzności, teraz więc narody powołane są wziąć na siebie tę pracę. Duch chrześcijański, utworzywszy stowarzyszenia cząstkowe i państwa udzielne, musi wysilić się znowu aby je związał w jedność.

Pismo mające tytuł *Biesiada* dotyka tych wszystkich zadań.

Musieliśmy wytłumaczyć się dlaczego w przedmiocie tak ważnym nie przyjmujemy sądu ludzi Kościoła urzędowego. Dodamy jeszcze, że umiejętność i literatura kościelna nie mają już w swoim języku urzędowym wyrazów na oddanie pojęć świata dzisiejszego. Dziwna rzecz! dawniej, to pisarze religijni i kaznodzieje najwięcej wzbogacali język francuski (podobnież i polski); poutwarzali albo powprowadzali niemal wszystkie wyrazy, poustalali wszystkie wyrażenia służące potrzebom życia moralnego: dzisiaj duchowieństwo nie przestaje pisać i mówić kazań, ale już nic nie tworzy. Przeciwnie zaś, cokolwiek mamy nowotnego w języku, cokolwiek odpowiada potrzebom albo instynktom nowym, wyraża nadzieje nowe, to wszystko jest utworzone przez świeckich. Wszystkie słowa i wyrażenia sakramentalne epoki naszej zostały wynalezione i sformułowane poza obrębem Kościoła urzędowego. *Postęp*, w znaczeniu dzisiaj przywiązywanem do tego wyrazu, ukazuje się po raz pierwszy u Saint-Martina; Condorcet wziął go za podstawę do rozwinięcia całego systemu. *Braterstwo ludów*, jako zasadę polityczną, pierwsza wywołała rewolucja francuska. *Egzaltacją*, jako wzniesienie ducha do stanu dającego mu wiedzieć wysokie prawdy, pierwszy pojął i użył w tem rozumieniu Piotr Leroux. *Intuicją*, jako punkt wyjścia całej filozofji, wyprowadził logicznie Cieszkowski; sposobem popularnym wyłożył Emerson. Nadmieniliśmy tylko kilka wyrazów mowy świeckiej, a ileż w nich odkrywa się nam pojęć ogromnych! Wyrazy te i pojęcia jednak są zaledwo abecadłem *umiejętności nowej*, jeżeli godzi się tak nazwać nowe rozwinięcie się słowa powszechnego. Jakże mówić o tem słowie lu-

dziom, którzy nie chcą znać pierwszych początków do zrozumienia jego?

Dowiedziemy zaraz, że Kościół urzędowy nie rozumie nawet co to jest słowo, że stracił zupełnie wyobrażenie i tradycją słowa żywego, że naraził ludy na pokusę brania słowa za jedno co wyraz, czego bynajmniej nie mięszano w Kościele pierwotnym.

Rzecz ta z siebie niezmiernie ważna dla wszystkich, nas Słowian dotyka szczególniej. *Słowianie*, wychodzi na to co lud *słowa*. Lud ten zachowuje dotąd czystą tradycją znaczenia słowa, do którego zawsze przywiązuje pojęcie świętości i mocy twórczej. Trwa w nim do dziś dnia wiara, że można jednem słowem ściągnąć lub odpędzić chmurę tak fizyczną jak moralną, zaczarować lub odczarować ducha, poddać człowieka chorobie albo z niej uleczyć, uzbroić go albo rozbroić. Słaba pamięć tej dawnej mocy słowa znajduje się jeszcze u wszystkich ludów; ale kiedy słudzy Boga przestali jej używać, urosło mniemanie, że została na zawsze zatracona albo oddana jedynie duchowi złego. Wszelki nadzwyczajny skutek sprawiony przez słowo wyrzeczone przejmuje gmin zabobonnym strachem, a oburza niedowiarstwo tak zwanych ludzi oświeconych. Co zaś do filozofów i księży, ci są tego przekonania, że teraz, jak za czasów Faraona, każdy cud jest nie czem innem, tylko złudzeniem albo czarem, nikt inny nie może zajmować się robieniem cudów, tylko chyba szarlatani albo czarownicy. Słowianie przeciwnie, przyznając złemu jego moc działania, wierzą wszakże razem, że ten sam duch co działał przez Mojżesza i cudotwórców chrześcijańskich, nie stracił dotąd swojej przeważnej potęgi na ziemi. Cokolwiek nadzwyczajnego słowo sprawuje, jak tylko to jest zbawiennem dla człowieka, uważa się u nas za dowód obecności Ducha Świętego.

To uczucie powszechne w ludzie podało szczerze zastanawiającym się pisarzom słowiańskim prześliczne pojęcia słowa. Niech mi kto pokaże w jakiemkolwiek bądź filozoficznem albo teologicznem dziele taką definicją słowa, jaką przed trzydziestu laty zrobił jeden z myślących Polaków, Stanisław Potocki. Nie mam pod ręką pism Potockiego żebym mógł przytoczyć własne jego wyrazy, ale dobrze pamiętam treść ich wewnętrzną. „Słowo — powiada on — stanowi glob mający dwie pół-kule: jedną niewidomą, drugą do-

tykalną, jedną niebieską, drugą ziemską.“ — Jest to duch i ciało, człowiek cały. Retoryka i słowniki powstaną na tę definicją. Wedle słownika francuskiego słowo jest przedstawieniem myśli (une représentation de la pensée); mógłby kto powiedzieć jakimś cieniem, który tylko myśl ma władzę rzucać. Lud wcale inaczej pojmuje słowo; w języku jego więcej prawdy niż w książkowym. Kiedy naprzykład mówi się, że ktoś dał *słowo*, albo nie dotrzymał *słowa*, kiedy powiadają o kim, że to jest człowiek *słowny*, idzieżże tam rzecz o przedstawienie myśli? Ręczyć słowem, w języku ludu znaczy ręczyć samym sobą. Lud francuski instynktowie praktykuje teorją polską. U niego słowo, to cały człowiek.

Dla przekonania się jaka w tem jest prawda, dosyć niech każdy zastanowi się nad sobą samym, co się z nim dzieje w tych rzadkich chwilach, kiedy miłość silna, szczera i czysta, kiedy uczucie patrjotyczne, albo natchnienie Boskie każe mu mówić. Jakiś ogień wewnętrzny zapala się natenczas w głębi naszego jestestwa, przebiega nagle po wszystkich żyłach, przejmuje, roztapia niejako całą naszą organizacją, i z tak roztopionego człowieka duch jego wyciągając pierwiastek, wyskok najmocniejszy, tworzy tę lotną i płomienistą kulkę, którą nazywamy słowem, która wylatuje z nas, nie rozłączając się z nami, która zdaje się znikać, a jednak trwa tak długo, jak duch co ją wydał, to jest bez końca.

Słowo więc jest to ciało i duch stopione razem ogniem Boskim, będącym w człowieku. Jakże tedy samolub, pańszczyźnik swego interesu materjalnego, jak pyszałek suszący sobie głowę nad książkami, mogą być zdolni do wydania takiego słowa? Skąd w nich znajdzie się dość ognia na roztopienie ich skrzepłej albo wywiędłej organizacji, aby z niej wyszły kształty godne oblec ducha? Dlategoż nie tak wielu jest jak się zdaje tych ludzi, co tworzą i rozdają słowo, a nawet niewielu co porywają się je tworzyć. Pod tym względem zachodzi najgłówniejsza różnica między narodami.

Powiadają powszechnie, i to jest prawda, że we Francji wszyscy są wymowni; co znaczy, że każdy Francuz czuje wartość słowa żywego, zna jego potęgę, i usiłuje je wydać. Wiele razy już wykazywaliśmy tego przyczynę.

Nieprzerwany szereg przedsięwzięć bohaterskich, poświęceń się szlachetnych, ścierań się moralnych i umysłowych trzymał i trzyma ciągle ducha francuskiego w obudzeniu. Żyjąc wśród takiego ruchu, człowiek musi ciągle wytężać wszystkie swoje siły, wszystkie swoje władze. Nigdzie niemasz tyle jak we Francji ludzi, oddających się całkiem temu co robią. Są to ludzie rzeczywiście wyżsi, bo już poczuli, że jest w czemś tajemny skład wszelkiej mocy, bo z wiedzą już dobierają się do niewidomej sprężyny poruszającej wszystko, i czy to w czynie, czy w mowie, chcą okazać się ludźmi zupełnymi.

Wielu pisarzy słowiańskich i obcych powiedziało toż samo o Polsce i Polakach.

Łatwo będzie teraz zrozumieć te piękne wiersze Garczyńskiego:

Tylko ten kto w natchnieniu wiek swój porozumie,
Komu ów tajny popęd jak stworzenia słowo
W świat się cały rozłoży, rozrośnie się w ciało;
I on to ciało widzi — w samotności — w tłumie —
W dzień i w nocy — i tego ciała jest połową —

. . . . . .

Tylko ten mistrzem w sztuce — wielkim jest pisarzem.

Garczyński mówi tu o artyście, o pisarzu, ale można to odnieść do człowieka w ogólności.

Jeżeli to więc tajny popęd daje słowu ciało, formę, idzie za tem, że słowo musi mieć doskonałość, odznaczającą wszystko co rodzi się z takiego popędu, i musi posiadać niemylność w działaniu właściwą samemuż popędowi.

Nieinaczej przeto jesteśmy zdolni stworzyć słowo, jak tylko w miarę ile rozpalimy w nas ogień twórczy, obudzając w sobie tak zwany przez poetów popęd tajny, który poprostu jest miłością Boga, i podnosząc się do stanu, w którym możemy otrzymywać natchnienie, to jest stykać się z Bogiem. Pokazuje się stąd, dlaczego Kościół urzędowy, nawet jako i szafarz słowa, stał się jałowym.

Słyszymy wprawdzie o tworzeniu nowych zakonów i zgromadzeń religijnych; ale ktokolwiek je zna, wie dobrze, że to nie są bynajmniej utwory nowe, tylko blade podobieństwa, naśladowania bez życia i siły wzorów dawnych. Gdyby godziło się w przedmiocie tak ważnym wyrażać się w sposób niższy, nazwalibyśmy je romansami historycznemi Kościoła. Wstrzemięźliwość, modlitwa, kaznodziejstwo, to nic nowego; wiadomo ile przez nie dokazać można, i nie potrzeba dla praktykowania ich zawiązywać zgromadzeń specjalnych. Zakonem nowym byłby zakon taki, któryby wkładał na swoich członków obowiązki nowe, dając im razem pomoc łamania trudów, zwyciężania niebezpieczeństw, przewyższających siły człowieka pojedynczego epoki dzisiejszej: bo każda epoka ma właściwe sobie prace i niebezpieczeństwa do znoszenia. Zakonem prawdziwie nowym i użytecznym byłby naprzykład taki, do któregoby wstępując ślubowano opowiadać ewangelją po kramach, nawracać kupców, żeby nie zatruwali robotnikom chleba powszedniego, soli i wina. Sąż gdziekolwiek kongreganiści coby także pomyślili zajrzeć do kramów literackich, i tego czy drugiego romansopisarza albo fejletonistę zakląć w imię Boga, żeby porzucił swoje szkaradne przekupstwo? Widziałże kto księży, mających tyle odwagi i siły, aby który z nich poszedł do izby deputowanych i mocą słowa nakazał im stanowić prawa odpowiednie godności narodu, będącego starszym synem Kościoła, starszym bratem narodów innych?

Gdyby spróbowano tego rodzaju kaznodziejstwa, postrzeżonoby w czem teraz leży trudność służenia Bogu. Na taką służbę trzeba więcej odwagi i energji moralnej niżeli na opowiadanie ewangelji w Kochinchinie.

Ludzie Kościoła urzędowego poświęcają, wiemy o tem, wygody materjalne, majątki, a częstokroć i życie; ale tego nie wiedzą, że te ofiary dawniej niezmiernie trudne, dzisiaj przez postęp chrystjanizmu stały się bardzo łatwe i pospolite, a nawet w niektórych razach są uważane za niezbędne. Ministrowie państw i naczelnicy stronnictw politycznych dla swoich opinij codzień wystawują na szwank swoje położenie materjalne. Życie zdaje się być jeszcze mniej ważone. Wyrok publiczności odjąłby cześć każdemu, ktoby nie wyszedł na pojedynek; sąd wojskowy, bez żadnego względu kazałby rozstrzelać żołnierza zbiegłego z szeregu, kiedy tymczasem

bohaterowie Homera mogli uciekać bez hańby. Pamiętacie z jakiem męstwem związkowi w czasie zamięszek publicznych narażali się na śmierć prawie niechybną. A też samobójstwa nieraz z powodów tak błahych! Dzisiaj nie trzeba już zalecać ludziom wzgardy życia; należałoby raczej starać się dać im uczuć całą jego cenę.

Ale jest jeden rodzaj ofiary właściwy naszej epoce, przed którym człowiek najodważniejszy, najszlachetniejszy, najwytrwalszy cofa się niekiedy ze drżeniem. Tego rodzaju ofiarą jest poświęcenie naszego *ja* duchowego, wystawienie go na pociski rozumów i pychy, dowcipów i złości, szyderstw i żartów brukowych. Kiedy mówię o *wystawieniu* naszego *ja*, nie rozumiem przez to tych *wystawiań* naszych opinij albo uczuć rzucanych publiczności w pismach i zdaleka, lub też rozsiewanych pocichu między przyjaciółmi. Nie! Przez ofiarę ducha rozumiem czyn człowieka, który przyjąwszy prawdę, przepuściwszy ją przez swoje ciało, nosi ją w sobie, jawi nazewnątrz, służy jej za organ, za twierdzę i za wojsko, nie dbając na spojrzenia, sykania i żądła wrogów. Jest to najzacniejsza i najboleśniejsza ze wszystkich ofiar. Tylko narody bardzo stare mogą czuć jak ona kosztowna i ciężka. Wiadomo, że narody najwaleczniejsze i najśmielsze, Francuzi i Polacy, właśnie najwięcej boją się śmieszności, i najtrudniej u nich o odwagę cywilną. To rzecz godna zastanowienia się: leży w tem jedna z tajemnic epoki naszej. Śmieszność jest ulubioną bronią dzisiaj. W rzeczach ducha ona rozstrzyga wszystko; i nie mogło być inaczej. Widzimy tu jak siła ziemska, materjalna, którą wielu jeszcze uważa za potęgę istotną, ustępuje przed czemś niewidomem co pochodzi ze świata niematerjalnego. Im jaka broń jest mniej materjalna, tem straszniejsza. Kropelka jadu, którą gad słaby i pełzający nasączy w swoją miękką paszczękę, bardziej jest niebezpieczną od ukąszenia lwiego, zadaje śmierć niechybną. Są takie dusze, co podobnym sposobem jak płazy narobiwszy cicho we wnętrzu swojem trucizny, napuszczają nią uśmiech swojej twarzy: jad niematerjalny razi ducha, odbiera mu władze. Im człowiek jest duchowniejszy, tem tkliwszy na pociski tej nowej broni złego. Po otrzymanem zwycięstwie nad ziemią, musi on zwyciężać w duchu. Skoro stanie, nie jako krasomówca albo adwokat, ale jako żołnierz prawdy, uczuje się być

nietykalnym. Węże i żmije, jak mówi Pismo, nie będą mogły mu szkodzić.

Kościół urzędowy nie ma dzisiaj, i bez zupełnej przemiany w sobie nie może spodziewać się mieć tej nietykalności ducha. Śmieszność zastrasza go nadewszystko. Księża tam tylko niosą słowo religijne, gdzie są pewni dobrego ich przyjęcia. Z członków Kościoła wojującego powychodzili — darujcie wyrażeniu — na faktorów rekomendujących katolicyzm. Nie grozi to im żadną przykrością moralną. Wstąpiwszy na kazalnicę prawią śmiało, bo wiedzą, że im to zostawiono, że świat przywykł uważać to za ich rzemiosło, i nikt nie myśli atakować ich w tej twierdzy obwarowanej ustawami. Tego samego księdza co grzmiał z ambony przeciwko niedowiarstwu spotkaj potem gdzie w towarzystwie prywatnem, a zobaczysz, jak uprzejmie nadskakuje przesądom niedowiarków, jak strzeże się wymówić imię Chrystusa Pana, jak stara się swój charakter kapłański zakryć ułożeniem salonowem albo rubasznem, jak gdyby chciał, żeby tam już ani jego kapłaństwa, ani religji śladu nie było. Uczniowie Tego, co rzekł, że przyniósł ogień na ziemię i chce żeby ten ogień gorzał, żołnierze Tego, co przyszedł z mieczem i żąda żeby walczono, lękają się, drżą, chowają się ze strachu.

Będąc do tego stopnia w niewoli przyzwoitości i zwyczajów światowych, niepodobna mieć cokolwiek siły, niepodobna w żaden sposób działać na masy; jakoż dygnitarze Kościoła zrzekli się tego oddawna. Cóż jest wspólnego teraz między nimi a narodami? Kto wie nazwiska kardynałów? A przecież są to książęta Kościoła powszechnego, orędownicy narodów. W tytułach marszałków Francji za cesarstwa widać było całą historją wojenną owego czasu; tytuły książąt Kościoła powinnyby nam wykazywać ich walki, przypominać ich prace i zwycięstwa duchowne. Chodzą oni w purpurze, która według symboliki kościelnej znaczy męczeństwo. I któż teraz kiedy słyszał o jakim kardynale umęczonym? Jednakże nie brak okoliczności do cierpienia za Kościół. Liczba męczenników polskich jest wielka i powiększa się codzień. Kościół urzędowy wydaje noty dyplomatyczne i każe wydawać książki; nie ma już odwagi cisnąć piorunów klątwy na prześladowców, nie śmie już odwołać się do ludów. Zresztą jak mu i mówić do ludów Pół-

nocy? Dzienniki i noty dyplomatyczne tam nie dochodzą, a dygnitarze jego nie umieją języka tych narodów. Otóż, nie wahamy się wyrzec, że gdyby Kościół mógł wydać prawdziwe słowo, nie potrzebowałby ani dzienników, ani książek, nie miałby potrzeby uczyć się języków. Apostołowie umieli mówić wszystkiemi językami: ś. Andrzej, który pierwszy nawracał Słowian, był Izraelitą. ŚŚ. Cyryli i Metodjusz przyszli z Grecji; ś. Otto urodził się Niemcem; a mimo to Słowianie ich rozumieli! Tu mamy porę wyłożyć jedną z wielkich tajemnic słowa.

Kosztuje mię wielce mówić o tych rzeczach publicznie. Skutki cudowne wiary, są w naszych czasach tak rzadkie, Kościół tak im nie dowierza, publiczność tak mało o nich słyszy, że łatwo można wystawić się na posądzenie o ciemnotę, dziwactwo, nowatorstwo, chcąc nic więcej tylko przypomnieć chrześcijanom dzisiaj to, co w czasach pierwotnych Kościoła było dla ludzi rzeczą bardzo prostą. Dopiero to daje się czuć, jak straszny przedział między nami a tem, co wtenczas było. Gdzież są teraz w Kościele tacy, coby mieli dar mówienia wszystkiemi językami? Doktorowie Kościoła dzisiejszego rozumiejąż, co to jest ten dar Ducha Świętego? Księża kończą nad tem, że ten dar był dawniej, ale teraz już niepotrzebny. Dar Ducha Świętego stał się niepotrzebnym! Prościej byłoby powiedzieć, że został stracony, i tak zaginął, że już poczęto wątpić czy i był kiedykolwiek. Kiedy jaki cud przestanie powtarzać się i nikt nie umie wyłożyć dostatecznie dlaczego przestał, musi pójść w wątpliwość, być policzony do rzeczy bajecznych. Tym sposobem wszystkie cuda, o których czytamy w ewangelji, obracane naprzód w wątpliwość jako niepodobne do wytłumaczenia, idą potem w poczet bajek. Z tego naturalnie wynika, że nakoniec rodzi się niewiara i w sam byt Zbawiciela na ziemi. I niemasz innego sposobu udowodnienia rzeczywistości cudów, jak tylko znaleźć tajemnicę robienia ich znowu.

Filozof Baader pojął lepiej od wszystkich teologów co to był dar języków. Powiada on, że apostołowie nie mieli potrzeby mówić językami, żeby dać się zrozumieć ludziom różnych narodów: dosyć im było jednego języka duchowego. Prawda. Słowo należycie stworzone jest i będzie zawsze powszechnem. Słowo takie w wymówieniu nie przechodzi z ust do uszu, ale z ducha do ducha,

i duch słuchającego obleka myśl przyjętą w takie brzmienie, w jakiemby ją wydał gdyby była jego własną myślą. Możemy śmiało zaręczyć, że ś. Piotr i ś. Paweł mówili takim językiem, który, gdybyśmy słyszeli będąc Francuzami, zdawałby się nam być najczystszą, najświeższą i najmocniejszą francuszczyzną; bo z dźwiękiem głosu tych Mężów Bożych wszedłby w nas taki prąd życia i siły, że duch nasz miałby zaraz władzę schwycić wewnętrzne znaczenie tego dźwięku, pojąć ich pragnienie Boskie zawarte w ich wyrazach, a wyrazy te natychmiast umysł nasz przekładałby sobie na francuskie.

Są to cuda o których trudno i boleśnie mówić, bo powinne byłyby być znane z doświadczenia. W Kościele pierwotnym dar języków był tak pospolitym, że ś. Paweł zaleca uczniom swoim, aby nim nie szafowali zbytecznie. W Kościele wieków średnich znajdowały się jego przykłady. Ś. Bernard po łacinie wzywał do wypraw krzyżowych i porywał tłumy, nie umiejące zgoła tego języka. Ś. Franciszek Xawery pierwej opowiadał ewangelję Indjanom, nim się wyuczył ich mowy, pierwej nawet nim się odezwał gromady ich poznawały, że był apostołem. Papież Pius V. nawrócił wielu protestantów, nie przemówiwszy do nich ani słowa, samem ukazaniem się przed nimi. (Pisze to historyk protestancki, Ranke). Nie można nawrócić człowieka, nie wzruszywszy jego ducha: otóż ten papież święty wzruszał, jeszcze nic nie mówiąc, dawał słyszeć słowo, które nosił w sobie, jeszcze ust nie otwierając; był rzeczywiście żywą połową słowa, jak poeta Garczyński powiada.

Dziewiętnaście wieków upływa od chwili, kiedy Kościół otrzymał od Ducha Świętego dar robienia takich cudów. Był czas na korzystanie z tego daru, był czas w dwójnasób, w trójnasób i więcej namnożyć między nami dowodów potęgi duchowej. Jakże się to dzieje, że mniemanie pospolite w chrześcijaństwie z trudnością przypuszcza, aby dar ten miał być kiedykolwiek, a księża uważają go za znikniony, niepotrzebny, albo niepodobny do odzyskania? Jednak chociaż księża nie wiedzą o nim i działania jego postrzec nie mogą, jest on zawsze, działa i działać nie przestanie. Ale nimbyśmy powiedzieli gdzie i w jaki sposób jest, pierwej mamy prawo zapytać was, ludzie Kościoła urzędowego, czemu go niemasz pomiędzy wami?

Te wszystkie postrzeżenia nad zjawiskami życia religijnego dowodzą, że duch chrześcijański w Kościele oddawna szedł coraz słabszym ruchem i prawie zupełnie ustał. Nie do nas należy wykładać tego przyczyny. W dziejach postępu człowieczeństwa są wieki nagłego biegu i czasy zatrzymania się na miejscu. Gdyby duch ludzki postępował ciągle równym krokiem i prosto, nie byłoby w jego historji epok i przemian; a przecięż powszechne przeczucie zapowiada nam bliskość nowej przemiany. Gotuje się ona w duchu, i człowiekowi dobrej wiary nie godziłoby się nie uwiadomić o tem Kościoła, który reprezentuje władzę duchowną. Kościół bez uwiadomienia nie został. W tem wszakże czego się spodziewamy, trzeba dobrze rozumieć, nie idzie ani o reformy, ani o wznowienia, ani o rewolucje religijne, ale o nowy wybuch ducha chrześcijańskiego. Motyl co za wschodem wiosennego słońca wzlatuje ku niebu nie jest liszką zreformowaną, wznowioną albo zrewolucjonizowaną, ale liszką przemienioną, jest zawsze tem samem jestestwem tylko podniesionem do drugiej potęgi życia. Duchowi chrześcijańskiemu pora już wylecieć z łona Kościoła katolickiego, ale brak światła i ciepła w duchowieństwie urzędowem nie daje mu się wykluć.

Zaprawdę, na wyklucie się zarodku żywotnego całej epoki potrzeba takiego ogromu ciepła i światła, że ten od samego tylko Boga wyjść, i nieinaczej jak przez nowy wybuch Słowa Chrystusowego objawić się na ziemi może.

Pozostaje wiele jeszcze mówić co się tyczy duchowieństwa. Musimy przerwać tę rzecz, żeby zastanowić się nad próbami wydania słowa poza obrębem Kościoła. Pierwej nim przystąpimy do tego, zróbmy jedną uwagę ogólną.

Mówiłem, że duch chrześcijański przejmuje niektóre narody europejskie bardziej niż inne, że wsiąknął w ich życie historyczne, zamienił się w ducha ludu, stał się istotnie duchem narodowym. Mamy to we Francji, mamy w Polsce i wielu innych częściach Słowiańszczyzny. Wszelki postęp chrystjanizmu mieści w sobie postępy narodowe. Dosyć spojrzeć pod tym względem na dzieje samej Francji. Za czasów potęgi Kościoła każdy zdobywczy krok chrześcijaństwa przydawał jej sił moralnych i granic. Widać stąd, że rozwijanie się chrystjanizmu musi koniecznie wzmacniać i rozsze-

rzać narodowość francuską. Zapytajmyż teraz reformatorów kosmopolitów, owych zakładaczy nowych społeczeństw, znanych pod nazwiskiem Furierystów, St. Symonistów, Owenistów: co oni przynoszą dla Francji politycznej, co dają Polsce, co obiecują innym krajom słowiańskim? W Europie i poza Europą są państwa mające dogma i dążności wbrew nam przeciwne i zgubne dla nas. Jak tu wynaleźć teorją religijną i moralną, któraby równie mogła przypadać do pojęcia i użycia Niemcom, Anglikom, Francuzom, rządowi rosyjskiemu i Polakom?

Trzeba byłoby albo znieść wszystkie narodowości, albo wszystkim dać sposób, aby rozwijały się i działały, nie przeszkadzając jedna drugiej. Teorja, któraby służyła na powiększenie potęgi równie Anglji jak i Francji, rządowi rosyjskiemu jak i Polsce, nie wprowadzałaby żadnej zmiany: wojna trwałaby wiecznie, tylko jeszcze straszniejsza. Reformatorowie zmierzają do kosmopolityzmu. Nie odmawiamy im dobrej wiary; muszą wszakże zgodzić się z nami na to, że łatwiej jest być kosmopolitą (to nie obowiązuje do niczego), niżeli patrjotą. Rousseau mówił, że niejeden czasem okazuje tkliwą miłość dla antypodów, żeby uwolnić się od miłowania współziomków.

Czem reformatorowie, pominąwszy inne błędy, łudzą się okropnie, to mniemaniem, że można pokonać złe, nie wydając mu wojny. Rewolucjoniści i pacyfikatorowie razem, Dżengis - Chany kiedy marzą, łagodne Fenelony jak przychodzi wziąć się do rzeczy, gadają, że się świat przewróci bez niczyjego trudu, i nie myślą sami przyczynić się do tego w czemkolwiek.

Jako Słowianie winniśmy naszym braciom zachodnim dać jedną bardzo ważną przestrogę. Zachód zbyt zapomniał o Północy Europy i Azji, o tem gnieździe ludów napastniczych. Niechaj nikt nie myśli sobie, że już tych ludów niemasz więcej. Trzymają się one tam ciągle na wyniosłej płaszczyźnie azjatyckiej, jak chmury brzemienne gromami, gotowe za skinieniem Bożem zlać się na narody przestępne. Niechaj się nikomu nie zdaje, że duchy Dżengis-Chana, Tamerlana, Suwarowa, tych wielkich wykonawców kary nad ludzkością, poschodziły ze świata raz na zawsze.

W roku przeszłym mówiłem obszernie o tamtych stronach, o ludach jakie w nich mieszkają, i o duchu jaki je ożywia. Groza

ta wisi nad cywilizacją chrześcijańską, aby jej nie dać zadrzemać. Jest to znak, że jeszcze nie przyszedł czas przekuć miecz na lemiesz, i poosadzać falanstery po koszarach. W teraźniejszym stanie Europy trzeba mieć wdzięczność dla Rosji, że szerokiemi plecami swojemi odpiera tłumy azjatyckie. Gdyby dziś Rosja rozwiązała swoją siłę zbrojną, za kilka miesięcy ujrzelibyśmy Mongołów i Osetów (Alanów) nad Renem: chodzili już oni nieraz tą drogą. Gdyby także ze swojej strony Francja przestała być pod bronią, mielibyście niedługo Kozaków w Paryżu. Nie widzę, jakimby sposobem socjaliści potrafili przeszkodzić temu. Przykład nieskuteczności teorji w podobnych razach, mamy w historji polskiej. Kiedy Rosja zabierała Kurlandją, Jezuici wysłali do jenerała rosyjskiego jednego ze swoich. Ojciec ten wielce pobożny i bardzo wymowny wystawiał Rosjanom wszystkie zalety pokoju i wszystkie okropności wojny. Wódz rosyjski uderzył czołem przed ugodliwym kapłanem, obsypał go pochwałami, i zaraz, ruszywszy dalej w głąb Kurlandji, stanął główną kwaterą w klasztorze Jezuitów.

Zostawmy na stronie przypuszczenie najazdu barbarzyńców, a wpatrzmy się trochę w postępowanie narodów cywilizowanych, siedzących tuż pod bokiem. Coby w takiem zdarzeniu robili falansteryści i oweniści, gdyby naprzykład rząd angielski uznał za rzecz potrzebną przedać koniecznie Francji kilka miljonów skrzyń trucizny, i położył to za warunek aliansu *sine quo non*, stawiąc zaraz na poparcie swojej propozycji okręty wojenne u wszystkich portów francuskich?

Skończmy krótko. Każdy reformator powinien zadać sam sobie pytanie: Teorja moja powiększy moralną i materjalną potęgę Francji, czy nie? Te dwie potęgi są nierozdzielne. Siła obecna Francji jest wypadkiem długich i szlachetnych prac ducha. Jest to jedyny naród, którego bezinteresowność polityczna nie potrzebuje dowodzenia, jedyny, który może działać regularnie, bo siłę swoją nową ma już całkiem uorganizowaną w wojsku. Wojsko zabezpiecza porządek i słucha tylko popędu prawdziwego. Szyki zbrojne, floty, arsenały Francji są własnością całej ludzkości. Ludzkość pokłada w nich swoje nadzieje. Komu serce na widok chorągwi i bandery francuskiej nie bije, ten niezdolny rozumieć na czem prawdziwy postęp zależy.

LEKCJA VIII

Poniedziałek, 5 marca 1844

Słowo jest mocą i chlebem. — Źródło istotne nędzy materjalnej. — Kościół urzędowy mówi nieszczęśliwemu: umieraj; piśmiennicy świeccy chcieliby, żeby się nawet nie rodził. — Co są teorje ekonomji politycznej. — Cisza teraźniejsza podobna do chwili męczeństwa Messjasza.

Idea słowa jest kluczem do wszystkich zadań, któreśmy roztrząsali i które jeszcze roztrząsnąć nam pozostaje. W tym względzie wypada mi przypomnieć, przytoczone już dawniej z innego powodu, wyrazy jednego polskiego poety, opisującego słowo i tego kto je ma w sobie. „Błogosławiony ten — mówi autor *Komedji Nieboskiej* — w kim zamieszkało, jako Bóg zamieszkał w świecie, niewidziany, niesłyszany, w każdej części jego okazały, wielki PAN przed którym zniżają się stworzenia .... Taki będzie je nosił niby gwiazdę na czole swojem .... i wystąpi mężem pośród braci swoich.“ — Owóż co człowieka czyni mężem, co stanowi cechę męża, jest to moc. Moc, jeszcze jeden wyraz sakramentalny naszej epoki, wyraz znamionujący mowę nowoczesną. Kościół urzędowy, który tyle wyrazów i sposobów mówienia wziął od umiejętności świeckiej, tego jednego wystrzega się ciągle; nie wprowadza go ani do pism, ani do kazań swoich. Kościół lęka się mocy. I cóż to jest moc? Moc, to słowo, które się już urzeczywistnia, wchodzi w życie, daje żywotność, karmi. Ewangelja powiada, że człowiek żyje nietylko chlebem, ale i słowem Bożem. Odwołując się do ewangelji, można rzec śmiało, że jeżeli gdzie objawia się niedostatek i głód duchowy, to pewno tam zabrakło słowa Chrystusowego. Ewangelja rozsiana była po świecie na zasiłek ducha ludzkiego. Skoro zaś zważymy wpływ ducha na stan fizyczny człowieka, odkryjemy i prawdziwą przyczynę nędzy materjalnej, która w istocie jest niczem innem jak tylko następstwem nędzy moralnej; a wtedy łatwo da się nam pojąć i ta jeszcze cudowność słowa, jego działalność na ciało, jego pożywność. I to jest właśnie, co obudza nową skargę przeciw ludziom, z których winy zaginęło użycie tej mocy tajemniczej; bo niezawodnie słowo może nakarmić.

Przeszłych lat, opisując stan fizyczny ludów słowiańskich, podawałem przykłady dowodzące, że człowiek o tyle tylko ulega nędzy materjalnej, o ile traci swoją siłę moralną, to jest wiarę. Tatar, jak mówiłem, jada daleko mniej niż chłop słowiański, a jednak nie słaby; Trapista pości jeszcze bardziej od Tatara, i mimo to ma się dobrze. Żołnierz francuski nie lepiej jest karmiony jak robotnik, a przecięż wygląda czerstwiej i rzeźwiejszy od robotnika. Odbierz Trapiście wiarę w przyszłe życie, a obaczysz, że za kilka dni umrze z wycieńczenia; niechby w Tatarach znikła cześć jaką mają dla swojego chana, nie zdołaliby wytrzymać nawet ostrości powietrza pod jakiem żyją. Horda tatarska pozbawiona chana jest hordą zgubioną. Tatar i walczy i żyje tylko przez posłuszeństwo swojemu chanowi. Nieraz całe tabory tych koczowników przebywały niezmierne stepy, od Orenburga do Chiwy, wytrzymując takie zimno, że zwierzęta i ptaki znajdowano zmarzłe; ale nigdy żaden jeździec tatarski nie puści się w te pustynie z samej tylko własnej ochoty, albo dla własnego przedsięwzięcia: wtedyby nie wytrzymał. Na podołanie trudom tej podróży potrzebuje on być natchnionym siłą, jaką mu daje rozkaz chana. Gdyby nie ta bojaźń połączona z pewnym rodzajem poddania się swemu przeznaczeniu, jaką żołnierza rosyjskiego przejmuje ciągle idea, że jest w służbie carskiej, nigdyby nie zniósł ciężaru i nędzy życia podobnego jak na galerach. Zniszcz w żołnierzu francuskim ideę honoru, zagaś w duszy jego ten płomyk patrjotyzmu, który go ogrzewa i podnosi, a wnet pocznie usychać z biedy. Cóż więc jest, co tak zasila i pokrzepia ludzi, którzyby istotnie powinni zawsze na głód i niewygody narzekać? Co daje uczucie mocy i godności im, ogołoconym ze wszystkiego, kiedy tuż obok nich wielu bogatych samolubów jęczy albo i zabija się z rozpaczy po stracie cząstki majątku? Powiedziałem już: wytrwałość, siła jednych pochodzi stąd, że mają jakąkolwiek wielką ideę; słabość, upadanie drugich jest skutkiem, że jej nigdy nie mieli, albo, mając, utracili. To co rozumiem tu przez ideę można sobie jak chcąc nazwać: przekonaniem, opinją, przesądem, urojeniem; ale że to jest, temu zaprzeczyć nie można, bo fakta świadczą za tem. Mówimy często o tym lub owym, że żyje nadzieją, karmi się urojeniami; nie słyszałem nikogo, żeby powiedział o kim: żyje dyskusją, karmi się doktryną. Z dwojga złego, lepsze już urojenie niżeli

doktryna. Ale cokolwiek bądź, urojenie czy idea, nie chodzi tu o wyraz, zawsze trzeba przyznać, że jest coś takiego, co będąc niematerjalnem, niedoścignionem, nie podpada pod rozbiór chemiczny, nie daje się schwycić uczonym, a jednak wywiera moc na nasze ciało.

Już w umiejętnościach ścisłych poczyna przebijać się ta prawda. Mamy w medycynie sławną teorją (Hahnemanna), podług której ciała działają w stosunku odwrotnym do swojego ciężaru i swojej objętości; to jest, że im mniej w nich materji, tem więcej dzielności i mocy. Zdaje mi się, że chemja organiczna wpada teraz na tor, prowadzący do wykazania, że z pokarmów, które bierzemy, ciało nasze nie przywłaszcza nic coby istotnie mogło się nazwać materjalnem, że pokarm jest to tylko przewodnik, za pomocą którego wchodzi w nas siła tego rodzaju jak ta, co nas ożywia, czyli, poprostu mówiąc, siła duchowa.

Mędrcy starożytni i niektórzy wielcy ludzie wieków średnich wiedzieli o tem z ducha. Jeden z najdawniejszych pomiędzy widzącymi, Hezjod, powiada: *że człowiek nie wie jak mu mało potrzeba do życia, i jak łatwo mógłby się utrzymać: owoc pracy jednodziennej wystarczałby na wyżywienie go przez rok cały. Ale to właśnie tajemnica* — dodaje. *Gdyby bowiem człowiek ją znał, oddałby się lenistwu. Jowisz skrył tę tajemnicę we wnętrznościach ziemi, i człowiek musi pracą dostawać się do niej.* Praca zaś, podług Hezjoda, jest to *wytężenie czucia i mocy.*

Ludzkość jak się zdaje, daleka jest jeszcze od dojścia do tej tajemnicy.

A wszakże ewangelja postawiła ją na drodze; pokazując wyraźnie do czego dążyć, objaśniła ciemne słowa mędrca greckiego. „Szukajcie — powiada — Królestwa Bożego (dóbr duchowych), a reszta wszystko (dobro ziemskie) przydane wam będzie."

Gdy tedy jest na świecie ogromne społeczeństwo, zwane Kościołem, które od tylu wieków zajmuje się szukaniem Królestwa Bożego, sądziłby należało, że już i samo posiada dobra wszelkiego rodzaju, i może ich udzielać, będącym w niedostatku. Rzecz ma się wcale inaczej. Duchowieństwo prawie wszędzie potraciło swoje dobra ziemskie, a jeżeli jeszcze gdzie utrzymuje ich cząstkę, to z wiel-

ką biedą. Z duchowieństwem stało się, jak to mocno wyraził Garczyński, grożąc:

Od mleka matki waszej, ziemi, was odsadzę.

Teraz kiedy kto mówi księżom o nędzy ludu, odpowiadają, że temu zaradzić nie w ich mocy. Prawda, nie mają oni jak dawniej na zawołanie swoje skarbów i śpichlerzów publicznych; co mogą, to chyba tylko dać szczupłą jałmużnę, albo radę i pociechę. Pod względem dobroczynności materjalnej, należy to przyznać i przyznano nieraz, duchowieństwo powszechnie okazuje miłosierdzie, ochoczo niesie kawałek chleba zgłodniałym. Ale o wsparcie moralne, o ulgę najistotniejszą nie tak łatwo; kiedy trzeba przynieść radę i pociechę, na tę jałmużnę duchowieństwo dzisiaj zdobyć się niezdolne. Czemże się to dzieje? Oto, że duchowieństwo *ziemię* uznało *za swoją matkę;* że polega i ma nadzieję tylko na mocarzach ziemi. Dlatego to straciło tajemnicę tej potęgi moralnej, która karmi człowieka, albo odkrywa mu środek dostania pokarmu, i daje razem siłę życia tego środka; mówiliśmy bowiem, że z niedostatku mocy duchowej pochodzi niedostatek chleba powszedniego. Nie sam głód fizyczny przywodzi do rozpaczy i samobójstw. Człowiek zwierzęcy nie odbiera sobie życia: dziki, przyciśniony głodem, kładzie się w cieniu, i cicho, spokojnie czeka śmierci. Człowiek z takiego ludu jak francuski albo polski, przywiedziony do podobnej ostateczności, rzuca się i targa: im bardziej ciało jego słabnie, tem więcej duch się jego wyzwala, bo on ma zaród tego ducha: on jest, równie jak my, synem wielu pokoleń, co wielkie rzeczy przedsiębrały i czyniły; on przypomina całą swoją przeszłość, i czuje w sobie całą przeszłość swojej ojczyzny; on znajduje się wtedy w tych samych potrzebach i w tych samych niebezpieczeństwach jakie nas dotykają i jakie nam grożą. Jego cierpienia są tego rodzaju, co cierpienia Brutusa zwyciężonego, Fausta upadłego w zwątpienie, Wacława ogarnionego rozpaczą filozofską, i koniec tych cierpień jednaki. Dotknięty ze wszech stron okropnie, dręczony boleścią, musi w ostatku zadać sobie to pytanie: Zacóż ja cierpię? Więcejżem winien, czy tylkom więcej nieszczęśliwy od tylu innych co żyją i używają życia? Jestże Bóg, czy niemasz Boga?

Jak skoro zrobił sobie to pytanie i nie może go rozwiązać, już po nim, już zgubiony; bo mu potrzebny Bóg, ale Bóg nie jako wyobrażenie oderwane, albo imię historyczne. Mędrkowie i księża nie dają już nam dzisiaj innego Boga jak tylko filozoficznego i historycznego, a nieszczęśliwy w głos krzyczy z poetą Garczyńskim:

. . . gdzie jest Słowo co się stało ciałem?

Miłosierdzie księży u śmiertelnego łoża konających w takiej rozpaczy nie umie dać im innej rady, jak tylko: „Cierp, nieś twój krzyż jak Zbawiciel nasz niósł, i umieraj . . .“ Umieraj! Zupełnie to samo mówią księża, co cesarz rosyjski w swoim sławnym katechizmie powiedział Polakom. „Naśladujcie Zbawiciela, który za panowania Tyberjusza dał się ukrzyżować, a nie popełnił nieposłuszeństwa, umierajcie!“ Otóż do czego, po ośmnastu wiekach trwania ewangelji, nas wzywają: do tego, abyśmy bez oporu dawali się krzyżować.

Czy zapomniano, że Ukrzyżowany zmartwychwstał, że obiecał przyjść w tryumfie i kazał służebnikom swoim zgotować królestwo dla siebie? Gdyby ten król obiecany i oczekiwany od wieków przyszedł teraz, zastałżeby służebników swoich gotowych do jego przyjęcia, usposobionych do walki dla jego tryumfu? Jeśli ma być tryumf, powinno być wojsko dzielne i gotowe bić się w razie potrzeby. Gdzież jest to wojsko? Chyba że, jak niektórzy księża utrzymują, Syn Człowieczy nie będzie już więcej używał innych sił prócz obłoków, których błyskawice i pioruny oświecą jego drogę, pokonają jego nieprzyjaciół. Wiarę tak niedorzeczną wymyślono dobrze na uspokojenie obawy duchowieństwa; ale dzisiaj wszakże jest czego się zatrwożyć.

Jezus Chrystus wywrócił pogaństwo nie zapomocą błyskawic i piorunów, ale przez apostołów i męczenników, przez ludzi w ciele i w kościach. Do powstania swego królestwa wezwie także ludzi. Ci co cierpią i oczekują, są jego naturalnymi żołnierzami. Kościół miał obowiązek zebrać ich w zastępy, karmić i ćwiczyć duchownie; zamiast tego mówi im: Umierajcie!

Kiedy zaś nieszczęśni, uciekając od faryzeuszów, żeby się pozbyć ich samolubnych doktryn, przybiegają szukać ratunku u piś-

mienników, u ludzi naukowych, otrzymują odpowiedź równie okropną. Tamci kazali im umierać, ci chcieliby, żeby się byli nie rodzili. Tak jest, piśmiennicy odmawiają ubogiemu prawa do życia. Filantropja ekonomistów angielskich i amerykańskich doszła do tego stopnia, że aż obmyślają i podają sposoby zatrzymania wzrostu ludności. I na czemże te sposoby mają zależeć? Na uczynieniu małżeństw bezpłodnemi! Pomimo wolność druku we Francji, przeradzającą się czasem w swawolę, nie znalazło się, dzięki Bogu, żadne pióro francuskie tak bezczelne, żeby śmiało powtórzyć ogłoszenie tych wynalazków angielsko-amerykańskich. Jest to fakt pocieszający i zaszczytny dla narodowego charakteru francuskiego.

Co się tyczy ekonomistów, miałem na myśli przynieść tu kilka wyjątków z dzieła wyszłego po polsku przed dwunastu laty, gdzie jest dowodzenie jak wszystkie teorje ekonomji politycznej są na nic nieprzydatne i szkodliwe. Ale nie byłoby już w tem nic nowego: te same rzeczy, i daleko lepiej powiedziane, można znaleźć w pismach francuskich; dosyć tylko złożyć świadectwo, że pisarze polscy pierwsi powstali przeciwko fałszom tej nauki. Czytałem teraz w ostatnim numerze pisma *Revue Indépendante* artytykuł p. Vidala, który pokazuje, że ekonomiści ponarabiawszy tyle systemów, ponawydawawszy tyle książek, nie zgadzają się nawet co do głównych zasad swojej nauki: nie wiedzą jeszcze co to jest *wartość*, co *kapitał*. Wyznają, że ich umiejętność leży całkiem w teorji; o praktykę im nie idzie: ani myślą radzić monarchom albo izbom. Ale zato znają oni bardzo dobrze jak to korzystnie posiadać *kapitał*, i nie skąpią rad ubogim, to jest nie mającym kapitału. Rady ich, chociaż inaczej wysłowione, wychodzą na jedno z księżemi. Tak ci jak tamci mówią: Biedaku, umieraj! Człowiek, przychodzący na świat bez jakiegokolwiek kapitału, nie ma prawa żyć. To ostatni wyrok nauki piśmienników, ekonomistów, to ich dogmat teoretyczny. Praktyka ich wcale jest inna: w życiu praktycznem postępują wbrew przeciw swojemu systemowi.

Zapytaj naprzykład którego z nich, co robi, żeby dzieciom dał wychowanie i sposób do życia; przypatrz się jak sobie poczyna, kiedy chce komu z krewnych lub przyjaciół, jeśli ich ma, wyjednać miejsce. Odpowie ci, że w pocie czoła pracuje, albo czuwa nad pracującymi; obaczysz także, że chodzi za interesami, kołace

gdzie tylko może. Nie przestaje on wtedy na teorji, bierze się do rzeczy. Żadnemu ideologowi nie przyszło do głowy zasiąść pisać książkę dla zapewnienia kapitału albo miejsca swojemu dziecku; co dowodzi, że ideologowie szczerze kochają swoje dzieci: książki, piszą oni dla ratunku ludu ubogiego! Lud nie ma za co kupować tych książek, ale ekonomistom przynoszą one czasem kapitały i miejsca.

Gdyby faryzeusze i piśmiennicy mieli prostotę czucia narodowego tej Francji, której popęd jest tak zawsze niemylny, byliby dawno już znaleźli chleba powszedniego dla ludu. Czyliż to nie oczywista, nawet pod samym względem hadlowym rzecz biorąc, że ostatnia walka Polaków z Rosjanami, że wypadki, które ciągnęły Francją do Włoch, otwierały dla pracy i przemysłu francuskiego obszerne pole zarobku i niezliczone drogi odbytu? Polska i Włochy! Z jednej strony te ziemie żyznością swoją wiecznie zdumiewające naszych poetów, ziemie Ukrainy, gdzie prawie orać nie trzeba, gdzie dosyć *poskrobać* trochę rolę i rzucić w nią ziarno, żeby mieć owe, jak je Trembecki nazywa, *żniwa babilońskie*, żniwa podobne do opisywanych przez Herodota: kraj zwany niegdyś śpichlerzem całej Europy, ileżby dostarczył zatrudnienia wyrobnikom francuskim. Z drugiej strony Włochy, których przemysłowe i handlowe środki równie mało są znane we Francji, jak bogactwa rolnicze Polski, chociaż historja Dyrektorjatu powinnaby była przypomnieć to ludziom stanu. Te dwie ogromne okolice w roku 1830 znowu stawały otworem narodowi francuskiemu. La Fayette wołał, że *tam jest chorągiew trójkolorowa;* Béranger odzywał się do Francuzów, że tam ich honor; faryzeusze i piśmiennicy nie wyrzekli nic podobnego: nie czuli oni, że gdzie chorągiew i honor, tam też był i chleb powszedni. Nie, o! nie, Francuza jeszcze Bóg tak nie opuścił, żeby on miał szukać dla siebie chleba gdzieindziej, nie tam gdzie jego chorągiew i honor. Ale Francuz będzie dotykany głodem ducha i głodem ciała, aż nim nie pozna, jaki jest cel jego bytu narodowego, aż nim nie wróci na jedyną drogę, jaka go do tego celu prowadzić może.

Ilekroć i dopóki szedł tą drogą, zawsze znajdował ułatwienia i pomoce, które, wyrażając się po dzisiejszemu, możnaby nazwać nadprzyrodzonemi. Historja francuska pełna jest cudów, po-

dobnie jak i historja polska. Ponieważ pierwsza lepiej tu znana, odwołujemy się najczęściej do niej, aby wyłożyć cuda ewangeliczne, cuda, z łaski faryzeuszów i piśmienników, będące dzisiaj dla jednych bajką, dla drugich przedmiotem zgorszenia.

Mówiliśmy o cudowności słowa żywiącego, o duchu stającym się pokarmem. Historja Zachodu opowiada nam dalekie przedsięwzięcia i wielkie zwycięstwa wojsk i garstek zbrojnych, które nie mając ani bodźca, ani punktu podpory, ani zasiłku w niczem innem, jak tylko w duchu religijnym, umiały znosić głód i wszelkiego rodzaju trudy. Czytajcie dzieje wypraw krzyżowych. Pod tym względem narody chrześcijańskie pokazały wyższość nad wojownikami starożytnymi. Armja grecka albo rzymska, z trzech lub czterech kroć sto tysięcy wojska złożona, nie puściłaby się nigdy tak awanturniczo na wyprawę, nie mając sobie zapewnionej podstawy działania, magazynów żywności. Żaden zastęp wojsk rzymskich nie zdołałby się ostać, gdyby mu przyszło walczyć z tem wszystkiem, co Krzyżownicy w Palestynie, a Krzyżacy w Prusiech musieli znieść i wytrzymać. Siła fizyczna widocznie nie mogła tam sama wystarczyć. Owszem, kronikarze ówcześni to postrzegają, że z pomiędzy rycerstwa najsłabsi i najdelikatniejsi ciałem, szlachta i baronowie wychowani w wygodach i miękkościach dostatku, pokazywali najwięcej wytrwałości na głód i trudy. Mając bardziej rozwiniętego ducha, mogli oni dzielniej przełamywać i zwyciężać opór i potrzeby swojej natury ziemskiej.

Lud, zdziwiony taką mocą życia w tych wojownikach, powziął mniemanie, że były wróżki i czarownice, które jakimś tajemnym sposobem odbierały im na cały ciąg wyprawy potrzebę jedzenia i spoczynku. Z tej powieści Cervantes robił sobie dowcipne żarty; ale bo Cervantes żył już w czasach, kiedy nie pojmowano cudowności wieków średnich.

Cezar mówił do swoich żołnierzy zbuntowanych, że będą wolni go opuścić skoro nie potrafi dostarczyć im żywności. Dzisiejsi wodzowie nie lękają się wojska na głód narazić, nie dając mu bynajmniej dlatego prawa rozejść się z pod chorągwi. W wojnach rewolucyjnych pokrzepiano żołnierza mdlejącego z głodu i znużenia, każąc mu śpiewać *Marsyljankę*. Ah! bo wtedy bywało, że sło-

wo zastępowało pokarm. Mógłbym wiele podobnych przykładów przytoczyć wam z dziejów ostatniej wojny polskiej.

Wiem i to, że darmoby szukać takich cudów w spółczesnej historji kościelnej i scholastycznej. Księża i ideologowie rzadko znajdują się w położeniu gdzieby nie mieli innego posiłku prócz słowa. Ale żołnierze, częściej na to wystawieni, przeprowadzili aż do nas żywe podanie tej tajemnicy religijnej.

I rzeczywiście, w obecnej chwili żołnierze stawią nam wzór przeszłego i przyszłego chrześcijaństwa. Żołnierz rosyjski, cierpliwy, posłuszny, pracowity i uległy, jest ideałem mnicha epoki schodzącej; żołnierz francuski, wstrzemięźliwy, czynny, przedsiębierczy, pokazuje próbkę życia mniszego w epoce przyszłej, życia skupionego całkiem w wewnętrznem czuciu i działaniu. Jeden i drugi zachowali żywą tradycją cudów.

Dzieje wojsk francuskich pełne są rysów poświęcenia się i szlachetności: chrześcijanin może w nich znaleźć, z czegoby się zbudował. Nie mniemajmy wszakże, że to jest skutkiem ogólnego postępu narodów cywilizowanych. Dzieje innych ludów, historja nowożytna Anglji, nie podają nam nic, coby miało podobną cechę. Anglja nie myśli nawet ubiegać się o zaszczyt z poświęcenia się i szlachetności tego rodzaju. Poświęcenie się rycerskie, szlachetność rycerska, są i będą zawsze cnotami znamionującemi szczególnie historją Francji i Polski! Nie mam w tem nawet potrzeby odwoływać się do waszych dziejów dawnych: teraźniejszość świadczy o przeszłości. Każdy z nas widział, albo słyszał od tych, co widzieli, opowiadane takie zdarzenia, że mogłyby iść w porównanie z najpiękniejszemi rysami średniowiecznego rycerstwa. Podczas ostatnich krwawych zaburzeń w Lyonie, jeden rzemieślnik, strzeliwszy do żołnierza, wyzywał go zapalczywie, żeby nawzajem odstrzelił. „Zabij mię“ — wołał. „Odstąp—odpowiedział żołnierz— ja tak blisko nie strzelam“. Bardzo można wątpić czy znalazłoby się tyle chrześcijańskiej miłości bliźniego w sercach ideologów, teologów i dziennikarzy. Gdyby ich pióra mogły jak karabin śmierć zadać, żadenby podobno nie zatrzymał się z wystrzałem przez wzgląd, że przeciwnik stoi zbyt blisko. Żołnierz i prostak pokazują jeszcze na politycznem polu miłość bliźniego.

Do tego już przyszło, że w życiu rzeczywistem, które zawsze

będzie służyło za miarę ile teorja warta, ludzie czynu i ludzie z pracy rąk żyjący, daleko są bliżsi prawdy od tych, co sądzą się być posiadaczami jej zasad. Zasady niestosowane w praktyce stają się bezowocnemi. Klasy niższe naprzód cierpią na tem, najprędzej czują niedostatek życia i siły, które przecież powinnyby spływać z wierzchołków społeczeństwa, z Kościoła i umiejętności; a z obu tych punktów nic im nie przychodzi. Kościół zatkał źródło prawdziwego życia; umiejętność ani myśli o tem, żeby je otworzyć. Uczeni zajmują się wszystkiemi kwestjami, oprócz tej jednej, co i każdego człowieka najdotkliwiej dręczy w chwilach stanowczych jego bytu, i całe narody najmocniej obchodzi w epokach przemian społecznych.

Pan Vidal w artykule wspomnionym wyżej powiada, że darmo chcieć rozwiązać jakiekolwiek zadanie ekonomiczne, nie rozwiązawszy pierwej tej zagadki: *Skąd przychodzimy, dokąd idziemy*. Ma on słuszność. Żeby wiedzieć czy ta lub owa z podawanych dróg jest dalszą albo bliższą do celu, trzebaż naprzód znać jaki jest cel naszego życia ziemskiego, trzeba odpowiedzieć na to pytanie: Skąd i dokąd idziemy. Niedość już dzisiaj mówić ludziom, że przychodzą z nicości, a idą do nieba albo do piekła. Uczeni nie przestają na tem, że pod stopami naszemi jest ogień śródziemny, a ponad atmosferą krążą ciała niebieskie. Zapomocą rachunków swoich zagłębiają się wewnątrz globu i sięgają do słońca. Ale z tych wszystkich dociekań, cóż nam przynieśli, coby prowadziło do rozwiązania tego na czem szczęście ludzkie zależy. *Niebo* i *piekło*, wyrażenia teologiczne prawdziwe i zgodne z istotą rzeczy, nie są teraz dostateczne, nie przedstawiają nam dokładnych wyobrażeń. Ludzkość potrzebuje i ma już prawo wiedzieć więcej o tych krainach tajemniczych. Jest tysiąc kwestyj, których niepodobna rozstrzygnąć a nawet położyć, nim nie będziemy mieli słowa wielkiej zagadki. Lud słowiański, najreligijniejszy ze wszystkich ludów, oczekuje tego słowa; ludzkość cała oczekuje go także.

Ruch Francji w roku 1830, a za nim zaraz ruch Polski, wstrząsnęły państwami Europy, wytrąciły je z ich posad w przeszłości, ale nie nadały im chodu. Rewolucja ówczesna nie miała wielkiego słowa epoki naszej. Wszyscy czuli, że mogła zwyciężyć; tylko jej samej brakło siły pójść po zwycięstwo. I cóżby było z tego zwy-

cięstwa? Nacoby się przydały podboje? Odniesionoby korzyści materjalne, to pewna; ale zarzuconoby Europę doktrynami faryzeuszów i piśmienników, które samą Francją ciemiężą. Rewolucja tedy zatrzymała się na miejscu, i świat znowu odpadł w martwą ciszę. Rozprawy filozoficzne i polityczne wieją po jego powierzchni, ale bądźcie pewni, rozkołysać go do dna nikt żadnym samym ludzkim środkiem nie zdoła. Wszelki zamach przedwczesny napotyka opór w bezwładności mas, ludu i wojska, w którem widzimy zaród przyszłego Kościoła. Świat w milczeniu oczekuje hasła z góry.

Tak było zawsze na wstępie każdej epoki wielkiej. Cisza teraźniejsza podobna jest do owej, jaką poeta nasz, Odymalski, w swoim *Messjaszu*, a później Klopstock w swojej *Messjadzie* opisał. „Onej uroczystej godziny — mówią obadwaj poeci — kiedy Zbawiciel ponosił męczeństwo, w całem przyrodzeniu stało się tak cicho, że każde uderzenie młotka w gwóźdź zabijany do krzyża rozlegało się po otchłaniach piekieł, po wysokościach nieba, i szło wyraźnie słyszane przez wieki".

Tylko taka cisza może usposobić ludzi dobrej woli do wnijścia w siebie i przyjęcia prawd najwyższych. Jak o tem mówić ciężko, to każdy łatwo sobie wystawi! Dlategoż słuchacze moi poczują zapewne, czemu nie odczytywałem tu słów *Biesiady*, i czemu poprzestałem na jej wskazaniu. Bogdajby Duch, który te słowa pisał, czuwał nad tymi co je będą czytali!

LEKCJA IX

Poniedziałek, 12 marca 1844

Zadanie wiekuiste. — Kościół urzędowy i Nauka urzędowa nie zdolne są go rozwiązać. Dlatego nie mają powagi. — Zdania pisarzy rosyjskich o niebezpieczeństwach Francji. — Duch chrześcijański wojska francuskiego. — Wartość. — Z czyjej winy zaginęło prawdziwe znaczenie wartości i jak będzie przywrócone. — Mniemania ekonomistów uważane ze stanowiska religijnego.

Rozstaliśmy się przeszłym razem, zadawszy sobie to pytanie: Skąd i dokąd idziemy; pytanie, które dręczy Kościół urzędowy

i filozofją, a nie da spocząć ludzkości, aż póki nie ukaże się taka odpowiedź na nie, żeby się jej chwyciły wszystkie dusze, zdolne ją pojąć. Ponieważ dawna teologja księża nie zaspakaja naszych potrzeb religijnych, pozostaje nam udać się jeszcze do umiejętności świeckiej. Zobaczmy, co doktryna świecka ma nam powiedzieć w tej mierze.

Przeszłego roku już przebiegliśmy historją ruchu filozoficznej myśli europejskiej, i pokazaliśmy do jakich wypadków naukowych doszła ostatecznie. Teraz idzie nam o to, żeby te wypadki ocenić pod względem ich zastosowania, zapozwać filozofją przed trybunał naszego sumienia, i prostym rozsądkiem, który nazywają pospolitym, dać wyrok, co zrobiła dla użytku w życiu praktycznem, popularnem. Powołajmy filozofów spekulacyjnych, bądź socjalistów bądź ekonomistów, niech nam w sposób zrozumiały dadzą odpowiedź, czy wiedzą sami, i czy mogą nas nauczyć, skąd i dokąd idziemy; czy odgadli tę tajemnicę, którą filozof żydowski, Mojżesz Mendelsohn, stawia za jedną i jedyną, jaką człowiek powołany jest rozwiązać w swojem życiu ziemskiem, a filozof polski, Cieszkowski, uważa słusznie za początek i koniec całej filozofji.

Jeżeli są tacy uczeni, co usiłują zbadać tę tajemnicę, niech nam powiedzą naprzód, z jakich pobudek to czynią, w jakim celu chcą przeniknąć skrytości Boże: czy istotnie dlatego pragną wiedzy, aby postępki swoje kierowali podług nabytego światła? Ten jeden cel może tylko usprawiedliwić i uprawnić ciekawość. W rzeczach moralnych i w rzeczach boskich wszystko zależy od intencji, od celu jaki sobie zakładamy. Przyjaźń, wdzięczność nasza, nie polega na czem innem jak na intencji, którą widzimy albo mniemamy widzieć w naszych przyjaciołach i dobroczyńcach. Pierwej nim zwierzymy się komukolwiek, patrzymy, jakie jest jego usposobienie dla nas. Instynkt moralny, zaród Boży w nas będący, przewodniczy nam w tej mierze. I Bóg czyni podobnież. Bóg odsłania swoje tajemnice człowiekowi tylko w miarę czystości jego intencyj uczynkami dowiedzionej. Pod tym względem łatwo możemy sami siebie osądzić.

Niechaj ci, co już przebyli długi zawód filozoficzny i literacki, przyznają się, czy się to nie zdarza czasem, że kiedy wziąwszy w rękę jaki dziennik, postrzegą swoje nazwisko, rzucają natych-

miast najważniejszą wiadomość o bitwach i przymierzach, o losach i klęskach całych narodów, a spieszą przeczytać, co tam napisano o nich albo o ich dziełach? Ten sam człowiek, co w obronie sprawy religijnej lub narodowej ledwo mógł zdobyć się na zimne słowa i czcze ogólniki, częstokroć wybucha z mocą i zapałem, skoro będzie dotknięty interes jego partji albo jego własny. Na wzmiankę o drogiej mu osobie, o bohaterze romansu zajmującego publiczność, serce mocniej mu bić zacznie niż na imię Boga i ojczyzny. Taki człowiek osądził już sam siebie; a wtedy jakże będzie jeszcze chciał wmówić w nas, że oddany jest dociekaniu wielkiej tajemnicy, szczęściu ludzkości? Gdyby istotnie szczęście ludzkości było jedynym przedmiotem tych wszystkich co piszą książki, nie dbaliby oni tak zadrośnie o swoją sławę literacką, nie zabezpieczaliby sobie tak troskliwie aż do najdrobniejszej korzyści ze swoich pomysłów, nie troszczyliby się o to, co stąd przyjdzie dla ich imienia albo dla ich osoby. Jeżeli jaka idea jest zbawienną dla ludzkości, czemuż wam, panowie uczeni, wam, jej przyjaciołom, nie wszystko jedno, czy wy, czy kto inny będzie miał szczęście tę ideę podać. Alboż apostołowie brali patenta na wynalazek wielkich prawd, które rozrzucali narodom? Proś którego filantropa, filozofa zajmującego się ludzkością, niech poświęci swoje imię, niech system swój ogłosi bezimiennie; obaczysz, co na to odpowie.

Prawda, że w dziedzinie umiejętności ścisłych wynalazcy ciągną materjalną korzyść, albo prawo materjalnego korzystania ze swoich odkryć przelewają innym; ale to ze strony moralnej nie wprzęga ich do niczego. Wcale inaczej rzecz się ma co do systemów religijnych i filozoficznych, gdzie cała zasługa i cała trudność leży w zastosowaniu. Twórcy takich systemów znają to bardzo dobrze, i dlategoż właśnie cały ciężar chcą zwalić na drugich; w dziwnem jakiemś urojeniu czekają, żeby się znalazł ktoś, coby miał odwagę i siłę na których im zbywa, a stał się ich narzędziem.

Pod tym względem tworzycieli systemów można podzielić na dwie kategorje. Jedni zdają się rachować na to, że wojna albo jakiekolwiek zamięszanie odda władzę w ich ręce, a wtenczas będą mieli porę i swoje teorje zastosować. U tych wszystko na przypadku i na przemocy: o tyle tylko mogą być oni usprawiedliwieni, o ile rzucają się pierwsi w niebezpieczeństwa, które wywołują.

Drudzy, nierównie liczniejsi, sądzą, że z czasem same rządy, poznawszy swoją powinność, wezmą się do wprowadzenia ulepszeń wyrobionych pierwej teoretycznie. Ci więc pracują dalej nad teorjami, i czekają. Ależ jeżeli jakiś tam rząd dobrotliwy, jakiś minister zapalony kiedyś do tych systemów, ma spełnić te oczekiwania, czemuż nie postarają się oni nawrócić rządów i ministrów teraźniejszych? Teoretykom tym mamy to samo do zarzucenia, co ludziom Kościoła urzędowego.

Ministrowie, i w ogólności wszyscy ci, którzy działają, nie bawią się czytaniem książek, nie mają na to czasu, co przeczytają nawet, zapominają tego prędko: żeby ich nakłonić do czegoś, trzeba chodzić do nich, ścierać się z nimi; trzeba narażać na obrazę swoją miłość własną, trzeba się ofiarować. Spokojność, siła, jakie pokażesz w tem ścieraniu się z człowiekiem mającym władzę, dadzą miarę twojej intencji i twojej wiary w system, który zalecasz. Ale tej to próby wszyscy autorowie systemów unikają najbardziej. Taka próba jest już początkiem realizacji, i właśnie ta realizacja wykrywa co może być zrealizowanem, a co nie.

Intencja i siła, połączone w jednym duchu stanowią czyn. Ten kto taki czyn spełnia jest prawdziwym autorem. *Auctor*, w języku łacińskim, znaczy *sprawcę*, człowieka przez którego rzecz jaka zostaje nie napisana, ale *sprawiona*, i który pomnaża: *auget*, zbiór rzeczy mających byt w *czynie*. Takie sprawowanie rzeczy, taka realizacja, daje razem człowiekowi powagę, władzę istotną.

Pomięszano z sobą dwie rzeczy zupełnie różne: prawdy zewnętrzne, fizyczne, albo prawdy cząstkowe bądź rozumowe bądź uczuciowe, z prawdami istotnemi i całkowitemi. Prawdy rozumowe nie obowiązują do niczego: nikt nie czuje się być obowiązanym dać się ukrzyżować za to, że takie lub owakie przypuszczenie matematyczne albo fizyczne jest prawdziwe. W prawdach moralnych przeciwnie, każde słowo wkłada na nas obowiązek, zaciąga nas w rachunek. W życiu naszem powszedniem trzymamy się tego prawa. Wolno każdemu występować w rozmowie z zaletami swoich odkryć, postrzeżeń, wynalazków, wolno sławić swój system fizyczny, matematyczny, humanitarny; ale nikomu nie ujdzie mówić o swoich cnotach, chlubić się z męstwa, z szlachetności, z ludzkości, nie dowiódłszy ich pierwej czynem. Cóż dopiero powiedzieć o lu-

dziach, którzy podają systemy mające cały świat uszczęśliwić, zrobić go dobrym, szlachetnym, ludzkim, nie uczyniwszy najmniejszego kroku dla zrealizowania tego szczęścia.

Turcy mają jedno tradycyjne mniemanie, szczególniejszym sposobem wyrażające tę myśl naszą. Nie godzi się u nich robić obrazów i posągów; bo powiadają, że wszystkie te natworzone przez artystę postaci będą wiecznie ścigały go po śmierci, dopominając się ciągle aby dał im dusze.

Otóż i w przedmiocie prawd moralnych, cokolwiek kto stawi, cokolwiek podaje, obowiązany jest realizować, i prędzej czy później będzie musiał doświadczyć tego na sobie, aby pokazało się czy miał wolę i siłę w czyn to wprowadzić.

Chętka do pustych rozprawiań w rzeczach religijnych i społeczeńskich, chętka znamionująca zawsze koniec epoki, pokazuje nam dlaczego ani ludzie Kościoła urzędowego, ani ludzie nauki urzędowej, zwani doktrynerami, zgoła już nie mają powagi; a kiedy powaga upada, dyskusja powstaje.

Dyskusja bynajmniej nie jest drogą dojścia do prawdy, jest tylko znakiem, że ludzie albo wcale nie mają siły, albo nie mają jej dosyć. Kiedy okrętem kieruje sternik pewny swego rzemiosła, okręt ten przedstawia jedną całość, jedną organizacją większą od organizacji pojedynczego człowieka, bo tam wiele ludzi pełni wspólnie wielką powinność, pracuje razem dla dojścia do założonego celu. Praca ta nie wyłącza spoczynku i przyjemności. Jest czas na wszystko; podróżni i majtkowie cieszą się bezpieczeństwem, pięknością widoków. Ale niech tylko sternikowi zniknie z przed oczu gwiazda, niech zacznie pomięszany radzić się karty, z niepewnością szukać drogi, zaraz jego głos, który jego całym ekwipażem władał jak jednym człowiekiem, utraci swoją powagę, swoją czarodziejską moc rozkazywania; z dźwięku, z akcentu tego głosu da się poznać, że już nie ma władzy: a wtedy poczną przychodzić do niego, i służbowi i podróżni, przyjdzie naprzód młody marynarczyk, potem jakiś uczony co gdzieś tam siedział w kącie okrętu; ten z radą, ów z książkami swemi: nakoniec wtrącą się i majtkowie...

Jest to żywy obraz, w polityce rządu parlamentarnego, w religji sporu katolicyzmu z protestantyzmem; obraz rozprzężenia, końca epoki, obraz tego co Pismo Święte skończeniem świata na-

zywa; bo miłość wtedy gaśnie, a siła ustępuje całkiem albo słabnie. Jest to także to, o czem Pismo Święte wspomina, mówiąc, że słońce się zaćmi i gwiazdy z nieba padać będą; słońce, które znaczy tu nic innego tylko ogień i moc miłości. Kto tych znaków jeszcze nie widzi, kto ich nie rozumie, temu niemasz co mówić. Dla nas wszystko co się teraz dzieje w duszach ludzkich, omdlałość, zwątpienie, niepokój, boleść, tęsknota, jakie dają się postrzegać ogólnie, są dowodem, przeświadczającym nas wewnętrznie, że się zbliżamy do powszechnej zmiany.

Wam tutaj w kraju, gdzie wolno mówić i pisać, wasze poemata, wasze dzienniki, zapowiadają, powtarzają to samo, tylko innemi wyrazami, innym językiem; ludom oniemionym, jak nasze, zbywa na tych świadectwach zewnętrznych: a jednak nie wahamy się powiedzieć, że to oczekiwanie jest powszechne u Słowian, jest może silniejsze niż gdziekolwiek, bo bezpośrednio domaga się czynu. Jako dowód piśmienny przeczytam parę wyjątków z dzieł, których autorami są Rosjanie. Dzieła te były mi dotąd nieznane, a znalazłem w nich rzeczy mówione tutaj, i niekiedy nawet oddane w ten sam sposób. Oto co powiada Rosjanin Sergjusz d'Oubril, w dziełku drukowanem w Paryżu 1844, w Biurze drukarzy połączonych.

„Świat dzisiaj pragnie prawdy; wszystkie doktryny pomarły, ledwo ich próżny cień stoi jeszcze. Pocóż nam łudzić się dłużej? Miejmy odwagę odkryć sobie i wyznać otwarcie nasze położenie: do czego nam się przyda udawać rzeczy inaczej? Co do mnie, im więcej pytam siebie, im więcej zastanawiam się nad biegiem czasu i cywilizacji, tem bardziej się przekonywam, że przyszła chwila, kiedy trzeba wznieść nową budowę społeczeństwa. To powinno być dziełem wszystkich. Poczęto już uprzątać gruzy: będzie więc wkrótce położony pierwszy kamień; tego powinniśmy się spodziewać lada moment."

A dalej:

„Co za ciemność w sercach ludzkich! co za zamęt w myślach! co za bezład w zasadach i mniemaniach! Ile to krwawych ścierań

się między nami! ile morderczych zapasów w samem ognisku życia! Jakże byłoby pięknie przyjść na ratunek cierpiącej ludzkości, oddzielić prawdę od fałszu, dzień od nocy."

Niechaj nikt sobie nie wyobraża, że Rosjanin ten spodziewa się widzieć uratowaną ludzkość przez jakąś reformę polityczną. Ludzie myślący w Rosji są nierównie dalej w ideach, niżeli się zdaje; a co do ludu, on ma ten zapał młodzieńczy, który wzdycha do wielkich zmian, żąda wielkich czynów, i woli raczej despotyzm otwarty, niżeli formę rządu, gdzie wszystko na gadaniu, a nic w czynie; bo doktryna jest to nie co innego jak forma, tylko bez życia; doktryna na polu politycznem przedstawia to samo co jezuityzm na polu religijnem.

Oto co drugi Rosjanin, piszący bezimiennie, a którego nazwiska nie pozwalam sobie odkryć, w broszurze wydanej niedawno w Paryżu u Renouarda, powiada o nieporozumieniu między rządem a duchowieństwem. Rzecz ta nie jest zgoła kwestją ulotną, przypadkową, dziennikarską; mamy tu właśnie dowód, że zajmuje ona umysły powszechnie. Autor broszury, kładzie następne słowa w usta księdza odzywającego się do zwolenników doktryny.

„Niech i tak będzie — mówi ksiądz — że niesłusznie chcemy przewodzić; uznajemy naszą niższość: ależ wy, cóż nam podajecie na miejsce naszej wiary? Na mocy czegóż wymagacie po nas ufności w wasze teorje, w wasze systemy? Jakiż z nich pożytek otrzymaliście dotąd? Chciwość, pragnienie złota, czyliż wszędzie nie przepalają dusz aż do obrzydzenia ich samym sobie, czyliż nie płodzą w łonie społeczeństwa targań się bez ustanku? i t. d. . . . ."

„Porównajcie bezładne wypadki nieszczęsnych mędrkowań waszych mówców i marzycieli, ze zbawieniem do którego prowadzą nasze rady! I chcecież, żebyśmy znaleźli zaspokojenie w waszych prawach społeczeńskich i politycznych, żebyśmy się pocieszyli nadzieją, że się zrobi jakaś tam ustawa o drogach żelaznych, potem inna o stowarzyszeniach, a nakoniec, kto wie, może i rzeczpospolita? Piękne wynagrodzenie! Alboż nie widzieliście czynów rzeczypospolitej? Alboż nie macie przed oczyma do czego to doprowadziło? . . . . ."

I rzeczywiście Rosjanin ma słuszność: bo w istocie, gdyby ta czy inna forma polityczna stanowiła wszystko, gdyby taki lub inakszy rząd mógł rozwiązać zagadnienia, które nas dręczą, cała trudność byłaby uprzątniona natychmiast. Mamy przecież w Europie wszystkie formy rządu, od dospotyzmu cesarza Mikołaja, aż do czystej demokracji drobnych kantonów szwajcarskich, i nawet aż do władzy patryarchalnej u Słowian Czarnogórców: dosyć byłoby tedy pójść tylko tam lub ówdzie i wziąć żywcem tę umiejętność, tworzącą taki lub owaki kształt ciała politycznego, umiejętność, której ludzie stanu wszystkich krajów dotąd jeszcze szukają.

Nie idzie tu, Panowie, o urąganie ludziom reprezentującym Kościół urzędowy, albo doktrynę niezdolną nic wydać; mamy wszakże prawo zarzucić im jedną rzecz ważną. Ludzie ci powiadają: robimy co możemy, ogłaszamy książki, podajemy rady. Możnaby więc zrobić ten zarzut, że ponieważ sami nie są pewni czy mają prawdę, której chcą nauczać, zwodzą lud i przeszkadzają mu szukać jej tam, gdzie się ona znajduje. Nie potępiamy ich, bo wiemy, jak trudno otrzymać najdrobniejszy promyk prawdy. Tych co ją objawiają jest tak niewielu! Sam jeden, jedyny z pomiędzy wszystkich, który posiadał całą prawdę, i który ją pełnił, Jezus Chrystus, jest także jedynym objawicielem, który istotnie nic nie pisał. Należałoby zastanawiać się nad tem, należałoby wyciągnąć stąd wniosek, że człowiek piszący książki dochodzi może prawdy, ale jeszcze jej nie doszedł; bo gdyby już ją miał, toby zrealizował w sobie samym i w sprawach przez siebie postawionych. Ludzie tedy, którzy w epokach tak ważnych jak nasza naginają lud do książek, utrudzają mu znalezienie prawdy.

I któż nam powiedział, że ten lub ów z pomiędzy ludu, bałamucony obietnicami nadejścia takiej lub owakiej reformy, wprowadzenia tej lub innej instytucji, zrealizowania jednego lub drugiego pomysłu, że ten człowiek prosty, zostawiony samemu sobie, wołając do Boga, w obliczu którego niemasz przywilejów, nie byłby właśnie znalazł prawdy, daremnie szukanej przez uczonych? Tym to sposobem zabiegi doktrynerów i Kościoła urzędowego są ciągłem knowaniem, aby dusze ludu zbić z drogi, kędyby mogły dojść do prawdy.

Taki stan rzeczy lepiej niż cokolwiek pokazuje koniec epoki. Taki stan rzeczy niegdyś sprowadził barbarzyńców na kraje cywilizowane. Teraz możemy zrozumieć, jakie było zrządzenie Opatrzności w nachodach barbarzyńców. Kiedy Grecja, stawszy się zbiorowiskiem szkół, trawiła czas na wynajdywaniu kształtów rządu, na spieraniu się o wyższość jednego nad drugim rozlicznych swoich pomysłów, nie usiłując żadnego zastosować, wtedy pretorowie i konsulowie rzymscy przyszli zrobić porządek w miastach zagałuszonych gawędą. Kiedy później, w wieku III. i IV., taż Grecja już chrześcijańska, ale na nieszczęście chrześcijańska tylko z imienia, wróciła znowu do swoich gwarliwych filozofowań, przemięszanych tylko trochę teologją, wtedy Opatrzność zesłała Islamizm; bo i jakże było inaczej zawalić to bagno umysłowe, skąd wydobywał się ciągle zaraźliwy tuman, któryby był cały świat zapowietrzył? Ludność co napełniała tyle miast Azji Mniejszej, miast liczących po trzy i cztery kroć sto tysięcy mieszkańców, a ozdobnych w przepych wszelkiego rodzaju, ludność co rozciągała się z jednej strony do Azji środkowej, z drugiej do Arabji skalistej, i zasypała ziemię pomnikami, dziś zdumiewającemi wyobraźnią, ludność ta ogromna została skazana na zagładę dlatego, że wiodła ludzkość szukać zbawienia w pargaminach, że chciała ją uplątać w swoje formuły obłędne. Na taką Grecją wycieńczoną z sił, bogatą w słowa, ubogą w czyny, Opatrzność puściła Islamizm, ten ogień pustyni, aby spalił uwiędłą trawę.

Nie żałujmy tych wodociągów, tych miast olbrzymich zagrzebanych w gruzach; duch ludzki poczynał w nich kamienieć, jak kamienieje teraz w niektórych miastach włoskich, wystawionych na okropną przyszłość.

Taki sam byłby niechybnie los i ludów Zachodu, gdyby Opatrzność nie czuwała nad niemi. Ci co nic nie robiąc, niczego nie śmiejąc przedsięwziąć, kują systemy, wymyślają prawdy socjalne, ci to ludzie przywołują barbarzyństwo tutaj. Rosjanin ostrzega was o tem w tej broszurze. Powiada on, że jeżeli Kościół nie spełni swej powinności (a widzieliśmy, że spełnić jej nie może) i jeżeli Zachód będzie dalej pochłaniał się w próżnych rozprawach, wtedy „powstanie Kościół nowy, który zgromadzi w sobie wszystko, co dzisiaj jest najwyższego, wszystkich ludzi szlachet-

nych, wspaniałomyślnych, światłych, otwartych, szczerych, odważnych; a w walce tej Francja straci swą pomyślność i wysokie swe stanowisko społeczeńskie."

Drugi Rosjanin mówi: „Dosyć już tych wojen jak dotąd; nie idzie już dzisaj o to, żeby zgnieść Moskali..."

Ale także powinien on był dodać, że nie idzie i o to, żeby gnieść Polaków, uciskać Czechów; powinien był mieć odwagę to powiedzieć. My co jesteśmy z tego ludu, który, wysilając się do ostatka, stawia opór Rosji; my, co idziemy w tym szeregu, gdzie jak Garczyński powiada:

. . . . pokolenie za pokoleniem
Ginie jak w ogniu ofiary,

my mieliśmy odwagę wyrzec, że nienawiści ku Rosji nie mamy. Rosja nas potrzebuje, Rosja nie zdoła nigdy zrzucić swego jarzma bez Polski; Polska i Rosja nie obejdą się bez Czechów; a wszyscy Rosjanie, Polacy i Czesi potrzebujemy Francji: nie stanie się nic bez niej. I to Rosjanin powiada: oto czem się kończy jego broszura:

„Bogdajby się ta obawa nigdy nie sprawdziła! Bogdajby nigdy nie spotkała Francji tak smutna przyszłość!

. . . . . .

Natenczas, i przez nią, otworzy się nowa epoka szczęścia dla ludzkości całej."

Nie był to więc głos pojedynczy, który wam to powtarzał, był to głos całego rodu: nie przyszliśmy tu zalecać wam jakiej teorji, ale wzywać was do sprzymierzenia się z nami, wzywać Francji do przymierza w przyszłości, opartego na innych zasadach niżeli te, jakiemi świat rządzi się dzisiaj.

Tak jest! przyszłość, o którą trwoży się Rosjanin, przyszłość, w której się lęka upadku Francji, nie będzie dla niej zgubną, bo chrystjanizm, jakeśmy to okazali, nie wygasł w niej, nie przestał działać. Grecja była zamarła we wszystkiem cokolwiek wydała, w swoich szkołach, w swoich municypjach, w swojem wojsku; Francji duch wojskowy żyje zawsze, i dowiodłem wyżej, że zacho-

wuje tradycją czystą Kościoła chrześcijańskiego, najczystszą może teraz na całym świecie; duch wojskowy francuski jest synem ducha rycerskiego, a wnukiem Chrystusowym. Na tym to duchu powinny polegać nadzieje wszystkich szlachetnych Rosjan, Polaków i Czechów; ten to duch także stanowi istotnie moralną i polityczną wartość Francji.

To zwraca nas ku środkowej nici naszego zadania, i tu też mamy porę mówić o materjalnej wartości Polski.

Nadmieniłem niedawno, że z łaski doktrynerów stracono w ekonomji politycznej nawet wyobrażenie wartości, pojęcie co znaczy wartość. Wartość, powiadają, jest ilość rzeczy, które możemy otrzymać wzamian za rzecz jaką; z czego wypada, że kiedy nie mam odbytu, nie mam i wartości. Pomijam inne definicje, podług których to moda, to praca, to nareszcie nie wiadomo co stanowi wartość. Gdyby wszakże chciano poradzić się mowy pospolitej, mowy zawsze tak prawdziwej, znalezionoby zaraz definicją tego wyrazu: wartość, cena, *valeur*. Co lud francuski rozumie wtedy, kiedy mówi o kim *c'est un homme plein de valeur?* Oto uznaje w nim siłę moralną, *virtus* Rzymską, zacność, dzielność, słowem powiada, że ma cenę: cnota, cny, stąd cena. Jakoż to właśnie jest jedyną ceną, wartością istotną, i źródłem wszelkich wartości materjalnych. Zaraz tego dowiodę, i mam ważną przyczynę dowieść. Boiste w swoim słowniku tłumaczy wyraz *la valeur* przez *l'energie d'action. L'energie d'action*, moc w działaniu, *dzielność*, pochodzi z ducha, wynika z człowieka wewnętrznego, jest ruchem ducha. Ruch ten, zastosowany do pracy rolniczej, daje wartość ziemi; obrócony na wynalazki, na odkrycia, daje ich wartość względną, (byleby wszakże praca w tym kierunku zgadzała się z wolą Bożą; bo bywają, o czem ekonomiści nie wiedzą, prace fałszywe; naprzykład gdyby kto, w chwili kiedy idzie o byt jego narodu, zajmował się machinami przemysłowemi, praca jego byłaby fałszywa i nie miałaby błogosławieństwa). Ruch ten, dzielność ta wewnętrzna może wydać obraz, wartujący miljon. Dzieła Walter-Scotta wniosły w obieg kilkanaście miljonów. Dzielność ta nakoniec, wyjawiona jako waleczność żołnierska, daje jednemu narodowi władzę nad innemi narodami, i nad wszystką wartością jaką reprezentują te narody: jest wartością największą; naród dzielny zostaje panem

wszystkich wartości ekonomicznych. Wartość zatem nie pochodzi skądinąd jak z ruchu ducha, i wewnętrzną wartością rzeczy jest nic innego tylko to, co budzi ruch ducha.

Kiedy ludzie nie mogą budzić naszego ducha, natura wtedy ich zastępuje, i natura ma wartość. Widoki okolic należą do wartości, chociaż ekonomiści tego nie znają. Można znaleźć wartość w pięknem położeniu miejsca, bo widok jego nas porusza. W Szwajcarji często siedziby cenią się podług tego jak ich położenie mniej lub więcej malownicze.

Skąd pochodzi tak wielka wartość diamentu? Oto że jest w nim jakaś tajemna własność, która sprawuje w nas drgnięcie. Teatr ma wielką wartość. Powtarzam, wartość człowieka, pokazana przez dzielność wysokiego stopnia, czyni go panem wartości innych ludzi. Mówię to z przyczyny, że ludy słowiańskie są źle sądzone, i że trudno jest ocenić wartość ludu, albo pojedynczego człowieka, nie mając miary jego ducha.

Największą wartością u narodu jest jego świątynia, jego ołtarz: stamtąd on bowiem może czerpać, brać najwięcej siły działania. Wartość całego globu może być zebrana w jednym człowieku; tak jest, jeden człowiek może reprezentować wartość całego globu. Wyrażę się językiem ludzi praktycznych, machinistów. Co Chrystus Pan reprezentował w swojej osobie? Reprezentował, jeśli mamy już mówić w sposób tak niski, wartość wszystkich klasztorów powstałych później na cześć jego, wartość wszystkich zamków średniowiecznych, wartość wszystkich ziem zdobytych na Saracenach; wartość niezmierną! Ponieważ tedy duch stanowi wartość, wartość tę nadaje Bóg, i taka tylko jest wartością istotną.

Tu musimy zanieść przed sąd Boga jeszcze jedną ostatnią i najuroczystszą skargę przeciwko ludziom Kościoła urzędowego. Oni to są winni temu, że zaginęło pojęcie wartości. Bóg mieszka u nich, przebywa na ich ołtarzach; dlaczegoż nie potrafili przekonać świata o jego obecności rzeczywistej? Jak się to dzieje, że po 1,800 leciech obecności tej dowodzą tylko przez książki, i nawet z myśli im wyszło zupełnie, jakby w inny sposób tego dowieść. O, mój Boże! w Anglji, w mennicy londyńskiej, pokazują ciekawym bilet na miljon funtów szterlingów (25.000,000 franków) podobno. Ci, co przychodzą go oglądać, zbliżają się z pewnem przerażeniem i uszano-

waniem: widać po ich twarzach, jak wielka wartość przywiązana do tego papieru. Widziałże kto z nas co podobnego w oczach, w twarzach, w postawach tych, co piastują Świętego Świętych. Mają oni istotnie wiarę, że Bóg żywy jest mocny, że wszelka moc, wszelki ogień, wszelkie życie od niego idzie? Są gotowi dać się zaraz ukrzyżować na świadectwo rzeczywistej obecności Boga? Niech odpowiedzą na to. Ja zaś to im powiem, że człowiek, który ma tę wiarę, i który dla pokazania jej gotów na wszystko się odważyć, wszystko wycierpieć, człowiek ten sam tylko czyta aż do dna w skrytościach dusz ludzi Kościoła urzędowego. Nauczyli oni nas widzieć tam Boga, ale poczuć go nam nie dali. Przyszła jednak pora, kiedy trzeba dowieść tej rzeczywistości, i Francja szczególniej jest powołana do tego. Francja nic nie zdoła zrobić bez Chrystusa, bez ducha Chrystusowego. Okazywała ona jako naród w swojem życiu politycznem naukę Chrystusową, częstokroć czyniąc to bez wiedzy; teraz okaże, musi okazać jego obecność rzeczywistą, z zupełną o tem wiedzą. Ale powtarzam, nie zdoła ona nic bez Jezusa Chrystusa. Duch Chrystusowy, duch najwyższej mocy, dzielności, siły, ten to duch czyni, że Francją pojmują i czczą ludy inne, ludy wierzące, ludy słowiańskie.

Powiedziałem, że mnóstwo kwestyj filozoficznych i ekonomicznych łatwoby rozstrzygnął oręż francuski; podobnąż koleją i wielkie tajemnice religji katolickiej staną się dostępnemi dla rozumu, dotykalnemi dla zmysłów nawet; ale pierwej trzeba, żeby naród francuski dopełnił niektórych warunków. Dopomógł już on nam wyłożyć co są relikwje, co działanie duchów, dopomógł idee, myśli nasze, wyrazić w języku pospolitym; dopomoże także ludzkości pojąć tajemnice sakramentów. Cóż jest w tych tajemnicach sprzecznego z pojęciem człowiekowi dobrej woli?

Muszę dotknąć mocniej tej rzeczy; dla Słowianina jest to punkt żywotny, będzie on w swoim czasie ogniwem, wiążącem nas z Francją: nie możemy zespolić się z nią w niczem innem jak tylko w duchu Chrystusowym.

Człowiek dobrej woli nie widzi nic sprzecznego pojęciu w tajemnicach wiary chrześcijańskiej, powiedziałem. Człowiek, który najsilniej działał na ducha innych, Napoleon, czuł głęboko tajemniczość, sakramentalność pewnych czynów w życiu ludzkiem,

pojmował, że czyny te udzielały człowiekowi nowego daru, nowej mocy. Zdarzało się, że prostych żołnierzy na polu bitwy mianował jenerałami. „Odebraliście — mówił im — chrzest z krwi i ognia". Jeden wielki czyn podnosił tych ludzi i dawał im imię jakie mieć powinni byli, imię jenerałów.

Czyliż nie widywano także, że jedno skinienie Napoleona, że sposób w jaki czasem przed atakiem uderzył żołnierza po ramieniu, wlewał w niego nowy prąd życia? Było to prawdziwe bierzmowanie; żołnierz czuł je w sobie, i czuli wszyscy: dawało się to widzieć z łez, płynących po twarzach grenadjerów, którzy wtedy niewstrzymanym pędem, rzucając się w milczeniu jak kule działowe, zmiatali przed sobą wszystko.

O biskupi chrześcijańscy! gdybyście wy zwrócili na to waszą uwagę, gdybyście zastanawiali się nad tem, skąd pochodziła taka siła, bylibyście może odzyskali tę władzę, która niegdyś sprawiała, że chrześcijanin nabierzmowany czuł się istotnie utwierdzonym w sile i wierze.

Epoka dzisiejsza ma to do siebie, że czyn powinien poprzedzać i tłumaczyć tajemnice. Francja, jakem powiedział, jest powołana do tego, bo to co nazywamy dzielnością, ogniem świętym, walecznością, stanowi pierwiastek narodowy Francuzów. Patrzmy na samą ich organizacją fizyczną. Czyliż nie widzimy, że prawie nie mają ciała, że prawie pozbyli się materji: duch w nich przetrawił, pochłonął swoją powłokę ziemską, duch ten, będący jedyną istotną wartością, wyraził się przez Francją: Francuz zrealizował go już na ziemi i czeka tylko sposobności żeby mógł użyć. Kiedym mówił, że Francuz znalazłby chleb w naszych stronach północnych. zapomniałem dodać, że płaciłby zań blaskiem swojego wzroku. Iskra wydobywa iskrę, ogień roznieca ogień. Ludowi słowiańskiemu potrzeba tej iskry, tego ognia. Niejeden z wyrobników francuskich ma w duszy tyle ognia, że mógłby rozpłomienić całą okolicę słowiańską.

Dyplomatyk tutejszy, Pradt, w któremś dziele swojem napisał, że im dalej ku Północy, tem oczy ludzkie znajdujemy mglistsze! Postrzeżenie słuszne. Zaród Boży Słowian leży w nich głęboko ukryty, muszą jeszcze wiele pracować, żeby go wydobyli nazewnątrz; u Francuzów jaśnieje już on w oczach. Ten to ogień Boży

jest ostatecznym, najczystszym i najświętszym wyrobem pracy narodu francuskiego; jest ogniem Prometeusza w mitologji starożytnej; jest ogniem, który Eljasz sprowadził z nieba na ołtarz, jest ogniem Westy, strzeżonym przez kapłanki pod karą śmierci, pod karą zakopania żywcem w ziemię, gdyby dopuściły mu zgasnąć. Szczęśliwe narody które go przechowały! Stąd to pochodzi ta ich sympatyczność, jaką wam przyznają sami nieprzyjaciele wasi. Anglicy mówią o Francuzach, że to lud sympatyczny, Niemcy powiadają o nich toż samo: ale i Anglicy i Niemcy dodają zaraz sobie w duszy, że im nie potrzeba być sympatycznymi. Mylą się: muszą przyjść do tego, albo uznać swoją niższość; tylko na takich warunkach może być zawiązane prawdziwe przymierze z Francją. Potęga jej przeciwna, reprezentowana przez Anglją i przez rząd rosyjski, musi uznać swoją niższość, a gdy przyjdzie czas, że Francja spełni swoją powinność, wtedy pozwoli Anglikom kopać kanały, prowadzić drogi żelazne dla niej; bo na wszystkich robotach przemysłowych oni lepiej znają się od Francuzów; ale nikt inny jak Francja nie zdoła dać światu tego ognia, który Opatrzność złożyła w narodzie francuskim, i dlategoż to ten ogień musi odzyskać wszelką swą dzielność, wszystkie cudowne władze, zamykające się w słowie.

Przy otwarciu mojego kursu tutaj powiedziałem, że Paryż jest stolicą słowa, słowa jawiącego się we wszystkich swoich skutkach, jako siła twórcza, jako ogień żywotny, jako pierwiastek karmiący, jako waleczność wojenna. Istotnie jest to stolica, ale jeszcze bez swojego Pana, którym jest Duch Boży. Mowa już dzisiaj nie wystarcza, trzeba żeby zstąpił Duch, Pan i początek wszystkiego. Tym Panem, tym początkiem jest Słowo Boże, i o niem pozostaje nam teraz mówić.

LEKCJA X

Wtorek, 19 marca 1844

Jakie zachodzą związki między duchem ludzkim, a tem wszystkiem co ma byt na ziemi poza człowiekiem. — Kwestja ta jest za-

dana do rozwiązania epoce naszej. — Zasób nowego światła udzielonego epoce, jest *słowem* epoki. — Mężowie zsyłani epokom. — *Mistrz.*

Zastanawiając się nad wartością i jej istotą, a stąd nad duchem, który jest jedynem jej źródłem, wpadamy przez logiczne następstwo na zagadnienie wyższego rzędu, na zagadnienie: jakie zachodzą związki między duchem ludzkim, a tem wszystkiem, co żyje na ziemi poza człowiekiem, co składa całe królestwo zwierzęce i roślinne. Człowiek zna się być panem całego przyrodzenia, znał to nawet, będąc sam jeszcze niewolnikiem; tymczasem, kiedy bezustanku pracuje nad własnem wyzwoleniem, nie przestaje swojej władzy względem stworzeń niższych używać w taki sposób, w jaki używają jej królikowie murzyńscy albo naczelnicy pokoleń dzikich, ani myśląc, żeby ich poddanym służyły jakiekolwiek prawa. Mamyż dzisiaj choć trochę więcej niż starożytni mieli pojęcia o należytościach i powinnościach, jakie mogą być wzajemne między człowiekiem a zwierzęciem? Możeż istotnie należeć się co zwierzęciu? W podaniu religijnem przebija się niejaki tego ślad; w etyce i prawoznawstwie niemasz najmniejszego znaku. Ale jeżeli w tej mierze archiwa nie mogą nam dostarczyć żadnych przeświadczeń, możemy udać się do *tego* co starsze nad wszystkie archiwa, możemy zapytać naszego ducha nieśmiertelnego, byleby ten duch był jak należy usposobiony dać nam odpowiedź, byleby znajdował się w stanie skupienia i poruszenia, w stanie objawiającym się natychmiast przez drgnięcie. Potrzeba więc naprzód drgnąć ku tym, których położenie i powinności poznać chcemy. Wszakże nie inaczej postępujemy sobie i względem bliźnich naszych. Jakim sposobem staramy się wniknąć w cierpienie przyjaciela, wybadać z niego tajemnicę, którą ukrywa w piersiach, z którą czasem wiele lat chodzi smutny i niemy? Nie znając przyczyny cierpienia, niepodobna mu ulżyć; a przez cóż dobieramy się do tej przyczyny, jeżeli nie przez miłość? To dziwna rzecz, że filozofom, dociekającym przyczyn niemowlęctwa stworzeń niższych, nie przyszło na myśl, że może jakaś straszna tajemnica leży w samym zarodzie życia każdego gatunku zwierząt i roślin. Niektórzy uczeni poczynają już postrzegać, że nie dość nożem rozbierać mózg zwierzęcia,

płatać je żywcem, żeby dojść co się dzieje w jego duchu; ba! w jego duchu... o duchu ani mowy nawet! Gassendi jednak zastanawiał się nad tem, Kartezjusz dochodził także coby stanowiło pierwiastek życia zwierząt. W nieprzebrnionych stosach pism dzisiejszych filozofów nie znajdujemy w tej mierze nic oprócz formuł bez rzeczy. Tymczasem lud prosty nie przestaje stale okazywać przywiązania ku tym niemym towarzyszom trudów i niebezpieczeństw swoich. Warto byłoby przecięż wytłumaczyć to filozoficznie; bo pokazuje się stąd, że w jestestwach tych musi być pierwiastek wywołujący drgnięcie uczuciowe. Uczeni sami przyznają, że nieraz widzieli jak biedne zwierzę brane przez nich na doświadczenie, w mękach okropnych skupiając całe swe uczucie, rzuca wzrok pełen ludzkiego prawie wyrazu boleści, wydaje taki jęk wewnętrzny, że wskroś przejęty anatomik zadrży mimowolnie. Jeden z wielkich pisarzy francuskich powiedział: *boleść daje prawo do nieśmiertelności;* stworzeniu konającemu w boleści, nie pozostaje̊że niczego się spodziewać?

Są tacy pomiędzy uczonymi, i mógłbym wymienić ich po nazwisku, których mocno zajmuje to zagadnienie. Jest to jedno z zagadnień dane do rozwiązania epoce teraźniejszej. Na dowód tego przytoczę kilka słów filozofa amerykańskiego Emersona, filozofa który najlepiej pokazuje potrzeby naszych czasów, który wprawdzie żadnej kwestji rozwiązać nie zdołał, ale wszystkie, wiele ich jest, postawił najjaśniej i najdobitniej. Oto co on mówi: „Nasza umiejętność dzisiejsza w tej mierze niewiele ma światła, albo może i nic zgoła. O filozofowie, co obrót gwiazd mierzycie! czy myśliliżcież kiedy zastanowić się nad krążeniem myszy pod posadzką waszych mieszkań? Spojrzyjcie przynajmniej choć raz z uwagą na ruch jaszczurek, biegających po murze, przypatrzcie się mrówkom, które depczecie chodząc, i powiedzcie mi, co nowego odkryliśmy, czegośmy się dowiedzieli o historji królestwa zwierzęcego, które tak dawne, a może i dawniejsze jak plemię indyjsko-germańskie? Obywatele tego królestwa tuż obok mocarstw ludzkich odbywają swoje sejmy; ale między temi dwoma rodzajami państw niemasz znoszeń się najmniejszych: żaden wyraz, żaden znak nie przeszedł z mowy jednych do słownika drugich. Co większa, cała historja wasza nie jest niczem więcej jak wzmianką o drobnej cząstce dzie-

jów człowieka. Prawi ona nam ciągle o waszych pracach metafizycznych i politycznych; jakież światło, pytam, rzuciła na tajemnicę śmierci i wieczności, na stosunki nasze z Bogiem i przyrodzeniem? Wstyd mi kiedy widzę, że to co szumnie nazywacie historją powszechną, jest ledwo kroniką jakiegoś kawałka ziemi, jakiejś tam spróchniałej mieściny, podszytej pod imię klasyczne. Rzym i Rzym, Paryż i Londyn, zawsze a zawsze to samo: i cóż ten stary Rzym naprzykład wiedział o szczurach i jaszczurkach? Co Olimpjady albo Konsulaty mogą obchodzić naszych współobywateli niemych, wszędzie z nami i około nas żyjących? Jaką naukę moralną lub praktyczną ta historja poda Eskimom i Kamczadałom? Nasz woźnica, nasz odźwierny, nasz poczciwy nosiwoda, gdyby ją znał, byłżeby w czemkolwiek mędrszy, oświeceńszy, możniejszy?"

To kiedy w *Biesiadzie* znaleziono parę napomknień o tych rzeczach, ludzie uchodzący za pobożnych oburzyli się ze zgorszeniem, filozofowie wzruszali ramionami, a oto widzicie, że na drugiej półkuli ziemi idzie teraz o rozwiązanie tych samych zagadnień. Dodam jeszcze: każde nowe objawienie rozjaśniło w nowy sposób nasze stosunki ze światem wyższym i ze światem niższym, z jestestwami niewidzialnemi i z jestestwami odzianemi grubszem od naszego ciałem. Pismo Święte naprowadza już na domysł w tym względzie. Mamy w Biblji, że oślica Balaama zobaczyła ducha pierwej nim go sam prorok postrzegł. Jakżeby to zwierzę mogło widzieć ducha, gdyby nie miało w sobie czegoś duchowego? Bydlęta, jak wiadomo, pierwsze poznały Zbawiciela: była w tem pobudka dla chrześcijan do tkliwszego umiłowania zwierząt. I z kimże wolelibyśmy przestawać, dzielić się czuciem: z bydlętami, które w dzieciątku odgadły Chrystusa, czy z faryzeuszami, którzy mając sobie messjanizm za rzemiosło, gadając i pisząc całe życie o messjanizmie, nakoniec ukrzyżowali Messjasza?

Powiedziałem już dawniej z innego powodu, że rozum ludzki nie dokaże niczego w tym przedmiocie, że tylko sam chrystjanizm, sięgając jedną ręką dalej w niebo, a drugą zagłębiając w tajniki przyrodzenia, potrafi wydobyć najaw nasze związki z królestwem zwierząt i jestestw nieorganicznych. Chrystjanizm to, nie kto inny, i nie przez co innego jak przez miłość, doszedł także tajemnicy

niewolnictwa między ludźmi, a doszedłszy, znalazł sposób je zniszczyć. Filozofowie zgoła nie przyczynili się do tego. Katon przedawał niewolników zestarzałych, żeby nie mieć kłopotu ich grzebać; Cyceron, ten mądry, ten dobry Cyceron, który czytał i rozważał wszystkich filozofów greckich, powiada bez ogródek, że widok człowieka ukrzyżowanego jest zajmującem widowiskiem, i wyrzuca Werresowi, że pozbawił lud tej przyjemności, darując życie skazanemu na krzyż.

Widzicie tedy jak daleko trudniej ukochać niewolnika niżeli pisać o zniesieniu niewoli; a cóż dopiero za trudność tak zmiękczyć swoją duszę, żeby aż powziąć miłość ku niższemu rodzajowi stworzeń, i tak obudzić swojego ducha, żeby aż mógł czytać w ich wzroku, w ich poruszeniach ciała! Kto przeciął okrutne widowiska cyrku, gdzie się tyle krwi niewolników przelało? Nie filozof, ani jaki budownik systemów. Pisano wiele o tych widowiskach; bywali ludzie szlachetni, którzy powstawali na nie. Święty Augustyn, będąc jeszcze poganinem, potępiał je wymownie w kursie swoim publicznym, wykładanym w Rzymie; nie przestawano jednak bynajmniej mordować niewolników i gladjatorów. Nakoniec znalazł się jeden chrześcijanin, jeden mnich prosty, który ludowi, napełniającemu amfiteatr, wyrzuciwszy na oczy jego dzikie upodobanie, zszedł spokojnie pomiędzy rozjuszone zwierzęta i dał się rozszarpać: odtąd nie miano ochoty uczęszczać do amfiteatru. Otóż i wy, co chcecie odkryć tajemnicę życia zwierzęcego, miejcie odwagę wejść do lwiej jaskini, albo rzucić się między psy, rozdzierające jelenia, uratujcie go od śmierci, a potem utuliwszy z miłością, zaklnijcie w imię Boga żywego, żeby wam powiedział dlaczego jest zwierzęciem, zaco cierpi, skąd macie prawo dręczyć go i zabijać, jakie wreszcie powinny być właściwe stosunki między nim a człowiekiem? Jeżeli kto nie ma chęci robić podobnych doświadczeń na stworzeniach niższych, niechże przynajmniej ma skromność nie sądzić lekko tych, co o tem mówią.

Chrześcijaństwo rozwinęło najdalej uczucia moralne. Księgi chrześcijańskie pełne są przykładów głębokiej sympatji zwierząt ku ludziom pobożnym, i nawzajem. Czytam w brewjarzu, że gdy święty Antoni umarł na pustyni, lwy wykopały w nocy dla niego jamę, w której go towarzysz pochował. Kiedy święty Antoni Pa-

dewski mówił, zwierzęta nastawiały uszy, i ryby nawet przypływały do niego. Nie dziwujmy się temu! Ta siła co nasze zmysły i dusze otwiera na dźwięk głosu natchnionego, ten promień niewidomy co przechodzi przez słowo dotykalne, daje się czuć i duchom niższym. Ś. Franciszek Seraficki, ów wielki cudotwórca, z jakąż miłością mówił o zwierzętach: braciszkami, siostrzyczkami swemi ich nazywał! A was to gorszy, że uczyniono wzmiankę o duchu zwierząt.

Co byłoby dziwnego, gdyby pierwszy promyk światła w tej mierze zabłysnął pośród plemienia, które zostaje zawsze w ściślejszych, niż jakiekolwiek inne, związkach z przyrodzeniem; plemienia do którego należał Zaluziański, co pierwszy, na długi czas przed Linneuszem postrzegł dwupłciowość roślin; plemienia, które utworzyło epopeę zwierzęcą, przy której *Reinecke Fuchs* i *Roman du Renard* wyglądają tak blado; plemienia nakoniec, w którego piosnkach gminnych pełno gadających zwierząt i roślin?

Światło nowe może się tylko w tych przyjąć, którzy gotowi do jego przyjęcia. „Czas już — powiada Emerson — rozszerzyć i podwyższyć podstawę naszych wiadomości; ale żeby ją tak przemienić, trzeba nam samym przemienić się wewnętrznie: trzeba odrodzić się na nowo, trzeba odnowić nasze sumienie, biorąc w siebie nową miarkę tego ducha powszechnego, który rodzi i żywi wszystko."

Cóż to jest ta pewna miarka, pewna część nowego światła, nowego ognia? Jest to Słowo pewnej epoki.

Słowo prawdziwe, objawiające się w jakimkolwiek bądź z cudownych skutków swoich, jest promykiem Słowa Bożego, i to stanowi różnicę między Słowem cząstkowem, a Słowem Bożem. Powód jaki mię skłania, cel dla jakiego przedsiębiorę mówić tu o Słowie Bożem, uwalnia mnie wewnętrznie od winy, że śmiem w doktrynę i wyrazy puszczać tajemnice, których trzymanie w duchu daje człowiekowi siłę, a rozrzucanie nazewnątrz staje się dla niego największą szkodą. Ale to nasze powołanie, nasz obowiązek, nasze posłannictwo, nasze życie, opowiadać Słowo Boże światu, i dlatego wolno nam użyć mowy światowej.

Zastanawiając się nad wewnętrzną pracą naszego ducha, moglibyśmy już przyjść do niejakiego poznania Słowa Bożego; bo

każdy z nas ma w sobie iskrę Bożą, ma swoje Słowo Boże, i wszystkie nasze dzieła są Słowami cząstkowemi. Co to jest ten błysk, w którym artysta pojmuje odrazu cały zarys, cały pomysł swojego dzieła? Błysk ten jest tego dzieła Słowem. Pozostaje napisać, wyrobić, pokazać w ziemi to światło Boże; ale trudność już uprzątniona, rzecz już się stworzyła w jednej chwili. Chwila kiedy Archimedes zadrgał z radości, że znalazł rozwiązanie jednego z wielkich zagadnień matematycznych, była Słowem. Chwila kiedy Newton zawołał: Odkryłem tajemnicę ciążenia, była Słowem. Chwila kiedy Napoleon po zwycięstwie nad Austrjakami pod Arcole, rzekł: Jestem człowiekiem Francji! była chwilą, w której uczuł, że był Słowem Francji. Do chwil tych twórczych przychodzi się wielorako, a zawsze przez boleść, przez boleść umysłową, jeśli duch wytęża się nad jakiem zadaniem scientyficznem; przez ucisk serca, jeśli człowiek w jakiem niebezpieczeństwie nagłem, w jakiem położeniu trudnem wysila swego ducha i postrzega drogę ratunku. Po boleści więc następuje chwila twórcza, potem wykonanie, i rzecz staje.

Owóż, bardzo mało jest ludzi, którzyby zrealizowali nawet Słowo cząstkowe. Jedni szukają prawdy na drodze namiętności albo pychy, i im dalej postępują, tem bardziej zbaczają od celu; drudzy przez bojaźń, żeby nie zbłądzić, nie śmieją ruszyć z miejsca; niewielu idzie tą drogą prostą, najkrótszą ale razem i najtrudniejszą, którą ewangelja ciasną bramą nazywa. Z pomiędzy tych jeszcze niektórzy, doszedłszy już do osiągnienia prawdy, tracą ją nie stosując zaraz. Tylko człowiek zupełny może w pełności zrealizować Słowo, bądź artystyczne, bądź polityczne, bądź swoje osobiste, bądź narodowe.

Glob ziemski, wyszły z łona Boga, ma także swoje Słowo. „Na początku było Słowo“ mówi ś. Jan. Wszystkie Słowa cząstkowe są wykładem i dopełnieniem tego Słowa: ziemia cała, ludzkość cała dąży bezustanku do zrealizowania jego.

Ale żeby je świat mógł zrealizować, potrzeba było człowieka, któryby je naprzód zrealizował w sobie samym, człowieka, któryby przez to stał się naczyniem, narzędziem, organem Słowa. Ten człowiek, przynosząc ludzkości w duchu swoim największą pomoc, postawił razem w osobie swojej największą trudność. Osobistość,

będąca zarodem całej epoki przyszłej, rozwijając się, musi koniecznie poruszać wszystkie żywioły epoki przeszłej. Osobistość powszechna musi koniecznie razić wszystkie osobistości samolubne. Taka jest natura pychy człowieczej! Zamiast czerpać życie i siłę z jednostki najpełniejszej potęgi i światła, wolą ludzie jednoczyć się w nieruchomości opornej, i mówią sobie: Połączmy się my wszyscy ciemni, a stworzymy światło; połączmy się my wszyscy obumarli i nędzni, a wydamy życie i potęgę; połączmy się my wszyscy nie umiejący liczyć, a wyjdzie z nas wielki matematyk.

Tak to mówią i tuszą sobie filozofowie; ale Bóg postanowił inaczej. Bóg z miłosierdzia swego zsyła ludzkości w epokach stanowczych mężów, którzy jej służą za wzór i przykład, a tym sposobem ułatwiają doskonalenie się i postęp.

Ten co *na początku* działał jako duch, a potem, wziąwszy na się ciało, ukazał się jako Słowo żywe i czynne, Jezus Chrystus, jest Słowem całego globu, jest wiecznym dla niego wzorem. I bardzo wielki to błąd wmawiać ludziom, że Chrystus Pan zrobił wszystko dla nich, że pozostaje tylko cześć mu oddawać. Nie, wszyscy ludzie, wszystkie duchy, prędzej czy później, za tysiąc czy za wiele tysięcy lat, muszą stać się w istocie i w czynie, w duchu i w ciele podobnymi Chrystusowi. Nie dla pomnożenia to tradycyj poetycznych Jezus Chrystus zmartwychpowstał, przekonał dotykalnie uczniów, że jest byt po śmierci, że ten kto żył w prawdzie i dla prawdy ma moc złożyć i wziąć napowrót swoje ciało, może dać się zagrzebać w ziemi i wstąpić w krainę niewidzialną, stać się rzeczywiście Bogiem stworzenia, stać się Bogiem-Człowiekiem.

Życie i osoba Chrystusa są zagadką położoną ludzkości, i wzorem wiekuistym, który nigdy nie da spoczynku sumieniom człowieczym. Nie w dociekaniu stosunków między Bogiem Ojcem a Bogiem Synem, nie w rozprawach o Bóstwie Zbawiciela, wyrabianie się, doskonalenie się nasze. Pytacie się ciągle: Chrystus Pan jestże Bogiem, czy tylko człowiekiem? To zupełnie tak, jak gdyby iskra dopytywała się u słońca: Słońce, powiedz mi, jesteśże ty istotnie ogniem nieśmiertelnym i niebieskim, czy tylko iskrą mnie podobną? No dobrze, słońce jest iskrą; i cóż tobie po tej wiadomości, iskierko? Do czego to cię prowadzi, w czem cię podwyższa? Gdybyś, zamiast dobadywania się tajemnic światła słonecznego, sta-

rała się rozżarzyć twoje ognisko, stać się pochodnią, kulą płomienistą, gwiazdą gorejącą, miałabyś prawo stanąć przed obliczem słońca i zażądać, aby ci odkryło tajemnicę swego jestestwa.

Bóg czuwa nad światem i zakreślił człowiekowi drogę, z której on bez szkody i cierpienia zboczyć nie może. Ma człowiek wolę skrócić swą podróż albo ją przedłużyć: wolno mu, jeśli się podoba, całe wieki błądzić po manowcach; ale narobiwszy kręgów, musi wrócić na punkt, z którego opuścił drogę prawdziwą.

Bóg przez mężów świątobliwych i mądrych daje człowiekowi poczucie prawdy, a zsyła mężów mocnych dla zrealizowania jej na ziemi. Po mędrcach i wieszczach starożytnej Grecji przyszedł Aleksander Wielki, człowiek najzupełniejszy jakiego Grecja wydała. Bez Aleksandra Wielkiego, mitologja zostałaby bajką: on ją wprowadził w rzeczywistość. Piękny jak Apollo, wędrowny jak Bachus, silny jak Herkules, jak Mars zwycięski, połączył w sobie przymioty wszystkich bożków pogańskich, i przestąpił zakres Grecji starożytnej: mniemał się istotnie być czemś wyższem nad człowieka, uważał się za Boga. Bynajmniej nie przez rachubę polityczną kazał siebie nazywać synem Jowisza; zdziwił się szczerze, kiedy zobaczył, że mu krew płynęła z rany.

Juljusz Cezar podobnie zrealizował pogaństwo rzymskie, szlachetniejsze i wyższe od greckiego. Olimp rzymski składał się z bogów senatorskich i bogów plebejskich: *Dei consentes et Dei minores*. Byli to bogowie mocni, mądrzy, potężni, zdobywczy: Juljusz Cezar posiadał wszystkie te przymioty, i także przeszedł zakres pogaństwa; miał w sobie coś także, czego sam nie pojmował. „Alboż to doprawdy zdaje się Rzymianom — mówił — że ja taki człowiek jak i oni?“ Cezar płakał nad śmiercią Pompejusza: płakać po nieprzyjacielu, była to rzecz nieznana bogom rzymskim.

Z łona katolicyzmu wyszedł Napoleon, człowiek najzupełniejszy epoki przeszłej, człowiek, który zrealizował ją całkowicie w swojej osobie, i wzniósł się nad nią swoim genjuszem. Dlatego tak często mówiliśmy o nim. Nie jest on tylko waszym, Francuzi; należy on równie do Włochów, do Polaków, do Rosjan: jest człowiekiem całego globu, człowiekiem najzupełniejszym.

Mówiąc o słowie ustnem, powiedziałem, że słowo Napoleona przypominało dar języków. Dziwny ten człowiek znajdował czasem

sposób, jakim niegdyś apostołowie przemawiali. Piszą Niemcy, że w jednej z bitew, które zakończyły się poddaniem się Ulmu, widząc Bawarczyków zachwianych, przybiegł do nich, i kilkoma wyrazami tak ich zapalił, *(Er hat sie angefeuert*, powiada sam historyk niemiecki), że zaraz poszli naprzód i przewrócili nieprzyjaciela. I jakże to on przemówił, jakim językiem odezwał się do Bawarczyków nie umiejących po francusku? Ach, oto wydobył ze swego wnętrza, z tego przybytku, gdzie na ołtarzu płonął święty ogień ducha francuskiego, wydobył, chciejcie temu wierzyć, ową siłę tajemniczą, która równie jak Polaków porywała i Bawarczyków i Westfalczyków i Włochów, i wszystkich ludzi zdolnych zapalić się tą iskrą.

Napoleon tak był przejęty wiarą w świętość swego charakteru jako człowieka przeznaczenia, że na wyspie Świętej Heleny, kiedy nie było księdza, podejmował się spowiadać swoich towarzyszy, i czuł moc dawania im rozgrzeszeń. Świadczy to świeżo ogłoszone dzieło przez Bauterna: *Opinions religieuses de Napoléon.* Wznosił się on wtedy ponad katolicyzm dzisiejszy.

Ale żaden z tych mężów potężnych nie był tym człowiekiem zupełnym, jakiego wzór co do świętości, postawiony przez Chrystusa, wszyscy ludzie, wszystkie duchy muszą spełnić przy końcu naszego globu. Każdy z nich dał ściągnąć się z drogi, uległ pokusom: Aleksander nałogom i chuciom ciała, Cezar skłonnościom serca, Napoleon błędom umysłu. Napoleon wszedł w układy z przeszłością, zamiast iść w przyszłość nieznaną za tem bóstwem niewidomem, które niczem innem nie było, jak duchem chrześcijaństwa i duchem narodu francuskiego, chciał uprawnić swoje stanowisko na ziemi i upadł.

W rzeczach tak niezmiernej wagi, w rzeczach najmocniej obchodzących umiejętność, religją, byt państw, i byt pojedynczego człowieka, nikt nie potrafi — śmiemy to wyrzec — powiedzieć cokolwiek przydatnego, nie wyszedłszy poza obręb epoki obecnej. Słowo cząstkowe już dziś nie wystarcza; słowa cząstkowe spełniwszy część Słowa Chrystusowego dogorewają w naszych oczach. Budownictwo chrześcijańskie, malarstwo chrześcijańskie, rycerstwo chrześcijańskie, wszystko to poupadało: nikt nie zdoła ich podnieść. Każda epoka ma udzieloną sobie pewną miarę ciepła i światła;

zasób ten stanowi żywot epoki, i jaki był na czasy upłynione już się wyczerpał: potrzeba nowego zasiłku dla ludzkości, potrzeba nowego datku na wysnucie epoki nowej. Nie łudźmy się tem mniemaniem, że ludzkości nie pozostaje nic więcej, tylko postępować bezpiecznie i spokojnie powolnym krokiem. Nie! W krainie życia wszystko posuwa się przez wstrząśnienia. Człowiek nie staje się pomału i nieznacznie z dziecka starcem: są w rozwijaniu się i schyłku jego ciała chwile przesileń. Jest chwila kiedy wychodzi na młodzieńca, jest druga kiedy poczyna być mężem, jest inna kiedy zapada w starość.

Ale jeżeli ciężko otrzymać Słowo, promień Słowa Bożego, jeżeli w niewielu tylko epokach dano światu widzieć organa tego Słowa, ciężko też i je przyjąć. Nie przystąpi ono do ludzi zagrzęzłych w przeszłości, nie wniknie w umysł zaprzątniony światłem ubiegłem, nie napełni serca oddanego mamonie; bo i jakże słońce poranne może zajrzeć w okno otwarte na zachód, jak ogień z nieba może spaść w naczynie obrócone do ziemi?

Dlatego to przeszłość stawi opór Słowu, i dlategoż gotowa zawsze do walki przeciw niemu. W tem znaczeniu ewangelja mówi: „Żaden nie przyszywa łaty sukna nowego do szaty starej. I żaden nie leje wina nowego w statki stare.“ Pierwszem usposobieniem się do przyjęcia Słowa, usposobieniem się do którego Fourier wzywał swych uczniów, które Emerson zaleca swoim, jest zrobić szlachetne wysilenie i otrząść się, jak z kurzu, ze wszystkich więzów, trzymających nas w świecie umarłym, w świecie książkowym, w świecie systematycznym, a otworzoną duszą odetchnąć choć raz swobodnie, i rozpalić ogień nasz wewnętrzny, abyśmy mogli schwycić, zachować i żywić ten ton Boży, który karmi się tylko płomieniem; kto zaś iskry tego ognia w sobie nie ma, próżno będzie jej szukał i wołał.

Tak jest trudno przyjąć epokę nową, że Opatrzność straszliwym dociskiem gotuje narody i ludzi, którym przeznaczono uznać ją naprzód. Mógłże Chrystus Pan przynieść swoje tchnienie pośród Rzymian? Możemyż go sobie wyobrazić kołatającego do drzwi Mecenasa albo Horacego? Jakże byliby go pojęli ci ludzie roztargnieni, pyszni, i okrutni? Czy podobna mu było rozmawiać z sofistami greckimi? Dlatego pierwsi co go uznali, wyszli z ludu,

który już nie miał ani swoich królów, ani swoich instytucyj, ani bytu politycznego, który gwałtem był oderwany od ziemi, od wszystkiego co ziemskie, a co człowiekowi tak ciężko porzucić dobrowolnie. Dlatego także i teraz do uznania epoki nowej zostało wybrane plemię słowiańskie, które prawie nic nie ma na ziemi, którego wszystkie żądze i nadzieje w Bogu; a szczep tego plemienia, będący wśród Słowiańszczyzny tem, czem Francja między ludami romańskiemi, szczep polski, wiecznie niepokojący i wiecznie niepokojony, był rozszarpany, wymazany z karty europejskiej, rzucony na tułactwo po świecie. Nieraz już jawił się on wam, nie w postaci systemów i książek, ale w postaci legij wojennych, zastępów posiłkowych, nakoniec przybywa do was w postaci całego narodu, który wygnany z własnego kraju, szukając rozwiązania zagadki swego bytu, zmierza do punktu środkowego wszystkich zagadnień.

Tułacze polscy, ogołoceni ze wszystkiego na ziemi, są pierwsi wezwani do przyjęcia prawdy, która ma opanować ziemię. Bóg zawsze zbiera swoje zastępy z żebraków i nieumiejętnych: to jego prawidło. Gdyby książki były środkiem do poznania Messjasza, faryzeusze poznaliby go najpierwej; tymczasem najzdolniejsi go poznać znajdowali się pomiędzy ubogimi na ziemi i w duchu. Ale powiadam raz jeszcze, poznanie to, chwila tego poznania, wynagradza wszystkie trudy i cierpienia życia ziemskiego. Chwila ta daje już nam uczuć byt nasz przyszły, którego nigdy definicje i rozprawy nie dadzą nam pojąć. Chwila ta napełnia duchem mocy i ofiary.

I jakże! czyliżbym ja mógł kiedykolwiek tak mówić jak teraz mówię, czylibym miał moc wystawiać się na wszystkie pociski obrażonej dumy ludzi systemowych, gdybym nie czuł się opartym na sile nieludzkiej? Nie jestem doktorem, nie moja rzecz wykładać wam tajemnice nowego objawienia; jestem tylko jedną z iskier rzuconych przez ognisko, i kto zechce śledzić skąd wyszła, może łatwiej dojdzie do *Tego*, który jest drogą, żywotem i prawdą.

To wam powiedzieć było mojem powołaniem. Proszę Boga, aby dał moim słowom choć w cząstce ten ogień, tę moc, któreby was doprowadziły do źródła całego ognia, całej mocy.

Radość jakiej doświadczyłem, i jaka nigdy nie będzie mi odjęta, radość jaką uczułem stąd, żem został powołany wam to powiedzieć, będzie radością całego mego żywota, i wszystkich moich żywotów; a jako nie mówię, opierając się na powadze żadnej książki, jako nie wykładam wam żadnego systemu, staję przed wami w obliczu Nieba żywym świadkiem nowego objawienia, i śmiem tych wszystkich z pomiędzy Polaków i Francuzów tu obecnych, którzy je znają, wezwać aby mi odpowiedzieli żywym głosem: Czy jest to objawienie, tak lub nie?

(Wezwani powstają, i podnosząc ręce, odpowiadają: Tak!)

Ci z pomiędzy Polaków i Francuzów, którzy widzieli to objawienie wcielone, którzy widzieli i poznali, że ich Mistrz jest na ziemi, niech mi odpowiedzą: Tak czy nie?

(Wezwani powstają, i podnosząc ręce, odpowiadają: Tak!)

A teraz, bracia moi, służba moja przed Bogiem i przed wami spełniona. Oby ta chwila wlała w was całą tę radość, i wszystkie te nieograniczone nadzieje, jakich jestem pełen!

LEKCJA XI

Wtorek, 23 kwietnia 1844

Obejrzenie się na cały ciąg wykładu. — Ostatnie słowo Słowian. — Kiedy idea przychodzi do realizacji, zawsze musi zjawić się *ideał*. — Wyrobem wieków chrześcijaństwa jest *ogień święty*. — Ogień ten ześrodkowany w jednym człowieku oświeci glob cały.

Będąc powołany dać wam poznać ducha plemienia obcego, plemienia, które na ostatku przychodzi wziąć udział w życiu europejskiem, znalazłem w samem położeniu mojem i plan i środki dopełnienia mego obowiązku.

Położenie moje, jako tłumacza ducha nowego narodów nieznanych, chociaż proste i prawdziwe, mogło zdawać się nadzwyczajnem, trudnem do wybrnięcia, z powodu, że musiałem przemawiać wobec mniemań i interesów, ciągnących życie z przeszłości.

Dla dopięcia mojego celu, dla obeznania was z Słowiańszczyzną, żaden ze zwykłych sposobów nie mógł mi służyć, potrzeba było no-

wego. Żeby powziąć wyobrażenie o Niemczech, dosyć jest czytać dzieła niemieckie: tam wszystko pierwej wchodzi w książki, niżeli w czyny. Żeby poznać Hiszpanją albo Włochy, trzeba je zwiedzić, przypatrzyć się im na miejscu. Dla wprowadzenia mieszkańca innego kraju w tajemnice życia duchowego Słowian, to wszystko nie wystarcza. Znałem cudzoziemców, którzy przebiegłszy nasze strony, wracali zdziwieni, że nie widzieli ani słyszeli nic z tego, o co im szło najbardziej. Książek słowiańskich, głośnych za granicą, tłumaczonych nawet na języki obce, w krajach ich własnych nie zobaczysz nigdzie: wszyscy udają jak gdyby nie wiedzieli o nich. Imion historycznych, imion wojowników sławnych, pisarzy patrjotycznych, w ojczyźnie ich nie usłyszysz wcale: każdy wystrzega się je wspomnieć. Tych burz politycznych, co tak często podnoszą się w łonie Północy, burz, z których ostatnia tylko co nie zatrzęsła Europą, na gruncie słowiańskim darmobyś szukał przyczyn i śladu. Nigdy tam nie brzmi głos namiętności politycznej, nigdy nie toczy się rozmowa o sprawach i stosunkach narodów. Nazajutrz po rewolucji znowu tak cicho jak było dniem przed jej wybuchem. Podróżny, ciekawy oglądać pola bitew pod Grochowem albo Ostrołęką, nie łatwoby znalazł takiego, ktoby przyznał się, że wie gdzie zaszły. Rzecz dziwniejsza jeszcze: same granice, same jeograficzne i polityczne podziały, mają tam zarysy tak zmienne, tak blade, że obcy w żaden sposób schwycić ich nie zdoła. Księstwa, rzeczypospolite, królestwa oznaczone na karcie Europy, nie znajdują się na ziemi słowiańskiej. Nikt nie odważy się pokazać granicy oddzielającej Litwę od Rosji, Polskę od Litwy, Czechy od Austrji. Cudzoziemiec przybyły w tamte kraje jest zawsze w takiem położeniu jak parlamentarz wpuszczony do twierdzy: to tylko zobaczy, to usłyszy, tego się dowie, co danem hasłem dozwolone.

Owóż hasło dla Słowiańszczyzny jest: milczeć. Rządy i ludy, równie interesowane ściśle je zachowywać, tają zręcznie swoje obawy i swoje nadzieje. Jedne i drugie wszakże działają ciągle: rządy na gabinety, ludy na masy narodowe państw innych.

Z pomiędzy ludów słowiańskich jeden szczególniej pozyskał sobie uczucia Europy, a nadewszystko Francji. Przezeń to Francja ma otworzony środek działania na Słowiańszczyznę. Nie za naszego życia, dawniej już, nazwano Polskę Francją Północy; nie my za-

wiązaliśmy sympatją łączącą was z Polakami, sympatją przez wasze zgromadzenia polityczne uznaną za narodową: ale do nas należy wytłumaczyć wam tajemnice tej sympatji, tajemnice których wielkość i głębokość odpowiada rozległości Słowiańszczyzny, i wielkości przeznaczenia tak jej jako i Francji.

Sympatja ta była polityczną, dziś staje się społeczeńską i wiąże się z interesami religijnemi. Podnieśliśmy brzeżek zasłony, pokrywającej tajemnice skłonności wzajemnych między Francją i Polską.

Kto także przedtem potrafił wytłumaczyć drugą tajemnicę, tajemnicę skłonności między Anglją a Rosją, Rosją nowożytną, zsymbolizowaną w dynastji teraźniejszej? Gdyby chciano zgłębić historją utworzenia się obecnego porządku rzeczy w Rosji i stosunków jej z Anglją [1], nie próbowanoby nigdy zbliżać Francji do Anglji, widzianoby niepodobieństwo tego przymierza. Anglja to przykładała się najbardziej do zrobienia Rosji taką, jaką jest dzisiaj, a jaka w historji bierze początek od wstąpienia na tron rodziny Romanow. Przytaczaliśmy słowa polskich ludzi stanu, którzy przewidywali i przepowiadali następstwa tego związku angielsko-rosyjskiego, którego ostatnim owocem było wzięcie Paryża i uśmierzenie Europy. Co do Polski, ta na fatalnych polach Waterloo podpisała ostatni traktat swój z wami, i tym sposobem historją swą nowożytną zespoliła z historją Francji.

Pozostawało odkryć, jakim porządkiem kwestja zdająca się być zrazu tylko narodową, miała przybrać później charakter religijnej i społeczeńskiej.

Okazaliśmy, że Polska obejmuje i jednoczy w sobie wszystkie kwestje słowiańskie, a nawet i kwestje innych narodowości, któreby powinny mocno obchodzić Europę.

Ten ogrom, ten ogół interesów, co we Francji reprezentują różne partje polityczne, różne szkoły filozoficzne, w Polsce wyobrażany jest przez gałęzie, klasy i plemiona rozmaitych jej ludów.

Mówiłem wam już, że strony nasze są głównem siedliskiem najstarszego i najbardziej nieodgadnionego z pomiędzy wszystkich, narodu izraelskiego. Jako Polak i współziomek braci moich, Izraelitów, przez sam ten związek narodów tak obcych sobie napozór,

---

[1] Patrz wykład pierwszoletni, 1841.

a ściśle połączonych tajemnem przeznaczeniem, w przedmiocie mojego wykładu nie mogłem na żaden sposób rozminąć się z Messjanizmem. Dzieła i dzienniki cudzoziemskie niemieckie, angielskie, mówią teraz wiele o Żydach, roztrząsając razem zadania dotyczące Słowian naddunajskich, polskich i rosyjskich. W ostatnich numerach jednego z perjodycznych pism niemieckich czytałem artykuły statysty angielskiego [1] poświęcone kwestjom, żydowskiej i słowiańskiej.

Jak chcieć rozwiązać tak ważne zadania, nie odwołując się do ducha narodów, o które rzecz idzie?

Owóż, duch słowiański dotąd nie dawał się widzieć i schwycić nigdzie jak tylko w literaturze. Literatura ta jest zupełnie nowożytną, powstałą za naszych czasów. Przypomnę tu wam ten dziwny i jedyny traf, że prawdziwa literatura słowiańska, literatura narodowa, samoistna, poczyna się właśnie od chwil, kiedy kończy się polityczna historja Polski, Czech i Rusi starej. Na ostatnich kartach dziejów politycznych tych narodów zjawiają się pierwsze strofy ich poezyj natchnionych.

Szykując płody ducha słowiańskiego, podzieliłem je na trzy oddziały. Pierwszy obejmuje powieści i pieśni gminne. Tę część literatury, najrozleglejszą i najdawniejszą z pomiędzy wszystkich jakie są w Europie, nazwałem *kopalną* albo *tajną;* bo spoczywa ona całkiem w duchu ludu, i niekiedy tylko występuje potrochu na powierzchnią publiczną. Do drugiego należą, z małym może wyjątkiem, wszystkie książki słowiańskie. Te stanowią, jak znakomity krytyk Mochnacki nazywa, literaturę *nanośną:* są tłumaczeniem z języków obcych, albo napływem ducha obcego. W trzecim nakoniec mamy literaturę nowoczesną, którą nazwaliśmy *messjaniczną.* Pochodząc ona w linji prostej od literatury *tajnej*, ma tylko to podobieństwo z płodami ducha europejskiego, że jest publiczną i pisaną, zresztą pod każdym innym względem różni się od nich zupełnie.

Co ją naprzód odróżnia od literatur Zachodu, to to, że jeszcze nie stała się specjalnością. Kiedy w zachodniej Europie wszystko idzie w podział i rozdrobnienie, w Słowiańszczyźnie przeciwnie wszystko dąży do skupienia się i ześrodkowania. U nas każde znakomite dzieło literackie jest razem dziełem religijnem i politycz-

[1] N. Urquhart.

nem. Niejeden płód pióra słowiańskiego może uchodzić równie za poemat i pamflet, za kazanie i za artykuł dziennikarski. Nie wiem do jakiej ze swoich kategoryj retorowie ten rodzaj pism policzą; nie dziwię się, że chcą je pomijać w kursach literatury właściwie tak zwanej, ponieważ są wielostronne i nie dają się klasyfikować; ale to wiem, że wszsytkie wielkie wyroby ducha ludzkiego miały taki sam charakter. Ludzie i epoki, z których wychodziły literatury, należą do rzędu ludzi i epok najmniej literackich. Jakże to nazwać co nam pozostało po Homerydach? Zajmowaliż się oni literaturą we właściwem znaczeniu tego wyrazu? U Greków, dzieci, filozofowie, ludzie stanu, słuchali i uczyli się pieśni Rapsodów, jak dziś u nas uczą się katechizmu, teologji, prawa, jeografji. Wszystko to znajdowało się w Homerze. W jednem zajściu narodów sąsiednich o granicę ich krajów rozsądzono spór, odwołując się do powagi wierszów Homera. I cóż w tem za podobieństwo, pytam, do literatury właściwie tak zwanej?

Jednem z największych, z najpiękniejszych dzieł wschodnich, nawet pod względem formy i stylu, jest Koran. Księga ta zajmuje teraz literatów europejskich; ale Mahomet byłże takim jak oni literatem?

Czy trubadurów i minnesingerów nie wprawiłoby to w zdumienie, gdyby zobaczyli, że dzisiaj ich utwory są w ręku uczonych?

Samemu Szekspirowi ani przychodziło na myśl uważać siebie za wielkiego literata. Obok literatów ówczesnych był on zupełnie w takiem położeniu, w jakiem dzisiaj poeci piszący dla cyrku olimpijskiego są obok uznanych autorów dramatycznych.

To, co powszechnie rozumie się teraz przez literaturę, wzięło początek dopiero w tak zwanych czasach odrodzenia się sztuk i nauk. Erudyci, a nadewszystko erudyci holenderscy i niemieccy, wyłączeni z pomiędzy świata żyjącego rzeczywiście i czynnie, stracili nakoniec i pojęcie takiego życia. Ślęczenie nad łaciną zdało się im być rzeczą najwyższą dla człowieczeństwa: nazwali to *studia humaniora*. Ludzkość wedle nich była tylko w książkach klasycznych, i taki sposób widzenia rzeczy do dziś dnia przemaga w szkolnictwie.

Za Ludwika XIV. byli we Francji ludzie bardzo uczeni, erudyci pierwszego rzędu, którzy mieli najmocniejsze przekonanie, że Boileau i Racine nie wchodzili w zakres literatury właściwej, nie za-

sługiwali istotnie na imię literatów. Tytułu tego nie otrzymują i Béranger, Fourier, Leroux, George Sand. Zacieśniono literaturę aż do wyobrażenia odpychającego wszystko, co ma w sobie jakikolwiek zaród życia rzeczywistego. Wolno nauczycielom szkolnym trzymać się tego pojęcia; ale spodziewam się, że wy, Panowie, nie zgadzacie się na to.

Literatura, przeznaczona zajmować publiczność myślącą poważnie, powinna być tem, czem była w wielkich epokach twórczych; powinna być razem religją i polityką, siłą i czynem. Czy macie taką literaturę u siebie? Tego nie wiem. Co mi wiadomo, to, że ona jest, żyje i działa u Słowian. Tam to też można znaleźć wskazówkę, jakim sposobem powstawały największe i jedynie prawdziwe literackie dzieła: [1] poemata Homera, Nibelungi, Koran i nawet karty Ewangelji.

Zarody takiej literatury złożone w duchu ludów słowiańskich, pracą życia wewnętrznego przez wiele tysięcy lat uprawiane i dojrzałe, ukazują się w końcu najaw. W tej to myśli powiedział Kollar, że wszystkie narody wyrzekły już swoje słowa, teraz na Słowian kolej wyrzec swoje.

Wyrzeczenie to, czyli raczej wyjawienie, musi zawsze być w duchu i w ciele, co oboje razem stanowi czyn. Ludy nie objawiają się inaczej jak czynem. Ludy słowiańskie były z wami w związkach duchownych przez czyny religijne, jako członki jednego Kościoła; są dotąd w stosunkach zewnętrznych, materjalnych, jako napastnicy albo napastowani, jako nieprzyjaciele albo sprzymierzeńcy. Odłamek tego rodu znalazł się nakoniec śród was, aby w ciele objawił słowo zapowiedziane przez Kollara. Słowo to zwiastowało razem epokę nową.

Przeszłość nie ma nic na czemby Słowianie mogli opierać swoje nadzieje: jest to powszechne przekonanie Rosjan, Polaków i Czechów. Niepodobna im dać się zrozumieć ludziom przeszłości; musiałem tedy skreślić wam cechy, znamionujące tych ludzi, tych naturalnych nieprzyjaciół naszych, a obok wskazać, jak poznawać ludzi przyszłości, ludzi, którzy są przeznaczeni wejść ze Słowianami w spółkę myśli, słów i czynów.

---

[1] Patrz w wykładzie pierwszoletnim o poezjach serbskich.

Każda epoka nowa wywołuje na scenę świata plemię nowe, albo raczej daje poznać śród ludzkości starej ludzi, oddawna przygotowanych do utworzenia ludu nowego.

Francja, która rozpoczęła epokę królewskości i postawiła w sobie wzór królestw chrześcijańskich, podczas tworzenia się jej monarchji nie była społeczeństwem ani Gallów, ani Franków, ani Germanów, ani Rzymian: była zbiorowiskiem ludzi, należących do tych wszystkich rodów, a ci przyjąwszy symbol nowy, zdolny natchnąć ich życiem nowem, ujrzeli się być zlani w jeden naród.

Epoka teraźniejsza gotuje zlew daleko ogromniejszy i bardziej ogólny, zlew w jedno nie garstek ludności, ale wielu narodów, przeznaczonych utworzyć jedną narodowość, której jeszcze i wyobrażenia niemasz.

Trzeba więc było nam podać wam znaki, po jakichbyście mogli poznawać ludzi tej generacji nowej.

Epoka nowa ma także przeznaczenie postawić ludziom *ideał* nowy i całkowity, ideał, któryby zawierał w sobie całą przeszłość, i mógł być wzorem przyszłości.

Ród słowiański, a szczególniej naród polski, pierwszy został gwałtem przywiedziony do poznania, że religja, jak ją praktykowano w pierwotnych czasach Kościoła i później w wiekach średnich, nie wystarcza już wymaganiom prawym człowieka dzisiejszego; a został przywiedziony do tego następną koleją.

Słowianie przyjęli religją chrześcijańską masami; byli przez długie uciski przygotowani do jej przyjęcia. Cały ten lud znał miłość, uległość, wytrwanie; cały został odrazu mnichem-żebraczym: wszystkie jednak te cnoty nie uchroniły go ani od najazdów obcych, ani od jarzma domowego. Zdobywcy barbarzyńscy i władcy swoi właśni, korzystali z tych cnót mniszych, a odmawiali ludowi tego co dawano mnichom: poszanowania i jałmużny. Niemasz rady dla ludu, musi albo ginąć, albo pojąć i pełnić swoją religją inaczej, jak dotąd pojmował i pełnił; niedość, że znalazł w niej siłę znoszenia niesprawiedliwości, musi znaleźć moc, aby obronił sprawiedliwość.

Barbarzyńcy, gnębiąc Słowian, dopytywali się kto możniejszy, Jezus Chrystus, czy ich bogi?

Francja była niegdyś wystawiona na tę samą próbę. Postrzeżono się podczas najścia Normandów, że było za wiele klasztorów,

a za mało twierdz. Francuzi chwycili się do broni i dali opór: poznali oni, że chrześcijaństwo nie wyłącza prawego użycia siły; Słowianie opuścili ręce, i cierpieli.

Pokora i poddanie się ich nie rozbrajały srogości Mongołów. Straszliwy ten lud od czasu do czasu spadał na Słowian, ogniem i mieczem doświadczać ich wiary. Podobny Bogu Jakóba, nie daje się on niczem zmiękczyć, jak tylko przemocą, nie pobłogosławi nikomu, jak tylko zwycięzcy. Dla słabości nie ma on miłosierdzia, — słabość u niego zbrodnią.

Dżengis-Chan mówił narodom, błagającym go o litość: „Gdybyście nie byli grzesznikami, Bóg nie opuściłby was, i nie zesłałby nas na karki wasze".

Turcy podobnie odzywali się do Polaków. Wieloletnia wojna Turków z Polakami była walką o przewagę Chrystusa albo Mahometa. W tem to znaczeniu Jan III., złamawszy potęgę ottomańską pod Wiedniem, rzekł: „Teraz już Turcy nie będą nam mówili: pokażcie swojego Boga".

Dlatego, że chrześcijanie nie mogli pokazać swojego Boga w całej jego potędze i mocy, potrzeba było na nich Turków i Tatarów, którzy przyszli ukarać to niedołęstwo duchowe.

Po Turkach i Mongołach rządy, mianujące się być chrześcijańskiemi, wzięły Słowian na doświadczenie w inny sposób. Austrja mówi im: „Bądźcie chrześcijanami takimi jak dawniej, módlcie się sobie, siedźcie po klasztorach, nie wdawajcie się w próżny rozruch świata, a będziecie mieli byt dobry, będziecie się tuczyli spokojnie". Część Czechów dała się tem ułowić, ale postrzegłszy się później, że ten byt dobry umarzał ich życie duchowe, poczuła wstręt ku niemu i poczyna wracać do ruchu.

Z drugiej strony rząd rosyjski, otwartszy od austrjackiego, odzywa się poprostu do ofiar swojego ucisku, i powtarza im, coście słyszeli, kiedym przytaczał katechizm cesarza Rosji: „Dajcie się krzyżować — powiada — naśladujcie w cierpliwości i pokorze Zbawiciela. Dajcie się krzyżować bez oporu, a pozyskacie zbawienie dla dusz waszych".

I są tacy, którzy w dobrej wierze dają się krzyżować, przedłużają do dziś dnia życie wieków średnich; ale żadna moc ludzka nie zdoła cały wielki lud zmusić, aby szedł tą drogą, przyjął tę naukę.

Ile było zarodu Bożego, ile było chrześcijaństwa w życiu historycznem Słowiańszczyzny i Polski, oburzyło się przeciw tej nauce tchnącej śmiercią, wzniosło się wyżej nad ten symbol; bo to wszystko przeczuwa, przewiduje i głosi chrystjanizm tryumfujący.

Nie teorje zatem, nie książki, nie rozprawiania, ale napady, rzezie, łańcuchy, wygnania, obudziły i popchnęły dalej ducha ludów słowiańskich. Ciąg parcia przeciw-religijnego dał im uczuć potrzebę działania religji, i sprowadził pośród nich Słowo epoki nowej. I dosyć jest zajrzeć do filozofów, poetów, myślicieli chrześcijańskich całej Europy, do proroków Nowego Testamentu, żeby zobaczyć, że to Słowo zjawia się w swoim czasie, i spełnia wszystkie obietnice jakie chrześcijaninowi dawało tajemnie jego sumienie, obietnice przyszłości religijnej, moralnej i razem *błogiej*.

Teraz łatwo da się pojąć, dlaczego już nie było ideału na ziemi, nie było wzoru powszechnego dla czci i naśladowania ludziom, chcącym żyć po chrześcijańsku. W wiekach średnich wszyscy rycerze kształcili się na podobieństwo bohaterów wypraw krzyżowych, dociągali się do Godfreda z Bouillon, do Ludwika Świętego; księżom stał przed oczyma Inocenty III., ten władacz myśli europejskiej: dzisiaj, gdyby Słowianie odezwali się do was: „Podajcie nam ideał, wskażcie nam człowieka naszych czasów, którego uważacie za najdoskonalszego, a my gotowi wszystko zrobić aby go naśladować, i wszyscy wtedy będziemy podobni jedni drugim, jak byli podobni sobie męczennicy, naśladujący swego Mistrza Chrystusa, w męce jego“ — cobyście im na to odpowiedzieli?

Zawsze kiedy idea przychodzi do realizacji, musi koniecznie zjawić się ideał, człowiek wzorowy. Co najsławniejszemu z Ateńczyków nie dawało zasnąć spokojnie? Nie książka, nie rzecz z powieści słyszana, nie idea, ale Milcjades, ideał w człokieku. Cezar nie płakał nad książką; tylko ludzie nieczynni płaczą nad książkami: Cezar wylewał łzy przed posągiem Aleksandra.

Otoż kiedy niemasz ideału, nie dziwujmy się, że ludzie zasypiają, chociażby byli Temistoklesami! Nikt nie zdoła ich obudzić, jak tylko ten, kto sam będzie się czuł być człowiekiem ideałem, kto będzie posiadał przymioty i dary, do których wzdychamy. Mając przed oczyma chrześcijaństwo zrealizowane w człowieku świę-

tym, potężnym i szczęśliwym, nie będziemy już mieli prawa mówić, że wiara jest martwą, że człowiek nie stworzony do szczęścia.

Z tego cośmy powiedzieli, można domyślić się jakich przymiotów i cnót wymagamy, i jakie uznane będą w człowieku przeznaczonym służyć za ideał epoce teraźniejszej. Powinien on nie być ani za obrębem, ani niżej chrześcijaństwa; powinien połączyć w sobie świętość kościoła pierwotnego, z wytrwałością Kościoła walczącego wieków średnich, i z mocą zwycięską Kościoła czasów przyszłych.

Mówiliśmy, że zdolność rozpłomieniania się, którą możnaby nazwać zdolnością przyjmowania Ducha Świętego, jest cechą, znamionującą ludzi przeznaczonych służyć Kościołowi przyszłemu. Jakiż znak kto już gotów do tego? Po tym to znaku mają być teraz rozróżniane i wedle jego miary stopniowane narody. Każda epoka wprowadza nowe stopniowanie narodów: co było wielkiem i wysokiem przed chrześcijaństwem, zostało później uważane za barbarzyńskie i niskie. Tak też będzie i w epoce naszej.

Znakiem tym, dowodem jedynym, że się żyło w chrześcijaństwie, że się postępowało z chrześcijaństwem, że się ma gotowość posunąć dalej chrześcijaństwo, jest *ogień święty*.

Ogień święty, to najpełniejszy wyrób pracy wewnętrznej. I dlategoż to Francja, posiadająca najwięcej tego ognia, jest narodem naczelnym; dlatego ducha francuskiego uznaliśmy za bardziej chrześcijański od Rzymu; dlatego w najwyższym płodzie piśmiennym, jaki Polska wydała, jest powiedziano, że „i dziś Francja jeżeli nie punkt światły, to choć szary śród ciemności globu stawi". — Żeby zaś ten punkt szary mógł rozświetlić i oświecać glob cały, którego los od tego zależy, mówiliśmy, że Francja potrzebuje nadzwyczajnej pomocy w duchu, i tę Opatrzność zgotowała. Niech Francja wie, że tego ognia co drga w piersiach francuskich pełno jest iskier nad Wisłą, a nawet nad Donem i nad brzegami Moskwy.

Ten ogień święty, wspólny skarb wszystkich dusz prawdziwie chrześcijańskich, wspólna siła wszystkich duchów wyższych, ześrodkowany w jednym człowieku zupełnym, staje się dźwignią wszystkich sił, ogniskiem wszystkich iskier. Zapali on Francją i cały glob oświeci: taki wypadek jest tylko godnym owocem historji chrześcijaństwa, przeznaczeń Francji i Słowiańszczyzny.

LEKCJA XII

Wtorek, 30 kwietnia 1844

Barbarzyństwo. — Postęp. — *Człowiek wieczny.* — Syn Człowieczy i Człowiek przeznaczony dzieło jego w epoce teraźniejszej prowadzić dalej. — Życie narodowe i rodzinne. — Jedyny sposób pracowania dla szczęścia narodów i rodzin, sposobienia ich, aby znalazły i uznały *Ideał.*

Kraje, które wam skreślałem, plemiona, których opowiadałem historją, według przyjętego sposobu widzenia rzeczy, noszą nazwisko barbarzyńskich.

Społeczeństwa cywilizowane, u kresu swego rozwinięcia się, nazywają barbarzyńskim każdy lud nowy. Przyjęliśmy bez ogródek to nazwisko: istotnie, jesteśmy barbarzyńcami epoki teraźniejszej. Barbarzyństwo z ziemi naszej rozlewało się po Europie: wszystkie ludy znane niegdyś pod nazwiskiem barbarzyńców przechodziły naszą ziemię i naszą historją ojczystą; zdeptawszy dopiero Słowiańszczyznę, spadały one na Gallją, na Hiszpanją, na Zachód cały. Dzieje nasze zatem, bardziej niż jakiekolwiek inne, związane są z dziejami barbarzyńców.

Wytłumaczyliśmy niektóre tajemnice ich wędrówek; pozostaje nam teraz powiedzieć cokolwiek o ich wpływie na Europę, sprostować w tym względzie wielki błąd historyków zachodnich. Rozprawa ta wprowadzi nas znowu na główną kwestją naszą.

Jest powszechne mniemanie, że barbarzyńcy w wieku V., przerwali chód postępowy ducha ludzkiego, wstrzymali pęd wyobraźni, zniszczyli nauki, odepchnęli ludzkość napowrót w ciemnotę. Historycy dodają wszakże, że się też i im coś należy, że odświeżyli oni i odmłodzili plemiona zachodnie. Zdaniem tych historyków, najścia barbarzyńców nie miały innego zbawiennego skutku, prócz pomięszania krwi plemion.

Do takich to niskich widoków ściągnięto jedną z najważniejszych kwestyj historycznych; tak po bydlęcemu zapatrywano się na myśl Opatrzności, która wiodła barbarzyńców na Zachód.

Gdyby miano prawdziwe pojęcie postępu, potrafionoby dostrzec lepiej zrządzenia opatrzne w napływie ludów. Zapomocą tego

pojęcia łatwo jest widzieć, że ludzkość europejska nie cofała się nigdy, że w postępie jej duchowym nie było nigdy przerw gwałtownych.

Co w nas jest postępującego ciągle, to nasz człowiek wewnętrzny, nasz duch. Postęp, jakeśmy już mówili, nie zależy na czem innem, jak na rozwijaniu się naszego jestestwa wewnętrznego, na jego zbliżaniu się ku Bogu. Jesteśmy w postępie, kiedy czujemy się być mocniejszymi, bo to dowodzi, żeśmy bliżsi Boga, który jest wszechmocnością; jesteśmy w postępie, kiedy czujemy się być lepszymi, a tem samem zbliżonymi bardziej do najwyższej dobroci; jesteśmy w postępie, kiedy nam jaśniej i szczęśliwiej, jako połączonym ściślej ze źródłem światła i szczęścia.

Owoż, jeżeli podług takiego pojęcia postępu ocenimy stan duchowy poddanych państwa rzymskiego i ludów im obcych w wieku V., da się widzieć z czyjej strony był postęp, a z czyjej nieruchomość, barbarzyństwo prawdziwe.

Czułże się być w postępie ten duch rzymsko-grecki, który rządząc natenczas państwem ogromnem, posiadając przemysłowe i wojenne środki cywilizacji wielowiecznej, drżał przed garstkami barbarzyńców ladajako zbrojnych, zostawił im otwarte pole, zamykał się w twierdzach; kiedy przeciwnie genjusz wandalski, zerwawszy się ze stepów Północy, przelatywał konno puszcze Niemiec, warowne grody Gallji, góry Hiszpanji, i opierał się aż w Afryce?

Tegoż czasu łódki morskich łupieżców północnych zapuszczały się daleko na ocean, a Rzymianie, panowie flot porządnych, zapominali odkryć, przez swoich przodków porobionych na morzach. Źródło, skąd wychodzą wielkie czyny bohaterskie i wielkie odkrycia scientyficzne, jest jedno: źródło to wyschłe już było w państwie rzymskiem, a poczynało wytryskać wśród barbarzyństwa. Z łona barbarzyństwa powstawali wtedy prawie wszyscy wielcy święci, apostołowie chrześcijaństwa, słudzy czynni Słowa.

Grecy i Rzymianie nie mieli już sił do tej służby. Nie byli już oni zdolni wydać tego słowa, w którem jest człowiek cały. Słowo Greka albo Rzymianina, nawet w sprawach życia cywilnego, nie miało tej wagi co słowo Burgunda albo Franka. Barbarzyńcy powtarzali sobie: „Ein Wort, ein Mann“ — słowo to człowiek. Słowo i Sło-

wianin są to dwa wyrazy z jednego. Takich to ludzi potrzeba było chrystjanizmowi do ożywienia ducha w świecie ówczesnym.

Duch natenczas, jak w życiu politycznem i społecznem, tak też i w literaturze, był wygasły. Literatura była tylko sztuką gry w wyrazy.

Jeden z pisarzy łacińskich tamtej epoki narzeka gorzko na trudność pielęgnowania muz klasycznych wśród barbarzyńców. Znajdował się on na ich uczcie gotyckiej i opowiada, jak go raził szorstki głos barda burgundzkiego. Pisarz ten, i bard, obadwaj poeci, siedząc u jednego stołu, byli doskonałym obrazem: pierwszy — upadku, drugi — prawdziwego postępu. Łacinnik pisał wiersze dla rozrywki bezczynnych swoich czytelników, Burgund śpiewał dla natchnienia swoich słuchaczy do wielkich czynów.

Czy literatura europejska narodów cywilizowanych nie przyszła czasem do stanu w jakim była grecka i rzymska wieku piątego? Niektórzy pisarze zachodni tak już sądzą o niej. Co pewna, to że książki najwięcej krążące po ręku bardzo mało wpływają na postępki czytelników, i rzadko kiedy są prawdziwym wyrazem uczuć swoich autorów.

Polska w ciężkiem doświadczeniu narodowem poznała pierwsza, że słowo europejskie straciło już wszelką wagę polityczną. Naród ten w zapasach z groźnym nieprzyjacielem miał za sobą wszystkie książki, wszystkie dzienniki, wszystkie wymowne usta Europy, a cała ta niezliczona armja posiłkowa nie sprowadziła żadnego czynu. Słowo, które powinne byłoby być źródłem i wytryskiem życia narodowego, było tylko jego echem, echem kłamliwem.

Po takiem doświadczeniu niemasz czego się jeszcze oglądać. Ludzie myślący i poeci polscy przeczuwali, co z tego wyniknie i ocenili, ile na tem polegać można. Poszło im w obrzydzenie cokolwiek tylko trąci książką, cokolwiek tylko zakrawa na system. Jeden z tych poetów, filozof i żołnierz, daje następne pożegnanie książkom, odzywając się do filozofów:

Niechaj mol życie nędzne w starych księgach pędzi,
Niechaj się w kartę zbutwiałą z ciekawością wżera,
Moja ręka napróżno tysiąc ksiąg otwiera,
I warzy doświadczenia z tysiącznych narzędzi.

Któż jak ja z potem czoła męczył się i czytał?
Dziś gdym na równi z wami, gdybym się zapytał
Czegoście nauczyli i co sami znacie,
Wstydby wam czoło, serca i rozum wypalił,
Jeśli wstyd znacie jeszcze. —

Temu ostatniemu wykrzykowi literatury polskiej odpowiada echo na drugiej półkuli ziemi, w Ameryce. Tam Emerson podobnież ogłasza wojnę świętą przeciwko ludziom książkowym i systemowym, odpycha precz ten świat sztuczny, zepsuty i zbutwiały, w którym nie możemy zobaczyć naszej przyszłości, w którym się nawet przeszłość nasze nie odbija. Oto są własne jego słowa:

„Nie zewnątrz nas szukajmy wiedzy naszych dziejów; nauczmy się wyczytywać je w nas samych. Historja powinna przestać być szpargałem: potrzeba koniecznie wygrzebać się ze szpargałów. Historja powinna chodzić wcielona w każdym człowieku prawym i mądrym. Nie wyliczaj mi książek, któreś przeczytał: daj mi uczuć z jakiego wieku jesteś, wiele wieków przeżyłeś, złóż mi w tobie samym świadectwo żywe do jakiej epoki doszedłeś; a ja podług tego naznaczę ci miejsce. Muszę zobaczyć w człowieku przeszłość całą: w jego dzieciństwie wiek złoty, drzewo wiadomości dobrego i złego, wyprawę Argonautów, powołanie Abrahama, zbudowanie Kościoła; w jego młodości przyjście Chrystusa, wieki średnie, odkrycie Ameryki, i t. d. Jeśliś jeszcze nie odbył twojej wojny krzyżowej, i twojej rewolucji francuskiej, spiesz się, bo inaczej nie będziesz mógł należeć do pokolenia dzisiejszego".

Zbudować swój Kościół i odbyć swoją wojnę krzyżową, to nie przeczytać historją budowania Kościoła i wojen w Ziemi Świętej.

Wiek XVIII nażartował się dowoli z nieuctwa waszych potężnych mężów wieków średnich, z nieuctwa Karola Wielkiego, Godfreda de Bouillon, Bohemonda, którzy zaledwo umieli czytać i pisać. I nad jakiemiż to książkami mieli oni siedzieć? Czy z Witruwjusza albo Wegecjusza powinni byli uczyć się stawiać twierdze, sprawiać szyki do boju? Czy w jakim starym pargaminie greckim potrzeba im było szukać sposobu robienia ognia gregorjańskiego? Ci ludzie,

którzy czuli w swoich piersiach drgającą całą erę nową, którzy jednem słowem, jednem skinieniem ręki poruszali całe państwa, mieliż bawić się czytaniem woluminowych opowiadań Liwjusza, albo przewlokłych mów Cycerona? Oni czuli się być wymowniejszymi od wszystkich mówców starożytnych, i większymi poetami od samego Homera: oni realizowali poezją, powychodzili na bohaterów poezji.

Ktokolwiek uważa, co teraz dzieje się na świecie, postrzeże, że ta sama potrzeba wielkich rzeczy, to samo pragnienie wielkich przedsięwzięć i czynów, obudza się we wszystkich sercach.

W ludzie ta potrzeba, ta żądza, nie ustawała nigdy; dzisiaj gotowszy on, niż kiedykolwiek, odpowiedzieć na wezwanie. Z tego względu lud francuski jest jeszcze barbarzyńskim.

Wasi publicyści nazywają go takim. Mógłbym wymienić książki, przytoczyć dzienniki, w których są dowodzenia jak jeszcze jesteście daleko od ideału cywilizacji materjalistowskiej. Ile to wam jeszcze brakuje systemów dróg żelaznych, filozofij, i instytucyj specjalnych, żebyście mogli stanąć narówni z Anglją i Prusami. Publicyści ci poglądają z przerażeniem na to, że tak mała garstka ludzi wedle nich ucywilizowanych, stanowi tę powierzchnią, pod którą, jak oni mówią, huczy barbarzyństwo ludowe, grożące każdej chwili przerwaniem tamy, i zalewem tego, co u nich nazywa się krajem cywilizowanym, czyli legalnym. Tym tedy sposobem, my, barbarzyńcy, Słowianie, znajdujemy się być braćmi ludu francuskiego, i uznanymi za takich przez publicystów waszych. Raduję się z tego; bo na tem braterstwie zasadzamy nadzieje nasze.

To uporczywe barbarzyństwo w ludzie francuskim pochodzi z przyczyn najgłębszych w jego naturze. Mówiliśmy, że duch francuski jest intuicyjnym, *dobywa wszystko z siebie*. Czuje się on być wyższym nad wszelką drobiazgowość, szczegółowość, specjalność, systematyczność.

Ciągle i niezbędnie usiłuje on osiągnąć *natychmiast, całkiem, wszędzie*.

Grecy prędko ulegli zepsuciu cywilizacji materjalnej i zupełnie zewnętrznej, prędko potem sami zepsuli Rzymian. Były czasy kiedy wielkie miasta greckie i włoskie służyły tylko za pole do popisu sofistom i kuglarzom. Ludność zbiegała się tam dla słuchania jak rozprawiali Epikurejczycy i Cynicy, jak ten lub ów uczony czytał aka-

demicką rozprawę o piękności Heleny, deklamował mowę na pochwałę, kogo? — na pochwałę *muchy!* (Lucjan dla podobnego audytorjum napisał pochwałę muchy). Oto czem się zajmował duch narodów cywilizowanych czwartego i piątego wieku.

Lud francuski nigdy nie wdawał się w spory nominalistów i realistów, nie trzymał z Arystotelesem albo Gassendim, nie obchodziły go również sprzeczki Eklektyków i zwolenników Hegla. Pod względem filozoficznym i literackim był zawsze barbarzyńskim, zawsze młodzieńczym i świeżym. Dlatego to Francja nie postarzała jako naród, i nie ma co lękać się nachodu barbarzyństwa obcego.

Duch słowiański ma tę samą naturę i tę samą dążność co i duch francuski. Niektórzy z waszych myślicieli już to dostrzegli, między innymi Józef de Maistre. Duch francuski i słowiański rozwijają się jednak w kierunku różnym.

Francuski, przyjąwszy chrystjanizm, natychmiast go stosował, starał się wprowadzić w stosunki życia społecznego, podbić za jego pomocą ziemię, stać się wolniejszym na ziemi. Stąd to pochodzi ta jego swoboda, to uczucie własnej godności, a nadewszystko ten ruch ciągły, zwany *duchem rewolucyjnym*, który odznacza Francuza od jego sąsiadów.

Słowianin, daleko później zostawszy chrześcijaninem, nie potrafił jeszcze wyrobić w sobie tyle ognia świętego; trzyma się wprawdzie wiernie swojej religji, ale nie wyciągnął z niej żadnej korzyści ziemskiej: a za tem cóż poszło? — Cierpi i znosi.

I jeden i drugi wszakże nie znaleźli dotąd spoczynku na ziemi. Ani w przemyśle, ani w filozofji duch francuski ulgnąć nie mógł. Żaden rząd nie dokazał także zadowolić ducha słowiańskiego. Obudwom im potrzeba prawdy, i nie będą mogli spocząć, aż tylko w prawdzie, wystarczającej na wszystkie wymagania ich ducha. Jeden rusza się, jej szukając, drugi oczekuje, a tymczasem pozwala przemijać nad sobą wszelkim rządom niezdolnym zapewnić mu szczęśliwości ziemskiej, bo szczęśliwość ta jest nierozłączoną ze zbawieniem jego wiecznem.

Cóż to więc są te dwa ludy? Są to dwa bieguny jednej siły, dwa ramiona jednego genjuszu, przeznaczone działać razem, dla spełnienia jednego posłannictwa religijnego i politycznego.

Posłannictwo to maluje się już nam emblematycznie w tym ro-

dzaju czci u obudwóch ludów, który nazwę czcią domową. Każda cześć nim stanie się publiczną, długo pierwej jest strzeżona w domach prywatnych. Chcesz widzieć zaród czci nowej? Idź na poddasza do mieszkań rzemieślników, zwiedź chałupy wieśniacze we Francji i w Polsce, a obaczysz jakie tam obrazy, jakie emblemata, jakie imiona są przedmiotem pobożności narodowej. Oto naprzód Chrystus na krzyżu, wyraz i treść całej przeszłości, potem wizerunek Napoleona, symbol mocy, a obok niego portret marszałka wojsk francuskich Poniatowskiego, przedstawiający uosobienie ślubu dwóch narodów.

Oba więc te dwa narody mają jedną religją polityczną, jedne bóstwa, jednych patronów. Symbol ostateczny, który połączy je znowu musi być także narodowym dla obu.

W dniu kiedy ten symbol, zarysowany już na sumieniach wielu, objawi się jako słowo narodowe, w dniu kiedy emblemata uświęcone już czcią ludu zabłysną na sztandarze chrześcijaństwa, w dniu tym, jesteśmy tego pewni, ci wszyscy co stoją już pod bronią, w duchu gotowi do ruszenia naprzód, znajdą się razem.

Religja, dopóki była poczuwana głęboko i jawiona potężnie, nie wzywała ludzi do czego innego, jak tylko także, żeby posuwali się naprzód, wstępowali wyżej. Posuwać się i wstępować, to treść wszystkich zalecań nauki chrześcijańskiej. Dalej tedy żołnierze przyszłości! idźcie ciągle, wstępujcie bezustanku, i lata waszego życia, wieki trwania waszych narodów, epoki Kościoła, uważajcie jako szczeble, prowadzące was w górę.

Doktorowie Kościoła powiedzieli, że każdy chrześcijanin w ciągu swego życia powinien przejść wszystkie epoki historji kościelnej, powinien tę historją skupić w sobie. Emerson, zgodny co do tego z doktorami chrześcijańskimi, wzywa nas, abyśmy skupili w sobie historją polityczną naszych narodów, i uzupełniwszy ją, rozpoczęli rozdział nowy.

Na pięćdziesiąt lat przed Emersonem jeden poeta polski, Krasicki, schwycił był to samo pojęcie przechodzenia ducha pojedynczego przez mnóstwo form, i rozwinął je w powieści historycznej. Powieść ta zawiera historją istności urojonej, człowieka nie umierającego nigdy, który jest czemś nakształt *Błąkającego się Żyda*, tylko więcej zajmującym od niego: bo ten, obarczony wiecznie tem sa-

mem przekleństwem i dręczony tą samą zgryzotą sumienia, zawsze jest jednaki, człowiek zaś Krasickiego, mając sposób odmładzania się co lat sto, zmienia dowolnie swoją narodowość, i jest, to Chińczykiem, to Kartagińczykiem, to Rzymianinem, to nakoniec Polakiem. Taką koleją przeżył on wiele wieków i wiele narodów, cieszył się i cierpiał z niemi. Przypuśćmy, gdyby ten człowiek był jeszcze na świecie, jakążby ojczyznę obrał sobie, jaki przyjąłby system filozoficzny, jakiejby oddał się idei?

To pytanie my możemy zadać nam samym. Idzie tu o zasadę naszego życia religijnego i moralnego, a zatem o nasze zbawienie, we wszystkich znaczeniach tego wyrazu. Każdy z nas ma prawo rzecz, tyczącą się jego zbawienia, rozważać, stawiąc się jako *człowiek wieczny.*

Idzie wam o wasze zbawienie? — powiedzą doktorowie Kościoła urzędowego; — alboż nie wiadomo jak je osięgnąć: módlcie się, rozmyślajcie, spowiadajcie się. Na to człowiek wieczny mógłby odpowiedzieć, że już czternaście wieków jak pełni to wszystko, a jednak jeszcze nie został zbawiony. Wtedy możeby mu radzono przedsięwziąć rodzaj życia doskonalszy. Jaki tam świętobliwy trapista rzekłby mu: zamknij się w klasztorze, albo też idź na pustynią, pokutuj, oderwij się zupełnie od ziemi, a będziesz w niebie. — I to już robiłem, mój ojcze — odpowiedziałby znowu człowiek wieczny. — Tysiąc trzysta lat temu, umarłem na górze Karmelu, kanonizowano mnie po śmierci, a mimo to nie mam jeszcze nieba. Całe życie powtarzałem w modlitwie Pańskiej: Przyjdź królestwo Twoje, a widzę, żem nic nie uczynił, aby przyszło. — A, boś się wziął nie do swojego, — powiedzą mu, — twoja rzecz działać: działaj, walcz, idź z krzyżem pomiędzy niewiernych. — Robiłem to: byłem ja Francuzem, jednym z tych co u nóg ś. Ludwika pomarli na piaskach afrykańskich, a otom znowu na ziemi, która, jak mnie się zdaje, podobniejsza dziś do piekła niżeli natenczas była. Cóż teraz pozostaje nam czynić?

Nie wiem jakąby na to dał odpowiedź Kościół urzędowy człowiekowi wiecznemu. W razie milczenia ze strony Kościoła, nie brak reformatorów świeckich gotowych służyć radami. Od nich możemy usłyszeć, że ponieważ religja nie dotrzymuje swoich obietnic, to znak, że niezdolna uczynić im zadość; że niemasz już co oglądać się na religją, że człowiek wieczny w swoim całym żywocie tysiącznoletnim

mylił się ciągle. Zbawić się — powiedzą — nie jest to uciec z placu, ale zwyciężyć. Bohater zbawia się, zbawiając wojsko. Kościół Chrystusowy nie uczył nas szukać zbawienia w ten sposób, odwołajmy się więc do *rozumu ludzkiego*. — Jeżeli Bóg nam nie pomaga, wezwijmy w pomoc naszych braci, ludzkość całą; zróbmy rewolucją polityczną. — Robiłem ją — Panowie moi — odpowie i tym człowiek nieśmiertelny — robiłem niedawno. Czyż mię nie poznajecie? Ja zasiadałem w Konwencji obok Robespierra i Dantona. W imię tych właśnie idei, o których mówicie, my wprowadziliśmy wielkie i piękne reformy; ale to nie zaspokoiło ani ludu, ani filozofów, bo znowu słyszę o innych projektach reform, o innych systemach. Kiedy stracono nadzieję dostać się do nieba, poczęto obiecywać zmiany społeczne mające ziemię uczynić niebem. Nim to nastąpi, każą nam czekać bezczynnie; a tymczasem życie moje ubiega, nagli mnie do działania. Co mam robić?

Żeby to pytanie rozwiązać w duchu i rozwiązanie jego zrealizować na ziemi, istotnie trzeba postawić się na miejscu człowieka wiecznego; trzeba uczuć się członkiem swego Kościoła, synem swego narodu, potomkiem odpowiedzialnym za wszystkich swoich przodków w rodzinie duchowej i doczesnej; trzeba być dziedzicem wszystkich przymiotów, wszystkich cnót jakie naddziadowie nasi nabyli w pocie czoła i w ofiarach krwawych; trzeba całą przeszłość religijną i polityczną ścisnąć w jedno ognisko, zamienić w jedną płonącą gwiazdę, i ogień ten utrzymywać na ołtarzu swego ducha, aby cokolwiek w historji było świętego, prawdziwego i wielkiego, znalazło się w nas jako ziarno usiewne, jako żywotność, jako siła. Takim był Syn Człowieczy, takim musi być Człowiek przeznaczony dzieło jego prowadzić dalej w epoce teraźniejszej. Człowiek ten będzie powinien mieć żarliwość apostołów, poświęcenie się męczenników, prostotę mnichów, śmiałość rewolucjonistów 93-go, męstwo niezachwiane i piorunującą odwagę żołnierzy wielkiej armji francuskiej, a genjusz ich wodza. Oto są rysy człowieka-ideału naszej epoki; oto czem trzeba być, żeby otworzyć epokę nową, żeby ośmielić się Francuzom i Polakom rzec: Za mną!

Powołanie tych, którzy zechcą iść za nim, jest bardzo trudne, wymaga najcięższej z ofiar, ofiary ducha.

Za Chrystusa, ludziom garnącym się do Niego, ciężko było robić

ofiarę ze swoich dóbr ziemskich, ze swoich bogactw. O jednym z nich bardzo bogobojnym i głęboko wzruszonym słowami Messjasza Święty Mateusz powiada: odszedł smutny, albowiem miał majętności wiele. Dzisiaj majętnościami najdroższemi dla ludzi, najtrudniejszemi do ofiarowania są ich dobra, ich nabytki umysłowe. Pozyskana sława, utworzony przez się, albo przyjęty jaki system, nałogowie ulubiona formuła, to ziemie, to dziedzictwa, to skarby zaklęte człowieka cywilizowanego. On całe swoje życie duchowe w to włożył, żeby zrobić sobie głośne imię, ukuć tę lub ową teorją; on ma tylko to jedno — a tu mu powiadają, że nic z tego! Prędzej odda cały swój majątek ziemski, zrzecze się wszystkich swoich bogactw materjalnych, niżeliby miał odstąpić najdrobniejszej formuły swego filozoficznego albo socjalnego systemu. „Oszańcowali się — mówi o takich Śniadecki, powtarzając za Humem — oszańcowali się płataniną głogu i ciernia na obronę swojej słabości, a spędzeni z otwartego pola, uciekają jako złoczyńcy do lasu słów niezrozumiałych i ciemnych, szukając w nich ucieczki. Żeby ich stamtąd wyparować, niemasz innego sposobu, jak chyba ogień podłożyć".

Nikt nie będzie podkładał ognia pod te szańce, nie będzie palił książek; ale spodziewamy się, że bibljoteki przestaną być tak uczęszczane, skoro życie publiczne stanie się bardziej uczącem. Oświata narodowa wynika z wielkich wypadków w narodzie, i szerzy się sama przez się podaniem żywem. Naród nie inaczej nabywa oświecenia w religji, w polityce, w moralności, jak tylko zapomocą wielkich przykładów. Potrzeba mu do tego wielkich czynów, a zatem i wielkich ludzi. Przez cały ciąg wieków średnich, mieszczanie i chłopi kształcili się moralnie słuchaniem opowiadań żywotów Świętych i dzieł rycerskich, wzruszaniem się przykładami ofiary, męstwa, szlachetności. To mieszczanina i chłopa, pierwej nim wystąpił na pole bitew zeszłego wieku, uczyniło wewnętrznie rycerzem i bohaterem.

Tylko ten rodzaj oświaty wpływa istotnie na moralność życia domowego. Skarżą się teraz na rozprzężenie rodzin, na bezrząd domowy. Kobieta, powiadają, zostaje zawsze pod kierunkiem księży, i odbiera wychowanie przeciwne mężowskiemu: niemasz harmonji w pożyciu, niemasz spólności celu w dążeniu duchowem, niemasz zgody! To złe domowe jest niczem więcej jak następstwem ogólnego

złego; skoro cel dążności narodowej zniknął, życie domowe tem samem musiało pójść na rozdroże.

W wiekach średnich kobieta w swojej sypialni modliła się za tę samą sprawę, za jaką mąż walczył na polu bitwy, i była pewną, że tem pomagała mężowi. Byli więc potrzebni jedno drugiemu; zmierzając do jednego celu, służąc jednej sprawie, czuli się być w spółce duchowej. Dzieci zachowywały żywą pamięć rodziców zmarłych: prosiły matki o wsparcie jak świętej, uczyły się dziejów ojca, czerpały z nich naukę polityczną i wojskową.

W Polsce tak jeszcze jest dotychczas. Polka wchodzi do spisków patrjotycznych, dzieli z mężem wygnanie na Sybir, niekiedy siada na koń w obronie kraju. Tam życie rodzinne zasila się jeszcze wielkiem życiem narodowem; we wszystkich innych krajach tego już niemasz. Niechaj nikt nie mówi, że to przez przywiązanie do przeszłości, albo przez niechęć zajęcia się rzeczami ważnemi dzisiaj, kobieta ucieka się pod opiekę księdzowską. W pierwszych czasach chrześcijaństwa nie zrażała kobiet ważność rzeczy zajmujących chrześcijan, i nie trzymały się upornie rad kapłanów pogańskich. Wtedy czucie ich dało im odgadnąć wyższe i mocniejsze życie w religji chrześcijańskiej; teraz toż samo czucie ostrzega, że nie mają niczego spodziewać się po systemach filozoficznych i socjalnych: wolą więc ludzi przeszłości, niż ludzi systemowych, mniej wartych niż umarli, bo jeszcze żyć nie zaczęli. Prawdę mówiąc, oni istotnie nie żyją, to ich systemy żyją tylko.

Jakież, proszę, rzeczywiste życie może jawić człowiek, który przeszedł całkiem w pojęcie oderwane?

Ci co utrzymują że ludzkości nie potrzeba już cudów, narodom bohaterów, rodzinom świętych opiekuńczych, niechże u siebie kosztują owoców swoich doktryn materjalistowskich, formuł prawdziwie bezdusznego świata. Wygnawszy ze swojego domu świętych i bohaterów, ojciec rodziny postrzeże się sam wśród niej obcym, nie będzie miał co powiedzieć żonie, dzieciom, służącym. Duch kobiety, jak i duch człowieka prostego, przy jakichkolwiekbądź zatrudnieniach powszednich, potrzebuje czasem odetchnąć swobodnie wielkiem życiem narodowem. Życie to wydają i utrzymują wielkie czyny. Możnaż myśleć, że kobieta porzuci swój złoty ołtarzyk, opuści kazanie, żeby pójść słuchać narad spekulacyjnych, projektów przemy-

słowych, mów akademickich; albo że lud zrzecze się czci wielkich ludzi, dla oddawania chwały pięknym teorjom?

Dosyć żeby filozof zastanowił się nad tem, co się dzieje w jego rodzinie, a pozna, jak podobne wymagania są daremne. Nie tym to sposobem oderwać kobietę i lud od przeszłości. Jeden tylko jest środek pokonać przeszłość, a to ten: postawić przeciw niej teraźniejszość równie rzeczywistą, a razem daleko potężniejszą i świetniejszą; na miejsce ideału czasów pierwotnego Kościoła i wieków średnich, wprowadzić ideał czasów nowożytnych.

Podnosić ludzi ku Bogu, budzić w nich uczucie wielkich rzeczy, popychać ich do wielkich i wzniosłych czynów, to jedyny środek pracowania dla szczęścia narodów i rodzin; to, krótko mówiąc, sposób gotowania ich, aby potrafiły znaleźć i uznać ten *Ideał*.

LEKCJA XIII

Wtorek, 21 maja 1844

Zamknięcie wykładu. Czem on był. — Wszystkie widoki i żądania filozoficzne odnoszą się dzisiaj do znalezienia syntezy nowej. Żadna dawna metoda nie może tego dokazać. — *Człowiek synteza.* — Wiekowe prace Francji i Polski; przeznaczenie teraźniejsze tych narodów. — Głos Polski do Francji. *Ecce Homo* epoki naszej.

Wykład nasz nie mógł i nie powinien był być czem innem, jak wyzywem od narodowego ducha polskiego do ducha narodu francuskiego.

Przez ten wyraz *duch narodowy* nie należy rozumieć tylko zbioru wyobrażeń i mniemań, krążących w jakim ludzie, ale trzeba pojmować sam pierwiastek, z którego one wynikają. W tem to znaczeniu Pismo Święte mówi często o duchach Kościołów i ludów, które ś. Jan apostoł nazywa ich aniołami. W tem znaczeniu, duch narodu jest najrzeczywistszą jego istotą, jest jego osobistością wieczną.

Owocem wiekowych prac narodu polskiego jest uczucie religijne i patrjotyczne, zwane u nas *miłością ojczyzny* (ojczyzny ziemskiej i niebieskiej), które znamionuje Polaka, a w narodzie francuskim ob-

jawia się jako *ogień święty*. Miłość ojczyzny czy ogień święty, zawsze to nic innego jak wyrób długiego życia duchowego. To stanowi pierwiastek, zakład na życie przyszłe ludzi i narodów. Podług miary tego pierwiastku ludziom i narodom naznaczaliśmy stopnie.

Wielkimi ludźmi są ci, którzy więcej i lepiej pracując od swoich współczesnych, a zatem zaszedłszy dalej niż oni, potrafili prędzej obudzić w łonie swojem ten zaród Boży, tego Boga tajemnego, co był jedynym doradcą Karola Wielkiego i Piasta, Sobieskiego i Napoleona, doradcą i pomocnikiem.

Jeżeli naród cały zdoła stanąć w warunkach otrzymywania tych natchnień wyższych, któremi odznaczają się ludzie wielcy, ma on prawo zwać się narodem wielkim. Wielkość narodu odpowiada stopniowi rozżarzenia jego ogniska ojczystego; działalność narodu obejmuje tem szerszy zakres, im dalej sięga jego promień sympatyczny. To wszystko zależy od jednego pierwiastku duchowego.

Mówiliśmy, że ten sam pierwiastek, co wydaje bohaterstwo, mądrość prawodawczą, sztukę, jest razem źródłem odkryć na polu umiejętności. Odkrycia, czas już to poznać, nie są bynajmniej naturalnym wypadkiem cywilizacji; nie zależą zgoła od instytucyj zakładanych dla rozwijania i postępu nauk: biorą one początek poza obrębem rachub umysłu, górują nad umiejętnościami całą wysokością ducha. Tę wielką prawdę, że pierwiastkiem rodzimym wszelkich wynalazków rozumowych jest iskra ducha, natchnienie z wyż, Słowianom pierwszym przypadło poznać, a Polakom wyrazić. Nasi wielcy wynalazcy, Ciołek (Vitellio), Jan z Głogowy, Kopernik, Zaluziański, wyszli z pośród nieuczonego ludu, nie mieli pod ręką ani bibljotek, ani narzędzi obserwatorskich takich, jakie miano w Grecji albo we Włoszech. Podobnież działo się i wszędzie: dosyć jest spojrzeć na historją wielkich odkryć nowoczesnych. Kto zmienił postać świata pod względem materjalnym, łącząc ląd stary z Ameryką? Kto był twórcą nowych sposobów przenoszenia się z miejsca na miejsce? Czy to winniśmy umiejętności właściwie tak zwanej, umiejętności, którąby można nazwać urzędową? Bynajmniej. Krzysztof Kolomb tak mało znał jeometrją ciał niebieskich, iż sądził, że ziemia miała kształt gruszki. Wynalazca machiny parowej był to prosty robotnik francuski, zupełnie nieświadomy matematyki stosowanej. Montgolfier nie umiał chemji: przypatrując się jak dym wychodził z komina,

wpadł na myśl, że człowiek może wznieść się w powietrze. Prości kamieniarze francuscy, długo pierwej mieli w użyciu jeometrją wykreślną, nim sławny Monge opisał jej prawa. Monge, który tylko ułożył systematycznie odkrycia rzemieślników, uchodzi za ich wynalazcę. Medycyna nareszcie, nauka tak starożytna i uprawiana ciągle przez wielu ludzi biegłych, prawie wszystkie swoje lekarstwa główne pobrała od czasów dawnych i ludów barbarzyńskich. Akademje medyczne nie wynalazły żadnego specyfiku. Niepłodność umiejętności w przedmiocie odkryć znajoma jest całemu światu. Niepłodność akademij w rzeczach literackich poszła we Francji w przysłowie: wiadomo, że słownikarze i gramatycy nie zbogacili języka żadnem wyrażeniem nowem. Postrzegano to powszechnie, ale Polacy pierwsi wykazali logicznie dlaczego nie może być inaczej. W jednym ze świeżych dzieł polskich [1] jest wywód jak lingwistyka ze swoją syntaksą, ze swemi gramatykami i leksykonami, wyrządzała zawsze szkodę językowi naszemu. Ludzie, trudniący się tym rodzajem naukowości, pozbawieni ducha twórczego, chcą zawsze zamknąć w definicje, przygwoździć, umorzyć to, co z natury swojej nieulegle określeniu, postępowe, żywe. Polacy tedy we wszystkiem oddzielają umiejętność czerpaną z natchnienia, z ducha, od umiejętności wyślęczonej. Nie przeto ta ostatnia ma być już odrzucona zupełnie, jest ona potrzebna: zbiera, układa w porządek, spisuje; tylko nic nie tworzy.

Ta umiejętność ciągnięta z książek, niezdolna, jak sama to wyznaje, wygrywać bitew, tworzyć kodeksów, wydawać arcy-dzieł sztuki, zdobyć się nawet na wyrażenie szczęśliwe, bo na to wszystko potrzeba genjuszu, spodziewa się jednak dokazać rzeczy największej, zrobić odkrycie najwyższe, znaleźć nowe prawo moralne, słowem, nową syntezę, jak się mówi językiem szkolnym. Wszystkie żądania, wszystkie widoki filozoficzne odnoszą się dzisiaj w końcu do nadziei znalezienia tej syntezy nowej. Kiedy już, powiadają, duch krytyki i analizy, znamionujący nasze czasy, odbył swoją kolej, pora teraz wziąć się do syntezy; ponieważ wszystkie metody dawne są zużyte, trzeba wymyślić metodę nową, *wynalazkową* czyli *genetyczną*. Próbowano już nawet rozmaitych tych metod wynalazko-

[1] Deszkiewicza *Rozprawy o Języku*. Lwów 1843.

wych, które żadnego wynalazku nie przyniosły, i przyszło aż do wydawania dzienników syntetycznych, które prócz tytułu nie różniły się w niczem od innych. Próby te podobne są do usiłowań tych greko- i goto-filów, co chcieli wskrzesić sztukę grecką i gotycką. Nie znali oni, nie mogli pojąć tego, że aby to zrobić, trzeba było żyć, jak żyli Grecy i rycerze wieków średnich. Otóż podobnie jest i z syntezą.

Gdyby wieża gotycka wyszła nagle z drzwi którego salonu paryskiego, byłoby to mniejszym cudem, niżeli poczęcie się syntezy w gabinecie jakiego literata.

Jak analiza tak synteza, wiedzcie o tem dobrze, nie są działaniami dowolnemi czyjejkolwiek głowy, są to nałogi umysłu nabyte w życiu moralnem człowieka, i pochodzące z ducha czasu. Nie sądźmy, żeby ten sam umysł mógł od upodobania i naprzemian działać to analitycznie to syntetycznie. Człowiek, który przez całe życie nawykł rozbierać, rozkładać, anatomizować prawdy moralne i naukowe, jakże ma odrazu stać się obejmującym ogół, syntezującym? Żeby umysł wziął ten kierunek nowy i wbrew przeciwny ubitym swoim drogom, trzeba aby to co mu nadaje popęd, aby człowiek wewnętrzny, przez wysilenie duchowe zmienił swoją naturę, odnowił się, odrodził się całkiem.

Mamy w ewangelji o żydowskim filozofie Nikodemie, który żyjąc także w czasach krytyki, chciał otrzymać syntezę i ze zdumieniem usłyszał, że pod jednym warunkiem tylko można ją znaleźć: trzeba się odrodzić. Ten nauczny w Izraelu wszystko wiedział, prócz tej jednej rzeczy. Szkoły filozoficzne, chcące prowadzić dalej, albo postawić na nowo syntezę chrześcijańską, powinnyby mieć przestrogę w surowem napomnieniu danem piśmiennikowi żydowskiemu.

Syntezy nowej przeznaczeniem jest stworzyć nowe środki, i wydać skutki wyższe nad te wszystkie, jakie widzieliśmy w przeszłości. Inaczej nie byłaby ona nową: niektórzy filozofowie dorozumiewają się tego. „Dotąd — powiada Cieszkowski — żeby nadawać kierunek ludziom, dosyć było znać poprzednie życie ludzi pojedynczych i narodów. Dotąd po ostateczny wyrok odwoływano się do historji i doświadczenia. Teraz to nie wystarcza. Teraz, żeby przewodniczyć bliźniemu, a tembardziej narodowi, trzeba mieć przewi-

dziany cel, do którego się ich prowadzi, i wiedzieć środki dojścia do niego: trzeba znać przyszłość, być prorokiem."

Prorocze widzenie czy synteza, wszystko to równie obce duchowi dzisiejszemu świata, duchowi powątpiewań, rozprzężenia, krytyki. Rzecz jasna, że w takich czasach jak nasze ani mówić o syntezie bez człowieka, któryby był *człowiekiem syntezą*, człowiekiem różniącym się od wszystkich swoich współczesnych nawyknieniami ducha, a zatem wyższym nad duch świata. Jeżeli świat uznaje się być niezdolnym do wydania syntezy, ten z kogo ona wyjdzie musi ją zapewne zdobyć sposobami nieznanemi mędrcom światowym.

Jest jeden sposób, na który umiejętność mało zwraca uwagi, ale nam wszystkim znajomy, i przez nas wszystkich mniej więcej używany w stosowaniu, a nawet i w poszukiwaniu prawd: tym sposobem jest działanie. Powiedziałem, że przezeń dochodzimy do prawdy. Tak istotnie. Chcemy naprzykład zapewnić się o tym lub owym przymiocie moralnym w kimkolwiek; działamy wobec niego i wyzywamy go do czynu. Ma on męstwo, jest walecznym? dowiemy się tego rzucając mu wyzyw, albo wołając go w pomoc. Dla wykrycia prawdy w sporach prawnych, strony zapozywają się do działania przed sądem. Wszelkie działanie jest syntetycznem: działanie, to rzecz w duchu, w ciele i w czynie; to teorja, praktyka i rezultat. Tak tedy szeregiem czynów postępujemy ku prawdzie. Jeżeli więc każdy czyn jest pewną syntezą, czy nie od ludzi czynu wypada nam oczekiwać syntezy wielkiej? Dajmy pokój filozofom i uczonym, a zwróćmy oczy na działających, na tych co rządzą, administrują, spekulują [1]. Więcej ich jest niżeli filozofów, i mają oni w społeczeństwie większą wagę.

Łatwo bowiem tego dowieść, choć mało kto to widzi, że tak teraz jak dawniej, światem moralnym rządzili i rządzą ludzie czynu. Kierunek życia publicznego, a zatem i domowego zawsze jest pod wpływem dyplomatów, polityków (licząc do nich i dziennikarzy), nareszcie spekulantów przemysłowych. Oni dziś zastępują rycerzy,

---

[1] Ten wyraz *spekulować* wcale co innego znaczy tutaj niżeli u Niemców. Duch spekulacyjny w Niemczech jest to duch najbardziej oddalony od rzeczywistości; duch spekulacyjny we Francji przeciwnie, jest to duch zajmujący się rzeczywistością najistotniejszą, najmaterjalniejszą nawet.

kaznodziejów, spowiedników dawniejszych. Człowiek, przywiązany do przeszłości, oddaje jeszcze cześć noszącym tytuły zeszłego rycerstwa albo Kościoła urzędowego, radzi się ich w rzeczach dotyczących punkt-honoru albo drobnych szkrupułów sumienia; ale i on, jak każdy inny, słucha kazań dziennikarskich, dobiera sobie obrońców pomiędzy pisarzami, tajemnice swego sumienia politycznego powierza ludziom, prowadzącym sprawy polityczne i literackie. Wszystkie interesa duchowne i ziemskie są w ich ręku. W stolicy religijnej świata, w Rzymie, kiedy idzie o rzeczy ważne, prawie nie pytają o radę prałatów pobożnych i gorliwych *(zelanti)*; zdanie przebiegłych dyplomatów *(politici)* rozstrzyga wtedy wszystko. Tam tylko względem maluczkich działają w imię Chrystusa; skoro sprawa z możnymi, nie ufają, żeby duch Chrystusowy miał przeciw nim dosyć mocy: wolą natenczas polegać na duchu ziemi, na doświadczeniu, na wybiegach. We Francji toż samo, nie dary ducha są darami najszacowniejszemi w życiu politycznem. Nie najwymowniejsi, najpełniejsi zapału mówcy, wpływają najprzeważniej w izbach na postanowienia prawodawcze.

Jeżeli tak, tedy to bardzo *racjonalnie* byłoby mniemać, że prawda dla objawienia się światu nie może lepiej uczynić, jak obrać sobie za organa ludzi, celujących w działaniu praktycznem, ludzi obrotnych, zręcznych, wytrawnych. Nie można zresztą im zaprzeczyć często i wzniesienia się w duchu; a co do ich chęci, jakież mamy prawo sądzić, że są mniej czyste od chęci filozofów?

Przyznajmy im to wszystko, nie pytajmy nawet dlaczego pomimo ich ster tak tęgi i dobrze wyrachowany narody pod ich kierunkiem czują się być w odrętwieniu moralnem, bez celu, bez ideału. Mogliby nam odpowiedzieć, że taka jest niezbędna kolej ludzkości cywilizowanej. Przypuśćmy na chwilę, że społeczność dzisiejsza przyszła już do swego stanu normalnego, wyrzekła swoje ostatnie słowo, powiedziała że potęga Boża nie może działać inaczej jak przez ludzi zręcznych i przeważnych. Dobrze! więc dla zbliżenia się do Boga starajmy się nabyć zręczności i przewagi.

Ale wtedy, co będziemy mieli powiedzieć ludowi? I lud potrzebuje Boga. Powiemyż mu, że powinien naprzód stać się zręcznym i przeważnym? A jak tego dokazać? Alboż to nie wiadomo! Przecięż uczą tego publicznie, i co lepsza przykładami. Nie brak wzo-

rów w tym przedmiocie, dosyć tylko je naśladować. Niech więc lud wprawi się nie mieć innego przekonania nad te, jakie mu chwilowy interes podyktuje, nie radzić się innej wyroczni prócz opinji publicznej, nie używać innej mowy jak tylko tej, co *dana dla ukrycia myśli*, nie uwielbiać niczego prócz powodzenia, nie powodować się niczem, jak tylko tem co się już stało. Takim sposobem nabywa się reputacja zręczności, jedyna świętość u ludzi światowych; przychodzi się do kapitału, który daje wstęp do świątyni przemysłowej; otrzymuje się pozycja socjalna, niebo człowieka nowożytnych czasów.

Nauka tego katechizmu, jak widzicie, sprzeciwia się wbrew nauce ewangelji. Ewangelja powiada, że jest dwojaka mądrość: mądrość *synów światłości*, i przeciwna jej mądrość *synów ziemi*. Ta ostatnia wydała już swoje owoce: poznało się na niej całe chrześcijaństwo. Czucie chrześcijaństwa precz ją odpycha; czucie ludów brzydzi się nią bardziej niż kiedykolwiek. Nigdy ludy nie miały mniej zaufania w mądrości synów ziemi. Darmoby im było wśród nich szukać zbawiciela. *Principes hominum, filii hominum, non est salus in illis.*

Zdaje się, że kwestja, którąśmy odłożyli na zamknięcie naszego wykładu, już jest wyczerpana.

Z samego ciągu rzeczy musieliśmy przyjść do niej. Mówiliśmy często o działaniu, mówiliśmy, że nasze zbawienie zależy od czynu. Roztrząsnąwszy usiłowania teoretyczne umysłu, wypadało nam zwrócić uwagę na to, jakich stąd skutków praktycznych spodziewać się można. Powinno to być jasno, że działania prawdziwego nie bierzemy za jedno z popędem nadawanym przez interesa albo namiętności chwilowe. Popędy i środki wykonania czynów, któreśmy mieli na myśli, leżą poza obrębem dzisiejszej działalności ludzkiej.

Część scientyficzna naszego powołania już jest dopełniona.

Odwoływaliśmy się do historji, do systemów, do ludzi, słowem, do wszystkich organów ziemi i wszystkie odpowiedziały nam jednogłośnie, że pragną i spodziewają się otrzymać prawdę, ale podać jej nie mogą, i nawet gdzie jej szukać nie wiedzą. Świat wyznaje, że dać prawdy nie może; a należałoby jeszcze powiedzieć, że ci co są pod wpływem świata i przyjąć jej nie mogą.

Niektórzy wszakże filozofowie (Cieszkowski, Emerson) domyślali się już czego potrzeba do przyjęcia prawdy. Zalecają oni pra-

cę wewnętrzną; ale tego nie wiedzą, że nie wszystkie narody równie są przygotowane do tej pracy. Każdy grunt ma swoje źródła podziemne i może być uprawiony; ale nie wszędzie ta woda tak blisko powierzchni: czasem bywa niezmiernie głęboko. Są takie pustynie w Arabji, i takie wyżyny w Alpach, gdzie cała sztuka artezyjska nie dokazałaby niczego. Trzeba je zostawić działaniu żywiołów i wieków.

Szczęśliwe ludy, które ukończywszy tę długą i ciężką pracę, gotowe są do przyjęcia ziarna Bożego. Francja, będąc jeszcze Gallją, przed wprowadzeniem chrześcijaństwa odbyła pierwszy dzień swojej roboty. Z całej tej historji gallijskiej pozostało jej wiadomych ledwo kilka tylko faktów zapisanych przez Rzymian, którzy sami zgoła nie byli zdolni ich rozumieć. Zastanawiając się nad historją plemienia słowiańskiego, może ona wyczytać nieznane dzieje swych przodków. Nie dla bawienia próżnej ciekawości dawałem poznać tę historją; nie dla zyskania też pochwał talentom pisarzy słowiańskich, przytaczałem opisy strasznych klęsk i ucisków doświadczonych przez te ludy. Literatury wszystkich narodów mają w tym rodzaju przepyszne obrazy, ale nie tak prawdziwe, często nawet przesadą swoją szkodzące prawdzie. Poeci nieraz, wymyślając niebyłe cierpienia i malując je w kolorach jaskrawych, uderzają tem publiczność, ale tępią jej czucie, i czynią ją niezdolną pojmować cierpień rzeczywistych. Ci tylko co sami cierpieli, umieją w tem rozpoznać co prawdziwe, a co udane.

Polska wspólnie z Francją nowożytną dobijały się zorzy dnia nowego. Długą noc dzielącą dwie epoki, dwa te narody przebyły czuwając i pracując razem. Duch francuski przedsiębrał, stosował, realizował najwięcej; duch polski, duch tego narodu zmuszonego po upadku politycznym wejść całkiem w samego siebie, przyszedł do skupienia się, jakiego od śmierci politycznej ludu izraelskiego, nie było na świecie przykładu. Polska tym sposobem wtajemniczyła się w historją Izraela, wzięła ją na siebie i stała się jej reprezentantką. Francja szerzy się na ziemi i ogarnia świat; Polsce wytrąconej ze świata pozostał jeden tylko kierunek wytężenia się ku niebu. Ciągiem nieustannych cierpień naród ten zbliżał się do swego Boga, który na ziemi był człowiekiem cierpiącym, połączył się z nim i w łonie swojem przygotował mu świątynię.

Tajemnice każdej epoki stają się jasne rozumowi ludzkiemu, ale to wtedy dopiero, kiedy już czas wyłoży je dziejami, kiedy ziemia zaświadczy o nich przed niebem. Krzyże sterczące na wieżach waszej stolicy tłumaczą dziś dostatecznie tę moc czynną, która przed 1,800 lat wyszła z Judei. Czas to wykazał. Naszą powinnością było wyprzedzić bieg czasu, zapomocą tego co znajome i obecne usposobić umysły do pojęcia rzeczy nieznanych i przyszłych. W tym celu udawaliśmy się do książek, do systemów, do spraw ludzkich; zbieraliśmy głosy ziemi: i zaprawdę powiadam wam, potwierdziły one głosy naszego wnętrza. Mieliśmy obowiązek uczynić was świadkami w duchu tych kolei, jakiemi Opatrzność prowadzi narody, przeznaczone do przyjęcia ducha nowego.

Przeznaczeniem Polski było wcielić objawienie nowe; przeznaczeniem Francji przyjąć je najpierwej.

W tych niewielu słowach zamyka się cała treść czteroletniej pracy naszej pomiędzy wami.

Obowiązek mój, jako profesora rzeczy słowiańskich, jest teraz dopełniony.

Mówiłem dotąd w imieniu całego rodu naszego, wyrażałem, jak sądzę, uczucia wspólne Rosjanom, Czechom, Serbom, Illiryjczykom, i wszystkim Słowianom. Wolno mi nakoniec odezwać się jedynie jako Polakowi.

Jeżelim tedy zapomniał o moim charakterze Polaka, żeby osobiście skojarzyć się z Francją ściślej jeszcze niż mię łączyła tradycja narodowa, żeby zlać się z nią w duchu aż do uznania się bratem Francuzów i synem Francji; jeżelim dał jakiekolwiek dowody szczerej miłości waszego kraju; jeżelim usiłował pokazać Słowianom i przypomnieć tym z pomiędzy Francuzów, którzyby mogli o tem zapomnieć, do czego genjusz francuski powołany: mam więc dwojakie prawo, jako człowiek, który oddał usługę, i jako jeden z pośród mojego ludu, oświadczyć wam, że wielka odpowiedzialność cięży dziś na Francji. Francja nie może cofnąć się do życia *u siebie i dla siebie*. Przodkowie wasi pracowali i cierpieli wieki, żeby was wznieść nad takie życie. Francja nie ma prawa zejść ze stanowiska, wytkniętego jej przez Opatrzność, zdobytego trudami ojców waszych, uznanego od wszystkich narodów obcych. Wódz, któryby, zaprowadziwszy wojsko daleko, postawił w ciężkiem położeniu, miał-

żeby prawo je opuścić? Może on zrzucić z siebie dowództwo, ale nie zrzuci nigdy odpowiedzialności. Francja, która tak długo szła na czele narodów chrześcijańskich, nie może ich opuścić wśród rozsypki moralnej!

(Oklaski; wzruszenie w słuchaczach: jedna kobieta powstaje i przemawia kilka słów głośno).

Przyjmuję te słowa, jako szacowne świadectwo: są mi one dowodem, że com powiedział, było tylko wyrażeniem uczuć waszych. Głos francuski przyświadczył mi.

Tak, Panowie, życie *u siebie* już nie dla genjuszu francuskiego. Ten genjusz przewrócił świat moralny; wszystkie pojęcia miejscowe, wszystkie wyobrażenia narodowe, wyruszył z siedzib, pomięszał prąc naprzód, albo ciągnąc za sobą: i potem opuścił! Te pojęcia, te wyobrażenia, przyszły z czasem do opamiętania się, do ładu, i dziś patrzą gdzie ich przewodnik, ich wódz, szukają genjuszu waszego.

Genjusz Francji, nie jest to dla nas jakie wyobrażenie oderwane: my umiemy go poznać, myśmy go znali niegdyś. Jako Polacy, jako dziedzice i reprezentanci naszej przeszłości narodowej, możemy powiedzieć, że nawiedził nas, a ilekroć ujrzeliśmy go, nie wahaliśmy się pójść za nim; co więcej jeszcze, służyliśmy jemu! Ukazał się był nam naprzód z oryflamem Karola Wielkiego: poddaliśmy się jego prawom i walczyliśmy obok jego paladynów. Niedawno przyleciał do nas na skrzydłach orłów cesarskich: przyjęliśmy jego kodeks i poszliśmy z nim wojować po całej Europie. Gdzież on jest teraz, ten genjusz! Nie będziemy go szukali, biegając po pleciance waszych dróg żelaznych; wiemy także, że nie siedzi ani w bibljotekach, ani w literackich warsztatach waszych; bo jego cechą jest działanie. On niegdyś wyobrażenia swoje narodom innym ostrzem lanc wrażał, strzałami dział ogłaszał; ustawy swoje pisał pod cieniem chorągwi i wawrzynów wojennych. On dobywał czyn, wyzywał do czynu. Ludy, które odpowiedziały na ten wyzyw, pytają teraz was nawzajem: gdzież jest to do czego nas wyzywano?

Polska odpowiedziała na wszystkie wasze wyzywy. Wstrząśnienie, które w dniach lipcowych poruszyło bruk paryski, podniosło całą staropolską ziemię; kule karabinowe, które wyganiały u was rząd dawny, przeleciawszy cicho przez Niemcy, pozamieniały się

na naszym gruncie w granaty i bomby. Wtedy głos całych wojsk wołał do was: wojska te poginęły! Polska teraz stawi wam ostatni wyzyw: tym wyzwem jesteśmy my, tułacze polscy.

W imię Polski żądamy od was, żebyście powiedzieli, gdzie jest ów genjusz lipcowy, genjusz Francji?

Powiedzcie nam, gdzie wasz genjusz, gdzie wasz człowiek? Pokażcie go nam, bośmy gotowi iść za nim.

Albo jeżeli nie, to będziemy żądali, żebyście poszli za nami, za naszym genjuszem, za naszym człowiekiem.

Podczas kiedy ogień działowy obracał w perzynę wały Warszawy, poeta żołnierz, Garczyński, oparty na jaszczyku pisał te wzniosłe i prorocze wiersze.

Jak krwią twarz Zbawcy, na chuście świętej
W wieczne się czasy odbiła,
Tak i wam, ludy, cud niepojęty,
Tajemna krwi naszej siła,
W pamięci, nasze męczeńskie życie,
Obraz mąk naszych wytłoczy;
Każda myśl wasza mieć będzie oczy,
I każdą na nas spojrzycie!

(Głębokie wrażenie na słuchaczach).

W tym obrazie istotnie zamyka się cała historja nasza: jest to emblemat, sztandar ludów. Ale obraz ten nie pokazuje już mi się w duszach generacji, mającej przeznaczenie zbawić ludy, choć przecięż odbyła ona ostatni dzień swojej męki. Do tej generacji należą wszystkie duchy, które już podniosły swój grobowy kamień przeszłości, które na wnętrzu swojem poczuły drgnięcie Chrystusa zmartwychwstałego. Wielka ta i silna generacja jest przeznaczona na to, aby z jej łona wyszedł i był przez nią ukazany światu Chrystus, już nie stojący przed Piłatem, ale zmartwychwstały, przemieniony, zbrojny we wszystkie znamiona potęgi, Chrystus mściciel i odpłatca; Chrystus dnia sądnego, Chrystus Apokalipsy i Michała Anioła.

To ECCE HOMO naszej epoki.

Lekcja niniejsza, Panowie, jest zakończeniem naszego wykładu. Zbierzemy się tu raz jeszcze, i będzie to ostatnia nasza schadzka.

LEKCJA XIV

Wtorek, 28 maja 1844

Słowianie. — Polacy. — Napoleon.

W wyjaśnieniu powodów do prawa, ustanawiającego przed czterema laty katedrę niniejszą, czytamy:

„Chociażby nic więcej tylko pod względem politycznym brać ważność mowy słowiańskiej, niemasz żadnej innej, którejby nauka była użyteczniejszą. W ciągu naszych wojen z Północą wielekroć Francja miała synów Słowiańszczyzny przeciw sobie albo w swoich szeregach. Wojna nie dawała nam ani czasu, ani ochoty przypatrzyć się im bliżej. Pokój nareszcie dozwala nam, w języku i literaturze wszystkich gałęzi jednego szczepu doszukiwać się *ducha narodowego*, pamiątek i dążności wspólnych plemieniowi, zachowującemu przez tyle wieków nieprzerwany wątek podań *życia bohaterskiego*. Niezmiernie ważną jest rzeczą poznać jednorodne tło tych ludów, które mają przed sobą *wielką przyszłość*, ale nie mogą pozostać obcemi *naszemu przeznaczeniu*."

Powody te były rozwijane przez ministra podczas rozpraw nad ustawą. Nikt ze Słowian nie wpływał na redakcją wyjaśnienia, a jednak skoro ustawa została ogłoszoną, zainteresowało to niezmiernie Słowiańszczyznę, odpowiadało jej nadziejom przeczuciowym.

Otrzymawszy wezwanie od rządu francuskiego, wyczytałem w tem znak czasów. Wyjaśnienie powyższe otworzyło mnie samemu oczy na zadanie mego życia.

Po raz to pierwszy, i ostatni, będę wam, Panowie, mówił o samym sobie; nie przez próżność zaiste, bo jedyna zasługa jakąbym mógł sobie przypisać, zasługa żem miał odwagę przyjąć i spełnić do końca to powołanie, nie należy się mojemu *ja*. Nie powodowałem się w tem ani przezornością mojego rozumu, ani rachubami co stąd wyniknąć może; ale szedłem pchnięty duchem mojego plemienia, mojego narodu, i nakoniec głosem, który uznałem za głos Boży. Muszę mówić o sobie, żebym wam wyjaśnił moje stanowisko.

Pojęcie zakresu obowiązków profesora i sposobów uczynienia im zadość, różni się stosownie do czasu i miejsca. W mojem przekonaniu sądziłem, iż odpowiem wiernie i duchowi mojego narodu i duchowi tej szkoły, uważając powołanie profesorskie jako *urząd słowa.*

Będąc urzędnikiem słowa, miałem ciągle przed oczyma pana tej majętności, pana srogiego, który każdy talent nam dany każe mnożyć dorobkiem, z każdego słówka domaga się rachunku, *chce żąć gdzie nawet nie siał.* Przestałem już tedy oglądać się na szczupłość mojego talentu, a myśliłem jedynie o tem, abym nie był odpowiedzialny za brak usiłowań w obróceniu go na korzyść.

Niedobrze mówię po francusku; języka tego nabyłem tylko z używania: tak się go uczą emigranci, i lud wasz uczy się nieinaczej. Tłumaczę się z trudnością: w rozmowie zwyczajnej często urywa mi się wysłowienie, nie mogę złowić potrzebnego wyrazu; a oto w tym języku ze wszystkich jakie znam najtrudniejszym, w języku nad którym nie pracowałem nigdy, przyszło mi mówić do publiczności Kolegjum Francji! Ale miałem mówić o mojej religji i moim narodzie; nie wolno mi już było zważać na te przeszkody, nie wolno było zajmować się szlifowaniem frazesów, doborem wyrazów. Jestem chrześcijaninem; przypomniało mi się, że w ewangelji zakazano temu kto ma ogłaszać wielkie prawdy, wyraźnie zakazano, układać pierwej w głowie co będzie mówił. Wszyscy znają to prawo duchowe i razem literackie, a gdzież się go trzymano? Co do mnie, wziąłem sobie za prawidło nie przychodzić tu z mowami przygotowanemi. Jako chrześcijanin, chciałem przez to dowieść mojej wiary w obietnice ewangelji; jako Polak, powinieniem był rachować na pomoc Tego, czyj duch ją dyktował, pomoc jedyną, która nigdy nie zawiodła mojego narodu, ilekroć do niej się udawał, i nigdy go nie zawiedzie.

Na wszelkich innych pomocach, zwyczajnie używanych w podobnych razach, mnie zbywało. Nie miałem bibljoteki słowiańskiej pod ręką, nie miałem uczonych słowiańskich, którychbym się mógł poradzić, a jednak i książek i rad było mi potrzeba. Spuszczałem się w tem — jak mówią — na przypadek; wyglądałem tych pomocy z rąk Opatrzności: i nie zostałem bez nich.

Codzień mówiłem sobie samemu: jeżeli ja, Polak, pozbawiony

wszystkich środków wpływu na publiczność francuską, nie mając ani powagi, ani wziętości, ani daru bawienia; ja, który postanowiłem sobie za prawo, nie odzywać się nigdy głosem namiętności, nie czynić nigdy zwrotów do wypadków obecnych, nie używać żadnych tych sposobów jakiemi zwyczajnie pozyskuje się przychylność, nie pochlebiając żadnej z przyjętych opinij, walcząc owszem przeciwko wszystkim — potrafię zawiązać spółkę duchową między mną a mymi słuchaczami, jeżeli oni uznają mnie za swój organ, będzie to znakiem, będzie dowodem żywym, że naród do którego należę, i który znajduje się w podobnem jak ja położeniu, jest waszym bratem w duchu, zdoła kiedyś waszą sympatją narodową obudzić, rozwinąć i utrzymać.

Mówiłem wam, że ten to naród otworzy nową historją Europy, albo raczej Europie, Francji da poznać tę stronę historji, którą nazwałbym stroną tajemniczą, stroną boską własnych dziejów waszych.

Historją Francji porównam do księżyca. Wielu uczonych astronomów co noc robi nad nim swoje postrzeżenia, a wszakże, jak wiadomo, widzi tylko jedną jego półkulę; druga, obrócona do słońca, jest dla nich wiecznie zakrytą, tajemniczą, kiedy tymczasem lada mieszkaniec innego planety zna ją bardzo dobrze.

Otóż, jakem powiedział, lud słowiański duchowy jak i francuski, ale w innym kierunku puszczający swego ducha, z innej strony i organem właściwym sobie pojmuje kwestje, które u was się toczą, wypadki, które wami wstrząsają. Możnaby powiedzieć, że lud ten mieszka na innym planecie, bratnim jednak, bo obracającym się koło tegoż słońca.

Mówiłem o tej krainie niewidomej, gdzie Słowianie mają swoje muzea malarstwa i rzeźby, skąd biorą poezją i muzykę; tam też uczą się oni i historji powszechnej, a nadewszystko historji narodów, które ich obchodzą najwięcej. Historja wasza dobrze im znana. Ludy słowiańskie trzymają wzrok swego ducha wlepiony w genjusz waszego ludu, wyczytują z niego przeszłość i przyszłość waszą. Stąd to pochodzi ich głęboka skłonność ku wam.

Oburzano się na mnie, żem jako Polak miał zbyt wynosić, pochlebnie wystawiać Francją; przytaczałem wszakże słowa Rosjan i Czechów, stwierdzające tę samą prawdę, pokazujące tę samą mi-

łość duchową naszego plemienia dla was: teraz oto macie wiersze jednego Wołocha, poety z rodu romańsko-słowiańskiego, należącego do Słowiańszczyzny przez spólność uczucia tylko. Dzieło o którem mówię, wyszło w Paryżu 1841. Poeta Konradini, tak się odzywa w pożegnaniu do swoich ziomków:

„Jeżeli was rzucam, przyjaciele, współrodacy, współtowarzysze moi, was z któremi dzieliłem uciechy, kiedy dziećmi jeszcze, igrając pod cieniem jesionu, mięszaliśmy nasze krzyki z odgłosem śpiewów nieszpornych; to że od dzieciństwa niezwyciężona jakaś skłonność ciągnęła mię ku ludowi francuskiemu: gorąco pragnąłem oglądać go, wielbić jego dzielność, kosztować owoców przeszłych prac jego."

A dalej:

„Chcę, rozmawiając z moim mistrzem najwyższym, widzieć jakim ogniem genjusz zapala wzrok jego; chcę, wziąwszy go za rękę, powiedzieć mu, że go kocham, abym przez to wynagrodził sobie łzy które to rozstanie się wyciska."

Dla zetknięcia się więc z ogniskiem ducha francuskiego ciągnięty — jak sam powiada — skłonnością nieprzezwyciężoną, przybył on do Francji. Kiedy na wiosnę pokaże się ptak przylotny, wiecie, że go nie własny ale całego gatunku instynkt przywodzi: zjawienie się jego zapowiada przylot stad całych. Słowa poety są zapowiedzią wielkiego ciągu duchów słowiańskich do waszego kraju.

W człowieku prostym, który jeszcze nie rozbratał się z naturą, a obok tego nie zerwał nici tajemnej łączącej go z Bogiem, najpodziwniejszem czuciem jest ta miłość, co tak dobrze pojmuje obecność, a razem przenika przyszłość. Miłość ta duszę zdolną do niej wyrywa z czasu i przestrzeni, wynosi ją w tę krainę, gdzie zachodzą wszystkie zetknięcia się duchowe. To czego się tam doznaje jest obecnem; ma obecność jedynie rzeczywistą, bo daje się czuć bezpośrednio.

Jest u nas powieść gminna (i zdaje mi się że coś podobnego czytałem w waszych romansach rycerskich), powieść o jednym

rycerzu, który, wyjeżdżając daleko na wojnę, zostawił żonie swój szyszak i miecz. Dzień i noc miała ono przed oczyma te pamiątki i widziała na nich znaki jak się mężowi powodziło; bo za jego lepszym lub gorszym losem szyszak to błyszczał to ciemniał, a niekiedy nawet kropla krwi ściekając po mieczu, dawała wiedzieć, że się znajdował w niebezpieczeństwie.

Powieść ta nie jest zmyśleniem poetyckiem; zamyka się w niej historja wewnętrzna jakiejś duszy kochającej, głębokiej i osamotnionej. Taką jest dusza naszego ludu. Lud nasz ma pamiątki po was: pozbierał kaszkiety grenadjerów wielkiej armji rozsiane od Berezyny do Niemna; w każdej chacie znajdziesz ułamki pałaszów waszej jazdy. Często wpatruje się on w te szczątki z zadumaniem, chce z nich odgadnąć co się z wami dzieje. Kto wie, czy nie jaki połysk niespodziany, na tych zaśniedziałych żelastwach mignąwszy w dniach lipcowych, natchnął kmieci naszych niewytłumaczonym zapałem ku waszej sprawie. Po ludzku, nie znali oni ani jej przyczyn ani celu; dowiedli jednak, że wiedzieli co znaczyła. Wiedzą więcej jeszcze. Z tej krainy gdzie czerpią naukę waszych dziejów, gdzie mają dzienniki, donoszące im o wypadkach, odbierają oni także wieści o rzeczach zakrytych, albo zaledwo komu powstałych w głowie. Czasem daje się im widzieć, co należałoby uważać za marzenie, gdyby nie marzyło się jednejże chwili mnóstwu ludzi, i nie było przez nich urzędowie stwierdzone. Lat temu kilka w jednym powiecie na Litwie ludność całej okolicy przed urzędnikiem rosyjskim zesłanym na śledztwo zeznała pod przysięgą, że kilka razy widziano w mgle przy świetle księżyca przeciągające ponad ziemią z zachodu na północ zastępy wojsk francuskich i polskich. Co to było: cień przeszłości, czy widmo przepowiednie? Przegląd dawniejszej wielkiej armji waszej, czy pobudka duchowa żołnierzy przyszłych?

Wiem, że poeci wasi roili nieraz podobne rzeczy. Jeden z poematów takiego rodzaju był nawet uwieńczony przez Akademją francuską przed dziesiątkiem lat. Ale rzeczywistość, że ją kto przeczuł pierwej czy małpował, nie przestaje być rzeczywistością. Uręczam was, że lud litewski nie myślał poetyzować, kiedy przysięgał za prawdziwość tego co widział, i krwią pieczętował przysięgę. Dowody urzędowe świadczą o tym wypadku.

Nie, Panowie! historja wielkiej armji u nas Polaków nie zapadła jeszcze w przeszłość, nie stała się przedmiotem akademicznym; jeszcze ona nie zamknięta. Byt nieśmiertelny wielkiego wodza tej armji, dla nas nie jest urojeniem.

Duch wielkiego naczelnika, genjusz Napoleona, jest gwiazdą, w którą patrzą wszystkie duchy. Przez niego to pojęliśmy duchem waszą historją, w nim wyczytujemy waszą przyszłość. Był to genjusz najwięcej dobywający z siebie, w całem życiu ziemskiem działający tylko przez to. Bezustanku trzymał on ducha swego w krainie, o której tylekroć wam mówiłem, w ojczyźnie naszej duchowej. Stamtąd brał swoją siłę, siłę istotnie mającą charakter nowy, nie należącą się ani przeszłości, ani ziemi. Nie wynikała ona z jego położenia w społeczeństwie, albo z rachub rozumowych; była całkiem boską, leżała w jego duchu. Napoleon pokazał raz na zawsze, że już z tego tylko źródła będzie można ciągnąć prawdziwą potęgę polityczną. Pod tym to względem nadewszystko genjusz jego powinien zastanawiać.

Wy umiecie cenić jego wysokie pomysły strategiczne na polach Auerstaedtu i Jeny; Słowianina to przejmuje uwielbieniem, że kiedy wsiadał do pojazdu, wyjeżdżając z Paryża na wyprawę pruską, czuł z góry — jak sam mówił — że miał już Prusy w swej dłoni. Co mu dawało tę wiedzę? Kto go o tem zapewnił?

Francja zadrgała z radości, widząc go, wysiadającego na brzeg w samą porę dla wyrwania jej z bezrządu a Włoch z rąk Rosjan i Austryjaków; ale Polak to sobie rozbiera i pojmuje, jakim sposobem Napoleon, ujrzawszy na Nilu zapalony przez Arabów statek zwany *Włochy*, poczuł z tego znaku, że ogień wojenny palił się już we Włoszech. To są tajemnice, które pociągają ku niemu duchy słowiańskie, i czynią im wyzyw do rozwiązania ostatecznie zagadki tego ogromnego żywota.

Konradini mówi o Napoleonie:

„Tajemnicze jestestwo, przed którem w jego przechodzie wszystko musiało korzyć się jako przed swoim panem".

Niżej zaś:

„Jednakże cały lud, w którym ty żyjesz jeszcze, poszedł wyrwać twoją trumnę z grobu. I kto wie, czy ten co dla ciebie zro-

bił koronę, żeby słowem: Napoleon! napełnić świat cały, nie przeznaczył samym zwłokom twoim posłannictwa godnego wielkości twego imienia? Kto wie, czy Francja rozpłakana na twoim kamieniu grobowym, nie zerwie się nagle popędem zwycięskim? Kto wie jak dziwnych skutków nasieniem prochy twoje stać się mogą z czasem? Kto wie?... Ale już słyszę zbliżający się orszak żałobny...."

W tem jednem miejscu poeta nie dokończył wiersza.

Prawie wszyscy znakomitsi poeci słowiańscy dzisiaj posiadają dar drugiego widzenia; ale Konradiniemu, piszącemu we Francji, zabrakło zapewne odwagi wygadać z prostodusznością chłopa naddunajskiego, co miał powiedzieć.

Przez to drugie widzenie poezja słowiańska, i możemy dodać, duch rodu słowiańskiego stykają się z duchem Napoleona.

Ale co to drugie widzenie ma wspólnego z kwestjami zajmującemi dzisiaj ludzkość?

W czem ten dar, to usposobienie do wchodzenia wewnątrz nas samych, mogą nam dopomóc na drodze naszych spraw ziemskich? Jakim sposobem dojść do tego? Co pod tym względem znaczy Napoleon, i dlaczego aż dotąd ludy drgają na wspomnienie samego imienia wielkiego tego człowieka?

Dar ten jest niczem więcej jak tylko odbieraniem tych potrąceń wewnętrznych, znanych artystom, żołnierzom, i zapewne wam wszystkim, bo Francuzi w ogólności z natury swojej są duchowi. Te potrącenia, te chwile natchnień dają nam odrazu uczuć w sobie większą niż zwyczajnie mamy siłę, jasność, pewność wszystkich władz naszych i nawet środków ich użycia. Cóż to są te chwile natchnień? Są to podniesienia się ducha do krainy wyższej. Jeżeli bowiem nagle czujemy się być napełnieni mocą nieznaną, jakiej nie otrzymujemy żadnym zwykłym sposobem, jakiej nie mamy w powszednim stanie, moc ta musi pochodzić z krainy niewidomej i niedotykalnej.

Natchnienie zawsze będzie dla człowieka dobrej wiary dowodem bytu świata niewidomego, tajemnego, bytu, który chrześcijanin przyjmuje jako dogmat, a filozof szczery musi uznać przez samą logiczną konieczność.

Owóż, póki Kościół działał na rozwinięcie ducha ludzkiego, pomagał ludziom podnosić się do krainy światła i siły, wszyscy bie-

gali do Kościoła, żeby za jego pośrednictwem stykać się z niebem. Każdy wracał z nabożeństwa kościelnego mocniejszym, dzielniejszym, lepszym ojcem rodziny, lepszym artystą, lepszym żołnierzem. Ale historja i rzeczywistość świadczą, że od wieków Kościół przestał wprowadzać do nieba, sam nawet do niego już nie wchodzi; od wieków w czynach Kościoła nie widzimy żadnego pierwiastku, któryby nie był znany synom ziemi, nie widzimy nic takiego coby się nie mogło znaleźć poza Kościołem.

Tymczasem wszakże ludzkość postępowała ciągle; zakres jej działania rozszerzał się coraz bardziej: potrzeba jej było więcej niż dawniej pomocy nadzwyczajnych. Pomocy tych darmo szukała w Kościele; Kościół nie mógł ich dać, bo sam przestał je odbierać, przestał stykać się z niebem.

Odtąd więc duchy śmielsze, odważniejsze, poczęły same dobijać się tego poza Kościołem; bądź szukając Królestwa niebieskiego, bądź usiłując zrealizować je na ziemi. Luter i Kartezjusz, Swedenborg, Saint-Martin i Fourier, Mirabeau i Danton, ludzie rozumowi, albo ludzie czynu, całe swoje życie poświęcali tej pracy. Podobni oni byli tym zuchwałym żeglarzom normandzkim, temu Janowi Polakowi, tym majtkom z Dieppu, co daleko pierwej przed Kolombem, jedni jako zbójcy morscy, drudzy jako handlarze, wiedzeni żądzą zysku albo sławy, puszczali się na odkrycie drugiej połowy świata, której byt ciągle przeczuwano wówczas. Kolomb sam jeden potrafił ją znaleźć i pokazać do niej drogę. On jeden tylko łączył w sobie rzadkie przymioty konieczne w wodzu wyprawy duchowej: czystość chęci, siłę, odwagę i wytrwałość. Wiadomo już teraz, że jedyną pobudką jego przedsięwzięcia było, dostarczyć chrześcijaństwu przez odkrycie Nowego Świata środki odzyskania *Ziemi Świętej*. Z tego względu był on ostatnim człowiekiem wieków średnich, ostatnim rycerzem krzyżowym. Opatrzność pobłogosławiła jego zamiarom. Ślady jego poprzedników niknęły zaraz na powierzchni morza, ale pręga, którą wyrył okręt Kolomba, pozostała wiecznie na oceanie jak kolej żelazna: statki wszystkich krajów ziemi biegają po niej.

Tak tedy podania starożytne żeglarzy fenickich i greckich zostały stwierdzone i wytłumaczone. Odkrycia wieków średnich rozszerzyły się i uzupełniły. Podróże morskie miały odtąd cel i szlak

wytknięty. Znoszenia się między dwoma półkulami ziemi weszły w karb porządny i stały.

To, Panowie, historja symboliczna usiłowań duchów, zamkniętych w połowie świata widomej, w materji — jednem słowem, a tęsknących do styczności z połową jego niewidomą, z niebem. Chrystus Pan pokazał jak się do niej dostać, i jak stosunki z nią utrzymać. Ludzkość brała jego naukę, nie biorąc na się jego pracy. Królestwo opowiadane w ewangelji stało się rzeczą powieściową, podobną do podań Scyllaxa i Nearcha. Rozum zastanawiał się nad cudami; duch wzbraniał się wytężeń zdolnych wydawać cuda.

A jednakże Bóg nie opuszcza ziemi; atmosfera niebieska wywiera ciągle parcie zbawienne na dusze ludzkie, usiłuje przedrzeć się w ich wnętrza, potrąca je, porusza, budzi do pracy dociskiem, wabi ku sobie nadziejami. Duchy najsilniejsze, najczystsze, najwięcej mające ruchu, są najbardziej usposobione do odbierania tego wpływu, są najbliższe źródła zjawisk duchowych cudów.

Ze wszystkich ludzi epoki przeszłej, Napoleon był najcudowniejszym. Ludy zgadywały czuciem, że ten człowiek odbywał pracę wewnętrzną, jakiej nie znali ni księża, ni papież, że sięgał dalej w tajniki niebieskie niżeli Kościół urządowy, a zatem, że mógł dopomóc ludom zbliżyć się do krainy siły i szczęśliwości, do Królestwa ewangelicznego, krótko mówiąc, do nieba.

Pojęto, że tak pracować, było to prowadzić dalej dzieło Chrystusa. Prowadzić dalej nie jest to naśladować. Pojęto, że dla prowadzenia dalej dzieła Chrystusowego, niedość było robić jak księża robili, niedość było nauczać, gadać kazań o Bogu, pokazywać Boga symbolicznie; trzeba było czynów. Żeby dowieść, że jesteśmy z Bogiem, niemasz innego sposobu jak stać się wyższymi od synów ziemi; przekonać, żeśmy silniejsi, mędrsi od nich, że zdobyliśmy nawet ziemię, jedyne pole ich działania, mamy moc ją ogarnąć, ścisnąć w dłoni i podnieść. Duch człowieczy jest synem tego Boga, który panuje nietylko w niebie ale i na ziemi. Duch powinien opanować ziemię.

Napoleon widział nadzieje tajemne swojego czasu, podpierał je, torował drogę do ich zrealizowania, ale sam nie zrealizował. Uległ przeciwnościom. Za późno dopiero poznał on tajemnice tych pokus duchowych, nad któremi robił tak przedziwne uwagi w swoich dyktowaniach na wyspie Śtej Heleny. Przytaczaliśmy już niektóre z tych

słów jego: dają one nam poznać nadzwyczajny stan człowieka, mającego na sobie posłannictwo.

Ewangelja powiada, że Zbawiciel pierwej nim zaczął działać na ludzi, długo musiał toczyć walkę z potęgami niewidomemi, to jest z tem, coby, wyrażając się językiem świata, można nazwać podszeptami pychy, drgnięciami żądzy wyniesienia się, pociągami do władzy doczesnej: walkę daleko niebezpieczniejszą dla ducha, niżeli wszelkie jego starcie się z ziemią. Zbawiciel wyszedł z tej walki zwycięzcą. „Jezus Chrystus nie był człowiekiem — mówił Napoleon — Jezus Chrystus mógłby był opanować Jerozolimę, mógłby był zagarnąć władzę królewską". Napoleon wiedział dobrze co mówił. Ani wątpić o tem, Bóg-Człowiek mógł zostać arcykapłanem jerozolimskim. Jego świątobliwość ludzka może mu to i radziła, ale jego boskość znała, że Duch Boży w arcykapłanie żydowskim podsyciłby tylko dumę kasty kapłańskiej i rodu żydowskiego. Syn człowieczy nie powinien był należeć do kasty zarozumiałej, ani do narodowości wyłącznej.

Pozwolę teraz sobie nawzajem dodać moje uwagi do słów więźnia Śtej Heleny. Pokusy, o których on mówi, mogły być jeszcze daleko potężniejsze. Zbawiciel żył w czasach, kiedy berło całego świata znajdowało się w ręku prostego żołnierza rzymskiego, kiedy tytuł cesarza uważano w mniemaniu publicznem za nagrodę, po jaką mógł sięgać każdy obywatel rzymski, każdy człowiek z genjuszem. Żydzi otrzymywali łatwo obywatelstwo rzymskie; największy genjusz był pośród Żydów; apoteoza mogła prędko nastąpić. Ale ludzkość coby zyskała na tej apoteozie? Syn człowieczy powinien był dowieść światu, że, aby opanować glob ziemski, nie trzeba na to być cesarzem, ani nawet obywatelem Rzymu.

Tego zrozumieć nie było dano Napoleonowi. Zdobywszy wszystko swoim genjuszem, nie pojął, że ten sam genjusz był dostateczny do utrzymania wszystkiego: stał się tedy synem ziemi, opuścił swoje posłannictwo.

Ludzie zmieniają się i upadają, ale Myśl Boża raz poczęta na ziemi musi być bez przerwy doprowadzona do końca; skoro jeden genjusz powołany do służby upada, drugi następuje na jego miejsce. W wielkich epokach niemasz bezkrólewi duchowych, dlatego nazy-

wają się one epokami wielkiemi. Nasza epoka jest wielką. Człowiek przeznaczenia musi mieć swego następcę duchowego.

Wyżej przytoczony poeta poczuwa tę tajemnicę i mówi:

„Ale jeżeli *człowiek* upada skołatany burzami, to że na statku brakowało jedności w działaniu, że nie było dłoni *wielkiego męża u steru.* Mąż ten jednak prędzej czy później przybywa, potężnem ramieniem przybija statek do brzegu, naprawia poniesione szkody, i daje mu swoje imię".

Że oczekiwanie tego męża jest powszechne, to nieraz mówiłem, a macie tego dowody. Dodam, że mnie samemu było dano przewidzieć go w duchu i skreślić jego wizerunek. Po raz pierwszy i ostatni zacytuję własne moje dzieło: odczytam wiersze pisane lat temu dziesięć.

Patrz — ha — to dziecie uszło — rośnie — to obrońca!
Wskrzesiciel narodu, —
. . . . . .
Któż ten mąż? — To namiestnik na ziemskim padole.
Znałem go, — był dzieckiem — znałem,
Jak urosł duszą, i ciałem.
On ślepy, lecz go wiedzie anioł pachole.
Mąż straszny — ma trzy oblicza,
On ma trzy czoła.
Jak baldakim rozpięta księga tajemnicza
Nad jego głową, osłania lice.
Podnożem jego są trzy stolice.
Trzy końce świata drżą gdy on woła;
I słyszę z nieba głosy jak gromy:
To namiestnik wolności na ziemi widomy!
On to na sławie zbuduje ogromy
Swego kościoła!
Nad ludy i nad króle podniesiony;
Na trzech stoi koronach, a sam bez korony:
A życie jego — trud trudów,
A tytuł jego — lud ludów;
Z matki obcej, krew jego dawne bohatery,
A imie jego czterdzieści i cztery.
Sława! sława! sława! [1]

[1] *Dziady*, Część III. Scena V.

Człowiek ten *z troistem obliczem i troistym tonem*, ukazał się już Izraelitom, Francuzom i Słowianom: zaświadczyli oni przed niebem, że go widzieli i poznali. Odwołuję się do ich świadectwa.

Człowiek ten sam tylko może prowadzić dalej dzieło realizacji napoleońskiej; sam on tylko zna historją Napoleona. Ileż wam z tej historji wiadomo? Kilkoletni ustęp żywota politycznego! Czy myślicie, że co było cudownego w tym żywocie, nie poczyna się dalej jak od jeneralstwa albo konsulatu? Czy wam się zdaje, że najogromniejsze ze wszystkich jakie kiedykolwiek były cesarstwo duchowe i ziemskie, mogło stanąć odrazu, nie będąc pierwej zgotowane w duchu Cesarza? Długa historja myśli i uczuć, które duch ten przeszedł nim ukazał się na scenie politycznej i wojennej, historja odpowiednia Chrystusowej do czasu kiedy zaczął nauczać, jest zupełnie nieznana. A i z tej drugiej historji jego, najmocniej obchodzącej człowieka religijnego, z historji pogrobowej jego ducha nieśmiertelnego, cóż my wiemy? Mówię do publiczności, wierzącej w nieśmiertelność, do publiczności katolickiej, francuskiej; mówię do synów żołnierzy Napoleona, do wielbicieli jego genjuszu, do przekonanych o życiu wiecznem; nie mamże przeto prawa zapytać was: jaki dajecie dowód miłości dla ducha waszego Cesarza? Czem pokazujecie, że was to obchodzi co się z nim dzieje, czy jest wśród błogosławionych, czy cierpi? Czujecież kiedy jego obecność, wiecież czego mu potrzeba, czego żąda i oczekuje od was? Bo u nas, Polaków, przywiązanie ku naszym przodkom i dobroczyńcom, obowiązki jakie względem nich mamy, nie kończą się z ich żywotem ziemskim. Żyli oni i pracowali dla naszego zbawienia, nasze życie i nasze prace powinny iść im na zbawienie. Tak religijne jak narodowe podania nam to nakazują. Żeby zaś zbawić swego ojca, trzeba koniecznie wypełnić jego wolę ostatnią; trzeba wykonać jego testament duchowy, domierzając posłannictwa, które leżało na nim.

Posłannictwo ziemskie Napoleona przerwane zostało na polach Waterloo. Tam też duch jego ukazał się w postaci jak tu widzicie [1]. Ukazał się nie takim jakim go widywano w bitwach albo na tronie cesarskim, ale jako urzędnik Słowa, powołany do zdania rachunku

[1] W tej chwili rozdawane są słuchaczom i krążą z rąk do rąk litografowane wizerunki Napoleona.

z Myśli Bożej, powierzonej mu dla całej ludzkości, i niespełnionej. Jest to wizerunek potęgi zwiedzionej i złamanej mocą złego, ale powstałej znowu przez boleść. Genjusz bolejący boleścią całej Europy, z oczyma wzniesionemi w górę, trzyma rękę wyciągniętą na karcie europejskiej. Ta karta, to jego dzieło; jego los wypisany na niej. On ustanowił Europę, jaką jest dzisiaj. Ci tylko, którzy cierpią z dzisiejszego stanu Europy, mogą pojmować cierpienia duchowe człowieka przeznaczenia.

Komu się serce ściska, kogo dreszcz przejmuje na wspomnienie Waterloo, niech patrzy! Ujrzy tu genjusz pokutujący za klęski dni tych fatalnych, ujrzy genjusz swojego narodu. Tak jest, to obraz waszego ducha narodowego! Lud wasz padł na polach Waterloo, został skazany na wygnanie z pośród narodów, odcięty od Europy, od przeszłości, przebywa męczeństwo więzienia na odludnej skale Śtej Heleny.

To obraz każdego Francuza. Wywołajcie tylko, niech każdy z was wywoła na moment własnego ducha, a zobaczycie czy w chwili kiedy czujecie się być ludźmi waszego ludu, synami wielkiego narodu, duch ten nie pokaże się wam takim; czy nie stanie przed wami osamotniony i tęskny, przejęty boleścią ludów i błagający o ich wybawienie.

W takich chwilach pojmujecie to dobrze, że posągi i pomniki kamienne, wznoszone publicznie, nie służą na nic duchowi. W takich chwilach czujecie czem trzeba być, żeby im przynieść ulgę. W takich to chwilach poznaje się ludzi powołanych, poznaje się także i męża, mającego posłannictwo prowadzić dalej dzieło człowieka przeznaczenia, zbawić świat, stać się *wielkim jak świat.*

Szukajcie, gdzie ten mąż! Wezwijcie ducha waszego bohatera, człowieka przeznaczenia. Tylko sam duch jego doprowadzić was może do *męża naznaczonego.* Ten obraz jest znakiem po którym go poznacie. Składam go w pamięci waszej. Będzie on mi służył za świadectwo spełnienia mego obowiązku; przyjdzie czas, że będziecie musieli zdać rachunek jak wasz spełnicie.

Napoleon i Waterloo! Jeżeli na wspomnienie dwóch tych imion dano było nam uczuć teraz, żeśmy jednym przejęci duchem; odbyliśmy z sobą komunją w duchu, spełniliśmy jedną z tajemnic Nowego zakonu. Taka komunja jest biesiadą duchową. Pierwsza uro-

czystość tej biesiady była obchodzona na polach Waterloo: tam po raz pierwszy zostały wyrzeczone te słowa, któremi zakończę rzecz moją do was:

„A jako ludziom w Sprawie Ducha, wolno nam kielich przy gorącem westchnieniu za pomyślność Sprawy i Ojczyzny naszej wychylić — kielich pierwszy taki na ziemi; bo ani służby takiej na ziemi, a stąd takiego kielicha nie było dotąd — pomnąc, że pozwolono jest człowiekowi przez podniesienie ducha Wieczerzę Pańską odnawiać".

1szy *Toast*

„Boże! racz przyjąć na chwałę Twoją to pierwsze wydanie Najświętszej Sprawy Ducha w formie ziemskiej".

„Za pomyślność, za święcenie się Imienia Twojego, o Panie! za pomyślność Najświętszej Sprawy Ludów, za pomyślność Ojczyzny naszej".

2gi *Toast*

„Miłosierdzie Pana, odpuszczenie i pokój Tobie, i rychłe z nami zjednoczenie, o Duchu nam drogi Bohatera, Bracie, Towarzyszu i Współdziałaczu w Świętej Sprawie, Ty Mistrzu! światły, znający bliżej wyroki Pana dla ziemi, po dwudziestoletnich cierpieniach, z pozwolenia wyższego w tej chwili podzielający naszą radość, naszą Biesiadę w duchu, przyjm w tej chwili uroczyste zapewnienie nasze, i ukój trawiące Ciebie, o Cieniu drogi, frasunki; że dołożym wszelkiego wysilenia, aby stać się powolnymi na Twoje natchnienia, na Twój kierunek, jaki bliższy Boga, podług woli Boskiej zakreślać będziesz. — Za radość, pokój i zbawienie Ducha Twojego".

KONIEC

KONIEC TOMU OSIEMNASTEGO

SPIS RZECZY

Literatura Słowiańska

Rok III

str.

LEKCJA I. Przemówienie. — Zakres i podział przedmiotu na rok poczęty. — Charakter nowożytnej literatury polskiej, jej dążność filozoficzna i socjalna. — Filozofja słowiańska zupełnie różna od szkolniczej ma za dogmat objawienie. — Objawienie Chrystusowe jedno na zawsze: następne po niem rozwinięcia i dopełnienia. — Całe narody powołane są otrzymywać i realizować prawdy. Któreż z nich mogą być najbliższe tego powołania? — Rosja i Polska mogą zejść się zgodnie na jednym punkcie wzniosłym. Warunki do tego potrzebne . . . . . 9—15

LEKCJA II. Obecność u Słowian. — Messjanizm. Postęp jest szeregiem objawień. Główny jego dogmat. — Słowo. — Każda narodowość jest rozwinięciem jednego słowa, jednej myśli wcielonej. — Różnica mędrców od filozofów. Prometeusz i Epimeteusz. — Kodeksa, ustawy, porządki ludzkie względem Ewangelji; teorje, retoryka, dziennikarstwo względem literatury. — Przeszłość stawi opór. — Naród najbardziej uciśniony od przeszłości. — Co jeden z poetów polskich mówi o poezji . . . . . 16—22

LEKCJA III. Jak literaci i poeci słowiańscy pojmują swoje powołanie. Krytyk M. Grabowski. Poeci: Zaleski, Puszkin. — Wpływ tajemniczy Byrona na poetów słowiańskich. Źródło skąd pochodził. Napoleon 22—32

LEKCJA IV. Jak pisarze czescy pojmują cel swych usiłowań. Kollar. — Pogląd dyplomacji austrjackiej na

str.

ruch słowiański w Czechach. Leon de Thun. — Co to jest państwo Austrji. — Rada Czechom . . . . 33—43

LEKCJA V. Teraźniejszość słowiańska rozstaje się ze swoją przeszłością bez wstrętu i wzgardy. Przedśpiew Kollara, epilog Goszczyńskiego. — Pochód poetów słowiańskich na hasło dane im przez Byrona. Goszczyński, Zaleski, Malczewski, Puszkin, — Nowe drgnięcie w poezji rosyjskiej: wiersz Chomiakowa do Napoleona. — „Przeznaczenie genjusza“ wiersz Goszczyńskiego. — Teraz daje się pojąć o co chodziło w sporze między klasykami i romantykami. — Poezja słowiańska jest w zawieszeniu i oczekiwaniu. Epoki sztuki i epoki czynu . . . . . 43—51

LEKCJA VI. (BADANIA STAROŻYTNOŚCI, I.). Potrzeba dowodów materjalnych. Erudycja stanowi materją nauki. — Starożytność Słowian i ślady ich bytu po całej Europie. — Poszukiwania we względzie starożytności słowiańskich rzucają światło na początki ludu rzymskiego. — Wyrazy niezrozumiałe dla historyków i prawników objaśnia mowa słowiańska. — Na drugiej stronie Bosforu te same nazwiska ludów.— Mała Azja, mała Ruś, mała Polska. — Źródłosłów najdawniejszego nazwiska Słowian. — Assyrja i Syrja. Assur biblijny nie ma potomków w Syryjczykach dzisiejszych, zaginął zupełnie. — Nazwiska bóstw i władców assyryjskich są słowiańskie. Grzech plemienia. *(Nabuchodonozor.* Nie Bóg, jedno Car).— Za ten grzech Assur starszy skarany zagładą, młodszy niewolą. — Czas pokuty Słowian dobiega kresu. — Wskazówki i dowody piśmienne . . . . . 51—64

LEKCJA VII. (BADANIA STAROŻYTNOŚCI, II.). Poparcie powyższych domysłów dalszemi dowodami. — Wizerunki Słowian na kolumnie Trajana. — To samo podanie o Gordjaszu co o Piaście. — Historycy: Lelewel, Szafarzyk, Potocki. — Historja losów rodu słowiańskiego wyrażona w pomnikach sztuki. — Kolos Północy. — Posąg zwany Scytą niewolnikiem, albo Szlifierzem. — Płaskorzeźby kolumn i łuków tryumfalnych. — Karjatydy. — Gladjator konający . . . 65—77

LEKCJA VIII. Poezja, ruch ducha, łączy dwa przeciwne końce bytu narodu lub plemienia. — Assur i Messjanizm. — Odstępstwo i Messjanizm fałszywy. — Rozbiór *Nieboskiej Komedji.* — Co to jest rzeczywi-

str.

stość. — Dramat proroczy. — Walka przeszłości z przyszłością. — Hrabia, bohater dramatu . . . . 77—95

LEKCJA IX. Dalszy ciąg *Nieboskiej Komedji*. Orzeł — symbol potęgi politycznej. Hrabia skuszony przez niego, w imię przeszłości podnosi oręż na przyszłość. — Wstęp do części trzeciej dramatu. — Pankracy, wyobraziciel przyszłego porządku rzeczy. Messjasz fałszywy. — W charakterze jego przebija się charakter wszystkich ludzi, którzy mieli posłannictwo niszczenia. — Przesada w przyznaniu jego mocy samej sile rozumu. — Filozofja narodowa polska, i Emerson filozof Amerykański naznaczają niskie miejsce rozumowi. — Autor zapatruje się na chrystjanizm jak Chateaubriand, tylko ze strony poetycznej . 95—105

LEKCJA X. Dalszy ciąg *Nieboskiej Komedji*. Zejście się Hrabi z Pankracym. — W scenie tej odbija się cała tajemnicza tragiczność ostatniej epoki dziejów Polski. — Starcie się naczelników wyobraża walkę w duchu, poprzedzającą zawsze bój na polu. — Widać który zwycięży, przy którym siła; ale prawdy niemasz przy żadnym, jest ona wyżej nad obudwoma: zwycięstwo nie pójdzie na korzyść zwycięzcy . . . 105—116

LEKCJA XI. Ostatnia część *Nieboskiej Komedji*. Opis pola bitwy. Bunt w twierdzy. Bitwa. Samobójstwo Hrabi. Tryumf ludzi nowych. Kłopot ich naczelnika po zwycięstwie. Wewnętrzny jego niepokój i zgon na widok znaku na niebie. — Autor dotknął tu wszystkich punktów Messjanizmu polskiego. — Plemię słowiańskie jest powołane utworzyć rząd nowy w dziejach ludzkości. — Ufność, jaką ludzie powołani mają w swoje przeznaczenie. — Anekdota o jednym wodzu mongolskim i wilku. — *Nieboską Komedją* i *Gigantomachją* Kordeckiego można stawić obok, jak dwa obrazy mające wspólność i przeciwieństwo. — Narodowa wiara polska w działanie świata niewidomego na widomy, i zgodność w tem pojęć Emersona . . . . . 116—127

LEKCJA XII. (BADANIA STAROŻYTNOŚCI, III.). Lepsze poznanie mitologji słowiańskiej zmieni stan teraźniejszy ogólnych wiadomości mitologicznych. — Historja prac naukowych w tym przedmiocie. Nowa epoka dla nauki mitologicznej. Kreutzer. — Wyjście

str.

na scenę systemu mitologji litewsko-słowiańskiej. Hanusch. Nork. Zgodność Kucharskiego, Ossolińskiego i Narbutta z Norkiem co do Wudynów. — Wszystkie religje pierwotne pochodzą z natchnienia; doktryna i sztuka krzywią je i gubią. Ważność tradycji słowiańskiej utrzymanej czysto . . . . . 127—136

LEKCJA XIII. (BADANIA STAROŻYTNOŚCI, IV.). Mitologja jest religją pierwotną, a religja stanowi istotę ludów. — Trzeba wydobyć co jest najistotniejszego w religji Indjan, żeby zobaczyć potem jak się to rozchodziło z ludami po świecie. — Dogmat wszystkich wiar starożytnych: Bóg jeden i powszechny. — Cześć słońca i księżyca. — Teorja Norka. — Znaczenie wszystkich obrządków jakiejkolwiek czci religijnej. — Wykład postępu objawień, przeciw Norkowi. — Najwyższość religji chrześcijańskiej. — Znaczenie *tradycji*. — Ludzka skłonność do nadużyć, cześć religijną będącą środkiem do celu, czyni samym celem. — Słowianie wolni od skrzywień przez doktrynę i sztukę, jakie mają przeznaczenie . . . . . 136—145

LEKCJA XIV. (BADANIA STAROŻYTNOŚCI, V.). Rzut oka na mitologją słowiańską, z odniesieniem do powziętych wyobrażeń ogólnych. — Hanusch. Nazwiska słowiańskie odpowiednie indyjskim. — Dankowski. Nazwiska słowiańskie w mitologji greckiej. — Jak daleko puszczać się można drogą wywodów etymologicznych. Cechy odróżniające mitologje. Charakter podań słowiańskich. — Piętnem rodu słowiańskiego jest *oczekiwanie*. — Czego ten ród mógłby spodziewać się od dzisiejszego kierunku cywilizacji. — Rehabilitacja rolnictwa. Zgodne z tem zdanie Emersona. — Cywilizacją i barbarzyństwo jak należałoby uważać w Słowiańszczyźnie . . . . . 146—156

LEKCJA XV. (BADANIA STAROŻYTNOŚCI, VI.). Mitologja litewska. Lud litewski w swoim języku i w swoich podaniach ma klucz wszystkich zagadnień. — Zdobywczy wylew Litwy. — Charakter ludu litewskiego. — Jest od odłamem narodu zawierającym części wszystkich jego pierwiastków składowych. — Spójnie jego z Polską. — Wpływ jaki wywarł na Północ; przyczyna obecnej nieczynności: jest także ludem *oczekującym* . . . . . 156—165

str.

LEKCJA XVI. O dramacie pod względem ogólnym. — Koleje i znaczenie jego w ciągu każdej epoki. — Cudowność w dramacie. — Trudność napisania dramatu prawdziwie słowiańskiego. — *Dymitr* Puszkina, *Obylicz* Milutynowicza, *Nieboska Komedja*. — Żaden teatr dzisiejszy nie jest dostateczny dla dramatu żądanego. — Sztukmistrzostwo dramatyczne chłopów słowiańskich. — Lud słowiański posiada wielką zdolność uwielbiania: najbardziej go porywa słowo.— O wprowadzaniu na scenę świata nadprzyrodzonego. Homer w tym względzie jest więcej chrześcijaninem od chrześcijan. — Wzorowy wstęp Milutynowicza . 165—173

LEKCJA XVII. Kwestja filozoficzna — Historja myśli europejskiej, jako wstęp do ocenienia stanowiska, które zajmuje genjusz słowiański. — Kartezjusz. Spinoza. Kant. Fichte. Hegel. — Ostateczny wypadek robót myśli europejskiej. — Dlaczego Słowianie nie wdawali się w te roboty filozoficzne i skąd się one wzięły. — Wpływ narodowości i pozycji osobistej filozofa na system przez niego robiony. — Filozofja niemiecka jest prawdziwie pruską . . . . . 174—183

LEKCJA XVIII. Oddziaływanie przeciwko górującemu kierunkowi myśli w Niemczech. — Herder. Jacobi. Schlegel. Schelling. — Ludzie czynu i poeci stawią zawsze opór przeciw filozofji scholastycznej. — Cokolwiek jest jeszcze życia rzeczywistego u filozofów niemieckich, biorą to z krajów obcych. — Podobieństwo między naczelnikami szkół filozoficznych i panującymi w Prusiech. Król pruski. — Dwa nazwiska polskie zamykają pochód filozofji niemieckiej. — Oddawanie się Polaków w umysłową niewolę Niemcom. Skąd pochodzi? — Filozofja niemiecka nie przyjmie się nigdy ani u Francuzów, ani u Polaków 183—194

LEKCJA XIX. (BADANIA STAROŻYTNOŚCI, VII.). Interes przywiązany dzisiaj do własności. — Pojęcia w tym względzie starożytnych Greków i Rzymian. — Zgodne z rzymskiemi wyobrażenia i zwyczaje u Słowian. — Urządzenie gruntów w gminie słowiańskiej. — Przedsięwzięcia reformatorskie St. Simonistów i Furierystów . . . . . 194—207

LEKCJA XX. (BADANIA STAROŻYTNOŚCI, VIII.). Własność podług kodeksu. — Własność podług zwyczaju słowiańskiego. — Nie było dziedzictwa ziemi u Sło-

str.

wian. — Najmłodszym dawane pierwszeństwo. — Własność szlachecka u Germanów, u Gallów, u Słowian.— Starostwa w Polsce. — Skutki zmian zaprowadzonych w różnych częściach Polski przez kodeks francuski, rząd pruski i rząd austrjacki. — Wyobrażenia tradycyjne szlachty polskiej co do własności i pieniędzy.— Radziwiłł i jego dukat. — Żydzi. Cyganie. Ekonomiści 207—218

LEKCJA XXI. Trentowski i jego system. — Nicość tego systemu i szalbierskie podawanie go za chrześcijański. — Filozofja niemiecka stara się tylko wytłumaczyć i usprawiedliwić co jest. — Nie wpłynęła ona na żadną zmianę politycznego i cywilnego stanu Niemiec. — Ulepszenia w tej mierze Niemcy są winne Francji i poczęści Polsce. — Moc do spojenia ludzi nie leży w systemach filozoficznych. — *Deus ex machina:* słowo Napoleona gaszące wojnę domową Szwajcarów . . . . . 218—227

LEKCJA XXII. Karta konstytucyjna Heglowska i anarchja w filozofji — Rozdzielenie się filozofów pruskich na stronnictwa, oznaczone nazwiskami stronnictw izby parlamentarnej francuskiej. — Cieszkowski w stanowisku Lamartina. — Jego list do Micheleta berlińskiego. Jego system. — Nie mówiąc o duchu, zrobił piękną definicją ducha. — Jak pojmuje nieśmiertelność duszy. — Niemcy niesłusznie porównywają Kanta do Kopernika. — Filozofja niemiecka chce dać obrót światu moralnemu nie koło jego słońca, ale koło swojej katedry. — Rady Cieszkowskiemu. Powinność filozofji polskiej . . . . . 227—237

LEKCJA XXIII. W czem nakoniec filozofowie uznali *criterium* pewności. — Filozofja scholastyczna oparła się na metodzie. — Co to jest metoda. — Przedstawienie metody Heglowskiej. — Gdzie osadzają *criterium:* De Maistre, Lamenais, Leroux, Emerson, Cieszkowski. — Przeczucie, *fatum.* — Jak ważną rolę gra narodowość . . . . . 237—244

LEKCJA XXIV. Szkoły filozofji niemieckiej, zwanej religijną, i Ludwik Królikowski. — Co do *criterium:* Schlegel, Schleiermacher, Solger; Królikowski staje między nimi a Cieszkowskim. — W czem wyższy od Cieszkowskiego, a w czem Cieszkowski ma wyższość nad nim. — Ułomność systemu Królikowskiego.—Czy filozof może założyć społeczeństwo? . . . . . 244—252

str.

LEKCJA XXV. Zamknięcie roku. Krótki rys dziejów słowiańskich, z zastosowaniem prawd okazanych w ciągu wykładu. — Ideał państwa Rosji. — Ideał rzeczypospolitej Polski. — Stary stan rzeczy w Słowiańszczyźnie już się kończy: śmierć moralna Lecha, Czecha i Rusa. — Człowiek wielki. — Duch nowy. — Wojsko *słowa* epoki nowej . . . . . 253—265

Literatura Słowiańska

Rok IV

LEKCJA I. Wstęp. Dążność wykładu w latach przeszłych i zamiar na rok poczęty. — Związek ducha słowiańskiego z francuskim. — Co Słowianie przynoszą nowego na scenę świata. — Na czem polegać może nowe przymierze ludów. — Ten sam zaród narodowości polskiej i francuskiej. Żywy tego dowód. — Stopnie znaczenia katedry literatury słowiańskiej w Paryżu 273—278

LEKCJA II. Życie prawdziwe i życie pozorne. — Ród słowiański gotuje się do zabrania głosu. Pismo *Biesiada*. — Doktryna i doktrynery. — Czego Słowiańszczyzna potrzebuje od Francji, i na jakiej tylko drodze porozumieć się z sobą mogą. — Intuicja. — Jaką i czyją pracą dobywa się prawda na niwach słowiańskich . . . . . 278—287

LEKCJA III. Cecha wszelkiego dzieła biorącego początek z natchnienia. — Znamiona końca epoki. — Ludzie epoki starej i ludzie epoki nowej. — Co jest lud i kiedy on czuje się być wolnym. — Warunek pod jakim tylko człowiek dzisiejszy może zwalić ludzi przeszłych. — Dążność wszystkich umysłowych prac Słowian. — Emigracja polska. — Z czego należy wyczytywać dzieje swojego narodu . . . . . 287—294

LEKCJA IV. Położenie Kościoła. Literatura religijna *ckliwa* i *pieniacka*. — Stolica apostolska i powstanie narodu polskiego. — Smutny upadek wpływu i potęgi Kościoła. — Boleść prorocza. — Dlaczego duchowieństwo potępia nowoczesną literaturę polską. Poemata: *Sen Cezary* i *Legenda*. — Duchowieństwo oderwane od tradycji. — Sfałszowanie ideału Chrystusa. — Lekarstwo na chorobę dziś powszechną . . 294—307

str.

LEKCJA V. Co przeszkadza Kościołowi urzędowemu czuć ducha Francji i Polski dzisiejszej. — Jak powinna będzie tworzyć się poezja w przyszłości. — Święci nowi i relikwje nowe. — Cześć wzbroniona dla Napoleona; cześć dozwolona dla cesarza Rosji . . . 307—316

LEKCJA VI. Przeczuwana jedność ludów europejskich na czem ma zależeć. — Różne drogi prac narodowych w rozwijaniu dogmatu chrześcijańskiego. Różne wyrażenia w ich językach. Wykład niektórych wyrażeń *Biesiady*. O duchach i krainie duchów. — Sztuka jeszcze dotyka tych rzeczy. Początek i cel sztuki. Skąd bierze się ideał. Rola jaką w tej mierze może grać poezja i tradycja słowiańska. — Sztuka nowa potrzebuje typów nowych. Arcy-typem dla sztuki nowej jest Napoleon . . . . . 316—326

LEKCJA VII. Postęp wspólną pracą duchów. Duchy zbiorowe, narody. — Kościół urzędowy nie ma już wyrazów na oddanie rzeczy dotkniętych w *Biesiadzie*, stracił nawet tradycją i pojęcie słowa. — Słowo u Słowian. Jak się tworzy i działa. — Dar języków, zatracony w Kościele urzędowym. — Musi nastąpić nowy wybuch Słowa Chrystusowego. — Chrześcijaństwo zrobiło postęp w narodach. Francji i Polski potęga zewnętrzna tylko od tego postępu zależała i zależeć może. — Kosmopolityzm podawany przez teraźniejszych reformatorów jest próżnem marzeniem. — Przestroga od Słowian dla Zachodu. Groza napadu hord z Północy wisi zawsze nad cywilizacją europejską . . . 327—339

LEKCJA VIII. Słowo jest mocą i chlebem. — Źródło istotne nędzy materjalnej. — Kościół urzędowy mówi nieszczęśliwemu: umieraj; piśmiennicy świeccy chcieliby żeby się nawet nie rodził. — Co są teorje ekonomji politycznej. — Cisza teraźniejsza podobna do chwili męczeństwa Messjasza . . . . . 340—350

LEKCJA IX. Zadanie wiekuiste. — Kościół urzędowy i Nauka urzędowa nie zdolne są go rozwiązać. Dlatego nie mają powagi. — Zdania pisarzy rosyjskich o niebezpieczeństwach Francji. — Duch chrześcijański wojska francuskiego. — Wartość. — Z czyjej winy zaginęło prawdziwe znaczenie wartości i jak będzie przywrócone. — Mniemania ekonomistów uważane ze stanowiska religijnego . . . . . 350—364

str.

LEKCJA X. Jakie zachodzą związki między duchem ludzkim, a tem wszystkiem co ma byt na ziemi poza człowiekiem. — Kwestja ta jest zadana do rozwiązania epoce naszej. —Zasób nowego światła udzielonego epoce, jest *słowem* epoki. — Mężowie zsyłani epokom. — *Mistrz* . . . . . 364—376

LEKCJA XI. Obejrzenie się na cały ciąg wykładu. — Ostatnie słowo Słowian. — Kiedy idea przychodzi do realizacji, zawsze musi zjawić się *ideał*. — Wyrobem wieków chrześcijaństwa jest *ogień święty*. — Ogień ten ześrodkowany w jednym człowieku oświeci glob cały . . . . . 376—385

LEKCJA XII. Barbarzyństwo. — Postęp. — *Człowiek wieczny*. — Syn Człowieczy i Człowiek przeznaczony dzieło jego w epoce teraźniejszej prowadzić dalej. — Życie narodowe i rodzinne. — Jedyny sposób pracowania dla szczęście narodów i rodzin, sposobienia ich aby znalazły i uznały *Ideał* . . . . . 386—397

LEKCJA XIII. Zamknięcie wykładu. Czem on był. — Wszystkie widoki i żądania filozoficzne odnoszą się dzisiaj do znalezienia syntezy nowej. Żadna dawna metoda nie może tego dokazać. — *Człowiek synteza*. — Wiekowe prace Francji i Polski; przeznaczenie teraźniejsze tych narodów. — Głos polski do Francji. *Ecce Homo* epoki naszej . . . . . 397—407

LEKCJA XIV. Słowianie. — Polacy. — Napoleon . . . 408—421

ERRATA

	zamiast:	*powinno być:*
Str. 92 w. 6 zgóry	Pan z Tobą, bło-	Królowa nie-
„ 376 w. 14 „	*(Wezwani powstają, i podnosząc ręce, odpowiadają: Tak!)*	*(Wezwani powstają i odpowiadają: Tak!)*